

PIOTR ZWIERZCHOWSKI

**SENDILKELM**

Warszawa 2003

# SPIS TREŚCI

	SPIS TREŚCI. . . . .	3
	Zamiast wstępu . . . . .	5
1	Sendilkelm . . . . .	7
2	Mekch . . . . .	47
3	Bisenna . . . . .	89
4	Bóg bogów. . . . .	215
5	Labirynt . . . . .	226
6	Anielica Śmierci. . . . .	238
7	Mgłatuluj . . . . .	253

8	Agni . . . . .	271
9	Koniec na początku . . . . .	282
10	Kamienna Łza . . . . .	294
11	Trzy kobiety . . . . .	311
12	Ryba w przestworzach . . . . .	343
13	Timaje . . . . .	382
14	Smokolitowa zbroja . . . . .	424
15	Wieczór Siedmiu Opowieści . . . . .	463
16	Magia i czaria. . . . .	538
17	Timajskie skrzydła . . . . .	567
18	Prottonium . . . . .	609
19	Piana . . . . .	634
20	Kryształowe oczy . . . . .	710
21	Jakiś człowiek . . . . .	758
22	Śmierć przed życiem . . . . .	811
	Epilog . . . . .	856

Słownik . . . . . 859

## Dla mojej żony Hani

Nie tylko dlatego, że jest najwspanialszą ze wszystkich żon we wszystkich światach.

Również dlatego, że nie miała nic przeciwko temu, bym spędził tysiące godzin na prowadzeniu dialogu z nieistniejącymi w naszym świecie postaciami.

Chcę również wyrazić podziękowanie niezliczonym pokoleniom istot żywych, będących moimi przodkami, za to, że chciały posiadać i wychować potomstwo, zamiast żyć sobie spokojnie i bez napięć.

## Zamiast wstępu

Zanim zaczniesz czytać tę książkę, zrób następujące ćwiczenie.

Połóż na stole siedemnaście przedmiotów, ale różnych, a nie siedemnaście spinaczy albo identycznych łyżeczek. Zamknij oczy i wylicz z pamięci rzeczy zgromadzone na stole.

Jeżeli sztuka ta Ci się nie udała, bo coś pominąłeś lub pomyliłeś, a wszystkie rzeczy leżą na stole tak, jak je położyłeś, to wszystko w porządku — jesteś normalnym człowiekiem w normalnym świecie.

Jeżeli ze stołu zniknęły te rzeczy, których nie udało Ci się przypomnieć, to być może jest w Tobie jakaś odrobina pierwotnej magii (albo ktoś jeszcze był w pokoju).

Jeżeli natomiast w trakcie wyliczania wymieniłeś przedmioty, których tam nie było, a które pojawiły się na stole po otwarciu oczu, to znaczy, że Twoja odrobina magii połączyła się z odrobiną pierwotnej czarii.

I wreszcie, jeżeli po otwarciu oczu na stole pojawiły się rzeczy, których nie było, ale i których w jakimś nagłym natchnieniu nie wymieniłeś, a w dodatku rzeczy te przyglądały się Tobie — nie czytaj tej książki (jest zbyt gruba), tylko uciekaj, póki jeszcze możesz.

Pozdrowienia... i, jak mówi mistrz Karcen, miej oczy otwarte, najlepiej swoje!

Twój (dopóki będziesz czytać tę książkę) Autor



# 1

## Sendilkelm

*Niechaj ławice waszych myśli przemierzają morze ignorancji, by podążać szlakiem smukłego korabia mej mądrości! Nad jego pokładem — żagiel mego doświadczenia. Jego stępką — moje poświęcenie! I drogi nie zmylę wśród gwiazd, wszak sam zawiesiłem je siłą swego geniuszu, by na wieczność wskazywały drogę do krainy doskonałości.*

(z przemowy Karcena do uczniów przed inicjacją pierwszego stopnia)

Chóralne porykiwania przeciskały się przez szczeliny wiekowych, bez wątpienia wymagających już remontu wrót i dudniły po ścianach wąskiego korytarza. Kłębiący się tu odór cięży zamasy-  
ste kroki wojownika w czarnym, skórzanym płaszczu ze srebrnymi okuciami. Naramienniki jego okrycia, okucia butów i klamrę pasa zdoził ten sam herb z motywem kolcowęża połykającego pióro burzolota. Nie miał przy sobie żadnej broni.

Dochodzące spod stóp bulgoty malowały w jego głowie przerażający obraz śmiertelnych ran zadanych pięknie zadartym noskom zupełnie nowych sandałów. „To kolejna rzecz, za którą będą musieli mi zapłacić” — pomyślał i nie bez przyjemności wyobraził sobie, jak ociekające obrzydliwym śluzem sandały z młaśnięciem lądują na ulubionym biurku mistrza Karcena. Gdyby nie zatykający smród, z pewnością mruzczałby teraz pod nosem jakieś brzydkie wyrazy, jak to zwykł czynić dla dodania sobie odwagi przed walką. Tym razem jednak zadbano, by nawet tego musiał sobie odmówić.

Dobrnął do wylotu korytarza i idealnie wycelowanym kopniakiem wyważył wrota. Z ukontentowaniem zauważył, że połowa zardzewiałych zawiasów wypadła z muru, a zwisające smętnie skrzydła sprawiają wrażenie stratowanych przez średniej wielkości taran bojowy, a nie wojownika o zupełnie przeciętnym wzroście.

— Sen-dil-ken! Sen-dil-ken! Sen-dil-ken! — skandował tłum.

— Nazywam się Sendilkelm!!! — krzyknął wojownik. — Moglibyście w końcu zapamiętać — dodał ciszej, bo i tak nikt go nie słuchał.

Arena, tradycyjnie pokryta warstwą czerwonego pyłu (ze względu na efektowne obłoki, jakie wzbijały padające ciała), otoczona była szesnastoma piętrami balkonów, z których każdy wyszedł spod ręki innego, cudownie oryginalnego i niewątpliwie chorego umysłowo artysty.

— Bądź pozdrowiony wielki... i no... tego... bardzo dzielny Sendilkenie — zaskrzeczał głos zasuszonego wiekiem sędziego, zwisającego w opancerzonym koszu nad środkiem areny. — Zanim zaczniesz dzisiejszą walkę, pamiętaj, że po raz sto dwudziesty piąty bronisz swego tytułu... i no... tego... honoru, a twoim znamienitym przeciwnikiem będzie, jak zwykle, zawodnik wybrany przez naszego ukochanego mistrza turnieju. Przystąp zatem młodzieńcze do losowania broni i walcz... no... znaczy... jak już coś wylosujesz, to zacznie się walka.

\* \* \*

Od wieków borykano się z problemem znacznych rozbieżności w możliwościach fizycznych poszczególnych zawodników. Zbyt szybka eliminacja któregoś z nich, a co za tym idzie, zbyt krótka walka, bynajmniej nie satysfakcjonowały widzów. Pomysł dawania silniejszemu przeciwnikowi gorszej broni, a słabszemu grubszego pancerza i ziół pobudzających, okazał się niewystarczający.

Co gorsza, nie można było porządnie zarobić na zakładach, bo i tak każdy wiedział, kto wygra. Po wielu latach doskonalenia systemu turniejowego, król oraz Konwent Wielkich i Większych Magów ustanowili ostateczne i niepodważalne zasady.

Jeden z zawodników musiał być magicznym mirażem i nikt, z wyjątkiem sędziego, nie mógł wiedzieć, który. Na dyskreję sędziego można było liczyć, a to z tego względu, że na czas walki on również stawał się magicznym mirażem jednego z losowo wybranych magów, zamkniętych w tym samym czasie w wieży pilnie strzeżonej przez bardzo urodziwe nowicjuszek Świątyni Wielkiego Nimfatu. Ustalono również zasady losowania broni przez wojowników: mieli ciągnąć za sznurki przewleczone przez wielki, zwisający pod koszem sędziego pierścień i przywiązane do mniej lub bardziej przydatnych w walce przedmiotów, ukrytych w wielkiej skrzyni. Zebrani, widząc z góry jej zawartość, mogli robić zakłady, kto wylosuje miecz, a kto, na przykład, mocno zużytą tarę do bielizny.

Sendilkelm podszedł do wiązki kolorowych sznurków i przyglądał się im spokojnie.

— Weź żółty! — krzyknął ktoś z widowni.

— Nieee! Weź niebieski! Niebieski! To magowy miecz! — odpowiedział ktoś inny.

— Czerwony! Kszatoraczny! Niebieski! Gilionowy! Czarny! Fitoriowy! Nie bierz żadnego! — teraz już wszyscy naigrywali się z wojownika, był to zresztą przewidziany w kodeksie zawodów przywilej publiczności i powód wysokich cen biletów w najniższych piętrach widowni.

W końcu wybrał szary i kszatoraczny, a po chwili z niedowierzaniem spojrzął na dwie małe, blaszane tarcze, podane mu przez pryszczatego giermka.

— Oto twój wybór, panie — powiedział młodzik i co sił w krzywych nogach uciekł w kierunku bocznego wyjścia.

— A zatem rytuałowi stało się zadość... no... tego... Sendilkenie. Poznaj swego przeciwnika — wyskrzeczwał sędzia.

Sendilkelm, pewny, iż nie on w tej walce jest magicznym mirażem, wiedział, że rywal może pojawić się w każdych z dziesiątków podwoi otaczających arenę. Stał więc pośrodku i powoli zaczął się obracać. Pomimo tej przebiegłości, przeciwnik zdołał go zaskoczyć. Głuchy pomruk zza pleców, a w chwilę potem jego wygląd uświadomiły Sendilkelmowi, że oto jest niczym ta kura zamknięta w ciasnym kurniku sam na sam z wygłodzonym lisem.

— Tym razem ktoś naprawdę się postarał — szepnął, wlepiając wzrok w ogromny, połączany miecz i wyszczerbiony, zardzewiały topór rywala.

W centrum czerwonego kręgu, naprzeciw mężczyzny kurczowo ściskającego powykrzywiane tarcze, stało dwukrotnie wyższe monstrum. Kanciaste, ciemnobrązowe cielsko, obrośnięte niewiarygodną ilością węzlastych mięśni, było żywą ilustracją popularnej ostatnio w Atrim tezy o ewolucji człowieka ze zwierzęcia. Sięgające kolan ręce, pancerne kości płaskiego czoła i małe oczy błyskające niczym ślepią demona na dnie studni, wszystko to sprawiło, że Sendilkelm gorączkowo próbował przypomnieć sobie imię jakiegoś boga, którego ostatnio nie obraził.

— Azali walczyć będziem i ognie woli swej podsycać, kunszt swój na próbę wystawiać, oręża dobywać, krew lubą przelewać, czy też trwać w uwielbieniu dla tej chwili, co przed walką życie nasze bogom w opiekę poleca — zaintonowało śpiewnym głosem monstrum.

— Że cooo?! Bogowie?! — Sendilkelm był zaskoczony. Patrząc na potwora, spodziewał się usłyszeć jedynie nieartykułowane ryki.

— Zatemżtożtoć! Bogom swe życie w opiekę poleć, gdyż stracisz je, niezgoćtożle, niechybnie. Czy szybką zaś i błogą twa śmierć będzie, czy też uciechy cierpieniem swym gawiedzi dostarczysz, wyborem twym pozostaje!

— Pożycz mi tego miecza, a prędko swych bogów zobaczysz!

— Walczyć przystoi wojownikowi, walkośtomocnać, nie bacząc, jaką broń mu dano, jeno żarem swego serca i siłą ciała przeciwnika swego pokonać, a walkę piękną, dobropatrznać, uczynić, by było co w pieśniach opiewać. Śpiewogralićwieczności!

— Jesteś jakimś minstrelem, czy też, memląc ozorem, chcesz swój koniec o tych parę chwil odwlec?! — odkrzyknął mały wojownik i rozpoczął zataczanie kręgu wokół bestii.

Olbrzym z trzaskiem napiął wszystkie mięśnie, zważył w dłoniach oręż i jął wymachiwać nim ze świstem. Ręce poruszały się coraz szybciej i już po chwili przekroczyły prędkość skrzydeł podniesionej ważki, a wokół cielska utworzyły szczelną zasłonę z brzęczącej stali. Sendilkelm, by uniknąć posiekania na gulasz, padał, odskakiwał, robił podwójne salta i turlał się we wszystkie strony. W końcu, po wyjątkowo bolesnym padzie, zerwał się na nogi i z wrzaskiem runął w kierunku wyjścia.

— Nie uciekniesz, nie ukryjesz swego tchórzliwego serca. Smrodosromoćtwojać! Nie zagrzebiesz się w swoje odchody w jakiejś czarnej norze, bo zaraz wytnę ci serce i pożrę na chwałę mego zwycięstwa! — triumfował olbrzym.

Sendilkelm odwrócił się gwałtownie, szybko ocenił odległość dzielącą go od szarżującego przeciwnika i cisnął obydwie tarcze w sam środek wirującej, stalowej zasłony. Pierwsza odbiła się ze świstem i szerokim łukiem poleciała w kierunku najniższych balkonów, wydobywając z publiczności pomruk grozy. Druga, trafiona lawiną uderzeń miecza i topora, rozprysła się na tysiące ostrych

kawałków, które naszpikowały ciało olbrzyma niczym strzały kukłę ćwiczebną dla kuszników. Sendikelm, trafiony jedynie trzema odpryskami, z niedowierzaniem patrzył na osuwającego się w czerwony pył przedpotopowego jeża.

— Zwyciężyłem! Wielkoćradość! — olbrzym wyraźnie tracił świadomość.

— Skoro tak uważasz — mruknął Sendikelm i ruszył w kierunku wyjścia. — A jednak Karcen podsunął mi magiczną broń... Mógł przynajmniej wspomnieć, że zajmują się teraz z kumplami produkcją śmiercionośnych pokrywek. Zanim zasiądę do stołu, muszę o tym pomyśleć...

Tłum z radości rzucał na arenę resztki jedzenia. Zwycięzca zaplatał się w pół mendla obla-piających go karłów w kolorowych, prześmiewczych imitacjach zbroi, więc co chwilę zbyt głośne beknienie właśnie rozdeptanej paskudy wzmagало radość publiki.

Nienawidził tych błazeństw, musiał się jednak liczyć z regulaminem walk, który chronił prawa złośliwych istot. Sendikelm podejrzewał nawet, że dla magów stanowiły one najbarwniejszy akcent całego turnieju. Taka postawa była wyraźnie w ich stylu.

Schodząc z areny, kątem oka spojrzął na nieruchome już cielsko olbrzyma, taszczone w kierunku największych wrót przez kilka postaci w czerwonych strojach i na ciągnącą się za nimi brązową posokę. Był to widok szczególny, gdyż magiczny miraż przeciwnika powinien był zniknąć w chwilę



po odniesionej porażce. Wynoszono jedynie zawodników prawdziwych, z krwi i kości. Sendikelm przeszył wzdłuż kręgosłupa niemiły dreszcz.

— Ktoś tu będzie musiał udzielić mi kilku wyjaśnień — mruknął i wszedł w cuchnący mrok korytarza.

\* \* \*

Światła było niewiele, lecz to nie wyjaśniało, dlaczego Sendikelm nie mógł dostrzec własnych stóp. Schylił się, by dotknąć coraz mniej widzialną nogę, lecz wówczas ręka zamigotała i znikła. W ostatniej chwili zauważył tylko, że jego tułów robi się przezroczysty, chciał krzyknąć, lecz głowa rozplynęła się.

Trudno opisać, co czuje człowiek, gdy nagle i bez żadnego powodu znika jego ciało. Sendikelm też później nie potrafił tego opowiedzieć. Nie był nawet w stanie określić, czy to, co zobaczył i usłyszał, było rajem, czy też może piekłem, o których tak chętnie rozprawiają kapłani.

Pozbawiona ciała świadomość rozszerza się w czasie, przestrzeni i kilku przyległych wymiarach od czasu niezależnych. Stąd nieprzyjemne uczucie ciasnoty po powrocie do materialnej powłoki. Wielcy magowie od wieków świadomie dematerializowali swe ciała, twierdząc, że wzmaga to ich moc jasnowidzenia i jasnosłyszenia. Jednak ci bardziej zorientowani w temacie wiedzieli, iż najważ-

niejszą zaletą tego stanu jest, odczuwalny tuż po powrocie do ciała, przyjemny szum w głowie, jak po wypiciu kilku kufli piwa. Dla niewtajemniczonych, co za tym idzie, łatwowiernych władców, książąt, bogatych kupców i innych chlebobawców, dematerializacja zatrudnionego maga była zawsze dowodem jego nieograniczonej mocy. Zaś dla magów, znudzonych ciągłym wzrostem wymagań, ucieczka w niematerialny świat była często jedyną możliwością dłuższego odpoczynku, okupionego później jedynie kilkudniowym kacem. Niektórzy bywalcy Oceanu Bezcielesności pamiętali niewyraźnie wrota do krainy bogów, lecz żadnemu z nich nie udało się do nich zbliżyć. Ci, którzy starali się tego dokonać, po powrocie popadali w długotrwałe zdziecinnienie lub całkowicie tracili pamięć.

Oczywiście nikt do końca nie wiedział, jakie korzyści z tych podróży czerpią tacy mistrzowie, jak Karcen. Snucie domysłów było bezcelowe.

Nie istniały też żadne sposoby, by zmusić Karcena do prawdziwych wyjaśnień, a te, które składał, tylko motały zwoje mózgowe pytających.

Sendilkelm jeszcze nie opanował umiejętności poruszania się w stanie bezcielesnym. Przyjemne uczucie mącił narastający niepokój. Rozciąganie i stałe nabieranie prędkości, nieukierunkowanej w żaden sposób, oraz wszechogarniająca błogość wzbudzały w umyśle wojownika podświadomy lęk. Przyzwyczajony do materialnych punktów odniesienia, rozglądał się we wszystkie strony, jed-

nak mógł to robić, posługując się jedynie mocno skołowanym umysłem, a nie, jak dotychczas, dającym uczucie stabilności świata narządem wzroku. Ponadto co chwilę odczuwał muśnięcie czegoś ciepłego i wilgotnego, obserwującego go zawsze jakby z tyłu, choć nie bardzo orientował się, gdzie jest tył.

Najpierw pojawiły się w oddali dwa punkty. Natężył resztki sił świadomości i spróbował się do nich zbliżyć. Punkty zmieniły się w nad podziw piękne oczy. Poniżej rozchyliły się pociągająco wykrojone usta. . .

Należy przy tym dodać, że wszelkie przekazy o nieprzyjemnym wyglądzie Anielicy Śmierci są mocno przesadzone i krzywdzące. Rozpowszechniają je zazwyczaj kapłani, którym religia nakazuje celibat. W gruncie rzeczy, jest to bardzo sympatyczne dziewczę, nie mające żadnego pojęcia o mrokach naszej doczesnej egzystencji. Wielu po śmierci doznało przyjemnego rozczarowania. Nie dość, że ta delikatna istota bezbłędnie odprowadzi każdego do sektora danej religii, to jeszcze po drodze zabawi inteligentną rozmową. Zdarza się też jednak, że niektórzy spotykają zupełnie inne jej oblicze. . .

— Jesteś bardzo piękna, o pani — stwierdził Sendilkelm.

— Gdybyś natomiast mógł zobaczyć siebie w tym wymiarze, zrozumiałbyś panie, czemu nie mogę odpowiedzieć ci równie miłym komplementem.

— Hm... niezupełnie rozumiem, co się stało... Jakby to powiedzieć... nagle... hm... zniknąłem.

— Tylko proszę mi tu nie opowiadać, że to przypadek — odparł słodko-gorzki głos, kuszący i groźny jak portowa wódka. — Możesz być pewien, panie, że słyszałam to aż nazbyt często. Wy, magowie, magiczkowie, jesteście wszyscy tacy sami. Zawsze, gdy się zjawiam, słyszę same wykręty. A ja chciałabym tylko porozmawiać, zaproponować małą przechadzkę... Taki mały towarzyski spacerek, tylko ty i ja... — tu uwodzicielsko mrugnęła okiem i przeciągnęła się, gładząc dłonią co atrakcyjniejsze wypukłości i wklęsłości swego ciała, które pojawiło się nagle, pogłębiając stan osłupienia Sendikelma.

— Ja, to znaczy... Mylisz się, pani. Jestem wojownikiem, właśnie wygrałem turniej i nie mam nic wspólnego z magią. Chciałbym wrócić, a tak w ogóle, jestem jeszcze młodym człowiekiem! — krzyknęła świadomość Sendikelma. Tożsamość zjawy nie pozostawiała złudzeń. — Zostaw mnie, pani, proszę. To na pewno sprawka tych błaznów, którzy organizowali turniej. Wszystko im się pomyliło. Po pierwsze, to tamten wielki barbarzyńca powinien być magicznym mirażem. Ja jestem realny, mogę nawet powiedzieć, co jadłem dzisiaj na śniadanie!

— O! Szmiadanie! Szmiadanie! Cóż za bezczelność! Próbujesz wygłaszać swoje śmieszne magiczne formułki?! Twoje szmiadanie nic tu nie da. Co prawda nie mogę cię stąd zabrać siłą, ale

zapamiętam sobie twoją duszę, i gdy kiedyś po ciebie przyjdę, nie będę już tak uprzejma. Możesz być pewien, że dam ci odczuć, co czuje biedna, mała anieliczka, kiedy rzuca się na nią wstrętne zaklęcia. . . Te paskudztwa mącą mój umysł i pieką w oczy, ale wy, magowie, pożałowania godni tchórze, nie potraficie uszanować damy — jej wzrok jak świder przewiercał wszystkie pokłady świadomości Sendilkelma. — A przecież mogliśmy sobie porozmawiać jak przyjaciele, jak samotna istota z drugą samotną istotą, ale ty oczywiście musiałeś wszystko od razu popsuć. . .

— Hm, to znaczy, źle mnie zrozumiałaś, pani. Ja nie znam żadnych zaklęć, mówiłem tylko o jedzeniu, o posiłku, który zjadłem.

— No znowu! — wrzasnęła Anielica. — Jedzeniu! Posiłku! To boli, nędzniku! Ty niedouczony magiku! Ty! . . Wynocha stąd! Wracaj sobie do tego cuchnącego cielska! Zobaczysz, następnym razem będę wiedziała, jak cię ze sobą zabrać!

Zanim Sendilkelm wymyślił kolejne wytłumaczenie, jego umysł zawirował gwałtownie i zbił się w maleńki punkcik. A potem już tylko spadał, i spadał, i spadał. . .

— Straszne, dziś już nie wszyscy traktują mnie jak damę! — powiedziała do siebie Anielica Śmierci. — Pewnie to przez tych na dole, kapłanów, rozgoryczonych miłosną ascezą. . . Ale trudno! Każdy na pewno, powtarzam, na pewno będzie miał szansę poprosić mnie o wybaczenie.

\* \* \*

Najpierw zobaczył piękne oczy o długich rzęsach, po chwili migdałowy owal twarzy, otoczonej puklami kasztanowych włosów. Łagodna twarz uśmiechnęła się i poczuł delikatny dotyk dłoni na policzku.

— Nie... błagam, nie chciałem pani urazić. Ja tylko... .

— Karcenie, Karcenie, jest! Wrócił! No chodź prędko, bo znowu może nam zniknąć! — wrzasnęła z całych sił dziewczyna i zaczęła go mocno policzkować. — Wstawaj, wstawaj, ani się waź zniknąć! — krzyczała mu prosto do ucha.

— Ciszej, kobieto — wyszeptał Sendilkelm. — Zostaw mnie, przecież to boli — złapał ją za rękę i dopiero teraz zrozumiał, że znowu ma rękę, jak i całą resztę. Mdlilo go strasznie, głowa pękała, a na brzuchu czuł ogromny ciężar. Uniósł głowę. No tak, okrakiem siedziała na nim pokojówka Agni, z całych sił tłukła go pięściami w piersi i, czerwona z wysiłku, wrzeszczała na całe gardło.

— Zostaw mnie, złaż natychmiast! — wydyszał.

— Nie mogę, mistrz kazał mi tłuc pana, póki nie przyjdzie! Karcenie! Karcenieeee!

W polu widzenia pojawiła się tłusta twarz z resztkami jedzenia na dawno niestrzyżonych wąsach. Mistrz Karcen we własnej, przelewającej się na wszystkie strony osobie.

— No, no, chłopcze. Nieźle się zabawieś. Rzekłbym, że o mało nie zabawieś się na śmierć! Hi, hi, hi... nieźle, co? Zabawne, co? Niesamowite, co? Hi, hiii... Pewnie boli cię głowa, co? Biorąc pod uwagę tak długi czas twojej nieobecności, pewnie w ogóle nie masz siły wstać. A teraz powiedz, dlaczego, do wszystkich chorób nagłych i śmiertelnych, nie chciałeś wracać?! Nie odpowiadałeś na żadne wezwania! — tu czoło mistrza pokryły groźne zmarszczki, a tłuste policzki nabrały buraczkowego odcienia. — Szczerze mówiąc, tylko ja, głównie z przepelniającego mnie współczucia dla różnych niewdzięczników, czyniłem pewne magiczne, i czarowe nawet starania, by cię ściągnąć z powrotem. Wszyscy inni po dwóch dziesięciodniach zrezygnowali. Zresztą, czy można liczyć na innych, gdy samemu jest się mistrzem najwznioślejszym?! Krótko mówiąc, jesteś mi winien, oprócz dozgonnej wdzięczności, rzecz jasna, jakieś wyjaśnienia.

Sendikelm zebrał siły, zdecydowanym ruchem zwałił z siebie pokojówkę, która w zamian obrzuciła go miążdżącym spojrzeniem, i podparł się na łokciu. Gruby mag, dziewczyna i całe wnętrze wirowały nieznośnie. Próbował skupić wzrok na jednym punkcie i opanować wzbierający w nim gniew. Miał przeczucie, że został okrutnie oszukany i wykorzystany do niecznych knowań tego... Nie wiedział, kogo. Gdy już ułożył sobie żądającą wyjaśnień przemowę, wszystko gwałtownie zamigotało i otwarła się przed nim wielka, miękka niczym matczyzna pierś, przepaść snu.

— Pilnuj go, dziewczyno. Niech śpi. Ja muszę teraz. . . muszę coś zjeść — Karcen podrapał się po brodzie. — I uważaj, jeśli znowu zacznie znikać, bij go z całej siły i wołaj mnie. Aha, gdy się obudzi, przynieś mu zimny kefir i kompres na głowę. . .

— Tak, mistrzu — westchnęła Agni i już miała o coś spytać, gdy mistrz z zadziwiającą zręcznością przecisnął się przez drzwi o połowę węższe od niego, pozostawiając po sobie jedynie dźwięk srebrnych dzwoneczków.

\* \* \*

— Więc, powiadasz, gdzie on teraz jest? — spytał król Raratin, poprawiając fałdy paradnego stroju do końskiej jazdy. Naprzeciw niego, na maleńkim, ale bogato inkrustowanym stołeczku, wiercił się nadworny mistrz magii, wielki Karcen. Król zlecił wykonanie mebelka z myślą o takich właśnie okazjach. Lubił patrzeć, jak tłuści magowie, podczas codziesięcodziennych, oficjalnie składanych raportów, w milczeniu znoszą tortury zadane przymałym siedziskiem. Była to dla niego skromna rekompensata za skandalicznie wysokie pensje, które zmuszony był im wypłacać w zielonym złocie, klejnotach, pokojówkach, masażystkach i kucharkach.

— Wiesz, panie, jak to jest z tymi wojownikami. Niewdzięcznicy, nie potrafią zrozumieć, że bardzo o nich dbamy. Ten, jak mu tam, Sendikelm obraził się śmiertelnie, bo bez jego wiedzy



zamieniliśmy go w magiczny miraż. Przecież, gdybyśmy tego nie zrobili, ten wielki Fraternalczyk posiekałby go na gulasz i zjadł na obiad. Później połowa naszego konwentu przez dwa dziesięciodnie próbowała go zmaterializować, a ten przyjemniaczek nie miał na to najmniejszej ochoty. Tylko dzięki memu osobistemu, ofiarnemu zaangażowaniu znowu jest z nami i to absolutnie zdrowy. Eee... dostojny panie, czy mógłbym wstać?

— Nie godzi się, by mąż tak sławny jak ty, mistrzu, stał w mej obecności. Ale może szerzej opiszesz mi podjęte przez siebie kroki, bym mógł należycie ocenić twe zasługi, co za tym naturalnie idzie, odmierzyć odpowiednią ilość należnych ci dóbr i przyjemności.

— Eee... więc, panie, po upływie kilku dni od zniknięcia twego najlepszego wojownika, postanowiłem zdematerializować swe, nadwątlone ofiarną służbą, ciało i przeprowadzić poszukiwania osobiście. Jak wiesz, zawsze czynię to z niechęcią, gdyż osłabia to me zdrowie, utrzymywane tylko magią i czarą...

— Twa ofiarna służba oczywiście wzbudza nasz szacunek... Mów dalej, jeśli łaska — król przywołał na swe usta długo ćwiczone, słodziutki uśmiech.

— Sendilkelm, nieświadom tego, co robi, prawie zupełnie rozcieńczył swą świadomość i nie słyszał mego wołania. Przyznaję, być może zdematerializowanie go bez uprzedzenia było pochopnością, lecz któż mógł przypuszczać, że jego umysł zareaguje w ten sposób.

— Lepiej przyznaj, mistrzu, że eksperymentowaliście z kolegami metody tworzenia miraży bez wiedzy, że tak powiem, bezpośrednio zainteresowanych i coś wam po prostu nie wyszło — król ściszył głos aż do szeptu. — O mało nie zabiliście wodza mych armii i myślę, że może to poważnie osłabić moje dotacje na utrzymanie konwentu pewnych niedouczonej magików.

— Ustalmy fakty, panie. Nie ja wymyśliłem ten pożałowania godny turniej, poza tym to ty rozkazałeś mi chronić Sendikelma właśnie w taki sposób, by on sam niczego się nie domyślił. Zresztą, podjęte przez nas środki okazały się zbędne, gdyż świetnie poradził sobie z przeciwnikiem z Fraterni, chociaż, oczywiście, nie bez pomocy pewnych magicznych nowinek w dziedzinie przedmiotów zwykłych. Przed turniejem złożyłem Sendikelmowi propozycję bezpośredniej ochrony tarczą jednomagiczną, której, rzecz jasna, nie przyjął, a to z powodu absurdalnych obaw przed moimi wynalazkami — mistrz westchnął głośno. — Trudno! Niech ogrom mego poświęcenia będzie znany tylko mnie samemu! Musieliśmy improwizować! Stworzyliśmy miraż, który jednocześnie był nim samym, tylko lekko przesuniętym w czasie i kilku przyległych wymiarach. W efekcie, poza niewielkim kacem, nic mu nie dolega. Za to teraz, zarówno on, jak i ty, panie, jesteście na mnie obrażeni — mistrz magii wydał dumnie policzki i uniósł głowę. — Dodam tylko, że aby dokończyć zadanie, które na mnie spoczywało, musiałem skontaktować się z pewną ostateczną siłą.

— Z czym? — mruknął znudzony już lekko władca, odrywając wzrok od zdobiącej ścianę kolekcji wypchanych jaszczurek.

— Z pewną damą, której z pewnością nie chciałbyś widzieć, panie, mimo jej wyjątkowej urody. Otóż powiedziałem Anielicy Śmierci, że czeka na nią w Oceanie Bezcielesności młody i przystojny wojownik.

— Chcesz powiedzieć, że nasłałeś na niego Śmierć? — twarz władcy znacznie się wydłużyła. — Przykro mi, ale nie pojmuję, w jaki sposób ten zabieg miał przywrócić mojego wodza do życia! Lepiej będzie, jeżeli natychmiast mi to wszystko krótko wyjaśnisz!

— Błagam o zrozumienie, panie. Widać, nie uważałeś za młodu na mych wykładach — Karcen przybrał swój najbardziej przenikliwy wyraz twarzy. — Pozwól zatem, że ci przypomnę, iż w tym obszarze Śmierć nie może ze sobą zabrać nikogo bez jego zgody. Zmarli zazwyczaj z wielką ochotą wskazują niebiosa, do których ma ich zabrać, zadowoleni, że po śmierci jest jednak jakieś życie, a cały ten religijny bałagan ma sens. Powszechnie wiadomo, jak drażliwą osobką jest Anielica i jak łatwo ją przez przypadek obrazić. Tak pewnie też się stało. Sendilkelm musiał pomyśleć coś niestosownego, a przede wszystkim, widocznie nie chciał iść do żadnych niebios, co osobiście rozumiem i popieram, więc wykopała go z powrotem do naszego świata.

— Hm, sprytne, bardzo sprytne, Karcenie, szkoda tylko, że muszę ci uwierzyć na słowo. Tak czy inaczej, uznaję, że wywiązałeś się z zadania — władca oparł się o stół i zapatrzył w magiczny krajobraz morski z okolic Szukarnu, zawieszony za jego oknem przez Karcena. — Zabawne, Śmierć, we własnej osobie, uratowała Sendilkelmowi życie, a ten nawet zbyt nie ucierpiał. . . Tak. Jutro odbędzie się narada wszystkich mistrzów, na którą już teraz jego i ciebie zapraszam. Aha, możesz wstać, Karcenie.

— Uff, dzięki ci, panie i władco wszystkich ziem wartych podbicia i posiadania! — mag, posapując, rozprostowywał powoli nogi i masował siedzenie. — Pozwól jedynie powiedzieć sobie, że nie musisz wierzyć mi na słowo. Mogę, jeśli zechcesz, cię zdematerializować, a wówczas osobiście pogwarzysz sobie z tą panną. Tylko uważaj i nie prowokuj jej za bardzo, gdyż cierpi na szczególne obrzydzenie właśnie do monarchów i magów i może się zeźlić nie na żarty.

Król znieruchomiał i, mając nadzieję, że czegoś nie zrozumiał, dał czas swemu umysłowi na dokładne przetrwanie sensu wypowiedzi maga. W chwilę później poczerwieniał gwałtownie i rzekł:

— Po cóż przybliżać to, co nieuniknione, mój przyjacielu — na ostatnie słowo położył wyraźny nacisk. — Poza tym sprawy magii i czarii wolę zostawić mistrzom tak wzniosłym, jak ty, mój drogi. A teraz pomówmy o czymś innym. Widzisz, dzisiaj zrzucił mnie mój wierny wierzchowiec, a coś takiego przytrafiało mi się jedynie we wczesnym dzieciństwie. Jak to wytłumaczysz, mój mistrzu?

— Może koń jest po prostu chory, panie, to się zdarza.. Pozwól, że zbadam go dziś po południu. No dobrze, ale czy aby zdrów, po tym nieszczęściu, jest mój władca?

— Boli mnie, cóż, powiedzmy... noga. Ale nie to jest najgorsze. Jestem pewien, że on zrobił to celowo. Gdyby mój wierny giermek nie zagroził mu drogi, na pewno by mnie stratował. Na dodatek, oczy tego konia patrzyły na mnie z... no, niekońską inteligencją!

— O, to poważny zarzut, zwłaszcza wobec tak znakomicie wyszkolonego konia. Od ilu lat go dosiadasz, panie? Czy to ten sam koń, którego jako źrebię powierzyłeś mej opiece? — tym razem twarz Karcena zdradzała szczere zainteresowanie.

— Tak, tak, ten sam. To mój ukochany ogier. Osobiście doglądałem go od pięciu lat, od jego narodzin. Sam więc rozumiesz, dlaczego tak bardzo jestem poruszony.

Karcen był coraz bardziej wzburzony, jedną rękę zagłębił w dziesiątkach warkoczy swej długiej brody, a drugą z trudem wcisnął do kieszeni na pośladku. Bezwiednie zaczął przechadzać się po komnacie ze wzrokiem utkwionym w czubkach zielonych sandałów.

Król Raratin wiedział, że w momentach wyjątkowego skupienia nie należy mistrzowi przeszkadzać, a raczej subtelnie stan ten ułatwiać, więc po cichutku wstał ze swego fotela i przysunął magowi wykwintne, wyściełane gadwabbiem krzesło, zaś niewygodny stołek odesłał kopniakiem pod ścianę.

— O, dzięki ci, panie — sapnął Karcen, siadając z rozmachem. — Obawiam się, niestety, że sprawa jest bardzo poważna. Taaak. . . nie przypuszczałem, że ktoś się na to odważy.

— Wiem, że jest poważna, Karcenie — mruknął gniewnie Raratrin — a najlepiej wiedzą to niektóre części mego ciała. Nie denerwuj mnie niepotrzebnie i wyduś wreszcie, jakie masz podejrzenia!

— Panie, to spisek na twe życie! — dobitnie powiedział Karcen i wbił wzrok w twarz Raratrina. — Jak ci doskonale wiadomo, wszelkie przedmioty, których używasz, a do nich zalicza się również twój wierzchowiec, mają osobiście nałożone przeze mnie pewne magiczne, a czasami nawet czariowe, zabezpieczenia. Wiesz przecież, że nie możesz zranić się własnym mieczem ani ukłuć własnym widelcem. Równie sumiennie zająłem się twym wierzchowcem. Zrozum, mój panie, że to miłość do ciebie i ochrona twego życia leżą u podstaw jego zwierzęcej świadomości. Pracowałem nad nim wiele dni i jestem pewien, że efekt tych działań powinien się utrzymać przez całe jego życie.

— Zatem, mój drogi mistrzu, popełniłeś błąd w swej sztuce — Raratrin położył dłonie na ramionach maga i spojrzał mu prosto w oczy. — Rozumiem, to tłumaczy, dlaczego koń przestał mnie lubić, ale na jakiej podstawie nabrałeś podejrzeń o spisku na moje życie, tego zupełnie nie pojmuje.

— Obawiam się, panie, że jednak niczego nie rozumiesz. Uwarunkowania, które stworzyłem w umyśle tego konia, są, a raczej były, nie do odwrócenia. Tak jak ty nie możesz dwa razy pasować kogoś na rycerza, tak nikt i nic nie powinno było zniszczyć mego dzieła. Widzę tylko dwie możliwo-

ści wyjaśnienia tego incydentu. Po pierwsze, może masz w swoim otoczeniu wroga, który nakarmił konia niezwykle silnym narkotykiem. Jest to możliwe, chociaż nawet ja nie znam takiego środka, który byłby w stanie zneutralizować moje blokady. Druga ewentualność jest mniej prawdopodobna i boję się o niej nawet myśleć, lecz lojalność wobec ciebie zmusza mnie do jej ujawnienia. Otóż, jak wiesz, jestem najpotężniejszym mistrzem magii i czarii w twym królestwie. Mój umysł ogarnia wszystkie twe posiadłości, dzięki czemu wiem o każdym magicznym czynie, jaki w nich ma miejsce, nawet o najbanalniejszym zaklęciu byle wsiowego magika z odległego krańca kraju. Wracając do tematu, dziwne zachowanie twego konia może oznaczać, że pojawił się mag nie dość, że ode mnie silniejszy, to jeszcze, co gorsza, potrafiący się przede mną ukryć. Jeżeli w istocie tak się stało, jesteśmy w niebezpieczeństwie i to zarówno ty, panie, jak i ja oraz wszyscy członkowie konwentu, że o mieszkańcach Atrim nie wspomnę.

— Ależ drogi Karcenie, nie histeryzuj! W pełni ufam wielkości twojej sztuki, nigdy przecież nie zawiodłeś ani mnie, ani królestwa. Poza tym, o ile pamiętam z dzieciństwa twe wykłady, nauka sztuki magicznej polega przede wszystkim na przechodzeniu kolejnych stopni inicjacji, których, o ile nadal mnie pamięć nie zwodzi, jest dwieście dwadzieścia dwa. Któż mógłby przewyższyć twą sztukę, skoro ty, jako jedyny żyjący mistrz, przeszedłeś wszystkie stopnie? Po tobie najwyżej wykwalifikowanym magiem jest tylko Wielki Go, a właśnie, ile stopni udało mu się przejść dotychczas?

— Przedwczoraj inicjowałem go na sto dwudziesty. Wiedz jednak, panie, że mag stojący choćby jeden stopień niżej jest bezradny wobec mnie jak dziecko. Jeśli zatem pojawił się ktoś, kto może odwracać mą sztukę, a przy tym pozostawać w ukryciu, oznacza to, że mamy do czynienia z eee. . . jakby to powiedzieć. . . no, z zupełnie innym rodzajem magii lub, o zgrozo, czarii, choć wiem, że takowe nie istnieją — Karcen zamyślił się głęboko, nieruchomiejąc na tak długą chwilę, że Rarattrin poczuł się nieswojo we własnej sali audiencyjnej. — Cóż, miejmy więc nadzieję, że był to tylko narkotyk, a my musimy jedynie wykryć najsprytniejszego zielarza naszych czasów — szepnął w końcu. Głowa kiwała mu się coraz szybciej, co w jego przypadku było oznaką niezwykłego niepokoju. — Panie, każ swym szpiegom pilnie obserwować zatrudnionych na zamku kucharzy i medyków. Pamiętaj, że ktoś, kto otruł konia, może z łatwością otruć człowieka, nawet ciebie czy mnie. Radziłbym, abyście ze swą prześwietną małżonką i księciem jedli tylko to, co wam przyniosę ze swoich zapasów i prywatnej kuchni. Nie jest to może wykwintne jadlo, lecz w obecnej sytuacji tylko za nie mogę ręczyć.

— Przerażasz mnie, mistrzu. Wydaje mi się, że dotychczas nie doceniałem, jakim skarbem dla mej rodziny jest twoja opieka. Widzę, że na jutrzejszej radzie poruszymy więcej tematów, niż przypuszczałem.



— Nie, nie, panie — Karcen poczerwieniał jeszcze bardziej i potrząsnął mięsistym policzkiem. — O tym nie może się dowiedzieć nikt poza Wielkim Go, za którego mogę ręczyć, no i oczywiście poza wodzem twych sił — Sendilkemem, który ze względów oczywistych jest poza wszelkimi podejrzeniami. Pozwól, królu, że się oddalę do swych skromnych komnat, by przemyśleć całą sprawę. Oczywiście przyprowadzę jutro twego wielkiego wojownika, chyba że znowu się gdzieś zapodział.

— Zwykle, gdy obraża się na cały świat, idzie do portu, do tawerny Pijany Kraken — odparł władca, mrużąc oko i kiwając głową z politowaniem.

— Znam, panie, ten lokal i postaram się tam dotrzeć, zanim go okradną i wrzucą do kanału, jak to było ostatnio. Zatem do jutra, panie, śpij dobrze i . . . co to ja miałem, aha, nie jedz już dziś kolacji.

Król Raratrin, władca Atrim, pokiwał swemu magowi głową na pożegnanie, po czym skupił wszystkie myśli, próbując ułożyć zaistniałe fakty w jakąś całość.

Tak, dziś rano jego osobisty ogier zrzucił go ze swego grzbietu z wyraźnym zamiarem stratomania. Czy rzeczywiście był to efekt wielkiego spisku na jego życie? Czyżby miał to być początek nowej wojny? Ale z kim miałby walczyć? Sarktynia, leżąca po drugiej stronie Gór Słońca, była, jak na takie zachcianki, co najmniej dziesięć razy za mała, a poza tym nigdy sama nie wszczyniała wojny ze strachu przed swymi bogami. Darpia, kraina kupców i rzemieślników, nie miała nawet

swej armii, a Atrim było od zawsze jej największym rynkiem zbytu. Królestwo Turli od piętnastu lat zajmowało się jedynie nawracaniem księstwa Mnog Oz na swoją religię. Fraternia i Timaj ze względów geograficznych w ogóle się nie liczyły. Zresztą, polityka zagraniczna Atrim od dziesięcioleci ograniczała się do wymiany z obcymi władcami życzeń urodzinowych i w niczym nie przypominała dawnych czasów, gdy założyciele wielkich dynastii walcząc, dzielili się światem.

Cóż, należało więc szukać wrogów wśród własnych poddanych. Na szczęście nawet tak potężni magowie, jak Karcen czy Wielki Go, nie interesowali się niczym poza doskonaleniem w sztuce magii i zawartością swych skarbców, żołądków i łóżek. Żaden mag w całej historii świata nie sięgnął po władzę. No pewnie, kiedy ma się moc gawędzenia z duchami, poznawania tajemnic wszechświata i życia bogów, ziemską władzę wydaje się być zwykłym marnowaniem czasu i głupotą, tym bardziej, że jej sprawowanie oznacza wykluczenie z magicznego klanu. Karcen wielokrotnie opowiadał mu, że magia i czaria są rodzajem nałogu, którego tajemnicę działania adepci gotowi są okupić własnym życiem. Poza tym wszystkim, Raratin wiedział tylko, że magowie potrzebują ogromnych ilości zielonego złota, które ginie bezpowrotnie w trakcie każdej inicjacji. To uzależniało ich całkowicie od bogactw królewskiego skarbcza. Nieszczęśnicy, którym nie udało się zdobyć sownie opłacanej posady na dworze królewskim lub książęcym, całe dziesięciolecia oszczędzali na swą inicjację, zaś ilość złota potrzebna do każdej następnej rosła w postępie geometrycznym.

W młodości król myślał, że magowie wyłudzone w ten sposób złoto po prostu sprzedają z odpowiednim zyskiem. Zmienił zdanie w dniu, w którym Karcen zabrał go na pierwszą inicjację księcia Mertenona, wielce melancholijnego młodzieńca z bocznej linii rodu królewskiego.

Gdy Mertenon zdążył już zemdleć z nadmiaru wrażeń, nad dopełniającym skomplikowanego rytuału Karcenem powietrze zbiło się w nieprzyjemnie pachnący obłok. Po chwili wyłoniła się z niego istota tak przerażająca., że świadomość króla zatrasnęła przed jej wyglądem skarbiec pamięci. Pod wpływem jej potwornego spojrzenia, złoto, złożone na siedemnastokątnym stole, zmieniło się w rosnącą jak ciasto pianę, po czym zniknęło. I tak to, po tej krótkiej, acz efektownej manifestacji potęgi magii, król postanowił w pełni ufać Karcenowi i nie zadawać więcej głupich pytań w stylu: „Czy nie zostało trochę złota po ostatniej inicjacji?”.

Raratin zamyślił się głęboko i podszedł do stojącej przy kominku, ulubionej zbroi. Instykt samozachowawczy delikatnie zasugerował mu, że dzisiejszej nocy powinien użyć jej zamiast pizamy. Złapał koniec płaszcza i, niby od niechcienia, zaczął ścierać kurz z napierśnika.

\* \* \*

Pijanego Krakena trudno było przeoczyć, gdyż zamiast zwykłego niskiego portalu, jakie miały pozostałe domy ulicy Przyporcie, do jego wnętrza prowadziły szczęki bliżej nieokreślonego mor-

skiego zwierza. Niektórzy utrzymywali, że były to zębiska prawdziwego krakena. Patrząc na rozmiary popękanej żuchwy, wielu żeglarzy zupełnie traciło zapał do swej pracy, a nawet nabierało wątpliwości co do sensu morskiego zawodu. I właśnie te wszystkie swoje zwątpienia i wątpliwości najbardziej lubili wyjaśniać wewnątrz tawerny, za pomocą wielu flasz, kufli, dzbanów, tłuczenia się po głowach i pogwizdywania w kierunku tańczących na stołach dziewcząt.

Niedostatki wystroju wnętrza skutecznie tuszowało skąpe światło magicznych czternastościanów, zwisających przede wszystkim nad barową ladą. Za nią od najdawniejszych czasów królowała pani Sardinella, słynąca z pamięci do imion swych gości, choćby zawijali do tego portu raz na parę lat. Ją również pamiętano na wszystkich morzach i oceanach świata, a to głównie za sprawą cudownych trunków i tancerek. O płciowej tożsamości pani Sardinelli świadczyły jedynie setki ozdób we włosach i na wszystkich palcach. Nikt nie pamiętał, by kiedykolwiek jej wielka jak stóg siana postać ruszyła się z za lady, nikt też nie mógł sobie wyobrazić drzwi dostosowanych do jej wymiarów. Pomimo to, wszyscy chłopaczkowie, bo tak nazywała swoich gości, traktowali ją jak damę i zwracali się do niej, używając najbardziej wyszukanych słów.

Teraz przy barze siedział tylko jeden niewielki mężczyzna. Jego miecz, niedbale oparty o blat, drżenie dłoni i ogólne wiercenie zdradzały wielkie zmęczenie lub złość, albo jedno i drugie.

— Rozchmurz swoją piękną jak marzenie dziewczycy twarz, Sendilkemie! Specjalnie dla ciebie przygotowałam nowy specjał.

— Dziękuję, pani Sardinello — ujął w ręce dymiący puchar i podejrzliwie spojrzał na mętną ciecz, w której pływały małe, błyszczące kuleczki. — Czy wie pani, że tylko pani poprawnie wymawia moje imię. Nawet król nie potrafi go zapamiętać.

— Pamiętam, jak wiesz, imiona wszystkich swoich chłopaczków, ale, ale, już od dwudziestu lat proszę cię, byś mówił do mnie po prostu Sardinella. A co do króla, nie potrafi on wielu innych, ważniejszych rzeczy — tu zapatrzyła się przed siebie ze smutkiem. — Na przykład nie docenia swych najlepszych ludzi.

— Co masz na myśli, hm... Sardinello? Znam bardziej niewdzięcznych władców od naszego Raratrina.

— Myślę o tym, że jesteś nieszczęśliwy, chłopaczk. A ponieważ nie masz ani jednej żony, winę za to ponosi twoja praca. Powiedz, na przykład, kiedy ostatnio dostałeś podwyżkę lub jakiś klejnot w dowód uznania?

— Z górą sto lat wygrywam wszystkie pierwsze nagrody w turniejach, po co mi więcej złota, skoro i tak nie mam go na co wydać? Zresztą, mam jeszcze łupy z wojen, które prowadziłem dla Atrim w młodości.

— Mylisz się, chłopaczku. Wydać można każdą ilość złota, klejnotów i wszystkich takich cuderniek, uwierz mi, wiem, co mówię. A wracając do nagród, słusznie ci się należą, skoro ciągle żyjesz. Mówię ci, stary Raratin robi na tobie dobry interes. Póki wygrywasz, jesteś wodzem jego armii. Gdy zginiesz, twój skarbiec będzie należał do niego, a kandydatów na twoje miejsce nie zabraknie.

— Zawsze wiedziałem, że potrafisz każdego pocieszyć. Zrozum, ja naprawdę lubiłem swój fach, przeżyłem przy tym zbyt wiele wojen i wędrówek przez dzikie kraje, żeby nie doceniać wygod życia w zamku, we własnej wieży. Chodzi o to, że ci magicy zabawili się moim kosztem w czasie turnieju. Zdematerializowali mnie bez mojej wiedzy i teraz, po powrocie, odczuwam większy niepokój niż przed poprowadzeniem wojny.

Pani Sardinella zmarszczyła swój monstrualny nos i zagwizdała przez zęby ze zdziwienia.

— Chyba nie polecę ci następnej porcji mego specjału, bo zaczynasz bredzić, Sendilkelmie. Ale wiem, jak cię rozerwać. . . Otóż, widzisz, przyjełam do pracy nową tancerkę i. . .

Przerwał jej gwałtownym gestem.

— Nie mam czasu na głupstwa, powiedz lepiej, czy znasz jakiegoś biegłego, ale niezatrudnionego w zamku maga? Na dodatek takiego, który nie należy do konwentu?

— No... nigdy wcześniej nie mówiłeś, że nowa tancerka to głupstwo, mój drogi. I po co ci magik, skoro przyjaźnisz się z wielkim Karcenem? — Sardinella z zainteresowaniem pochyliła się nad Sendilkelmem i owionęła go ciężkim, gorzelnianym oddechem.

Wojownik zdecydował się na sprawdzony już sposób wydobywania z niej informacji. Odsunął puchar i poprawił skórzane zapięcie kaftana.

— Skoro nie potrafisz mi pomóc, Sardinello...

— Powinieneś sobie zapamiętać, chłopaczkę, że pani Sardinella potrafi załatwić wszystko. Przyjdź jutro trzy obroty po szczycie słońca, a ktoś tu będzie na ciebie czekał... Aha — dodała po chwili — to będzie cię kosztowało ten piękny pierścień z księżycowym kamieniem, który masz na palcu.

— Oczywiście, moja pani, specjalnie po to go włożyłem. Aha, czy widziałaś tu gdzieś mego ojca Suddolika?

— No właśnie, nie wiem — skrzywiła się Sardinella. — Jak go nie szukają, to ciągle tu siedzi, a dzisiaj rano gdzieś się ulotnił, chociaż nie widziałam, aby wychodził. Zapytaj dziewcząt, może śpi u którejś w Różowym Korytarzyku? Wiesz, jakie one są...

\* \* \*

Sendikelm umocował miecz na plecach i ruszył ku wyjściu. Począł do końca bójki pomiędzy graczami dziesięciu kości, zwykle ustalano w ten sposób, kto oszukiwał i kto będzie musiał zapłacić, po czym przeskoczył przez kilku leżących, oczywiście tych, którzy nie mieli racji, i wyszedł na ulicę.

Wszystkie uliczki w Atrim były do siebie podobne, wąskie, nierówno wybrukowane i mało przewiewne. Sendikelm pociągały te najciemniejsze. Zawsze wydawało mu się, że ich wysokie budynki pochylają ku sobie głowy tak bardzo, że za chwilę jedno czoło oprze się o drugie i nawet ten wąski prześwit między nimi przestanie istnieć. Ciągłe nie mógł się nadziwić ogromnej liczbie upchanych tu sklepów, straganów i tawern. Szczególnie bawiły go próby pogoni zasapanych przekupniów za nieletnimi złodziejaskami, którzy, znając na wylot wielopoziomowe przejścia, ukryte mostki i schody, znikali niespodziewanie, by po chwili pojawić się kilka kondygnacji wyżej. Sendikelm zastanawiał się często, jak niezbadanym labiryntem jest jego miasto. Nie raz czuł się jak przybysz z obcego świata i przyglądał się temu miejscu z zainteresowaniem człowieka wpatzonego w rozgrzebane mrowisko. Chociaż wiele razy prowadził do boju armię królestwa, planował bitwy, tropił szpiegów, ustalał rozejmy i przyjmował kapitulacje, zupełnie nie znał ludzi, dla których to robił. Byli dla niego równie obcy, jak zamorscy marynarze w Pijanym Krakenie. Wiele razy zadawał sobie pytanie, czy



przez te wszystkie lata walczył dla króla, dla siebie, czy właśnie dla nich, dla bezimiennego tłumu zajętego wyłącznie swymi interesami.

Lubił chodzić nocą po hałaśliwych ulicach, gdzie handlowano bez względu na porę, pogodę czy w ogóle na cokolwiek. Miał wtedy wrażenie, że jakie by nie były wyniki kolejnych bitew, negocjacji i politycznych zabiegów królestwa, w życiu tych ludzi nic się nie zmienia.

Bezwiednie zatrzymał się przed jednym ze straganów.

— Ooo, bogowie! Czym wam zawiniłem, że przysyłacie do mnie samych obłąkanych? On chce moje cudowne płótno za polne kamienie! — wołał tłuszcioch ubrany w brokaty.

— Na Brooma Wielookiego, czemuż szprzedaż płócien prowadzi niewidomy. Płacę mu skarabami za piędź szmaty! Uczynku pobożnego dokonuję! Pochylam się nad jego nieszczęszczem!

— O, czemuż takich barbarzyńców wpuszcza się do miasta i pozwala się, by uczciwym ludziom czas zabierali! Niewyprawione skóry tobie nosić, a nie w królewskie płótno się odziewać! — tłuszcioch to wznosił ręce do nieba, to szarpał się za przeredzone włosy. — No dobra, ile masz tych srebrnych agatów?

— Agaty mu szlipia drażnią! Trzy twe czóry przesz lat trzy nie zarobiłyby na najmniejszy mój agat, ale niech tam, dam ci te dwa za trzy łokcze tej szmaty, bom przyobieczał bogom biednych wspomagać.

— Weź te półtora łokcia za trzy twe brudne kamienie i odejdz szybko, bo inni też by chcieli, bym nad ich nędzą się ulitował.

A już po chwili jeden ścisnął w rękę mały srebrzysty kamyk, drugi zaś z miną spryciarza dzierzył pod pachą zwinięty łokieć farbowanego płótna.

Dzisiaj Sendilkelm nie wiedział, czy bardziej go to wszystko śmieszy, czy też brzydzi. Zatem to właśnie dla takich ludzi wyszczerbiał na czaszkach wrogów swój miecz, to za nich ginęli szlachetni rycerze i zawodowi żołnierze?

Zaprząając sobie głowę takimi myślami, ponury snuł się po targowisku. Przestał zwracać uwagę na mijane stragany, wystrojone kobiety i nieustające wrzaski. Odgłosy ulicy zlały się w jeden nieprzyjemny szum. Przekupnie rozstępowali się przed coraz szybszym chrzęstem okuć jego butów. Nie odpowiedział na kilka pozdrowień i jedno „witaj panie”. Narastała w nim nieodparta potrzeba uderzenia kogoś lub chociażby potwornego, zagłuszającego wszystko krzyku. Noc była ciepła, liczne pochodnie i lampiony sprawiły, że było widno jak w dzień, on jednak miał wrażenie, że świat nagle pociemniał i oblał się chłodem.

Zatrzymał się dopiero przy murze miejskim, w miejscu, gdzie handlowano bronią. Łatwo było je rozpoznać po zupełnym braku kobiet, a także szczególnym nagromadzeniu próbujących groźnie wyglądać mężczyzn i ciekawskich chłopców. Powietrze zbiło się tu w gęsty, potwornie śmierdzą-

cy smar. Sendilkelm spojrział na pogniecione i porozrywane szczątki zbroi. Nawet nie próbowano oczyścić ich z brudu i zakrzepłej krwi. Na tej hałdzie żelastwa, pod miejskim murem, spotykali się świadkowie wielu bitew, niezliczonych pojedynków i zasadzek. Połamane miecze ze znamienitych kuźni leżały wśród dziurawych napierśników i prymitywnych kamiennych toporów. Rzędy pogniecionych hełmów przywodziły na myśl dziesiątki zmasakrowanych głów i podciętych gardeł. Były tu zbroje na przeciętną miarę ludzką, dziwne w kształcie pancerze górskich ludzi, podobne do wielkich rozdeptanych owadów napierśniki wykonane przez Lentili, a wreszcie niepowtarzalne fragmenty zbroi z zasuszonymi strzępami swych właścicieli wewnątrz. Większość tego żelastwa zwozili na wozach chłopci, pilnowani przez rządców swych baronów i poborców podatkowych. Właśnie wieśniacy ograbiali leżące na polach bitewnych zwłoki jako pierwsi, nie licząc się w ogóle z pochodzeniem, zasługami, herbami czy narodowością zmarłych. Mówiło się, że również wielu zupełnie żywych, lecz samotnych rycerzy pada ofiarą chciwych łap chłopskich. Dla byle kawałka zbroi zabijali nieszczęśników haniebnie, a najczęściej oślepiali i przykuwali do młyńskich kamieni.

W wielkim królestwie takie sprawy były prawie nie do wyśledzenia. Oddalone od stolicy baronie nie były skrupulatnie sprawdzane przez królewskich śledczych, zwłaszcza wtedy, gdy o czasie regulowano podatki. Baronowie, choć wierni królowi, tworzyli lokalne prawa, a królewskich urzędników zbywali zdawkowymi sprawozdaniami. Monarchia zaś, po wiekach prób umocnienia swej absolut-

nej władzy, doszła do wniosku, że częściowa autonomia baronii jest w zasadzie jedyną możliwością utrzymania jedności królestwa. Baronowie wspierali wiernie politykę zagraniczną Atrim, w zamian za co król nie ingerował w drobne, lokalne wojny podjazdowe i potyczki. Z tych właśnie powodów Sendilkelm, mimo iż jego imię znane było w całym królestwie, do odległych baronii zawsze udawał się w towarzystwie kilku setek doborowych żołnierzy.

Sendilkelm od dobrych paru chwil obserwował dwóch młodych mężczyzn, którzy usilnie próbowali skompletować broje z niepasujących do siebie pogiętych kawałków blachy. Jeden miał już na sobie podartą kolczugę, nagolennik i napierśnik z wielką dziurą po bełcie z kuszy. Skakał po chrześzczących blachach i przeklinając grzebał wśród nich ułamaną kopią. Drugi z tryumfalnym okrzykiem wznosił nad głowę zardzewiały, wyszczerbiony miecz.

— Dowoj mi go! — wrzasnął pierwszy.

— Ni dom! Sam se go weź, jakeś taki mundry! — odrzyknął drugi i uniósł oburącz miecz nad głowę.

— Dowoj, mówię, starszym jest od ciebie! To mnie ociec no służbo wysyłowom!

— Jak do dom z takim pięknym mieczem wrócę, zobaczymy, kto na służba puńdzie! Ty, Gnich, za powolny jesteś. Ja młodszym to i sprytniejszym.

— Ojcu nieposłuszny jesteś i bratu starszemu? Zara ci posłuszeństwo do łba tą kopiom wbijem!

Rzucili się na siebie i na oślep zaczęli zadawać ciosy. Ludzie od razu wyczuli grubszą drakę i okazję do robienia zakładów. Gruby chłop już biegał pomiędzy gapiami z czapką i namawiał do obstawiania. Po kilku nieudanych zasłonach Gnich potknął się i runął głową w dół usypiska, wywołując wśród tłumu okrzyk uciechy. Młodszy brat zamierzył się do ostatecznego ciosu, lecz naraz znieruchomiał, czując na czole zimne ukłucie ostrza. Pośrodku wydarzenia stał Sendikelm, a jego nagi miecz lśnił krwiście w świetle pochodni. Patrzył na rozdziawione usta braci wzrokiem mroźnym jak zima w Timajach.

— Nie zabijajcież, nie!... — wybełkotał Gnich, wycierając dłonią zakrwawiony nos.

— Zabiję, jeśli jeszcze raz was tu zobaczę. Do domu, kmiecie! — wysyczał przez zęby Sendikelm.

Z trudem przecisnęli się przez wianuszek gapiów i znikli. Ludzie, zniecierpliwieni brakiem krwawego finału, dzięki spojrzeniu, jakie posłał im Sendikelm, zrozumieli nagle, że mają bardzo pilne sprawy do załatwienia na drugim końcu targu. Gruby chłop z czapką pełną drobnych zapadł się pod ziemię.

Tymczasem zajechał skrzypiący chłopski wóz, z którego zeskoczył nadzorca w czarnym płaszczu. Natychmiast poczłapał do niego, kołysząc swą potężną tuszą, poborca podatkowy i zaczęli dobijać targu. Wśród leżącego na wozie pordzewiałego złomu wyróżniał się, zawinięty w szmaty,

podłużny kształt. W świetle rzucanym przez pochodnie zdawało się, że w szmaty wplecione są złote i srebrne nici, a cały wóz otacza delikatna poświata. Sendilkelm zbliżył się kilka kroków, zmrużył oczy i rozejrzał dookoła. Miał wrażenie, że nikt inny nie zauważył poświaty. Brudni pomocnicy właściciela targowiska zwalali na ziemię ubłocone blachy lub podawali sobie ostrożnie połamane miecze i dzidy. Wszyscy zachowywali się jak zazwyczaj.

— Chcę to zobaczyć — Sendilkelm wskazał na skryty pod szmatami kształt.

— A zobaczcie, panie rycerzu, zobaczcie. Ino nie wim, co to je... — woźnica wyszczerzył w szerokim uśmiechu swoje dwa zęby. Ukradkiem zerkał na nadzorcę, targującego się z poborcą po drugiej stronie wozu.

Sendilkelm ostrożnie rozwiązał sznurek i odwinął róg materiału. W środku leżała bojowa rękawica połączona plecionym, stalowym przegubem z ochraniaczem przedramienia i łokcia. Z jej palców wyrastało pięć stalowych węży, zaplecionych w ogromny węzeł. Ten, kto władał tą dziwną rękawicą, musiał mieć dłoń dwukrotnie większą od dłoni Sendilkelma. Rycerzowi mignął w głowie obraz olbrzyma uzbrojonego w dziesięć stalowych batów. Tak, przedmiot ów zapewne był kiedyś groźną bronią, o ile jego właściciel miał równie stalowe mięśnie ramion. I z pewnością był magiczny.

Rycerz upewnił się raz jeszcze, że srebrzysta poświata nie robi na innych wrażenia. Szarpnął błyszczący węzeł. Bezskutecznie. Jął oglądać rękawicę ze wszystkich stron. O dziwo, w kontraście do mocno sfatygowanej powierzchni, wewnątrz, zarówno rękawicy, jak i ochraniacza było gładkie i błyszczące. Gdzieś tam mieniły się wyraźne runy, lecz żaden nie przypominał popularnych zaklęć wypisywanych na orężu. Broń okazała się zaskakująco lekka. Sendilkelm zdjął swoją skórzaną rękawicę i dotknął porysowanej blachy ochraniacza. Ciepły metal lepił się od brudu i jakiegoś śluzu.

— Ile za to chcesz? — Sendilkelm badawczo spojrzął na woźnicę, ciekaw, czy ten nadal nie widzi poświaty otaczającej przedmiot.

— Dajcie, panie, dziesięć czerwonych okrągłych. . . eee. . . to znaczy, trzy, trzy, panie, trzy srebrne w zupełności wystarczą — woźnica wyraźnie stracił chęć do negocjacji na widok twarzy rycerza. Jeszcze raz zerknął na wrzeszczących już teraz poborcę i nadzorcę, i szepnął:

— Powiedzcie, panie, chociaż, com sprzedał, bo mi stara flaki wypruje z babskiej ciekawości.

— Bardziej chłopska to ciekawość niż babska. Uważaj, byś przez nią licha nie zbudził — krzyknął przez ramię Sendilkelm, po czym zawiązał rękawicę w szmaty i ruszył w kierunku zamku.

Poświata jakby powoli gasła. Przez chwilę wyobraził sobie wielkiego Karcena, jak, marszcząc brwi i wydymając policzki, bada tajemniczy przedmiot. Był z jakiegoś powodu pewien, że mag będzie nie mniej niż on zadziwiony. Nie, jednak nie pokaże rękawicy Karcenowi. Nie po tym, jak

nadwerężył jego zaufanie! Najpierw sam dokładnie ją zbada i może uda mu się rozwiązać ten wielki, stalowy węzeł. Przyspieszył kroku, by móc jak najszybciej przystąpić do oględzin. Przypomniał sobie o wielkim almanachu przysłów i zaklęć, który kupił wieki temu w wiosce karłów. „Zaraz, zaraz, gdzie to było, w Mnog Oz czy może w baronii Stellkerem?”

Zły nastrój sprzed kilku obrotów zniknął niczym zamek z piasku. Sendilkelm prawie biegiem mijał pełne przekupniów alejki. Znow nie odpowiedział na kilka „witaj panie” i jedno „siemasz Sendil”, zbyt pochłonięty myślami o węzłach, obcęгах i kuźniach. Nie zauważył również, że śle-  
dziły go, zupełnie niezależnie od siebie, dwie pary oczu: jedna bardzo zielonych, a druga skośnych, z pionowymi źrenicami.



## 2

### Mekch

*Jakąż niezmierną naiwność mają w sobie serca ludzi, skoro magowie wciąż żyją i swą marną sztuką kupczą na targowiskach świata tego. Uczepieni swych bezwartościowych formuł, krążący wokół królewskich stosów złota, pozostają ślepi na wielkość jedynej sztuki, którą można wynieść ponad przeciętność — mekchanikchi! Ich cuda to jeno iluzje, ich przepowiednie to jeno pijackie brednie, ich konwent to przybytek kłamstwa i przesądów. Podobni kapłanom, wiedząc, że nijak ich słów nikt sprawdzić nie może, mieszają swymi niecnymi, chciwymi myślami jednako w umysłach władców i ludzi prostych. Trudno ocenić, czy tylko wstyd to wielki dla ludzkości, czy też zasłużona kara za wyparcie się rozumu i nadziei na istnienie wymiarów innych, mogących naprawić rzeczywistość.*

(z pamiętnika Mekcha)

Sendilkelm z hukiem zatrzasnął drzwi swej wieży. W obszernym holu, zajmującym cały parter, powitały go wyszorowane na połysk posadzki i purpurowe kwiaty w wazonach. Najwyraźniej jego pokojówka, Agni, wygrała kolejną bitwę z kubłami pełnymi śmieci, brudną bielizną i niedojedzoną kolacją.

Położył rękawicę na błyszczącym stole i jeszcze raz obejrzał wnikliwie wszystkie runy.

— Hm, gdzież jest ten papier? Ta dziewczyna zawsze musi wszystko gdzieś poupychać... — mruzczał, przeszukując szuflady i szkatuły. — O, jest! Przynajmniej nie kradnie.

Tak naprawdę wielki wojownik Sendilkelm dotychczas nigdy nie odważył się zwrócić uwagi pięknej Agni. Może dlatego, że była taka młoda, a może po prostu nie mógł groźnie spojrzeć w te jej zielone, wilgotne oczy... Przede wszystkim jednak, chociaż pracowała u niego już od dwóch lat, nigdy nie dała mu powodów do narzekań. Nic dziwnego, w końcu to stary Karcen się o nią wystarał. Pewnie powiedział dziewczynie, że w chwili najmniejszego nieposłuszeństwa zamieni ją w cuchnące paskudztwo. Gotowała więc, sprzątała, naprawiała i prała ubrania, a poza tym robiła Sendilkelmowi niespodzianki, jak dzisiejsze kwiaty lub miły zapach perfum w komnatach. Z początku nie zauważał tych drobiazgów, potem jednak ze zdziwieniem stwierdził, że sprawiają mu one wielką przyjemność.

Przykręcił knoty w lampach, by sprawdzić, czy rękawica nadal roztacza swą poświatę. Wyglądała jednak jak najzwyczajniejsze w świecie żelastwo. Mimo wszystko był pewien, że na bazarze wzrok go nie mylił. Jak to możliwe, że nikt oprócz niego nie zauważył tego przeświecającego przez materiał blasku?

Gdy podniósł rękawicę, by przyjrzeć się jej z bliska, ze zdziwieniem spostrzegł na stole oleistą plamę. Ze środka stalowej łąpy wyciekała cuchnąca, brązowa posoka. Natychmiast wyobraził sobie odcięte palce jakiejś istoty wciąż gnijące w jej wnętrzu, więc pognął do umywalni i wrzucił rękawicę do kotła z przygotowaną przez Agni gorącą kąpielą. Po chwili w wodzie pojawiły się drobne kostki i opadły na dno. Wyłowił je chochlą i osuszył na śnieżnobiałym ręczniku. Pierwszy raz w życiu widział tak dziwne kości. Drobne i powykręcane, zbudowane z zielonej koronki, misternie utkanej w drobne kwiaty i liście. Wsywał kostki do szklanego słoja i zabrał się do czyszczenia rękawicy.

Kiedy po jakimś czasie wrócił do głównego holu, ujrzał w swym dębowym stole, w miejscu, gdzie wcześniej leżała rękawica, dymiącą dziurę. Pogapił się na nią w bezruchu, po czym rozejrzał się i spokojnie położył swą zdobycz na kamiennej posadzce. Następnie zastanowił się po raz kolejny, czy aby nie powinien poszukać Karcena. Nie to, żeby obawiał się magii jakiegoś z pewnością martwego już stworzenia. Chciałby po prostu uzyskać jasne wytłumaczenie całej tej sprawy. No tak,

ale stary Karcen musiałby mu wyjaśnić kilka innych spraw, na przykład co działo się przez ostatnie dwa dziesięciodni...

Sendikelm zamknął rękawicę w żeliwnej skrzyni i powlókł się po skrzypiących schodach do sypialni.

\* \* \*

Rozgniewany Bóg snów przywitał go niechętnie, wsączając w jego umysł obrazy wrzeszczącej Anielicy Śmierci, wybuchającego głupim śmiechem Karcena i grającego w kręgle ludzkimi czaszkami króla. Dręczył go zgrzytami i szelestem opadających na twarz zielonych koronek. Nic dziwnego, że rycerz gwałtownie zrezygnował z jego usług i spadł z łóżka.

Świt, pokonując okiennice, bladymi palcami badał komnatę. Sendikelm otworzył okno i wciągnął do trzewi zimną mgłę. Rankiem nie czuło się w niej smaku miasta, za to, dzięki południowym wiatrom, trafiały się pyszne strużki powietrza znad gór.

Rycerz zszedł do jadalni i zaparzył sobie korzenie gwiazdownika. Lubił ciszę tej pory dnia. Zazwyczaj, wymościwszy sobie dołek w fotelu, zatapiał się w lekturze którejś z ulubionych ksiąg. Szczególnie wysoko cenił pamiętniki wielkich wodzów królewskich i opisy odległych krain.

Legendarny wódz Kenken wojował na całym świecie przez ponad wiek. Na starość podyktował (z powodu braku obu dłoni) pięćdziesiąt pięć tomów pamiętników. Sendilkelm marzył o ich skompletowaniu. Na razie miał ostatnie dwadzieścia trzy tomy, które przeczytał niezliczoną ilość razy. Wiedział jednak, że najciekawsze muszą być te pierwsze, opisujące tworzenie się państw i walkę z wymarłymi już rasami ludzi, o których dalsze części tylko niejasno wspominały. W młodości zazdrościł Kenkenowi sławy i przygód, teraz, po kilkunastu wojnach, dostrzegał pewne uroki pokojowej nudy.

Przypomnił sobie właśnie, że w ostatnim tomie wielki wódz opisuje wszystkie znane mu rodzaje broni. Przyniósł do biblioteki tajemniczą rękawicę i ściągnął z półki opasłą księgę w ciężkich okuciach. Bojowym rękawicom poświęconych było sto piętnaście stron drobnego pisma, setki rysunków i opisów walki. Były tu rękawice z ukrytymi ostrzami, zatrutymi strzałkami i hakami, ale żadna nawet odrobinę nie przypominała pięciu splecionych ze sobą stalowych węży.

Kufel naparu z gwiazdownika dawno już ostygł, a Sendilkelm nadal wertował karty księgi. Naraz usłyszał przeraźliwe skrzypnięcie schodów. Rozejrzał się za bronią, na chwilę zatrzymał wzrok na rękawicy, ostatecznie jednak zdjął ze ściennej kolekcji ozdobny sztylet. Na klatce schodowej rozległo się teraz urywane dyszenie. Sendilkelm stanął spokojnie za klapą wjazdu, tuż przy najwyż-

szym stopniu. Najpierw wyłonił się pognieciony kapelusz, a zaraz po nim czerwona z wysiłku twarz Karcena.

— Sen... Sendilo... a niech to lichy... Sendil, jesteś tu?! — wydyszał mag.

— Witaj, potężny Karcenie! — wrzasnął mu do ucha Sendilkelm.

— Aaa!... — mag w ostatniej chwili zdołał się złapać nogi Sendilkelma. — Witaj, witaj. Tu jesteś. Wszędzie cię szukam — wylaź wreszcie z włazu i rozejrzył się w poszukiwaniu krzesła.

— Ależ wystarczyło zapukać, o dostojny.

— Wybacz, Sendilokenie, przychodzę ze sprawą wielkiej wagi i... eee... zamyśliłem się i przeszedłem przez ścianę do twojej jadalni.

— Już od dawna mam wrażenie, że wszystkie te wasze sztuczki służą tylko okradaniu biednych ludzi i podglądaniu pokojówek w kąpielni.

— Nie dworuj sobie ze mnie. Czasami, rozumiesz, gdy opanuje mnie zbyt głęboka myśl, zdarza mi się wejść do kogoś bez pukania... — po chwili, wielce obrażony, dodał: — Chyba zaproszę cię na którąś z inicjacji, w ten sposób najlepiej nauczysz się dobrych manier, przyjacielu. Usiądźmy wygodnie — głośno posapując, wcisnął się w fotel. — O, ciekawa lektura. A to co takiego? — wyciągnął rękę w kierunku rękawicy.

— Nic takiego — Sendikelm był szybszy. Chwycił magiczny przedmiot i wrzucił go do pudła między rolki map.

— Król zwołuje dzisiaj radę — Karcen na szczęście stracił zainteresowanie skarbem Sendikelma, był zbyt pochłonięty swoimi myślami i, jak zwykle w takich sytuacjach, międlil palcami wąsy. — Eee... w pałacu dzieją się ostatnio niezwykle rzeczy...

— Wiem coś o tym. Moim zdaniem działają tu jacyś niedouczeni magicy — przerwał mu Sendikelm.

— Potem ci wyjaśnię twój przypadek, mój drogi, teraz przejdźmy do spraw wyższej wagi...

— Jak dla mnie, to dwudziestodniowa dematerializacja wodza sił królewskich jest sprawą najwyższej wagi. Oznacza celowe osłabienie obronności królestwa, a ty, Karcenie, ponosisz za to odpowiedzialność — Sendikelm podniósł głos o ton, ale na Karcenie chyba nie zrobiło to żadnego wrażenia.

— Mój drogi, to był przypadek, zresztą, działaliśmy na polecenie króla i zapewniliśmy ci maksymalną ochronę w czasie turnieju. Powinieneś być mi wdzięczny, Sendil, tylko dzięki temu, że zaryzykowałem dla ciebie życie, jesteś tu z powrotem. A swoją drogą, co ci się tam tak spodobało, że nie chciałeś wrócić?

— Ty zaryzykowałeś życie?! Zrozum, przez ciebie będę miał po śmierci kłopoty! Śmierć dostała szału na mój widok i poprzysięgła zemstę. I co na to powiesz, mój wielki mistrzu magii? — Sendilkelm uśmiechnął się wrednie do Karcena.

— Eee... myślałem, że umiesz postępować z damami — odparł spokojnie mag i przystąpił do żmudnego rytuału zażywania tabaki.

— Gdyby nie to, że chyba, niestety, będę potrzebował twojej pomocy, z przyjemnością nafaszerowałbym cię kilkoma strzałami.

— Nie byłby to wielki wyczyn, mój drogi, w tak wielki brzuch nawet ślepy by trafił... — tu kichnął potężnie. — Tośmy sobie pogadali, a teraz słuchaj — Karcen teatralnie zawiesił głos. — Szykuje się zamach na króla!

— Nic dziwnego, przecież nie było mnie dwa dziesięć dni...

— Nie pora na kłótnie, Sendil — mag usuwał chusteczką ze stronic rozłożonej książki ślady po kichnięciu. — Mówię poważnie. Ktoś podał narkotyk królewskiemu rumakowi, a ten o mało nie stratował władcy. Nawet jako ignorant w dziedzinie magii wiesz, że moje zaklęcia ochronne są nie do pokonania.

— Co na to wasz konwent?



— Nikt o tym nie wie. Tylko ty jesteś wolny od podejrzeń, no i oczywiście ja, chociaż wygląda na to, że Rarattrin nie jest ostatnio tego pewien. . .

— A zatem we dwóch rozpoczynamy śledztwo? Ha, pewnie, jesteśmy tak mało znani, że nikt nie zauważy naszego węszenia — Sendilkelm usiadł na taborecie i spojrzał przeciągle na starego maga. Znał go od zawsze, lecz choć razem przeżyli wiele lat wojen i pokoju, nie potrafił nazwać go przyjacielem. Jednego dnia Karcen pomagał mu niczym najwierniejszy druh, a następnego stawał się niedostępnym mistrzem magii i czarii, dalekim od problemów jego świata. — No dobrze, Karcenie, widzę, że już załęgły ci się w głowie tuziny teorii. Mów, bo inaczej zamienią się w myszy i uciekną przez uszy! Od czego zaczynamy?

— Ostatniej nocy, gdy ty z pewnością hulaleś po tawernach, ja, sobie tylko znanymi sposobami, zbadałem cały zamek i wszystkich w nim obecnych. Nie znalazłem niczego podejrzanego, no, może z wyjątkiem kilku zupełnie zaskakujących romansów — Karcen z uśmiechem usypał kolejny kocyk tabaki na wierzchu dłoni.

— Wiedziałem, że magia prowadzi do różnych wykolejeń, ale obawiam się, że czaria do czegoś znacznie gorszego — parsknął śmiechem Sendilkelm. — Taaak, ale jaką rolę przewidziałeś dla mnie w związku z tym szalejącym rumakiem, skoro sam. . .

— Odwiedzisz swego przyjaciela Mekcha — przerwał mu mag i znowu kichnął potężnie, na szczęście w kierunku okna.

— Podejrzewasz Mekcha? — roześmiał się Sendilkelm. — Przecież on nie ma pojęcia o magii, sam mi mówiłeś, że za jego sztukę nie dałbyś złamanego miedziaka.

— My, mistrzowie magii, pogardzamy tanimi sztuczkami w rodzaju, jak jej tam, mekchanikchi. Jak wiesz, te jego. . . mekchanismos — Karcen wykrzywił się coraz bardziej i coraz wyżej wznosił dłonie — nie mają nic wspólnego z magią. . . ani czarią, rzecz jasna, gdyż ten nieszczęśnik nawet nie wie o ich istnieniu! Oczywiście mógłbym spalić tę jego norę w mgnieniu oka, nawet nie ruszając się z tego pokoju, ale, niestety, nie mam wystarczających dowodów. Natomiast podejrzewać mogę, że skoro zamachem na króla nie kieruje żaden adept magii, to zamach ów zostanie przeprowadzony za pomocą innych środków, na przykład demonicznych mekchanismos. Wiesz, co mam na myśli — Karcen wyduł wargi jak zawsze po dłuższym przemówieniu, którego sensu do końca nie był pewien.

— Żadne demoniczne mekchanismos nie istnieją — Sendilkelm zaśmiał się głośno. — Mekch robi głównie zabawki dla dzieci i ulepsza chłopskie wozy. Przyznaję, czasem mówi od rzeczy o jakichś prondos i attomos, ale to po prostu zdziwaczały starzec. Z pewnością tak wielki mistrz magii jak ty nie powinien obawiać się jego jarmarcznych sztuczek — klepnął Karcena w plecy, aż zadudniło.

— Obawiam się, że konwent popełnił poważny błąd, ignorując takich ludzi, jak Mekch. Tymi zabawkami dla dzieci dworzan i siostrzenicy króla zdołał wkraść się w łaski dworu, nikt jednak nie wie, co sklecił z tych swoich drutów i śrubek w tajemnicy przed światem. Może to broń tak mała, że można ją schować między palcami, może. . .

— Mekch nie wytwarza broni — zmęczonym głosem odparł Sendilkelm. — On nawet nie potrafi strzelać z łuku. A poza tym, obchodzą go tylko własne, nieszkodliwe teorie. Ma gdzieś wszelkie bogactwa. Sam wiesz, jak mieszka. Chodzi w łachmanach, a zielone złoto widział tylko raz, wtedy, gdy chwaliłeś mu się swymi pierścieniami! Ma tak samo mało powodów, by obalać króla, jak ty czy ja.

— Nie chwaliłem się, tylko z litości uległem jego prośbom i pokazałem godne naśladowania wzory biżuterii. Sendil, przyjacielu, nie masz może trochę tabaki? — mag gmerał pulchnymi palcami w zawieszonym na szyi woreczku.

— To nie potrafisz stworzyć wiecznie pełnej tabakierki, mistrzu? — wymruczał Sendilkelm i zajrzał do szuflady pod stołem.

— Próbowałem, wierz mi, nawet wiele razy, ale to nie to samo. Żeby zmaterializować konkretny przedmiot z czystej energii magicznej, musisz wszystko o nim wiedzieć. Jeśli miałyby to być, dajmy na to, zamorska, purpurowa tabaka, musiałbym wiedzieć, jak wygląda jej nasionko, jak się ją hoduje

i suszy. Cech tabakmistrzów nigdy i nikomu, a zwłaszcza magowi, nie zdradza swoich zawodowych tajemnic. Domyślając się więc jedynie tego wszystkiego, materializowałem tabakopodobny proszek, ale, wierz mi, zamorski aromat jest nie do podrobienia.

— Więc zamiast wysilać mózgowicę, po prostu kupujesz tabakę na targu. . .

— Widzę, mój chłopcze, że pojąłeś podstawową prawdę o magii i wiesz, że nie należy używać jej tam, gdzie to nie ma sensu. Byłby z ciebie dobry adept, ale jesteś już za stary na podjęcie nauki. . . I nie martw się, pomogę ci w konsumpcji tych pysznych placków, które Agni przygotowała na śniadanie.

— To obrzydliwe, najpierw myszkowałeś w mojej kuchni, a teraz. . . — obruszył się Sendilkelm.

— To nie tak, Sendil — skrzywił się mag. — Spotkałem Agni po drodze i zapytałem grzecznie, co zrobiła ci na śniadanie. Jak widzisz, nie wszystkie informacje zdobywam za pomocą swej sztuki — Karcen z trudem dźwignął się z fotela i, otrzepując z szaty resztki tabaki, ruszył ku schodom. — Zatem chodźmy do kuchni. Powiem ci, jak rozmawiać z Mekchem. Dam ci także do zastosowania na twoim przyjacielu czar prawdomówności, tak na wszelki wypadek. Aha, byłbym zapomniał, weź ze sobą tę tajemniczą rękawicę. Rozwiązywanie zagadek zwiększa mi apetyt.

— Jak można zwiększyć coś, co już jest nieskończenie wielkie — westchnął Sendilkelm.

— O, to bardzo ciekawe zagadnienie, ale odpowiedź może być tylko czariowego rodzaju.

\* \* \*

— Zatem, jak widzisz, moje zaklęcie prawdomówności jest wyjątkowo skuteczne i proste w użyciu — Karcen przyklejał do tłustych palców leżące na talerzu okruszki i zlizywał je z głośnym młaskaniem. — Wystarczy, że poczęstujesz naszego przyjaciela tym plackiem, a odsłoni przed tobą wszystkie swoje tajemnice. Wierz mi, wszystkie, nawet te, które od lat skrywał przed żoną, che, che... — wyraźnie z siebie zadowolony, zatarł ręce.

— Gorzej, jeśli sam będę musiał zjeść z nim ten placek. Mekch jest bardzo dobrze wychowanym staruszkiem i zawsze dzieli się z gośćmi posiłkiem, nawet tak dobrym, jak placki naszej drogiej Agni — odparł Sendilkelm.

— Eee... racja, racja — wymruczał mag i pochylił się nad talerzem. Pstryknął niedbale i popukał placek małym palcem. — No, gotowe. Widzisz, prawdziwą magię zawsze można ulepszyć. Teraz ten, kto spróbuje placka, będzie mówił prawdę tylko wówczas, gdy od razu powie więcej niż siedem słów — Karcen podniósł palec i zmrużył oko. — Wiedz również, że można uchylić działanie każdego zaklęcia, znając słowo-skarb, które nim rządzi. W tym przypadku będziesz mógł zjeść cały placek, kłamiąc na okrągło, jeśli każde wypowiedziane zdanie zaczniesz od... a więc.

— To chyba niezbyt praktyczne, wielu ludzi zaczyna zdanie w ten sposób — skrzywił się Sendilkelm i nalał naparu z gwiazdownika do opróżnionych kubków.

— Będziesz musiał po prostu uważnie słuchać zarówno jego, jak i siebie samego — mag namurzył się i wydał policzki. — Oczywiście, mógłbym ci dać bardziej wyszukany czar, ale musiałbym mieć więcej energii niż po tym skromnym śniadaniu.

— Oczywiście — westchnął Sendilkelm.

— I tak nie doceniłbyś należycie mych wysiłków, bo jak wszyscy ignoranci, nie zdajesz sobie sprawy z istoty magii, że o czarii nie wspomnę. . .

— Oczywiście — ponownie westchnął Sendilkelm. Wiedział, że lepiej przytakiwać Karcenowi, niż narażać się na kolejny wykład o wyższości magii nad wszelkimi sztukami.

— No, cieszę się, że jesteś mi wdzięczny. Spotkajmy się u ciebie na wieczery, powiedzmy, na jeden obrót przed północą — mag uśmiechnął się szeroko. - Do tego czasu ty dowiesz się wszystkiego o tajemnych poczynaniach naszego mekchanikcha, a ja zbadam ten dziwny przedmiot. — Karcen obrzucił pożądanym spojrzeniem leżącą na krześle obok Sendilkelma rękawicę. — Skąd to masz i dlaczego wcześniej mi tego nie pokazałeś? — zrobił wielce obrażoną minę.

— Kupiłem wczoraj od chłopca na targowisku. Nie miał najmniejszego pojęcia, co sprzedaje.

— Dlaczego zawsze magiczne przedmioty wpadają w ręce niczego nieświadomych prostaczków? — Karcen wznosił oczy i dłonie ku niebu.

Sendilkelm z trudem stłumił w sobie chęć opowiedzenia o cudownym blasku rękawicy i o zamkniętych w słoju zielonych kosteczkach. Spojrzał na Karcena. Tak, poczeka, aż ten przemądrzały grubas sam coś wymyśli. Nie, zdecydowanie nie powinien ujawniać mu wszystkich szczegółów.

— To bez wątpienia coś magicznego — powiedział cicho i delikatnie położył rękawicę na stole.

— Eee... bez wątpienia, bez wątpienia... — mrucał Karcen, dotykając wskazującym palcem rękawicy. — Eee... no... eee... jakby to powiedzieć, nie mam pojęcia, co to za runy. To znaczy, wydają mi się znajome, oczywiście, ale uczyłem się tego dialektu wieki temu — mamrotał, oglądając stalowy przedmiot ze wszystkich stron. — O, ten tutaj! — krzyknął raptownie — coś mi ten znak przypomina. Pozwól, że przeszukam swoją bibliotekę.

Karcen oparł łokcie na stole, wetknął kciuki w uszy, a wskazującymi palcami przycisnął zamknięte powieki. Resztą palców zatkał nos i przycisnął górną wargę do dolnej. Uchylając lekko palce, wziął potężny wdech i wstrzymał powietrze. Trwał w tej pozycji kolejne długie chwile, aż Sendilkelm zmuszony był zachwycić się pojemnością jego płuc.

Kiedyś Karcen zdradził mu, że ma coraz większe kłopoty z zapamiętaniem wszystkich języków, znaków i zaklęć magicznych. Aby nie dreptać ciągle do swej monsturalnej biblioteki, postanowił umieścić ją w swym umyśle. Sendilkelm nie pojmował, jakim cudem w celu wspomżenia słabej pamięci można zapamiętać treść tysięcy tomów. Karcen zaś twierdził, że to nic szczególnego, wy-

starczy wziąć wdech i przejść się po swym umyśle, znaleźć drzwi do biblioteki, następnie odnaleźć właściwy tom i zapisać odpowiednie informacje na jakiejś nieważnej myśli, jak na kartce. Oczywiście, jedynym problemem jest znalezienie właściwych drzwi. W przeciwnym wypadku można spotkać coś lub kogoś, kogo nigdy, za żadne skarby świata, nie chciałoby się spotkać. Karcen poświęcił wiele obrotów na wytłumaczenie Sendilkelmowi, jak zbudować w umyśle labirynt wystarczający do pomieszczenia pożądanej liczby drzwi. Należy podkreślić, że wykłady wielkiego maga były niezrozumiałe dla wszystkich, z wyjątkiem adeptów po dziesiątej inicjacji.

Karcen gwałtownie wypuścił zużyte powietrze i szeroko otworzył oczy.

— A niech to czeluści piekielne! Straszny kawał drogi. Mało się nie udusiłem. Wyobraź sobie, biblioteka znowu przesunęła się do południowego skrzydła!

— Wybacz, ale moja wyobraźnia właśnie odmówiła mi posłuszeństwa — mruknął Sendilkelm.

— Cóż, dlatego właśnie nikt nie jest w stanie docenić mej pracy. No, mniejsza z tym. Wiem, skąd pochodzą te runy. Z gór Timajów. Te same znaki pokrywają święte tablice Timajczyków — wyszeptał Karcen i zamilkł, choć widać było, że jeszcze nie skończył.

— No dalej, co z tymi Timajczykami?

— Ich tablice, wykonane z dziwnego metalu, przed wiekami spadły z nieba — kontynuował Karcen głosem cierpliwego nauczyciela. — Szybko stały się podstawą tamtejszej religii, chociaż



nikt nie wie, co oznaczają zapisane na nich runy. Nawet największym magom, którym mam zaszczyt przewodzić, nie udało się ich odszyfrować.

— To bez sensu, jak podstawą religii może być niezrozumiały dla nikogo tekst? Jestem pewien, że Timajczycy znają jego treść, tylko pilnie strzegą świętej tajemnicy.

— Na pewno nie znają, na dodatek to właśnie ta niewiedza stała się podwaliną ich religii. Tak naprawdę, nawet nie próbują odczytać tablic, gdyż wierzą, że to bogowie któregoś dnia zejną z nieba i ogłoszą prawdę. Dla Timajczyków próba odczytania choćby jednej tablicy jest świętokradztwem, więc trzymają je wszystkie w strzeżonej górskiej świątyni.

— Dziwna religia. I dość zawiła, jak na tak prymitywne plemię — Sendilkelm podrapał się po brodzie i sięgnął po rękawicę.

— A która religia nie jest dziwna i zawiła? — zarechotał Karcen. — Uwierz mi, gdyby magowie taką znaleźli, natychmiast by się na nią nawrócili. . . Timajczycy, jak sami twierdzą, od ponad pięciu tysięcy lat czekają na prawdę z nieba. Ich religia zabrania nie tylko odczytywania, lecz również kopiowania tablic, nie rozumiem zatem, w jaki sposób te runy znalazły się na twojej broni. . .

— W takim razie nie pojmuję, skąd wzięły się w twojej bibliotece? — krzywił się Sendilkelm.

— Kiedyś Timajczycy zaprosili mnie do swego miasta, abym wyleczył ich króla z narośli, która rozrastała się na jego twarzy i wówczas to miałem okazję widzieć przez chwilę tablice. Znajdują

się w takiej paskudnej świątyni, której przygnębiający nastrój potęguje jeszcze niemal zupełny brak okien w sklepieniu. Tylko w szczycie zrobili sobie jeden otworek. W ogóle całe to ich miasto jest zupełnie bez wyrazu, wykute w skale według jednolitego planu, okropnie symetryczne i zupełnie pozbawione klasy. Bardzo niemagiczne miejsce. . . Aha, jeżeli chcesz, mogę zdradzić ci sposób na szybkie zapamiętywanie zapisanych stron. . .

— Czy jest to sposób magiczny? — przerwał mu Sendilkelm.

— Oczywiście, a może być jakiś inny? — Karcen uniósł brwi do połowy czoła.

— Tego się właśnie obawiałem — westchnął rycerz. — Zatem wróćmy do sprawy, jeżeli na rękawicy rzeczywiście są święte znaki Timajczyków, to musi być ona przedmiotem ich kultu. Może stworzyli ją timajscy bogowie lub istoty, które oni uznali za bogów. Nie mamy pojęcia, skąd się tutaj wzięła, ja zaś, jako biegleszy od ciebie w tej materii, mogę jedynie ręczyć, że ponad wszelką wątpliwość jest to broń. Zapewne gdyby Timajczycy dowiedzieli się o jej istnieniu, natychmiast zapragnęliby ją posiadać, co za tym idzie, musieliby wprowadzić poprawkę do swej religii lub po prostu wbrew niej po raz pierwszy od wieków opuścić góry. Podsumowując, oni nie wiedzą o istnieniu rękawicy, my zaś wiemy, lecz nic ponadto. Chyba że oni jednak o niej wiedzą i od dawna jej poszukują, tylko my nie mamy, a przynajmniej nie mieliśmy o tym pojęcia.

— Sam bym tego lepiej nie ujął. Dobra, więc wiemy tylko tyle, że wiemy więcej od nich, a to już jest coś, chociaż... eee... tak... może się okazać, że prawda wygląda zupełnie inaczej. No cóż, tym bardziej musimy się tu spotkać na wieczery, zaraz po naradzie u Raratrina. Ty do tego czasu odwiedzisz podejrzanego, a ja odnajdę chłopca, od którego kupiłeś naszą zagadkę... a nasza piękna Agni przygotowuje coś smacznego

\* \* \*

Po krótkim namyśle Sendilkelm dosiadł ogiera o imieniu Szerszeń, nazwanego tak z racji regu-  
larnie pasiastego ubarwienia jego szyi i grzbietu. Jak wszystkie konie z zamkowej stajni rycerskiej, był doskonale wyszkolony i zadbany. Rycerz mógł oczywiście mieć własnego wierzchowca, lecz do królewskich łatwiej mu było zachować emocjonalny dystans. Wciąż nie mógł zapomnieć swego ukochanego Ganna, trafionego w bitwie pod Kilszeszenam czterema zatrutymi strzałami. W ciągu następnych kilku wojen musiał pożegnać Killa, Bąka, Sassi i Plasza. Nie byłby już w stanie pogodzić się ze śmiercią ani jednej ukochanej istoty, postanowił więc nie dopuścić do tak głębokiej przyjaźni, dosiadając tylko cudzych koni.

Szerszeń był dziś wyjątkowo niespokojny, gniewnie dreptał w miejscu i podrzucał głowę. Sendilkelm z trudem skłonił go do opuszczenia dziedzińca i skierował ku południowej bramie.

Wyjechał poza mury. Gościniec był pusty, gdyż kupcy zmierzający do Atrim wybierali bramę zachodnią, za którą znajdował się największy w królestwie targ. Brama południowa, zamykając ostrogę murów, otwierała się na mało uczęszczany szlak, wijący się cienką nitką pośród wrzosowisk i stojących samotnie drzew.

Koń po krótkim cwale uspokoił się i posłusznie skręcił w ledwo widoczną ścieżkę, prowadzącą do dębowego zagajnika. Czubki drzew otulał siwy dym z licznych kominów gospodarstwa Mekcha. Sendilkelm zsiadł z konia, uwiązał go do rozwalającego się parkanu okrągłego dziedzińca, po czym przecisnął się przez nisko sklepioną bramę.

— Hej, dzieci, jest dziadek?! — krzyknął w kierunku rozwrzeszczanej gromadki, bawiącej się pod dębem na środku zaśmieconego dziedzińca. Jedno z dzieci pobiegło do najbliższej chaty, reszta zaś na nowo podjęła szaloną gonitwę wokół drzewa.

Sendilkelm przyjrzał się niewielkim, przytulonym do parkanu chatom. Ściany z byle jakich desek i zapadnięte dachy świadczyły o przeminięciu okresu świetności domostwa Mekcha. Wszędzie wałały się resztki dziwnych konstrukcji: żelazne wiatraczki, drewniane szkielety podobne do ptasich skrzydeł, potężne koła zębate i stosy niczego nie przypominających śmieci, drutów, blach, śrub i skrzyń.

— Czego chcecie, panie?! — zawołał z okna łysy staruszek.

— Witaj, panie, chcę rozmawiać z dziadkiem, to znaczy, z Mekchem.

— Ja jestem dziadkiem tych dzieci, a Mekch, mój brat, pojechał o świcie do swej pracowni, panie. Ale jeśli chcecie coś u niego zamówić dla dziecka lub damy, od razu mogę powiedzieć, że nie przyjmujemy żadnych zleceń aż do dożyneków — podrapał się w głowę i posłał rycerzowi szeroki, bezzębny uśmiech.

— Gdzie ta pracownia? — Sendilkelm zaczął czuć do staruszka niechęć, zapewne z powodu nuty chochlikowego szyderstwa, którą wyczuwał w jego głosie.

— A kogo mam honor poznać, jeśli łaska? — staruszek uśmiechnął się jeszcze szerzej, choć początkowo wydawało się to niemożliwe.

— Sendilkelm!!! — rycerz dokładnie wykrzyczał każdą literę swego imienia.

— Nie musicie wrzeszczeć, panie. Zaraz sprawdzę w spisie... — schylił się i wyciągnął spod parapetu małą książeczkę. — Jak, panie, mówicie? Sal... sed... sen... O! Jest! Sendiloken, prawda? Mekch zapisał was, panie, w spisie przyjaciół, więc mogę wam pokazać drogę do pracowni — staruszek zarechotał tak zamasyście, że aż się zakrztusił.

Sendilkelm z kamienną twarzą wyjął mu z ręki książeczkę i ujrzał same puste, zatłuszczone kartki.

— Nic nie widzicie, panie, bo nie wiecie, jak patrzeć, panie. A do tej nory Mekcha traficie, panie, za trzy pacierze, trzeba iść ścieżką spod tamtej brzozy, panie, coście ją mijali po drodze — chichotał stary.

— Czemu... się... tak... śmiejesz?... — Sendilkelm dołożył wszelkich starań, by każde słowo padło jak ciężki głaz.

— A to, panie, dzieci tak człeka radują na stare lata — odparł radośnie, ignorując lingwistyczne starania rycerza.

Sendilkelm nic nie odpowiedział, nie mrugnął nawet, tylko ruszył w kierunku bramy. Dzieci gdzieś zniknęły, panowała zupełna cisza, nawet wiatr nie poruszał się wcale, jakby zamarł w oczekiwaniu na rozwój wydarzeń.

Nagle wyczuł gwałtowny ruch po drugiej stronie parkanu. Lewą ręką sięgnął za głowę i poluzował miecz w pochwie na plecach. Długim skokiem minął bramę, wpadając w środek gromadki dzieci niczym jastrząb między kury. Wszystkie w okamgnieniu i nie bez wrzasku zniknęły w pobliskich krzakach, zostawiając porozrzucane wszędzie kolorowe szmatki i drewniane naczynia z białą i niebieską farbą. Dopiero teraz zobaczył nerwowo rżącego Szerszenia. No tak, całe nogi, szyję i ogon pomalowane miał w dzikie, biało-niebieskie wzory. Popatrzył groźnie w kierunku krzaków, lecz w porę zdał sobie sprawę, że gonitwa po zaroślach, wrzaski i bezskuteczne straszenie bacho-

rów opisami czekających ich cierpień, odebrałyby mu resztki honoru. Zerwał garść trawy i wytarł niebieskie zacieki z siodła, starannie unikając wzroku Szerszenia.

\* \* \*

— Obiecuję ci kąpiel w rzece i długie szczotkowanie — mruknął Sendikelm, klepiąc Szerszenia po posklejanej farbą grzywie.

Mógł sobie pozwolić na dość uwłaczającą ludzkiej godności rozmowę z koniem, jechali bowiem właśnie przez brzozowy zagajnik i był pewny, że nikt ich nie podsłuchuje.

Wtem gwałtowny poryw wiatru zachwiał drzewami i zerwał płaszcz przytroczony do siodła. Szerszeń stanął dęba i zatańczył na dwóch nogach, rżąc przeraźliwie. Zaskoczony Sendikelm cudem tylko utrzymał się w siodle. Osadził konia i odwrócił w kierunku, z którego uderzył szkwał.

Między wirującymi w powietrzu liśćmi i urwanymi gałązkami zobaczył postać nieruchomo stojącego jeźdźca, która na tle jaskrawo świecącego słońca wydawała się być tylko cieniem. Sposób, w jaki czarny rycerz wyciągnął miecz z pochwy na plecach, podniósł klingę, a następnie ruszył w jego stronę, wydał mu się dziwnie znajomy. Zebrał myśli, ściągnął wodze i sam dobył miecza. W tym momencie gwałtowny huragan podniósł tumany piachu, liści i połamanych gałęzi. Sendikelm, choć nic nie widział, zdecydował się na atak. Dwie klingi zderzyły się ze zgrzytem i w tej samej chwili

li naszemu wojownikowi wydało się, że spojrzął w lustro. Cofnął konia o kilka kroków i już nie miał złudzeń. Stał przed nim on sam, Sendilkelm, a poniżej machał ogonem ten sam Szerszeń, którego miał pod siodłem. Zanim zdążył powiedzieć coś mądrego, wiatr zawył, po raz kolejny, lecz tym razem ostatni. Kiedy powietrze znieruchomiało i zapadła zupełna cisza, jeźdźca już nie było. Sendilkelm z uniesionym mieczem rozglądał się zdziwiony, a Szerszeń strzygł uszami i podrzucał niecierpliwie głową.

W nagłej jasności umysłu rycerz zrozumiał, że ktoś posłał za nim czar lustrzany. Ostatni raz przeżył coś takiego kilkadziesiąt lat temu, w czasie bitwy pod Wodospadami Karłów Leśnych. Porażony się wtedy dotkliwie i tylko dzięki interwencji Karcena zachował życie. Ten, kto teraz puścił za nim czar, albo był kiepskim autorem nietrwałych miraży albo chciał go tylko wystraszyć, świadomie zdradzając swoją obecność. Sendilkelmowi przypomniały się ostatnie podejrzenia Karcena. Jeśli rzeczywiście krąży gdzieś w pobliżu mag doskonalszy od niego, a w dodatku śmie ujawniać swą obecność, to nikt w Atrim nie jest już bezpieczny.

Sendilkelm wyciągnął spod kaftana swoje amulety ochronne, dwa czarne kamyki nawleczone na srebrny łańcuch, i popędził konia w kierunku pracowni Mekcha.



Z zagajnika wyjechał na pagórkowate wrzosowisko. Zza następnego wzniesienia sterczał w niebo krzywy kamienny komin i dwa stożki słomianych dachów. Prowadziła tam kręta, piaszczysta ścieżka.

— Aaa... pomóżcie... panie... — zaskrzypiał suchy głos w pobliskiej kępie dziurawca.

— To ty, Mekch? — zapytał rycerz, z niedowierzaniem patrząc na rozczochraną siwą głowę wśród zarośli.

— No ja, ja, pewnie, że ja, Sendil, tu przecież nikt inny nie mieszka — gderał staruszek, spluwając kwiatami dziurawca.

— Co tu robisz? — Sendilkelm zbliżył się niepewnie, prawą rękę trzymając tuż przy rękoejści sztyletu.

— Pomógłbyś lepiej... Właśnie testowałem mój wynalazek i chyba złamałem sobie kilka starych kości. No, zleżże w końcu z tego cudaka i pomóż staremu się wydostać — wyrwał z brody jakiś badyl — a swoją drogą, dawniej miałaś lepszy gust do koni. Przynajmniej wyglądały normalnie.

Sendilkelm bez słowa zeskoczył z Szerszenia i zaczął wyplątywać ręce Mekcha z gęstwiny łożdyg.

— No, chyba jednak nic nie złamałem — uśmiechnął się staruszek, gdy tylko Sendilkelm postawił go na ścieżce. Sięgał rycerzowi do pasa. Dzięki okrągłemu korpusowi, krzywym nogom i mocno umięśnionym rękom mógł swobodnie uchodzić za starego skrzata z bajek dla dzieci.

Sendilkelm wzruszył się lekko, widząc, że Mekch wygląda dokładnie tak, jak zapamiętał go z dzieciństwa: długie, białe włosy wraz z brodą zaplecione w pęki cieniutkich warkoczy przetykanych piórkami, nitkami i kolorowymi gałgankami; obcisły, brudny kaftan nieokreślonego koloru, pokryty niezliczoną liczbą kieszeni; a przede wszystkim szeroki pas połączony z szelkami, z którego zwisało mnóstwo sakiewek, skrzyneczek, pudełek, narzędzi i innych dziwnych przedmiotów. Mekch zawsze przypominał chodzący kolorowy stragan z warsztatem na zapleczu.

Bez zaproszenia wgramolił się na siodło rycerza, pobrzękując i szeleszcząc swym rynsztunkiem.

— Dobrze, że przyjechałeś odwiedzić starego przyjaciela, Sendil. Weź lejce i prowadź do tego domu za pagórkami. Pokażę ci moje najnowsze mekchanismos. A właśnie, właśnie, pod tym piekielnym dziurawcem leży moje ostatnie dzieło. Musimy je zabrać, drogi, silny przyjacielu. Tylko uważaj i nie zniszcz go do końca.

Sendilkelm spojrzał przeciągle na poskręcane stalowe rurki i dwa drewniane koła sterczące z zarośli.

— Tak, tak, wielki wodzu, patrzysz właśnie na, co prawda zniszczony, ale cudowny, jednoosobowy wóz, dzieło, które na zawsze odmieni ludzkie życie. . .

— A mi się wydaje, że patrzę właśnie na umysłowo chorego starucha, który przed chwilą bezczelnie dosiadł mego konia. Nic dziwnego, że spadłeś ze ścieżki i masz szczęście, że koń nie zaplątał się w te druty i nie pociągnął cię za sobą.

— Ba, widzisz, mój drogi, tego pojazdu nie ciągnął żaden koń. Porusza go siła ludzkich mięśni — napuszył się i spojrzął na rycerza z politowaniem.

— Wobec tego wolę nie wiedzieć, gdzie podział się twój pomocnik i jak go zmusiłeś, by cię w tym czymś ciągał. . . Najwyraźniej zapomniawszy, że tylko czarne plemiona używają ludzi zamiast wołów i koni.

— Jedźmy — westchnął głośno Mekch — później zapalę pierwszą gwiazdę prawdziwej wiedzy na mrocznym firmamencie twego umysłu.

Pomimo wszystko, Sendilkelma uradował fakt, że charakter Mekcha wcale się nie zmienił. Przywiązał mekchanismos do siodła, chwycił uzdę i ruszyli w dół pagórka.

— Twój brat ma dziwne poczucie humoru. Lubi igrać ze śmiercią. . . — Sendilkelm zawiesił głos w sposób zazwyczaj budzący lekką panikę u rozmówców. — Co to za historia z tym spisem przyjaciół? I wspomnij mu, by lepiej pilnował wnuków. Inni rycerze za samo dotknięcie swej wła-

sności bez skrupułów obcinają zuchwalcom ręce. . . — tym razem jego głos przybrał barwę niezbyt poważnej groźby.

— Spotkałeś więc Kapcha i jego piekielną gromadkę. Musicie im wybaczyć, panie, wielki rycerzu — odparł Mekch, z trudem powstrzymując się od parsknięcia śmiechem. — Kapch jest nieszkodliwy, choć przyznaję, że nieco obłąkany. Od dwudziestu lat wydaje mu się, że codziennie mamy Święto Głupców. A dzieciaków nie ma kto pilnować, bo rodzice całymi dniami pracują w farbiarni u kupca Morega, to i nic dziwnego, że myszy lęgną im się w głowach. Kapch podsuwa im piekielne pomysły na zabawy i dręczenie sąsiadów. Z tego ostatniego akurat jestem wielce rad.

— Czy Kapch uczył się kiedyś na maga? — jakby od niechcienia zapytał rycerz.

— Kapch?! Ten leń nigdy nie uczył się niczego. Od maleńkości był trochę dziwny i u żadnego majstra miejsca długo nie zagrzał. Mieszka u mnie od trzydziestu lat z górą, ale nie żałuję, przynajmniej pośmiać się czasem można. A masz szczęście, żeś go zobaczył, bo nie pokazuje się ludziom, właściwie to ich unika. Często w szafie się zamyka, gdzie bez jadła i napitku siedzi tak kilka dni, dopóki go dzieciaki jakimś żartem lub podstępem nie wyciągną. A ile potem je! A jak się wygłupia nad miską fasoli! Skonać ze śmiechu można! Każde ziarenko ogląda na wszystkie strony. . .

— Tak, śmiech to zdrowie — mruknął Sendilkelm.

\* \* \*

Dziedziniec pracowni Mekcha przypominał targowisko staroci po bitwie. Sendilkelma nie zdziwiły stosy rupieci wokół ścian i częstokołu, połamane meble, drewniane modele szkieletów dziwnych zwierząt, setki poskręcanych drutów i blach, modele krawieckie z poprzybijanymi konstrukcjami z drewna i piór, jednak, mimo wszystko, nie spodziewał się ujrzeć wśród tej graciarni królików.

— Och, tu są moje maleństwa — zakwilił Mekch na widok wylegującego się w słońcu króliczego stada.

Zmuszeni byli górami sforsować częstokół, gdyż mekchanismos od otwierania bramy zablokował się, a Mekch tylko połamał klucz, próbując go uruchomić. Sendilkelm lekko przeskoczył palisadę, po czym ściągnął zwisającego z niej staruszka. Króliki nie zwracały na nich najmniejszej uwagi i spokojnie zajmowały się toaletą.

— Wiesz, nie mogę tego wszystkiego posprzątać — Mekch zatoczył wokół ręką — bo moje maleństwa urządziły tu sobie wspaniałe nory. Zobacz tylko, jak mnie uwielbiają. . . — rozpromienił się — Rudy, chodź do mnie, no chodź. . .

Rudy królik nawet nie drgnął.

— Widziałeś, widziałeś — ucieszył się Mekch — mrugnął do mnie okiem, chce się, szelma, przypodobać.

Weszli do wysoko sklepionego pomieszczenia. Staruszek postawił na stole wspaniale rzeźbione i potwornie powyginane srebrne puchary.

— A to do wina — Sendikelm położył obok kielichów zawiniątko z plackiem.

— Wspaniale, wspaniale, a powiedz, czemu właściwie zawdzięczam ten honor, żeś odwiedził zapomnianego przyjaciela? Bo jeżeli chcesz zamówić coś dla damy swego serca na wiosenne święto, to, niestety, mam już pewne zamówienia i to, niestety, bardzo dobrze płatne.

— Wiem, że chętnie dzielisz się swą wiedzą, Mekch. Chcę kilku odpowiedzi na kilka prostych pytań.

— Ha, więc znudziły ci się fochy tych nadwornych magów i ich tanie oszustwa?! Szukasz prawdziwej wiedzy? Dobrze trafiłeś, opowiem ci o każdym z mych wspaniałych mekchanismos, lecz pamiętaj, większość z nich jest robiona na zamówienie. Zabawki, sekretne schowki, kalejdoskopy i wszystkie inne cudeńka są już przyobiecane i nie mogę ci ich dać, z góry proszę zatem, oszczędź sobie błagań. . . — staruszek rozsiadł się wygodnie i wepchnął do ust ogromny kawałek placka. — Najpierw jednak to ty odpowiesz mi na jedno bardzo ważne pytanie. Od tego zależeć będzie reszta naszej rozmowy — Mekch łobuzersko zmrużył prawe oko. — Powiedz, kto piecze tak pyszne placki?

— Moja służąca, Agni — roześmiał się Sendilkelm. — Jeśli chcesz, poproszę, by kiedyś przysłała ci kilka.

— A ta, jak jej tam, Egni, nie potrzebuje może czegoś specjalnego? Wiesz, moje królestwo ma wiele do zaoferowania młodej damie — kolejny kawałek ciasta zniknął w ustach Mekcha.

— Nie mam ochoty wymieniać jej na inną. Karcen naprawdę się namęczył, nim znalazł taki ideał... Cóż, lepiej opowiedz mi jeszcze raz o swojej teorii prontos-atos...

— Prondos i attomos! — huknął Mekch. — Nie wiem, po co mam powtarzać to wszystko, co tłumaczę ci od czasu, gdy bawiłeś się drewnianymi mieczami... No dobra, słuchaj. Wbrew twierdzeniom twoich przyjaciół z tego pożałowania godnego konwentu, magia nie jest niczym innym, jak sprytnie stosowaną iluzją. Zdziwiałoby fakt, że oprócz wsiowych prostaczków, wierzą w nią także królowie i wodzowie tacy jak ty. Magia to zaraza tego świata, a magowie, nawet jeśli ocierają się o prawdziwą wiedzę, pozostają zwykłymi ślepcami lub, co bardziej prawdopodobne, perfidnymi żonglerami ludzkich słabości. To, o czym rozprawiają, to po prostu prontos i attomos. Prondos stanowią wielkie siły, niewidoczne dla człowieka, a wyczuwalne przez niektóre zwierzęta. Attomos natomiast to drobiny materii mniejsze od najmniejszego ziarenka piasku, które dzięki różnym prontos trzymają się razem, tworząc wszystkie rzeczy wokół nas, jak i nas samych... Podzielmy się tym ostatnim kawałkiem. Nie chcę, byś myślał, że stary Mekch zapomina o gościnności.

Sendilkelm ugryzł ciasto i popił winem z bezkształtnego pucharu.

— A więc... Sam jednak wielokrotnie widziałem, jak mistrz Karcen znika, jak dematerializuje przedmioty i ludzi, odgaduje myśli... .

— Kłamstwa, oszustwa, iluzje, przesady i jeszcze raz kłamstwa! — przerwał mu Mekch. — To, co powoduje ruch materii, to prondos. Magicy pewnie używają niezwykle skomplikowanych mekchanismos, ukrytych pod tymi głupimi strojami, za pomocą których kierują jakieś prondos w kierunku, powiedzmy, chmury attomos. Chmura attomos rozprasza się i bum, przedmiot znika. Od lat próbuję zrobić takie mekchanismos, które można ukryć w kieszeni lub dłoni. Dlatego Karcen i jego zgraja tak bardzo mnie nienawidzą i muszę ukrywać się poza miastem — Mekch poczerwieniał i zadyszał się ze złości.

— A więc... I udało ci się zrobić takie mekchanismos? — Sendilkelm od niechcienia bawił się pucharem.

— Nie tak małe, jak bym chciał. Mam jednak wszystko zaprojektowane i narysowane. Wiem na przykład, jak powinien wyglądać mekchanismos do wytwarzania metali szlachetnych... .

— A więc... Chętnie go zobaczę.

— Nie zrozumiesz nawet jednego rysunku, że nie wspomnę o opisie. Już niedługo będę mógł przystąpić do budowy, muszę tylko znaleźć sposób na skondensowanie pewnego prondos w jednym



miejscu... Jedno mnie zastanawia, skąd magowie mają te wspaniałe mekchanismos? Sami są za głupi na ich skonstruowanie. Podejrzewam, że są w odwiecznej zмовie z Lentilami... i ty, jako wódz sił królestwa, powinienes zainteresować się tym ludem bardziej niż moimi dziełami.

— Przecież Lentile nie stanowią żadnego zagrożenia. Nigdy nie mieli własnego państwa. Nie używają broni i nie zaciągają się do wojska. To dziwny lud, zresztą na wymarcu, i to raczej my stanowimy dla nich zagrożenie — Sendilkelm rozłożył szeroko ręce.

— A zabiłeś kiedyś Lentila lub widziałeś, by ktoś zrobił w otwartej walce?! — Mekch pochylił się, mocno chwytając krawędzie stołu. — Skąd możesz wiedzieć, ilu tak naprawdę ich jest i co rzeczywiście potrafią?!

Sendilkelm poczuł działanie czaru placka. Miał ochotę objąć Mekcha i opowiedzieć mu całą historię swego życia, wszystko, wszystko... Czuł piekące mrowienie w rękach i stopach, głowa zrobiła mu się ciężka jak ołowiana kula, a w ścianach dostrzegł ruch podobny do drżenia powierzchni mrowiska.

— Lentile doprowadzili do perfekcji sztukę uników — ciągnął Mekch. — Mają sokoli wzrok i ciała zwinniejsze od łasic. Łatwiej trafić mieczem muchę w locie, niż drasnąć któregoś z nich. Poza tym unikają wojny. Wyczuwają ją niczym szczyry zatonięcie korabia... .

Sendilkelm już nie słuchał, miał wrażenie, że jego ciało faluje razem ze ścianami, czuł przygniatające spojrzenie wszystkich okien. . .

\* \* \*

Umysł Sendikelma zwołał wszystkie zmysły na tajną naradę. Uczucia i instynkty oczywiście zebrały się pod ścianą świadomości, by podsłuchiwać, a myśli jak zwykle płynęły każda w inną stronę, nie rozumiejąc powagi chwili.

Postanowiono, że do akcji wkroczy czujność i ostrożność, a strach i instynkt ucieczki pozostaną w odwodzie, wspierane przez instynkt walki i odwagę.

\* \* \*

Mekch ze zdziwieniem spostrzegł, że zamiast znajomego wojownika, po drugiej stronie stołu siedzi świetlista postać, której musi wyjawić wszystkie tajemnice.

— Widzisz, przyjacielu — zaczął niepewnie — gdy byłem jeszcze małym pachołkiem, spotkałem starego Lentila. Nikogo tak starego nigdy wcześniej ani później nie widziałem. Opowiedział mi wiele dziwnych historii i zaproponował, bym został jego uczniem. To on wyjawiał mi, jak rozpoznawać różne prondos i attomos. . . Aż pewnego dnia znalazłem go z poderżniętym gardłem. Na

pewno zrobili to Lentile. Do dziś nie rozumiem, dlaczego darowali mi życie. Może myśleli, że nie wiem zbyt wiele. . . W rzeczy samej, mój nauczyciel nie oświecił zanadto mego umysłu. Od lat sam próbuję pojąć jego naukę, czego rezultatem są tylko zabawki dla dzieci i cudenka dla dam. . .

— Myślisz, że magowie zawdzięczają swoje sekrety Lentilom? — Sendilkelm z trudem składał zdania.

— Oczywiście, tylko skutecznie ukrywają to za brudną kurtyną swych oszustw i iluzji — Mekch wstał i zachwiał się, na szczęście zdołał chwycić poręcz krzesła. — Chodź, pokażę ci. . . — długo szukał właściwego słowa — coś ważnego i pięknego. . .

Przesunął stół i wskazał na podłogę. Była tam kłapa z pordezwiązanyymi uchwyty. Unieśli ją razem, po czym, zataczając się i podpierając, zeszli w dół po kamiennych schodach.

— Oto moje najwspanialsze mekchanismos — szepnął Mekch, gdy stanęli na brudnej posadzce.

Z okien pod okopconym stropem sączyły się wąskie promienie światła. Sendilkelm miał wrażenie, że oto znalazł się w grobowcu nieznannej cywilizacji. Zewsząd otaczały go dziwaczne szkielety wielkich stworzeń, pełne tajemniczych skrzyń, błyszczących stalowych kul i drutów, czasami szczelnie przesłonięte miedzianymi lub srebrzystymi pancerzami.

— Piękne, prawda? — Mekch oparł się ciężko o konstrukcję przypominającą owiniętego wokół kuli węża. — Gdyby udało mi się je uruchomić, magowie musieliby zwinąć swoje nędzne kramy

i zniknąć. Niestety, ani jedno z tych wspaniałych mekchanismos nie działa. To tu powinno dawać światło bez potrzeby wzniesienia płomienia, niczym wiecznie żywy piorun w szklanej kuli, to szerokie za tobą ma poruszać się po gościńcach bez pomocy koni. Nie działają, bo nie zrozumiałem nauki o prondos i attomos i chyba nigdy nie zrozumiem.

— Czy masz tu jakąś broń? Ten przyrząd w rogu wygląda dosyć groźnie — Sendilkelm wskazał mekchanismos z kilkoma sterczącymi ostrzami.

— Nie, przyjacielu, broni nigdy nie robiłem, a to mekchanismos miało zbierać zboże z pola.

— Hm, od tego chyba są wieśniacy — mruknął Sendilkelm.

Nagle ściany piwnicy gwałtownie zafalowały, a podłoga przesunęła się o kilka stóp.

— Chodźmy stąd! — Sendilkelm chwycił się ramienia Mekcha i zaczął szukać schodów.

— A broń. . . — kontynuował powoli Mekch — broń, której teraz używacie, jest zabawką w porównaniu z bronią działającą za pomocą pewnego prondos. Jestem pewien, że można miotać nią małe pociski sto razy szybciej niż bełty z kuszy i zabić setki wrogów w mgnieniu oka, tylko. . . nie udało mi się jej zrobić. Raz, gdy chciałem zmagazynować prondos w małej skrzyni z kutego żelaza., o mało nie straciłem życia. Wybuch wyrwał połowę pagórka i spalił całe gospodarstwo. Ale ci twoi przyjaciele, pokrętni, mali oszuści, ci paskudni magowie mogą kiedyś znaleźć na to sposób. Zbudują potężną broń, a wtedy wszystkie królestwa zadrżą w posadach i oni, wstrętne góry sadła, ożywiane

jedynie złymi myślami, będą rządzić na wieki! — Mekch zachwiał się i osunął na podłogę. Sendilkelm z trudem uklęknął i zbadał mu puls. — Wybacz staremu — mruknął Mekch. — Za dużo wina, za dużo żalu, za dużo smutku. Pomóż mi wejść na górę.

Po dłuższej chwili, zmęczeni i zasapani, siedzieli przy stole. Sendilkelm drżącymi rękami trzymał puchar i ze wszystkich sił starał się koncentrować jedynie na treści pomruków Mekcha, nie widzieć ścian, okien i mebli, które powoli rozmywały się i zmieniały kształty, przebierały nogami i wytrzeszczały oczy.

— Pamiętam, jak jeszcze jako chłopiec prosiłeś mnie o drewniane koniki na kółkach, a teraz. . . Wiem, że przyszedłeś do mnie z ważnym zadaniem, wodzu, inaczej nie zawracałbyś sobie głowy starym. . . Nie przypuszczałem jednak, że przyniesiesz zatrute jadlo. . . — Mekch mówił coraz ciszej. W końcu odchylił głowę na oparcie krzesła i zaczął głośno chrapać.

Sendilkelm tylko czekał na tę chwilę i natychmiast przeskoczył zębatą paszczę drzwi.

— To tylko magiczna iluzja. Stary dureń Karcen znowu okazał się partaczem — powiedział do zaciekawionego Szerszenia, czekającego cierpliwie na dziedzińcu.

Po trzech trzeszczących upadkach udało mu się wskoczyć na siodło. Koń, rozganiając stada leniwych królików, wesoło potruchał w kierunku ogrodu.

W ostatniej chwili Sendilkelm zauważył wyjątkowo grubego królika z twarzą Karcena, tylko dość włochatą i zdobną w sterczące uszy.

\* \* \*

Tuż za palisadą, którą Szerszeń żwawo przesadził, na przydrożnym kamieniu siedziała niewielka postać. Leniwie rozczesywała palcami kręcone włosy i nucila pasterską piosenkę. Sendilkelm, z twarzą niemal zanurzoną w końskiej grzywie, pewnie nie zainteresowałby się nią szczególnie, gdyby nie jej niezwykła piękność. A poza tym jej ciało było nie dość, że zupełnie nagie, to jeszcze półprzeźroczyste, co raczej nie należy do typowych cech siedzących przy drodze pasterek.

Szerszeń zatrzymał się i zarżał żałośnie.

— Witam szlachetnego pana — zaszcebiotała Anielica Śmierci. — Już myślałam, że wyczerpie mi się repertuar.

— Nieee umaaarłem, nieee... — wyszeptał Sendilkelm. — To ten dureń Karcen dał mi jakiś czar. Znasz, pani, tego grubego maga, który przedtem przyszedł do ciebie po mnie?

— Co tam czar czy nie, mag czy kto inny... — zaniosała się śmiechem Anielica. — Tym razem jednak się przespacerujemy. No, ruszajmy, kawał drogi przed nami... I nie zepsujesz mi humoru swoimi fochami! Dziś to się naprawdę napracowałam — rozmarzyła się Anielica i przeciągnęła

w sposób, który w innych okolicznościach i w innym wykonaniu można by uznać za podniecający. — Wiesz, że w mieście Strzenimie panuje zaraza? Ale dla ciebie mam... jak to się mówi... a właśnie, dla ciebie mam zawsze czas — westchnęła słodko i zaśpiewała:

*Śmierci wesola,  
Śmierci frywolna,  
co oddech zabierasz  
z wolna!*

*Prowadź w zaświaty!  
Prowadź za rękę!  
A po drodze  
zaśpiewaj piosenkę!*

Jej głos zagrział jak grom, a w oczach płonęły błękitne światełka.

— Mówiłam przecież, że będziesz miał okazję błagać mnie o przebaczenie i wskazanie drogi w zaświaty. Nawet nie podejrzewasz, jak wyczerpująca może być to droga. Czy zastanawiałeś się kiedyś, co czuje ciało astralne, gdy musi przecisnąć się przez szczelinę pomiędzy wymiarami tak

małą, że nie przepłynęłaby przez nią nawet woda? Albo, jak będziesz się czuł, gdy twe astralne usta zaczną słyszeć, twe astralne uszy widzieć, a w oczach zbierze się materia tysiące razy gęstsza od granitu?

Sendilkelm zsunął się z końskiego grzbietu. Widział, zresztą w ciekawej perspektywie, stojącą nad nim Anielicę Śmierci z tajemniczym uśmiechem na niewinnej twarzy.

— A zatem, rozpocznijmy naszą podróż, mój drogi Sendilkemie — zaszcebiotała i, pochyliwszy się, pogłaskała go po włosach.

Nie mogła się doczekać chwili, gdy przez nos i uszy leżącego rycerza wydostanie się energetyczny sobowtór. Z niecierpliwości przygryzła dolną wargę i zaczęła nucić jakąś banalną melodyjkę.

Wtem powietrze wokół niej gwałtownie pociemniało i wypełniło się szumem wielkich skrzydeł. Anielica oderwała wzrok od rycerza i rozejrzała się zdziwiona. Czuła wyraźnie na plecach czyjś wzrok, ale, pomimo dreptania w kółko, nie dojrzała nikogo i niczego. Zanim zdążyła się naprawdę przerazić, potężna siła porwała ją w górę, potem w dół, a następnie rozerwała na strzępy i pod postacią chmury połyskujących cząsteczek wrzuciła do Oceanu Bezcielesności.

Sendilkelm leżał bez ruchu, jego ciało stygło, a nerwy, pozbawione impulsów z mózgu, z nudów po raz pierwszy w życiu zaczęły zastanawiać się nad sensem swego istnienia. Mięśnie podjęły jesz-



cze kilka samodzielnych prób skureczów i rozciągnięć, daremnie czekając na rozkazy. Wpatrzone w dal oczy nie widziały już nic.

\* \* \*

W centrali świadomości Sendikelma trwały za to gorączkowe poszukiwania zdrowego rozsądku i siły woli, które jak zwykle zawieruszyły się w chwili, gdy były najbardziej potrzebne. Pamięć pospiesznie wyrzuciła powiązane w pęczki wspomnienia i ruszyła w kierunku jeziora podświadomości. Spłoszone uczucia wykonywały nad jego taflą niebezpieczne akrobacje, pod powierzchnię podpływały zaciekawione lęki o ruchliwych ciałkach. Pośrodku skakała panika, szczęśliwa, że wreszcie nadszedł jej czas. Odwaga robiła wszystko, by znaleźć siłę woli i po raz ostatni się wykazać. Niepotrzebne nikomu radość i smutek stały z boku, obrażone na siebie i na wszystkich.

W chwili, gdy z jeziora podświadomości wypełzli na brzeg jego mieszkańcy, a radość powiedziała smutkowi, że nigdy go nie lubiła, nastąpiło coś nieoczekiwanego. W świadomości pojawił się obcy. Pokręcił się, wystraszył wszystkich i ruszył w głąb, do skarbcza duszy. Odwaga zastąpiła mu drogę, lecz nie zwrócił na nią najmniejszej uwagi. Zapadła ciemność. Obcy dostał się do skarbcza duszy.

\* \* \*

Ciało Sendikelma cicho westchnęło, uniosło się, na chwilę zawisło nad trawą, po czym pomknęło do nieba, prosto w ramiona skąpanych w czerwonym słońcu chmur.

# 3

## Bisenna

*Dla człeka Noc,  
Dla człeka Dzień,  
Dla Noca człek,  
Dla Dnia człek,  
Kto komu kim  
I dla kogo jest?*

(z nauk Fraternijczyków)

Sendilkelm zobaczył niebieską kulę świata, jej ogniste wnętrze i chłodny naskórek. Żywiła niezliczone roje istot. Każda z nich, dbając jedynie o swój dobrobyt, troszczyła się tym samym o dostatek całego świata.

Sendilkelm wczuwał się w żywot każdej istoty z osobna, a czas zataczał wokół niego swoje misterne kręgi. Naraz świat zmalął gwałtownie i oddalili się, a on zobaczył wirujące kręgi innych światów, krążących wokół siebie w łagodnym rytmie. „Jak naszyjniki z kolorowych pereł” — pomyślał Sendilkelm. Jedne błękitno-zielone, inne ciemne i matowe, jeszcze inne w kolorach ognia, a jednak wszystkie razem tworzyły jednolity, spójny wszechświat, zawieszony w różnych przeszłościach i przyszłościach.

— Niech wiedza dana będzie tym, którzy dla jej zdobycia ryzykują życie — nie można było określić ani źródła tego głosu, ani kierunku, w którym zmierzał. — Nie jestem żadnym z bogów, o których słyszałeś. Nie jestem też bogiem, o którym zapomniano, ani tym, którego kult jeszcze nie powstał. Jestem częścią ciebie, tak samo, jak ty jesteś tym, co cię otacza. To właśnie jest odpowiedź na wszystkie pytania. Wszystko jest wszystkim.

Umysł Sendilkelma obserwował kolejne światy, próbował je liczyć, szukał tego, z którego pochodzi...

— Nie można ich policzyć — głos dobywał się zewsząd. — Jesteś mieszkańcem wszystkich światów jednocześnie, chociaż tu przyszedłeś z zaledwie jednego z nich. Możesz tam wrócić lub pozostać tutaj, tak, jak ja kiedyś zostałem. Możesz także wybrać sobie inny świat, lecz wówczas możliwe jest, iż spotkasz tam samego siebie.

Umysł Sendilkelma odczuwał na przemian szczęście, strach i ciekawość. Ze zdziwieniem postrzegł obok siebie pętle własnych myśli, a najjaśniej błyszczało pytanie: „Czy jeszcze kiedyś zjem jajecznicę?”.

— Tak, mogę odesłać cię z powrotem, lecz jeśli zechcesz, poprowadzę cię dalej, byś mógł zrozumieć więcej. To, co widzisz, jest niczym, tak, jak ty jesteś niczym w swoim świecie.

Umysł Sendilkelma wypełniła doskonała pustka, a zagubione myśli tańczyły parami w odbijanego.

— Wiedz jednak, że już jesteś inny — głos, choć tak silny, drżał trochę, pewnie ze zniecierpliwienia. — To wiedza cię odmienia. Gdy pójdziesz ze mną dalej, posiadasz ją całą. Wtedy tak się odmienisz, że nie będzie już dla ciebie drogi powrotu. Staniesz się, czym ja się stałem — tu i teraz nieśmiertelny.

Umysł Sendilkelma skurczył się w maleńki punkt i czekał tylko na powrót do swojego świata. Zgubione myśli czepiały się go panicznie, chcąc również powrócić.

— W miejscu, w którym się znajdujemy, każda decyzja jest mądrością. Zupełnie inaczej jest tam, dokąd pragniesz wrócić. Wiedz tylko, że łatwiej tu się dostać za życia, tak, jak uczyniłeś to teraz. Wieczność zamknięta w zaświatach twego świata jest tylko chwilą mego istnienia.

Umysł Sendilkelma obkurczył się do granic możliwości.

— Wracaj zatem, zapamiętaj to, co pamiętać pragniesz, lecz zapomnij o tym, co powrót twój powstrzymuje.

*W twoim świecie twe istnienie*

*jest tylko liściem na drzewie twego życia.*

*W twoim świecie twój umysł*

*jest tylko kroplą oceanu twego umysłu.*

*W twoim świecie twe ciało*

*jest tylko kamykiem w górach twego ciała.*

*W twoim świecie twa dusza*

*jest tylko. . .*

Sendilkelm już nie słyszał głosu, coraz szybciej zbliżał się do błękitu swego świata. . .

\* \* \*

Ciało Sendikelma jak grom uderzyło w ziemię.

Gdzieś kilka wymiarów obok obcy spokojnie wszedł do wnętrza świadomości, niosąc śpiącą duszę. Delikatnie złożył ją w skarbcu, po czym powoli i starannie zamknął skarbiec i zaczął wszystkich budzić.

Pierwsza zerwała się nadzieja, zaraz po niej odwaga i siła woli. W chwilę potem wrzeszczeli już wszyscy, wzajemnie dopytując się, co się właściwie stało? Zdrowy rozsądek polecał zbadać skarbiec duszy, po czym ogłosił wszem i wobec, że dusza śpi jak zawsze. Uczucia gwałtownie wzleciały w górę, a jezioro nieświadomości zafalowało. Wszyscy wrócili do swych zadań.

Rozum wyrzucał z siebie roje rozkazów. Radość wchodziła wszystkim w drogę i rosła z każdą chwilą. Wesołe ławice myśli wirowały wokół niej we wszystkich kierunkach. Pamięć zbierała i dokładnie katalogowała porozrzucane wspomnienia i układała w równych stosikach porcje wiedzy. Wszędobylska ciekawość z zapalem zaglądała pod każdy stosik. Świadomość i siła woli nakręciły zegar świadomości.

\* \* \*

Wędrowny sokół, który widział spadającego z nieba człowieka, przyleciał nad krawędź wyrąbanego przezeń dołu i zemdlał z wrażenia, gdy ujrzał wdrapującą się na górę, czyli całkiem żywą, ofiarę wypadku. Po chwili opadły z sił Sendilkelm zległ tuż obok ptaka.

Z pobliskich zarośli przytruchtał z radosnym rzeniem Szerszeń i wilgotnym nosem dotknął głowy swego jeźdźca.. Jako wyszkolony koń bojowy wiedział, że musi teraz bronić rycerza. Jął powoli krążyć wokół Sendikelma, wypatrując nieprzyjaciela i groźnie parskając. Miał duże szanse w starciu z jakimkolwiek przeciwnikiem dzięki stalowym kolcom na osłonie pyska i piersi oraz ostrzom tkwiącym w osłonach nóg i kopyt. Ale na cztery kamienie połączone skórzaną pętlą, które wystrzeły z korony pobliskiego dębu, nie był uodporniony. Pętla zacisnęła się na jego szyi i w tym samym momencie Szerszeń z kwikiem padł obok Sendikelma.

A z dębu zeskokczyła wielka, umięśniona i obwieszona połyskującą bronią postać. Sokół, który właśnie się ocknął, mimo wszystko postanowił nadal leżeć nieruchomo, przynajmniej do czasu, gdy te wszystkie dziwy się nie skończą.



\* \* \*

Sendikelm otworzył oczy. Wysoko nad głową, przez okopcone gałęzie sklepienia, sączyło się słońce. „Aha, leżę w szałasie” — pomyślał rozsądnie i powoli zamknął oczy, by po chwili otworzyć je znacznie szybciej.

— Szałas? Jaki szałas? — wymamrotał i spróbował się rozejrzeć, lecz obolałe ciało serią gwałtownych drgawek i skurczów odmówiło współpracy.

— Odpoczywać się tylko godzi, mistrzu i dawco mego życia. Życiowładnyśpan! Powiedz tylko życzenie, a jego spełnienie mym szczęściem się stanie. Szczęściósławoć!

Sendikelm natychmiast rozpoznał w głosie i pochylonej nad nim głowie brązowego olbrzyma z areny. Przerażony kolejnym śmiertelnym zagrożeniem, wybąkał:

— Z tym turniejem to... Ja myślałem, że jesteś tylko magicznym mirażem, a poza tym, to ty miałeś miecz i zacząłeś na mnie polować... .

— Ależ, panie mego życia, nie dobiłeś mnie, jak mi się należało śmiercią sromotną zginąć, sromotnośsmutnoć, jeno pozwoliłeś żywot zhańbiony wieść dalej. Panem mego życia będziesz, póki wdzięczności swej nie dowiodę.

Sendikelm uniósł się trochę na łokciach. Kręciło mu się w głowie. Wpatrując się w olbrzyma, doszedł do wniosku, że jego twarz jest jeszcze paskudniejsza, niż mu się wydawało na turnieju.

Jej potworność wzmagaly warkocze w płomiennych kolorach, zakończone kulkami i koralikami ze złotej siatki.

— Ci bezrozumni magicy znowu wszystkim zamieszali w głowach. Ja byłem mirażem, chociaż nie chciałem, ty żyjesz, chociaż widziałem, że wynieśli cię z areny. I jeszcze te wirujące światy i gwiazdy — Sendilkelm oparł głowę o podglówek z mchu i zamknął oczy.

— Nie moją rzeczą jest pojąć, jak to się stało, żeś nagle zniknął, a potem z nieba spadłeś niczym grom i jeszcze przy tym życie zachowałeś. Strachoćdziwność! Nie moją rzeczą jest dochodzić, jakich bogów jesteś wysłańcem. Moją rzeczą jest na służbę tobie życie swe ofiarować. Służboćzycieć! — i okrył Sendilkelma derką, by ten, choć drżał z zimna, mógł wypocić się obficie.

Po kilku kwadrach rycerz ocknął się w trochę lepszej formie. Gdy spojrział na swego potwornego opiekuna, z ulgą stwierdził, że już się go nie boi.

— O, mój pan lepiej wygląda. . . — olbrzym skoczył na równe nogi i pochylił się nad Sendilkelmem.

— Później ustalimy, kto komu i co zawdzięcza oraz kto i czyim jest panem. Lepiej powiedz, skąd się tu wziętem i gdzie jest mój koń.

— Od darowania mi życia śledzę twe kroki, panie. Gdy po wizycie u swego szlachetnego przyjaciela raczyłeś spaść z konia, a następnie wśród piorunów wzlecieć w niebo, myślałem, że cię więcej nie zobaczę. Rozpacz czarna me serce zalała. Czarnoćsmutnośćwiecznieć!

— Mów normalnie — wtrącił Sendilkelm. — Normalny język rozumiem zupełnie dobrze, więc nie męcz mnie tym swoim dworskim gadulstwem.

— Kiedy, mój panie, o rzeczach godnych jeno szlachetnym językiem godzi się wystawiać, a językiem pospółstwa tylko o wszetecznych rzeczach rozprawiać!

Sendilkelm spróbował przewrócić oczami i machnąć ręką, ale tylko zakwilił z bólu.

— Zatem, gdy zniknąłeś, tchórzliwe me serce kazało mi na dębie schronienia szukać i z niego to zobaczyłem, jakeś rąbnął w ziemię niczym grom. Rumaka twego szlachetnego ogłuszyć musiałem, bo nikogo by do ciebie nie dopuścił. Od wczoraj już mu lepiej i na nogach z powrotem ustać może.

— Od wczoraj? Zatem ile dni leżę w tym cuchnącym szałasie i gdzie jesteśmy, jeżeli to wszystko w ogóle jest prawdą?

— Co jest prawdą, to tobie jeno mistrzu wiedzieć, ja tylko wiem, com widział. A dni jesteśmy tutaj cztery i wieczór już niedaleki. Wszystkoćprawdóć!

— Zawołaj no kogoś, z kim można normalnie pogadać.

— Sami tu jesteśmy, panie. Uniosłem cię w głąb lasu i obóz nasz parkanem z ostrzami zabezpieczyłem, byś bezpiecznie do przytomności mógł wrócić.

— O, bogowie, sam na sam z tobą. . . Słuchaj, kręci mi się w głowie i mam chyba połamane wszystkie kości, ale wsadź mnie na konia i zaprowadź do Atrim. Później pogadamy o reszcie tych głupot.

— Zbadałem twe kości, mistrzu, i w dobrym zdrowiu jest całe twe ciało, jeno potłuczone i w gorączce — odparł olbrzym i ostrożnie posadził chorego na posłaniu.

— Czy. . . czy widziałeś tu gdzieś taką gołą, przezroczyłą panią? — najwyraźniej nowa pozycja zachęciła Sendilkelma do podjęcia próby załatania kilku dziur w nadwerężonej pamięci.

— Niewiaś tu żadnych nie ma, lecz gdy wyzdrowiejesz, panie, przyprowadzę ci każdą, którą tylko raczysz mi wskazać. Piękno-gołomiękko! — olbrzym skłonił się nisko.

— Niezupełnie o to mi chodziło — skrzywił się Sendilkelm. — Mówisz, że sam z nieba spadłem? I nikogo ze mną nie było?

— Mogę jeszcze raz przeszukać lej po twym upadku, lecz pewien jestem, że sam z nieba spadłeś. Własnymi źrenicami za to ręczyć mogę i wielkość twą po wsze czasy głosić. Aha, leżał obok jeszcze jakiś ptak, ale chyba martwy, bo śmierdział okrutnie. Ptakoćpaskudność!

— A takiego grubasa w głupim kapeluszu w pobliżu nie było? — dopytywał się Sendilkelm. — No, wiesz, maga Karcena?

— Ja, panie, przyjechałem na turniej z Fraterni, gdzie magów na pustyni zakopujemy, głową do dołu. Nie dopuściłbym tu żadnego, choćby był najgrubszy i w najgłupszym kapeluszu. Spokojnie wypoczywać możesz, gdy mnie masz za strażnika. Magoćwszeteczność!

— Aha — jęknął Sendilkelm — to znaczy, że jak zwykle ten wór śmieci, Karcen, wszystko sknocił, a mnie zostawił samego z tym bajzlem. To dla niego typowe... O, bogowie! Dlaczego ciągle myślę o jakichś kulach i gwiazdach? Mam tego dosyć!

— Nie denerwuj się, panie. Żaden WórśmieciKarcen nie zbliży się do ciebie! Bisenna zada mu śmierć nagłą i bolesną. Śmiertnoćbólstęknąć!

— Co znowu za Bisena? — jęknął Sendilkelm i zamknął oczy.

— Bisenna Karsago Tilsenna. To ja, mistrzu, twój sługa i obrońca, jeśli zajdzie potrzeba. Na moim ramieniu pięćdziesiąt pięć wypalonych półksiężyców i tylu wrogów mych w zaświaty posłałem.

— Słuchaj... Bisenna, ty nie możesz zabić takiego maga, jak Karcen. Jeśli tu przyjdzie, masz go przyjąć jak mego przyjaciela, inaczej on zmieni twoje wielkie mięśnie w jadowite kolcowęże albo w coś znacznie gorszego. We Fraterni nie ma takich magów, jak w Atrim. Gdyby byli, to pewnie dawno byś już spotkał swoich umięśnionych przodków, Biseno.

Olbrzym stał nieruchomo i słuchał. Chyba niewiele rozumiał, Sendilkelm zresztą podobnie. . .

\* \* \*

Karcen siedział na przydrożnym kamieniu, blisko bramy od podwórza Mekcha, i gapił się na stado swawolących nad łąką skowronków.

— Czy one znają smutek? Czy sieją? Czy może orzą i o zbiory się martwią? — mrucał. — A jednak istnieją i wyglądają na szczęśliwe. Cóż, taki jest umysł ptaka, jak się tyle macha skrzydłami, to i powietrze do głowy uderza, dlatego taki jest szczęśliwy, zupełnie jak człowiek po kilku butelkach. . . Ano, dobrze czasem umysł na głupich myślach uspokoić. A teraz spokojnie zastanówmy się, dlaczego nie mogę dotrzeć do Sendilkelma? — mag nachmurzył się i podparł głowę pięścią. — Cztery razy czar przeniósł mnie w pobliże tej nory Mekcha i to wszystko. Jeżeli Sendilkelm by nie żył, to spotkałbym w czasie działania czaru tę wredną Anielicę. Ale nie spotkałem. . . Czar jednak zadziałał, gdyż przestrzeń i czas przesunęły się wokół mnie, tylko nie doprowadziły do miejsca pobytu Sendilkelma, tak, jakby osoba taka nigdy nie istniała. Wniosek, moje umiejętności mnie zawiodły, co oznacza, zapewne, że przestały mnie chronić własne magia i czaria, a moje życie wisi na włosku i łasce jakiegoś potężniejszego ode mnie maga. Ponieważ jednak nikt większy ode mnie nie istnieje. . . chyba. . . wygląda na to, że Sendilkelm został ukryty przez jakieś zaklęcie,

o którym zapomniałem, lub źle użył magicznego wzoru, którym go obdarowałem. Tak, to ostatnie jest najbardziej prawdopodobne. Rację miałem w swoim sto dwunastym wykładzie, twierdząc, że jedyną wielką wadą maga może być nazbyt rozwinięta hojność i dzielenie się z pospółstwem jakimkolwiek czarami. Z pewnością nasz dzielny wódz wszystko pokręcił, zmieniając działanie czaru prawdomówności. No, miejmy nadzieję, że nie zmienił się w kijankę lub coś równie głupiego. Choć można by się po nim tego spodziewać. . .

— Długo tu już tak siedzicie i do siebie gadacie, panie? — obok Karcena przystanął Mekch. Źle wyglądał. Broda i włosy poplamione czerwonym winem, wzrok zmacony i niepewne ruchy sugerowały, że staruszek miał za sobą ciężkie chwile. — Jak nie chcecie ze mną gadać, to nie. . . — i zawrócił w kierunku swego domu.

— Czekaj no, panie Mekch! — ocknął się z osłupienia Karcen. — Ręczę, żeś widział dziś Sendilkelma, mego przyjaciela i wodza sił królewskich w jednej osobie.

— Widzieć, widziałem, ale czy w jednej osobie, czy w kilku, powiedzieć nie mogę. . . Czy to był mój Sendil, czy zjawa jakaś, nie wiem. Jadłem zatrutym mnie poczęstował, drzwi domu w paszczę potwora zamienił, a potem zniknął. . . — Mekch westchnął i zamachał rękami. — Pewnie i co ukradł, ale sprawdzić nie mam siły.

— Gdzie on teraz jest?! — Karcen najwyraźniej tracił cierpliwość.

— Nie wiem, ale gdy go spotkasz, powiedz mu, że inaczej się starych przyjaciół traktuje — Mekch odwrócił się gwałtownie, próbując skupić na Karceniu nieprzytomny wzrok. — Przekleństwo na was, magów! Wy grube kukły z bezmózgich matek i odmieńców wykoślawionych, przez zemstę bogów i dla szyderstwa z ludzkiej rasy zrodzone! Przekleństwo na was wszystkich, sparszywiałe szkarady o mętnych umysłach, złodzieje ludzkich myśli o jaszczurczych spojrzeńiach, wy... wy mroczne istoty zupełnie nie wiadomo skąd w ludzkich skórach! Nic ci twoje nędzne przebranie nie pomoże! Choć jak wsiowy głupek wyglądasz, na odległość czuć, żeś mag. No, dalej, spróbuj swą nędzną sztuką wydrzeć mi tajemnice! No, dalej, zadaj mi ból, zmień me serce w ropuchę, no, spraw, by me usta zaczęły widzieć, a uszy mówić, niech włosy zaczną mi rosnać do środka. . .

Karcen przerwał mu, podnosząc rękę w geście pojednania. Mekch najwyraźniej był bardziej pijany, niż na to wyglądał. Nikt, kto miał choć odrobinę samozachowawczego instynktu, nie zwyzywałby tak maga.

— Czy pozwolisz mi, mój drogi, sprawdzić, czy Sendilkelm nadal przebywa w twym domostwie? Z pewnością znajdziemy go tam razem, w twojej piwnicy pod beczką jęczmiennej nalewki — Karcen wdzięczył się, jak mógł najpiękniej. — No i oczywiście zobaczymy, co z tą paszczą w drzwiach. . .



— Piwnicy mej nie zobaczysz — Mekch chytrze zmrużył oczy — ale wejść możesz, skoro nie boisz się starego Mekcha. Che, che, mek... che, mekchanikchi mu się zachciało... — staruszek zachwiał się i osunął w progu bramy.

Karcen skorzystał z okazji, przelazł, choć nie bez trudu, przez staruszkę i znalazł się na zagraco-  
nym dziedzińcu. Harcujące króliki nie zwróciły najmniejszej uwagi na spowitego magiczną mgiełką  
mistrza.

— Czy one sieją, czy orzą i o zbiory się martwią... — mimowolnie zamruczał mag, opamiętał  
się jednak i przyrzekł swej zmęczonej głowie kilka dni odpoczynku. Gdy dochodził do domu, jego  
twarz wydłużyła się gwałtownie. Drewniana elewacja stojącego przed nim budynku miała wpraw-  
dzie zwyczajne cztery krzywe okna i podmurówkę, lecz pośrodku, zamiast drzwi, szczyrzyła się  
do niego sino-brązowa, pełna stożkowatych zębów paszcza, do wnętrza której prowadził martwy,  
poskręcany i obślizgły język.

Karcen odruchowo rzucił na siebie tuzin zaklęć ochronnych, aż fałdy jego szaty zatliły się ogni-  
kami i zasyczał błękitny dymek. Z szerokiego rękawa wyciągnął złoty mieczyk i zaczął nim badać  
zębate zjawisko. Nie ulegało wątpliwości, że ma do czynienia z efektem spontanicznego wyłado-  
wania magicznego, którego nie można przewidzieć, ale które towarzyszyć może całkiem przewi-

dywalnym magicznym działaniami. Miał niemiłe poczucie, że po części sam jest za to wszystko odpowiedzialny, aż w żołądku zaroilo mu się od motyli.

Dźgnął kilkakrotnie obwisłe wargi wokół drzwi i przeskoczył przez próg domu. Wewnątrz zastał bałagan jak po rewizji królewskiego poborcy podatkowego. Wszystko, co mogło być złamane, zgniecione, rozbite lub rozlane — takie właśnie było.

W ruinach stołu znalazł dwa pogniecione puchary i miskę z okruchami po placku. Zbladł i gwałtownie oparł się o ścianę.

— A jednak jestem głupcem — jęknął i wybiegł na podwórze.

Wlepiając wzrok w paszczę, drżącym głosem wyszeptał cztery magiczne słowa-znaki i natychmiast, z sykiem, drzwi Mekchowej chaty wróciły do swego poczciwego wyglądu paru zbitych gwoździami desek na zardzewiałych zawiasach.

Blady z wysiłku i nagłego olśnienia Karcen poszedł po staruszką, przytasczył go na ławkę, chwycił w dłonie jego głowę i wypowiedział kolejne zaklęcie.

— Nie odejdziesz z tego domu, póki po ciebie nie wrócę. Rozumiesz, prawda?

— Nie... Oczywiście, zostanę tu wedle twego życzenia, panie — posłusznie wyszeptał Mekch. — Zostanę, ale i tak wszystko już wiem... Wszystko, rozumiesz panie, wszystko...

— Tak, obawiam się, że wiesz — mruknął Karcen. — Pamiętasz może, ile i jakiego wina wypiliście z Sendilkemem do tego placka?

— Wy, magowie, tylko o jednym, gdzie by tu zjeść i napić się za darmo — jęknął Mekch. — Wino sam zrobiłem, z porzeczek, mój panie, bo na inne mnie nie stać. Ale dla ciebie nic już nie zostało — ziewnął i zasnął.

— Z porzeczek. . . z porzeczek — mamrotał mag, opuszczając podwórko.

Odprowadzał go wzrokiem gruby królik. W ostatniej chwili Karcen zwrócił uwagę na jego dziwnie znajomy pyszczek. Jakiś czas przyglądali się tak sobie, po czym, nie stwierdziwszy najwyraźniej niczego interesującego, rozeszli się każdy w swoją stronę.

\* \* \*

Od razu wyczuł intencje stojącego przed bramą wędrownego sokoła.

— Dobra, dobra, idę za tobą — mruknął.

Ptak, sadząc niezgrabne kroki, ruszył przez wysoką trawę. Zatrzymał się dopiero nad krawędzią głębokiego dołu i wlepił wzrok w maga.

— Aaa, rozumiem, człowiek spadł tu z nieba — czytał w jego myślach Karcen. — Leżał martwy, potem wstał. . . No tak, to bardzo dziwne.

Sokół nerwowo zatrzepotał skrzydłami i zaskrzeczał.

— No wierzę, wierzę — mruknął mag. — Aha, a potem jakiś olbrzym zabił konia. . . Wziął konia i człowieka na ramiona i odszedł w las?! — dokończył głośniej, obserwując ptaka, który począł niecierpliwie drobić w miejscu.

— No tak, masz rację, wszystkie ślady dookoła to potwierdzają — mistrz obydwoma rękami czochrał się i drapał brodę. — Szkoda tylko, że nic z tego nie rozumiem. . . Trudno, idę ich szukać.

Sokół zapiszczał przeraźliwie i rozpostarł skrzydła.

— Eee. . . nie, nie wiem, co masz o tym myśleć — odparł Karcen. — Słuchaj, nie znam się na ptasich problemach. Bo ja wiem. . . Zbuduj sobie gniazdo albo złap jakąś mysz, a o tej sprawie lepiej zapomnij. . .

Histeryczny pisk sokoła wskazywał, że ptak znajduje się w stanie dość krytycznym, prawdopodobnie był na granicy zawału serca i wylewu krwi do mózgu jednocześnie.

— Dobra, jeśli chcesz, zostań sobie sokołem osiadłym, a nie wędrownym. Najważniejsze, byś nie mieszał się do ludzkich spraw! Miła z ciebie ptaszyna, ale już nie marudź i leć sobie. A poza tym, jadłem już kiedyś pieczonego sokoła. Naprawdę, bardzo mi smakował. Jeżeli chcesz, możemy w ten sposób rozwiązać twój problem. . . — i mag poczłapał w kierunku lasu.

\* \* \*

Sokół przysiadł na krawędzi dołu z zawiedzioną miną. Czuł się dotknięty i wykorzystany. Wzleciał w górę z ostrym piskiem. Zapraagnął zebrać wszystkie ptaki świata w jedno wielkie stado i... właśnie, zadziobać tych wszystkich ludzi! Tak po prostu, żeby więcej nie sprawiali problemów. Oczywiście, należałoby zacząć w jednym, specjalnie wybranym miejscu, na przykład... w małym nadmorskim mieście, i któregoś dnia, zupełnie niespodziewanie, zrobić nalot na wracających z targu mieszkańców, potem na tych w łodziach, potem na tych... Niektórzy pewnie szukaliby schronienia w domach, ale przecież już nigdy by ich bezpiecznie nie opuścili. Tak, to byłoby piękne — marzył sokół — nareszcie ludzie patrzyliby na byle gołębia z wielkim szacunkiem, nie mówiąc już o sokole...

\* \* \*

Bisenna dorzucił kilka gałązek do ognia i wciągnął w potężne nozdrza opar unoszący się nad kociołkiem. Śmierdział prawidłowo, no, może należałoby jeszcze dorzucić trochę kory czarnego miłoptaśca. Bisenna widział krzew niedaleko obozowiska, w jarze przy wodospadzie. Westchnął głęboko i wyciągnął z cholewy sztylet o pięciokątnym ostrzu, pokrytym świętymi runami. Wbił go zamasyście w ziemię, potem w powietrze nad swoją głową, w końcu naciął środek prawej dłoni.

Umoczone w krwi ostrze pociemniało i rozgrzało się gwałtownie, parująca krew zaskwierczała, a Bisenna mamrotał modlitwę do Noca i Dnia — swych największych bogów. Zamieszał sztyłem w kociołku, oblizał go i rozejrzył się dookoła.

Ciszę mącił jedynie szum kołysanych lekkim wiatrem traw i furkot zielonych ważek, których roje mieniły się w słońcu. Przeskoczył przez parkan z powiązanych łykiem gałęzi, ominął wszystkie zastawione przez siebie pułapki i, podpierając się co chwilę długimi rękami, pobiegł po krzew.

Znalazł go dokładnie tam, gdzie zamierzał być go znaleźć, zaledwie dwieście kroków od obozu. Odciał kilka wiotkich gałązek i ruszył z powrotem, rozmyślając nad swoim losem i prawdziwością przepowiedni swego mistrza.

Tuż przed opuszczeniem Fraternalnego mistrz wróżb przepowiedział mu rychłe spotkanie z bogami. Bisenna z radością pomyślał wtedy o chwalebnej śmierci w samotnej walce z pułkiem ciężkozbrojnej jazdy lub czymś równie imponującym. Okazało się jednak, że wielcy Noc i Dzień pozwolili mu żyć nadal, zsyłając swego posłańca, a jego pana i przewodnika. Co prawda Bisenna nigdy nie przepuszczał, że jego przewodnikiem może być chuderlawy rycerz z barbarzyńskiego kraju, pamiętał jednak, że Noc i Dzień przede wszystkim cenią sobie dobry dowcip i wykorzystują wszelką okazję, by zadrwić, a tym samym wystawić na próbę swych wyznawców.

Już dochodził do obozowiska, gdy poczuł nagle obcą woń, jakby mieszankę ludzkiego potu, tabaki i jeszcze czegoś niepokojącego. . . Przywarł do ziemi, bezszelestnie wyciągnął dwa miecze, zamocowane pod pancerzem na plecach, i doczołgał się do ogrodzenia obozu. Przy ogniu siedział wielki grubas i mieszał patykiem w kociołku. Bisenna zbliżył się do pleców intruza i napiął wszystkie mięśnie.

— Widzę cię, widzę! — zawołał, nie odwracając się, Karcen. — Bądź grzeczny, to życie zachowasz!

Bisenna w pięknym salcie pokonał ogrodzenie, lądując po drugiej stronie ogniska z mieczami skierowanymi w tłuste gardło przeciwnika.

— Bardzo ładnie — mag nadal spokojnie mieszał w kociołku.

— Życie stracisz lub w niewolę się oddasz! — syknął Bisenna. — Tyś pewnie jest Wórsmieci-karcen! Magoćwstrętność! — podniósł głos.

— O nieładnie. . . nieładnie. Nieładnie obrażać kogoś tylko za to, że dostojniej i mężniej wygląda. I niemądrze obrażać potężniejszych od siebie.

Bisenna spróbował spiąć się do ataku, lecz ciało jego pozostało nieruchome, spróbował krzyknąć, lecz z gardła nie wydobył się żaden dźwięk.

Tymczasem Karcen wstał powoli i zbliżył twarz do jego ucha.

— A teraz oddasz całą swoją wodę roślinkom, bo głupi jesteś jak konew — syknął złośliwie mag.

Bisenna poczuł w spodniach wilgoć i z rozpaczą zrozumiał sens czaru. Po nogach, wprost do butów, spływały mu gorące strumienie, a po chwili, gdy cholewy przepełniły się, powstała wokół niego dymiąca kałuża.

— Nie myśl, że zaraz skończysz — szepnął mu do ucha Karcen. — Za jeden obrót będziesz suchy jak wiór, a wtedy dorzucę cię do ogniska i podgrzeję sobie obiad — i, unosząc na zakrzywionym patyku parujący kociołek, oddalił się w kierunku namiotu.

Bisenna nie mógł zrobić nic. Słuchał tylko, jak trzeszczy jego ciało i starał się nie oddychać, by nie rozsypało się w popiół.

\* \* \*

Sendilkelm wyglądał jak po ciężkiej bitwie i to niekoniecznie zwycięskiej. Włosy w nieładzie, umazane błotem i pełne żdźbeł trawy, sinoblada twarz z kilkudniowym zarostem, a do tego, na czole i przedramionach, pulsujące w dzikim rytmie żyły.

Widok ten zaniepokoił Karcena. Wydobył z rękawa złoty mieczyk i jął kreślić w powietrzu, tuż nad twarzą przyjaciela, jakieś znaki.



— Ostatnim razem, gdy cię widziałem, nie śmierdziałeś tak strasznie — otworzywszy jedno oko, wysapał Sendilkelm.

— Lepiej nie podglądaj mych znaków leczniczych, bo rozum do reszty stracisz — odburknął mag i błyskawicznie schował swój mieczyk. — To nie ja śmierdę, lecz lekarstwo dla ciebie. Będziesz to musiał wypić. . . — uśmiechnął się cierpko i podsunął pod nos rycerza parujący kociołek.

— Zanim złożysz logiczne wyjaśnienie zaistniałej sytuacji, którego już teraz się domagam, powiedz, wspaniały mistrzu magii, w jaki sposób zamierzasz wynagrodzić mi to wszystko? — wysapał Sendilkelm.

Karcen uprzejmie milczał, wiedział, że jego rycerz jeszcze nie skończył.

— Po pierwsze, co się ze mną stało po zjedzeniu twego zaczarowanego placka? — ciągnął Sendilkelm. — Po drugie, co stało się w Atrim w czasie mej nieobecności? Po trzecie, dlaczego musiałem tyle na ciebie czekać? Aha, i ostatnie — tu ściszył głos i brodą wskazał wyjście z szałasów — zabiłeś Bisennę, czy tylko zamieniłeś w coś śmierdzącego?

— No, słyszę, że twój umysł nie bardziej jest zmacony niż zwykle i lepiej się czujesz, niż wyglądasz — mag usadowił się wygodniej na posłaniu, trochę przygniatając nogi Sendilkelma. — Po pierwsze, wypij to wspaniałe lekarstwo, cały kociołek. . . I szybko, póki gorące, żeby nie zmarnować starań naszego drogiego Bisenny.

— To on ugotował to paskudztwo i ja mam to wypić?! Lepiej uzdrów mnie jakimiś zaklęciami i wracajmy szybko do domu.

— Wywar ten jest pełen prymitywnej, lecz skutecznej magii roślinnej i ptasiej i nie ma sensu marnować mych bezcennych umiejętności tylko po to, by ulżyć twemu podniebieniu. Dokładnie zbadałem zawartość kociołka i wierz mi, dzięki niemu szybko staniesz na własnych podszewkach. Wypij grzecznie, a ja ci opowiem, co wiem o ostatnich wydarzeniach. Potem ty przedstawiś mi swoją wersję — mag usadowił się jeszcze wygodniej, w wyniku czego Sendilkelm musiał skulić się w kącie posłania. Tam też, świadom bezsensowności dalszej dyskusji, przystąpił do opróżniania drobnymi łyżkami kociołka. Okropna woń polewki nie miała nic wspólnego z jej, jak się okazało, wybornym smakiem. — Po naszym ostatnim spotkaniu, gdy pojechałeś do Mekcha, zniknąłeś z mego magicznego horyzontu — mag oburącz kręcił wąsy, co świadczyło o jego znacznym skupieniu. — Ma się rozumieć, wiesz, o co mi chodzi?

— No. . . nie widziałeś mnie, bo byłem u Mekcha, tak?

— Niezupełnie. Dzięki magicznemu horyzontowi, prawdziwy mistrz magii widzi wszystko, jak z wysokości orlego lotu — Karcen dumnie zadarł nos. — W promieniu wielu jardów nie ma rzeczy, której by nie dostrzegł, jego ucho słyszy wiele rozmów jednocześnie, jeśli zechce, może zbliżyć się do wybranego stworzenia tak, jakby był tuż obok niego. Nie jest to oczywiście łatwa sztuka,

powiedziałbym nawet, że wielce trudna, dostępna dopiero po sto piętnastej inicjacji magicznej... Na pewno wiesz, co to są inicjacje magiczne?

Sendilkelm bynajmniej nie zamierzał odpowiadać, znużony, wpatrywał się w mokre piórka i trzy maleńkie dziobate czaszki, które znalazł na dnie kociołka.

— No, mniejsza z tym — kontynuował Karcen. — I tak tego nie zrozumiesz. Po prostu zniknąłeś, co zaniepokoiło mnie ogromnie. Musiałem jednak udać się na radę zwołaną przez Raratrina. Sam wiesz, jakie konsekwencje ponoszą magowie, którzy nie skorzystają z zaproszenia naszego władcy. Król obniża im pensje, zmusza do indywidualnych audiencji na stojąco i każe pisać sprawozdania. . .

— Do czego oczywiście nie mogłeś dopuścić — mruknął Sendilkelm.

— No właśnie. Nie moje dobro jest jednak najważniejsze, lecz królestwa, któremu służę — Karcen spuścił skromnie oczy i otarł grubą łzę. — Otóż dowiedz się, że król jest bardzo przejęty moją teorią spisku na jego życie. . .

— A nie był przejęty tym, że dowódca jego wojsk nie przybył na naradę — chłodno przerwał mu Sendilkelm.

— A tak, pytał o ciebie, pytał... tak, tak... Będziesz musiał złożyć szczegółowy raport i coś tam jeszcze... Szczerze mówiąc, nie słucałem... W końcu to twoje sprawy... No, ale na koniec powiedziałem mu, że podążyłeś z tajną misją ode mnie, tylko na razie nie mogę zdradzić, dokąd.

Sendilkelm przewrócił oczami.

— Wielkie dzięki, będę miał wielkie szczęście, jeśli nie stracę stanowiska. W razie gdyby tak się stało, przeprowadzę się do ciebie i pozostanę do końca życia na twoim utrzymaniu.

— Eee, nie wiem, czy zadowolilyby cię, mój drogi, moje skromne warunki — Karcen uśmiechnął się krzywo. — No dobra, dajmy spokój tym głupstwom. Jak mówiłem, Raratrin boi się trochę. Pod szatą nosi pancerz, a siedmiu gwardzistów z obnażoną bronią nie odstępuje go nawet w łaźni.

— Bardzo roztropnie, to tak subtelne, że na pewno nikt niczego się nie domyśli.

— Eee... tego... powiedziałem mu, że z tą gwardią to przesada i że cały dwór, przekonany w ten sposób o rychłej wojnie, cierpi na niestrawność. Wszystko na nic, nie dał się przekonać. Ważniejsze jest jednak to, że rada z królem na czele jest przerażona czymś innym. Otóż wypadek z królewskim rumakiem nie jest odosobniony. Większość koni w pałacu i mieście oszalała. W lazarecie nie nadążają ze składaniem połamanych rak i nóg. Nikt bez strachu nie wchodzi do stajni. A moje zaklęcia działają tylko połowicznie. Owszem, mogę zabić szalonego konia jednym słowem, co musiałem ostatnio kilka razy uczynić, lecz nie mogę go zmusić do posłuszeństwa. Jestem pewny, bo sprawdzałem to na różne sposoby, nawet obejrzałem magiczny horyzont, że nie ma w kraju żadnego zagrażającego nam swą sztuką maga. W jego istnienie nigdy zresztą nie wierzyłem, ale byłem zmuszony wziąć pod uwagę i tę możliwość. Wciąż nie wykluczam istnienia dziwnego spisku na

życie króla, lecz zachowanie koni uważam raczej za wynik jakiejś zamorskiej choroby. Zasięgnąłem już języka w porcie. Muszę przyznać, że kilka tajemniczych wydarzeń nieco uszło mojej uwadze. Sardinella z Pijanego Krakena jest ostatnio dziwnie małowólna, ale to ona właśnie wskazała mi drogę do zaszczurzonego doku w Porcie Szarych Ości, gdzie zacumował korab z Fukerallam. Ów wpłynął do nas niemalże pozbawiony załogi, ocaleli jedynie majtek i kucharz, którzy, obłąkani ze strachu i trawieni dziwną chorobą, opowiadają wszystkim zdumiewającą historię o latających nad morzem oszczepach bogów, jednak o losie swych towarzyszy nic nie potrafią powiedzieć. Podejrzewam, że ten lub inny korab mógł przywlec do Atrim jakąś zarazę. Sprawę bada na razie Wielki Go. Przerwał nawet z tego powodu swe przygotowania do kolejnej inicjacji. Wszystkie statki od dwóch dni stoją na redzie, do portu zawiną dopiero po dziesięciodniu kwarantanny i mojej osobistej inspekcji magicznej. . . Widziałem tu Szerszenia, wydaje się być zdrowy, chyba nie zdążył się zarazić. Aha, nie możesz go wprowadzić do miasta, tak jak nikt inny nie wprowadzi do miasta żadnego żywego zwierzęcia. . . Mówię ci, kupcy szaleją! Tragarze są szczęśliwi i wychwalają mą mądrość pod niebiosa. Nigdy jeszcze nie zarobili tak dużo i w tak krótkim czasie — Karcen spuścił skromnie oczy. — Musisz wiedzieć, że my, mistrzowie najwznioślejszej ze sztuk, zawsze pochylamy się nad maluczkimi świata tego, by ulitować się nad ich nieszczęściem. . .

— Muszę cię zmartwić — przerwał mu Sendilkelm. — Istnieje jednak jakiś obcy, wielki mag, który mnie śledzi. W drodze do Mekcha pochwycił mnie czyjś czar lustrzany. Na szczęście, po krótkim starciu, zniknął. Myślę, że był to rodzaj ostrzeżenia. . . lub czar, który z jakiejś przyczyny, chociażby z powodu zbyt późnego odnalezienia mnie, stracił część swej mocy. Później byłem u Mekcha, lecz nie pamiętam, co się u niego wydarzyło. Może tylko to, że twój urok prawdomówności zadziałał inaczej, niż się tego spodziewałeś.

— Czar prawdomówności! — oburzył się Karcen. — Jestem magiem i tworzę magię, a w razie wyższej konieczności czaruję, zapamiętaj to w końcu! Uroki klecą w swych zmaconych umysłach wsiowi zaklętnicy. No dobra, co było dalej?

— Bisenna znalazł mnie na dnie dołu, jaki podobno wybiłem, spadając z nieba! Jednak, co naprawdę się stało, nie wiem. . . Pamiętam jeszcze, że spotkałem tę wściekłą Anielicę. . . Widziałem też jakieś gwiazdy i słyszałem dziwne głosy. Przeraza mnie to. . . Aha, jednego jestem pewien: za to wszystko odpowiadasz ty!

Karcen to kiwał, to kręcił głową. Sprawiał wrażenie niezbyt skupionego, jego spojrzenie błędziło głupkowato po szafasie.

— Cokolwiek sobie wyobrażasz, prawda jest jeszcze dziwniejsza. Podejrzewam, że lustrzany czar, jak i dziwne zdarzenia w chacie Mekcha, były samoistnymi wyładowaniami magicznymi. No wiesz, jak pioruny w czasie burzy. . .

— Poczekaj, jakie dziwne zdarzenia w chacie Mekcha? Lepiej przyznaj się do wszystkiego, zabiłeś go?! — Sendilkelm aż uniósł się na rękach i usiadł na brzegu posłania.

— Nie myślisz chyba, że mógłbym osobiście zabić kogoś tak niskiego stanu — niechętnie odparł mag. — Żywy był ten twój Mekch, gdy go opuszczałem, tylko strasznie pijany. Powiedz mi lepiej, ile wina wypiliście do tego placka? To bardzo ważne.

— Po trzy, może cztery puchary. . . Bee, nigdy jeszcze nie piłem tak paskudnego wina owocowego.

— Może porzeczkowego?

— Możliwe. Mekch, po części z biedy, a trochę z dziwactwa, pija różne świństwa. . . Powiedz mi wreszcie, co się tam właściwie stało?! — Sendilkelm stęknął, próbując wyprostować nogi.

— Dom Mekcha uległ niewielkiej przemianie magicznej, ale już przywróciłem mu normalny stan. Tak naprawdę, niepokoją mnie jedynie dziwne losy mojego czaru prawdomówności. Albo nieświadomie użyłem jakiegoś silniejszego zaklęcia, albo wino całkowicie zmieniło jego działanie. Wierz mi, takie rzeczy się zdarzają, ale niezmiernie rzadko, na przykład raz na sto tysięcy czarów.

Szkoda tylko, że nie pamiętasz, co działo się z tobą po wypiciu wina! Podejrzewam bowiem, mój drogi, że jesteś wybrańcem bogów i losu. Myślę, że zwykły czar prawdomówności zmieniony został, dzięki nieprzewidzianym i nieprzewidywalnym okolicznościom, w czar poznania prawdy absolutnej!

— Czego? — Sendilkelm złapał się za czoło, wyraźnie był zrezygnowany. — Jakiej znowu prawdy?! Proszę cię, Karcen, wiem, że jak zwykle świetnie się bawisz moim kosztem, lecz skończ już z tą filozofią. Mam dosyć twoich nieudolnych czarów, tego cuchnącego szałasu i wszystkich tych głupot!!! — ostatnie słowa rycerz wykrzyczał z całych sił prosto w niewzruszenie spokojną twarz Karcena.

— No wiesz, ta nieudolna magia nie raz uratowała ci życie. A teraz ty, niewdzięczniku, choć na to zupełnie nie zasługujesz, jesteś prawdopodobnie najmądrzejszą istotą na tym świecie! W każdym razie pod działaniem czaru prawdy absolutnej w twoim umyśle zakodowane zostały największe sekrety świata, gwiazd, przyszłości i przeszłości. Teraz tylko należy znaleźć odpowiednie drzwi do tego skarbcza. Skarbca wartego tronów królewskich całego świata.

— Nic z tego! Nie będziesz mi grzebał w głowie! — Sendilkelm ze zdenerwowania aż wyprostował nogi. — Dlaczego sam nie zjesz placka z zaklęciem i nie popijesz sfermentowanymi porzeczkami?!



— Nie z zaklęciem, tylko z czarem! . . . Gdyby było to tak proste. . . Twoja przygoda jest wręcz nieprawdopodobna. Widocznie zawirowania magiczne, towarzyszące ostatniemu zdematerializowaniu, połączyły się jakoś z pierwotnymi wirami magii. Takie wiry mogą wystąpić zawsze i wszędzie, bez szczególnej przyczyny, albowiem unoszą się w oceanie czarii. Mój czar prawdopodobności musiał być tylko iskrą, która wznieciła pożar. Przyznaję, że czar nie był najwyższej klasy, dlatego wszedł w reakcję z jakimś podłym winem. Ale za to jaką reakcję!!! Wierz mi, oddałbym wszystko, by spotkało to mnie, a nie ciebie. Byłoby to ukoronowaniem mej wiedzy. Kto wie, czego bym potem dokonał. . .

— Skąd w ogóle przyszła ci do głowy taka wersja zdarzeń? To tylko twoje zwariowane domysły. Ja naprawdę nic z tego nie wyniosłem, może poza pękającą głową i bolącymi stawami.

— Opis podany mi przez Bisennę i pewnego ptaka. . .

— Jakiego znowu ptaka?

— Nie przerywaj!!! Ptaka! Sokoła! Nieważne! Otóż opis tych wydarzeń znajduje się w nieznanym nikomu, prócz mnie, księdze, która powstała jeszcze zanim nasi praprzodkowie splodzili naszych przodków. Wyjaśnia ona między innymi, co stanie się z adeptem, który odnajdzie czar prawdy absolutnej. Otóż jego ciało wzleci z rykiem w niebiosa. Tam spotka on bogów i bogów bogów, po czym, napełniony absolutną prawdą i absolutną mądrością, wróci na ziemię. Siła, z jaką ciało adepta

uderzy w ziemię, ma być ogromna, toteż księga zaleca, by czar ten czynić na głębokich wodach jeziora. W przeciwnym razie upadek może być przykry, choć, wbrew wszelkim prawom natury, adept przeżyje na pewno, a jego ciało zostanie najwyżej lekko uszkodzone.

— Lekko uszkodzone?... — mruknął Sendilkelm, masując stawy. — Jakich bogów bogów?

— Eee... Nie mam pojęcia, jakie tam, w zaświatach, mają religie, ale nasi bogowie też chyba mają swoich bogów i to zapewne zupełnie różnych. Pewnie nawet walczą między sobą, stąd trzęsienia ziemi, wojny czy wszelkie okrucieństwa. Zupełnie tak, jak ludzie. No cóż, wszystkiego dowiemy się po śmierci.

— Przypomnę ci tylko, że niczego właściwie nie pamiętam. Tylko jakieś urywane obrazy. Nie masz mi czego zazdrościć, Karcenie. Wrzeszcząca Anielica Śmierci, wirujące gwiazdy, jakieś góry i głos mówiący wierszem, zimno, wiatr, a na koniec ból wszystkich kości, oto wszystko, co dała mi twoja magia. Mam nadzieję, że stary Mekch jakoś przeżyje...

— No, ty również nie jesteś najmłodszy — mag westchnął i podrapał się między brwiami. — Na szczęście żyjecie obaj. Podejrzewam, że Mekch nie przeszedł tego, co ty, bo jego ciało nie opuściło podwórka. Na jedno musimy być przygotowani. Zarówno tobie, jak i szanownemu Mekchowi może się nagle coś przypomnieć, jakiś fragment tej nieogarniętej wiedzy, a wówczas nie możemy niczego

zmarnować. Dlatego wezmę Mekcha pod swoją opiekę. Zamieszka z wszelkimi wygodami w moim domu. Otoczę go kilkoma czarami. . . Obawiam się też, że będę zmuszony się z nim zaprzyjaźnić.

— O to się nie martw! On nienawidzi całego konwentu magicznego, a ciebie w szczególności, zatem przyjaźń wam nie grozi. Raczej uważaj, bo z myślą o tobie może skonstruować jakieś złośliwe mekchanismos.

— To wszystko da się załatwić. Jak zwykle lekceważysz sobie potęgę mej sztuki, ale może to i lepiej. Niech maluczcy nie poznają pełni sztuki naszej, oto jedna z naczelných zasad odwiecznej mądrości. No dobra, skończmy tę bezsensowną dyskusję i pomyślmy, co robić. . .

\* \* \*

Tymczasem słońce zmieniło już barwę na pomarańczową, a roje zielonych ważek, ogarniętych wołą przedłużenia gatunku, opadły między trawy. Ściekająca z Bisenny woda utworzyła kałużę, która z sykiem zalała ognisko. Z pobliskiego strumienia co chwilę wychylały swe łebki rybki gnilduszne. Jak zwykle miały nadzieję usłyszeć ludzki śpiew, który ukołysze je do snu. Odbywały właśnie doroczną wędrówkę w poszukiwaniu sensu swego istnienia i, jak co wieczór, szukały miłej zatoczki na noc, najlepiej w pobliżu ludzi.

Niestety, jedyny głos człowieczy, dochodzący z szałas, wcale śpiewu nie przypominał.

\* \* \*

— Gdy słyszę te twoje „pomyślmy, co robić”, wiem, że masz już cały plan gotowy, mam rację?

— W rzeczy samej. Modłę się do bogów o chociaż chwilową mądrość dla ciebie, byś ów plan mógł pojąć.

— Zamienię się w wielkie ucho, jeżeli tylko wyjaśnisz mi jeden drobiazg. Co zrobiłeś z Bisenną? Może ci nie mówiłem, ale od czasu tego pożałowania godnego pojedynku postanowił zostać moim obrońcą.

— Świetnie się składa, ktoś taki przyda ci się już niedługo, gdyż mroczną i zdradliwą ścieżkę widzę przed tobą w przyszłości.

— O bogowie! Zaraziłeś się od niego gadulstwem i, zdaje się, kolejną odmianą głupoty! — jęknął Sendilkelm.

— Nie, ale o rzeczach wielkich pięknie się godzi wysławiać. . .

— Wiem, wiem, a we wrogów słowem niczym łajnem ciskać!

— No właśnie! Widzę, że nie jest ci obce rycerskie wychowanie. Aha, nasz przyjaciel podlewa rośliny. Później przypomnij mi, byśmy wsadzili go do strumienia, to trochę napęcznieje, napoi się. . .

— Czyżby zaproponował, że zakopie cię na pustyni głową w dół, jak zwykł był to czynić z magami w swej rodzinnej Fraterni? — zachichotał rycerz.

— We Fraternali nie ma nikogo, kto byłby godzien nosić tytuł maga. A Bisenna, ponieważ jest odważny i zwinny, może być i będzie twoim towarzyszem. . .

— No, no, chętnie usłyszę, co znowu knujesz względem mej osoby.

— Zatem, posłuchaj, oto mój plan. . . Dziwne nastały czasy, a zdarzenia ostatnich dni wymagają mej wzmożonej opieki magicznej nad całym terenem Atrim. Udaję się do mej twierdzy w najwyższym zamku i otoczę magicznym horyzontem całe nasze ziemie. Jednocześnie nadal będę szukał śladów obcej działalności magicznej. Będę również informował cię na bieżąco, a w jaki sposób, powiem za chwilę. Radę królestwa wspomogę mój następca, Wielki Go, oraz reszta konwentu. Nie istnieje realne zagrożenie wojny z sąsiadami. Wiem to, gdyż podsłuchałem, magicznym podstępem, ma się rozumieć, myśli władców Mnog Oz i Fraternali. Mają obecnie więcej kłopotów ze ściąganiem podatków i nielegalnymi sektami religijnymi, niż my w Atrim. Wojna tylko zrujnowałaby ich doszczętnie. Mimo to wojsko w stolicy będzie w pełnej gotowości. Tak na wszelki wypadek, na przykład, gdyby kupcy zaczęli się buntować. . . Podejrzewam, że te wszystkie oryginalne wydarzenia magiczne, które nas ostatnio spotkały, mają związek z rękawicą bojową Timajczyków. Moi magowie z konwentu odnaleźli chłopca, od którego ją kupiłeś. Obadali biedaka na wszystkie możliwe i niemożliwe sposoby i jedno jest pewne, któregoś dnia wyorał ją po prostu ze swojego pola, przy czym do dzisiaj nie wie, co wyorał. . . Udasz się zatem w góry z sekretnym poselstwem ode mnie

do władcy Timajczyków. Jak wiesz, wspomina mnie przyjaźnie, więc nie musisz się obawiać, że zabije cię przy pierwszej okazji. . . Będzie ci towarzyszył Bisenna oraz mój wysłannik, który czeka na ciebie już od kilku dni w tawernie Pijany Kraken.

Sendilkelm, chwiejąc się, przeszedł kilka kroków, po czym oparł się ciężko o słupek przy wejściu do szłaasu.

— Nie chcę żadnego maga! W drodze są z wami same kłopoty. Jeśli mam wrócić, muszę pojechać z doborowym oddziałem gwardii. W ten sposób nie zabiją nas pierwsi lepsi bandyci, w którejś z przygranicznych baronii.

— Nic z tych rzeczy, Sendilkemie — Karcen przybrał ton głosu dobrotliwego ojca. — Będzie ci towarzyszył specjalny kompan. Nie jest on magiem, chociaż za takiego się uważa. Wyobraź sobie, przyjąłem go do konwentu osiemdziesiąt lat temu, a on przeszedł tylko osiemnaście inicjacji. Może najwyżej rozpałić ognisko z mokrego mułu lub dokonać czegoś równie nieistotnego. Jego magia jest słaba niczym motyl w ostatni dzień lata. Ale w jego umyśle odnalazłem cudowny talent. Widzi on bliską przyszłość, lecz tylko wtedy, gdy kryje ona jakieś niebezpieczeństwo. Ten zmysł jest niezawodny. Przetestowałem to wiele razy, zastawiając na twojego przyszłego przyjaciela wymyślne pułapki i zasadzki. Byłby już martwy setki razy, gdyby nie ów dar przewidywania. Posiada on jeszcze jedną umiejętność. Jest to rodzaj. . . eee. . . powiedzmy słuchu magicznego. Gdy zwraca się do

niego mag tak wielki, jak ja, usłyszy go bez względu na dzielącą ich odległość. Wystarczy, że tylko skieruję ku niemu swe myśli. No i co powiesz na takiego kompana?

— Hm, biedactwo. Przykro się robi na duszy, gdy pomyślę, jaką masz nad nim władzę i co musiałeś zrobić z jego umysłem, by odnaleźć w nim te, tak zwane, wrodzone zdolności.

— Od razu takie brzydkie podejrzenia. My, mężowie zaprzysiężeni najdoskonalszej ze sztuk, nikogo nie zmuszamy, by do nas przystawał. Ten jednak, który się na to zdecyduje, dopóty służyć będzie największemu magowi i wielkiemu konwentowi, dopóki sam za sprawą swych umiejętności nie obejmie wysokiego urzędu magicznego, co ma miejsce dopiero po setnej inicjacji. Widzisz, mój drogi, konwent jest prawie jak wojsko, a ja, jak naczelny wódz.

— Nadal jednak wolę wyruszyć z czterema półkami ciężkozbrojnych niż z nedorobionym magikiem, ale na cóż się zdadzą moje protesty? — Sendilkeim wpatrywał się w czarne niebo.

— W zasadzie na nic.

— Oczywiście, zwłaszcza, że już zdążyłeś przedstawić swój plan królowi, a on zgodził się na wszystko, zgadłem?

— A jakże! Nasz władca to krynica wszelkiej mądrości, lecz wiedz, że jego bezwzględność wobec moich bodaj najmniejszych potknięć jest straszna. Jeśli spadnie ci ze skroni choć jeden włos, poleci za nim moja głowa. . .

— A nie prościej by było, gdybyś zmaterializował się wraz z tym magicznym złodem u króla Timajczyków, wyjaśnił co i jak, i wrócił do Raratrina jeszcze tego samego dnia? Ja wówczas odpocząłbym trochę w mej wieży, na co aż nadto zasłużyłem.

— Król nie zgodzi się, bym opuścił Atrim choćby na chwilę! I ma rację. Samo pojawienie się przedmiotu, który nie powinien istnieć oraz jego wielkie pole magiczne, które odkryłem wczoraj wieczorem, to wystarczające powody do niepokoju, że nie wspomnę o samoistnych wyładowaniach magicznych w okolicy Atrim, szalejących koniach, możliwości zarazy czy o twoim przypadku wreszcie. Twój wojenny kunszt nie będzie tu na razie potrzebny. Muszę mieć szpiega w Kraju Czaszek, a może i gdzie indziej, w każdym razie daleko poza granicami Atrim. Twój towarzysz podróży będzie ci przekazywał wieści ode mnie, wskazując nowe kierunki i cele. . . Kto wie, dokąd zawędrujecie. . . Poza tym, twe doświadczenie i znajomość obcych krain są nie do zastąpienia. A na koniec powiem ci jeszcze, że twa niechęć wobec tak poważnego wyzwania, rzuconego ci przez największego mistrza magii, jest mało rycerska. Wszak masz kolcowęża i burzolota w herbie. Przyznaj, że to do czegoś zobowiązuje. . .

— Karcenie — westchnął Sendilkelm — kolcowężę są co prawda jadowite, ale siedzą głęboko pod ziemią i nie podejmują żadnych wyzwań, zwłaszcza magicznych. A burzloty? Cóż, nikt ich nigdy nie widział, więc nawet jeśli istnieją, to są na tyle mądre, by nie zniżyć swych lotów na



zauważalną wysokość, czyli wiedzą, jak chronić się przed mącicielami ich spokoju. Jeżeli zatem mój herb miałby wyznaczać drogę mego życia, to powinienem spokojnie siedzieć w swoim domu i nie pozwalać, by jakikolwiek nawiedzony mag węszył wokół mnie i namawiał do czegokolwiek. . . Karcenie, zrozum, nie dociera do mnie twa argumentacja. Ta wyprawa, Timajczycy, konie i cała reszta. Wszystko to jest niespójne. Równie dobrze mógłbym siedzieć teraz w Pijanym Krakenie.

— Niech ci się zdaje, że mógłbyś — jęknął poirytowany Karcen. — Wiesz, że kocham cię jak syna, lecz twa wiedza w porównaniu z moją. . . eee, lepiej ich w ogóle nie porównywać. Musisz w końcu pojąć, że największym sekretem właściwych decyzji jest usłuchanie intuicji, a nic jej tak nie rozwija, jak uprawianie sztuki magii. Więc zrozum wreszcie, że gdy wielki mistrz magii i czarii mówi ci, co masz zrobić, to mówi ci to jego magiczna i czariowa intuicja! Intelpekt oraz wszystkie za i przeciw nie mają tu nic do rzeczy! Nie osądzaj mych decyzji, zwłaszcza że twoja intuicja koncentruje się teraz tylko na wygodnym łóżku i. . . no właśnie. . . — Karcen, posapując, wstał i wyszedł z szałasu. Wciągnął głośno wieczorne powietrze i kopnął kamyk w kierunku strumienia.

Ten z pluskiem odbił się od powierzchni i puknął w łebek jedną z rybek gnildusznych, które najwyraźniej nadal miały nadzieję usłyszeć ludzki śpiew.

— Co będzie, jeśli mój kompan zginie?! — wciąż walczył Sendilkelm. — Co będzie, jeżeli wszyscy zginiemy w jakimś dzikim kraju?! Wysyłasz na tak niebezpieczną misję największego wojownika, wodza sił królewskich!

— A co, może mam wysłać nowicjusza, który poślizgnie się na zdechłym krecie i złamie kark, gdy tylko zejdzie z głównego gościńca? I nie przywiązuj się zanadto do swych tytułów. Co roku musisz brać udział w turniejach i pojedynkach, i wiesz doskonale, co by było, gdybyś przegrał. . . Zrozum, potrzebuję inteligentnego przedłużenia poza teren Atrim mych zdolności magicznych. Może zdobyte przez ciebie informacje, nawet te pozornie nieważne, tu, w stolicy, będą decydujące, a może wasza podróż będzie jedynie miłą wyprawą do dalekich krain. Tak czy inaczej jest to jedyna szansa na wyjaśnienie wszystkich niepokojących nas pytań, bo jestem pewien, że odpowiedzi należy szukać daleko poza Atrim. Tylko ty zasługujesz na moje pełne zaufanie i tylko ty udźwigniesz ten ciężar — mag sapał ciężko, jak po każdym zbyt długim przemówieniu. — Do wszystkich chorób nagłych i śmiertelnych, sam nie mogę uwierzyć w to, co mówię, ale na szczęście wierzę w swoją intuicję i ty również musisz!

— A jeżeli odmówię? — zaczął Sendilkelm.

— Nie odmówisz — Karcen dumnie wydał policzki.

— Czy ty zawsze musisz mieć rację?

— Muszę! Za to mi płacą.

— No dobrze. Chodźmy zobaczyć, co tam u naszego Bisenny. Prowadź, mistrzu.

\* \* \*

Musieli zmrużyć oczy, by dojrzeć Bisennę wśród oparów, poza tym znacznie się zmniejszył.

— No, Sendil. Weźmy go pod pachy i wrzućmy do strumienia. Bisenna uzupełni sobie wodę! — wesoło krzyknął mag.

— Może łatwiej będzie, gdy go odczarujesz i sam się zanurzy. Nie chce mi się dźwigać.

— No, niby mógłbym... eee... wiesz, nie jestem pewien, czy nie zrobiłby sobie krzywdy. Ma w sobie tak mało wody, że tylko siła magii trzyma go przy życiu. Gdyby się ruszył, mogłaby mu odpaść ręka albo i co innego...

— Musiałeś być aż tak złośliwy?

— Nie musiałem. Za takie obelgi mogłem go od razu zabić lub zmienić, na przykład, w sprężynę do kuszy korbowej... Ale pomyślałem, że dobrze, jeśli w wyprawie będzie ci towarzyszył ktoś, kto udźwignie cały ekwipunek.

— Od tego są chyba konie i osły — Sendikelmowi udało się wepchnąć Bisennę do wody.

— Zaraz napęcznieje i obudzi się. . . A co do wierzchowców, po co ci konie w Timajach? Wdziałaś kiedyś te góry?

— No tak, jakieś pięćdziesiąt lat temu, gdy przeprawialiśmy się do Kilszeszenam. Była z nami konnica, sześć pułków, o ile pamiętam. . .

— Właśnie, a na drugą stronę gór dotarły dwa pułki. Na dodatek były to Timaje Małe, a wy ruszacie w Timaje Chmurne i Timaje Królewskie.

— Hm, ale do podnóża Timajów są trzy dni jazdy z Atrim!

— Przejdziecie się, che, che, che. . . i nie będziecie szli powszechnie dostępnymi drogami. Wiem, wiem. . . Wydaje ci się, że to zbyt męczące. Tak jednak podpowiada mi intuicja i będzie lepiej, jeśli jej bezgranicznie zaufasz.

— Tak, tak. . .

Bisenna powoli wracał do swych pierwotnych kształtów. Siedział w wodzie po pas, oparty o kamień.

Rybki gnilduszne, zachwycone szansą spędzenia nocy z człowiekiem, penetrowały dziury w jego skórzanych nogawkach, nasłuchując, czy aby nie wydobędzie się z nich chociaż jedna śpiewna nutka. Niestety, ich nowy przyjaciel zerwał się nagle na równe nogi, jeszcze szybciej runął do wody, po czym podniósł się i, zataczając się, wyszedł ze strumienia.

— Tu żeś jest, magu przebiegły!!! Walczcz z honnozem tyy... kuppo saddła!!! Honorwalkoć!

— Zamilcz, dobrze ci radzę! — przerwał mu Sendilkeim. — Mówiłem ci, że w Atrim mamy innych mistrzów magii niż we Fraterni.

Bisenna dyszał ciężko i toczył przekrwionymi oczami w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby mu posłużyć jako oręż. Ręce mu drżały, a z ust kapłała krwawa piana.

— Skoro posłuszeństwo jesteś mi winien, o szlachetny Bisenno, wybacz mu niecny uczynek. W podróż razem ruszamy, więc odpocznij trochę i nie drażnij potężniejszych od siebie.

— Twe rozkazy są dla mnie rozkazami bogów — Bisenna przyklęknął niezdarnie na jedno kolano i podparł się rękoma o ziemię. — Pozwól jednak, abym kolejny półksiężyc na ramieniu swym wypalił, co śmierć tego maga oznaczać będzie, gdy tylko z twej służby odejdę.

— A nie mówiłem! — zaśmiał się Karcen. — Odważny do szaleństwa i posłuszny. Jego ci właśnie trzeba. No już, mój drogi paskudo, skończmy z tym. Szacunku cię pewnie nie nauczyłem, wiedz jednak, że życie litości mej zawdzięczasz. Nikt, kto obraził maga tak świetnego, nie pozostał przy życiu, a na pewno nie w ludzkiej postaci.

— Lepiej wybacz mu, Bisenno — wtrącił Sendilkeim. — Widzisz tylko grubasa w głupim kapeluszu, z brodą zaplecioną w warkocze, lecz groźniejszy on jest niż pułk jazdy. Godnego w nim przeciwnika znalazłeś i starcie z nim hańbą cię nie okryło.

— Zatem półksiężyc nie wypalę. Spokojnośromotność! — zrezygnowany usiadł ciężko i zaczął rozmasowywać szyję i barki.

— No, to kamień spadł mi z wątroby. Będę żył! — parsknął śmiechem Karcen, a Sendilkelm zawtórował mu znacznie głośniej.

Wielki Bisenna spojrzął na nich zdziwiony, a już po chwili wszyscy trzej tarzali się po ziemi ze śmiechu.

\* \* \*

Rybki gnilduszne, zaciekawione hałasami na brzegu, wychyliły swe łebki z wody i ujrzały trzech ludzi siedzących przy ognisku, chociaż jedna z rybek upierała się, że jest ich czterech. Koleżanka wyjaśniła jej, że to po prostu jeden człowiek, ten pośrodku, jest gruby za dwóch. Reszta rybiego towarzystwa kazała im się zamknąć, bo jak ludzie ich usłyszą, to nie zaczną śpiewać.

Przewodnik stada dał sygnał i rybki zaczęły kołysać się rytmicznie. Jest to podobno niezawodny sposób na zachęcenie ludzi do śpiewania.

\* \* \*

— Eee... nawet niezłe. Jaki to gatunek? — Karcen oblizał palce i sięgnął po następną, piekącą się nad ogniskiem rybę.

— Chyba gnilduszniaki — mruknął z pełnymi ustami Sendilkelm. — Żadne inne nie są tak głupie, by wskakiwać w spodnie komuś takiemu jak Bisenna.

— Myślały pewnie, że trup. Trupsztywnośćmierność! — Bisenna wyciągnął zza pasa pięcioletny sztylet.

— One tak zawsze — ciągnął Sendilkelm. — Przyptywają do brzegu, gdy tylko usłyszą ludzkie gadanie. Nie wiem, co je tak ciągnie do ludzi, skoro z ich winy kończą na patyku. Mamy szczęście, że to dopiero początek lata. Jesienią, gdy gnilduszniaki wracają z letnich żerowisk, ich mięso tak śmierdzi, że można je zjeść dopiero po ususzeniu.

— We Fraternali łowimy je masowo właśnie jesienią, to wtedy mają odpowiedni aromat. Wonnoświatność! — Bisenna wypluł ość i odciął nożem jeden ze swoich sfilcowanych loków, zakończony kulką z włosów i złotych nitek. — To na pamiątkę, magu. Byś pamiętał, że godnego przeciwnika spotkałeś. A teraz pokój między nami.

— Wielkie dzięki — odparł Karcen. Wziął w dwa palce podarunek i z miną zdradzającą wielkie obrzydzenie schował go do wielkiej sakwy przy pasie. — Rano ruszamy do Atrim. Konia zostawimy u Mekcha, przy okazji zobaczymy, jak się czuje. Potem pójdziemy do mnie.

— Święte słowa, Karcenie. Nareszcie trochę odpocznę i mam nadzieję, że ugościsz również swego nowego przyjaciela, Bisennę.

Bisenna i Karcen spojrzeli na niego identycznie nieruchomym wzrokiem.

— No co, źle mówię? — rycerz podrapał się w głowę i przeciągnął, aż chrupnęły stawy.

— Odpocznij dziś w nocy. W mieście poznacie swego towarzysza podróży i wyruszyacie jeszcze tego samego dnia — stanowczo powiedział Karcen.

— Jak to, mówiłeś? . . . Musimy przecież zgromadzić sprzęt, broń, prowiant. . .

— Agni już się wszystkim zajęła.

\* \* \*

Ranek był chłodny i deszczowy. Pasma mgły snuły się między drzewami, otulając siedzibę Mekcha postrzępionymi welonami. Chmury przemierzały niebo jak brudne, leniwe owce. Co chwilę powietrze przeszywał wrzask gawrońca, obwieszczający, że deszcz ma się ku końcowi (choć każdy chłop wie, że gawrońce często się mylą).

Sendilkelm mocniej naciągnął kaptur, chociaż ten, jak i cały płaszcz, był zupełnie przemoknięty. Stali z Bisenną przed bramą, czekając na maga, który poszedł rozmówić się z gospodarzem. Rycerz próbował poskładać wydarzenia ostatnich dni. Sam nie wiedział, co czuje. Czy jest tylko bardzo zdziwiony, czy może i przede wszystkim wściekły na Karcena, czy też najbardziej żał mu starego Mekcha.



— Długo nie wraca — powiedział Bisenna i odgarnął mokre włosy z twarzy.

— Na pewno niełatwo mu wytłumaczyć wszystko staremu, tym bardziej, że Mekch nienawidzi magów.

— A ktoś ich w ogóle lubi w tym waszym królestwie?

— Hm, nie w tym rzecz, czy się ich lubi. Widzisz, to jak z tym deszczem, jemu jest wszystko jedno, czy go lubisz, czy nie, ale musi padać i ty o tym wiesz. Rozumiesz?

— Tak, rozumiem, że dziwny ten wasz kraj i słusznie ostrzegano mnie przed nim. Tu nigdy nie wiadomo, z kim walczyć, komu ufać i ludzie nie potrafią się normalnie wypowiedzieć. Tu pewnie i gawroniec nie skrzeczy na koniec deszczu, tylko na początek. Ptakoćwstrętność!

— Przyzwyczaisz się. Pokaż mi ten dół, który wyryłem, spadając z nieba.

Zeszli ku niewielkiej łączce i stanęli na brzegu głębokiego na trzech chłopa leja. Na jego dnie deszcz utworzył niewielkie jezioro, w którym taplały się zadowolone żaby.

— To tu — powiedział Bisenna i przykucnął na krawędzi dołu. — Chciałbym wiedzieć, czemu posłańcem bogów zostałeś, panie, i jeśli skrywasz jakieś słowo od nich dla mnie, mam nadzieję, że mi je wyjawisz. Wiedz przy tym, że ciężko mnie Dzień i Noc doświadczyli, zsyłając za przewodnika człeka, który im nie służy, a pewnie nawet w nich nie wierzy.

— Nie zaczynaj znowu — jęknął Sendilkelm. — Nie spotkałem żadnych bogów, a już na pewno nie twoich. Nic nie pamiętam i mam nadzieję, że tak już zostanie. . . To wszystko przez spartaczone zaklęcie Karcena. Wiem tylko, że narażem się pewnej damie i nie mam szans, by mi wybaczyła.

— O, z babami tak zawsze. . . a jak jej na imię, jeśli wolno spytać.

— Anielica Śmierci — spokojnie odparł rycerz i kopnął grudę błota do dołu.

— Aha — zrobił mądrą minę Bisenna. — Jeśli jednak coś sobie przypomnisz, panie, to wiedz, że moi bogowie to wielki Noc i wielki Dzień.

— Postaram się zapamiętać — odparł cierpko Sendilkelm. — Patrz, Karcen. . .

Istotnie, zboczem człapał Karcen i to nie sam. Ramieniem obejmował sięgającego mu do pasa Mekcha. Sendilkelmowi wydało się, że dopadło go senne widziadło, po chwili jednak doszedł do rozsądnego wniosku, że Karcen użył kolejnego, oczywiście w jego mniemaniu zupełnie nieszkodliwego, czaru.

— Witajcie chłopcy! — krzyknął Mekch. — Co tak stoicie nad dołem jak płaczki, umarł kto?!

Zdumiony Sendilkelm nie odezwał się ani słowem, a Bisenna stanął na baczość, obciągając opończę.

— Wytłumaczyłem wszystko naszemu przyjacielowi — radośnie wykrzyknął Karcen i, wskazując ręką na Bisennę, rzekł: — Oto Bisenna, wojownik z dzikich krain. Bisenna, oto Mekch, mistrz

i wielki mędrzec. Co się tak gapisz, Sendil? Prawdziwi mistrzowie, nawet gdy różni ich profesja, zawsze się dogadają. Mekch wpadnie do mej pracowni na dzień czy kilka. No, ruszajmy już. Łap, Bisenno! — Karcen rzucił przed siebie wypchany worek.

— Co w tym jest? — olbrzym podniósł worek na wysokość twarzy i pociągnął głośno nosem.

— Trochę wina i suszone porzeczki — odparł mag i, przytulając wciąż Mekcha, ruszył w kierunku ścieżki.

Sendilkelm bez słowa poszedł za nimi, nie chciało mu się dowieść, co takiego wydarzyło się przed chwilą u Mekcha, nie chciało mu się nawet odwzajemnić pocziwych uśmiechów drepczącego obok Bisenny.

\* \* \*

Tymczasem wędrowny sokół, siedząc na połamanej gałęzi starego dębu, snuł plany ostatecznego zwycięstwa ptaków nad ludźmi. Wymyślił właśnie, że zamiast ataku tysięcy ptaków na nadmorskie miasteczko, wystarczy znaleźć słabego umysłowo człowieka, najlepiej zahukanego grubasa, bo tacy są najbardziej strachliwi i wraz z czterema gołębiami czy mewami porządnie go nastraszyć. Opowie on o tym zdarzeniu innym ludziom, ci mu uwierzą, bo ludzie są głupi i uwierzą we wszystko, co ich przeraża, i powoli strach przed ptakami opanuje całą ludzką rasę.

Z tych marzycielskich rozmyślań wyrwał go znieawidzony dźwięk ludzkich głosów. Spojrzał na przechodzące z absolutnym lekceważeniem jego osoby postacie i zwymyślał je okrutnie. Wtedy grubas, który wydał mu się dziwnie znajomy, podniósł kamień i cisnął nim tak, że sokół mało nie spadł z dębu.

— To miało być polowanie, czy masz coś przeciwko ptakom? — spytał Bisenna.

— Tylko przeciwko temu jednemu.

— Aha — mruknął przybysz z Fraterni i postanowił, że bez uprzedniego zastanowienia nie będzie zadawać pytań żadnemu mieszkańcowi tego kraju.

\* \* \*

Do Atrim dotarli wieczorem. Sendilkelm i Bisenna ledwo wlekli się za parą nowych przyjaciół. Karcen i Mekch właśnie żywo dyskutowali nad wpływem kształtu chmur na ogólny poziom zbiorów i chów ptactwa, Bisenna, pochłonięty swoimi myślami, milczał jak zaklęty, a Sendilkelm ze zdziwieniem uświadomił sobie, że cierpi na odciski. Wtedy dostrzegli bramę swego miasta, a pod nią otyłego mężczyznę, trzymającego za rękę kilkuletnią dziewczynkę. Zachodzące słońce rzucało ich długie cienie na zamknięte wrota. Mężczyzna na widok dostojnego maga skłonił się nisko, a po chwili jego twarz rozjaśnił szeroki uśmiech, pełen kamiennych zębów na złotych drucikach.

— Szendilkelm, witaj przyjaczele — grubas rozłożył szeroko ręce. — Bogowie nam wasz szeszłali. Sztrasz twierdzi, że nikogo po szmroku nie wolno wpuszczacz, a ja sz małą tylko na wycieczkę na plasę poszliszmy.

— Znasz go? — szepnął Sendilkelmowi do ucha Karcen.

— To Windersen, znamy się od dzieciństwa — półgłosem odparł rycerz.

Dziecko spoglądało to na Bisennę, to na maga, w końcu mała bródka zaczęła się trząść i dziewczynka zaniósła się płaczem, wciskając twarz w ojcowską nogawkę.

— Nie becz, Jadranka. Ten pan ma tylko taki kosztium. Pamiętasz bal pszebierańców, tatusz tesz był pszebrany sza sztrasznego potwora. Panowie pomogą nam wejszcz do miasta. Prawda, Szendilkelmie?

— Kim jesteś, panie, że tak śmiało rycerza wielkiego i maga o pomoc prosisz? — wyniośle zapytał Karcen, pukając w bramę.

— Kupczem, misztszu. Pan Szendilkelm był mym pszyjaczelem w dzieczynsztwie. Ja tylko pokornie o pomocz proszę, bo mnie czórka na plaszy roszbawiła i rachowanie w czasie sztraciłem. Do domu my wraczać muszimy, bo szona sz niepokoju szkona. . .

— No to masz szansę zastanowić się, czy w takim razie warto się spieszyć — mruknął Karcen.

Z wartowni nad bramą wychyliła się głowa w szyszaku. Wartownik już miał rzucić jakieś przekleństwo, ale gdy zobaczył Karcena, w okamgnieniu zniknął i brama otwarła się z łoskotem.

— Idziemy — rzucił do tyłu Karcen.

Mimo zmroku na ulicach panował wielki ruch. Nawoływania przekupniów i wrzaski naganiaczy nocnych lokali przeplatały się z piskiem dzieci i dochodzącymi zewsząd propozycjami wieczornych kobiet.

Windersen zginał się w pokłonach i podziękowaniach. Cały czas paplał, jak to świetnie idzie mu w interesach, jak to dobrze, że Karcen zabronił wpuszczać do miasta zwierzęta, bo podniosło to ceny na towary, a w ogóle to, „czto tam szłychacz u Szendikelma, mosze wpadłby na wieczeszę, bo Sziszina, nowa szona Windersena szwietnie gotuje”...

— Tak, u mnie też wszystko świetnie. Spieszmy się bardzo, Windersen. Cieszę się, że mogliśmy pomóc — Sendilkelm klepnął go w plecy na pożegnanie i skręcił za Karcenem i Mekchem w wąską uliczkę.

Mała Jadranka podbiegła jeszcze do Bisenny i uszczypnęła go w odsłoniętą łydkę.

— Tati, on jest prawdziwy! To prawdziwy potwór, ale wcale się go nie boję! — i z piskiem wróciła do ojca.

— Kto to był? — spytał Bisenna, dogoniwszy Sendilkelma.

— Szczęśliwi ludzie. Chodźmy szybciej, wszyscy się na ciebie gapią. Rzadko widują kogoś z Fraterni.

\* \* \*

Tego wieczora chętnych do ugaszenia pragnienia w Pijanym Krakenie nie brakowało. Tłoczyli się przed poczerniałymi ze starości zębami portalu tawerny. Do środka mogli wejść tylko ci, którzy spodobali się lub słono zapłacili strażnikom, wzrostem niewiele ustępującym Bisennie.

— Precz hołoto! Mamy już komplet. Wpuścimy kogoś tylko wtedy, gdy ktoś wyleci ze środka. Ale za wejście i tak będzie trzeba zapłacić!

Karcen przystanął, pochłonięty rozmową z Mekchem.

— To tu? — upewnił się Bisenna.

— Tak. Pewnie dziś występują nowe tancerki, chociaż w zasadzie to zawsze tu tłoczno — odparł Sendilkelm.

— Ciekawe, skąd wzięli te zębiska. Krakeny widuje się tylko żywe i nie słyszałem, aby komuś udało się jakiegoś złowić. We Fraterni rybacy na widok krakena zawracają, by nie były to ich ostatnie łowy.

— Może fale wyrzuciły to ścierwo na plażę. . .

— Bogów lepiej nie obrażaj! — syknął Bisenna. — Krakeny to ukochane dzieci bogów, po śmierci płyną prosto do niebios. . .

— A wiem, twoi Noc i Dzień. . .

— Pohamuj swą mowę, panie, gdyż nie wiesz, co mówisz! Litośćbogoć! — jęknął Bisenna, a rękami wykonał niezrozumiały, zapewne święty gest. — Jeśli ktoś zabił tego krakena, którego szczęki tu widzimy, musiał on być wysłańcem bogów i nieziemskim mocarzem.

— No pewnie, to przecież rozumiałe. Że twoi bogowie wysyłają swych herosów specjalnie po to, by załatwili karczmarzom jakieś ciekawe drzwi do knajpy.

Bisenna poczerwieniał na twarzy, pochylił swój kosmaty łeb i już miał coś powiedzieć, gdy ktoś huknął go zdrowo w krzyż.

— Ej, grubasie! — to był Karcen. — Może załatwiłbyś nam parę wejściówek?

Bisenna pomyślał przez chwilę, po czym bez słowa rozsunął tłum na boki i przedarł się do drzwi, ciągnąc za sobą towarzyszy. Tłum najwyraźniej nie był zadowolony, w mroku błysnęło kilka sztyletów. Ich właściciele zrozumieli swój błąd dopiero po bezpowrotnej utracie sztyletów wraz z palcami, które Bisenna wyrwał, a następnie rozgniół na miazgę pod butem. Na strażnikach nie zrobiło to najmniejszego wrażenia.



— Ty, ojcie magii, możesz wejść! — wrzasnął jeden z nich. — Pamiętaj, że szanujemy cię i twą sztukę. A reszta precz, bo wyciągniemy miecze!

Karcen nie odezwał się ani słowem, uśmiechnął się tylko krzywo i popatrzył na Bisennę. Tłum rozstał się nieco, oczekując krwawego widowiska.

— Podnieś tylko miecz, bym miał na co wbić twą głowę! — syknął przenikliwie Bisenna.

— Możesz mu wierzyć — dodał Karcen, po czym cała czwórka wcisnęła się do środka przez usłużnie uchylone drzwi.

Hałas wydawał się nie do zniesienia. Pijani muzykanci okupowali środek sali i dwie przeciwległe łoże. Każda grupa grała co innego i to tak głośno, by zagłuszyć konkurencję. Dziesiątki mężczyzn wpatrywały się w tańczące na stołach dziewczęta. Inni obrzucali się wyzwiskami i resztkami jedzenia. Wszyscy byli pijani, niektórzy wręcz nieprzytomni. Najlicniejsza grupa tłoczyła się w przejściu do drugiej sali, skąd biło gorące powietrze, zmieszane z wonią spoconych ciał.

Bisenna utorował sobie drogę do baru i krótkimi spojrzeniami namówił kilku wojowników, by ustąpili miejsca nowym gościom.

— Karcenie, mój piękny, już się cię nie mogłam doczekać — Sardinella uśmiechnęła się przeraźliwie zza kamiennego blatu. — Jakież to trunek zwilży dziś tak szlachetne gardło? A może poda ci go na zapleczu jedna z moich tancerek? O, widzę również szlachetnego Sendolikonemna.

A ci dwaj, to pewnie wasi nie mniej szlachetni przyjaciele. Najwyraźniej jeden przybył z Fraterni. Nie licz, mój panie, że pozwolę, byś uszkodził którąś z moich dziewcząt. . .

— Dosyc już, pani Sardinello — śmiejąc się, odpowiedział mag. — Daj nam po garncu granatowego i powiedz, gdzie szukać tego, którego szukam.

Sendilkelm zauważył, że Karcen robi wszystko, by upodobnić się do zwykłego bywalca tawerny. Zdjął kapelusz, zgarbił się nieco i nawet wzrok mu zmętniał. Pochylił się nad dzbanem, dotykając brwiami jego brzegu, i ukradkiem rozejrzał się po sali. Nikt nie zwracał na nich uwagi, co, zważywszy na oryginalność ich kompanii, było prawie niemożliwe. Karcen przechwycił zdziwione nieco spojrzenie Sendilkelma i łobuzersko puścił do niego oko. Zachwycony Mekch z otwartymi ustami błędził spojrzeniem pomiędzy tańczącymi dziewczętami a butelkami kolorowych płynów za ladą, Bisenna zaś siedział nieruchomo, obojętny na wszystko, co działo się wokół.

— Idźcie do drugiej sali. Tam jest wielki turniej — powiedziała Sardinella. — Pamiętasz Sendilkolemnie swego ojca? Dziś znowu walczy o swój mistrzowski tytuł. . . Tam też czeka na was przyjaciel Karcena.

Ruszyli w stronę drugiej sali, lecz po kilku krokach Sendilkelm odłączył się od reszty i wrócił do kamiennej lady.

— Pani Sardinello, miała pani umówić mnie z jakimś magiem spoza konwentu. I dlaczego udaje pani przed Karcenem, że nie pamięta poprawnie mego imienia?

Sardinella spojrzała na rycerza i zaczęła bawić się jednym z pierścieni na kciuku. Pochyliła tułów do przodu, aż jej gigantyczne piersi przysłoniły ładę i wymierzyła swój cuchnący, piwniczny oddech prosto w nos Sendilkelma.

— Wierz mi, panie, kocham cię jak syna, którego nigdy nie miałam, kocham też ojca twego, co wieki temu rozum stracił i w zawodach o silniejszą rękę u mnie na życie zarabia. Znalazłam maga dla ciebie. Daleko poza Atrim go znalazłam. Moi ludzie przysięgli, że jest on spoza konwentu. Nie kłamali, panie, jako i ja ci prawdę mówię. Nikt z wielkich magów Atrim nie potwierdził, że człek ten do konwentu należy.

— Do rzeczy, kobieto — mruknął rycerz.

Sardinella uśmiechnęła się szeroko.

— Hm, kobieto... to miłe. Gdy tylko mag ów tu przybył, zjawił się Karcen i po kilku kolejkach czerwonego pełnego wyszli razem jak kamraci. Co ja mogę zrobić przeciwko Karcenowi? Wrócił nazajutrz i kazał, bym ci to wszystko powtórzyła, gdy tylko się zjawisz. Rozumiesz coś z tego, piękny panie?

— Jedyne to, żebyś szybko o wszystkim zapomniała — odpowiedział Sendilkelm.

— Karcen twierdził, że tak właśnie odpowiesz.

Sendilkelm milcząco pokiwał głową i poszedł do drugiej sali.

\* \* \*

Turniej na siłę ręki był każdego miesiąca najważniejszym wydarzeniem w tawernach portowych Atrim. Tylko nieliczni wiedzieli, że nieustający faworyt zawodów, Wielki Suddolik, jest ojcem Sendilkelma. Sam Sendilkelm dowiedział się o tym stosunkowo późno, bo dopiero po trzeciej wyprawie wojennej, uwieńczonej mianowaniem go na dowódcę sił królewskich. Wcześniej Karcen i inni nauczyciele ze szkoły wojskowej utwierdzali go w przekonaniu, że jest synem poległego dowódcy floty wojennej.

Jeszcze w poprzednim stuleciu, w czasie jednej z wojen z Mnog Oz, Suddolik dostał bełtem z kuszy dokładnie między oczy i w tym samym momencie stracił rozum, jak i całą niemalże pamięć. Od tego też czasu praktycznie mieszkał w Pijanym Krakenie, zresztą ku wielkiej uciesze Sardinelli, która wreszcie miała kogoś, kto w każdej chwili mógł wyrzucić niechcianego gościa za zębate wrota. Poza tym był zupełnie nieuciąźliwy. Przyzwoicie zarabiał na zakładach i walkach, a to dlatego, że zawsze wygrywał. Od lat też posilał się wyłącznie niewybrednymi trunkami, co oczywiście dodatkowo rozcieńczało mu umysł. Nie zmieniało to jednak faktu, iż każdy mieszkaniec Atrim żył

w przeświadczeniu, że gdyby nie ta chora głowa, Suddolik byłby największym żyjącym mocarzem i wojownikiem.

Ponadto ludność miasta kojarzyła siłacza z pewną drażniącą ich ciekawością tajemnicą. Otóż Wielki Suddolik od czasu do czasu po prostu zapadał się pod ziemię. Niekiedy nie było go dzień, a czasem pół roku. Wracał nagle i bez wyjaśnień zajmował swoje ulubione miejsce w rogu kamiennej lady. Na żadne z dociekliwych pytań nie potrafił lub nie chciał odpowiedzieć. Twierdził, że nigdzie przecież nie wychodził, i rzeczywiście zachowywał się tak, jakby wydarzenia dnia poprzedzającego jego zniknięcie miały miejsce wczoraj, a nie wiele tygodni czy miesięcy wstecz.

Sardinella otaczała go swoją opieką jak mogła najlepiej. Niektórzy twierdzili, że kocha się w nim bez pamięci, jednak, jeżeli nawet tak było, nie miała szans na odwzajemnienie uczuć. Wielki Suddolik od czasu owej nieszczęsnej wojny nie zauważał kobiet nawet wówczas, gdy tańczyły przed nim najbardziej wytrwałe, zwinne i ponętne tancerki. W ogóle, kojarzył coraz mniej. Wśród wszystkich znajomych zdarzało mu się rozpoznać jedynie własnego syna lub któregoś z magów.

\* \* \*

Wokół ośmiokątnej stołu kłębili się półnaczy mężczyźni. Jedni wcierali w ramiona maści przeciwbólowe i poddawali masażom mięśnie, inni opatrywali zadane już rany.

Kapela grubasów rozłożyła swe instrumenty na drewnianej antresoli. Po pierwszych skocznych nutach skrzypiec, dwóch mężczyzn zaintonowało basem pieśń, podchwyconą natychmiast przez wielkie bębny, tłum gości i pięć tancerek, które ciałami odzianymi jedynie w haftowane szarfy i szklaną biżuterię poczęły wybijać szalony rytm melodii.

*Nad kurhanem ojców naszych  
wiiiisi mgła!*

*Nad kurhanem ojców naszych  
gwiaaaazdy łza!*

*W ziemię wbity miecz  
pokryyyła rdza!*

*Nad kurhanem ojców naszych  
wyje wiaaatr i łka!*

*Nie znają miecze nasze  
cooo to strach!*

*To o nas panny marzą  
w swoooich snach!*

*Lecz nigdy śmierci w boju*

*nieee szukamy!  
Wrogów mieć nie chcemy  
i nieee mamy!  
W tawernie swój bojowy  
maaamy chrzest!  
Żywy rycerz lepszy niżli  
maaartwy jest!  
Kurhany ojców naszych  
roozkopiemy!  
Całe stosy złota  
z niich weźmiemy!  
W winie i gorących pannach  
uuutoniemy!  
Duchy ojców naszych przyjdą  
w kaaarczmy progi!  
Drogę do nas wskażą im  
dostoojne bogi!*

*Duchy ojców naszych znowu  
się uuuśmieją!  
Lepiej żywym być niż martwym  
To oooni rozumieją!  
Duchy ojców naszych lubią  
naaasze tańce!  
Nasze karczmy, dzbany wina  
i z pannaami harce!  
Nie chcą oni bowiem, byśmy  
śmieeeerć spotkali!  
Ze sztandarem i honorem  
w żyyyicie grali!  
Wszak król często głupcem jest!  
A za głupca ginąć, głupio jest!  
Wszak po śmierci duch też  
się radooować może!  
Zobaczyć z nami butli dno*



*i paaanny łoże!*

*Każdy z duchów ojców naszych*

*znów szczęśliiwy jest!*

*Wszak po śmierci człek mądrzejszy*

*niż zaaa życia jest!*

*Nad kurhanem ojców naszych*

*wiisi mgła. . .*

Pieśń powoli cichła i wraz z nią kończyły się przygotowania do turnieju. Snop światła zawieszzonego pod sufitem lampionu padał prosto na Suddolika, odsłaniając przed wszystkimi imponującą rzeźbę jego barów. Na nagim torsie lśniły przerażające blizny, a fantastyczne mięśnie ramion podkreślały stalowo-złote obręcze. Większość gości po raz kolejny musiała przyznać, że Suddolik bardziej niż żywego człowieka przypominał brązowy posąg boga wojowników. Twarz miał zupełnie obojętną, z zamyślnym, lekko nieobecny spojrzaniem. Wiedział, że wygra.

Bisenna zmierzył go wzrokiem.

— Chcę walczyć z tobą, panie!!! — ryknął.

— Musisz pokonać dwudziestu przeciwników, by walczyć z mistrzem — powiedział karzeł, zjeżdżając po zwisającej z sufitu linie.

— A kimże jesteś, by odzywać się do mnie bez strachu? Strachobyleczliwość!

— Sędzią tego turnieju — zadarł głowę mały człowieczek. — Spróbuj się nie zastosować, a moi ludzie ustrzelą cię z łuków, śmieszny panie, jak guźca!

— Bisenno, nie mamy wiele czasu — Karcen pociągnął przyjaciela za opończę.

— Spotkałem w końcu godnego przeciwnika. Walka i zdobywanie tytułów są moim obowiązkiem — odparł dumnie Bisenna.

— No dobra. Postaraj się tylko, by nie złamał ci ręki. Ja i Mekch załatwimy w tym czasie coś na zapleczu. Aha, Sendikelm gdzieś przepadł. Jak tylko się zjawi, powiedz mu, by udał się do komnaty zielonych dywanów — Karcen podniósł pijanego zupełnie Mekcha, po czym obaj, obejmując się mocno w pasie, ruszyli w stronę wyjścia.

— Spieszno mi, mistrzu turnieju — głośno oznajmił Bisenna. Złapał karła pod pachy i podniósł na wysokość swej twarzy. — Będę siłował się jednocześnie z ośmioma, po czterech na każdą rękę! Czy masz coś przeciwko temu?!

— Przeciwnie, z przyjemnością popatrzę, jak łamią ci kości. Jak ci na imię, panie? Pytam, bym mógł twą walkę ogłosić jako błazeński przerywnik w naszym turnieju.

Bisenna nie odpowiedział, postawił karła na ziemi, obnażył tors i oprął o stół oba łokcie. Otoczyło go ośmiu finalistów i tyleż spoconych rąk chwyciło jego przedramiona. Gdy tylko karzeł machnął kraciastą chustką, Bisenna wyciągnął głowę i przeciągle zawył jak wilk. Właściwie w tym samym momencie zamilkł i uśmiechnął się do bezładnej kupy finalistów, wijących się pod jego ramionami. Wszyscy ze zrozumieniem przyjęli poddanie się bez walki pozostałych zawodników i sędzia ogłosił finał pomiędzy Wielkim Suddolikiem i Bisenną z Fraterni.

Ludzie, wrzeszcząc, stłoczyli się w poszukiwaniu najlepszych punktów obserwacyjnych, lecz zabójcze spojrzenie Suddolika uciszyło ich całkowicie.

Suddolik i Bisenna skrzyżowali nadgarstki.

— Na sztylety czy na świece, mistrzu? — zapytał cicho karzeł.

— Na świece. Żał by było uszkodzić tak walecznego męża, jak nasz przyjaciel z dzikich krajów — niski głos Suddolika zadudnił po knajpie jak dzwon.

Pośrodku wyznaczonych na stole kręgów ustawiono świece z potrójnymi knotami. Chustka sędziego opadła w dół, a wielka ręka Bisenny w mgnieniu oka z hukiem zgasiła trzy płomyki. Dociskające ją ramię Suddolika nawet nie zadrżało.

— O, widzę, że się już poznaliście — Sendikelm klepnął Bisennę w kark. — To mój ojciec — wskazał Suddolika, który wolną ręką wlewał w siebie wielki dzban wina.

— Ttto. . . to może poproś go, by mnie uwolnił — jęknął Bisenna, a jego oczy nabiegły krwią.

— Ojcze, to ja — Sendilkelm machnął ręką przed nosem Suddolika.

Ten podniósł ramiona w górę i uściskał Sendilkelma.

— Jak już skończysz rodzinne spotkanie, szukaj nas w komnacie zielonych dywanów — mruknął Bisenna, rozcierając bolące ramię.

Ludzie zdążyli się już rozejść. Zawody były skończone i ten, kto postawił na starego mistrza, miał dziś za co pić. Pomimo przegranej, przybysz z Fraterni mógł cieszyć się zyskanym nagle szacunkiem, a raczej świętym spokojem, gdyż wokół olbrzyma utworzyła się przestrzeń absolutnej pustki i nikt z gości nie próbował nawet rzucić na niego okiem.

— Synu, czemu tak rzadko mnie odwiedzasz?

— To ty rzadko mnie poznajesz, gdy tu przychodzę — Sendilkelm usiadł na ławie. — Gdy byłem tu w zeszłym miesiącu, wyzwaleś mnie na pojedynek.

— Wygrałem? — Suddolik rozpromienił się.

— No tak, jak zwykle zresztą. . .

— Wiem, Sendil, że czasem coś dziwnego dzieje się z moją głową. Nic na to nie poradzę, jednego dnia poznaję ludzi, a drugiego nie. Przynajmniej możesz być dumny z tego, że zawsze wygrywam. Powiesz to swej matce?

— Zmarła przecież z górą czterdzieści lat temu.

— Ależ skąd, mój drogi. Była tu przedwczoraj. . . Spędziliśmy rozkoszny wieczór w komnacie różowych dywanów — Suddolik rozmarzonym wzrokiem zapatrzył się w sufit.

— No tak — mruknął zrezygnowany Sendilkelm. — Wyruszam w podróż i może długo mnie nie będzie. Mam nadzieję, że się spotkamy po moim powrocie — położył dłoń na rękę ojca. — Mam także nadzieję, że gdy wrócę, nie znikniesz akurat na miesiąc lub dłużej.

— Nie ma obaw, mój mały. Od lat się stąd nie ruszam — westchnął i ponownie utkwiał wzrok w okopconym suficie. Po chwili opuścił oczy i ze zdziwieniem spojrzął na dłoń Sendilkelma ściskającą jego pięść.

— Czego chcecie, panie rycerzu? — zapytał powoli, z wyczuwalną groźbą w głosie. — Turniej już się skończył. Dziś już nie będę walczył.

— Nic... nic... — Sendilkelm wstał szybko i cofnął się o krok. — Chciałem pogratulować wygranej, Wielki Suddoliku.

— Najlepiej pogratulujesz, przynosząc coś kolorowego we flaszy.

Sendilkelm skłonił się dwornie i wzdychając raz za razem, opuścił salę.

\* \* \*

Korytarz na zapleczu przywitał go ciężką wonią drogocennych kadzideł z wysp Pomenloj i krwistoczerwonym światłem z lampionów w kształcie serc. Na końcu siedział znużony przeraźliwie grubo strażnik. Sendilkelm odchrząknął i rozgonił zatykające nozdrza opary.

— Które drzwi prowadzą do komnaty zielonych dywanów?

— Tam nie wolno. Tam mag — wybełkotał strażnik i z trudem wstał z ławy.

Przestrzeń korytarza zarówno w swej szerokości, jak i wysokości była dla niego niewystarczająca, więc pokurczył się cały i opuszczając głowę poniżej własnych piersi, zajrzał ponuro w oczy rycerza.

— Ja wiem, tam mag, ja jego przyjaciel — Sendilkelm najwyraźniej wiedział, jak osiągnąć poziom rozmowy wystarczający do porozumienia z geniuszem naprzeciwno.

— Ano mówił... mag mówił... Sendil. Ty to?

— Ja to — westchnął Sendilkelm.

W tym samym momencie drzwi na końcu korytarza uchyliły się, wypełniając powietrze dźwiękami fletu i damskim chichotem. Zza framugi wyjrzała rozczochrana głowa Karcena.

— Nie marudź tam, Sendil! — wrzasnął i zamachał ręką.

— A niby jak mam wyminąć tego bydlaka!?

— Bydlak się cofnie — smutno powiedział strażnik. — Bydlak siądzie na ławie na końcu korytarza. Ty wejść. Wtedy możesz.

Tak też uczynili.

W komnacie panował jeszcze większy kadzidlany zaduch niż na korytarzu. W powietrzu wirowało kilka kolorowych obręczy, wewnątrz których płaśły niczym ważki cztery tancerki, ubrane jedynie w błyszczące naszyjniki i bransoletki na kostkach. Jedna z nich, zawieszona do góry nogami, przyciskała do głowy kapelusz Karcena. Bisenna i Mekch siedzieli z rozdziawionymi gębami na zielonym dywanie, klaskali w dłonie w rytm melodii, wygrywanej na flecie przez dziewczynę siedzącą na wysokim stołku.

Sendikelm nie mógł oderwać oczu od śliskich ciał. Przypomniawszy mu się nagle słój, w którym Agni trzymała kiedyś kolorowe rybki morskie. Potrząsnął głową i zrobił kilka mocnych wydechów. Był tu tak dawno, że zapomniał o specyficznym działaniu zamorskich kadzideł.

— Widzę, że znowu popisujesz się tanimi sztuczkami. Zaiste wielka to magia, godna właśnie tak wzniosłego mędrca jak ty — powiedział do Karcena, obłapiającego na stercie poduszek trzy, a może cztery dziewczęta, było to trudne do oszacowania, gdyż wszyscy machali nogami.

— Nie marudź, Sendil. Dziewczynom się podoba. Mogą sobie trochę polatać. Poza tym obiecałem im, że Bisenna zaraz do nich dołączy. Widzisz, magia może dawać ludziom radość. Niestety,

nie wszyscy potrafią to docenić, oporni pozostają zwłaszcza nudni rycerze. Ale nie martw się, nie musisz tu zanudzać się z nami. W pokoiku obok jest wasz nowy kompan. Tylko poczekaj chwilę, aż będzie sam.

Sendilkelm westchnął i usiadł pod ścianą. Przyglądał się powietrznym tańcom i musiał przyznać w duchu, że ten pomysł starego sprawia mu przyjemność.

Z drzwi do pokoiku obok wyszła wysoka brunetka i spojrzała pytająco na Karcena. Ten skinął uprzejmie głową, a gdy pomachał palcami lewej dłoni, dziewczyna lekko uniosła się w powietrze, by po chwili dołączyć do swych koleżanek. Z pokoiku wynurzył się z kolei niewielki mężczyzna w wysoko zapiętym pod szyję, robionym na drutach kaftanie. Jego pociągłą twarz wydłużały dodatkowo kozia, czarna bródka i łysina.

— Myślę sobie, żeś ty jest pan Sendiloken. Ja jestem Al Cheger. Mag po licznych inicjacjach i przyjaciół Karcena.

— Myślę sobie, że nazywam się jednak Sendilkelm — wycedził przez zęby rycerz — a twój przyjaciel Karcen nie zawsze twierdzi, że jesteś magiem.

Sendilkelm spodziewał się, że ich nowy towarzysz nie będzie wielkim wojownikiem, skoro wybrał go Karcen. Jednak to, co zobaczył, budziło w nim wątpliwość, czy Al Cheger kiedykolwiek opuścił chociażby własne podwórko. Wyglądał na chorowitego i bardzo osłabionego. Miał bladą



skórę, widoczną niedowagę, drobne barki i smukłe jak u kobiety ramiona, a do tego jeszcze długie, wypielęgnowane paznokcie.

Al Cheger podszedł drobnymi kroczkami do rycerza i podał mu dłoń na powitanie. Była zimna, spocona i koścista.

— Al, przyjacielu, chodź do nas! — zawołał wesoło Bisenna, wirując pod sufitem z dwoma pięknymi blondynkami.

— Wpierw z panem Sendilkolemnm sprawy podróży omówić muszę. Niech twój umysł i twoje ciało zjednoczą się w przyjemności, wielki przyjacielu, bo kto wie, na jakie niewygody dzień jutrzejszy nas skaże.

— Następny do kolekcji moich ulubionych mówców — mruknął pod nosem Sendilkelm.

— Odpowiedz sobie na pytanie, panie Sendilokemnie, nie podoba ci się treść czy też może forma mej wypowiedzi?

— Jedno i drugie — odparł rycerz. — A nazywam się Sendilkelm i nie mów mi, że nie podoba ci się forma lub treść tego imienia, bo jestem ostatnio trochę niecierpliwy i może ci się coś przytrafić.

— Chodź do nas, Sendil! — wołał z góry Bisenna, prawie niewidoczny pod ciałami czterech dziewcząt.

— Chętnie porozmawiam o przyczynach twojej niecierpliwości, panie. Widzisz, wszystkiemu winne są lęki z naszego dzieciństwa. Chodźmy do pokoju i porozmawiajmy o tym — Al Cheger ujął delikatnie ramię Sendilkelma i gestem zaprosił do wejścia.

— Al, uważaj, pan Sendilkelm nie będzie chciał słuchać twoich teorii o pracy mózgu i tym podobnych. Lepiej omów z nim marszrutę i pokaż mapy — krzyknął za odchodzącymi Karcen.

\* \* \*

Już go nie lubił i włos mu się jeżył na głowie na myśl o wspólnej podróży. W jego głowie niczym błyskawice pojawiały się wizje sprytnie wykombinowanej śmierci tego wynędzniałego zarozumiałca, śmierci przekonująco przypadkowej podczas ciężkiej podróży.

— Zanim opowiesz mi wszystko o moim mózgu, chcę ci powiedzieć, panie, że jeśli nie wytrzymasz trudów podróży, zostawię cię choćby w szczerym polu — powiedział spokojnie. — Uważam, że wszyscy członkowie naszej wyprawy muszą dać sobie radę w najtrudniejszych z możliwych warunków, muszą umieć zwyciężać bez względu na rodzaj wroga czy walki. Dlatego proponuję, panie, z całym szacunkiem dla twojej uczonej głowy, byś wytłumaczył Karcenowi, że nie nadajesz się na naszego kompana. Wyprawa ta może być poważnym zagrożeniem dla twego życia, a zdrowia na pewno.

Al Cheger słuchał pokornie, nerwowo skubał paznokcie, a pod koniec przemowy Sendilkelma zrobił się blady i, drżąc, usiadł na krześle.

Zadowolony z osiągniętego efektu Sendilkelm skierował się ku wyjściu.

— Jednak opowiem ci trochę o twym umyśle, panie! — krzyknął z zaskakującym błyskiem w oku Al. — Oceniasz mój wygląd, ponieważ zaś w żadnym szczególe nie przypominam wojownika, wysnuwasz wnioski, że nie nadaję się do twojej wyprawy. Nie spodobałem ci się od pierwszego wejrzenia, gdyż nie jestem do ciebie podobny. Ta niechęć przerodzi się z czasem w otwartą agresję lub mściwe knowania. To normalne i zawsze tak się dzieje, że uczucia mieszają się z intelektem. Bierzesz jednak pod uwagę tylko fizyczną powłokę mej osoby, zapominając zupełnie o zawartości mojej głowy. Jesteś przekonany, że nasz przyjaciel Bisenna to wielki głupiec, lecz, znając jego siłę, zgadzasz się, by ci towarzyszył. Ignorujesz zatem jego niedostatki umysłowe, skupiając się jedynie na niepodważalnych walorach fizycznych. Popatrz na mnie przenikliwiej, to może uda ci się dostrzec we wnętrzu tego wątłego ciała jakieś zalety.

Sendilkelm słuchał zdumiony. Usiadł obok Ala i potarł twarz dłońmi. To prawdopodobnie narkotyczne kadzidła sprawiały, że jego myśli płynęły wolno niczym kolorowe ryby w wodzie gęstej jak śmietana.

— Wybacz mą niechęć, Alu Chegerze — Sendilkelm mówił coraz wolniej. — Dużo ostatnio przeszedłem, a obawiam się, że podróż ta będzie jeszcze cięższą próbą. Kiedyś mogłem ufać mym wojownikom i magom, którzy chronili nas czarami, teraz. . .

— Tak, tak — przerwał łagodnie Al. — Ja zaś nie jestem ani rycerzem, ani magiem, ale zrozumię, dlatego właśnie jestem wam potrzebny. Nie martw się, zajmę się tobą, razem znajdziemy jakieś wyjście. . . — i Al ciepłym głosem opowiedział długą historię o potrzebie bliskości i zaufaniu do przyjaciela.

Sendilkelm już po kilku zdaniach nie słyszał nic, egzotyczne kadzidła zabrały go do miękkich wód, gdzie pływał teraz z kolorowymi rybami.

\* \* \*

Tylne drzwi tawerny ze zgrzytem otworzyły się na zaśmiecone podwórko. Ranek był chłodny i mglisty. Drobną deszcz dzwonił o szyby i ozdobne, przerdzewiałe rynny. Słońce z trudem przebi-jało promieniami leniwe cielska sinych chmur. Bardziej ponuro wyglądał tylko świat pod nimi.

Pierwszy wyszedł Karcen. Przeciągnął się i z zadowoloną miną wykonał kilka głośnych oddechów. Pstryknął parę razy palcami i krople deszczu zaczęły omijać jego obfitą postać. Otrzeptał

kapelusz i delikatnie wyjął z niego długi, damski włos. Podparł się pod boki i zajrzał z powrotem do wnętrza.

— Wyłaźcie w końcu! Piękny poranek! Deszcz w sam raz na początek drogi. Mało kto zauważy, że opuszczacie miasto. No, nie ma na co czekać! Z tych chmur będzie padać co najmniej przez tydzień.

Na podwórko wygramolił się Sendilkelm. Miał zaspane, przekrwione oczy i ubiór w nieładzie. W rękach trzymał pas z mieczem i zmięty płaszcz. Wokół ud i łydek na poluzowanych rzemiennych wiązaniach dyndały mu sztylety, rzutki i strzałki.

— Coś taki radosny? — obrzucił suchego Karcena zawistnym spojrzeniem.

— Bo dziś wyruszacie, a gdy będziecie się przedzierać przez lasy w taką pogodę, ja wyleżę się w końcu w mym ciepłym domu. Nareszcie zjem coś porządnego i odpocznę w łaźni.

— A ja myślałem, że musisz zajmować się ochroną królestwa, jakimś magicznym horyzontem i czymś tam jeszcze — Sendilkelm odgarnął mokre włosy, podejmując zupełnie bezsensowną próbę strzeżenia na maga kilku kropel.

— Oczywiście, że muszę. Ale mogę to przecież robić, nie wychodząc z pokoju czy... — tu zmrużył rozmarzone oczy — ciepłego basenu.

— Hm — mruknął Sendilkelm. Bolały go głowa i brzuch. — Przyznaj się, to ty sprowadziłeś ten deszcz.

— Eee... nie przesadzajmy, nie wszystkie wielkie rzeczy powstają dzięki mej sztuce. Mało spałem i gdybym po takiej nocy chciał sprowadzić deszcz, to pewnie byłoby to zaledwie siedem ceberków wody — mag uśmiechnął się szeroko i pogładził po brzuchu.

Drzwi skrzypnęły, wypuszczając na świat Bisennę z twarzą nabiegłą krwią, szczęśliwym, rozmarzonym wzrokiem i obwisłym Mekchem pod pachą.

— Dzięki ci, wzniosły magu, za tak wspaniałe czary — skłonił się przesadnie przed Karce-nem. — Myślałem, że ci nigdy nie wybaczę czaru, który wstydem mnie okrył i wody pozbawił, wiedz jednak, że to, coś dla mnie tej nocy uczynił, rozkoszą największą w mym życiu było. Rozkoszę szczęścokobieć! A gdzie podział się szlachetny Aljakiśćtam, nasz kompan i przyjaciel? — Bisenna mówił powoli, z trudem zmuszając język do posłuszeństwa.

— Al jest poważnym człowiekiem i zadbał w nocy, by nasz ekwipunek został odpowiednio zapakowany. Podczas gdy wy zażywaliście uciech, on pracował ciężko całą noc.

— Hm, rzeczywiście, dawno tak świetnie się nie bawiłem — mruknął cierpko Sendilkelm i po-ciągnął nosem.

— No, ruszajmy. Al i Agni czekają ze wszystkim, co będzie wam potrzebne, pięć ulic dalej, przy południowej wartowni.

\* \* \*

W mrocznym magazynie wartowni paliło się kilka świec, oświetlając dwie rozmawiające z żywieniem postacie.

— Zatem pochodzisz, piękna pani, z rybackiego Szukarnu? Wielce interesujące, nigdy bym nie pomyślał, że w tak małej mieścinie można znaleźć tak mądrą i wspaniałą damę. Ale czyż nie znajdujemy pięknych kwiatów pośród zapomnianych ugorów? — Al mamił siedzącą naprzeciwko dziewczynę słodkimi minkami i promiennym uśmiechem.

— Wielce pan łaskaw. Wszystko, co umiem, zawdzięczam zaklętnikowi Gudilnekowi i jego mądrej żonie, którzy wychowywali mnie od maleńkości — zaśmiała się Agni. — Później, to jest, gdy stałam się dorosła, przybyłam do Atrim w poszukiwaniu pracy i znalazłam ją u mistrza Karcena. On również wiele mnie nauczył. Ostatnie dwa lata pracuję u pana Sendilkelma.

— Jakaż szkoda, że tak wspaniała osoba musi pracować — jęknął teatralnie Al Cheger. — Powinnaś, pani, być obiektem westchnień, natchnieniem poetów, powodem pojedynków i samobójstw odrzuconych zalotników. Kobieta nie powinna tyle pracować, to miłość jest jej przeznaczeniem.

— Nic z tego, mój panie. Wszyscy wiedzą, dla kogo pracuję i nikt nie sprzeciwi się woli Karcena. Dzięki temu przynajmniej mam spokój od głupich chłopców, którzy tylko jedno we mnie widzą. Karcen zawiązką odplaci każdemu, kto by ośmielił się skrzywdzić moje ciało. Będę pracować dla Sendilkelma, póki wielki mag sobie tego życzy. Zresztą, pan Sendilkelm jest wspaniały i mało wymagający. Mam naprawdę dużo wolnego czasu.

— Wspaniały, a tak, tak, tak... a jednak zabiera ci młodość... — Al ujął spoconymi palcami dłoń dziewczyny. — A co robisz, pani, w tym wolnym czasie?

— Czytam. Po kolei wszystkie tomy z biblioteki pana Sendilkelma. W zeszłym roku zaczęłam od najniższej półki, a teraz już jestem na środkowej.

— Rozwijasz swój intelekt! To zaiste wspaniałe! — Al przysunął siedzenie do ciepłego uda Agni.

— Nie. Naprawdę wspaniałe są fechtunek i strzelanie z łuku, których uczy mnie mistrz Liwiron — odparła cierpko dziewczyna, wyszarpując rękę z lepkich dłoni Ala.

— Takie rzeczy nie przystoją tak delikatnej i pięknej istocie... .

— Wyglądacie i mówicie, panie, jak człek uczony — przerwała mu chłodno dziewczyna. — Powiem wam jednak, co wyczytałam w jednej z ksiąg Sendilkelma. Otóż każdy, bez względu na to, czy jest piękną kobietą, czy też chuderlawym mężczyzną, drogi panie, powinien równoważyć poprzez



naukę i ćwiczenia sprawność umysłu ze sprawnością ciała. Ten, kto równowagi tej nie zachowa, żyć będzie żywotem niepełnym.

Al był wyraźnie zbity z tropu, po chwili jednak zaczerpnął tchu, zmarszczył czoło i syknął:

— Mówisz tak, gdyż imponują ci wielcy wojownicy. To oczywiste, zazwyczaj młode piękności ulegają takim właśnie fascynacjom. Po prostu lubisz, ba, pewnie i coś więcej, pana Sendilkelma, gdyż nade wszystko cenisz siłę i umiejętność zadawania, śmierci oraz... unikania jej. Uwierz mi, droga Agni, to niezależne od ciebie, po prostu jesteś kobietą... A teraz, gdy już to wszystko wiesz, może zechcesz życzliwszym okiem spojrzeć na kogoś, kto co prawda nikogo jeszcze nie zabił, lecz jego intelekt wart jest siły dziesięciu Sendilkelmów.

— Wiem, do czego zmierzasz, panie Cheger — burknęła Agni. — Myślisz, że nie zdaję sobie sprawy z tego, iż wy, magowie, uważacie wojowników za gorszych, głupszych, za mniej godnych... Wiedz jednak, że pan Sendilkelm potężniejszy jest od ciebie nie tylko ciałem, ale i duchem. Odziedziczył po przodkach herb, kolcowęża z piórem burzolota w paszczy. Jesteś niezwykle uczony, więc wiesz, że kolcowąż, gad niezwykle niebezpieczny, żyje pod ziemią najgłębiej ze wszystkich stworzeń, podobno odwiedza pod kurhanami siedziby zmarłych i czasami wynosi na powierzchnię znalezione tam skarby. Burzoloty zaś nigdy nie lądują na ziemi. Żyją w chmurach burzowych i samym

bogom służą jako posłańcy. Herb Sendilkelma zawiera więc w sobie to, co najgłębsze i najmroczniejsze i to, co najwznioślejsze i najbardziej świetliste. . .

— Cóż za zabawna lekcja mistycznej biologii, moja piękna pani! — przerwał jej Al — ale jakie może mieć znaczenie zwierzęcy rodowód herbu naszego przyjaciela? Ja nie mam żadnego herbu i to intelekt wyznacza moje pochodzenie.

— O to właśnie chodzi, panie Cheger. Herb nie jest przypadkowy. To on wyznacza drogę życia wojownikowi, ale ty, panie, tego nie zrozumiesz. . .

Na szczęście dla obojga ktoś załomotał w drzwi. Agni zerwała się z miejsca i wpuściła do środka przemokniętych Sendilkelma z Bisenną. Na widok tego ostatniego aż jęknęła ze zdziwienia.

— Tego, no, myślę sobie, gdzie są Karcen i Mekch? — wybąkał Al.

— Karcen zaniósł Mekcha do swojego domu. Kazał cię pozdrowić i powiedział, że nie musi nam machać na pożegnanie, bo może to za niego zrobić nasza droga Agni. A przy okazji, później powtórzysz mi wszystko, co jej naopowiadałeś. . . — mruknął posępnie Sendilkelm.

— Na długo wyruszacie? — wyrwało się dziewczynie. — Nie wiem, czy prowiantu starczy. . . i kiedy dom na pana powrót przyszykować.

— Chodź na stronę — powiedział Sendilkelm trochę łagodniej, niżby chciał.

Nie wiedział za bardzo, jak zacząć. Spojrzał na Agni i musiał przyznać, że ślicznie wygląda w tej granatowej pelerynie i skórzanym stroju do konnej jazdy. Nagle stwierdził, że żal mu zostawiać dom i...

— O nic się nie martw. Karcen wie, co robi. Gdybyś miała, no... kłopoty, bez wahania proś go o pomoc — Sendilkelm odwiązał sakwę pełną czerwonych monet i wcisnął w rękę zaskoczony dziewczyny. Kręciło mu się w głowie i miał wrażenie, że nosem, zamiast powietrza, wypuszcza kadzidlany dymek. Patrzył przeciągle na Agni i z przerażeniem stwierdził, że twarz jej faluje, a chwilami zmienia się w twarz obcej, znacznie mniej przyjaznej kobiety. — To dla ciebie, gdybym zbyt długo nie wracał. Powiedz Karcenowi, że pozwoliłem, byś ze służby odeszła, jeśli oczywiście taka będzie twoja wola, i że ma ci w tym nie przeszkadzać.

— Ale... — zaczęła dziewczyna i umilkła, wpatrując się w oczy Sendilkelma.

— Idź już — szepnął rycerz i pocałował ją szybko w czoło.

Agni wybiegła, zostawiając drzwi otwarte na oścież. Sendilkelmowi wydawało się przez mgienie oka, że jej nikonąca postać zostawiła wśród kropel deszczu wirujące, kolorowe nici...

W tej samej niemal chwili Atrim zaatakowała gwałtowna burza. Sendilkelm wynurzył głowę na zewnątrz. Chmury nacierały na siebie jak ciężkozbrojna jazda, dudniąc o ziemię ścianą deszczu.

Ludzie pozapalali w oknach poczwórne świeczniki i wywiesili na parapetach czerwone szmatki dla przebłagania bogów.

— No, no, całus w czółko! Inaczej dziś w nocy całowaliśmy dziewczęta. . . — Bisenna przerwał jednak swą wypowiedź, przerażony spojrzeniem Sendilkelma.

\* \* \*

Wyszli z Atrim przez furtę przy południowej bramie. Wartownik, o dziwo, nie spał, musiał być wcześniej uprzedzony. Bez zbędnych wyjaśnień otworzył wielki rygiel, naciągnął kaptur na głowę i biegiem wrócił do wartowni.

Bisenna musiał się schylić, by pokonać furtę. Dźwigał na plecach namiot i wielkie skórzane nosidło wypchane prowiantem, odzieżą i bronią. Ładunek ten był prawie tak wielki, jak on sam, mimo to przybysz z Fraternali poruszał się sprężysto i szybko. Sendilkelm ledwie za nim nadążał, chociaż jego nosidło z dodatkową bronią było trzy razy cięższe. Jako ostatni dreptał Al Cheger, zgięty pod swoimi sakwami w pałąk. Cała trójka zniknęła pod rozgrywającą się na niebie sceną końca świata z ołowianymi chmurami i piorunem w roli głównej.

Karcen wyszedł ich na swym magicznym horyzoncie i zadowolony stwierdził, że poruszają się nadzwyczaj szybko.

— Pewnie fraternijski barbarzyńca narzuca tempo — mruknął i rozpoczął skomplikowane przygotowania do relaksującej kąpieli.

\* \* \*

Al Cheger nie mógł zrozumieć, dlaczego nie poruszają się po brukowanych gościńcach i handlowych szlakach, na których nietrudno o ciepłą strawę i miłe schronienie. Już trzeci dzień marudził, że nie wytrzyma więcej marszu przez podmokłe lasy, wezbrane strumienie i błotniste łąki. Wlókł się kilka kroków za Sendilkemem i pociągał nosem.

— Przecież ciągle jesteśmy w Atrim. Nie ma jeszcze wojny, ani niczego... No, może konie czymś się potruły, ale nie ma powodów, dla których mielibyśmy skradać się jak szpiedzy. Normalni ludzie podróżują drogami... .

— Normalni ludzie, owszem — rzucił za siebie zdyszany Sendilkem. — Jednak od pierwszego razu, gdy posłuchaliśmy rad i wskazówek Karcena, czy też kogokolwiek jego pokroju, normalni na pewno nie jesteśmy.

— Uważam, że wielka jest mądrość maga, który kazał nam niepostrzeżenie przez bezdroża się przedzierać. Wszak misja nasza jest tajna i taką pozostanie, jeśli na siebie uwagi nie zwrócimy. Wi-

dać również, że Noc i Dzień nam sprzyjają, tak wielką ulewę nieprzerwanie zsyłając — by wygłosić tę mowę, Bisenna aż przystanął na chwilę.

— Lepiej zamilcz — warknął rycerz. — A skoro w końcu się zatrzymaliśmy, to może poszukasz miejsca na obóz. Musimy kiedyś spać, chociaż co trzecią noc. . .

— Wojsko we Fraternali inaczej jest szkolone. By wroga dopaść, bez snu po siedem dni i nocy maszeruje. No, ale życzenie twoje, panie, jest dla mnie rozkazem. Dobrze chociaż, że ciągle pada, przynajmniej ślady nasze znikną.

Al i Sendilkelm popatrzyli po sobie i westchnęli jednocześnie.

— To bardzo pięknie, że chcesz dopaść wroga, drogi Bisennio, tylko koniecznie daj nam znać, gdy go w końcu dopadniesz — syknął Al. Zrzucił nosidła i usiadł w kałuży pod rozłożystym jesionem.

Bisenna pobiegł na pobliski pagórek, by rozejrzeć się po okolicy.

— Czy jesteś pewien, że Karcen zdoła się z tobą porozumieć? — spytał Sendilkelm, wpatrzony w majaczące w dali sine zarysy Timajów.

— Bez wątplenia, o ile będę żywy. Ten marsz mnie wykończy.

— Wykończy cię dopiero wspinaczka. Dziś odpoczniemy w namiocie, nasz niestrudzony przyjaciel z Fraternali pozostanie na straży.

— Tak, to świetny pomysł. Napomknij mu, że przysporzy mu to chwały albo coś w tym stylu.

Obaj jednocześnie spojrzeli na pagórek. Bisenna stanął na jego szczycie, zniknął, po czym pojawił się nagle w dramatycznym, podpieranym rękoma biegu w dół zbocza..

— Coś się stało! — Sendilkelem zerwał się na nogi, wyciągając miecz, a Al przybrał pozę sparaliżowanego królika.

— Rzeź! Rzeź straszna!!! — krzyczał Bisenna, gestem przywołując ich do siebie.

Zostawili nosidła pod drzewem i pobiegli do niego. Sendilkelem wyciągnął dwa miecze, a Al chwycił sztylet i małą kuszę, choć nie miał pojęcia, co ewentualnie z nią zrobi.

Po drugiej stronie pagórka zobaczyli polankę, pośrodku której stał okrągły, porządny szałas z gałęzi i kory. Przez niewielki otwór w jego szczycie wydostawał się dym. Wokół leżały jakieś duże poczerńiałe kształty, one również lekko dymiły.

— To ludzie?! — zachłysnął się Al Cheger.

Sendilkelem uciszył go wzrokiem, skradając się wśród krzaków za Bisenną. Okrążyli polanę i powoli zbliżyli się do szałasu. Bisenna bezszelestnie przyłożył oko do szpary między gałęziami, ręką dał znak, że wszystko w porządku i wszedł do wnętrza. Tymczasem rycerz zajął się tym, co zostało po mieszkańcach obozu. Naliczył dwanaście szerniałych szkieletów. Przyklęknął przy jednym z nich i końcem miecza badał wypaloną czaszkę.

— Nie ma wątpliwości, że ktoś ich podpałił.

— To byli Lentile — powiedział Bisenna, wychodząc z szałasu — w środku jest mnóstwo ich zaklętnicznych masek i instrumentów.

— O, bogowie! Toż to tylko trzy dni drogi od stolicy — jęknął Al. — Może wy wiecie, o co tu chodzi?

Bisenna po raz kolejny obchodził polanę, co chwilę przyklękał i wachał ślady.

— Jestem pewien, że tych dwunastu było tu samych. Chyba że ci, którzy zadali im śmierć, mieli skrzydła — powiedział.

Al z przerażeniem zadarł głowę i przyjrzał się pobliskim drzewom i chmurom. W tym samym momencie Sendilkelm zauważył obok szałasu czarny krąg, przypominający ślad po ognisku. Podszedł bliżej i zdziwiony stwierdził, że to zaschnięta skorupa popekanego i szerniałego szkliwa. Pośrodku niej tkwił czarny przedmiot w kształcie łyży. Tracił go ostrzem miecza i przedmiot głucho potoczył się w nadpaloną trawę.

— Ślady świadczą o tym — usłyszał z tyłu głos Bisenny — że wszyscy zginęli w jednej chwili.

— Zobacz, co znalazłem — rycerz delikatnie podniósł kamienną łzę wielkości dojrzałej śliwki.

— Wiecie co? — wyjąkał Al. — Myślę sobie, że zabiła ich jakaś magia.

— Nie jakaś, tylko ich własna. Ciekawe, jakie czary czynili? — odparł Sendilkelm.



— Chodźmy obejrzyć te maski — Al próbował robić wrażenie spokojnego. — W końcu też jestem magiem. . . No, co tak wytrzeszczacie gały?! Znam się na tym!

W szałasie znaleźli dwanaście masek wykonanych z drewna i stalowych drutów. Wszystkie przedstawiały tę samą, pozbawioną nosa i ust twarz. Ich wnętrza pokrywały dziwne runy, na których łuszczyła się biała farba. Bisenna uniósł jedną z nich i przez otwory na oczy popatrzył na Sendilkelma.

— Rzuć to, głupcze!!! — wrzasnął Al Cheger. — Nie dotykaj, bo zginiesz!!!

Bisenna cisnął maskę na klepisko.

— Czego się drzesz, chudy magu, to tylko kawał drewna.

— Te kawały drewna to największa tajemnica Lentili. Dzięki nim potrafią rozmawiać z gwiazdami i przywoływać duchy niebios. Karcen ma taką jedną zniszczoną maskę i najmniejszym palcem jej nie dotknie bez nałożenia na siebie tuzina zaklęć ochronnych. Nawet on nie zna do końca tajemnic magii Lentili. Tu leży dwanaście prawdopodobnie najbardziej magicznych masek na świecie. To one lub zamknięta w nich magia zamieniły tamtych w wędzonkę. Uciekajmy stąd, póki żyjemy!

— Nie będę uciekał przed kilkoma drutami i pobazgranymi kawałkami kory — powiedział Bisenna.

— Może nie jestem tak umięśniony, jak ty — westchnął Al — ale znam się na magii i mówię wam, lepiej podpalmy szałas i wynieśmy się stąd natychmiast.

— Al ma rację — szepnął Sendilkelm. — Nie wiemy dokładnie, co tu się stało, lecz na pewno nie możemy tak zostawić tych masek. To, że zabiły one dwunastu Lentili, oznacza, że nawet oni utracili nad nimi kontrolę. Powiedz tylko Al, co masz na myśli, mówiąc, że dzięki nim rozmawiali z gwiazdami?

— Widzisz, Lentile nigdy nie stworzyli swego państwa ani nawet większej społeczności. Żyją w rozproszeniu i nie wtrącają się do naszego życia. Nie interesują się zbytnio bogactwami tego świata, zabrania im tego religia. To ona każe im słuchać mowy gwiazd, bowiem tylko w ten sposób mogą zostać zbawieni po śmierci.

— I co im te gwiazdy mówią? — sapnął Bisenna, szukając krzesiwa.

— Tego nie wiemy. Widząc jednak tych dwanaście masek, jestem przekonany, że odbywał się tu rytuał wielkiego wzywania. Odprawiają go co kilka pokoleń, wierząc, że jedna z gwiazd przemówi lub nawet zejdzie do nich na ziemię.

— Może jednak weźmiemy jedną maskę dla Karcena — wtrącił Sendilkelm. — Magiczna czy nie, nie może być chyba aż tak groźna... Owiniemy ją w koc...

— To już lepiej włóż sobie węża do spodni! — prychnął Al.

\* \* \*

Sendilkelm i Al siedzieli pod jesionem na skraju polany. Bisenna podpalał szałas. Mimo padającego ciągle deszczu płomień strzeliły wysoko, a w niebo wznosił się słup smolistego dymu.

— Nie wiem, czy dobrze robimy... — szepnął Al. — Ale przecież nie mogliśmy zostawić tego ot tak sobie...

— A ja mam nadzieję, że inni Lentile nie urządzą w podziękowaniu polowania na nas. Skoro zginął tu tuzin ich największych zaklętników, niedługo rozpoczną poszukiwania... jeśli już nie rozpoczęli. Wolałbym, by nigdy nie dowiedzieli się, że to my spaliliśmy ich święte przedmioty.

— Jestem pewien, że w promieniu wielu jazd nie ma żadnych innych Lentili. Do odprawiania takich rytuałów zaklętnicy udają się w oddalone miejsca, by nie zobaczyli ich niewtajemniczeni młodzi z plemienia. Zostawienie tak silnych przedmiotów magicznych bez należytego zabezpieczenia, w obecnej, i tak już dziwnej sytuacji, byłoby wielce niebezpieczne.

Sendilkelm gładził palcami mały przedmiot, ukryty w kieszeni. Czuł gładką powierzchnię kamiennej łązy i zastanawiał się, dlaczego nie chce o niej powiedzieć Alowi. Postanowił najpierw przyj-

rzec się jej dokładnie w samotności. Czuł, że ogarniają go duma i dziwna radość. Nie mógł opanować drżenia kącików ust i, aby to ukryć, zagadnął Ala:

— Skąd tyle wiesz o Lentilach?

— Jestem uczniem Karcena od kilkudziesięciu lat. Wiem wiele o wielu sprawach, których istnienia ty nawet nie podejrzewasz, a Bisenna nie jest w stanie sobie wyobrazić. . . Chodźmy stąd, to złe miejsce. Mój instynkt podpowiada mi, byśmy gnali kilka dni i nocy bez wytchnienia, byle jak najdalej stąd.

— Teraz, gdy oni nie żyją, a maski płoną, nie musimy się chyba niczego obawiać — powiedział lekkim tonem Sendilkelm.

— Chciałbym, aby tak było, lecz coś napętnia mnie wielkim strachem, a jak wiesz, mój wrodzony instynkt jest niezawodny. Pamiętaj, co mówił ci Karcen. Nigdy nie lekceważ mojego strachu.

Bisenna podbiegł do nich szybkimi susami.

— No, pali się jak step w lecie. . . Co zrobiłeś, panie, z tym czymś, co znalazłeś w ognisku?

— Nie wiem — mruknął Sendilkelm. — Chyba zostawiłem w szałasie.

— No i dobrze. A gdzie Al?

Sendilkelm obejrzał się przez ramię. Al zniknął. Rozejrzeli się zdziwieni i po chwili dojrżeli go, jak niczym łania skakał przez krzaki.

— Ale pędzi — szepnął Bisenna.

— Lepiej biegnijmy za nim.

Pędzili za Alem w dół zbocza. Sendilkelm nie mógł się nadziwić, że tak wątły człowiek może tak szybko uciekać. Nigdy by nie przypuszczał, że dwóch wielkich wojowników nie będzie mogło dogonić tego chudzielca. Potykali się o skryte w wysokiej trawie kamienie, a mała sylwetka Ala tylko śmigąła między coraz bardziej oddalonymi zaroślami. Sendilkelm kątem oka zauważył kamienniste koryto wyschniętego strumyka i skręcił w jego kierunku, by uniknąć przecinających mu drogę wysokich traw pejczowych. Po chwili jednak potknął się kilka razy i pokoziołkował wśród lawiny otoczków. Bisenna, obojętny na wszelkie niewygody, pędził szybkimi susami wprost przed siebie.

Naraz rozległ się wielki huk i gwałtowny podmuch gorącego powietrza zwałił ich z nóg. Bisenna niczym wielki walec stratował kępy trawy i wylądował w korycie wyschniętego strumienia, tuż obok dymiących pleców Sendilkelma.

— Mówiłem, żeby uciekać! — wrzasnął Al, który z trzaskiem łamanych gałęzi wygramolił się z pobliskich krzaków. Stanął nad nimi i jął otrzępywać spodnie z błota.

— Dzięki, Al — jęknął Sendilkelm, ściągając okopcony kaftan. — Nie jesteśmy chyba zbyt mądrzy. Można było przypuszczać, że magiczne maski nie będą płonęły spokojnie jak sosnowe szczapy.

— Coś takiego?! — fuknął Al. — Można było przypuszczać?!... Cieszcie się, że żyjecie. Tak potężne wyładowanie magiczne mogło nas zabić.

— Dzięki, że w porę o tym pomyślałeś — cierpko przyznał Bisenna.

\* \* \*

Ci, którzy urodzili się w Timajach, zazwyczaj umierają w Timajach. Zaś ci, którzy urodzili się gdzie indziej, a zawędrowali w Timaje, na pewno umrą właśnie tutaj. To przysłowie znają w Atrim wszyscy, choć niewielu wie, skąd się wzięło. Timaje są wielkie, niektóre góry są na wieki przesłonięte chmurami i, jak głoszą legendy, nikt nie jest w stanie ich przejść, choćby szedł całe życie. Nikt też podobno nie zdołał zobaczyć wszystkich timajskich szczytów. W Timaje Chmurne nie zapuszczają się nawet tubylcy z dolin, a podróżnicy z innych krain zmieniają kierunek, gdy tylko zobaczą na horyzoncie ich zarysy.

Do Wielkiego Timaju, skalnego miasta w dolinie Timajów Królewskich, można dotrzeć tylko przez dolinę Dogodoto, skrytą za Timajami Chmurnymi. Tam pasmo górskie jest niższe, ale i tak na jego szczytach śnieg leży przez cały rok. Pośród strzeżonych przez timajskie garnizony wąwozów ciągną się szlaki na drugą stronę gór, do Mnog Oz, i dalej, do krain czarnych ludów.

Przodkowie Timajczyków trafili tu tysiące lat temu, przepędzeni z ziem po drugiej stronie gór przez czarnoskóre plemiona i od razu trafili w szpony górskich gigantów. Zapewne zginęliby wszyscy, gdyby nie tajemnicza choroba, która pozbawiła gigantów potomstwa. Kiedy ich ostatnie pokolenie zestarzało się i zniedołężniało, ludzie z dolin wybili je doszczętnie. Na niektórych starców urządzano wręcz paradne polowania. Zadawano im śmierć w wielodniowych męczarniach, z zemsty za tysiące straconych istnień Timajczyków.

Przerażająco wielkie, użębione czaszki gigantów przybito spiżowymi hakami do kamiennych ołtarzy na rozstajach dróg. Dlatego właśnie o krainie Timajczyków mówi się też Kraj Czaszek.

\* \* \*

Sendilkeim przystanął na skraju zagajnika pod ażurowym sklepieniem gigantycznych wrzosów i spojrzął w górę. Pomiędzy białymi kwiatuskami dostrzegł siedzącą na gałęzi parkę miłowrzośców o zakrzywionych dziobach. Przemoknięty samczyk o błękitnych przebarwieniach godowych skrzydeł i ogona przytulał się do równie przemokniętej perłowo-złotej samiczki. Ptaki przypatrywały mu się uważnie, otrzepując łebki z kropli wody. Dookoła pachniało mokrym lasem i kwietnymi zarodkami. W dole rozciągały się łagodnie pofalowane wrzosowiska poprzetykane granitowymi ostańcami, które zdawały się chybotać w porywach zimnego wiatru jak ponure duchy dawno wymarłych

gigantów. Poniżej z hukiem pomiędzy skałami przeciskała się Wielka Białokostka. Jej wody wypłukiwały z gór wiele minerałów, w tym trochę złota, jednak najczęściej zawierała białego, trującego szkieleornitu. On to właśnie osadzał się w korycie rzeki, czyniąc jej dno białym jak kości zmarłych i przynosząc zgubę ściągającym tu dawniej poszukiwaczom złota.

Sendilkelm brnął po kostki w błocie. Od początku podróży zdążył już się przyzwyczaić, że ciągle jest przemoknięty, zmarznięty i ubłocony po szyję.

— No, chodźcie wreszcie! — rzucił za siebie.

Na błotnistej ścieżce pojawił się Bisenna z ogromnym nosidłem i sakwami Ala na plecach oraz... samym Alem, rozpaczliwie ściskającym sznur przytroczony do pasa Fraternijczyka.

Ostatnie pięć dni wspinaczki w deszczu, jeden posiłek dziennie, i to w marszu, jedna noc prześpana, a cztery poświęcone na przedzieranie się przez rumowiska skalne i wrzosowiska, to wszystko wystarczyło, by ich dzielny kompan upodobił się do przemarzniętego zwierzaka, ciągniętego na targ rzeźny przez dwóch okrutników.

— Rad jestem wielce, panie, że mogę ci w drodze towarzyszyć, lecz temu tu, niedouczonemu magowi ni służby swej, ni przyjaźni winien nie jestem — wysapał Bisenna. — W dodatku, gdy tak go ciągnę, nie mogę wszystkich śladów zatrzeć i nawet dziecko może nas wytropić.



— Pamiętaj, że nikt nas na razie nie tropi, a zwłaszcza dzieci. Przed nikim nie uciekamy i nikogo na razie nie gonimy. Nie musisz zachowywać się jak na wojennej wyprawie. . . — syknął z tyłu Al.

— Zechciej też pamiętać, że Al jest moim osobistym sługą, a ponadto okiem i uchem Karcena — wtrącił Sendilkelm.

— Ha, widać głuchym uchem i zamkniętym okiem. Magoćwstrętność!

— Wiem, że z chęcią zepchnąłbyś go w nurt białokostnej rzeki, lecz pamiętaj, należy on do mnie i mnie o jego życiu decydować — odparł spokojnie Sendilkelm.

— Do. . . nikogo. . . nie. . . należę. . . — wysapał oburzony Al. Spojrzał na zaciętą twarz Sendilkelma i śmiertelnie poważnego Fraternijczyka i dodał: — Ale. . . w pewnym sensie możesz to tak rozumieć, szlachetny Bisenno. Mnie krzywdę wyrządzisz, swojemu panu Sendilkelmowi w dwójnasób to samo uczynisz.

— Wiem to. Dzięki temu jeszcze żyjesz, magu nieszczęsny. We Fraterni słabeusze, którzy utrudniają wykonanie zadania, udają się na wieczny odpoczynek pod kamienny kopczyk na skraju szlaku. Miękkościśmiertność!

Al spojrział umęczonym wzrokiem na prawie uśmiechniętą twarz Sendilkelma.

— Dosyć gadania! — zabrał głos rycerz. — Musisz mu pomagać, Bisenno. Jego magiczne umiejętności mogą nam jeszcze uratować głowy.

— Jak na razie, to dzięki niemu ledwie dziesięćdziesiąt temu o mało nie spłonęliśmy żywcem. Zaiste, wielka to biegłość w sztuce magicznej, mistrzu Cheger — tu przesadnie skłonił się przed Alem — rozpalić magiczny pożar za plecami przyjaciół i uciec. . .

— A co, może lepiej było zostawić mocarne magią maski w spokoju? Czy ty, Bisenna, wojowniku wielki — z kolei Al przesadnie dygnął przed olbrzymem — w sytuacji, gdy nie wiesz, czy uciekasz, czy też kogoś gonisz, a nadto nie masz pojęcia, kto mógłby być twym wrogiem, czy w takiej sytuacji, mój dzielny mężu, zostawiłbyś na pastwę losu skład broni najświetniejszej?!

— Zamknijcie się wreszcie! — warknął Sendilkelm. — Poszukajmy brodu, wedle mapy Karcena powinien być przy skale w kształcie siedzącego wyżła. Rozbijemy namiot na drugim brzegu. Tam już będziemy u stóp Timajów Chmurnych.

— W porządku, tylko, co to ta wyżła? — zapytał Bisenna, wpatrując się podejrzliwie w granitowe ostańce.

— Nie przejmuj się — Al przyjacielsko klepnął go w plecy. — Nie musisz wszystkiego wiedzieć. Wyżła to taka szybko biegająca psa.

Bisenna posłał mu spojrzenie ciężkie jak okoliczne skały związane w jeden pęczek i postanowił nigdy więcej nie odezwać się do tego pokurcza.

— Miejmy nadzieję, że nie przestanie padać — mruknął do rycerza.

— Na pewno nie, popatrz na te pasma na zachodzie. Według mnie pogoda utrzyma się co najmniej dwa dni — odparł rzeczowo Sendilkelm.

— To świetnie, dreszcze mnie biorą na samą myśl o słonecznej pogodzie i suchych butach — cierpko dorzucił Cheger.

Sendilkelm posłał zrezygnowane spojrzenie Bisennie i położył dłoń na ramieniu Ala, któremu udało się jakoś nie skulić pod jej ciężarem, a nawet, z powodu dumy, która natychmiast go na tę okoliczność przepełniła, wyprostował się nieco.

— Musimy przejść przez bród. Potem najszybciej jak można zrzucimy z siebie odzież i obmyjemy się w deszczu. Ubrania również musimy wyprać w deszczówce. Im prędzej to wszystko zrobimy, tym mniej skóry będzie z nas schodzić.

— Inaczej szybko swój szkielet ujrzysz — zarechotał Bisenna i z kolei on po bratersku klepnął Ala w plecy. — Ty też nie musisz wszystkiego rozumieć.

— Nie rozumiem, Sendilkelmie, dlaczego nie poszukamy najbliższego mostu?

— Bo nie warto szukać czegoś, czego nie ma i nigdy nie było. Białokostka to świetna naturalna granica dla timajskich plemion. Choć został jeszcze szmat drogi do ich właściwych terytoriów.

— Czy nie natkniemy się po drugiej stronie na ich graniczny patrol? — Bisenna z obrzydzeniem spojrzął na czarną ścianę lasu za białym, rwącym nurtem.

— Jeżeli zdarzy się coś takiego, postaraj się pohamować żądzę natychmiastowego wyrżnięcia ich w pień. Zanim wyciągniesz broń, pozwól, by mistrz Cheger zabłysnął swym dyplomatycznym talentem.

— Nic nam na razie nie grozi, moi panowie — wtrącił Al. — Nie odczuwam najmniejszego strachu na myśl o drugim brzegu. Możecie być spokojni. Na razie... — oparł dłonie o kolana i wpatrzył się w odległą skałę. — Myślę sobie — ciągnął powoli — że nikogo tu nie spotkamy. Wszak do pierwszych osiedli timajskich mamy dwadzieścia dni drogi...

— Dla wojska z Fraternali byłoby to dni osiem — wtrącił Bisenna.

— Nie ma żadnego szlaku w pobliżu i nie wierzę, by ktokolwiek zawitał tu później niż przed wiekami, poza nami, oczywiście. Sendilkelmie, ilu Timajczyków widziałeś ostatnio?

— Ostatnie ich poselstwo przybyło na koronację naszego Raratrina. Później nie widziałem ani jednego.

— A ilu Atrimczyków przyjeżdża tu na wypoczynek?

— Ostatnim gościem ich władcy był chyba Karcen, a miało to miejsce jakieś pół wieku temu. Jednak, jak wiadomo, odbywszy błyskawiczną podróż przez Ocean Bezcielesności, nie włókł swego cielska po lasach.

— Szkoda — mruknął Bisenna — przynajmniej przetarłby dla nas szeroki szlak.

— No właśnie — rzekł krótko Al Cheger i ruszył w dół zbocza.

Sendilkelm i Bisenna, obładowani nosidłami i sakwami, ruszyli za nim, aż do czarnej, granitowej skały na skraju wrzosowiska. Niewielki wyłom tworzył osłonę przed wiatrem i deszczem. Zrzucili tam wszystkie pakunki, a Bisenna i Sendilkelm zeszli w dół, by zbadać brzeg rzeki.

Spiononą Białokostkę pokrywał opar tak gryzący, że pomimo deszczu zalali się łzami. Bisenna jako pierwszy pokonał karkołomne urwisko, ograniczające koryto, skacząc po oślizgłych ścianach jak kozica, czyli na czterech kończynach. Natychmiast po wylądowaniu zamachał Sendilkelmowi białą jak śnieg czaszką.

— Ktoś tu jednak był! — wrzasnął.

Rycerz jął ostrożnie schodzić, niestety, już pierwszy poślizg okazał się być wstępem do długiej jazdy na grzbiecie, zakończonej dopiero u stóp urwiska. Wprawdzie w trakcie tej podróży wyraźnie widział twarz pewnej Anielicy ale upadek nie był zbyt bolesny. Stwierdziwszy ten fakt, ze spokojem wypluł garść białego żwiru i dopiero wówczas zorientował się, że dolna połowa jego ciała tkwi w masie pełnej białych, chrzęszczących skorup. Zauważył też wyciągniętą dłoń Bisenny, przy pomocy której czym prędzej wygramolił się z dołu. Od razu też obaj usiedli na najbliższym kamieniu i znieruchomieli.

Sendilkelma od niechybnej śmierci uratował stos potłuczonych i przeżartych oparami Białokostki czaszek. Wokół walały się tysiące białych kości, w całości, częściach lub pod postacią drobnego żwiru. Podobnie wyglądał drugi brzeg, oddalony od nich zaledwie o dwieście pięćdziesiąt kroków i zamknięty równie stromym, choć znacznie niższym urwiskiem.

— Zdaje się, że widowiskowe upadki to twoja specjalność, panie. Czy tym razem przypomnieli ci się jakaś wiadomość dla mnie od Dnia i Noca? — przerwał milczenie Bisenna.

Sendilkelm zamiast odpowiedzi przypadł gwałtownie do ziemi i wyciągniętą z cholewy kuszą wskazał na drugi brzeg. Stali tam w trójkach lub szóstkach biali wojownicy, oczekujący z napiętymi łukami na sygnał znieruchomiałego z mieczem wzniesionym do góry dowódcy. Bisenna przykucnął, porażony widokiem białego wojska.

— Czegoś takiego jeszcze nie widziałem, kościotrupy w kościanych zbrojach i z kościanym orężem — mruknął do Sendilkelma. — I jakże tu wyrznąć ich w pień. . .

Rycerz schował kuszę w wiązanie pod cholewą.

— Idź po Ala i nosidła. Ja poszukam brodu.

Bisenna po kilkunastu skokach stanął na szczycie urwiska, machnął ręką na znak, że wszystko w porządku i zniknął wśród wybujających wrzosów. Tymczasem rycerz, kucając nad wodą, dojrzał na jej dnie drobne i dziwnie powykręcane kostki. Wyłowił je delikatnie palcami i już nie miał wątpli-

wości, kostki były identyczne jak te, które wypłynęły z magicznej rękawicy podczas czyszczenia w domowej łaźni. Schował je do sakiewki, odkładając dokładne oględziny na później. W tej samej chwili usłyszał groźny głos Bisenny i piskliwe protesty Ala. Cheger nie chciał zjechać z urwiska po linie trzymanej przez Bisennę.

— Możesz nie zjeżdżać! — krzyknął Sendilkelm. — Możesz użyć swej mocy i sfrunąć tu jak motyl!

Bisenna zarechotał donośnie, przywiązał linę do pnia wrzosu i spuścił na dno wąwozu nosidła i pakunek z namiotem. Niemalże w tym samym momencie sam stanął koło Sendilkelma.

— Brodu nie ma co szukać, tutaj woda sięga nam najwyżej do pasa. Jakoś przejdziemy.

— I ja tak myślę — przytaknął Bisenna. — W tym miejscu rzeka się rozlewa, a drugi brzeg obniża. Tam, w górze rzeki, widać straszne urwisko, trudno byłoby się wspinać, zaś w dół nie ma co iść, będzie tak samo albo gorzej. Zresztą, tak mnie boli głowa od tego szkieletornitowego oparu, że daleko bym nie zaszedł. . . No, to ja pierwszy, panie. Wezmę broń i nosidła. Mam nadzieję, że mapa Karcena była dostatecznie dokładna i przeprawiamy się właśnie tu, gdzie trzeba. Miałbym trochę żalu do starego, gdyby okazało się, że za zakrętem można było ten strumyk przejść suchą nogą, z kamienia na kamień..

— A widzisz tu na dnie jakieś kamienie? — zniecierpliwiał się Sendilkelm. — Idź spokojnie, kuszę mam pod ręką.

— Wiatr za duży. Jakby co, to bełty celnie nie polecą.

— Moje będą celne. Każdy z nich jest wewnątrz spiralnie wydrążony. Lecą zawsze poziomo, a wirując, wydają przerażający gwizd. Na dwakroć większą odległość trafię ważkę w locie.

— Jeśli Noc i Dzień pozwolą, to z przyjemnością obejrzę sobie te strzały, najlepiej przy ognisku, wieczorem — Bisenna podrapał się w czuprynę, położył nosidło na głowie i, podpierając się oszczepem, wszedł w rwący nurt.

— Zaczekajcie na mnie! — wrzasnął z tyłu Al Cheger. — O, bogowie, skąd tu tyle kości. Ha, z tej czaszki to by się Karcen ucieszył. . .

— A jednak zjazd po linie okazał się być wykonalny? — rzekł Sendilkelm z ledwie widocznym uśmiechem w kąciku ust.

— Jaki zjazd? — obruszył się Al. — Nie zapominaj, że jestem mistrzem najpierwszej ze wszystkich sztuk. Masz tu ten swój sznurek, nie był mi potrzebny — Al rzucił przed siebie zwiniętą linę.

— No tak. . . — Sendilkelm zapatrzył się w malejącą sylwetkę Bisenny. — Gdy tylko stanie po drugiej stronie, jak najszybciej przejdziemy dokładnie tę samą drogę, chyba że potrafisz iść po wodzie. . .



— Potrafię, tylko wilgotność powietrza jest dziś za duża. Chodzenie po wodzie oznaczałoby wzniesienie się ponad powietrze. . . O, a cóż to za kościani panowie czekają tam na nas?

— Tak, tak, widać, że za dużo czasu spędziłeś z Karcenem. . . Gdy tylko dotrzesz do drugiego brzegu, rozbierz się natychmiast i umyj każdy fragment ciała w deszczu. Na kościotrupy nie zwracaj uwagi, to zapewne strażnicy tego cmentarzyska.

— A po co ustawiać strażników, których nikt się nie boi?

— Nie wiem! Jak tam doczłapiasz, sam ich zapytaj. No już, do wody!

\* \* \*

Kiedy Al Cheger dotarł do płycizny po drugiej stronie rzeki, skóra na nogach paliła go jak ogień. Próbował, co prawda, kilku zaklęć ochronnych, lecz musiał coś poplątać, bo woda tylko zabulgotała i zakręciła kilkanaście małych wirów, które zmieniawszy się w kryształowe oczy, popłynęły za nim wbrew prądowi rzeki i teraz wpatrywały się w niego, tańcząc wesoło na płyciźnie.

— Dobrze, że Sendilkelm tego nie widzi — szepnął Al, po czym zeszywniał osłupiały. Otóż zobaczył przed sobą nagiego Bisenę, który wypinał się na wszystkie strony i wycierał garściami trawy.

— O, niech nie doczekam kolejnej inicjacji — jęknął Al. Nigdy nie przypuszczał, że ktokolwiek może posiadać tyle mięśni i żył.

— Al! Wyłaż prędko, bo ci skóra odpadnie od mięsa! — wrzasnął Bisenna, złapał go pod pachy i wyciągnął na brzeg.

\* \* \*

Sendilkelm ostrożnie stawiał kolejne kroki. Miał wrażenie, że rozgrzane do białości stalowe okucia butów wypaliły mu łydki. Z zazdrością zerkał, jak Al z nagim Bisenną oglądają armię białych strażników, gdy nagle coś przemknęło między drzewami piętrzącego się za ich plecami lasu. Chciał krzyknąć, by się odwrócili, lecz w tej samej chwili okrążył go ryczący wir i wciągnął w białą głębinę.

\* \* \*

Otoczyła go klekocząca sieć tysięcy kości. Nos i usta wypełnił strumień pełen cienkich szpikulców, czyjeś białe palce wywinęły powieki na drugą stronę. Kiedy nagle ból zniknął, ujrzał siebie na białym dnie rzeki i z przejmującą jasnością zrozumiał, że nie żyje. „Co będzie z Bisenną i Alem?”, pomyślał i w tej samej chwili otoczyły go gwiazdy, całe welony gwiazdnych mgieł, wirujących w cudownych rytmach muzyki niespotykanych barw i nadludzkiego istnienia.

— Nie umarłeś. Jeszcze nie. Przyszłam przypomnieć ci, że ty jeden wiesz wszystko. Cała wiedza wszechświata jest w twym umyśle, tylko musisz ją odkryć.

Zobaczył przed sobą piękność o grafitowozielonej skórze i gwiazdnych oczach.

— Kim jestem, pytasz? Już się spotkaliśmy, to ja uwolniłam cię od Anielicy Śmierci, gdy wychodziłeś z chaty Mekcha. To ja pokazałam ci wszystkie światy. Pamiętaj, nie jesteś tylko człowiekiem, jak mówią wam religie. Nie musisz po śmierci trafić do rządzonych przez jakąś istotę zaświatów, nie musi cię do nich prowadzić ich znudzona posłanniczka. Jeśli odkryjesz w sobie siłę i prawdę za życia, po śmierci możesz być naprawdę wolny, podróżować pomiędzy wszystkimi światami, które ci pokazałam. Możesz w każdym z nich rodzić się i umierać tyle razy, ile zechcesz. Możesz żyć wiecznie, bez strachu przed jakimiś bogami czy bogami bogów. Jako człowiek jesteś nieśmiertelny i twoja wolność polega na świadomości tego faktu. A co ze śmiercią? — pytasz. Oczywiście, istnieje, co więcej, każdy nieśmiertelny może umrzeć śmiercią absolutną, jeśli tylko zechce. Lecz pomyśl, kto na waszym świecie naprawdę chce umrzeć? Myślisz, że ci nieszczęśliwcy na torturach lub zniewoleni dogmatycznymi bredniami kapłanów rzeczywiście pragną śmierci? Ależ nie! W swej chwilowej, jakże ludzkiej słabości, błagają tylko o koniec fizycznych lub psychicznych męczarni. W rzeczywistości nikt z was nie ufa śmierci. I każdy chce żyć wiecznie. My to rozumiemy. Nie znam nikogo wśród uświadomionych nieśmiertelnych, komu znudziłoby się życie bez końca. Pytasz, czym

są zatem boskie zaświaty, o których uczą religie? Trafiają tam ludzie wierzący. Ci, którzy za życia składali bogom ofiary i byli posłuszni dogmatom, pełnią w drugim świecie funkcje pracowników. Ci zaś, którzy grzeszyli mimo wiary, męczą się jako ich niewolnicy. A bóg, do którego tak się modlili, jest tylko ich kapłanem. Zarówno on, jak i jego słudzy modlą się do wyższego boga. Po pewnym czasie te biedne świadomości rzeczywiście przechodzą do królestwa tegoż drugiego boga, by rozpocząć modlitwy do kolejnego, stojącego jeszcze wyżej. I tak trwa ta ludzka wędrówka pomiędzy kondygnacjami niebios i bogami bogów, a za każdym razem towarzyszy jej wiara w lepsze życie na następnym piętrze. Najdziwniejsze jest jednak to, że twój świat, czyli ten pierwszy, jest najszcześniejszy. Właśnie, dlaczego zatem, skoro wszyscy jesteście nieśmiertelni, a na dodatek, pragniecie tej nieśmiertelności, trafiacie tam właśnie, a nie tutaj, do świata prawdziwej wolności? Otóż za sprawą przekonania o swej małości wobec bogów. Okrutną przysługę oddają wam kapłani, którzy przez całe życie tylko utwierdzają wszystkich, łącznie ze sobą, w tym przekonaniu, a nawet, obiecując rozkoszne nagrody po śmierci lub strasząc karami, pogłębiają ludzką bezradność i strach. Świadomi tego procesu i bliscy poznania prawdy są jedynie niektórzy magowie. Stąd zresztą zatwardziała niechęć wszystkich religii do magii i czarii. Tak, tak, mój drogi, to dlatego Karcen nie wierzy w żadnego boga, a Anielica Śmierci tak go nienawidzi. Twój przyjaciel doszedł do końca magicznej ścieżki, a od poznania ostatecznej prawdy o nieśmiertelności i moim świecie dzieli go tylko cieniutka za-

słona czarui. Już niedługo ją uchyli, a za nim inni wielcy twego świata. Blisko prawdy są również Lentile, ale to już inna historia. . . A pośród nich wszystkich jesteś ty, wtajemniczony jak nikt inny, choć nieświadom swej wiedzy. Dlaczego ty? Otóż zdarzył się niezwykle rzadki przypadek, jak wy to nazywacie, magiczny. Eksperymentalny czar dematerializacji, który rzucił na ciebie Karcen w trakcie turnieju rycerskiego, rozrzedził, że tak powiem, twój umysł, co przygotowało go na przyjęcie wielkiej prawdy o nieśmiertelności. I stało się tak, również przez przypadek, w trakcie spotkania z Mekchem. . . Tak, te dziwne magiczne oddziaływania, które pojawiły się w waszym świecie, też mają z tym związek. Droga intuicji, którą wybrał Karcen, jest rzeczywiście jedyną słuszną drogą do ich rozszyfrowania. Kontynuujcie zatem swoją misję, być może jej rezultaty przejdą wasze oczekiwania. Wybacz, nie mogę ci więcej powiedzieć, widzę, że twa świadomość jest napięta do granic wytrzymałości. Niestety, znowu niewiele zapamiętasz z tego spotkania. Ale wierzę, że kiedyś zapanujesz nad swoją podświadomością. . .

\* \* \*

Jaskrawy błysk niebieskiego światła i przeszywający ból rozerwały gwiezdną wizję na strzępy, a oczom Sendilkelma ukazała się Anielica Śmierci. Była naprawdę wściekła. Jej zazwyczaj piękna

twarz mieniła się wszystkim odcieniami purpury, a oczy wypełniał płynny ogień. Z kącików ust kapiała krwawa piana.

— Co ci ta wiedźma nagadała?! Pewnie jakieś brednie o nieśmiertelności i wielu światach! Jak widzisz, istnieję, mój miły, i przegoniłam ją z łatwością! Dobrze ci radzę, pójdź ze mną po dobroci, to być może nie zaprowadzę cię do najgorszego z zaświatów. Może wtedy daruję ci wieczną tułaczkę między niebiańskimi bramami i rozpacz, jakiej nawet nie jesteś w stanie sobie wyobrazić. Pójdź ze mną — Anielica poprawiła włosy i uśmiechnęła się zachęcająco. — Pomyśl tylko, w jakie głupoty byłeś gotów przed chwilą uwierzyć. Czy ja wyglądam jak jakiś okrutnik na służbie u potworów? — Anielica przeciągnęła się kuszaco, pochyliła twarz nad Sendilkelmem i mruknęła cicho: — Nasza wspólna droga wcale nie musi być krótka, a przede wszystkim, może być bardzo miła. Wiesz chyba, że bardzo mi się podobasz. Przecież, gdyby było inaczej, nie starałabym się tak bardzo. Przegoniłam tę wiedźmę, byś nie cierpiał, mój miły. Wiesz chociaż, kim ona jest? Owszem, jest jednym z nieśmiertelnych, ale nieśmiertelnych wrogów ludzi, przed którymi chcą was ustrzec dobrzy bogowie, ofiarowując po śmierci wieczną opiekę w swych zaświatach. A co obiecywała ta diaboliczna?! Wieczną tułaczkę, wieczne potępienie i nicość po wieczność. Chodź ze mną... — jej twarz zaczęła zmieniać swój kształt. Powykrzywiane usta bełkotały niezrozumiale, a oczy nie mogły znaleźć swojego miejsca na falujących policzkach. Czoło puchło, pokrywając się guzami.

Po chwili zdziwiony Sendilkelm pojął, że patrzy na twarz Bisenny.

— To zaiste świetny pomysł, panie, nurkować pośrodku Białokostki — co mówiąc, szarpnął ciało rycerza, przewiesił przez ramię i ruszył w stronę brzegu.

— Dlaczego jesteś nagi? — wydyszał półprzytomny rycerz po trzecim stuknięciu nosem w muskularne pośladki Bisenny.

\* \* \*

— No, Al, szybko rozbieramy go i wycieramy mokrą trawą. Cholerny deszcz, akurat teraz musiał ustać. Szybciej człowieku, bo nie będzie co po nim zbierać.

Bisenna zdzierał z Sendilkelma parujący kaftan i szarpał zapięcia butów. Al tymczasem grzebał w nosidłach, rozrzucając wszędzie części ekwipunku.

— Co robisz, magu przeklęty! Pomóż mi, bo wrzucę cię do rzeki z kamieniem u szyi!

— Myślę za was wszystkich! — wrzasnął Al — Trzymaj to! — i rzucił w Bisennę skórzanym bukłakiem.

— A... wino magów... genialny pomysł... — wysapał Bisenna i polał obficie ciało Sendilkelma ametystowym płynem.

Rycerz otworzył oczy i niechętnym wzrokiem spojrział na klęczącego Bisennę. Al uchwycił jego spojrzenie.

— Można się przerazić, co? — zachichotał. — Nasz przyjaciel zawsze powinien tak chodzić. Każdy wróg najpierw umrze ze strachu, a potem jeszcze raz ze śmiechu.

— Bądź pewien, że tortury, jakie potrafiłbym zadać naigrawającemu się z mego męstwa, dajmy na to, głupkowatemu magowi, byłyby tak skuteczne, że umarłby co najmniej trzy razy — odparł spokojnie Bisenna i postawił Sendilkelma na nogi.

— Co się stało? — spytał Al.

— Potknąłem się i chyba wir wciągnął mnie pod wodę. Ile czasu upłynęło, zanim mnie wyciągnąłeś, Bisenna? Zdaje się, że miałem jakieś wizje pod wodą. . .

— Zanim zorientowałem się, że cię nie ma i wskoczyłem do wody, minęło jakieś pół wszechpacierza.

— Może nawet więcej — westchnął Al zza pleców barbarzyńcy i chlusnął mu na kark ametystowym płynem z drugiego bukłaka. — Odwróć się, mój piękny, tobie też jeszcze przyda się skóra. No, pochyl głowę, szkoda rozlewać, więcej wina nie mam.

Sendilkelm stwierdził, że jego kaftan rozłazi się w palcach. To samo działo się z butami i nogawkami. Z pasa z wężowej skóry zostały tylko okucia.



Za plecami usłyszeli suchy trzask. To jednemu z ustawionych przed wiekami kościanych strażników odpadła ręka wraz z łukiem, wykonanym z dwóch kręgosłupów.

— Patrzcie, znowu coś przemknęło między drzewami — powiedział Sendilkelm zaraz po tym, gdy osłaniając oczy od zacinającej znowu mżawki, spojrzął na czarną ścianę lasu.

— Tak, my też to wcześniej widzieliśmy. To stada wiewiórek — mruknął Bisenna. — Rozmnożyły się, szkodniki jedne, bo nikt tu na nie nie poluje. Ale skoro nasz mistrz magii nigdzie nie ucieka, nie stanowią chyba dla nas śmiertelnego zagrożenia.

— W wielu księstwach Atrim wiewiórki uważa się za święte zwierzęta bogów. Ludzie z Felendorandu pogoniliby cię do granic swej ziemi za chociażby jedną odstrzeloną rudą kitę — powiedział Sendilkelm.

— Ciekawe, muszę tam kiedyś pojechać.

— Najpierw popatrzymy sobie, jak tutejsze zwierzęta będą się tarzać ze śmiechu na widok waszych niebieskich twarzy — wtrącił Al.

— Faktycznie, ciekawy odcień błękitu przybrało twe oblicze, szlachetny Bisenna — zaśmiał się Sendilkelm.

— Wzajemnie... A ja, durny, nie mogłem wyjść z podziwu dla prześwietnego mistrza Ala, który poświęcił dla nas całe swoje wino, na siebie nie wylewając nawet kropli...

\* \* \*

W ciągu następnych dwóch obrotów Bisenna i Sendilkelm przeszukali las w promieniu połowy jazdy. Al w tym czasie bezskutecznie wypytywał o okolice dwa ptaki i jeża, którego wyciągnął spod wielkiego jałowca.

— Nic. Żadnych śladów na ziemi, drzewach ani w powietrzu. Myślę, że Noc i Dzień nam sprzyjają. Żadnych ludzi prócz nas tutaj nie ma i pewnie dawno nie było — zameldował zdyszany Bisenna po zejściu z najwyższej w okolicy skały.

Pod poziomym nawisem wielkiej granitowej bryły, sterczącej ze środka pagórka, rozłożyli pierwszy od sześciu dni obóz. Wojownicy rozstawili namiot i przystąpili do czyszczenia broni, Al zaś zajął się rozpalaniem ogniska.

Ciężkie kłęby chmur deszczowych ustąpiły miejsca równym pasmom snującym się w poprzek nieba. Zapadał zmierzch i po lesie ścieliły się welony gęstej mgły. Daleko, na horyzoncie, dostrzec można było fioletowe zarysy Timajów, wcięte w szkarłat zachodniego nieba.

— Nawet tu, w dzikim kraju, gdzie koryta rzek pokrywają kości zmarłych, nawet tu może być pięknie — westchnął Bisenna.

Sendilkelm popatrzył na niego nieruchomym wzrokiem i postanowił, że tym razem nie da się wciągnąć w żadną głupią gadaninę.

— Czemu nic nie mówisz, panie? Pewnie nie chcesz się wciągnąć w żadną głupią gadaninę?... Ale przy ognisku trzeba rozmawiać, ogień to lubi... — kusił Bisenna.

— Jaki ogień? — mruknął rycerz. — Nasz mag nie potrafi nawet tego, choć Karcen zapewniał, że co jak co, ale ognisko to Al rozpali... .

— Takie może być?! — krzyknął tryumfująco Al Cheger.

— Zielone płomienie? — Bisenna rozwarł szeroko oczy.

— A zielone, zielone — podniecał się Al. — Mój ogień mu się nie podoba. Dotknij, no sprawdź, czy jest ciepły... I dymu nie daje, a zgaśnie dopiero o świcie, aha, i nie trzeba dorzucać drewna. Tyle, ile jest, wystarczy.

Milczący Sendikelm przeszukał sakwę z jedzeniem i po chwili z okrągłego kociołka uniósł się zapach czerwonej fasoli z mięsaczkami. Wojownicy zajęli się rozmową o wyższości ostrych przypraw do fasoli nad sosami korzennymi, nie zwracając uwagi na narastający niepokój Ala. Mag od jakiegoś czasu wiercił się niespokojnie i rozglądał dookoła. Jedyne, co zauważył, to kilka szyszek w trawie i zmokłą wiewiórkę na drzewie. — „Pewnie wysłały ją na przespiegi” — pomyślał i poszedł parę kroków w głąb lasu. Coś błysnęło wśród ostrych igieł trawy szydłowej. Były to magiczne, kryształowe oczy, które niechcący stworzył w Białokostce.

— No już, wynocha, znikać mi stąd — szepnął najciszej jak mógł i naprężył całą swoją magiczną wolę, lecz oczy, zamiast zniknąć, przyturlały się do jego stóp. — No dobra, dobra — mruknął i schował je do kieszeni. Zebrał jeszcze kilka szyszek i wrócił do ogniska.

Sendilkelm popatrzył na niego pytająco.

— Szyszki — wyjaśnił mag. — Wrzucę je do ognia, to jadło nabierze miłego zapachu.

— Patrzcie! — Bisenna zerwał się na równe nogi, a w ślad za nim Sendilkelm, tyle że z dwoma mieczami w dłoniach.

— Co jest?! — wrzasnął rycerz, obracając się nerwowo.

— Tam. . . — Już spokojniej powiedział Bisenna, wskazując zachodni horyzont.

Pomiędzy rdzawym obrysem Timajów a purpurowymi brzuchami chmur przesuwająca się powoli mała srebrzysta igła, zostawiając na niebie ślad w kształcie poziomej krwistoczerwonej linii.

— Co to? — jęknął Sendilkelm, głośno wypuszczając powietrze.

— Oszczep bogów — jednocześnie powiedzieli Bisenna i Al.

— Co?!

— Milcz teraz, zaraz ci wyjaśnię — szepnął mag.

W skupieniu towarzyszyli powolnej wędrówce igły, aż całkowicie zniknęła za górami.

— O, bogowie — westchnął Bisenna i usiadł ciężko.

Al Cheger nadal tkwił w tym samym miejscu, obracając w palcach szyszkę.

— Czy dowiem się w końcu, co to było, czy też nie możecie uszczknąć tej wiedzy niewtajemniczonemu?

— Oszczep bogów — odezwał się wreszcie Al. — Widzieliśmy oszczep bogów. Dla nas, dla ludzi, to znak, że bogowie walczą ze sobą. Zły to znak dla świata. Zapowiedź nieszczęścia wielkiego, wojny, zamętu, głodu. . . Jakby powiedział Bisenna, okrutnoźłośmierć!

— Głodu i głupiego gadania — rozeźlił się Sendilkelm. — Może to był jakiś ptak albo mag w typie Karcena, który, zabawiając się oszczepem, zanadto naładował go magiczną energią i ot, macie swój oszczep bogów.

Bisenna i Al spojrzeli na niego ponuro.

— Uwierz mu, panie, bo chociaż mag, to prawdę mówi. Niewielu ludzi oszczepy bogów widuje, lecz zawsze ich pojawienie się znaczyło coś złego. . . zazwyczaj bardzo złego. Możesz tego nie wiedzieć, bo z dzikiego kraju pochodzisz, panie, lecz ludzie uczeni we Fraternali wiedzą, co oszczep bogów oznacza.

— Jeżeli rzeczywiście tak jest — pieklił się rycerz — to dlaczego do tej pory nie słyszałem o tych przesądach?

— A co, Karcen ci nie mówił? — skrzywił się Al.

— Jakoś nie wspomniał. . .

— Jest to jedna ze stu czterdziestu pięciu rzeczy, o których magowie nic nie wiedzą, a nawet nie mają pojęcia, jak wykorzystać swą sztukę, aby się czegokolwiek o nich dowiedzieć.

— To, że Karcen często robi błędy albo plecie uczenie o rzeczach, o których nie ma pojęcia, to ja wiem. Nic mi jednak nie mówił o jakimś spisie niewiadomych. No dobra, po pierwsze oszczerzy. A po drugie co? Miecze bogów?

— Reszta tej listy dotyczy równie tajemniczych zjawisk i obiektów. Sam wątpię, czy pojawienie się na niebie i ziemi dziwnych znaków ma zawsze coś wspólnego z bogami. Konwent magów przyjął, że wszystko, co omija zasady magii, jest pochodzenia boskiego lub czariowego. Zresztą, jak dobrze wiesz, magowie, jeśli tylko mogą, unikają konfliktów z bogami, uważając ich za swoją, powiedzmy, konkurencję. Większość z nich, a już na pewno nasz Karcen, zrobi wszystko, by żadnego nie spotkać po śmierci.

— Wielka to głupota tak bogów lekceważyć. Ja zawsze Nocowi i Dniowi ofiary składam — z dumą oznajmił Bisenna. — I na wszelki wypadek jeszcze jednemu bogu, którego nie mam szczęścia znać, ale który być może interesuje się moim losem.

Sendilkelm skrzywił się i zaczął grzebać patykiem w ognisku.

— Uwierz mi, Bisenno, że inaczej byś to pojmował, gdybyś tak jak ja ponad sto trzydzieści lat po świecie jeździł, wojny prowadził i inne ludy poznawał. Nie zdajesz sobie sprawy, w ilu bogów ludzie wierzą. W dzikich krajach każde plemię ma swoje bóstwo. Nawet w Atrim oddaje się cześć dwiętnastu bogom głównym, przy czym każdy wyznawca jest pewien, że to właśnie jego bóg włada tym światem i życiem ludzi, a inne religie to tylko wymysły ludzi lub złych mocy. To, że akurat w twoim kraju wierzą w tego czy tamtego, nie oznacza, że i ty masz tak czynić. Gdybym wierzył we wszystkich bogów, o których słyszałem i uległ namowom wszystkich spotkanych kapłanów, to dnia nie starczyłoby mi na modły i rytuały.

— Bo nie jest ważne, panie, w co inni wierzą — spokojnie odparł Bisenno — tylko to, w co sami wierzymy. Jednych bogów nie obejdzie twój los, choćbyś im świątynię zbudował z zielonego złota. Inni zaś losem twoim się zajmą za najmniejszą ofiarę. Musisz tylko znaleźć tego boga, w którego jesteś w stanie uwierzyć i powierzyć jego łasce swe życie i wędrówkę po śmierci. Bogodobroćwierność!

— To nie jest takie proste, gdy wiesz, do czego zdolni są ludzie w imię swojej wiary. Królestwo Mnog Oz dawno byłoby potęgą, może nawet większą niż Atrim, gdyby jego mieszkańcy nie wyżylnali się co pokolenie w imię Mnoga lub wielkiego Oza. Nieszczęściem tego kraju jest to, że

ludzie chętnie zabiją innych w przekonaniu, że tak chce ich bóg. A wielcy Mnog i Oz, o ile w ogóle istnieją, widząc tę trwającą już cztery tysiące lat wojnę, nie robią nic.

— To nie jest ważne, panie. Cóż mnie mogą obchodzić jakieś dzikie kraje z ich fałszywymi bóstwami?! Ja wierzę w Noca i Dnia, którzy zesłali mi ciebie za ziemskiego przewodnika. Wdzięczność ci winien jestem, gdyż to właśnie ty, niewierny, wzmacniasz mą wiarę i swym istnieniem zagadkę mego życia pomożesz rozwiązać. Wiąremocdawać!

— Obawiałem się, że właśnie coś takiego powiesz.

— Racz jednak zauważyć, panie, jak wielka jest moc przepowiedni moich kapłanów oraz moc Noca i Dnia. Choć w nich nie wierzysz, musiałeś ugiąć się przed nimi i mnie na służbę przyjąć. To typowe dla Noca i Dnia, by wyznawców swych na próby wystawiać, zsyłając im dziwnych życiowych przewodników. Mnie wielki zaszczyt uczynili, ofiarowując tego, który nie wierzy nawet w bogów, którzy go zesłali.

— Ale zaczynam wierzyć w boga, który obdarzył mnie zbyt wielką cierpliwością. Zresztą, jesteś tu, bo tak kazał Karcen — odparł Sendilkelm.

— A zatem i on uległ wielkiej sile woli Noca i Dnia! Niech im będą dzięki przez wszystkie dni i noce! Bogodobroćwierność!



Al Cheger, który po raz drugi tego wieczora przepadł na chwilę w lesie, wrócił właśnie wielkimi krokami z tajemniczym uśmieszkiem na twarzy. Pochylił się nad kociołkiem, nadział na zaostrzony patyk wielkiego mięszaczka i połknął go bez gryzienia.

— No, strawa już gotowa — wybełkotał, machając ręką przed rozdziawionymi ustami, by ulżyć powstałym właśnie rozległym poparzeniom.

— Tak, chyba lepiej o jedzeniu rozprawiać niż o bogach — poweselał nagle Bisenna i nalał polewkę do blaszanych misek.

— Nareszcie rzeczywiście natchnione słowa — mruknął Sendilkelem.

Noc zrobiła się zimna i wilgotna. Wysoko na niebie strzępy obłoków gnały w zawrotnym tempie, co chwilę przesłaniając księżyc. Jeszcze wyżej skłębione pasma chmur nałożyły się warstwami na siebie. Patrząc w górę, Sendilkelem miał wrażenie, że za jednym niebem widzi drugie, za nim następne i następne. Ponad wszystkimi wirującymi warstwami, w granatowej głębi, diamentowym blaskiem świeciły gwiazdy.

— Dziwne chmury, nigdy czegoś takiego nie widziałem. Jeżeli burze są tu równie niezwykle... — mruknął rycerz, przeżuając fasolę.

— Taaa. . . W Timajach pogoda dziwna. . . — mlasnął głośno Bisenna. — Słyszałem, że wiatr może tu wiać we wszystkie strony jednocześnie, drzewa rosną korzeniami do góry, a chmury zamki wielkie potrafią na niebie stworzyć. . .

— Jedz, nie gadaj, bo się udławisz — burknął Al, który od rozmowy o oszczepach bogów był wyraźnie markotny. — Tu wszystko jest inne — dodał ponuro — ale jeszcze większe dziwy zobaczycie, gdy przekroczymy granicę chmur i wejdziemy w Timaje Chmurne.

— Tak, czytałem coś o tamtejszych duchach i zjawach, porywających zabłąkanych mistrzów magii w celu wyssania z ich głów wszelkiej mądrości — odparł rycerz, wydłubując z zębów skórkę fasoli.

— Ciekawe — zabrał głos Bisenna — czemu Karcen nie powiedział nam dokładnie o tym wszystkim. Ty, panie, widzę, że dobrze znasz kierunki świata i masz ogólne pojęcie, dokąd idziemy. Jednak mapa nasza kończy się na brodzie Białokostki, nie uwzględnia przeprawy przez przełęcz. Szlak do stolicy Timajczyków wyrysowany jest tak, jakby zaczynał się dopiero po drugiej stronie, u podnóża góry o potrójnym wierzchołku. Wielce pomocne byłyby wskazówki jakiegoś wędrowca, który już przemierzył te krainy, na przykład wielkiego mistrza Karcena.

— Jak już wiadomo, Karcen z lenistwa udał się do króla Timajów przez Ocean Bezcielesności. Nigdy zatem nie zmoczył swego cielska w Białokostce i nie spał w lesie. Popchnął nas na tę wyprawę

wiedziony jedynie swą magiczną intuicją. Ja muszę wierzyć mu na słowo, choć może rzeczywiście zbyt wiele dziwnych zdarzeń miało miejsce. Lecz konkretnego celu naszej wyprawy nie widzę. I myślę, że ta magiczna rękawica z runami Timajczyków mogłaby spokojnie leżeć w mej pracowni do końca świata.

— Co może mieć miejsce zupełnie niedługo — uśmiechnął się krzywo Al Cheger. — Karcen nie wszystko mówi, bo nie wszystko możemy pojąć. Nie martwcie się, po to jestem z wami, by udzielił nam wsparcia, gdy przyjdzie czas.

— Tak, to nas rzeczywiście uspokoiłeś — mruknął Sendilkelm. — Hm. . . ale jakoś nie spieszy mu się, by porozmawiać z twym mózgiem.

— A była do tej pory jakaś nagła potrzeba? Poza tym, że wywaliłeś się w strumieniu i nie biegasz dość szybko, by uciec przed ogniem, nic właściwie się nie stało.

Sendilkelm przewrócił oczami i zajął resztką wystygłej fasoli, uważając tym samym rozmowę za skończoną.

Jedli w milczeniu, co nie znaczy cicho, biorąc pod uwagę mlaskanie Bisenny oraz całą gamę cmoknięć i siorbań Ala. Zmoknięta wiewiórka, która z polecenia przywódcy swego stada cały czas obserwowała intruzów, odwróciła się i zrezygnowana pokicała wymusić szybszą zmianę wart.

Sendilkelm skończył posiłek jako pierwszy i natychmiast przystąpił do porządkowania broni. Poprawił swą bojową uprząż, podtrzymującą dwanaście różnych ostrzy ukrytych w skórzanych fałdach lekkiego kombinezonu i przeszukał jeszcze raz zniszczony kaftan, oderwał okucia dowódcy i, oglądając się ukradkiem na kompanów, namacał w kieszeni mały przedmiot w kształcie łyży. „To prawdziwy cud, że nie leży teraz na dnie Białokostki”, pomyślał i schował go głęboko w wewnętrznej kieszeni przy udzie.

Niebo wypogadzało się i łagodne światło księżyca rozbłysło na mokrych liściach i trawach. Al Cheger od dłuższego czasu grzebał ręką w kieszeni, próbując policzyć leżące tam magiczne oczy. Niestety, te wciąż podskakiwały i przymilnie kręciły się wokół palców swego stwórcy. Al rzucił nerwowo wzrokiem dookoła, niepotrzebnie, bo nikt go nie obserwował. Sendilkelm drzemał w namiocie, a Bisenna wyjadał z kociołka resztki kolacji w imię własnej zasady, że lepiej wylizać, niż rano zmywać. Al popatrzył na otaczające go, wielkie jak zamkowe wieże, korony drzew. Powoli wypełniał go spokój, nie odczuwał najmniejszego nawet lęku, zatem okolica była bezpieczna.

— Kto by pomyślał — mruknął do siebie mag — w Atrim ciągle musiałem uważać na zasadzki Karcena, złodziei, naciągaczy i nieczyste kobiety, a tu, proszę bardzo, zawszony koniec świata, co go nawet na mapie nie znajdziesz, a bezpieczniej i spokojniej niż w domu rodzinnym.

\* \* \*

— O nie!!! — wrzasnął Bisenna. Wyrzucił w górę kociołek i trzymając coś w zaciśniętej pięści, jął tarzać się po szydłowej trawie i skowytać wniebogłosy.

Wiewiórka, która chwilę wcześniej objęła straż i zdążyła już zasnąć z nudów, błyskawicznie zdobyła czubek drzewa i zapiszczała donośnie. W tym samym momencie z namiotu wyskoczył Sendilkelm z krótkim sztyletem w lewej dłoni i mieczem w prawej.

— Co znowu?! — wrzasnął w kierunku Ala, skulonego pod wielkim korzeniem.

Bisenna, łkając, przetoczył się przez namiot.

— Bogowie, co mu jest?!

— Nie wiem... Siedziałem sobie... — wyszeptał Al — aż tu nagle...

— A żeby was, magów!... Miałeś nas strzec! Przez ciebie straciliśmy czujność! Trzeba było wartę wystawić!

— Przecież nic nas nie zaatakowało — jęknął Al — tylko ten tutaj nagle zaczął wyc.

Razem spróbowali powstrzymać tarzającego się Bisennę przed stratowaniem całego obozu. W końcu udało im się go posadzić i Sendilkelm zajrzał mu w oczy.

— No i co? — spytał mag, zachowując bezpieczną odległość.

— Nie wiem! Mam tego dosyć! — wydyszał rycerz. — Zostajecie tu sami! Ty opowiadaj mu te swoje głupoty, a on niech sobie traci rozum! Dalej idę sam! — wyprostował się i końcem buta trącił nogę szlochającego Bisenny.

— No, czego ryczysz? Co takiego przytrafiło się wielkiemu wojownikowi? Wbiłeś sobie nóż w palec?

Bisenna podniósł głowę i wyciągnął rękę przed siebie. Powoli wyprostował zaciśnięte palce.

— To!!! Czemu właśnie mnie się to przytrafiło?!

Al spojrział zza pleców Sendilkelma na dłoń olbrzyma i zamarł z rozszerzonymi oczami.

— Coś wam się stało w głowę? Tyle wrzasku z powodu fasoli?! — Sendilkelm złapał Bisennę za nadgarstek.

— Ttto nie fasssola. . . — wybąkał Al. — Ttto. . . fasssolowe. . . ludziki!

Rycerz przypatrzył się dokładnie zawartości dłoni Bisenny. Były to zwykłe, ugotowane ziarna. Dwa z nich miały jednak kikutowate odrostki, przypominające poskręcane kończyny i okrągłe główki o wykrzywionych dziko twarzach. Obydwa ziarna były nadgryzione.

— Jakie ludziki?! Oszaleliście obaj?! To zwykła fasola! — i ciszej dodał: — Są dziwne, ale to się zdarza. Sam kiedyś zjadłem grzyb w kształcie ryby. . .

— To nie tak. . . Nie takie proste.. — Al uspokoił się nieco. — To bez wątpienia fasolowe ludziki. Wszyscy wiedzą, że to tajemnicze i potężne istoty. Jeśli je znajdziesz i odpowiednio zaopiekujesz się nimi, spłynie na ciebie szczęście i bogactwo. Jeśli jednak znajdziesz je w swojej misce ugotowanej fasoli, a co gorsze, zjesz, to. . . wszelkie nieszczęście będzie na tobie ciążyć do końca życia. Bo wszyscy wiedzą, że są to wysłannicy wielkich i potężnych bogów.

— Jakich bogów? Fasolowych bogów?!

— Nie fasolowych! Wielkich bogów! Nie znamy ich zamiarów i oczekiwań, wiemy jedynie, że powinniśmy czcić ich wysłanników i opiekować się nimi. Tacy nieszczęśnicy jak Bisenna, zamiast tego, zjadają ich, a tacy głupcy jak ty nie chcą uwierzyć w to, co jest pewne od tysięcy lat! — wrzasnął Al.

Bisenna napił się wody z bukłaka i ciężko oparł o drzewo.

— Opuściła mnie wszelka nadzieja, panie. . . Wiesz, kiedyś nasz władca miał kilku takich ludzików i dzięki nim. . .

— Dosyć tego! — przerwał mu Sendilkelm. — Idę spać! W sakwach jest jeszcze trochę jedzenia, możecie się nim pobawić. Może znajdziecie coś w chlebie albo suszonym prowiancie. Aha, skoro nie śpicie, to na zmianę co trzy obroty pełnicie wartę. Ja śpię do rana. Tylko tak mogę od was odpocząć. . .

Sendikelm próbował usnąć i nie słuchać długich opowieści Bisenny. Niestety, preparowane błony nietoperzy, z których uszyty był namiot, choć tak odporne na wiatr i deszcz, zupełnie nie chroniły przed dźwiękami. Podrapał się po swędzącym policzku.

— A do tego wszystkiego obrzydliwe komary — mruknął do siebie.

Kręcił się i przewracał na posłaniu z młodych gałązek i liści, aż w końcu wyjął swą kamienną łzę i wpatrując się w jej delikatne, fioletowe światło, usnął.



## 4

# Bóg bogów

*Czyż nie obawiamy się bogów, pytacie nas, drodzy uczniowie, wszak przeciw ustalonemu przez nich porządkowi występujemy? Tak, to prawda, wiedźcie jednak, że wielkość nasza wyrasta ponad boskie knowania! Magia i czaria życiem są bowiem! Mistrz magii i czarii żywszy jest od wszelkiej, znanej wam lub nie, istoty. Owszem, bogowie istnieją i to w wielu wymiarach, lecz istnienia tego nie można nazwać życiem! Dlatego magia i czaria niedostępne dla nich pozostają! Dlatego też nienawidzą oni magów! Strzec się zatem musicie bogów i ich nadpanów!*

(z nauk Karcena)

Bóg bogów — Melkonseron — wirował właśnie łagodnymi ślizgami po eleganckich, eliptycznych torach galaktycznego obłoku. Stworzył go też głównie w tym celu, czyli dla przyjemności, zmieniając zwykłą czarną materię w przepiękne wrzeciono wirujących mgieł, mieniących się wszystkimi odcieniami różu — jego ulubionego koloru.

— To zdecydowanie zachwycające — rozczulał się Melkonseron. — Tak skromnym, a zarazem cudownym dziełem z pewnością przypodobam się memu bogu, a zarazem wzmocnię uwielbienie dla mej mocy wśród poddanych. Ech, te tam bóstwka pierwszego stopnia z mizernymi możliwościami pozyskiwania jedynie prymitywnych świadomości, tak mało mnie kosztują, wystarczy, że kichnę, a natychmiast padają na kolana i modlą się w ekstazie. . .

Melkonseron przyozdobił obłok kilkoma błękitnymi karłami i podwójnym układem pulsarów, dla nadania kompozycji wyrazu, i ruszył w przestrzeń o jeden wymiar niższą.

— Tak — mruczał do siebie — zajrzę do tego czterowymiarowego światka, skoro bóg chce, bym był pracowity. . . No proszę, już czuję jakieś zakłócenia! — huknął rozeźlony nagle bóg bogów, spoglądając na maleńką, błękitną planetę, mozolnie drepczącą wokół drobnego słońca po obrzeżu pięknej galaktyki spiralnej. — Zaraz, ilu moich wyznawców rozciągnęło swoje niebiosy nad tym marnym światem? — wściekał się coraz bardziej. — No, widzę co najmniej pięćdziesiąt niebios pierwszego stopnia. Aż tyle na tak małą planetkę? No cóż, nic mnie to nie obchodzi, jeżeli odpo-

wiada im takie rozdrobnienie, proszę bardzo! Istotniejsze jest teraz to, skąd właściwie bierze się mój niepokój. . . Aha, wyraźnie czuję swąd rebelii. Wygląda na to, że nieśmiertelni mieszają tu swoimi brudnymi łapami. Ha, trzeba działać! Święte przykazanie numer jeden głosi, by za wszelką cenę oddawać cześć hierarchii bogów i nie pozwalać na plątanie się między światami jakiegokolwiek życia wolnego od boskiej opieki. A tu widzę poważne naruszenie tej zasady. No nic, wyznaczmy winnego, na przykład. . . niech będzie to niechlujnie posklecane niebo z lewej. . .

\* \* \*

Melkonseron, pędząc do wybranego w ten sposób nieba, zastanawiał się po pierwsze, w jakiej postaci objawić się władającemu nim bogowi, a po drugie, jakąż to religię stworzyło to mizerne bóstwo dla tych, jakże im tam, aha, ludzików. . .

Najpierw zmienił się w połykliwą chmurę protonium, lecz po chwili wpadł na bardziej spektakularny pomysł i przeobraził się w, lekko tylko udoskonaloną, postać ludzką płci męskiej, pędzącą w lśniącym czerwonym pojeździe. Pojazd ów wyposażony był w niewielką kabinę z wygodnym skórzanym fotelem, kołem sterowym i oczywiście doskonałym sprzętem nagłaśniającym.

Melkonseron pomyszkował w radiu, w końcu natrafił na wyluzowaną melodię z jednego z odległych światów. Uśmiechnął się promiennie, poprawił w fotelu i dodał gazu.

— Tak — mruknął — to bardzo przyjemna postać! Muszę chyba częściej gościć w czterowymiarowej przestrzeni. To świetnie wpływa na nerwy. . .

Gwałtownie zmieniając biegi, przeleciał przez pierwsze warstwy wybranego niebiosa i z rykiem stygnących silników osiadł na niebieskim trawniku przed imponującym, białym pałacem o strzelistych wieżycach.

— No, całkiem ładnie urządzone. . . — przyznał i nacisnął klakson, z którego, zresztą ku jego zdziwieniu, wydobyły się jakieś skoczne rytmy.

Nic, cisza. . . Melkonseron spróbował opanować nerwy i wrzasnął w kierunku pałacowej bramy:

— Hej! Przyjacielu, dziecię moje! Pobudka, masz objawienie!

Bóg pierwszego stopnia, Kilikin, otworzył gwałtownie okno i w tym samym momencie doznał objawienia. Na trawniku przed domem czekał jego bóg w swej własnej, nadboskiej osobie, chociaż dosyć niecodziennej kreacji.

Nadboska osoba trzasnęła drzwiczkami i podparła się pod boki. Kilikin w okamgnieniu stanął tuż przed nią z pokornie pochyloną głową.

— Dobra, dobra, żadnego zbędnego gadania — mruknął Melkonseron i klepnął Kilikina w plecy, aż poszło echo. — No jak tam, dziecko, masz ty jakieś problemy?

— Przecież sam wiesz wszystko najlepiej, o nadboże... — wybełkotał Kilikin, borykając się z decyzją, czy paść na kolana, na twarz, czy jeszcze na coś innego.

— Pewnie, ale jestem przecież miłosierny i tak dalej, więc pozwalam ci się wygadać.

— Cóż, więc, moje niebiosa, jak widzisz, są skromne i mało popularne na świecie poniżej. Chociaż, muszę się pochwalić, ostatnio wywołałem kilka wojen religijnych przypieczętowanych licznymi nawróceniami. Najchętniej przechodzą na wiarę we mnie dawni wyznawcy Mnoga lub Oza, bogów, którzy, jak wiesz, mieszkają po sąsiedzku. Ale nie ma się czemu dziwić, za duże wymagania stawiają ludzikom i za bardzo z nich drwią. Ja zaserwowałem im prościutki dogmat i opis nieba nad wyraz pociągający, jeśli wiesz, co mam na myśli. Wielbią mnie jako swego Pana Po Drugiej Stronie Snów.

— Ooo, to bardzo poetyckie... — wtrącił z uznaniem Melkonseron.

— Tak, w dodatku objawiłem się im w wielce ponętnej dla młodych samiczek postaci... .

— Ooo, to jedna z moich ulubionych zasad wiary... .

Rozmawiali jeszcze długo, spacerując po błękitnym ogrodzie. Melkonseron czekał, aż Kilikin sam zacznie wyjawiać swe niepowodzenia. Uwielbiał ten moment, gdy bogowie pierwszego stopnia ze śmiertelnym przerażeniem zaczynają mówić o swoich błędach.

— No więc, tego... . jest jeszcze coś — skulił się Kilikin.

— Mów, dziecię moje, mów śmiało. Znasz moją łaskę i wiesz, że tylko za istotne przewinienia karzę śmiercią całkowitą, za nieistotne, jedynie utratą niebios. Mów, mów. . .

— Pamiętaj, nadpanie, pamiętaj zawsze, że w mych niebiosach tylko ciebie wysławiamy i wielbimy. Wszyscy trafiający tu wyznawcy cały swój czas poświęcają modłom do ciebie, nadpanie. . .

— To akurat jest oczywiste, moje dziecię, kontynuuj proszę. . . Aha, niezwykle udany kolor trawy, czyżbyś sam go wymyślił? Jeżeli pozbawię cię twego niebiosą, to pewnie tego błękitu będzie ci najbardziej brakować, mam rację?

Kilikin zadrżał.

— Bo, tego. . . nadpanie. . . nasza Anielica Śmierci mówi, że ostatnio ma kłopoty z pewnym człowiekiem, który powinien już dawno umrzeć, ale nie może, bo chyba wdał się w konszachty z nieśmiertelnymi, znaczy, z wrogami świata — wydyszał.

Melkonseron usiadł na trawie, wyciągnął bose stopy i najwyraźniej czekał na ciąg dalszy spowiedzi.

— No bo. . . nadpanie. . . dlaczego właśnie do mnie masz pretensje? — Kilikin zupełnie się załamał. — Przecież Anielica Śmierci obsługuje wszystkie tutejsze niebiosą. O ile wiem, ten człowiek nie jest szczególnie związany z żadną religią. W kraju, w którym żyje, jest dziewiętnaście nieza-

leżnych kultów. To, że Anielica nie radzi sobie z jego osobą, jest chyba wspólną winą wszystkich bogów ze wszystkich zaświatów.

— Owszem, ale nie widzę żadnych powodów, dla których nie miałbym całej winy przypisać tobie i oczekiwać, że ku mej chwale rozwiązesz ten problem — nadbóg uśmiechnął się dobrotliwie.

— Nadpanie, jeżeli prawdą jest, że człowiek ten, zapewne mag przeklęty, skontaktował się z nieśmiertelnymi, to ja już nic nie poradzę. Przecież, jeśli on we mnie nie wierzy, nie mam nad nim żadnej władzy!

— A nie wpadłeś na to, żeby mu się objawić w całym swym majestacie? Jeżeli zrobisz to dobrze, może nawet zostanie twoim ulubionym świętym.

— Nadpanie, mam za mało wyznawców, by marnować swe siły na bezpośrednie objawienia. Po takim występie musiałbym zamilknąć na wieki, czego, biorąc pod uwagę głupotę ludzików, ryzykować nie powinienem. Nawet nie chcę sobie wyobrażać, co stałoby się wówczas z moim dogmatem. Poza tym, gdy analizowałem to rozwiązanie, doszedłem do wniosku, że człowiek ten, skoro kontaktował się z nieśmiertelnymi, musiał mieć tak wielkie wizje, że moje objawienie mógłby uznać za nic nie znaczący omam lub sen.

— Widzę, że w pełni zasługujesz na miłosierne zakończenie swego mizernego żywota śmiercią całkowitą — rechot Melkonserona rozniósł się echem po całym niebie, po chwili jednak nadbóg

spoważniał i wrzasnął: — Czy nie pojmujesz, że ten nieszczęsny ludzik nie tylko dla was stanowi wielkie zagrożenie, ale i dla mnie?! Jeżeli mój pan i władca dowie się, że moi wyznawcy nie radzą sobie z jednym, jedynym szpiegiem nieśmiertelnych, to, jak myślisz, co się ze mną stanie?! Nic dobrego, prawda?! A jak myślisz, co się wówczas stanie z moimi wyznawcami, czyli z tobą i twoimi koleżkami, po sąsiedzku czy nie po sąsiedzku?! Możesz być pewny, że coś znacznie gorszego!!! Wiem, że jesteś tylko moim niedoskonałym dziecięciem, więc z ojcowską troską radzę ci, przejmij się tym problemem, to może nie umrzesz od razu. Pomóż tej waszej Anielicy załatwić ludzika jak najszybciej. Jeżeli tobie się nie uda, inni bogowie chętnie cię zastąpią, zwłaszcza że opowiem im, co z tobą zrobiłem. Zatem, głowa do góry i do dzieła, dziecię moje. Mam nadzieję, że nadal będziesz mógł cieszyć się tą cudowną trawką, jeżeli nie, to chociaż twój los będzie piękną kartą w Księdze Nieuchronnej Zemsty Nadboskiej.

— Wielka to łaska, nadpanie, i przez eony nieskończone będziemy twe imię wysławiać, póki nas do siebie nie powołasz, co jest zresztą ostatecznym celem naszego istnienia. . .

— To miło, że tak mówisz, chociaż sam to wymyśliłem. . .

— Tak, właśnie i. . . no. . . nadboże nasz, czy mógłbyś przelać choć trochę światła mądrości w mój niedoskonały umysł i. . .



— Oczywiście, dziecię moje, znam twe ograniczenia, a na dodatek sam po części jestem za nie odpowiedzialny. Plan działania jest prosty jak atom wodoru. Po pierwsze, wezwiesz do siebie tę idiotkę, Anielicę Śmierci. Wszyscy wiemy, że nie może działać bezpośrednio w tym marnym światku na dole, zresztą podobnie jak wy, ale wy chociaż macie te swoje wizje i objawienia. Zaproponuj jej, by znalazła odpowiednich wykonawców jej i twej woli. Niech to będą jacyś umierający wojownicy, najlepiej spory oddział i, przed odprowadzeniem ich w zaświaty, niech zażąda, od nich wykonania ostatniego zadania w świecie żywych. Rozumiesz, ona cofa ich do zwiędłych ciał, a oni przerabiają naszego bohatera na worek mielonego mięsa. . .

— Ooo, jakże jesteś wielki, nadboże. . .

— Dobrze, skoro to już mamy omówione, powiedz, jak ogólnie wyglądają sprawy w twoim niebie? Ludziki są przygotowane na spędzenie z tobą swej wieczności, a tym samym zasługują na kolejną wieczność ze mną?

— Dokładam wszelkich starań, by byli dobrze przygotowani do służenia tobie, nadpanie. Wiesz, jak to jest, starcy, którzy tu trafiają, ostatnie lata życia spędzili na podlizywaniu się mojej boskiej osobie w obawie przed zbliżającą się karą. Jak to mówią bogowie, śmierć starego, mniejszy problem dla boga twego. . . Zaś po wojnach religijnych, które staram się podsycać co najmniej co trzy pokolenia, trafia tu dużo zaangażowanych młodzieńców, nawet fanatyków. . .

— Jak mówią bogowie, śmierć młoda, dla boga nagroda — wtrącił, chichocząc, Melkonseron.

— Ooo, dobre, dobre, tego nie znałem. Cóż za nadboski dowcip!

— Pewnie, że nie znałeś. Właśnie go wymyśliłem.

— Muszę ci wyznać, mój nadboże, że dzisiejsze objawienie jest wyjątkowo przyjemne. Dawniej byłeś... no, bardziej pompatyczny.

— Pamiętaj, moje dziecię, że nie sposób mnie poznać do końca. Ciesz się, póki możesz, moją obecną postacią i poziomem dowcipu.

— Ależ nadpanie, wielbimy cię w każdej formie twej nadboskiej obecności, chociaż my, małuczcy, nie potrafimy pojąć bezmiaru twej wielkości.

— No i bardzo dobrze...

\* \* \*

Niedaleko zaparkowanego pojazdu Melkonserona niebieska trawa poruszyła się gwałtownie i wyrósł spod niej niewielki kopczyk granatowej gleby. Po chwili wygramoliły się na wierzch dwa umorusane zwierzątka o zmierzwionych futerkach.

— No i gdzie żeśmy się dokopali? To przez ciebie, nie widzisz, gdzie ryjesz?

— Nooo, w zasadzie jestem ślepy tak samo jak ty... łatwo wylądować zupełnieniewiadomog-dzie.

— Wiesz co, jak zwykle mnie denerwujesz. Nawet ślepy by zauważył, że dokopaliśmy się na koniec świata.

— No to... nie ma problemu. Zawsze możemy wrócić.

Drugie zwierzątko fuknęło oburzone, zanurkowało w glebę i po chwili wylazło znowu na po-wierzchnię.

— Wiesz, to chyba głupie, co powiem, ale pod nami wcale nie ma ziemi.

— Tylko co?

— No... jakby nic.

## 5

# Labirynt

*Chcecie poznać naszą sztukę, lecz nie wiecie nawet, że nie tylko magią się paramy, lecz również czarią i życiem samym w sobie jednocześnie. Pytacie, czym jest magia, pragniecie poznać jej istotę i ośmielacie się prosić, aby mistrzowie najwznieśli zapalili pierwsze gwiazdy wiedzy na mrocznych firmamentach waszych mózgów! Aby wysłali oni wysmukłe korabie swych myśli do zapomnianych wysp waszych umysłów, kolebiących się na zmaconych wodach oceanu ignorancji! Aby zstąpili oni z wyżyn najwznieślijszej ze sztuk i brodzili w szlamie waszego życia, a spod mułu głupoty wygrzebywali skorupiaki waszych jestestw!*

*Wy, którzy nie potraficie ustrzec się przed katarem, wy, którzy nie potraficie sami zrobić sobie śniadania, to wy chcecie ogarnąć swym umysłopłasem otchłanie niebios, czasu, mocy i innych wymiarów?! Wiedźcie, że nie ma magii bez życia i czarui. Uprawiać magię to mierzyć strzałą do celu, którym jest ta sama strzała. Jeżeli magia jest strzałą i celem jednocześnie, to czaria jest powietrzem, które ma ona przeciąć, a życie to wy sami. Musicie nauczyć się tak zakładać strzałę, by nie trafić siebie samych. . .*

*A teraz wyjdźcie z tej sali i powróćcie tylko wówczas, gdy wymyślicie dostatecznie ważny powód, dla którego miałbym was tego nauczyć.*

(z przemowy Karcena do uczniów przed inicjacją pierwszego stopnia)

Karcen siedział w swym basenie z zielonego smokolitu i wlewał wonne olejki do kąpeli. Uwielbiał patrzeć, jak kolorowe krople wpadają do kryształowej wody a potem pękają i rozplývają się powoli. Zwykle wzbogacał tę przyjemność odrobiną kąpielowej magii, teraz, na przykład, dodał srebrzyste gwiazdki i odgłos srebrnych dzwoneczków.

Ukochany pawilon kąpielowy Karcena kazał wznieść król Raratin w podzięce za pierwszą wielką i oczywiście trafną przepowiednię. Mag, po krótkim zdematerializowaniu się, poradził wówczas

królowi, by nie mieszał się w kolejną wojnę religijną w Mnog Oz, przekonując go, że dzięki wiecznie trwającej wojnie bratobójczej państwo to nigdy nie urośnie w potęgę mogącą równać się atrimskiemu imperium.

Niezależne poselstwa pod sztandarami Mnoga oraz pod godłami Oza błagały władcę Atrim o pomoc, w zamian za wieczne przymierze i niezmierzone, złupione wrogom skarby. Rarattrin bardzo poważnie podchodził do tych propozycji, gdyż potężne Atrim od dawna nie prowadziło żadnych wojen i w armii nie było już ani jednego wojownika, który pamiętałby prawdziwe pole bitwy, a jak wiadomo, armia niesprawdzona w boju nigdy nie jest pewną tarczą królestwa.

Karcen zwęszył jednak wspólny podstęp Mnoga i Oza. Atrim, raz wciągnięte w religijną wojnę, nigdy by już z niej nie wyszło, a kapłani Mnoga i Oza, wyniesieni falą wojny na szczyty, mogliby do woli bić swoją dogmatyczną pianę. Bez względu na przebieg, długość, czy też ostateczny wynik wojny, to Mnog i Oz byłiby zwycięzcami, gdyż ich kultury dotarłyby i rozprzestrzeniły się na terenie Atrim. Karcen wiedział również, że w dużej mierze bogowie ci wywołują wojny po prostu ku swej uciechu, i w pewnym sensie to rozumiał. Trzeba przecież mieć rozrywkę, gdy żyje się tak długo. . . Oczywiście nie mógł tego wszystkiego powiedzieć swemu władcy, gdyż, jak wiadomo nawet najmniejszemu magowi, nie dla maluczkich świata tego prawdziwe poznanie i wiedza tajemna.

I tak, dzięki poradzie Karcena, król tylko patrzył na coraz bardziej zubożałe, głodujące pokolenia ogarniętego wojną Mnog Oz i spokojnie wymieniał żywność na całe lochy skarbów staczającego się królestwa. Atrim zdobyło niezliczone ilości złota białego, żółtego i zielonego za parę wozów brukwi, ziemniaków, buraków, minostosów, gdrządźlarzy i stupłatewek.

Król był bardzo zadowolony, niczego nie dociekał, po prostu pogratulował swemu magowi mądrości i spełnił jego niezbyt kosztowne życzenie. Raratriń zresztą nigdy nie interesował się, skąd Karcen czerpie swą mądrość. Wystarczyło mu, że może z niej czerpać jak z najlepszej służby wywiadowczej. Czuł się przy tym bardzo cwany, wiedział bowiem, ile zaoszczędza czasu, wysiłku i złota, utrzymując rozpieszczonego Karcena i jego kompanów z konwentu, a nie szpiegowskie siatki, których samo utkanie potrwałoby dziesięciolecia, a łatanie wygryzionych przez kontrwywiady dziur jeszcze dłużej.

A zatem Karcen dostał swój piękny pawilon kąpielowy. Basen, wykuty w jednym kryształe smokolitu, miał kształt perłomnoga. Sklepienie wykonano z zielonożłotej, koronkowej konstrukcji, krytej płaskimi kryształami kwarcu timajskiego, zmieniającymi barwę wraz z wędrówką słońca po niebie.

W rytuale gorącej kąpieli Karcen najbardziej kochał tę chwilę, gdy, tak jak teraz, już po nalaniu do wody, kropla po kropli, zamorskich olejków, kryształowe drzwi na wprost basenu uchylały się i wchodziła ona. . .

Półtora obrotu później mag pluskał się rozanielony, wypinając zadek na zamknięte przed chwilą kryształowe drzwi. Z całej siły uderzył dłońmi o powierzchnię wody, aż migocząca w słońcu fontanna podskoczyła do sklepienia, i zachichotał przeraźliwie, bo wiedział, że woda nigdy nie dotknęłaby sklepienia, gdyby nie szczypta magii. . .

Niestety, w tym momencie przypomniał sobie o przykrych obowiązkach. Sytuacja w stolicy była bez zmian. Co prawda, wszystkie konie oszalały, lecz nie wyniknęło z tego właściwie nic, poza transportowym zamieszaniem i nagłym wzbogaceniem się tragarzy. Ale zostaje jeszcze odpowiedzialność za podróżującą trójkę. W końcu wysłał ich w te potworne Timaje powodowany jedynie magiczną intuicją.

— Poradzą sobie — pocieszał się, patrząc na kryształowy sufit basenu. — Sendilkelm to stary spryciarz i Timajczykowi niełatwo będzie go zabić. Jeżeli przechwyci go jakiś graniczny oddział, najpierw na pewno pójdą z nim chociażby do Dogodoto. A wtedy możemy dowiedzieć się znacznie więcej. . . Dyplomacja i intuicyjny strach Ala też powinny zrobić swoje. . . Może jednak, tak na wszelki wypadek, powinienem porozumieć się z tym nieudacznikiem? Eee tam. . . skoro sytuacja



nie jest krytyczna, nie popadajmy w histerię. Po każdym kontakcie z nim, tak okropnie boli mnie głowa. . . Tak, zdecydowanie na razie dam sobie spokój, a póki co zobaczę, co tam słychać i widać na horyzoncie królestwa.

\* \* \*

Karcen głośno nabrał powietrza w płuca, gwałtownie zakaszał, wziął oddech ponownie i zanurzył się na dno basenu.

Po tradycyjnym wsłuchaniu się w zwalniający rytm serca, podążył w kierunku wewnętrznego labiryntu. Pokręcił się trochę przy wejściu, przypominając sobie drogę, po czym zdecydowanie wskoczył w ośmiokątny portal, minął skrzydło zajmowane przez bibliotekę, przemknął przez dwa hole pełne natrętnych myśli i snujących się pod ścianami niewykorzystanych pomysłów i skręcił w pnący się pionowo korytarz.

— No, no, nieźle to sobie rozplanowałem — mruczał, przecinając owalne hole i galerie.

W końcu skręcił w sześciokątne drzwi i . . . stanął jak wryty przed falującą niczym prześcieradło na wietrze białą ścianą. Wokół niej, pod okiem pomarszczonego ze starości pomysłu, uwijało się kilka pracowitych myśli.

— Praca stop! — wrzasnął pomysł. — Mistrz przyszedł na inspekcję!

— Co tu się dzieje?! — wydyszał Karcen.

— No właśnie, mistrzu, wypadałoby lepiej i dokładniej opracować plany tego labiryntu. Stoimy z robotą. Może przypomnę, mistrzu, że raczyłeś zaprojektować tu nowy magazyn dla niechcianych wspomnień. Ale ja jestem tylko wstępnym pomysłem. Rozpoczęliśmy prace, lecz czekam na bardziej szczegółowego zmiennika!

— Tego, no... Trochę o was zapomniałem...

Pracowite Myśli krążyły niespokojnie i popiskiwały.

— Tak, to wiele wyjaśnia. Zważ tylko, że tym samym zapomniałeś o kawałku samego siebie — cierpko stwierdził Pomysł.

— No tak, to bardzo roztropna uwaga, ale nie zapominaj, że właściwie to ty jesteś moim pomysłem, a nie ja twoim! Słuchajcie... eee... tego... którą do komnaty magicznego horyzontu Atrim? Chyba niepotrzebnie skręciłem dwa razy w lewo...

— Cha, cha! — zwinął się ze śmiechu Stary Pomysł. — To nie do nas tu się przyszło? Po prostu zgubiło się drogę? Radzę, by kolejny twój pomysł dotyczył oznaczeń w korytarzach. Jakieś strzałki albo, czy ja wiem, posążki z ruchomymi rączkami. Może taki pomysł byłby ci się wreszcie na coś przydał, już mu zazdroścę, zwłaszcza że ominie go starcze niedołęstwo...

— Od myślenia to jestem ja! — przerwał mu Karcen. — Którędy do horyzontu?!

— Ano, mistrzu nasz najpierwszy, mistrzu sztuki niedosięglej, che, che, dwie sale wcześniej skreć w ośmiokątną galerię, do zwierciadlanej sali kulistej, dalej korytarzem malachitowym w dół i trzecie drzwi po lewej w kierunku lotu, stojąc tyłem do centrum świadomości.

— A, no tak, no tak. . . — mruknął mag i poszybował łagodnie w tył.

— A my? A my? — zapiszczały Robotne Myśli.

— Miłej pracy! — krzyknął im na odchodne.

W następnej sali przywołał Myśl Gończą, która natychmiast wyprężyła się przed nim służбіście.

— Słuchaj no, kochana, każ rozpylić trochę zapomnienia w końcu tamtego korytarza — wskazał za siebie. — Coś się tam rozpleniło i nie chcę, żeby zrodziły się z tego jakieś małe niepokoje. . . Wiesz, o co chodzi, prawda?

\* \* \*

Drzwi do magicznego horyzontu oznaczone były złotym krążkiem z ruchomym, błękitnym okiem pośrodku.

— Ha! I co? Jednak myśli się o oznaczeniach! — uśmiechnął się do siebie Karcen i otworzył drzwi.

W środku siedziała gruba Uwaga i pożywiała się czymś z papierowej torebki. Myśli Pomocnicze siedziały na podłodze wyraźnie rozmarzone.

— Proszę bardzo, a pani Uwaga jak zwykle na stanowisku! — wrzasnął mag.

Tłusta Uwaga wystrzeliła aż pod sufit, a drobnoziarnista zawartość torebki obila się o głowy myśli.

— Myśli, baczność! — wrzasnęła Uwaga. — Dawno, panie, nas nie odwiedzałeś, a wydarzyło się, oj, wydarzyło...

— To trzeba było wysłać do centrum świadomości nosicieli nowin!

— Kiedy żadnego nie mogliśmy znaleźć — chlipnęła Uwaga. — Na korytarzach od kilku dni pełno jakichś egzotycznych wrażeń, podejrzewam, że kadzidlano-narkotycznego pochodzenia. Przynajmniej tak sugerował Rozsądek, który wczoraj czegoś tu szukał.

— Tak — pisnęła jedna z Pomocniczych Myśli — te Rozsądki są ostatnio bardzo podejrzane, panie! Rozpychają się po korytarzach, ciągle coś węszą i pomrukują...

— Od podejrzeń to jestem ja! — warknął Karcen. — Gadaj, co się stało?!

— Zechciej, mistrzu, zerknąć w zwierciadło przeszłości — Uwaga wskazała granitową misę.

Było to zwykle wróżebne naczynie, wykonane wedle pradawnych wzorów magicznych. Jego brzegi pokrywały reliefy stylizowanych oczu różnych istot i runy tak stare, że nawet Karcen tylko

intuicyjnie odgadywał ich znaczenie. Misa wisiała w powietrzu bez żadnej podpory czy zawieszenia i leciutko wibrowała, mrużąc monotonie. Karcen wspiął się na palce i zajrzał do jej wnętrza.

W kryształowej wodzie kilka gwiazdek wirowało wokół jednej, wielkiej i pulsującej jadowicie zielonym światłem. Krążące blisko dna święte ryby pamięci były wyraźnie zaniepokojone.

— Poprosiłaś ryby, by zapamiętały ten dziwny układ znaków? — spytał cicho Karcen.

— Oczywiście, panie, lecz, jak widzisz, one są trochę przestraszone i nie wiem, czy ich pamięć sprawuje się jak należy.

— Wystarczy, by jutro potrafiły wyświetlić ten sam obraz.

— Myślę, że to się uda.

— Źle się stało, że nie powiadomiłaś mnie o tak wielkim wydarzeniu magicznym. Ta zielona gwiazda wielce mnie niepokoi. Ile to, chyba jakieś pięć dni drogi od stolicy, co? Mam nadzieję, że Sendilkelm żyje. . .

— Zechciej, mistrzu, zajrzeć w zwierciadło terażniejszości — w odpowiedzi zaproponowała Uwaga.

Karcen sapnął i pochylił się nad wiszącą tuż obok misą z białego smokolitu. Wewnątrz, pośród tysięcy pulsujących gwiazdeczek, toczyło się powoli w różnych kierunkach kilka białych kul.

— Który to Sendil? Widzę wielkie zamieszanie magiczne. . .

— Sendilkelm i jego towarzysze są sześć dni za wielkim zielonym wylądowaniem, które przed chwilą widziałeś, panie. Znajdują się tu — wskazała na trzy pulsujące zielone światła na krawędzi misy.

— Aha, zatem opuścili już Atrim. Niesamowite. Dojść w dziewięć dni do granicy, i to bezdrożami. . . Ależ Bisenna musi ich poganiać! Ciekawe, czy Al to przeżyje? — Karcen uśmiechnął się cierpko.

— Dalej horyzont terażniejszości nie sięga, panie.

— Wiem o tym! Przecież sam go zaprojektowałem! Nie bądź bezczelna! A co z misą przyszłości?

— Nic, mistrzu, nic. Ślęczę nad nią bez przerwy.

Karcen zajrzał z kolei do trzeciej misy z czarnego smokolitu. W odróżnieniu od pozostałych była mała i całkowicie pozbawiona ozdób. Wewnątrz bujał się na mętnej wodzie stateczek krzywo poskładany z torebki po jedzeniu.

— No tak, widzę, że dbacie o powierzony wam sprzęt — mruknął Karcen i wyłowił przemoknięty statek. — A niech tam! . . . Pilnuj tu wszystkiego! Jutro pojawię się znowu. Tymczasem przyślę ci kilka nowych uwag do pomocy i osobistego nosiciela nowin.

— Dziękuję, mistrzu! — napuszyła się Uwaga.

— No, pora na mnie — odparł Karcen, trącił nogą walające się po podłodze Myśli Pomocnicze i wyszedł, trzaskając drzwiami.

\* \* \*

W basenie pojawiły się flotylla bąbelków powietrza i wierzchołek głowy Karcena.

— Muszę jakoś przebudować ten swój labirynt — westchnął mag po dokładnym wypróżnieniu nosa. — Albo wyhodować trzecie płuco. Taaak... to chyba będzie łatwiejsze. A ten pomysł z posążkami wskazującymi drogę, no, no...

Tak gderając, wygramolił się na brzeg basenu i owinał w gigantyczną chustę z zamorskiego gadwabbiu, wyszywaną w stada czajmałapów biegających za gdrządzłarzami i maleńkimi stupłatewkami. Wiedział, że za drzwiami od ponad dwóch obrotów czeka Wielki Go, jego najbliższy współpracownik i jedyny łącznik z resztą magicznego konwentu. Po raz kolejny zastanowił się, czy nie lepiej byłoby być jedynym magiem na całym świecie, przynajmniej nie musiałby wiecznie zniżać się do kontaktów z nimi. Z drugiej strony jednak... Oparł swe ciężkie spojrzenie o drzwi, powodując ich ciche skrzypnięcie...

## 6

# Anielica Śmierci

*Śmierci wesółą  
o pięknej twarzy,  
dzięki Tobie już nic się nie zdarzy!  
Dzięki Ci za  
przed życiem potwornym ucieczkę  
i za przepiękną, niebieską wycieczkę!*



*Śmierci wesoła,  
Śmierci frywolna,  
co oddech zabierasz z wolna!  
Prowadź w zaświaty!  
Prowadź za rękę!  
A po drodze zaśpiewaj nam piosenkę!*

*Śmierci wesoła,  
jak piękne Twe ciało!  
Tak wiele rozkoszy dasz nam,  
a bólu tak mało!  
Niepotrzebne nam buty ani pakunki!  
Wystarczą nam tylko Twe pocałunki!*

(pijacka piosenka popularna w tawernach Atrim,  
śpiewana zwłaszcza przed turniejami rycerskimi;  
nikt nie wiedział, że napisała ją sama Anielica Śmierci)

Anielica Śmierci siedziała właśnie w łaźni swego pałacu i ostrymi paznokciami rozczesywała długie spirale włosów. Od czasu do czasu wyglądała przez okno, by nacieszyć oczy wielką, różową mgławicą, ozdobioną kilkoma pulsarami i błękitnymi karłami. Trzeba przy tym nadmienić, że zgodnie z jej wolą, widoki ze wszystkich okien pałacu były przepiękne, a zatem żaden nie ukazywał niebieskiej planетки, choćby oddalonej tak, że miałyby rozmiar przeciętnego pieprzyka.

Po raz kolejny spojrzała na prawie zagląającego jej do łaźni karła i przypomniał jej się zmarły niedawno astronom Perfangel, dziki mężczyzna z bardzo dzikiego plemienia o bardzo dzikich obyczajach miłosnych. Przez kilka dni gościła go w swych kwaterach, a potem wybrała najbardziej okreśną drogę do zaświatów jego ponurego boga. Tak, to przykre, że tacy mężczyźni zazwyczaj trafiają właśnie do wstrętnego Kuuna, który pozbawia ich piękne ciała wszystkich wystających części, a potem układa je w stosy i każe śpiewać hymny będące niekończącym się powtórzeniem jego imienia.

Wzdrygnęła się, westchnęła i przejrzała we wszechlustrze, które eony czasu temu otrzymała wraz z pałacem. Było niezwykle wysublimowane. Ramę stanowiła ożywiona materia metaliczna, przetykana tysiącem okrągłych luster, które, pływając nieustannie, pokazywały niezliczone odbicia Anielicy w różnych częściach niebios i świata. Zamykała ona kolisty otwór, wewnątrz którego wirujące prottonium odbijało wszystko, o czym pomyślała Anielica, na jej życzenie powiększając

i pomniejszając dowolną przestrzeń. Mało tego, lustro posiadało tę cudowną właściwość, że na życzenie wpatrzonej weń Anielicy Śmierci wysyłało w dowolne miejsca fantomy jej szacownej osoby z poleceniem wypełnienia odwiecznej powinności. Rzadko kiedy nasza królowa fatygowała się osobście, musiał ją naprawdę ktoś zaintrygować, by raczyła wskoczyć w prottonium i powitać gościa swej krainy. Zazwyczaj byli to wielcy wojownicy, ewentualnie trochę mniejsi, ale nigdy nie ci przekłeci magowie, którzy, nie obawiając się ani jej, ani bogów, pojawiali się w Ocenie Bezcielesności jedynie dla skrócenia ziemskiej wędrówki lub po prostu dla przyjemności. Najbezcenniejszy ze wszystkich był ten stary Karcen. Nie dość, że od wieków kąpał swe astralne cielsko w jej Oceanie, to jeszcze traktował ją z jawną pogardą. Używał nawet swych zaklęć, by sprawić jej ból wibracją magicznych słów. Na samo wspomnienie jego imienia, Anielica zawsze popadała w przygnębienie i ci, którzy mieli pecha spotkać ją w tym stanie, skazani byli na wiele nieprzyjemności podczas podróży w zaświaty.

Anielica interesowała się ludźmi, choć była to bardziej powierzchowna fascynacja całym ludzkim gatunkiem niż jego pojedynczymi przedstawicielami. Często nie rozumiała ich zachowań, na przykład, gdy marnowali całe życie na pracę i, zapominając o przyjemnościach, trwali w nadziei na nagrodę po śmierci. Owszem, niektórzy, zwłaszcza przystojni wojownicy, mogli liczyć na nagrodę od samej Anielicy Śmierci, lecz większość zaświatów, do których tak czy inaczej musiała ich zapro-

wadzić, to tak mroczne miejsca, że zazwyczaj nie towarzyszyła skazańcowi do samych wrót, tylko z daleka wskazywała ręką odpowiedni kierunek.

Jej największą pasję stanowiły ludzkie obyczaje, zwłaszcza miłosne. Z lubością kolekcjonowała literaturę o tej tematyce. Pamiętniki, wiersze i pieśni miłosne mogła czytać na okrągło. Niektóre utwory знаła na pamięć, przede wszystkim ballady o nieszczęśliwych kochankach, które z lubością wyśpiewywała w kąpielu.

A poza wszystkim, był jeszcze ten dziwny zawrót głowy, który pojawiał się zawsze na pewną okoliczność. . . Wśród tysiąca małych zwierciadeł wszechlustra, pokazujących bitwy, powodzie, morderstwa czy choroby, było jedno, które zawsze, ale to zawsze pokazywało postać tego samego wojownika. . .

Anielica wiedziała, że kochane lustro czyta i pokazuje jej myśli bez względu na stopień ich uświadomienia. Kompletnie nie rozumiała jednak, dlaczego część jej anielskiej osoby ciągle interesuje się Sendilkemem, wprawdzie wojownikiem, ale ani wielkim, ani sławnym. Chwilami podejrzewała, że może mieć to związek z nieśmiertelnymi, którzy zniszczyli jej odbicie, gdy próbowała, zresztą już po raz trzeci, przejąć pieczę nad znajdującym się u kresu życia Sendilkemem. Ach, ci nieśmiertelni, Anielka nigdy za nimi nie przepadała, ale też nigdy nie zastanawiała się, kim są i dlaczego nawet bogowie potrafią się zjednoczyć w nienawiści do tych, jak ich nazywali, wrogów

światów. Zatem, może Sendilkelm był ważny, skoro tak się nim opiekowali, co w stosunku do ludzi zdarzało im się niezwykle rzadko. . .

Koniec końców jednak, bez względu na to, co wyczuwała jej podświadomość, w głowie jej się dziwnie kołowało, gdy widziała wojownika. Tak, jak teraz. . . Sendilkelm leżał właśnie w namiocie i co chwilę zmieniał pozycję na coraz mniej bohaterską. Anielica zastanowiła się momencik, po czym skrobnęła czerwonym paznokciem w lustro, tam, gdzie błyszczał policzek wojownika. Sendilkelm podrapał się gwałtownie.

— To nie komar, to ja. . . — mruknęła i przystąpiła do przeglądania innych odbić.

\* \* \*

Wszechlustro pojaśniało gwałtownie. Prottonium niczym płótno napięło się do środka komnaty, przyciskając Anielkę do ściany, i rozdarło się z trzaskiem, wypuszczając boga Kilikina w swej zwykłej męskiej postaci.

Anielica parsknęła z oburzenia.

— Precz, precz stąd, ty!!!. . . Nie wiesz, że należy mnie uprzedzać o przybyciu?!! — wrzasnęła.

— A co, niby miałem zapukać? W prottonium? — zarechotał Kilikin.

— Wynocha stąd! Jestem nieubrana!

— Widzę, widzę. Jeżeli ci to pomoże, też mogę się rozebrać.

— Ani mi się waź! Mogłeś po prostu poczekać pod bramą! Otworzyłabym ci na pewno... chyba że przeszkadzałbyś mi w pracy.

— Ależ moja śliczna, stałem pod bramą tak długo, że zacząłem zapominać, po co przyszedłem. Tylko tak mogłem cię oderwać od mizdrzenia się przed tym lustrem.

— Jesteś bezczelny i niewdzięczny. Ech! Wy, bogowie, jesteście wszyscy tacy sami! Gdybym tyle nie siedziała przed lustrem, wasze ludziki pobłądziłyby w zaświatach lub potopiły się w Oceanie Bezcielesności, a wy byście sobie mieszkali solo w tych waszych śmierdzących niebiosach, i co najwyżej modlili byście się do siebie samych. Czasami to naprawdę mam ochotę odsyłać ludzi z powrotem do życia, żeby mieć więcej czasu dla siebie, albo doprowadzać ich do niewłaściwych niebios, żebyście poczuli, ile ode mnie zależy. Co byś powiedział, gdybym od dziś twoich wyznawców wlekła prosto pod srebrzyste wrota Mnoga i Oza?

— Tego nie możesz zrobić... — szepnął zbity z tropu Kilikin.

— Uwierz mi, że mogę! Zanim cokolwiek byście zrobili, nadbogowie rozegraliby trzy partie kręgli waszymi głowami. A ja nie musiałabym nadwierać swej cierpliwości, spotykając się z bogiem, który nie wie, jak traktować damy — i odwróciła się do niego plecami.

Kilikin przemyślał swoje położenie i skłonił się przed Anielicą.

— Wybacz, pani, moje wtargnięcie. Nie miałem zamiaru cię niepokoić, lecz nie mogłem doczekać się widoku twojej cudnej osoby.

— No, teraz lepiej — mruknęła Anielica. — Poczekaj na mnie w kulistej komnacie, muszę włożyć trochę biżuterii. . .

Kilikin skłonił się raz jeszcze, pocałował ją w kolano i tuż za drzwiami mruknął:

— Głupia baba!

\* \* \*

Anielica przeglądnęła się jeszcze raz, musnęła włosy i poprawiła lok za uchem. Niektóre kamienie jej naszyjnika mruczały jakoś dziwnie niezadowolone, więc pogładziła je lekko i przesunęła między piersi. Przytuliły się do jej gładkiej skóry i przycichły.

Lekkim krokiem wkroczyła do kulistej komnaty. Na jej widok Kilikin wstał z kryształowego fotela i uśmiechnął się promiennie.

— Gdybym powiedział, że jesteś piękniejsza od wszystkich moich marzeń i godna miłosnego poematu. . .

— To nic nowego byś nie powiedział. . . — roześmiała się Anielica i drobnymi kroczkami wbiegła na środek komnaty. — Słyszałam już chyba wszystkie możliwe komplementy i wiem, że mówicie je tylko wówczas, gdy czegoś ode mnie chcecie. Zatem wystarczy, że po prostu będziesz miły.

— No właśnie starałem się być miły — z trudem panował nad sobą Kilikin.

— Zanim zdradzisz mi treść swej prośby, zrób mi niewielki masaż pleców, dobrze? Należysz do tych bogów, którzy mają niezwykle gładkie dłonie. . . Nie to, żebym specjalnie za wami tęskniła, ale skoro już tu jesteś, niech też mam z tego jakiś pożytek. Podobno czynicie dobro. . .

— Podobno tak, podobno dobro też, no, niektórzy z nas. . . Dobrze, z przyjemnością. Połóż się na brzuchu — syknął Kilikin przez zaciśnięte zęby.

Po chwili łagodnymi ruchami gładził łopatki Anielicy.

— Wiesz, że masz tu pieprzyki ułożone jak konstelacja Wielkiego Feniksa? — zagadnął bóg.

— Wiem i myślę, że to bardzo romantyczne — westchnęła Anielica i przekręciła się na plecy.

— Jakie?

— Romantyczne. Ech, wy, bogowie, nie macie o tym pojęcia. Romantycznie oznacza tyle, że ktoś kogoś kocha, tylko nie wolno mu tego, albo robi to bez wzajemności, czyli, że ten drugi ktoś go nie kocha, albo oboje się kochają, tylko ktoś inny im przeszkadza. . . czy coś w tym rodzaju.

— Aha, to może dobrze, że nie mamy o tym pojęcia. Może wystarczy, że czynimy dobro?



— Chyba nie, to zbyt mało romantyczne. . .

Kilikin zacisnął szczęki i zastanowił się nad zmianą taktyki.

— Mam do ciebie prośbę, może uznasz ją nawet za coś no. . . romantycznego.

— Ooo! To ciekawe — zaszcebiotała i uniosła się na łokciach.

— No właśnie. Widzisz, był u mnie z wizytą mój nadbóg.

— Z wizytą? To tak to się teraz nazywa?

— Ależ, oczywiście, było to wielce zaszczytne objawienie i tak dalej, lecz miało niezwykle przyjacielski i nieoficjalny charakter, więc. . .

— Aha, nabroiłeś! — zaniosała się śmiechem Anielica. — Pojawił się i zagroził ci śmiercią całkowitą, co? Przyjacielski charakter, che, che. . .

— Ależ skąd! — Kilikin zerwał się na równe nogi. — Jestem po prostu jego ulubionym dziećciem, wybranym wyznawcą i tak dalej. . . , więc zwrócił się do mnie z małą prośbą. Taką jakby sugestią prośby, coś jakby niewypowiedzianym życzeniem.

— No tak. . . Wiesz, to już jest nawet trochę romantyczne — Anielica zmrużyła oczy. — Samotny bóg niewielkiego niebiosy zwraca się z prośbą do pięknej nieznajomej, by ratowała jego głowę przed okrutnym nadbogiem.

— Jak to, nieznajomej? Przecież znamy się od zawsze — jęknął Kilikin.

— Nie przerywaj, zaraz wszystko zepsujesz — naburmuszyła się Anielica. — Poza tym, co ty możesz wiedzieć o jakimś „zawsze”? Zawsze to byłam ja! A bogowie zrodzili się później. Lepiej, żebyście wszyscy o tym dobrze pamiętali.

— No dobrze, dobrze! To rzeczywiście romantyczne, że proszę cię o coś i romantyczne, że on mnie o coś prosi, i romantyczne, że jak tego dla mnie nie zrobisz, to on mnie zbije!

— No widzisz! A nie mówiłam! A zatem, o co chce mnie prosić mój skryty wielbiciel?

Kilikin wbił w nią nieruchomy wzrok, lecz na Anielicy nie zrobiło to najmniejszego wrażenia. Przymknęła oczy i uśmiechnęła się do swoich myśli.

— Chcę, żebyś kogoś zabiła.

— Ooo, to naprawdę romantyczne. Ale jak zabić, tak z miłości, czy jak?... Będę musiała się postarać, czy wszystko będzie jak zwykle?

— Po prostu zabij pewnego wojownika.

— Ależ wielki boże Kilikinie — Anielica usiadła skromnie i poprawiła fryzurę — wszyscy wiedzą, że ja nie zabijam. Ja jestem tylko przewodniczką, przyjaciółką umarłych, tą, która wychodzi na powitanie i niesie nadzieję.

— Nie zabijasz, ale możesz kogoś wysłać z powrotem do życia, czy tak?

— No, niby mogę... Ale muszę mieć jakieś powody.

— Mam nadzieję, że niekoniecznie muszą to być powody romantyczne — westchnął Kilikin.

— Niekoniecznie, ale mogą być. W zasadzie to najlepiej, gdyby takie właśnie były. Tylko wiesz, szczerze. . .

— Chciałbym zrobić przyjemność mojemu ukochanemu nadbogowi — zgrzytnął zębami Kilikin — i zabić w końcu wojownika Sendilkelma z królestwa Atrim. Człowiek ten skontaktował się za pomocą zakazanej magii, a być może i czarii z wrogami światów. Jest on zamieszany w wielką intrygę, jak domniemywam, polityczną i jego kontakty z nieśmiertelnymi mogą być początkiem nowej, powszechnej filozofii. Nie możemy dopuścić do tego, by nieśmiertelni zabierali nam ludzi po śmierci!

— Dlaczego? Miałabym mniej pracy — wtrąciła wesoło Anielica Śmierci.

— Po pewnym czasie mogłabyś jej nie mieć w ogóle!

— No dobrze, ale jak mam go zabić? — Anielica rozłożyła ręce. — A poza tym, to jednak nie jest romantyczne. Chyba że umarłby z miłości do ukochanej, takiej, co go nie chciała, albo lepiej, żeby go chciała, tylko ojciec jej nie pozwalał. . .

— Mam lepszy i łatwiejszy do zrealizowania pomysł. Znajdź oddział umierających wojowników, z tym chyba nie powinno być problemu, na świecie wciąż wybuchają wojny. . . Gdy pojawią się

u ciebie, powiesz, że nie zaprowadzisz ich do niebios, w których mają swych ukochanych bogów, dopóki nie spełnią twego jednego życzenia.

— Tak. . . I zasadniczo mogę od nich wymagać wszystkiego, prawda? Zaczyna mi się podobać. . .

— To świetnie. Za pomocą wszechlustra odnajdziesz Sendikelma i prześlesz tam swoich wojowników. Tylko pamiętaj, to muszą być naprawdę wielcy wojownicy i w liczbie co najmniej trzydziestu.

— Naprawdę wielcy wojownicy i w takiej liczbie nie umierają tak łatwo, uwierz mi. Gdzież ja taki oddział znajdę? Przecież tacy wojownicy wygrywają bitwy. Prędzej spotkam ich poćwiartowanych wrogów.

— Jak poszukasz, to znajdziesz! Przecież nie musi to być pole bitwy. Mogą na przykład umrzeć na nieuleczalną chorobę, plądrując w zdobytym mieście domy uciech.

— Ooo! To się zdarza!

— A widzisz! Zatem, odszukujesz ich, odsyłasz, oni zabijają wstrętnego ludzika i wszyscy jesteśmy szczęśliwi.

— No dobrze, ale. . . , gdzie tu jest coś romantycznego?

— Moja droga, jak ten Sendilkelm tu już przyjdzie i zanim pošlesz go do jakiś niebios, najlepiej do szalonego kolegi Kuuna, możesz spędzić z nim wiele przyjemnych chwil. Sądzisz, że nie zauważyłem, iż jedno z luster ciągle go pokazuje? Coś często o nim myślisz. . .

— Taaak? Nie zauważyłam. A jak już u mnie będzie ten, jak mu tam, Sedilcośtam — Anielica podrapała się w czoło, chociaż jej nie swędziało — to dokładnie, jak długo może u mnie zostać?

— Jak długo tego będziesz sobie życzyła. Masz na to moje słowo i pozwolenie.

— I oczywiście będę mogła wyrzucić go stąd od razu, jeśli tak postanowię?

— Powiedziałem ci już, możesz go tu trzymać, jak długo zechcesz.

— Tak, może to jednak jest romantyczne — westchnęła Anielica Śmierci i opadła plecami na lśniące poduszki.

— Dzięki ci za wszystko — Kilikin otarł drżącą dłonią czoło, skłonił się i czym prędzej wyszedł.

\* \* \*

Przed pałacem Anielicy wsiadł do swego pojazdu, dziwnie przypominającego wóz Melkonserona. Nie to, żeby Kilikin go naśladował, zainspirował się po prostu genialnym pomysłem.

Pojazd zazgrzytał, wyrzucił z błyszczących rur kłęby spalin i, terkocząc, przetoczył się po podjeździe. Bóg pomyślał, że teraz musi się postarać o odpowiednie drogi dla tak wspaniałego urządze-

nia. Najlepiej dużo dróg. . . Włączył system nagłaśniający i zalała go fala muzyki etnicznej z dolnego Kilszeszenam. Skrzywił się, pokręcił gałką, w końcu znalazł koncert cymbałów kościanych i dodał gazu.

— To straszne — westchnął. — Dlaczego ona musi być kobietą? — i zamruczał:

*Śmierci wesoła*

*o pięknej twarzy,*

*dzięki Tobie już nic się nie zdarzy!*

# 7

## Mgłatuluj

*Pytacie mnie, uczniowie moi, co jest, a czego nie ma? Trudną dla was mam odpowiedź, albowiem wiedzieć musicie, że sześć jest poziomów istnienia rzeczy. To, co się stało, to, co się dzieje i to, co się dopiero stanie — oto podstawowe trzy poziomy istnienia. Istnieją jednak rzeczy, które się nie stały w przeszłości, a od których głównie zależą te, które dzieją się w teraźniejszości. Natomiast to, co wydarzyło się w przeszłości i teraźniejszości, ma wpływ na istnienie rzeczy, które nie staną się w przyszłości.*

*W skrócie: to, co było i to, co się nie stało, to, co jest i to, czego nie ma, to, co będzie i to, co się nie stanie, oto sześć poziomów istnienia związanych ze sobą.*

*Zwykły człowiek może zrozumieć tylko przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. Mag wzniósł wie, że istnieją również nieprzeszłość, nieteraźniejszość i nieprzyszłość! Tylko mistrz najwznioślejszej ze sztuk sześć poziomów istnienia jednoczy w całość! I tylko w ten sposób może swą magię połączyć z czarią!*

(z nauk Karcena)

Wielki wódz, Pan Kotła i Wiatru, Mgłatuluj, obserwował bitwę z opancerzonej wieżyczki swego flagowego statku. Łaskawy wiatr gładził swymi długimi palcami jego włosy.

— Wiatr pieści zwycięzców, a woda liże im stopy — uśmiechnął się do siebie Mgłatuluj.

Dawniej był pewien, że przysłowie to nie kłamie. Lecz dziś, gdy patrzył na poczerniałe od zapadającego mroku wody, czuł, że jest inaczej.

Już od pierwszej wojennej narady był przeciwny tej wyprawie, ale gdy władczyni absolutna, Królowa Ludzi Białych i Czarnych, ma ochotę na kolejną wojnę, to dowódcy mogą wybrać bądź nagłą śmierć, bądź wykonanie rozkazu i nic więcej. Mgłatuluj wspominał tylko, że nie podoba mu się pomysł zaatakowania wyspiarskiego państewka Pomenloj, gdyż szpiegowska siatka dostarczyła niekompletne plany portu i także mapy morza. Nie znając głębokości portu, nie można dobrze zaplanować desantu. Nadto, pancerne okręty są o wiele cięższe od, największych nawet, drewnianych



jednostek handlowych Pomenlojczyków. Władczyni zbyła tę uwagę, proponując, by desantu dokonali na zdobytych jednostkach wroga. I na tym zakończyła się narada wojenna. Pozostało mu tylko zwyciężyć lub nie wracać.

Mgłatuluj starannie przygotował się do wyprawy. Mniejsze statki nie mogły być użyte w ataku, gdyż nie zdołałyby przebić się przez silny prąd morski, zwany Wielkim Wężem, który opływał wyspę od strony kontynentu. Zwykle okręty handlowe, aby zaopatrzyć się w bezcenne kadzidła narkotyczne i cudowne kryształy lecznicze, musiały płynąć z prądem daleko na południe. Tam Wielki Wąż schodził głęboko pod powierzchnię i można było zawrócić na północ. Żeglarze mówili o tych półrocznych rejsach, że są jak obchodzenie wkoło długiego muru bez bramy. Zresztą było to porównanie, którego używali sami Pomenlojczycy, dumni z chroniącej ich morskiej przeszkody. Właściwie tylko wielkie okręty pod banderą czarno-białej władczyni mogły ją pokonać. Pancerne kolosy były w stanie przetrwać największe sztormy i przeciąć wszystkie prądy morskie. Pomiędzy kadłubami każdego z nich chroniły się mniejsze statki desantowe i szybkie jak strzały niszczyciele.

Wódz Mgłatuluj był świadomy technologicznej i taktycznej przewagi swej floty, zwłaszcza, że jego okręty poruszały się nie tylko dzięki żaglom, ale i nie znanemu nikomu innemu napędowi, jakim była para wodna. Posiadał pięć pancerników trzykadłubowych, choć do tej wojny wystawiono tylko

jeden, o wdzięcznej nazwie „Trzy Panny”. Pomiędzy kadłubami wypłynęło dwanaście niszczycieli parowych najnowszej konstrukcji, nazywanych krabami.

Właśnie w tej chwili Mgłatuluj obserwował, jak jego kraby związały walką około czterdziestu wrogich jednostek. Drugie tyle poszły już na dno. Zwycięstwo na morzu były kwestią kilku obrotów.

Popatrzył przez kryształ przymocowany do obrotowej podstawy na przepiękne pagóry ciągnące się przy brzegu miasta, odległego zaledwie o pięćdziesiąt długości pancernika.

— Czy po zniszczeniu ich floty planujesz jeszcze dziś kontynuować desant? — spytała doradczyni, wciskając się do wieżyczki obserwacyjnej.

Była to najstarsza doradczyni w całej flocie, słynna na całe królestwo Lobinia Rozmawiająca z Wodą.

— Nie obawiaj się portu, wodzu. Woda jest tam wystarczająco głęboka, by niszczyciele dotarły do samego brzegu — dodała spokojnie.

Jej pomarszczona, maleńka twarz napinała się przy każdym słowie i Mgłatuluj obawiał się chwilami, że ta czarna skóra w końcu popęka.

— Jak zwykle jesteś pewna swego sądu? — mruknął, nie odrywając oczu od kryształu.

— Tak, wodzu. Rozmawiałam z wodą.

— Pozwól jednak, że najpierw wyślemy tam mały okręt zwiadowczy pod osłoną reszty niszczycieli.

— Wówczas obrona portu skieruje się właśnie na niego i możesz go stracić.

— A widzisz w ogóle jakąś obronę portu?

— Nie widzę niczego, co moglibyśmy z całym przekonaniem tak nazwać, ale nie wiem, co kryją te małe budynki. Spójrz, są całe, łącznie z dachami, z szarego kamienia i ciągną się wzdłuż nabrzeża w idealnie równych odległościach.

— To zapewne jakieś magazyny albo świątynie. Oni podobno wyznają dwadzieścia bóstw.

— Obyś miał rację, wodzu. Moja moc słusznego doradztwa kończy się tam, gdzie woda.

\* \* \*

Załoga siedmiu ocalałych okrętów Pomenlojczyków oddała się w niewolę. Woleli ją niż śmierć w płomieniach, nawet za cenę hańby do końca życia, którą gwarantowały im w takim wypadku rodzime obyczaje.

Okręt zwiadowczy, błyszcząc polerowanymi osłonami, mknął do brzegu. Za nim, w odległości zapewniającej celny strzał w razie ataku, kołysało się pięć niszczycieli o czarnych kadłubach i metalicznie połyskujących pływakach bocznych.

Na nabrzeże w jednej chwili wypłynęły potoki ludzi. Kolorowy tłum szybko wypełnił bulwary i pomosty. Tysiące kobiet i mężczyzn stało w zupełnym milczeniu.

Nagle od brzegu oderwała się zielonozłota łódź i podплыnęła do okrętu zwiadowczego. Ten ostrzegawczo wystrzelił z ognistego łuku i natychmiast ucichł, na widok dwóch skąpanych w kwiatkach i klejnotach kobiet, które, niczym cudne posągi, wyrastały z dzioba łodzi.

\* \* \*

Przez okrągłe okna sączyło się pomarańczowe światło zachodu. Mgłatuluj wciąż nie mógł znaleźć wygodnej pozycji na swoim tronie. Pośrodku sali stały posłanniczki Pomenloj, spokojne i mądrówne, pewne siły oddziaływania swoich półnagich ciał na rozsądek zwycięzców.

Negocjacje trwały od dwóch obrotów i tyleż czasu tłum na nabrzeżu śpiewał swe monotonne modły. Mgłatuluj był zadowolony ze złożonych mu propozycji. Pomenloj gotowa była stać się wasalnym księstwem na służbie u czarno-białej władczyni. Przewodnicząca poselstwu piękność zapewniała, że nie ma takiej potrzeby, by szlachetni wojownicy zza morza utopili we krwi wyspę, skoro zatopili już całą jej flotę. Pozostali przy życiu ludzie to albo piękne kobiety, albo mistrzowie cennych rzemiosł. Zabicie ich nikomu nie przyniosłoby pożytku. Mistrzowie wyrabiający lecznicze kryształy, hodowcy kadzidłowców oraz kupcy i rolnicy lepiej będą służyli wielkiej władczyni jako

ludzie wolni niż upokorzeni i zdziesiątkowani niewolnicy. Pomenloj z chęcią przyjmie też do swego portu zbrojny garnizon i wielką flotę Królowej Ludzi Czarnych i Białych, gdyż wzmocni to jej obronę przed najeźdźcami z pobliskich wysp Konmola.

Mgłatuluj był pewien, że jego władczyni z radością przyjąłaby te propozycje, gdyż jej zamorska polityka polegała na zawiązywaniu sojuszów z podbitymi państwami. Zresztą, to właśnie dzięki tej zasadzie w ogóle powstało Wielkie Czarno-Białe Królestwo, a z czasem wyrosło na największą potęgę kontynentu.

Tylko Lobinia nie była zadowolona i uparła się, że na ląd nie zejdzie.

\* \* \*

Od dwunastu dni cała flota kołysała się w porcie Pomenloj. „Trzy Panny” mogły podpłynąć tak blisko, że jeden z jej kadłubów połączono mostem na łodziach z nabrzeżem.

Mgłatuluj jeszcze raz przejrzał podpisane i opieczetowane przez obie strony dokumenty i z zadowoleniem wyjrzał przez okno.

Wyspiarze z zadziwiającą łagodnością przyjęli nową władzę. Nie zdarzył się ani jeden atak na marynarzy czarno-białej floty. Miejskie życie toczyło się jak zwykle, a nawet aż nadto radośnie.

Kolorowe ulice tętniły śmiechem, głośnymi rozmowami, wrzaskiem bawiących się dzieci i nawoływaniem kupców. Pólnagie kobiety ze śpiewem tańczyły na przycumowanych do okrętów tratwach.

Królowa wyspy wytłumaczyła zdziwionemu rozwiązłością obyczajów Mgłatulujowi, że wyspiarki tylko raz w roku, dokładnie na wiosnę, są płodne i tylko wtedy wybierają sobie poważnych partnerów, zawierając małżeństwa jedynie na czas wychowania potomstwa, czyli dziesięć lat. Tutejsze kobiety zazwyczaj mają kilku mężów, a niezamężne nawet nie liczą swoich kochanków.

Niektórzy zwycięscy wojownicy byli przekonani, że trafili do niebios. Nawet kapitanowie zdążyli już się zakochać i ożenić z wyspiarskimi pięknosciami.

Poprzedniego dnia na pokładzie „Trzech Panien” odbyły się wspólne modły za zabitych w czasie bitwy morskiej. Oddano wodzie niezliczone klejnoty, kryształy i naręcza kolorowych kwiatów. Rodziny zmarłych cieszyły się, że ich synowie zginęli w walce i nie doczekają hańbiącej każdego wojownika starości.

\* \* \*

Piętnastego dnia Mgłatuluj poczuł nagle palący wnętrzości ogień. Zerwał się z łoża i zdziwionym wzrokiem spojrzął na spokojne wyspiarki, z którymi spędził ostatnią noc. Dowlókl się do okna,

a trzy piękności bez słowa obserwowały jego mękę. Chciał wezwać pomoc, lecz jeden rzut oka na ulicę wystarczył, by zrozumiał, że nie ma sensu tego robić.

Z domów wyrzucano martwe ciała wojowników. Niektórych, jeszcze żywych, w drgawkach i konwulsjach, kobiety wyciągały na ulicę za nogi i rzucały na stosy ciał. A wyspiarze z szerokiemi uśmiechami na twarzach handlowali, otwierali warsztaty i jedli na tarasach jak gdyby nigdy nic. Czasem tylko któryś rzucił w konających wojowników kamieniem lub garnkiem.

Mgłatuluj zobaczył, jak mała dziewczynka stanęła nad wijącym się z bólu oficerem.

— Nie martw się, zaraz zdechniesz. Mama powiedziała, że dzisiaj wszyscy pomrzecie — i ze śmiechem zaczęła skakać mu po głowie.

Wielki wódz z jękiem odwrócił się od okna. Jego kochanki spokojnie wcinały owoce, a najmłodsza z wdziękiem pstryknęła w niego pestką.

— Zaraziłyście... nas... wy... — wybełkotał i padł na podłogę.

Najmłodsza podeszła do niego i przykucnęła.

— To chyba uczciwy układ, mój panie zwycięzco. Czternaście dni byliście w niebie, a teraz w ciągu jednego obrotu, dziękując nam za dar tak szczodry, wszyscy zginiecie. Ach, nie wszyscy... Wasza Rozmawiająca z Wodą przecież nie kochała się z żadną z nas... To nic, nabijemy ją na pal tuż przy wrotach do waszego grobowca. Tak, tak, waszą śmierć składamy w ofierze bogini. Widziałeś

w porcie budowle z szarego kamienia? Powiedzieliśmy wam, że to grobowce. Szkoda tylko, że nie zapytaliście, czyje. Tak, tak, waszych poprzedników, mój ty dzielny dowódco. Gdy spalimy wasze ciała, prochy wypełnią kolejny szary dom bez okien, a może nawet dwa. . .

Mgłatuluj nie mógł już wydobyć żadnego dźwięku. Gasnącym wzrokiem dostrzegł jeszcze drugą kobietę, która szła do niego z pięknie rzeźbionym mieczykiem w ręku. „Jakie piękne zdobienia” — pomyślał. — „Chyba tak się właśnie umiera. . . myśli się człowieka nie słuchają. . .”.

Kobieta kopnęła go niezbyt mocno.

— Nie wszystko spalimy, nasz panie i władco. W zaświaty pójdziecie wszyscy, wierz mi, lecz żaden z was nie będzie już mężczyzną.

\* \* \*

Z mgły wyłaniali się kolejni wojownicy, na czworakach, zataczając się lub pełznąć. Wszyscy mieli zakrwawione nogi i buty.

Mgłatuluj znalazł kilku dowódców i okazało się, że nawet tu, w zaświatach, można dać komuś w pysk, by wziął się w garść. Powziął bowiem decyzję, że wojsko Królowej Ludzi Białych i Czarnych, również do niebios boga Kuuna pójdzie tak, jak walczyło, w szyku i absolutnym porządku.



Pan Kotła i Wiatru tuż po śmierci, gdy minął paraliż i potworny ból, zorientował się, że choć jego ciało jest niebieskawe i półprzeźroczyste i, bądź co bądź, nieco wybrakowane, to nadal pozostaje mężem silnym i sprawnym.

— Zadowolony z wyglądu? — mruknął do siebie. — Jak widać, po śmierci człowiek szybko dochodzi do siebie, cokolwiek to oznacza.

Rozejrzał się dookoła. Kapitanowie sprawnie formowali oddziały. Zarządzili też, by każdy przykrył czym się da braki w swoim ciele. Wojownicy obwiązywali się w pasach kaftanami, koszulami i innymi resztkami garderoby, w której przyszło im umrzeć. Słysząc było pełne przekleństw rozmowy, a że każde słowo zamieniało się w błękitny obłoczek, wkrótce całą armię pokryła niebieska mgła.

Mgłatuluj dziarskim krokiem przemaszerował przed frontem oddziałów. Szykując się do przemówienia, odruchowo podniósł nogę, chcąc wspiąć się na podwyższenie i, o dziwo, rzeczywiście natrafił na jakiś stopień, potem na następny i następny. Wojownicy zadarli głowy, wpatrując się w zawieszonoego nad nimi wodza.

— Aha, tu wszystko jest możliwe, tylko trzeba o tym pomyśleć — szepnął, po czym wrzasnął: — Wojownicy! Po pierwsze, zamknąć pyski! Jak już się wszyscy zorientowali, tu także można odczuwać ból, oczekuję zatem posłuszeństwa! Po drugie, musimy się godnie zaprezentować przed

wielkim Kuunem. Jego przewodniczka pewnie zaraz tu będzie, więc zachowujcie się jak prawdziwi wojownicy czarno-białej władczyni. Po trzecie, wiem, że wielu ma do mnie żal o tę śmierć. Nie jest jednak, jak sami widzicie, aż tak źle. Chciałbym wam również przypomnieć, że to nie dowództwo kazało wam spółkować z tymi kobietami, sami tego chcieliście, a jakiegokolwiek zakazy w takich sytuacjach nie mają znaczenia, wręcz wzmagają apetyty. Dopadła nas jakaś zaraza i nikt nie mógł na to nic poradzić. Pozostaje nam tylko godnie odmaszerować do szczęśliwych ogrodów Kuuna. Tam, jak wiecie, przebaczone nam zostaną wszystkie grzechy, gdyż bóg nasz jest litościwy. I módlmy się, by z tej wielkiej litości oddał nam to, co zabrały nasze morderczynie. . .

— Nieźle powiedziane — zachichotała Anielica Śmierci, pojawiwszy się nagle obok Mgłatuluja. Oszołomieni wojownicy rozdziawili usta, a dowódcy natychmiast wydali komendę:

— Na kolana padnij!

Mgłatuluj uklęknął przed Anielicą i, nie mając odwagi podnieść oczu, wpatrywał się w jej białe stopy. Były opalone, z wyraźnymi śladami po rzemykach wysoko wiązanych sandałów. Każdy paznokieć mienił się innym kolorem.

— Wstań wodzu — powiedziała lekko Anielica i klepnęła go w ramię. — Na razie możecie się odprężyć, kłopoty zaczną się dopiero u boga Kuuna.

— Witaj, o pani, i zechciej nas, pobożnych, wysłuchać — Mgłatuluj pochylił głowę jeszcze niżej i jął odmawiać Modlitwę do Śmierci, a głosy z dołu nieśmiało dołączyły się do niego.

*Przewodniczko życia mego nie zostawiaj mnie samego.*

*Zlituj się nad zagubionym*

*w zaświatach opuszczonym.*

*Daj nam rękę, daj nam ścieżkę!*

*Tyś zgasiła życia świeczkę.*

*Lampą oświeć czarne drogi,*

*byśmy trafić mogli w boże progi!*

*Tyś ostatnią naszą nadzieją,*

*do ciebie dusze nasze się śmieją!*

*Zanim znikniemy w nieba błękitach,*

*daj nam rozkoszy ze swego kielicha!*

— Dobrze. Bardzo pięknie, że w ogóle pamiętacie jakieś modlitwy, chociaż, jak widzę, nie wszyscy. Ech, już dawno prosiłam waszych kapłanów, by wymyślili rymy bardziej ambitne, podkreślające mój urok i delikatność. No, trudno, to już nieważne. . . — Anielica uśmiechnęła się i podparła pod boki. Lustrowała wzrokiem szeregi wyprężonych wojowników. — Biedactwa, do mnie nie musicie się modlić. Zbierajcie raczej siły na modły do Kuuna, chociaż nie wiem, czy wam pomogą. I nie przejmujcie się tym brakującym ogniwem w waszych ciałach. Przyjmowałam tu wielu wojowników w kawałkach i każdego z nich przekonałam, że, jak ja to mówię, wszystko da się poskładać. . .

Mgłatuluj nie mógł oderwać oczu od jej ponętnej postaci.

— Wodzu, pozwól na słówko — powiedziała piękność i chwyciła go za łokieć.

\* \* \*

W okamgnieniu znaleźli się w kulistej komnacie pałacu Anielicy, a oszołomiony Mgłatuluj stwierdził, że jego ciało znowu jest kompletne.

— To nic takiego — machnęła ręką Anielica i nalała zielonego płynu do kryształowych kielichów. — Dobrym jesteś wodzem?

— Wygrałem dwanaście kampanii morskich i szesnaście lądowych. . . tylko ta ostatnia. . .

— Tak, tak, wiem, jak to jest... Niewiele mogłeś zrobić — Anielica położyła się wygodnie na poduszkach i wyciągnęła rękę z kielichem w stronę Mgłatuluja. — Przed tobą było tu kilka armii, które chciały zdobyć Pomenloj. Nawet, gdybyś zabronił swemu wojsku zbliżać się do tych kobiet, to na pewno kilku oficerów, a może i ty sam, chciałoby zakosztować nagrody zwycięzców, prawda? A wystarczyłoby tylko jeden zarażony wojownik, by w czternaście dni, przez oddech czy podanie ręki, zapadła na zdrowiu reszta załogi.

— To dlaczego one chciały... tego... wszystkich?

— Nie znasz kobiet? — zaniósł się śmiechem Anielica. — Każda z nich chciała osobiście zemścić się na was... własnoręcznie zdobyć trofeum dla swej bogini. Znam ją zresztą, strasznie rozwrzeszczana starucha. Mieszka niedaleko i do jej niebios mają dostęp tylko kobiety, chyba dlatego, że kiedyś Mnog i Oz coś jej zrobili, ale nie znam szczegółów.

Mgłatuluj pociągnął łyk napoju z pucharu. Smakował i śmierdział jak zwykła portowa wódka. Trochę kręciło mu się w głowie. Anielica nadal paplała o Mnogu i Ozie, ale nie słuchał, postanowił też o nic więcej nie pytać.

— Jak zapewne przypuszczasz, bo jesteś człowiekiem inteligentnym, czego nie można powiedzieć o twej władczyni, musisz coś dla mnie zrobić — słowa Anielicy były tak dobitne, że wybudziły go z letargu.

— Wszystko, o pani, co tylko mogę w tych okolicznościach — mruknął.

— To możesz, zwłaszcza, że okoliczności trochę się zmieniają. . . — Anielica przysunęła swoje ciepłe udo do jego nogi. — Wybierzesz spośród swoich ludzi trzydziestu najlepszych. Wróćcie do swojego świata, lecz w zupełnie inne miejsce, i coś dla mnie zrobicie. . .

Mgłatuluj zeszywniał, czując dłoń Anielicy na swojej szyi. . .

\* \* \*

Drżącą ręką nalał sobie kolejny kielich. Zza drzwi dochodził go szum wody i zawodzący śpiew Anielicy.

— Ciekawe, ile czasu minęło? — mruknął do siebie.

— Tuuu czasu nieee ma — odśpiewał mu z łaźni wysoki głos Anielicy. — Dlaaa twojego woj-skaaa minęło zaleeedwie mgnienie oooka, a dlaaa nas noc całaaa.

Po chwili, owinięta w dwa ręczniki, jeden wokół brzucha, drugi wokół głowy, usiadła obok niego.

— Pamiętasz, co masz zrobić? Masz ostatnią szansę, by jeszcze o coś spytać.

— Pamiętam. Schodzę i wybieram trzydziestu najlepszych. Ty materializujesz nas w górach Timajach. Odnajdujemy cel. Zabijamy go. Likwidujemy świadków. Co dalej? Wracamy do ciebie?

— Nie. Nic z tych rzeczy. Będziecie sobie żyli dalej, tylko na obcym kontynencie aż do kolejnej śmierci. Mam nadzieję, że nie dasz się zabić we własnej zasadzce. Tak czy inaczej, na pewno kiedyś się spotkamy. Aha, jeszcze coś — Anielica wstała i chwyciła go za przedramię tak mocno, że zwałił się z jękiem na podłogę. — Musicie go zabić! Jeżeli tego nie zrobicie, odprowadzę twój oddział do takiego niebiosa, gdzie. . .

— Zabijemy go, pani, na pewno — jęknął Mgłatuluj.

— No! I jeszcze ostatnia dobra rada dla ciebie i twoich ludzi — Anielica spokojnie wycierała ręcznikiem włosy. — Znajdźcie sobie jakąś miłą religię. Nie to, żebym się wtrącała, ale ten wasz Kuun nie jest zbyt trafnym wyborem.

— Tto co proponujesz? — szepnął zaskoczony Mgłatuluj.

— Bogini Ballije jest całkiem miłą. Ma urocze niebiosa, urządzone ze smakiem. Czasami wpada tu pogadać.

— Nie znam takiej bogini.

— A tak, ona jest popularna na archipelagu, którego nawet nie macie na mapach.

— Dziękuję ci, o pani — szepnął wódz. — A co z resztą mojej armii?

— No cóż, za życia wierzyli w Kuuna, więc teraz nie mają wyboru.

— Ja też należałem do jego świątyni. Będzie im tam aż tak źle? . . . Bardzo źle, zgadłem?

— Idź już, bo zmienię zdanie.

\* \* \*

Kolumny odmaszerowały za niewielką kobiecą postacią prosto w zasłonę błękitnych mgieł. Nad oddziałami unosiła się pieśń do Kuuna.

Mgłatuluj odprowadził wzrokiem ostatni pułk, po czym zwrócił się do trzydziestu weteranów.

— No, chłopcy, teraz mogę wam wszystko wyjaśnić. . .

Siedzieli długo, rozprawiając i wspominając dawne wojny. To dziwne, człowiek bez względu na to czy żyje, czy nie, zawsze lubi pogadać z przyjaciółmi. Nawet, gdy nie ma nic do jedzenia, czy jedzenie czegokolwiek nie bardzo jest możliwe.

Gdy wyczerpały się już wspomnienia i każda wojna została opowiedziana i poprawiona tuzin razy, wróciła Anielica. Jej ciało pokrywała zaschnięta krew, a włosy zwisały w lepkich strąkach.

— Wojownicy, teraz wróćcie do swojego świata! I zapamiętajcie mój wygląd — mruknęła niskim, zachrypniętym głosem. — Kuun nie potrafi nikogo uszanować, nawet mnie. . . No dobra, znikać mi stąd i postarajcie się nie umrzeć od razu. . .



# 8

## Agni

*Ludzie wierzą w znaki. Ci najgłupszy, w znaki od bogów. Nieszczęśnicy, nie wiedzą, że jakaś część ich niedoskonałego umysłu miała szczęście zobaczyć cień magicznego wiru. Ci rozsądniejsi z pytaniem o znaczenie znaków zwracają się do mistrzów magii, zaś ci pozbawieni mądrości, do kapłanów swych religii. A kapłani w odpowiedzi mogą przedstawić im jedynie efekt pomieszania własnych zmysłów. Bowiem bogowie żadnych znaków nie dają i dać nie mogą, gdyż istnieją w wymiarach obcych ludzkiemu postrzeganiu.*

*Tak zawsze było i tak zawsze będzie.*

(z nauk Karcena)

Agni szarpnęła w odpowiedniej kolejności pięć stalowych zasuw i zamasyście otworzyła drzwi. Weszła do środka. Pomimo że główny korytarz dobrze oświetlało ośmiokątne okno na jego końcu, miała wrażenie, iż ktoś się tu czai.

Odkąd wyjechał Sendilkelm, jego wieża stała się dla niej dziwnie obca i mroczna.

Poodsuwała szybko kotary, wpuszczając do komnat ciepłe światło. W sali rycerskiej ze zgrzytem otworzyła jedno skrzydło drzwi, wychodzących na krużganek wokół wieży. Do wnętrza wpadło chłodne powietrze późnojesiennego popołudnia. Wyszła na zewnątrz, płosząc stadko gątrali, które, wykorzystując nieobecność surowego gospodarza, nareszcie ze spokojem wiły tu sobie zimową siedzibę.

— Myślicie, że jesteście takie sprytne — wzięła się pod boki Agni — i że ja przymknę oko na wasze śmieci pośrodku czyjegoś balkonu? — energicznym kopniakiem rozbiła gniazdo w kawałki.

Zaniepokojone gątrale dreptały po krawędzi balustrady, zerkając jednym okiem na dziewczynę, a gdy z powrotem zniknęła w komnacie, przystąpiły do odbudowy domu.

Agni wzruszyła ramionami, gdyż wiedziała, że tak będzie. Gątrale nigdy nie rezygnują z upatrzonego miejsca, musiałyby wytluc całe stado, by dały jej spokój.

Pozapalała lampiony we wszystkich komnatach i od razu poczuła się lepiej. Zajrzała do swego pokoju. Wszystko stało na swoim miejscu.

Teraz, gdy nie było Sendilkelma, mieszkała w siedzibie Karcena i nie bardzo to lubiła. Mag miał dziwny gust, za dużo było tam rozmawiających między sobą obrazów, chodzących stolików i wiecznie płonących, kolorowych, przezroczystych świec. Przez okna zaglądały utkane nie wiadomo z czego pejzaże dalekich krain. A do tego te koszmarne ozdoby ścian, misternie poukładane z potłuczonych talerzyków i kawałków lusterek.

Wyciągnęła z szuflady czerwony ręcznik i poszła do łaźni.

Uwielbiała kąpać się w łaźni Sendilkelma. Zbudowano ją pewnie przed wiekami, jak i tę część zamku, gdzie pośrodku zarośniętego dziedzińca wznosiła się samotnie wieża Sendilkelma. Została urządzona surowo, lecz ze smakiem, na wzór dawnych, rycerskich czasów. Na dnie basenu i suficie widniały sceny wielkich bitew i turniejów, wykonane z kawałków białego i szarego minerału, dopasowanych przez nieznaną mistrzów tak dokładnie, że nie było widać spoin.

Podsyciła ogień pod kotłem z wodą i z lubością zanurzyła się po szyję w kamiennej, cudownie wyprofilowanej wannie. Teraz znowu, mogła pomarzyć. O podróżach, o innych krajach, o zamorskich ciemnoskórych kochankach. . . O Sendilkelmie trochę też.

Wędrowała wzrokiem po półkach zastawionych różnymi słojami pachnideł i kolorowymi lampkami. Wewnątrz jednego ze słoików zauważyła gęstą pajęczynę i postanowiła, że zaraz po kąpieli wszystko umyje i wreszcie doprowadzi łaźnię do porządku. Na przykład wyniesie stąd te książki. Sendilkelm nie dawał się przekonać, że niszczejną w oparach wody i zdecydowanie wygodniej jest czytać w gabinecie. Ciągłe znajdowała wilgotne tomy upchane gdzieś przy basenie.

Nalała do słoika wodę i po chwili na jej powierzchnię wypłynął maleńki, żałośnie zwinięty pająk. Nawet zrobiło się jej go żal, ale zacisnęła zęby i wylała zawartość słoika do odpływu w podłodze. Na kamiennej kratce zatrzymały się trzy dziwne koronkowe kształty w mokrych pajęczynach.

\* \* \*

Siedziała w wygodnym fotelu na wprost widocznego przez uchylone drzwi krużganka. Gątrale już prawie skończyły naprawiać swoje gniazdo i ćwierkały wesoło, buszując po podłodze galerii. Obracała w palcach dziwne kosteczki. Oglądając je ze wszystkich stron, powoli nabierała przekonania, że właśnie wszystko w jej życiu się zmieniło i już nic nie będzie takie, jak dawniej.

— Dziwne i piękne — powiedziała do siebie, gładząc palcem koronkowe sploty na powierzchni kosteczek. — To jak świat, którego nie znam. . . Dziwny i piękny.

Nagle zrozumiała, że nie chce spędzić całego życia na sprzątanu komnat w Atrim. Gdzieś w głębi duszy zawsze o tym wiedziała. To dlatego tak namiętnie rozczytywała się w tomach z biblioteki Sendilkelma, to dlatego wydawała wszystkie oszczędności na lekcje strzelectwa i fechtunku. Tak, zawsze chciała gdzieś wyjechać, najlepiej bardzo daleko. Dalej niż do rodzinnego Szukarnu, zapa-  
dłej dziury śmierdzącej rybami, dalej niż do przedmieść Atrim, dalej niż do jego granic. . .

W głowie jej szumiało, a serce łomotało jak na pierwszym miłosnym spotkaniu. Z oczu popłynęły dwie wielkie łzy. Uśmiechnęła się do niezmordowanych gałązi, rzuciła im kilka papierków i zatrzaskała drzwi. Ptaki, zachwycone rozsądnym zachowaniem młodej kobiety, natychmiast wyplotły z prezentu okrągłą ozdobę i umieściły ją nad wejściem do gniazda.

Agni wypadła na dziedziniec i spojrzała w górę na okna wieży, po czym pobiegła w kierunku bramy, zderzając się w połowie drogi z chuderlawym młodzieńcem.

Był to goniec. Na widok płomiennego spojrzenia Agni, szybko spuścił wzrok.

— Mam wiadomość i list dla pani Agniressy Linetoli — wyrecytował i, stając niemal na baczność, podniósł na wysokość oczu pakunek opieczętowny przez Poczty Królewską.

— To ja.

— Tak, wiem, tto znaczy, wiem, że ood dawna ttu pracujesz i. . . — jąkał się goniec, nie mogąc oderwać oczu od rozchylonej bluzy Agni.

— Tak, to miło, że chcesz się ze mną spotkać i opowiedzieć o swym niezwykłym życiu i w ogóle — Agni zapatrzyła się gdzieś przed siebie — ale właśnie wyjeżdżam, więc szkoda twojego czasu.

Goniec wręczył jej czarną paczkę, wyprężył się regulaminowo, odwrócił i odmaszerował do bramy.

Agni zrobiło się trochę przykro. Poczula się jak starsza siostra, która dokuczyszcy beztrasko bratu, zraniła go śmiertelnie.

— Przepraszam! — krzyknęła za chudzielcem. — Naprawdę, nie warto było się starać! Miałbyś ze mną tylko same kłopoty!

Młodzieniec odwrócił się w bramie i służbiście pozdrowił ją, podnosząc rękę nad głowę.

— Sama mam ze sobą kłopoty... — mruknęła do siebie.

\* \* \*

Przeraźliwie gruba kelnerka podała jej parującą kaszę z pokrojoną na długie paseczki rybą. Wnętrze gospody wyglądało schludnie i sympatycznie. Słomiane dekoracje w kształcie serc i kielichów tkwiły tu pewnie od czasów żniw, lecz najwyraźniej dbano o nie sumiennie.

Wchodząc tu, Agni obawiała się trochę cuchnących wódką propozycji stałych bywalców i podróżnych. Na szczęście było spokojnie. Natrunkowani mężczyźni woleli towarzystwo wyspecjalizo-

wanych w zalotach miejscowych dziewczek, a te również zupełnie się nią nie interesowały. Ponadto otuchy dodawał jej ogromny strażnik, siedzący nieruchomo pod ścianą z nagim mieczem na kolanach.

— Ciekawe, jak to będzie, gdy skończy się królewska cywilizacja Atrim? — szepnęła do siebie Agni i postanowiła jeszcze raz przeczytać wiadomość.

Otworzyła czarne pudełko i wyciągnęła preparowaną błonę z rybiego pęcherza. Drobnutkie litery z pewnością wyszły spod ręki jej przybranej matki i wszystkie w oschłym porządku informowały o śmierci Gudilneka.

Agni uśmiechnęła się na wspomnienie zabawnej, okrągłej postaci przybranego ojca. Był rybakim zakłętnikiem, prawdziwym mistrzem w swej sztuce. Razem obserwowali ryby w sadzawce niewielkiej świątyni, położonej na skraju wioski, razem tańczyli na rybackich weselach. A teraz jedzie zobaczyć jego ciało, zanim w szkarłatnej łodzi odpłynie w swój ostatni rejs.

Karcen nie utrudniał jej wyjazdu. Był tak zajęty swymi sprawami, że ledwo w ogóle zwrócił uwagę na jej prośbę o zwolnienie ze służby. Nowy pomocnik maga, śmieszny staruszek, przedstawiający się jako przyjaciel Sendilkelma i uczeń Karcena, wręczył jej jako wynagrodzenie dwie szkatuły monet. Wiedziała, że nie zasłużyła na takie bogactwo. Mogła kupić sobie za to dom przy rynku Atrim, a do tego kilka wiosek, jak ta, w której się wychowała. Gdy zaczęła gorąco dzięko-

wać, Karcen wypchnął ją grzecznie za drzwi, na pożegnanie stwierdziwszy jedynie, że będzie mu brakować tych pysznych placków, lecz takie straty są potrzebne, by było o co prosić bogów. No cóż, każdy wiedział, że magowie to dziwacy. . .

— A czy ja mam o co prosić bogów? — mruknęła, grzebiąc patyczkami w talerzu.

\* \* \*

Dwa dni później, o chłodnym świcie, patrzyła z matką i resztą mieszkańców wioski, jak fale unoszą ku srebrystemu horyzontowi szkarłatną łódź.

Nie chciała tu zostać, postanowiła jedynie jeszcze raz odwiedzić miejsca z dzieciństwa. Cały dzień włóczyła się po plaży i okolicznych skałach. W grocie, gdzie dawniej spotykała się z chłopcami, rozpaliła ognisko i usiadła, by przeczekać gwałtowną ulewę — zwiastun jesiennych sztormów. Wyjęła z kieszeni zawiniątko, odchyliła materiał i wpatrzyła się w małe kostki. Tak, wyjedzie. . . Tak po prostu, by poznać świat. A potem może wróci i zamieszka, kto wie, może właśnie tu, w pobliżu tej groty, w kamiennym domu. Pieniądzy starczy jej do końca życia, bezpiecznie poczeka ją na nią pod dnem świątynnej sadzawki.



\* \* \*

Matka karmiła ryby okruchami chleba i uśmiechała się łagodnie. Gudilnek odszedł, pozostawiając jej swe tajemnice i obrzędy. Teraz ona zamieszka w świątyni, do czasu, gdy przyplynie po nią szkarłatna łódź. Gudilnek obiecał, że będzie czekać. . .

— Masz ofiarę dla świętych ryb, córko? — powitała ją spokojnie.

Agni wycalowała jej policzek i zawstydzila się, że weszła do świątyni bez ofiary.

— Coś mam — przypomniała sobie i zanurzyła rękę w skórzanej sakwie, zawieszanej przy pasie. Na dnie znalazła pognieciony pergamin, a w nim kilka okruchów ciasta. Wsypała je do sadzawki.

— Widzę, że szukasz swej przeszłości, córko — uśmiechnęła się matka.

— Tak. Wiesz, że nigdy nie wiedziałam, czego tak naprawdę chcę. . .

— Tak, wiedziałas tylko, czego nie chcesz. Nie chciałaś być żoną rybaka, nie chciałaś tu zostać, a teraz widzę, że nie chcesz wracać do Atrim — uśmiechnęła się i objęła dziewczynę. — Tak się cieszę, że nie jesteś nieszczęśliwa jak większość kobiet, które znam. Masz w sobie niepokój, to dobrze. Szukaj jego źródeł wytrwale, to może bogowie uśmiechną się do ciebie. Wypatruj znaków i idź w kierunku, który one wskażą. Może zginiesz szybko, ale może czeka cię niezwykle życie. Bądź odważna i zrób pierwszy krok.

— Już go zrobiłam, mam, wyruszam w podróż.

— To dobrze, dziecko. A wiesz, dokąd?

Nic nie odpowiedziała, wpatrzywszy się nagle w zatłuszczony pergamin, który od jakiegoś czasu bezwiednie obracała w palcach. W końcu podniosła głowę, uśmiechnęła się i rzekła:

— Chyba wiem. Znalazłam pierwszy znak.

\* \* \*

Karcen często kazał jej kopiować różne dokumenty, szkice i mapy. Zobaczył kiedyś jej haftowaną suknię i stwierdził, że ma zręczne ręce. Wiedział, że bezpieczniej będzie, gdy jego papiery poprzepisuje niczego nieświadoma dziewczyna niż zawodowy kopista królewski. Poza tym miał nad nią nieograniczoną władzę, podpartą strachem wieśniaczki przed okrutnymi możliwościami oszukanego maga.

Kopiowała dokumenty, wkładając między dwa pergaminy lub błony pisarskie cienką blaszkę, powleczone smokolitowym czarnym pyłem. Czasami wiotka blaszka rwała się lub przesuwiała i całą pracę trzeba było zaczynać od nowa. Nieudaną kopię wykorzystywała jako podpałkę, a czasami owijała w nią kawałki ciasta, gdyż tak świetnie się przechowywało.

A teraz już chyba po raz setny studiowała z przejęciem kopię mapy, którą Karcen w wielkim pośpiechu kazał jej przerysować tuż przed wyprawą Sendilkelma. Co prawda, była to kopia nieudana

i w kilku miejscach szlak ginął pośród innych oznaczeń terenu, jednak wystarczająca, by Agni już przemierzała w marzeniach wszystkie krainy.

Wiedziała, że to znak i że musi wyruszyć jutro.

\* \* \*

W dziesięć dni później Agni nie była już tak pewna swojego znaku. Najpierw natrafiła na spalony las i dwanaście zwęglonych szkieletów. Potem, zmarznięta i ubłocona, pokonawszy jakieś potworne bezdroża, stanęła na skraju wrzosowiska, spojrzała na trupi krajobraz Wielkiej Białokostki i omal się nie załamała.

Uśmiechnęła się smutno do równie smutnej samiczki miłowrzośca, która huśtała się na cienkiej gałązce tuż obok jej głowy.

— Co, zostawił cię? — zagadnęła i sama podskoczyła na dźwięk ludzkiego głosu, którego, nawet swojego, nie słyszała od kilku długich dni. — Nie martw się, tak to już jest. Piękne kobiety muszą same radzić sobie na tym świecie.

Samiczka przytaknęła jej przeciągłym gwizdem.

## 9

# Koniec na początku

*Bogowie istnieją, choć ich istnienie inne jest niż istnienie magii i czarii, pamiętać o tym musimy. W niewielkim stopniu mieszać się oni mogą do świata przynależnego nam — mistrzom najwznioślejszym. Choć za sprawą bogów i ich nadpanów istnieją sto czterdzieści cztery rzeczy, nie ma się ich ani magia, ani czaria. Są jak wyspy wyrastające z oceanu czarii i omijać je musimy, lecz nie musimy się ich obawiać, gdyż wyspy, jak wiemy, z jednym tylko miejscem są związane. My, mistrzowie, bez lęku możemy przemierzać ocean czarii na cudownym korabie naszej magii.*

*Tak zawsze było i tak zawsze będzie.*

(z nauk Karcena)

Zmarznięty Sendilkeim obudził się tuż przed świtem. W namiocie panował półmrok. Czuł delikatne pulsowanie pod prawym udem. Włożył dłoń w kieszeń i pogładził ciepłą lżę, zerkając, czy aby Al go nie obserwuje. Siedział obok, opatulony w skóry i płaszcze, i liczył w dłoni jakieś drobne przedmioty. Pomrukiwał przy tym do siebie i kiwał głową z aprobatą dla własnych myśli. Z zewnątrz dochodziło fraternijskie, niezrozumiałe jak ptasie nawoływania zawodzenie Bisenny.

— Długo tak wyje? — Sendilkeim podniósł się na łokciu.

Al Cheger aż podskoczył, wypuszczając z dłoni kilka błyszczących kulek.

— No nie bój się, to ja. . . — ziewnął Sendilkeim, usiadł i podniósł z podłogi kryształowe oko.

— Takie tam zabawki. . . — wyjąkał Al i szybko wybierał resztę kulek.

— Nie tłumacz się, Al — rycerz przeciągnął się, zawadzając rękami o konstrukcję namiotu. — Przyzwyczałem się, że magowie chowają po kieszeniach mnóstwo dziwacznych rzeczy. Kiedyś Karcen wyciągnął ze swej sakwy kartkę, która nie dość, że miała usta, to jeszcze mruczała jakieś zaklęcia. Zobaczymy, co ty ukrywasz. . . — przyjrzał się z bliska kryształowemu oku. — Bardzo pięknie wykonane. Wygląda jak żywe. Dobrze, że nie ma z nami Karcena, zaraz by coś wymyślił, żeby ten kryształek naprawdę na nas spojrział.

— No, tego... właśnie... — wystękał Al. — Ja po prostu lubię takie różne amulety, jakby na szczęście i jakby trochę na pamiątkę...

Sendikelm zdegustowany spojrział na wejście do namiotu.

— To teraz już powiesz, czy ten tam od dawna tak wyje?

— Modlił się całą noc za zabite fasolowe ludziki — odparł rozluźniony zmianą tematu Al.

— Bardzo pięknie... — mruknął Sendikelm i uchylił połę namiotu.

\* \* \*

Pogoda rzeczywiście była tu zmienna. Deszczowa, jesienna noc ustąpiła miejsca zimowemu porankowi. Powietrze pachniało zmarzniętą ziemią, a wszystko wokół pokrył brylantowy szron, nawet włosy kiwającego się przy wygasłym ognisku Bisenny.

Sendikelm bez zbędnych słów spakował cały ekwipunek i sprawdził wszystkie wiązania broni, którą skrywał jego skórzany mundur.

Al Cheger udawał, że pomaga, lecz głównie rozglądał się niespokojnie dookoła. Las milczał, skurczone liście wisiały nieruchomo niczym srebrna biżuteria, niebo, podpierając się gęstą mgłą, rozpraszało mleczne światło, a Sendikelm myślał, że tak muszą wyglądać zaświaty.

Al przydreptał do niego, drżąc na całym ciele.

— Sendilkelmie, czuję straszny ucisk w głowie.

— Tak, mnie też pęka głowa od tego zawrota — rycerz rzucił w Bisennę patykiem.

— To nie to — szepnął Al. — Czuję, że Karcen chce się ze mną skontaktować.

— No, nareszcie, może odwoła tę śmieszłą wyprawę.

Al usiadł na tobołku, skulił się w kłębek i znieruchomiał.

— O, bogowie — mruknął Sendilkelm, wodząc wzrokiem od wyjącego Fratarnijczyka do poruczonego maga. — Co ja tu robię?

Al wyprostował się.

— I co, już?! — krzyknął Sendilkelm. — Dlaczego nic mu nie powiedziałeś o naszej sytuacji?

— Karcen nie chciał słuchać, chciał nas tylko poinformować, że u niego wszystko w porządku — wyszeptał Al.

— To bardzo miło z jego strony, zwłaszcza, że u niego zawsze wszystko jest w porządku!

— Mistrz Karcen jest czymś bardzo pochłonięty i tylko część jego umysłu nawiązała ze mną kontakt. Myślę, że chciał po prostu sprawdzić, czy żyjemy i powiedzieć, że niedługo znowu się odezwie.

— Hm. . . Ruszamy! Jeżeli mapa jest dokładna, to dziś powinniśmy dojść do końca szlaku. Potem musimy sami przeprowić się przez pasmo Timajów Chmurnych i kontynuować drogę gdzieś w tym miejscu. . . — wskazał palcem punkt na preparowanej rybiej błonie.

Al spojrział od niechcienia. Nigdy nie potrafił odczytywać map, lecz wszystkim tłumaczył, że wszelkie plany, jako wynalazek zupełnie niemagiczny, są dla niego po prostu mało interesujące.

Sendilkelm chciał wyruszyć od razu, lecz musieli poczekać, gdyż wielki wojownik, Bisenna Karsago Tilsenna, uparł się, że nie odejdzie, dopóki nie wyprawi fasolowym ludzikom należytego pogrzebu.

Dopiero w południe opuścili polanę, wzbogaciwszy jej monotony krajobraz o dwa niewielkie kurhany.

\* \* \*

Sendilkelm patrzył zaniepokojony na Bisennę. Gadatliwy zazwyczaj olbrzym wciąż milczał i wodził nieobecny wzrokiem, tylko od czasu do czasu wyrывało mu się jakieś fraternijskie przekleństwo. Za to Al biadolił ciągle i skakał między nimi jak wypłoszony królik.



Szli tak od pięciu obrotów, przeciskając się między nagimi skałami i usypiskami kamieni. Kilka razy zgubili drogę, raz o mało nie runęli w przesłoniętą mgłą przepaść, i raz musieli się wycofać z, jak się okazało, ślepego wąwozu.

Sendilkelm był zmęczony. Nie mógł opanować galopujących myśli o oszczepach bogów, dziwnych ludzikach, oczach, którymi bawił się Al, a przede wszystkim o kamiennej łzie, której ciepło rozlewało się po całym jego udzie.

Al Cheger szarpnął go nagle za łokieć.

— Powinniśmy uciekać — syknął i przewrócił oczami jak prosiak w rogu rzeźni.

— Gdzie? — spokojnie zapytał Sendilkelm i wyciągnął z krzyżujących się na plecach uprząży dwa proste miecze.

Bisenna, o dziwo, również sięgnął po miecz i zrzucił na ścieżkę nosidła.

— Kiedy właśnie nie wiem! — pisnął przerażony Al. — Zawsze wiedziałem, z której strony nadchodzi niebezpieczeństwo i dokąd uciekać. A teraz czuję się jak w pułapce. O, mistrzowie moi, co ja mam robić? Przecież tych dwóch na pewno mnie nie będzie bronić. . .

— No właśnie, wezwij Karcena — mruknął Sendilkelm i poluzował wiązanie małej kuszy, przy-mocowanej do cholewy buta.

Bisenna, całkiem już ożywiony, naprężył mięśnie i węszył głośno, zataczając wokół Sendilkelma małe kręgi. Cheger skulił się i opadł plecami na nosidło. W rękę ścisnął pięciokątny nóż Bisenny. Cały jego umysł wykrzykiwał imię Karcena.

\* \* \*

Atak nastąpił nagle i ze wszystkich stron. Sendilkelm przysięgłby, że otaczający ich wojownicy zmaterializowali się w jednej chwili po prostu z mgły. Wszyscy byli więksi od niego, czarnoskórzy, uzbrojeni w dziwne, zakrzywione miecze i oszczepy o dwóch ostrzach.

— Skąd ich się tyłu wzięło? — jęknął Al. — Karcenie, na pomoc!

— Podłe demony, szcurza ich mać sparszywiona. Pojawili się znikąd, ścierwożery! Śmiertność-ścierwność! — syczał przez zęby Bisenna, przywarłszy do Sendilkelma plecami.

Rycerz milczał, obserwując ruchy przeciwników. Naliczył ich około trzydziestu. Mimo przewagi, nadal nie atakowali. Krzyczeli coś do siebie w niezrozumiałym, chrapliwym języku. Dopiero gdy ich dowódca, prawie tak samo umięśniony jak Bisenna, uniósł w górę oszczep, umilkli, ciasno otaczając całą trójkę kręgiem błyszczących ostrzy.

Dowódca skrzywił się i wycedził przez zęby:

— Sendolinnen. . . Sendolinnen. . .

— Chyba chodzi im tylko o ciebie — zaskomlał Al pomiędzy nosideł.

— Nakarmię was waszymi flakami i odciętymi palcami! Mięsoćwrogoćcieć! — wrzasnął Bisenna i runął na przeciwników.

Fraternijska sztuka fechtunku, w mistrzowskim wykonaniu Bisenny, była obca czarnym wojownikom, co też pojęli natychmiast, gdy pięciu z nich straciło ręce, a dwóch kolejnych opadło na ziemię w czterech częściach. Czarny dowódca ryknął głośno i w jednej chwili dziesiątki ostrzy, tnąc powietrze, zbliżyło się do Sendilkelma i Bisenny. Fraternijczyk, wirując jak tornado, parował dziesiątki pchnięć, rozdawał kopniaki i z wielką precyzją rozcinał nagie pachy, szyje i dłonie. Sendilkelm oszczędzał ruchy i dwoma mieczami mierzył tak, by w gwałtownych wypadach ranić jednocześnie co najmniej dwóch wrogów.

Gdy już dwunastu czarnych wojowników padło w całości lub ćwiartkach na ziemię, Bisenna złamał miecz na twardym hełmie ich dowódcy. Ogłuszony wódz potoczył się do tyłu, lecz w chwilę potem jednym susem wyminął Fraternijczyka i dopadł do walczącego z czterema wojownikami Sendilkelma. Rycerz kątem oka dostrzegł tylko, jak Bisenna dźgnął niezdarnie kikutem swej broni czarnego olbrzyma, po czym potworny ból przeszył jego prawe płuco, a odcięta w kolanie noga, plując fontanną krwi, przeleciała nad polem bitwy. Zrozpaczony Bisenna nie zauważył dwóch wo-

wojowników z wielkim głazem w rękach. Trafiony w ramię, osunął się na skulonego między nosidłami Ala.

Dowódca, trzymając miecz na powiece Sendilkelma, wrzasnął coś w swym chrapliwym języku i dwóch wojowników wycelowało swe ostrza prosto w głowę Bisenny. Żaden z nich nie spodziewał się, że giętki jak wąż Fraternijczyk jednym skrzętem ciała uniknie ich ciosów, a dwa miecze zaplącąc się tylko we wnętrzu nosideł. Bisenna natychmiast wykopał w powietrze przeciwników i sięgnął do rozciętego nosidła po miecz. Natrafił jednak na coś innego. . .

Następne zdarzenia zaskoczyły wszystkich. Czarni wojownicy ujrzeli, jak Bisenna podniósł się i wyprostował nagle, lecz zamiast miecza w dłoni miał rękę po łokieć zanurzoną w potężnej rękawicy, z której palców zwisały długie na pięć stóp węże. Rzucili się na olbrzyma i w tej samej chwili rękawica ożyła. Gdy już Bisenna zorientował się, że twarde węże rękawicy siekają tych, których on chce siekać, na ziemię opadł grad ludzkich strzępów, a powietrze zgęstniało od rozpylonej krwi.

Al, korzystając z zamieszania, doturlał się do nieruchomego Sendilkelma, z ulgą namacał puls na jego szyi, po czym zarzucił sobie rycerza na plecy i z prędkością kozicy wbiegł między skały.

Tymczasem czterech ostatnich przy życiu wojowników rzuciło się do ucieczki w dół stromego zbocza. Jeden z nich ścisnął w dłoniach odciętą nogę Sendilkelma. Bisenna z rannym, jak się okazało udem, nie był w stanie ich dogonić. Zanim upadł, dwa stalowe palce odcięły dwie czarne głowy.

Doturlał się jeszcze do krawędzi zbocza, pchnął za uciekającym kamień większy od siebie samego, uruchamiając całą kamienną lawinę, i runął na ziemię. Pod powiekami zatańczyła mu Anielica Śmierci, zawinięta w czerwony welon.

\* \* \*

Al Cheger wydyszał z siebie całe płuca. Dociągnął Sendilkelma do kępy pokręconych sośniaków i runął na skałę, tocząc z ust krwawą pianę. Sendilkelm czuł, że unosi się nad ziemią. Przyszła do niego postać kobieca w czarnej, osłaniającej twarz chuście. Błądą ręką powoli podniosła zasłonę i uśmiechnęła się słodko do niego. Rycerz nie mógł wydobyć z palonych ogniem piersi ani słowa. Anielica przysiadła obok wdzięcznie i pochyliła się nad jego głową jak matka nad chorym dzieckiem. Nie odzywała się, patrzyła tylko nieruchomo w gasnące oczy wojownika.

Poczuł miłe mrowienie po prawej stronie ciała. W głowie pojawiły się dziwne myśli, „to właśnie czuje spalona ziemia, gdy spadnie pierwszy deszcz... , to czuje ryba, gdy miłosierny rybak zwraca ją morzu... to czuje jeleń, gdy strzała muśnie jego pierś i poszybujecie dalej...”, a pośród tych myśli wzmagał się czyjś krzyk.

— Zjedz mnie! Zjedz mnie! Zjedz mnie!

Sendilkelm przesuwiał rękę coraz niżej prawego boku, aż natrafił na gorącą wypukłość przy udzie. Spojrzał na rozdziawione usta Anielicy i połknął kamienną łzę.

Zastygła między uśmiechem i płaczem twarz Anielicy oddalała się coraz bardziej...

Al Cheger ocknął się i mocno przywarł do skały. Nasłuchiwał. Poza cichnącym w oddali głosem Karcena i szelestem liści sośniaków coraz wyraźniej słyszał czyjeś jęki. Spojrzał w dół i zobaczył leżącego Sendikelma. Czym prędzej oberwał zwisające przy jego rękawie rzemienne wiązadło, zacisnął nim krwawiący kikut nogi, po czym zdębiał na widok rozharatanej piersi...

\* \* \*

Bisenna czuł w ustach piasek i krew. Uniósł głowę i powoli usiadł. Wypluł kilka kamyków i zębów. Obok, na szarej skale, leżała, pobłyskując metalicznie, rękawica. Jej węzowe palce zwinęły się w kłębki. Dookoła wszystko spryskane było krwią.

Dowlókl się do miejsca, gdzie spodziewał się znaleźć martwych Sendikelma i Ala. Znalazł tylko rozcięte nosidła. Osunął się na ziemię i ponownie zemdlął...

Ocknął się dopiero o zachodzie słońca. Zarzucił na twarz grzywę sfilcowanych loków, związanych w węzeł na karku, i zakrwawionymi palcami zaczął przebierać w zamykających ich końce

złotych kulkach. Wreszcie znalazł właściwą, rozerwał ją na dwie części, wysypał na rękę szary proszek i zlizął go z dłoni wraz z krwią, która zdążyła w niego wsiąknąć.

Narkotyk zadziałał od razu. Bisenna skoczył na nogi i przeciągnął się jak po długim śnie. Uporządkował nosidła, zarzucił je na plecy, wrócił po rękawicę i zatknął ją za pas na piersiach. Wśród skał wytropił ślady krwi i stóp wskazujących na Ala Chegera. Jego ruchy stały się szybkie i precyzyjne. Wiedział, że nie może pozwolić sobie na zbędne gesty. Narkotyk będzie działał dwa obroty, może trzy. Potem. . . Lepiej nie myśleć, co będzie potem. . .

# 10

## Kamienna Łza

*Lot w przestrzeni czterowymiarowej jest nieustającą rozkoszą. Jeżeli wiesz ponadto, że twoje przestrzenne odbicia lecą razem z tobą i w każdej chwili możesz je przeniknąć, to przepelniająca cię rozkosz jest bezgraniczna. Jeżeli taki lot nie jest sensem życia, to co nim jest?*

*Czas otula cię swymi poskręcanyimi wstęgami, rozciągnięta do nieskończoności przestrzeń wciąż cię w swe kręte korytarze. Widzisz siebie mknącego przed sobą, widzisz siebie daleko w tyle, jeszcze na początku drogi, widzisz siebie w miejscu, które nigdy nie było miejscem.*



*Twe odbicia pędzą w różnych kierunkach i znikają w nieskończonych oddaleniach. Ale nie martwi cię to, wszystkie powrócą do ciebie na końcu drogi. Niektóre z nich już do ciebie gnają, by kolejny raz cię przeniknąć lub w tobie pozostać na zawsze.*

*I widzisz ją. I zdajesz sobie sprawę, że zawsze tu była. I wiesz, że znajdziesz ją, choćby zniknęła miliony razy. I wiesz, że to ta. Twe odbicia płaczą swe drogi, by gonić za jej odbiciami. Już nie liczy się nic, przestrzeń kipi, gdyż pomieszałeś wszystkie jej wymiary, by zbliżyć się do swej wybranki lub pochwycić jej odbicie.*

*Ona wie, że ją gonisz, że rozrzucasz swe odbicia, by pędziły jej tropem. I cieszy ją ten pościg. I oboje wiecie, że ty wygrasz, a ona zostanie schwytana i wszystkie twoje odbicia przenikną się z jej odbiciami. Wasz śmiech miesza się i wybucha wciąż na nowo i pędzicie tak, przedłużając swój rozkoszny lot w nieskończoność. Niech trwa, niech wiruje, gdyż radością jest lot, który kończy się w miejscu, gdzie jesteście razem od zawsze i do którego zawsze zmierzaliście...*

Sendilkelm słyszał wszystkie te słowa, lecz nie pojmował ich sensu. „Dobrze, że nie ma bólu”, przemknęła mu przez głowę odległa myśl, „A kto myśli, że jego ciało nie czuje bólu? Ja sam?”, odparła inna. „Kto myśli, ten myśli. Kto nie myśli, nie ma myśli”, wykrzyczała kolejna w rytmie oszalałej wylizanki.

— Słyszysz mnie? Sendilkelmie, słyszysz, czy oszalałeś zupełnie i od dzisiaj będziesz się zajmował jedynie podsłuchiowaniem własnych myśli?

Przez ciało Sendilkelma przetoczyła się fala bólu. Uchylił powieki i natychmiast je zamknął, oślepiiony srebrzystym blaskiem.

— Sendilkelm... Sendilkelmie, porozmawiaj ze mną. Jestem w tobie. To ja uratowałem ci życie. To mnie połknąłeś, pamiętasz?

— To ty, ten kamień? — dochodził do siebie rycerz.

— No pewnie, że ja. Jadłeś ostatnio jakieś inne żywe istoty?

— Żywe istoty? — zawahał się Sendilkelm. — Jadłem jakąś niedopieczoną rybę, ale z pewnością była martwa.

— Świetnie...

— Chcę się obudzić.

— Nie pozwolę na to. Teraz całkowicie zależysz od zasobów mego życia. Pomogę ci i uzdrowię twe ciało, jeżeli ty pomożesz mi.

— A jeżeli, zanim wyrażę zgodę, zechcę dowiedzieć się, o co chodzi?

— A chciałbyś zaraz spotkać swoją ulubioną Anielicę?

— Zgadzam się pomóc ci bez względu na to, w czym...

— Zatem, ufasz mi?

— Nie mam wyboru, jesteś nie tylko wewnątrz mego ciała, ale i w mym umyśle.

— Ależ właśnie dokonałeś wyboru, szlachetny Sendilkelmie, i to mądrego. Gdyby twa wola stawiała opór, musiałbym się zadowolić jedynie twoim ciałem, a pozbawiona mego towarzystwa świadomość tak miłego wojownika, jak ty, mój drogi, w te pędy poszybowałaby na spotkanie z pewną damą. Cieszę się zatem, że zostaliśmy przyjaciółmi.

— Ostatnio mam szczęście do niezwykłych spotkań. Zaraz, czy to nie ty opowiadałeś mi o jakimś locie z kobietą przez dziwne przestrzenie?

— Nie, nie opowiadałem. Gdy łączyłem swą świadomość z twoją, byś mógł mnie słyszeć, przez przypadek poznałem fragment mych wspomnień.

— Nie martw się, i tak go nie zrozumiałem.

— No cóż, to mnie nie dziwi. Twój umysł przełożył na słowa zjawiska, których nie możesz pojąć ze względu na niskowymiarową przestrzeń, w której znajdujemy się obecnie obydwaj.

— Świetnie powiedziane. Nadal nic nie rozumiem.

— Nie przejmuj się, ja też niewiele rozumiem w twoim świecie.

— No, tośmy sobie pogadali. . .

— A, niezłe, niezłe stwierdzenie. Często mówi tak ten grubas, twój przyjaciel.

— Znasz Karcena? Jesteś jego wysłannikiem?

— Wiedz, że od kilku chwil wiem o tobie wszystko. I nie będę ci tłumaczył, czym jestem wysłannikiem, bo i tak nie jesteś w stanie tego pojąć.

— Mógłbyś chociaż spróbować... — uniósł się dumą Sendilkelm.

— A próbowałeś kiedyś wyjaśnić zasady gry w siedem kości koniowi?

\* \* \*

Bisenna widział z góry, jak jego zalana krwią postać biegnie wśród skał, tropiąc towarzyszy. Gdzieś na skraju świadomości słyszał szalony chichot. Wiedział, że jedyną szansą utrzymania ciała przy życiu jest ciągle powtarzanie słowa-życia, które nadali mu kapłani podczas inicjacji na wojownika. Wykrzykiwał więc w myślach nieustannie „miecznocmoc” i z całych sił koncentrował się na ruchach ciała, by nie odlecieć od niego zbyt daleko. Wiedział, że ten lot będzie trwał krótko, a gdy osłabnie działanie narkotyku, lepiej, żeby jego ciało leżało nieruchomo. Tylko wówczas spokojnie do niego powróci, w przeciwnym razie grozi mu całkowity paraliż.

Biegł szybko jak kozica. Podpierał się rękami i przeskakiwał między wielkimi skałami. Kilka razy zgubił trop i zawracał, w końcu dopadł kępy poskręcanych od wiatru sośniaków.

Ujrzał Ala, który, biegnąc i opowiadając coś, pokazywał na leżącego bez życia Sendilkelma. Z kolei zobaczył siebie, jak przykleka przy rycerzu, bada mu puls, poprawia opatrunek na nodze i pędzi w dół zbocza, zostawiając bez słowa wyjaśnienia zrozpaczonego Ala.

Ani na chwilę nie uciekł myślą poza plan, który sobie wytyczył. Kierował swoim ciałem niczym kukłą, zimno i stanowczo: „Biec! Musisz szybko bieć! Jeszcze szybciej! Masz tylko ćwierć obrotu, potem będzie za późno. Tak, biegnij tam. Potem w dół, do tamtej skały. Dobrze. Teraz do miejsca bitwy. Weź ten długi miecz. Dobrze. Biegnij w dół zbocza. Przewróciłeś się, wstań! Szybciej, przeszukaj rumowisko po lawinie. O, tam, w lewo, tam spod skały wystaje ręka! Tak, dobrze, to oni. Szukaj, dobrze. Podnieś skałę. Odpadły dwa paznokcie, to nic, to tylko ból, wytrzymaj i przewróć skałę w bok. Podnieś zwłoki. Pod nimi znajdziesz. . . Tak, to noga Sendilkelma. Teraz biegnij w górę. Szybciej! Nie widzisz na jedno oko, spokojnie, to tylko wylew. Biegnij na czworakach, nogę weź w zęby. Szybciej, serce wytrzyma! Szybciej! Już ich widzisz. Dobrze, teraz stój. Daj nogę małemu i powiedz, co ma zrobić. . .”.

Al Cheger siedział skulony pod szarą skałą i dygotał jak w gorączce. Głowę Sendilkelma ułożył na swoich kolanach i drżącymi rękoma przytrzymał strzęp materiału na jego rozplątanej piersi. Czuł pod palcami, jak jego ciało stygnie.

Właśnie zaczął nucić hymn do Mejrutiego, gdyż była to jedyna modlitwa, jaką pamiętał. „Gdzie pobiegł Bisenna? Nieważne, cały czas był jakiś dziwny, a w czasie walki zupełnie postradał zmysły. Musi pochować Sendilkelma, tylko zabezpieczone ciało umożliwi mu spokojną wędrówkę w zaświaty”. Rozejrzał się za kamieniami na grobowiec i zobaczył powracającego Bisennę.

Błady Fraternijczyk czołgał się niczym ranny wilk. W zębach trzymał ludzką nogę. Al był zbyt przerażony, by uciekać.

— Ttto jego noga... przyłóż do kikuta... — wydyszał nieswoim głosem Bisenna i padł obok Sendilkelma na skałę.

Oniemiały Al chwycił okrwawiony kikut i ściągnął z niego opatrunek. Bisenna z jękiem przewrócił się na bok i wyszarpnął nóż zza pasa. Al drgnął, lecz w tej samej chwili zrozumiał, że nie boi się już śmierci... Bisenna pogrzebał palcami wśród swych loków i, kalecząc sobie kłykieć, odciął jedną z kulek. Począł obracać ją na wszystkie strony i skrobać nożem złotą powierzchnię. Rozległ się dźwięk podobny do pęknięcia stalowej struny i powietrze wypełnił mdły zapach.

— Połóż to koło rany... — wyszeptał Bisenna i podał Alowi rozpołowioną kulkę.

Wewnątrz niej drżała różowa substancja. Al pomyślał, że pulsuje ona niczym serce błyskawicznie wyjęte z piersi oprawianego szczupaka.

— Co to? — wychrypiał.

— To życie, magu. . . Przyłóż do rany i dociśnij odciętą nogą — Bisenna padł bez życia na plecy, tocząc z ust żółtoczerwoną pianę.

Al Cheger wziął do ręki odciętą nogę i oczyścił ją z kamyków. Delikatnie unióśł rozpołowioną kulkę. Różowa substancja rozciągnęła się i jęła wić nad ciałem Sendilkelma. Na jej końcu powstało zgrubienie w kształcie spłaszczonej, kanciastej głowy kolcowęża. Różowy gad miękko owinał się wokół krwawiącego kikuta, a Al, niczym w transie, przysunął do niego odciętą nogę. Brzegi poszarpanej skóry połączyły się z drgającą błoną, ciałem Sendilkelma wstrząsnął dreszcz i różowy wąż wślizgnął się do wnętrza ciała. Z rany na piersi wychylił się różowy, ślepy łeb i zanurkował z powrotem.

Al dopiero teraz zrozumiał, co się stało i spojrzał na Bisennę, który leżał nieruchomo jak wielki okrwawiony głaz.

\* \* \*

Zapadał zimny zmierzch, wiatr biczował ziemię marznącymi strugami deszczu. Al był coraz bardziej przerażony, czuł narastające niebezpieczeństwo, ale nie wiedział, jak i dokąd uciekać. Postanowił, że jeżeli dożyje świtu, pochowa Bisennę i z Sendilkelmem na noszach powróci do Atrim.

Był potwornie zmęczony, lecz za każdym razem, gdy zamykał powieki, osaczały go straszliwe wizje. Z kolei gdy je otwierał, nie mógł się uwolnić od wrażenia jakiegoś ruchu pośród skał.

W końcu wyciągnął miecz z okrwawionego wiązania na udzie Sendilkelma i zaczął wycinać sośniaki. Pokręcone drzewka po kolei padały pod uderzeniami czerwonej klingi. Jeszcze przed zapadnięciem zupełnej ciemności Al zbudował szkielet szałas.

Wykonał go na wzór górskich siedzib strażników granicznych. Pojedyncze pnie powiązał w trójkąty, po czym ułożył je w wielokątną czaszę, którą od wewnątrz podparł kilkoma pniami. Rozciął skórzany kaftan Bisenny i pokrył nim konstrukcję, dociskając materiał siecią z pociętych gałęzi.

Szałas nie mógł obronić go przed atakiem, chronił jednak przed wiatrem i deszczem, a wreszcie, dawał odpocząć oczom i uszom od tajemniczych szelestów otaczającej ciemności. Al zawahał się, czy nie wrócić na pole bitwy po ekwipunek, jednak coś podpowiadało mu, że równie dobrze może popęlić samobójstwo tu na miejscu.

Owinął się strzępami płaszcza i skulił w kłębek obok Sendilkelma. Deszcz ustał i światło księżycy wcisnęło się w szczeliny sklepienia szałas.

— Biedny Bisenna — szeptał Al — mam nadzieję, że do rana nie rozszarpia go jakieś zwierzęta. Ach, jaką ucztę muszą mieć wszelkie padlinożerne bestie w dole tego zbocza.



Ostatkiem sił walczył z sennymi majakami, w końcu jednak runął w ciemną otchłań, pełną krwawych obrazów i zawodzących głosów.

\* \* \*

Obudziło go czyjeś spojrzenie wyraźnie odczuwalne na karku. Powoli odwrócił głowę i w świetle wstającego poranka zobaczył szarą postać z błyszczącymi węgielkami oczu. Był to szczur człowieczy.

Al widywał takie w młodości na południowych granicach Atrim, w Górach Słońca. Zawdzięczały swą nazwę temu, że osiągały wzrost przeciętnie wyrośniętego piętnastolatka. Posługiwały się skomplikowanym językiem i potrafiły nawet wymówić kilka ludzkich słów. Ich wybałuszone oczy zdradzały krwiożercze instynkty i złośliwą inteligencję.

Szary gość, stojąc na tylnych łapach w wejściu szałas, napawał się widokiem swej ofiary. Al nie mógł oprzeć się wrażeniu, że ma przed sobą chuderlawego człowieka, jedynie w szczurzym przebraniu, i zastanawiał się, ilu jego towarzyszy czai się na zewnątrz.

Szczur zrobił krok do przodu i odsłonił pokrzywione, żółte zęby.

— Cccooo twaaa robić bić robić? — wystękał głosem rozstrojonych skrzypiec.

— Przyjaciel, pokój, podróż — odparł Al, pamiętając, że szczury człowiecze, i to te najinteligentniejsze, są w stanie pojąć jedynie pojedyncze słowa.

— Pokój pok pok niieeee — zaskrzeczał szczur i kłapał zębami. — Mów, ttty mów, jaaa roobić.

— Podróż, pokój, przyjaciel.

Szczur, najwyraźniej rozbawiony i podniecony sytuacją, złapał przednimi łapami za but Ala.

— Przyyyjaciieel ttty słuchać ać.

Do szłaasu wtoczył się szczurzy orszak, złożony z grubego samca i dwóch gibkich samic. Wszystkie miały zaostrome pazury i skórzane pasy biodrowe, podtrzymujące kamienne topory. Grubas odepchnął nogą młodszego samca i bez słowa wskoczył na pierś Ala.

\* \* \*

— Po co, mistrzu, darowałaś życie temu smrodziuchowi? — zaświergotała mniejsza samica, szturchając łapą związanego jeńca.

— No właśnie, mistrzu, po co, po co? — w podnieceniu zawtórowała druga.

Młody samiec łpał spode łba na przywódcę.

— To zaraz zobaczą oczy wasze, to zaraz usłyszą uszy wasze — zaświszczał grubas.

— Mistrz wielki, wielki zabójco-mędrzec! — mniejsza samica przymilnie owinęła ogon wokół łapy przywódcy.

Gruby szczur splunął przez zęby prosto pod nogi skrępowanego Ala.

— Zaraz zobaczycie. Powiem mu, żeby zagrzebał pod kamieniami tego martwego i on to zrobi, i jeszcze będzie zadowolony.

— I nie będzie mu żal mięsa? — zasyczała samica, przywierając pyskiem do szyi mistrza.

— Nie będzie. Oni zakopują zmarłych z ciałami, by zgniły w ziemi.

— To znaczy, że nie zjadają ich zaraz po śmierci, tylko potem, gdy już zgniją — prychnął młody samiec.

— Ty, nie przerywaj, gdy mistrz naucza! — syknęła mała samica i rzuciła się na niego.

Turlali się po kamieniach, wydając piski i warknięcia, a gruby mistrz przyglądał im się ze spokojem, objąwszy kibić drugiej samicy. Po chwili, najwyraźniej znudzony, rzucił w nich kanciastym kamieniem. Walczące szczury odskoczyły od siebie z piskiem, wycierając krew z rozbitych głów.

— Wielki mistrz zabójco-mędrzec! — zawyła samica i jeszcze mocniej przytuliła się do jego boku.

— Sssłuchać! — syknął przywódca do obolałych szcurów. — Myślicie, że oni potem odkopują zmarłych?! Neeee, oni są jeszcze głupsii, nie odkopują ich wcale! Oni ofiarowują zgniłe ciała swoim bogom!

— Ich bogowie głupiii. . . — wyrwało się zranionej samicy.

— Tak, tak, ich bogowie są tak samo głupi, jak oni — spokojnie odparł przywódca. — Rozumiecie już zatem, dlaczego my jesteśmy mądrzy? Bo zjadamy świeże mięsko zmarłych. Zmarli żyją potem w nas, a my żyjemy wiecznie. Nigdy nie umieramy do końca, żyjemy wiecznie w ciałach naszych potomków. Zauważyliście, że zdechły smrodziuch i ten drugi nieprzytomny mają niebieskie twarze?

— Taaak — pisnęła samica spod jego ramienia. — Mistrzu, oni gniją już za życia?

— Nie, młoda idiotko! Malują się za życia, bo myślą, że zgniły smrodziuch to święty smrodziuch. Czy już teraz rozumiecie, dlaczego są głupio-głupie?

— Wielki mistrz zabójco-mędrzec! — zawyły chórem szcury.

Grubas poderwał Ala z ziemi, jednym ruchem zerwał z niego więzy, a na szyję zarzucił arkan z plecionej skóry.

— Ttty pokkkazać ać zakkkopać zdech ech echnąć mmmmy patttrzeć trzeć.

Poza ostatnimi słowami, Al nic nie zrozumiał z rozmowy szczurów. Przyjrzał się jednak ich dowódcy i uznał, że na pewno jest to jakiś kapłan lub czarownik, a to ze względu na wieniec z czaszek młodych szczurów, który otaczał jego szyję.

\* \* \*

Al cały dzień wznosił kurhan nad ciałem Bisenny. Ułożył przyjaciela głową na wschód i otoczył kręgiem wielkich kamieni. Resztę grobowca usypał z odłamków szarej skały.

Szczury przez cały czas zajmowały się wyłącznie sobą. Nie interesował ich nawet nieprzytomny Sendilkelm. Tylko raz jedna z samic lekko ukąsiła go w dłoń, by sprawdzić, czy jeszcze żyje. Z podnieconych gestów całej czwórki Al wyciągnął wniosek, że zamierzają zabrać Sendilkelma jako pokarm na dalszą drogę.

Gruby szczur rozsiadł się na wymalowanej czerwieni i ozdobionej błyszczącymi kamykami szczurzej skórze. Dwie samice i młody samiec przycupnęły obok niego i z milczącym zainteresowaniem wsłuchiwały się w nauki swego mistrza. Młodzieniec od czasu do czasu szarpał parkanem, by dla uciechy całej gromadki wyrzucić dźwigającego kamienie Ala. Z tego samego powodu samice rzucały w niego skalnymi odłamkami.

Wieczorem Al Cheger padł wyczerpany obok kamiennego grobowca Bisenny. Szczury pograżyły się w jakimś niezrozumiałym dla niego transie. Siedziały skulone obok siebie i kołysały się na boki. Nie miał siły na ucieczkę. Zresztą, odradzał mu ją wrodzony instynkt. Przekręcił się na plecy. Na wargach i języku poczuł krople marznącego deszczu.

— To pewnie mój ostatni napój w życiu. . . Ciekawe, czy to wszystko przez fasolowego ludzika, którego zjadł Bisenna. . . — szepnął i stracił przytomność.

\* \* \*

Nad postrzępionymi graniami, w nieskończenie wielkim kryształce granatowych niebios, świecił księżyc. Cztery szczury kołysały się miarowo. Obok, na szczycie niewielkiego kamiennego kurhanu, lśnił miecz, wbity ostrzem do góry. Dookoła panowała idealna cisza.

\* \* \*

Agni po raz kolejny studiowała pogniecioną mapę, wodząc palcem po zaznaczonym szlaku. Od wyruszenia z Szukarnu minęło dwanaście dni. Obawiała się, że nie zdoła dogonić kompanii Sendilkelma. Pocieszała się tylko tym, że jest z nimi słabowity Al Cheger, który z pewnością opóźnia marsz.

Wieczorem pokonała Białokostkę. Bez trudu odnalazła miejsce wygodnej przeprawy, oznaczone zębata czaszką jakiegoś zwierzęcia, przybitą spiżowym hakiem do skały w kształcie piramidy. Skacząc z kamienia na kamień, szybko znalazła się na drugim brzegu. Z obrzydzeniem ogarnęła wzrokiem stosy białych kości. Postanowiła jednak, że tu zanocuje. Milcząca ściana czarnego lasu przerażała ją bardziej niż kości zmarłych i cuchnący, szkieletornitowy opar.

Wspięła się kilka kroków po osypującej się skarpie i kątem oka dostrzegła stojących nad brzegiem ludzi. Rzuciła się między skały. Kiedy wychyliła ostrożnie głowę i wytężyła wzrok, odetchnęła z ulgą. Nigdy by nie przypuszczała, że na własne oczy ujrzy zbrojny oddział kościanych Timajczyków. Słyszała kiedyś o białych wojownikach, których Timajczycy ustawiają dla odstraszenia złych duchów, lecz nie sądziła, że można ich spotkać tak daleko od siedzib mieszkańców Kraju Czaszek.

Po krótkim wahaniu postanowiła obejrzeć sobie z bliska tych sztywnych mężczyzn. Zrzuciła nosidło na płaską skałkę i zbliżyła się do oddziału.

— Ho, ho, niezłe rzemiosło — mruzczała do siebie, oglądając poszczególne części uzbrojenia, wykonane z misternie połączonych kawałków kości.

Coś błysnęło pod jej stopami. Zdziwiona, schyliła się i podniosła bojowe okucie buta z wygrawerowanym kolcowężem połykającym pióro burzolota.

— Czyżbyś zgubił coś, mój panie? — mruknęła. Dobrze znała to okucie, polerowała je przecież przy każdym czyszczeniu butów Sendilkelma.

\* \* \*

Siedziała przy małym ognisku i obracała w palcach stalową blaszkę. Znalazła jeszcze więcej śladów, które jednoznacznie wskazywały na to, że Sendilkelm i jego kompani przekroczyli Białokostkę w tym właśnie miejscu.

— Dziwne, przecież wygodna przeprawa jest zaledwie czterysta kroków za zakrętem rzeki. . . — szepnęła. — A może nie zaznaczyłam jej na ich kopii, Karcen tak mnie popędzał. . .



# 11

## Trzy kobiety

*Gdy szukasz miłości swej,  
nie znajdziesz jej!*

*Gdy nie chcesz miłości swej,  
nie zgubisz jej!*

*Gdy szukasz śmierci swej,  
nie znajdziesz jej!*

*Gdy nie chcesz śmierci swej,  
nie zgubisz jej!*

*Miłości nie szukaj i śmierci chciej,  
niczego nie pożądaj i wszystko miej!  
Chciane nie przyjdą,  
nieszukane — odnajdą się same.  
Miłość i Śmierć na zawsze ci pisane,  
jak wieczność i chwila  
ze sobą na zawsze związane!*

*Nie myśl o nich, bo czasu szkoda!  
Wszystko, czego potrzebujesz,  
to dzban, miecz, kobieta i przygoda!  
Nie myśl o tym, że wciąż galopujesz  
ku zielonemu kurhanowi swemu  
dla ciebie przez nie wzniesionemu!*

(timajaska pieśń miłosna, autor nieznanymy,

ostatnia zwrotka nieodnaleziona)

Nowy mieszkaniec jego wnętrza przedstawił mu się imieniem tak długim, że Sendilkelm nie był w stanie go zapamiętać. Oznajmił więc, że będzie się do niego zwracać per Kamienna Łza, na co gość zareagował z entuzjazmem i, chociaż nowe imię, co podkreślił, pasowało bardziej do dziewczyny, ułożył na jego cześć długi hymn.

Już od dwóch dni Sendilkelm słuchał Kamiennej Łzy, który opowiadał mu o sobie i swej wielkiej miłości. Miał dosyć tej nieustannej paplaniny i poetyckich uniesień. Marzył o śnie, głębokim i cichym. Kamienna Łza, nie licząc się z jego nastrojem, cały czas narzekał, że ludzki umysł jest tak mało wrażliwy i że najprostsze rzeczy musi mu tłumaczyć tak długo. Sendilkelm robił wszystko, by powściągnąć gniew. Łza przechwytywał jednak jego nienawistne myśli i niespodziewanie zachwycał się to ich intensywnością uczuciową, to znów oryginalnością. Czasami prosił o dodatkowe wyjaśnienia, zwłaszcza wówczas, gdy Sendilkelm szukał ulgi w wyszukanych obelgach.

Rycerz czuł, że na skraju jego świadomości czai się obłąd. Łza pocieszał go, że nawet całkowite pomieszenie umysłu nie przeszkodzi mu w wykorzystaniu ciała Sendilkelma do swych celów.

— Jakich celów? Zlituj się nade mną. Wiem, że jesteś we mnie i nie możemy tego zmienić, ale zrozum, nie mogę bez przerwy słuchać twoich wierszy i nie rozumiem twoich opowieści.

— A myślałem, że wiersze odpowiednio cię nastroją, byś lepiej zrozumiał moje położenie i postarał się mi pomóc, jak to się u was zabawnie mówi, całym sobą.

— Powiedz wreszcie, o co ci chodzi?! — wrzasnął rycerz.

— Jak to, o co? O miłość! Jak myślisz, po co tyle wierszy i w ogóle...

— Nie znam się na miłości.

— Nietrudno to zauważyć, mój drogi. Nie martw się jednak, będę twym przewodnikiem do źródła wiecznej miłości i szczęścia.

— Trochę żałuję, że nie połknął cię Bisenna. On też jest trochę nie z tego świata, moglibyście sobie porozmawiać... Słuchaj, właśnie, może przeskoczysz szybko do ciała mego przyjaciela, poza wszystkim, będziesz tam miał więcej miejsca.

— Pewnie, że mogę! Przebiję ci przy tym wszystkie wewnętrzne organy i wykopię prosto w objęcia Anielicy Śmierci.

— Trudno, mów, co z tą miłością. Tylko szybko, błagam...

— Postaram się wyjaśnić ci to w prostych, jak ty sam, słowach, chociaż stracisz całą przyjemność słuchania opisów i ciekawych wątków pobocznych.

— Umieram z rozpaczy... Mów wreszcie!

— Otóż, co już zauważyłeś, nie wszystkie kamienie są martwe. Jak wiesz, moje życie jest tak długie, że wśród ludzi uchodziłoby za wieczne, a ich bogowie musieliby do mnie mówić „dziadku”. Przez wszechświat nieustannie podróżuje nieskończona liczba podobnych mi istot. Musiałem bardzo przyspieszyć swe procesy myślowe, byś mnie w ogóle usłyszał. Normalnie mówię w takim tempie, że przez całe swoje życie mógłbyś usłyszeć najwyżej jedno moje słowo. . .

— I to jest ta miłość?

— Nie przerywaj! Teraz będzie o miłości. Eony czasu temu, gdy wasza planeta jeszcze stygła, przemierzałem obłok różowej materii międzygwiazdnej, odległy tak bardzo, że daruję ci ten opis. Tam spotkałem ją. Moją wybraną i jedyną. Piękną niczym. . .

— Miało być bez opisów! Piękną i już. Zakochałeś się i. . .

— Pędziłem za nią całą wieczność. Zniknęła mi gdzieś w okolicy błękitnych pulsarów po drugiej stronie tunelu przestrzennego, na samym zakręcie wieloprzestrzennym, w chwili, gdy uchylił się strumień czasocząstkowy. Zamiast podążyć za jej odbiciem podprzestrzennym, władowałem się w krzywiznę nieprzestrzeni wtórnych cząstek niematerialnych. Możesz mi nie wierzyć, ale wyostałem się z nich dopiero wówczas, gdy przez zupełną anihilację podstawowych strumieni cząstek odwrotnych zmieniłem stopień przestrzeni wokół siebie. Pewnie nie mieści ci się to w głowie, tak,

tak, mój drogi, a jak długo musiałem potem tworzyć nowe płaszczyzny zdarzeń dla kulistych przestrzeni czasu miejscowego?

— Niesamowite, rzeczywiście, a jednak ci uwierzę. Więc, powiadasz, że straciłeś ją z oczu?

— No właśnie! Zupełnie nieprawdopodobne, a jednak! Pominę szczegóły tego, jak tworzyłem potem czasy odwrotne, by w wymiarach wzajemnie sprzecznych znaleźć pożądaną horyzont zdarzeń. . .

— Słusznie, pomińmy te oczywistości. . .

— Zatem, gdy już z baniek czasu podstawowego wyprowadziłem krzywizny przestrzeni czterowymiarowej, zauważyłem, że wszystkie jej odbicia zniknęły.

— Tak to jest z tymi kobietami. Znikają, gdy ich szukasz i przychodzą, gdy nie masz czasu — mruknął Sendilkelm.

— Tak właśnie było! Czuję, że w końcu się rozumiemy. Rzeczywiście, gdy odwinąłem płaszczyzny zdarzeń poza horyzonty czasu kulowego, by wejść na tory swego istnienia, zauważyłem jej samotne, zabłąkane odbicie. Było słabe, pokryte cząstkami przeciwnymi.

— Niesamowite. . .

— Podążyłem jednak za nim, dzięki czemu wszedłem do podstawowej przestrzeni czterowymiarowej w pobliżu waszego słońca.

— Taaak, można się było tego spodziewać. . .

— No właśnie. Pozostało mi tylko rozwinąć prostą czasu lokalnego, a moja ukochana pojawiła się na horyzoncie moich zdarzeń. Widziałem ją w chwili, gdy uderzała w waszą planetę. Mówię ci, cóż to był za widok! Cała planeta spłynęła ogniem, a atmosfera ostygła dopiero po dwunastu obrotach wokół słońca. Jeśli cokolwiek na niej żyło, w okamgnieniu przeszło do historii. . .

— Taaak, też lubię ogniste kobitki.

— No właśnie! Ona gdzieś tu jest! Gdy zebrałem ze wszystkich tuneli przestrzennych swoje odbicia, by zmaterializować się w pełni w waszej przestrzeni, na ziemi znów zakwitło życie i pojawili się twoi przodkowie. Było tu trochę zamieszania i kilka wojen, zanim pojawiłeś się na świecie, ale to nic ciekawego. . .

— Dobra, skoro potrafisz rozwijać i zwijać te swoje przestrzenie i jakieś tam cząstki, co zapewne jest sztuką nie lada, w jaki sposób mogę ci pomóc?

— Dochodzimy do sedna. Podejrzewam, że moja ukochana musiała zbyt mocno uderzyć w tę waszą planetkę i straciła przytomność, dlatego nie mogę jej odnaleźć. Poza tym, całkowita materializacja pozbawiła mnie części mocy. Musiałem ostatecznie posłużyć się magią Lentili, by móc wylądować na tej twojej planecie. Resztę już znasz.

— A musiałeś zrobić z nich skwarki?

— To nie moja wina, że nie potrafili w porę odciąć od swych umysłów strumieni cząstek odwrotnych. Zrobiłem wszystko, by moje lądowanie było maksymalnie dyskretne i delikatne. Mogłem ostatecznie spaść pod postacią płonącej kuli na najbliższe miasto, w którym, popraw mnie, jeśli się mylę, od lat mieszkasz.

— Zatem magowie Lentili zginęli, gdyż, przywołując którąś z gwiazd, nie przewidzieli, że rzeczywiście spadnie im coś na głowy, a na dodatek, obróci ich w popiół?

— No właśnie... Swoją drogą, ciekawe, skąd wiedzieli, w jaki sposób siłą świadomości wywołać strumienie cząstek odwrotnych, którymi posłużyłem się przy lądowaniu?

— Cokolwiek to znaczy, zapewne podszeptały im ten pomysł dla zabawy ich bogowie. Pewnie przed wiekami założyli się o to, czy ich wyznawcom kiedykolwiek uda się ta sztuczka.

— Ciekawa koncepcja, ale wróćmy do twego zadania. Musisz odszukać wielki krater, na dnie którego spoczywa moja ukochana.

— A jeżeli go znajdziemy, co wtedy?

— To proste. Dokopiesz się do niej, a ja w nią wniknę.

— A na pewno nie możesz sam jej znaleźć i sam się do niej dokopać?

— Nie mogę marnować sił na to, co możesz wykonać za mnie ty lub ewentualnie, po twej śmierci, ktoś inny.



— Hm... Zatem poszukujemy wielkiej skały, która tysiące lat temu zaryła się w ziemię?

— W olbrzymim skrócie można tak powiedzieć. Staraj się jednak wyrażać z szacunkiem o mojej ukochanej.

— Ależ oczywiście, zważywszy, jak wielka jest wasza miłość. A co będzie, kiedy już wnkniesz w jej wnętrze?

— To proste, ona ożyje i opuścimy to miejsce złączeni na zawsze, by przemierzać wszystkie szczęśliwe przestrzenie naszej przyszłości. Po nieskończonych milionach lat ekstazy nasze kryształy przenikną się i damy życie nowej istocie.

— Czy... przepraszam, że pytam o taki drobiazg, ale... czy przypadkiem w chwili, gdy będziecie opuszczać nasz świat, nie nastąpi tu jakaś kolejna katastrofa?

— Oczywiście. Trzęsienie ziemi, jakie wywoła nasz odlot, spowoduje pewien nieporządek na waszej planecie. Morza i lądy zamienią się miejscami, góry się zapadną i tak dalej. Nie ma się jednak czym smucić, mój przyjacielu, zwłaszcza, że już wiesz, co to prawdziwa miłość. Życie odrodzi się raptem po kilkunastu tysiącach lat. Zresztą, nie wszystkie organizmy ulegną zagładzie. Na przykład przetrwają te przepiękne, podobne do nicieni kolonie na podmorskich stokach wulkanów i niektóre porosty, a kto wie, może nawet niektóre owady.

— Hm... tak, to miłe...

— Che, che, niepotrzebny ten sarkazm. Zanim ożywię swą ukochaną i wzniesiemy się ku przestworzom, minie około pięciuset tysięcy lat. Niełatwo będzie mi dotrzeć do jej wnętrza. Wiesz, odnaleźć kobietę, a wnikać w nią to dwie różne sprawy. . . Do tego czasu zapewne ludzie w ogóle przestaną istnieć, a ty, to już na pewno. . .

— Mam w każdym razie taką nadzieję.

— A teraz wyjaśnię ci, co się stało z twym ciałem w czasie naszej pogawędki.

— Niech zgadnę, mam nową nogę. . .

— Lepiej, znowu masz starą.

— Potrafisz cofać czas?

— Pewnie, że potrafię. W ograniczonych kontinuuach czasoprzestrzennych, ma się rozumieć. Ale tym razem to nie moja zasługa. Twoja odcięta noga przyrosła do kikuta dzięki żywej, obcej tkance. Szczerze mówiąc, nawet jestem zaskoczony. Nie przypuszczałem, że wasi nieudolni cyrulicy to potrafią.

— W takim razie niewiele o nas wiesz. Ciekawe, co byś powiedział na kilka sztuczek Karcena? Zresztą, chyba nie ominie cię przyjemność spotkania z nim — mruknął rycerz.

— Nie widzę, żebyś się cieszył z rychłego powrotu do zdrowia.

— Bo w ogóle nie wiem, co czuję i co czuć powinienem. Tyle dziwnych rzeczy przydarzyło mi się ostatnio. Zupełnie, jakbym został bohaterem powieści obłąkanego bazarza. Czy możesz z powrotem połączyć mój umysł z ciałem. Chciałbym je poczuć.

— Zapewniam cię, że nie warto. Poziom bólu natychmiast przerwałby to połączenie, a ja znowu musiałbym się trudzić, by złapać z tobą kontakt.

— Dobrze, dobrze. . . A co się stało z Bisenną i Alem?

— Leżysz na plecach i tylko jedno twoje oko jest lekko uchylone, przyznasz więc, że pole widzenia mam nieco ograniczone. Widzę skały, jakąś chmurę i deszcz. Jedno twoje ucho zajął ogromny skrzep, drugim słyszę strzępy dziwnych rozmów. Al nadal żyje, lecz jest więźniem jakichś istot.

— Czarnych ludzi?

— Nie, chyba gryzoni. Bisenna, jak słyszałem, leży pod kurhanem, który na żądanie tych dziwnych istot wznosił Al.

— Ty chyba też źle się czujesz — mruknął Sendilkelm. — Opowiadasz same bzdury.

— Możliwe, nie do końca potrafię interpretować wasze dziwaczne obyczaje. Pozwól, że ześlę na twój umysł głęboki sen, byś mógł zregenerować siły. Potem spróbujemy powoli wstać.

— Wspaniale, mam nadzieję jednak, że nie odeślesz mnie przez pomyłkę w objęcia Anielicy Śmierci.

— Bądź spokojny. Bogowie i duchy nie mają do ciebie dostępu, gdy strzeże cię istota z innego świata. Znaczą dla mnie tyle, co dla ciebie muchy.

Sendilkelm chciał jeszcze coś powiedzieć, lecz wszystkie myśli odfrunęły jak pajęczyna na wietrze.

\* \* \*

Anielica Śmierci snuła się po polu bitwy. Mgłatuluj i jego czarni wojownicy od jakiegoś czasu oczekiwali w jej kwaterze dalszych decyzji. Gdy zobaczyła strzępy ich ciał astralnych, poczuła litość i rozgoryczenie. Nikt nie powinien przeżywać swej śmierci dwa razy, na dodatek w tak przykry sposób. A do tego może jeszcze ucierpieć jej reputacja.

Przysiadła na umazanym krwią kamieniu i podparła pięścią brodę. Nie martwiło jej cudowne ocalenie Sendilkelma, lecz ta dziwna istota, która tak skutecznie broniła dostępu do jego świadomości. Wyglądało na to, że któryś z wrogów światów urósł w siłę na tyle, by się jej otwarcie przeciwstawić. A jeżeli tak było, jeszcze dziś wieczorem bogowie zagrają w kręgle bynajmniej nie głową Kilikina.

Uniosła się i poleciała do szałasu skleconego przez Ala. Leżało w nim ciało Sendilkelma, tak bliskie, a jednocześnie zupełnie niedostępne. Obok, związany arkanem, dogorywał Al Cheger. Wyraźnie słyszała, jak w myślach próbuje odmawiać modlitwy.

Obok kurhanu z ciałem Bisenny zobaczyła pogrążone w transie cztery szczury człowiecze. Siedzący pośrodku grubas musiał być jakimś kapłanem lub magiem. Anielica widziała rozciągnięte i falujące w kilku wymiarach wstęgi jego umysłu.

— Że też bogowie zawsze muszą oświecać swych wyznawców! Po co zsyłać im modlitwy rozciągające świadomość? Żeby bardziej bali się śmierci? Żeby bardziej kochali bogów? — syknęła i chwyciła się pod boki. — Ten bożek szczurów przesadził maksymalnie. Przecież umysł tego grubasa niedługo dosięgnie zaświatów. . .

Umysł szczura zwinął się i przyczaił. Wyczuł obecność Anielicy.

— Boisz się malutki, co? — mruknęła Anielica.

— Nieee, wcale nie boimy się śmiertelnego ducha. My niigdy nieee umieramy! Żyjemy wiecznie w ciałach naszych potomków — wyjęczał szczurzy umysł.

— Tak, piękna religia — syknęła Anielica. — Szkoda tylko, że nie możesz porozmawiać z tymi, którzy od tysięcy lat, powiązani w pęczki, tkwią w magazynach niebios waszych bogów.

— Ha, będziesz mnie teraz prowokować i kusić! A ja wiem, że kłamiesz, jesteś tylko mirażem. Przecież, jeżeli byś była żywa, już dawno bym nie żył.

— Ja nie zabijam, głupku! Ja odprowadzam umarłych do ich bogów!

— A ja się nigdzie nie wybieram, po śmierci zamieszkam w ciałach moich dzieci.

— Zdradzę ci tajemnicę, szcurku. Po śmierci twoja droga w zaświaty będzie bardzo długa i ciasna. Tak ciasna, że twoje astralne ciało będzie się mogło przez nią przecisnąć jedynie w formie cuchnących szcurzych bobków. I to w takiej właśnie formie spędzisz resztę swej wieczności! — ryknęła Anielica.

— Małego to łatwo nastraszyć — zachichotał ktoś z boku.

Anielica rozejrzała się zaskoczona.

— Widzisz, widzisz, mój bóg zesłał swego ducha, by cię upokorzyć i przegonić — zarechotał umysł szczura.

— Zamknij się! — wrzasnęła Anielica i dopiero wówczas dostrzegła niespodziewanego gościa.

Była to kobieta. Miała zielone włosy, kości policzkowe podkreślone złotą farbą i diamentowym pyłem. Podciągnęła trochę sukienkę w kwiatki i wygodnie rozsiadła się na kamieniu.

— I co, paskudo, nawet szczury cię nie chcą? — powiedziała z szerokim uśmiechem.

Anielica Śmierci nie mogła opanować drżenia ciała. Oto zmaterializował się jeden z wrogów światów. Sięgnęła szybko po swe lustro, wiedziała, że musi wezwać na pomoc bogów. Najpierw zawoła Kuuna, on jest waleczny, potem resztę. . .

— Daj spokój, brzydulo. Nie wysilaj swej paskudnej główki. Odcięłam ci połączenie z tym twoim protonicznym lusterkiem. Bogowie cię nie słyszą. Bądź miła, to może nie rozerwę cię na strzępy, jak poprzednim razem. Pamiętasz ten ból? Na pewno pamiętasz. Od tamtego spotkania podciągnęłam się jeszcze w sztuce zadawania cierpienia i z przyjemnością poeksperymentuję na tobie.

— A wiiiidzisz, wiiiidzisz — tryumfowała szczurza głupota. — Bogowie przysłali swego ducha, by cię ukarał!

Zielonowłosa, uśmiechając się słodko, jednym ruchem ostro spiłowanego paznokcia pozbawiła szczurza głowy.

— Nareszcie umilknieisz, ścierwojadzie. Gdy porozmawiam już z tą brzydką, grubą panią, o fatalnych i pretensjonalnie ułożonych włosach, pozwolę jej odprowadzić cię do twych przodków — powiedziała łagodnie i, patrząc na Anielicę, dodała: — Ostatecznie, tylko to potrafisz, nieprawdaż, moja droga?

— Czego chcesz? Czego wszyscy chcecie? Dlaczego zabieracie bogom istoty, które do nich należą? — załkała Anielica.

— O, brzydula się stawia, a na dodatek mazgai — ziewnęła zielonowłosa, po czym nagle poderwała się i, zanim Anielica zrobiła unik, złapała ją za włosy i przycisnęła policzkiem do mokrej ziemi. — Słuchaj, gruba suczko, jestem nieśmiertelna, a ty jesteś zbyt głupia, by zrozumieć, co to znaczy. Ani ty, ani twoi bogowie nie macie nade mną żadnej władzy. Tak się składa, że ten rycerz, na którego ciągle polujesz, bardzo mi się podoba i zrobię wszystko, by był mój! — przerzuciła głowę Anielicy do pobliskiego błotnego bajorka. — Jeżeli jeszcze raz będziesz chciała go zabić, rozerwę cię na strzępy i ilekroć przyjdiesz po jakieś życie na tym świecie — docisnęła jej głowę stopą — za każdym razem, przysięgam, będę coraz bardziej wyrafinowana, wymyślna tak, że w końcu nie uda ci się poskładać swego obrzydliwego cielska do kupy.

— Ale ja muszę odprowadzać zmarłych — jęknęła Anielica. — Po to jestem. . .

— Zatem zrób ten jeden wyjątek, zrób go dla mnie, moja miła, bym nie musiała. . .

— Przepraszam uprzejmie, że się wtrącam nieproszony. . . — zadźwięczał męski głos.

Zielonowłosa zaniemówiła i wyprostowała się, wyciągając z blocka głowę Anielicy.



— Panie pozwolą, że się przedstawię. Obecnie jestem opiekunem mego przyjaciela Sendilkelma, a pragnę podkreślić, że jestem jedną z najstarszych istot, jakie żyją i żyły kiedykolwiek. Nie obchodzi mnie wasi bogowie ani walka z nimi.

— Co jest?.. Gdzie?.. — wrzasnęła zielonowłosa, z przerażeniem kręcąc się w kółko i zupełnie ignorując fakt, że Anielica, której włosy nadal ścisnęła, zmuszona była pełznąć jej śladem.

— To mój bóg! Bóóóg! — wrzasnęło astralne ciało szczura.

— Zamknij się, szczurzyno! — mruknął głos — i nie przerywaj, gdy rozmawiam z paniami.

— Kim jesteś?! Nadbogiem?! Zdążyli po ciebie posłać?! — wydyszała zielonowłosa.

— Sendilkelm nadał mi imię Kamienna Łza i muszę stwierdzić, że jest sympatyczne. Wyjaśnianie wam, kim jestem, zajęłoby mi zbyt wiele cennego czasu. Wystarczy, jeśli dowiecie się, drogie panie, że zanim zabijecie czy też może uwiedziecie Sendilkelma, musi on wykonać dla mnie pewne zadanie. A tak przy okazji, czy nie uważacie za stosowne przynajmniej poinformować o swych planach, że tak powiem, bezpośrednio zainteresowanego? Pan Sendilkelm ma niezwykle wrażliwą osobowość, o ile mi wiadomo, nie ma ochoty umierać, a ponadto jego czułe serce nosi już w sobie miłe wspomnienie o innej damie.

— Ale, ale, zaczekaj, bo... — zaczęła jękać Anielica Śmierci.

— Proszę o ciszę! — przerwał jej Kamienna Łza głosem, od którego rozedrgały się podstawowe wymiary przestrzeni. — Mógłbym zapewne odcisnąć na waszych umysłach wieczne piętno przerażenia, ale już znudziło mi się wasze towarzystwo. Żegnam zatem i życzę milej podróży.

Zielonowłosa puściła Anielicę, straciła kolory i w okamgnieniu rozplynęła się w powietrzu.

Uwolniona Anielica wyprostowała się i zaczerpnęła tchu, zamierzając najwyraźniej coś powiedzieć.

— Nie wysilaj się. Uwierz, kochana, że nie masz mi nic ciekawego do powiedzenia — mruknął Kamienna Łza. — Zabieraj stąd tego szczurka i znikaj.

W tej samej chwili Anielica znalazła się po drugiej stronie prottonicznego lustra. Zataczając się, weszła do salonu i nalała sobie drinka. Dopiero po kilku łykach zorientowała się, że ktoś na nią patrzy. Odwróciła się powoli. Na kanapie siedzieli nieruchomo trzech nadbogowie.

\* \* \*

Gwałtowne szarpnięcie arkanu wyrwało młodego samca z modlitewnego transu. Szczur jednym skokiem dopadł i przydusił próbującego się oswobodzić Ala. Dopiero wówczas odwrócił się i zobaczył, że wielki mistrz zabójco-mędrzec leży w kałuży krwi. W okamgnieniu znalazł się przy jego ciele, kopniakami i wrzaskami wybudzając samice.

Szczurzyce piszczały i przepychały się z podniecenia. Mistrz umarł w czasie modłów. To dobry znak. Bogowie byli przychylni i kazali mu opuścić ciało w momencie świętego uniesienia. Wielkie to wyróżnienie, że właśnie one będą mogły nosić w sobie życie swego mistrza.

— Miiiistrz wielkiii zabójco-mędrzec — zaczęła mniejsza samica. — Miiiistrz wielkiii postanowił opuścić swoje ciało właśnie teraz, ofiarowując siebie nam, swoim uczniom.

— Tooo jest dziwno-złe — pisnął samiec. — Mistrz ma urwaną głowę. Nie mógł sam sobie tego zrobić. To bardzo dziwno-złe.

— Głupiii — zapiszczała druga samica i powaliła go na ziemię. — Wielki mistrz zabójco-mędrzec mógł zabić każdego, nawet siebie, jeśli tego chciał. My weźmiemy teraz jego życie i wielki mistrz będzie żył w nas wiecznie.

— Taaak! — pisnął samiec. — Teraz my będziemy największymi zabójco-mędrkami w pleminiu!

— To ja z siostrą będziemy, ty nie! Ty będziesz tylko naszym samcem. Będziesz nasz i będziesz się nas słuchać, ale my nigdy nie będziemy się słuchać ciebie, a to dlatego, że nieee dostaniesz ani jednego kawałka mistrza!

— Taaak! — zapiszczała druga i uderzyła samca w bok. — Będziesz nasz, a my będziemy jedynymi zabójco-mędrkami! Od teraz masz się nas słuchać.

— Pooodłeee! — zawył samiec. — Mistrz wybrał mnie tak samo, jak was. Jestem samcem tak jak on, a wy jesteście tylko głupimi samicami, głupimiii!!!

Samice popatrzyły na siebie i zapiszczały przeciągle. Samiec, skulony obok ciała mistrza, nie bardzo mógł odeprzeć atak, który w tej samej chwili nastąpił. Zwinął się tylko w kłębek, chroniąc szyję i pysk. Mniejsza koleżanka wgryzła mu się w udo, druga zaatakowała głowę, rozszarpując prawe ucho.

Naraz pod nogi walczących wtoczył się wielki kamień, a po nim jeszcze dwa. Szczurzyce odskoczyły od swej ofiary i przywarły do ziemi, rozglądając się z przerażeniem. Miecz zatknięty na szczycie kamiennego grobowca Bisenny zadrżał i z brzękiem runął między skały. Najpierw zapadł się szczyt kurhanu, po chwili z łomotem osunęła się jego ściana. Wśród pyłu i odłamków skał pojawiła się leżąca, na kamiennym podwyższeniu postać. Sapiąc i parskając, zwała kilka głazów przyciskających jej brzuch i nogi, po czym spadła z katafalku na cztery łapy.

Szczury bezszelestnie wycofały się.

Pokryty zakrzepłą krwią i pyłem Bisenna błyskawicznie ocenił sytuację.

— Al nie żyje, Sendikelma nie widać, pełzające stworzenia należy zabić — mruknął.

Młody szczur w panice przypominał sobie nauki swego mistrza. Wiedział, że musi działać błyskawicznie, szybciej od tego olbrzyma i szybciej od samic. Stanął na tylnych łapach i, zawodząc,

chwycił mniejszą samicę za barki. Poderwał ją wysoko i cisnął w klęczącego Bisennę. Było tak, jak się spodziewał. Olbrzym zasłonił głowę przed ciałem szczurzyca, druga samica przywarła mocniej do skały, a on miał wolną drogę ucieczki. Jęcząc i popiskując, rzucił się w dół zbocza. Pamiętał, że przed większym i cięższym wrogiem należy uciekać zawsze w dół, nigdy w górę.

Bisenna chwycił szczurzycę, rozerwał na dwie części i połową jej cielska rzucił w drugą samicę, która również zerwała się do ucieczki. Trafiona w łeb, runęła na skałę. Bisenna dopadł do niej i jednym szarpnięciem pozbawił głowy.

Młody szczur dobiegł już do skraju przepaści. Zatrzymał się i powoli odwrócił. Na tle chmur ujrzał czarną plamę olbrzyma z błyszczącą klingą w ręku. Jego szczurzym ciałem wstrząsnęła potężna fala dreszczy.

— Mistttrzu, ooniii nieee jedzdzdzą zzzmarłych zzze strachu, bbbo ich zzzmarli zzzmartttwy-chwstttają. . . Mistttrzu, ttto mmmożliwe, zzzmartwychwstttają. . .

\* \* \*

Agni od dwóch dni błąkała się po lesie. Sendilkelm i jego towarzysze zostawili wprawdzie ślady na brzegu Białokostki, ale przez las przeszli niczym duchy.

Tego ranka obudziła się skostniała z zimna. Już po kilku obrotach marszu czuła się zmęczona, wręcz obolała. Ciężkie, przemoczone buty wpijały się jej w stopy i uciskały coraz liczniejsze pęcherze. Koło południa dotarła do niewielkiej polany. Rozłożyła płaszcz na brzegu strumienia, który przyjemnie szemrał pod klonami zamykającymi polanę od wschodu, i zanurzyła zmaltretowane stopy w lodowatej wodzie.

Maleńkie rybki gnilduszne natychmiast zaczęły się przymilnie ocierać o jej palce. Na Agni nie zrobiło to żadnego wrażenia, ze smutkiem oglądała czarne paznokcie i popękana skórę na dłoniach.

— Głupia, mogłaś teraz leżeć sobie w łaźni... — mruknęła. — Albo leżeć z kimś... A tak marzniesz i męczysz się gdzieś na końcu świata, nie wiadomo po co. Pięknie... No nic, sama chciałaś przygód... i oto są. Masz niezwykle przygodowe bąble na nogach, niezwykle przygodowo śmierdzisz, a na obiad zjesz pewnie te malutkie, niezwykle przygodowe gnilduszniaki.

Rybki łatwo dały się złowić w jej jeszcze niedawno białą chustę. Agni wyrzuciła lśniące ciałka na trawę i odszukała przewodnika ławicy. Był ciemnoczerwony. Uśmiechnęła się do swoich wspomnień, które nagle zatańczyły jej przed oczami. Znów była małą dziewczynką, a obok stał ojciec, który właśnie postanowił nauczyć ją rozpoznawania gnilduszniaków. Sięgnął po przewodnika, powoli wypatroszył go, a następnie kawałkami jego ciemnego mięsa nafaszerował pozostałe ryby z po-

łowu. Później jeszcze wielokrotnie powtarzał jej, że jeżeli przywódca ma kolor ciemnoczerwony, to zbędne są wszelkie przyprawy, bo ryby i tak będą smakować po królewsku.

Przepis sprawdzała już setki razy. Teraz uczyniła to po raz kolejny. Nadziewane rybki nabiła na patyki i uwędziła nad ogniskiem. Smakowały równie wyśmienicie jak w domowej kuchni w Szukarnie. To poprawiło jej humor. Nucąc balladę o czerwonym olbrzymie, wzięła się za przekłuwanie igłą bąbli na stopach, gdy dobiegł ją szelest trawy po drugiej stronie ogniska. Znieruchomiła.

— Głupia baba — syknęła po chwili. — Gdzie położyłaś oszczep? To pewnie wąż. . .

Odchyliła się do tyłu. Wśród nosideł wymacała nóż i ścisnęła go w rękę. Wysokie trawy zachwiały się gwałtownie, a pomiędzy żółtych źdźbeł wyjrzało błyszczące oko. Agni wrzasnęła i zerwała się na nogi. Skoczyła niezgrabnie w tył i lewą piętą zmiażdżyła głowę kobry, która od pewnego czasu obserwowała jej kark. Wężowe cielsko natychmiast oplotło jej łydkę. Agni upadła z krzykiem, na szczęście zdołała odzyskać nóż, który przed chwilą straciła, i pchnęła nim zwierzę. Teraz już tylko patrzyła to na dogorywającą kobrę, to na błyszczące oko.

Pierwsze ruszyło się oko, przyturlało się do jej stóp i puknęło kilka razy w palec. Agni powoli przykucnęła, a gdy dotknęła je czubkiem noża, zadźwięczało krystalicznie.

Skoczyła na rozłożony na ziemi płaszcz i szybko założyła buty. Drżącymi rękoma złapała łuk i nałożyła strzałę.

— No, magu! Co to za sztuczki?! — wrzasnęła, rozglądając się na wszystkie strony. — Zapewne to wielki czyn i świetna zabawa, tak straszyć samotną dziewczynę, a jakże! . . . Może jednak pokażesz się, bym mogła celnie posłać strzałę!

Odpowiedziały jej tylko echo i skrzekliwe nawoływania wiewiórek.

— Tchórz! — zawołała bez przekonania w głosie.

Ruszyła w kierunku oka, a ono natychmiast poturlało się jej na powitanie.

— Ktoś cię zgubił? — spytała cicho dziewczyna.

W odpowiedzi oko okrążyło ją kilka razy. Schyliła się, by je podnieść, lecz cofnęło się gwałtownie.

— Nie mogę cię dotknąć?

Oko zakręciło się kilka razy wokół swej osi.

— Dobra, zostań tu sobie, ja idę swoją drogą.

Odeszła parę kroków, lecz oko natychmiast znalazło się przy jej bucie. Zakręciło się i poturlało w kierunku lasu. Agni stała nieporuszona, wobec czego cofnęło się i znowu zrobiło kółko wokół jej butów.

— Aaa . . . mam za tobą iść? — pojęła w końcu.



Oko z radości aż podskoczyło i pomknęło w kierunku lasu. Po chwili zatrzymało się i posłało jej swe nieruchome spojrzenie.

Agni pobierała ekwipunek, starannie zawiązała nosidło, poprawiła klamry butów, wzięła do ręki łuk z nałożoną na cięciwę strzałą i zastanowiła się nad słusznością brania udziału w tej ewidentnej grze. Jeżeli jej autor użył nawet magii, by ją odnaleźć, może jednak warto było dowiedzieć się, kim on jest. Zresztą, w obecnej sytuacji jakakolwiek ucieczka nie miałaby sensu, ze względu na możliwości tego oka, oczywiście... Nagle, niczym pikująca jaskółka, przefrunęła jej przez głowę fantastyczna myśl.

— Słuchaj no, maleństwo, czy twoim panem nie jest przypadkiem Al Cheger?

Oko podskoczyło trzy razy i zatoczyło w trawie kilka ósemek.

— Miejmy nadzieję, że nie kłamiesz — ruszyła dziarskim krokiem, lecz oko nawet nie drgnęło, wpatrując się w nią z wyrzutem.

— No dobrze już, dobrze, nie ma się o co gniewać. Wierzę ci, że należysz do Ala. Czy teraz możemy już iść?

Oko podskoczyło, choć nie tak żywo, jak wcześniej, i poturlało się prosto do lasu.

\* \* \*

Zapadał zmrok i Agni wyczerpała już repertuar znanych sobie przekleństw.

— Wolniej!... Wolniej, do wszystkich chorób!... — dyszała za oczkiem, które niestrudzenie toczyło się przez leśne ostępy. Przeskakiwało wykroty i strumienie, buszowało wśród traw szydłowych i płoszyło wiewiórki. Agni gnała za nim, wściekła na siebie i na wszystkich magów świata.

O zachodzie słońca dotarli do niewielkiej, całkiem przytulnej polany.

— Nareszcie... — mruknęła Agni i rzuciła nosidło na ziemię. — I po co tak pędziliśmy? Przez ciebie zdejmę buty razem ze stopami...

Oko nie ruszało się.

— No, mówię do ciebie! — zawołała Agni i rzuciła w nie szyszką.

Trafiła, lecz oko nadal leżało jak martwy kamyk.

— Bardzo pięknie, do choroby z taką magią! — burknęła i zajęła się rozbijaniem obozu.

Postawiła namiot i dokładnie zbadała okolicę. Ktoś biwakował tu niedawno i nie starał się zatrzeć swoich śladów, o czym przekonywał świeży popiół.

— To dziwne — mruknęła pod nosem. — Sendilkelem powinien być ostrożniejszy. Karcen mówił coś o specjalnym zadaniu i w ogóle...

Przeszła na drugą stronę polany i stanęła przy niewielkich kopczykach, otoczonych kamieniami.

— Kurhany? Tutaj? I to takie małe? Czyżby wiewiórki przejęły od nas tradycję grzebania zmarłych? — okrążyła jeszcze raz kopczyki, postąpiła chwilę, w końcu wzruszyła ramionami i poszła.

Rozpałała ognisko, lecz nie miała już siły przy nim siedzieć. Wpełzła do namiotu, rzuciwszy tylko przedtem kamykiem w kierunku kryształowego oka.

— Wiem, że mnie słyszysz. Mam nadzieję, że jutro nadal tu będziesz. Jakby co, no wiesz... to obudź mnie.

\* \* \*

Miała sen, że śpi naga w namiocie pośrodku lasu na zapomnianym końcu świata. W oddali słysząc tętent podkutych kopyt, na dźwięk którego milkną wszystkie przerażone stworzenia. Agni leży nieruchomo, a nocny wiatr uchyla połę jej namiotu. Jeździec, czarny jak noc, przemierza polanę i zatrzymuje się przed odsłoniętym wejściem. Koń parska i toczy z pyska pianę. Jeździec wyciąga bezszelestnym ruchem świecącą w księżycowym blasku klingę i wkracza pod dach jej schronienia. Agni budzi się gwałtownie, czując na szyi zimne ostrze. Otwiera oczy i widzi czarnego jeźdźca.. Poważny i nieruchomy siedzi na koniu wielkości wiewiórki, a sam nie większy jest od myszy. Gdy Agni unosi się na łokciach, jeździec cofa konia i woła coś piszczącym głosem.

— Beggg... begginsa nie widziaałaśśś?

Agni chwyta go za czarną pelerynę i wraz z wierzgającym konikiem wyrzuca w ciemność, daleko poza namiot. . .

W tym momencie obudziła się, czując coś zimnego na policzku. Usiadła gwałtownie. Tuż przy niej turlało się, skakało i kręciło jednocześnie kryształowe oko.

— Co jest, do chorób?! . . . Jakieś niebezpieczeństwo?! — warknęła.

Oko poturlało się w poprzek namiotu.

— Jeżeli nie, to o co chodzi? — wyciągnęła sztylet i uchyliła połę namiotu.

W świetle księżyca i dogasającego ogniska zobaczyła, że polana roi się od niewielkich stworzeń. Wskoczyła na zewnątrz. Dookoła rozległy się przerażone piski i właściciele błyszczących, okrągłych oczek rozbiegli się na wszystkie strony. Rozdmuchała pochodnię i obeszyła namiot dookoła. Jeden z małych kurhanów był rozkopany. Ostrożnie zajrzała do środka i krzyknęła. W świetle pochodni zobaczyła maleńką drewnianą skrzynkę, a w niej poskręcane jak w strasznej chorobie ciało nie większe od paznokcia. Rozejrzała się przerażona. Spośród zarośli wlepiaty się w nią żółte i zielone oczka. Podbiegła do ogniska i podsyciła ogień. Otuliła się płaszczem i usiadła w wejściu do namiotu. Obnażony miecz i sztylet położyła przed sobą. Resztę nocy spędziła na śpiewaniu wojennych pieśni i wypatrywaniu świtu.

W namiocie, na miękkim pościelaniu z sakwy podróżnej, leżało kryształowe, magiczne oko. Choć nie miało powiek, spało głęboko i spokojnie.

\* \* \*

O pierwszym brzasku Agni przeciągnęła się powoli i, postępując, podeszła do rozkopanego kurhanu. Ze zdziwieniem wzięła w palce lekko podpleśniałe, rozgryzione ziarno czerwonej fasoli.

— Jeżeli to wy tu nocowaliście, moi mili z Sendilkem na czele, to albo poszaleliście zupełnie, albo magowie robią teraz o wiele mocniejsze wino... — westchnęła głośno i cisnęła fasolkę w krzaki.

Oko wyturlało się z namiotu i zaczęło podskakiwać na skraju polany.

— Dobrze już, dobrze!... — krzyknęła Agni. — Już idziemy! Chociaż chciałabym się dowiedzieć, co właściwie tu się działo.

Oko przetoczyło się w poprzek polany, zatrzymało na brzegu rozkopanego kurhanu i wskoczyło do środka. Agni odprowadziła je zmęczonym spojrzeniem, otworzyła usta i podparła się pod boki. W końcu cisnęła nosidła na ziemię i energicznie podeszła do kurhanu. Oko leżało na dnie małej trumienki z kawałka drewna i najwyraźniej było z tego bardzo zadowolone.

— Bardzo śmieszne! — burknęła Agni.

W odpowiedzi oko wystrzeliło w górę, zrobiło kilka salt i wylądowało przed butem dziewczyny. — Masz tak głupie pomysły, że pewnie musisz należeć do rodzaju męskiego... — stwierdziła lodowatym tonem i ruszyła przed siebie.

Okragły towarzysz poturlał się za nią, omijając slalomem ślady jej podkutych butów.

\* \* \*

Kolejny dzień w Timajach Chmurnych zapowiadał się pochmurny i zimny. Na poszczerbionej grani, otulonej strzępami mglistych welonów, siedział samotny sokół. Zupełnie niedawno postanowił zostać osiadłym sokołem górskim, rezygnując raz na zawsze z bycia sokołem wędrownym. Teraz, z głową wtuloną w zmoknięte skrzydła, ponownie rozważał swoją decyzję.

Osiągnął swój główny cel — znalazł okolicę, gdzie nie ma ludzi. Wciąż nie mógł zapomnieć urazy do pewnego grubego maga, który szukał rozrywki jego kosztem, i jakiegoś szalonego ryce-rza, który latał szybciej i wyżej niż wszystkie ptaki. Tak, tu na pewno żaden człowiek nie będzie wprowadzał z równowagi jego wrażliwego umysłu.

Wbił wzrok w gęstniejącą mgłę. Był głodny i wściekły. W tych górach wszystko wydawało mu się dziwne. Takie szczury, na przykład, zamiast uciekać z piskiem, gdy tylko padnie na nie cień jego

szlachetnych skrzydeł, rzucają w niego kamieniami. . . I najdziwniejsze jest to, że są o wiele za duże. Jakieś sto razy za duże.

Nowe mieszkanie też napępiało sokoli umysł nieokreśloną grozą. Znalazł wprawdzie przepiękną jaskinię, wysoką i strzelistą, lecz niezupełnie opuszczoną. Na jej dnie leżał szkielet jakiejś skrzydlatej jaszczurki. Sokół zbadał go dokładnie wczoraj, około południa, gdy słońce przez dziurę w sklepieniu oświetliło jaskinię. Chociaż lubił polować na jaszczurki wodne i trawiaste, ta napawała go obrzydzeniem i niemalże strachem. Przede wszystkim, ona również była za duża. W oczodole jej czaszki mógłby zbudować sobie wygodne gniazdo. Pazury i porozdwajane na końcach kły były zdecydowanie za groźne. Najbardziej jednak zadziwiały go kości skrzydeł. Sokół ze znawstwem ocenił ich piękną linię i szlachetne proporcje, wciąż jednak nie potrafił sobie wyobrazić lotu takiego olbrzyma.

To wszystko sprawiało, że nie mógł spokojnie spać w swoim nowym domu. Ponadto w nocy budził go blask, bijący z dna jaskini, gdyż szkielet wielkiej jaszczurki spoczywał na kopcu szlachetnych kamieni i, świecącego w ciemnościach, zielonego złota. Tak przynajmniej myślał do niedawna. Dziś rano bowiem, gdy zleciał w dół jaskini, okazało się, że te szlachetne kamienie to dwa tuziny jaj spoczywających między tylnymi nogami jaszczurki. Ostukał je wszystkie, lecz skorupy były tak grube, że nawet ich nie zarysował, tylko dziób stępił mu się doszczętnie.

Chociaż teraz, rozważając to wszystko od początku, zaczynał podejrzewać, że jednak to były kamienie...



# 12

## Ryba w przestworzach

*Bez bogów ludzie nie wiedzieliby, jak żyć,  
bez magów nie wiedzieliby, po co.*

*Magowie nie wiedzieliby, po co żyć,  
gdyby mieli swych bogów.*

*Bogowie nie wiedzieliby, po co żyć,  
gdyby wszyscy ludzie stali się magami.*

(aforyzmy autorstwa Karcena z *Księgi Dziesięciu Tysięcy Mądrości*,  
obowiązkowego podręcznika magów przystępujących  
do inicjacji pierwszego stopnia)

Król Raratin z niesmakiem spojrział na ośmiokątną kopułę, wieńczącą sklepienie jego prywatnej  
zbrojowni. Piękny smokolitowy kryształ ponownie zapaskudziły gołębie i gątrale.

— Muszę tam kogoś posłać z kubłem i szmatą — mruknął do siebie. — Tylko która pokojówka  
wlezie na szczyt najwyższej iglicy zamku? . . . Ech, do chorób nagłych i śmiertelnych, znowu będę  
musiał prosić grubasa o jakiś ochronny czar!

Ktoś delikatnie zapukał do drzwi.

— Wybacz, panie, wiem, że zabroniłeś sobie przeszkadzać, ale tego, no, przyszedł wielki mistrz  
Karcen i . . . no, pragnie z tobą, o szlachetny, porozmawiać — wybełkotał zza drzwi drżący głos  
strażnika.

— I co z tego?! — ryknął Raratin. — Lekceważysz królewski rozkaz tylko dlatego, że na scho-  
dach pojął się ktoś trzy razy grubszy od ciebie?

— Bo . . . Litości, o najwznioślejszy władco! Ale on, to znaczy mistrz Karcen, powiedzieli, że  
zmienią mnie w sprężynę od kuszy korbowej, jeżeli go nie wpuszczę.

— Wpuść go zatem, mój szlachetny strażniku. Potem przekonasz się, w co ja cię z kolei zmienię. Za drzwiami rozległ się nieokreślony hałas.

— Panie, chciałbym z tobą porozmawiać! Otwórz, na wszystkich bogów! — krzyknął Karcen.

— A co się dzieje z moim strażnikiem?

— Chyba zemdłał ze strachu.

— To dziwne, nie podejrzewałem, że aż takim mnie darzy respektem.

— To nie to, panie! — Karcen odchrząknął i puknął palcem w drzwi. — Po prostu zmieniłem na chwilę swoje łagodne oblicze w twarz demona Gandelssona.

— Aha. . . — mruknął król — jakiego demona, powiadasz?

— Otwórz drzwi, o umiłowany władco, to sam zobaczysz — odpowiedział Karcen głosem Gandelssona podobnym do mówiących skrzypiec.

— Che, che, che, już otwieram, mój Karcenie! Zechciej jednak pokazać się ze swoją, jakże miłą memu sercu, twarzą.

— Jak sobie życzysz, panie — odśpiewał wesoło Karcen.

\* \* \*

Już mrok wypełnił zbrojownię królewską i przez brunatne ptasie placuszki na kryształowej kopule zajął do środka ciekawski księżyc, a Karcen i Raratin, pochyleni nad stołem, wciąż szeptali do siebie w podnieceniu.

— Ależ, Karcenie, myślałem, że jeżeli minęła końska zaraza, skończyły się też nasze kłopoty. A ty bajasz mi tu jakieś magiczne opowiadki.

— To nie żadne opowiadki — Karcen zatrzęsł podbródkami. — Jeszcze raz powtarzam, w ciągu ostatnich czterech dni otrzymałem dwanaście raportów o szczepach bogów. W dodatku Wielki Go, jak wiesz, mój najlepszy uczeń i mag znamienity, dokonał niezwykłego odkrycia w trakcie obserwacji gwiazd. Otóż zobaczył nową gwiazdę, która każdej nocy przelatuje kilka razy cały nieboskłon z południa na północ.

— W porządku, Karcenie. Bogowie istnieją! Zapamiętaj to sobie i niech dotrze do twego uczzonego mózgu, że twój konwent magiczny nic na to poradzić nie może! Bogowie chcą się bawić gwiazdami? Dobrze, nie wasza sprawa! Wy, magowie, macie po prostu wybujałą ambicję. A cóż poradzić możemy na to, że władcy niebios coś sobie wymyślili. Może ześlą jakieś nowe objawienia czy coś w tym rodzaju. Lud zawsze się cieszy, gdy święci objawią się na ziemi. I ani magowie, ani królowie

nie mają tu nic do gadania. Szczerze mówiąc, bardziej bym się martwił, gdyby, na przykład, chłopcy wymyślili nowe powstanie albo baroni z Kilszeszenam ogłosili swoją niepodległość.

Mag naburmuszył się i westchnął, unosząc oczy ku księżycowi. Wstał, wyciągnął z rękawa złoty mieczyk i począł go nerwowo obracać w palcach.

— Raratrie, wiem, że nawet my, magowie, nie wiemy wszystkiego. . .

— Faktycznie, wiele nie wiecie — wtrącił król.

Karcen westchnął jeszcze głośniejszym głosem i zapatrzył się w samo centrum ozdobionej przez ptaki kopuły.

— Królu, królu, o ile dobrze pamiętam, już od czterystu osiemdziesięciu pięciu lat jestem u ciebie na służbie, czy tak?

— Tak. I od pięciuset dwudziestu czterech stosów złota, zużytych na magiczne inicjacje, że o innych wydatkach na konwent nie wspomnę.

— No tak, no tak — mruknął Karcen. — Zatem, żeby to wszystko nie poszło na marne, mój panie, zechciej mnie wysłuchać i uwierzyć. Mam podstawy przypuszczać, że zaobserwowane zjawiska nie powstały w wyniku działań znanych nam bogów. Jak wiesz, mamy w Atrim dziewiętnaście oficjalnych kultów i dziesiątki pomniejszych odłamów. Nie mogę uwierzyć, by jeden bóg miał aż taką przewagę, że najpierw zesłał szaleństwo na nasze konie, a następnie zawiesił na niebie nową gwiazdę. A gdzie odwieczna zasada równowagi sił boskich? Gdyby jeden z bogów chciał tak bardzo

mieszać w naszym życiu, pozostali bogowie nie dopuściliby do tego. Zesłanie cudownego zjawiska, na przykład takiej gwiazdy, mogłoby przekonać ludzi o absolutnej wyższości jednego boga nad innymi, a sam chyba rozumiesz, panie, że to niemożliwe, bogowie bowiem już dawno dogadali się między sobą co do stref swoich wpływów.

— Jeżeli tak jest, to dlaczego Mnog i Oz od wieków ze sobą walczą, he? — wtrącił nieco już znudzony król.

— Bo Mnog i Oz to jeden i ten sam bóg, tylko w dwóch osobach. Specjalnie wywołuje wojny religijne. Wiedzą to wszyscy, z wyjątkiem mieszkańców kraju Mnog Oz — zniecierpliwił się na serio Karcen i nasypał na dłoń garść tabaki.

Potężne kichnięcie zagłuszyło odpowiedź również podirytowanego króla.

— Co mówiłeś, szlachetny panie? — mruknął Karcen, ścierając rękawem z tysiącletniego gobelinu skutki kichnięcia.

— Powiedziałem, że może bogowie dogadali się i razem coś wymyślili. Dzisiaj zesłali nam gwiazdę, a za sto lat ulepią może nowy księżyc. Cóż na to poradzimy, ty czy ja?

— Raratrie, chyba tylko król może być aż tak naiwny, by uwierzyć, że bogowie zrobili coś razem. Taki sojusz nie jest możliwy w żadnym ze światów. Tu stało się coś innego, jakby to powiedzieć, obcego, nieuchwytnego. . .

— Karcenie, chyba tylko największy mag na świecie może tak ślepo wierzyć w swą potęgę, by nie odróżniać spraw, z którymi można walczyć, od spraw, na które nie ma się wpływu. Wobec takiej postawy mogę ci tylko życzyć powodzenia w niebiosach po śmierci. Tam zresztą będziesz mógł robić, co zechcesz, jednak tu, w Atrim, masz mnie chronić, ale tylko przed autentycznymi wrogami. Przypomnę ci, że autentyczni wrogowie to tacy, którzy mają swoje, zupełnie różne od moich, pomysły na obsadę tronu w Atrim oraz tacy, którzy zbliżają się do naszych granic z armią. Kontakty z bogami zostaw kapłanom i mnie.

— Przecież ja również jestem odpowiedzialny. . .

— Przypomnę ci, mistrzu, że to ja, król, jestem głową wszystkich wyznań w Atrim i za mnie wznoszą modły wszyscy kapłani. Po śmierci tylko ja, król Atrim, będę miał prawo wybrać sobie niebiosa, w których spędzę wieczność. Po drugiej stronie życia powita mnie Anielica Śmierci, otoczona bogami, którym wiernie służyłem przez całe swe panowanie. Jeżeli bogowie chcieliby komukolwiek tu, w naszym świecie, przekazać swoją wolę, to właśnie mnie. Lepiej zatem nie pouczaj swojego króla o boskich zamiarach.

— Tak, na chwilę zapomniałem, jak głęboka jest twa wiara, panie — mruknął Karcen.

— Wybaczam ci, mój poczciwy mistrzu. Cenię twą sztukę i twą wierność mi i Atrim, dlatego nie będę sztydził z tego, że nie potrafisz znaleźć w swym wnętrzu iskry wiary i tak często nie rozumiesz

rzeczywistości. Wynajdujesz sobie zadania i problemy, które, niestety, wykraczają poza twoje możliwości. A tak przy okazji, mówiąc o twoich możliwościach. . . Widzisz, gołębie okropnie zabrudziły kopułę. Mógłbyś coś z tym zrobić?

Mag westchnął i wpatrzył się w kopułę. Po chwili kryształowe sklepienie było czyste tak, jakby go w ogóle nie było, a gwiazdy zaglądały do środka przez dziurę w dachu.

— Wspaniale, mistrzu — uśmiechnął się Raratin. — A co tam słyhać u mojego dowódcy armii, Sendolikena, którego posłałeś z jakąś pokrętną misją w Timaje. Będzie już chyba dwanaście dni, jak wyruszył?

— Szesnaście, królu — westchnął Karcen. — Kontaktowałem się niedawno z mistrzem Chegerem, który mu towarzyszy. Wszyscy uczestnicy wyprawy żyją i zbliżają się już do siedzib Timajczyków.

Władca przysiadł na skraju ławy obitej zieloną skórą i popatrzył w niebo.

— Czy to o tę pędzącą kropkę tyle krzyku? — wskazał brodą gwiazdę, która mozolnie przemierzała nieboskłon.

— Tak, właśnie o tę — sapnął mag i zabrał się do usypywania na dłoni następnego kopczyka tabaki.



— Wiesz — ciągnął swobodnym tonem Raratriin — zastanawiają mnie dwie rzeczy. Po pierwsze, jak mogłem dopuścić do tego, by jedynie z powodu twojej magicznej intuicji Sendolkelm i inni ruszyli w dzikie kraje...

— To proste, panie, przecież wiesz, że moja intuicja magiczna jeszcze nigdy nie zawiodła.

— Tak, właśnie... — ciągnął spokojnie król. — A po drugie, co zrobię z tobą, jeżeli tym razem twoja magiczna intuicja doprowadzi do śmierci Seldinkelma i innych.

— Możesz wówczas zwolnić mnie ze służby, mój królu, i rozwiązać konwent bezużytecznych magów — odparł mag.

— Jedynie tyle? — mruknął król i posłał magowi spojrzenie, które wyćwiczył już dawno temu, wprawiając w przerażenie dworskich urzędników.

— Zasadniczo tylko tyle — mruknął Karcen i kichnął potężnie. — Biorąc pod uwagę moje możliwości, ma się rozumieć...

— Mam nadzieję, że niektórzy bogowie ochronią mnie przed tymi możliwościami — zaśmiał się Raratriin. — Przypuśćmy na chwilę, że masz rację i rzeczywiście dzieje się coś niedobrego. Coś, co dotyczy nas i bogów. Jakiej natury mogłoby to być zagrożenie?

— Obawiam się, że natury zewnętrznej — mruknął Karcen.

— Jeżeli chcesz marnować siły swoje i konwentu na uganianie się za wyimaginowanymi zagrożeniami, to proszę bardzo. Nie mam zamiaru wtrącać się do waszych magicznych spraw. Chciałbym jednak być na bieżąco informowany o położeniu Senokelma i wszystkich ewentualnych zagrożeniach, ale jedynie o pochodzących z tego świata. Czy w tym zakresie król może liczyć na swojego mistrza magii?

— Może. . . — odparł Karcen i zdematerializował się z cichym westchnięciem.

— Nienawidzę, gdy to robisz! — krzyknął król do pustego fotela.

— Wiem — powiedział mag i opuścił komnatę, przenikając kopułę.

\* \* \*

Kółka drewnianego wózka skrzypiały, tocząc się nierówno po zniszczonej posadzce korytarza. Wózek ciągnął Wielki Go, z tyłu Mekch udawał, że mu pomaga.

— Wielki Go — zagadnął staruszek — powiedz mi, dlaczego musimy ten ciężar taszczyć do twego obserwatorium na wózku. Mógłbyś przecież przenieść go siłą swej magii.

— Najwyższej ze sztuk nie należy używać tam, gdzie nie jest bezwzględnie potrzebna — spokojnie odparł Wielki Go i chwycił za oś wózka, by przestawić go przez próg.

— Ale Karcen używa, a nawet nadużywa magii do różnych rzeczy. Wiesz, byliśmy kiedyś razem z Sendilkem na hulance w Pijanym Krakenie. . .

— Nie mi oceniać czyny mistrza mego — przerwał ostro Wielki Go. — Dla mnie niepojęte są czyny Karcena, tak samo, jak dla ciebie, panie Mekch, niepojęte są podstawy magii.

— Tak samo, jak dla ciebie niepojęte jest to, co znajduje się na tym wózku — zrewanżował się Mekch.

— W rzeczy samej, panie Mekch, chętnie dowiem się, czemu ma służyć to twoje mekchanos.

— Mekchanismos! — krzyknął zirytowany Mekch. — Zaraz sam zobaczysz, panie mistrzu Wielki Go, jak moja mekchanikcha przewyższa waszą sztukę.

— Mów, panie Mekch, mów więcej takich głupot. Moja radość będzie równie wielka, jak twoja rozpacz, gdy zobaczysz znikomość swego dzieła wobec potęgi magii.

— Zaraz się przekonamy, mistrzu Go.

Wtaszczyli wózek do ośmiokątnego pomieszczenia zawalonego mapami nieba i drewnianymi modelami o dziwnych kształtach.

— Witaj w mojej pracowni — wydyszał mag i kopniakiem przesunął model orlich skrzydeł, by zrobić miejsce na wózek. Skinieniem dłoni zapalił pomarańczowe kule pod sufitem.

Mekch nawet tego nie zauważył, zajęty rozplątywaniem szmat kryjących podłużny kształt. W końcu ze skrzyni pełnej trocin staruszek czule wyjął dwie ciemne rury. Razem wynieśli je na taras otaczający obserwatorium. Odległy morski horyzont rozjaśniały jeszcze ślady zachodu słońca, ale nad Atrim zapadła już noc.

— Pokaż mi tę nową gwiazdę, mistrzu Go — szepnął Mekch.

— Jeżeli nie zmieniła swej drogi, pojawi się od północy, blisko konstelacji Bliźniaczych Krakenów. Najdziwniejsza to rzecz, jaką przyszło mi w życiu zobaczyć, panie Mekch.

Staruszek skinął głową i wyciągnął z jednej z wielu dyndających mu u pasa sakiewek dwie fajki i pudełeczko z tytoniem. Nabił je i podał jedną magowi.

— Nosicie, panie Mekch, dwa cybuchy?

— Lepiej smakuje, gdy się kogoś poczęstuje! — zaśmiał się Mekch i wcisnął fajkę między szparę w górnych zębach.

Palili i obserwowali niebo. Wielki Go machał małym palcem, a dym z jego fajki układał w powietrzu litery G i M.

— Podobno nie marnujecie magii tam, gdzie nie jest niezbędna — uśmiechnął się krzywo Mekch.

— A kto powiedział, że drobne przyjemności nie są niezbędne. . . Patrz, panie Mekch, jest, jest tam! Dzisiaj leci chyba troszkę szybciej niż wczoraj.

— To z powodu tego maleństwa tyle krzyku? Wiele razy widziałem spadającą gwiazdę. Mówią, że to nasienie złego spada na ziemię.

— Ta jest inna, przecież wam tłumaczę, że ona nie spada, tylko codziennie przelatuje całe niebo.

— Ano, zobaczmy.

Mekch położył rury na balustradzie tarasu. Ze skrzyni wyciągnął konstrukcję z kilku prostych gałęzi dębowych i oparł na niej swoje mekchanismos. Przysunął twarz do końca rur i powoli zaczął nimi obracać. Jego fajka syczała i pykała.

— Mam mistrzu! — wrzasnął i odskoczył od balustrady. — Jeżeli dobrze widzę, to bogowie nieźle się bawią naszym kosztem. . .

— Czyżbyś zobaczył coś przez to coś? — Wielki Go próbował zamaskować wyniosłym tonem swoje podniecenie.

— To coś przybliży obraz dalekich rzeczy, mistrzu, możesz przez to coś popatrzeć na swoją gwiazdę w dużym powiększeniu. . . — wysapał Mekch.

Mag ostrożnie chwycił końce rur, zajrzał do środka i skoczył do tyłu jak oparzony.

— W tych rurach jest jakaś ryba! — krzyknął.

Mekch westchnął, przywarł oczami do swego mekchanismos i począł coś mruczeć pod nosem.

— Co?! — nie wytrzymał mag.

— Bogowie chyba oszaleli. Po niebie lata wielka błyszcząca ryba. To właśnie twoja gwiazda, mistrzu Go.

\* \* \*

Wielki Go do rana obserwował przez mekchanismos niebo. Robił notatki i szkice trajektorii tajemniczego obiektu. Czuł, że ogarnia go coraz większy niepokój. Nie był pewien, czy to pod wpływem świadomości, że bogowie umieścili na niebie błyszcząca rybę, czy też może w końcu rozbudziła się jego magiczna intuicja.

Mekch opuścił taras obserwacyjny tuż po północy, twierdząc, że nawet latająca ryba nie odwiedzie go od spędzenia reszty nocy w tawernie. Zatknał kciuki za pas i niespiesznym krokiem wtopił się w rozświetloną kolorowymi lampionami dzielnicę bazarową. Kupił sobie prażone koniki morskie i rozglądał się po straganach. Lubił przechadzać się po mieście w środku nocy, słuchać gwaru trwającego wiecznie handlu, muzyki dobiegającej z uchylonych drzwi tawern i pokrzykiwań naganiaczy.

Słone koniki morskie zdążyły już mile podrażnić jego żołądek, gdy przekroczył zębaty portal Pijanego Krakena. Znalazł przytulny kącik przy okrągłym stoliku w głębi trzeciej sali. Mijając bar,

ukłonił się pani Sardinelli. W chwilę potem podeszła do niego kelnerka z wplecioną we włosy jak-skrawą chustą. Zamówił jak zwykle swoje ulubione dwa pioruny i jajecznicę z grzybami.

— Za twoje zdrowie, Karcenie. . . Ostatecznie, to dzięki tobie mam za co pić w tak szlachetnym miejscu — mruknął i włożył do ust dwie słomki prowadzące do dwóch wydrażonych tykw. W jednej parował odpowiednio podgrzany trunek zwany zielonym piorunem, w drugiej przelewał się gęsty i oleisty piorun czerwony. Oba tworzyły w ustach mieszankę o tak potężnym działaniu, że podawano ją tylko sprawdzonym klientom tawerny. Mekch w ciągu ostatnich dziesięciu dni zasłynął tym, że był w stanie wysączyć trzy takie kolejki jednego wieczoru.

— Witaj, panie Mekch — ryknął mu prosto w ucho wielki Suddolik i hałaśliwie przysunął sobie ciężki fotel.

— Witaj, wielki wojowniku i, o ile pamiętam, ojcie mego przyjaciela Sendikelma — rozpromienił się staruszek.

— Co tam słyhać w zamku? Podobno Karcen zdręcza cię, byś mu uszczknął choć trochę swej wiedzy, tak przynajmniej gadają. . .

— No, skoro tak gadają, to pewnie coś w tym jest — zachichotał Mekch. — Ale niczego więcej powiedzieć nie mogę, bo tajemnicy przyrzekłem dochować. Wiedz tylko, że Karcen wielką zaczął mnie darzyć przyjaźnią.

— Ba, nie wiem tylko, miły panie, czy jest się z czego cieszyć. Ja bym tam temu grubasowi do końca nie ufał. Nie raz w młodości wojsko do boju prowadziłem, gdy Karcen jako mag królewski czary ochronne na nas zsyłał, i nie raz walecznością swoją jego lenistwo bądź nieudolność zastąpić musiałem.

— Nooo, nie mogło być chyba aż tak źle — Mekch pociągnął łyk dwóch piorunów — skoro tyle lat wojowałeś i nadal żyjesz, szlachetny Suddoliku.

— Męstwem swemu to zawdzięczam — odparł Suddolik i wlał całą zawartość czerwonego dzbanka do gardła. — A tobie, panie Mekch, dobrze radzę, na Karcena uważaj jak na żmiję we własnym bucie. Dziwne on rzeczy ostatnio wyczynia. Mego syna, Sendilkelma, do dzikich krain posłał. Do Timajów A po co? Sam pewnie nie wie. Tacy są magowie, innych na niebezpieczeństwa wielkie wystawiają, a nawet na śmierć pewną, by swoje teorie sprawdzać. Sami nigdy nie ryzykują życia.

— Zaraz, zaraz, panie Suddoliku — mruknął Mekch, udając bardziej pijanego, niż był — skąd wam przyszły do głowy te Timaje? Czy ktoś wam o tym mówił, może sam Karcen?

— Nie... — wielki wojownik popatrzył na niego nieobecny wzrokiem. — Sam tam wczoraj byłem i widziałem Sendilkelma, jak leżał ciężko ranny. Jeden z jego towarzyszy był już martwy, a drugi pojmany przez wroga okrutnego.



— Aaa... — uśmiechnął się szeroko Mekch, siorbnął potężnie i przełknął głośno — zatem wczoraj byliście panie w Timajach? Rzeczywiście, wojownik z was niezrównany. I pomogliście szlachetnemu Sendilkelmowi?

Suddolik spojrział na niego szeroko rozwartymi oczami.

— Jakże miałem mu pomóc, przecież byłem tam tylko przez mgnienie oka i zaraz znowu siedziałem w tej tawernie.

— Aha... — mruknął Mekch i skinął na kelnerkę. Czuł, jak dwa pioruny pulsują w jego żyłach i nie zdziwił się, że dziewczyna przyплыnęła do niego, a nie przyszła. — Jeszcze jedną kolejkę proszę, dla mnie i dla szlachetnego Suddolika, moja rybko — uśmiechnął się do niej słodko.

— Pani Sardinella zabrania podawać mu takie trunki — szepnęła magowi do ucha, osłaniając usta. — To mu jeszcze gorzej robi na głowę — a do Suddolika, pochylając nad nim swój dekolt, zaświergotała — przyniosę ci jeszcze, panie, granatowego wina.

Wielki wojownik był już zupełnie nieobecny. Mekch pociągnął za koniec sukni kelnerki.

— Dzisiaj chyba niezbyt dobrze go pilnowałaś, rybko — szepnął. — Nasz bohater znowu odszedł w krainę marzeń.

\* \* \*

Wielki Go nerwowo dreptał po brzegu basenu. Mruczał coś pod nosem i zaciskał dłonie.

— Co tam mruczysz? — krzyknął Karcen, rozchlapując wodę nogami.

Wielki Go spojrział na niego i gwałtownie odwrócił głowę. Karcen zwykł taplać się w swej smokolitej pływalni zupełnie nago.

— No i po co te ceregiele? — fuknął mistrz i z gracją słonia morskiego wyskoczył na brzeg. — Wyglądam jak wyglądam. Zakochiwać się we mnie nie musisz. Wystarczy, że niewiasty za mną szaleją. To co tam mruczałeś? Pewnie znowu chciałbyś wnieść jakieś cudowne poprawki do mojego planu.

Wielki Go z wielką niechęcią spojrział na wycierającego się Karcena. Galopujące myśli zmieniły jego umysł w tor wyścigowy, w dodatku był potwornie niewyspany. Przez ostatnie trzy noce śledził na nieboskłonie ruch srebrzystej ryby. A jego mistrz, jak zwykle zresztą, miał jakieś plany, w które bynajmniej nie zamierzał nikogo wtajemniczać. Dziś rano powiedział mu tylko, że proponuje Śmierci układ. Jaki, nie zdradził.

— Mistrzu, pozwól, że raz jeszcze cię spytam, czy jesteś pewien, że Anielica zrozumie powód twej wizyty? Co stanie się, jeżeli nie zrozumie sensu propozycji, którą jej złożysz? Wiesz przecież, że ona cię... cóż, śmiertelnie nienawidzi. Jeżeli już coś wymyśliła i ty...

— Przestań marudzić! — Karcen rzucił w niego mokrym ręcznikiem. — Musisz się jeszcze wiele nauczyć, mój drogi uczniu. Sam powiedz, czym jest magia? Albo nie mów, ja ci powiem. Jest odwagą. Jest wyzwaniem rzuconym całemu światu, wszelkiemu istnieniu i wszelkiemu stworzeniu. . .

— Tak, ale. . .

— Nie przerywaj! A niech cię, chyba właśnie udało mi się powiedzieć przepiękny wstęp do mego pamiętnika. Na jutro przepiszesz mi to za karę sto razy. A teraz słuchaj. Wiem, że pchanie się do domu Anielicy jest ryzykowne, jednak moja magiczna intuicja podpowiada, że jedynie to spotkanie może doprowadzić do ostatecznego rozwiązania naszej sytuacji.

— Ale jakiej sytuacji? Mistrzu, ryzykujesz życie i być może losy całego konwentu magów, wiedziony tylko niejasną intuicją? Nie rozumiem. . .

— Oczywiście, że nie rozumiesz. Dlatego właśnie to ja jestem mistrzem, a nie ty. Przyjmij zatem ode mnie najważniejszą naukę. . .

— Jak to, tu, w łaźni?! — Wielki Go aż rozłożył ręce.

— Czemu nie? Zapamiętaj, magia bez odwagi jest jak królewski miecz w szambie. Im większa jest twoja magia, tym większe musisz podejmować wyzwania. Jeżeli się na to nie zdobędziesz, twoje zdolności skurczą się prędko i będziesz mógł zadowolić swą sztuką tylko prostaków na ba-

zarze. A teraz już nie marudź i podaj mi chustę. Chcę na Anielicy zrobić wrażenie. Nie, nie tę. Ta należy do mojej dzisiejszej oblubienicy, musiała ją zostawić przez przypadek. Moja wisi tam, tak, ta z gadwabbiu, wyszywana w małe czajmałapy i stułatewki.

Wielki Go podał Karcenowi ciężką od złotych haftów chustę i westchnął ciężko.

— Mistrzu Karcenie, czy mam poczynić jakieś szczególne przygotowania na wypadek. . . gdyby twoje plany się nie powiodły?

— Na wypadek, gdyby się nie powiodły. . . — skrzywił się Karcen. — Nic tak nie podsycy mej odwagi, jak słabość moich uczniów. Co wy byście beze mnie zrobili?! Przygotujcie wielką salę biesiadną i czekajcie. Jeżeli nie wrócę, jak przypuszczasz, mój ty Wielki Go, możesz wraz z resztą konwentu zacząć żebrać o litość u dowolnie wybranego boga w dowolnej świątyni. Na mnie już wtedy nie będziecie mogli liczyć. Jeśli tak się stanie, będzie to ciekawy okres w waszym życiu, szkoda tylko, że taki krótki.

Wielki Go nerwowo przebierał palcami i pocił się obficie. Podał Karcenowi grzebień i spinkę do włosów z zielonego złota.

— No, jak wyglądam? — Karcen zaśmiał się gardłowo. Wypiął brzuch, poprawił przewiazaną na biodrach chustę i sięgnął po fajkę.

— Można powiedzieć, patrząc na ten strój, że na osobę bardzo pewną siebie — nieśmiało powiedział Go.

— No i o to chodzi! — huknął radośnie Karcen.

— Można by przypuszczać, że na spotkanie z Anielicą Śmierci założysz jedną ze swoich uroczystych szat i ukryjesz w niej jakąś tajemną broń magiczną...

— Ale to mogłoby wskazywać na mą słabość... — wszedł mu w słowo Karcen. — Zatem rozumiesz już, dlaczego ubrałem się jak na spotkanie, no, powiedzmy, z osobistą masażystką?

— I pozbawiłeś się jakiegokolwiek broni... — wtrącił drżącym głosem Wielki Go.

— A kto ci tak powiedział? — mruknął Karcen, zakreślił się i zniknął wśród dźwięków srebrnych dzwoneczków.

\* \* \*

W kulistym salonie i pokoju kąpielowym Anielicy Śmierci panowała cisza i tylko od czasu do czasu mącił ją pomruk nawiewającego od korytarzy chłodu. Wymyślne, bluszczopodobne oświetlenie było wygaszone, a blada poświata księżycy wydobywała z ciemności potłuczone kryształły i naczynia rozrzucone po podłodze salonu. Z rozbitego blatu smokolitowego stolika kapało wino, tworząc na kryształowej posadzce całkiem gustowne esy-floresy. W przedpokoju, zwalone na bez-

ładną stertę, leżały strzępy ciał astralnych. Jedyne ciało dowódcy, Mgłatuluja, było na tyle kompletne, by pojąć beznadziejność sytuacji, w której się znalazło.

W kryształowym basenie leżała Anielica Śmierci. Gładka powierzchnia krwistoczerwonej wody odbijała ostrze sztyletu, położonego na brzegu wanny. Nieruchome oczy Anielicy wpatrywały się w zawieszony obraz prottonicznego wszechlustra, przedstawiający leżącego Sendilkelma i siedzących przy nim Ala Chegera z Bisenną. Czas mijał i na powierzchni wystudzonej wody zbił się gęsty, brązowy kożuch.

Nagle nieruchome od kilku obrotów ciało Anielicy poruszyło się. Wyciągnęła z wody ręce i spojrzała niechętnie na porznięte nadgarstki. Leżała już wystarczająco długo, by nabrać pewności, że im więcej zada sobie ran, tym więcej krwi z nich wypłynie, a poza tym nic się nie zmieni.

— Dobrze chociaż, że nie przelało się na podłogę — mruknęła i usiadła, stękając. — I na co ja biedna liczyłam? A może to lepiej, że nie mogę umrzeć, przynajmniej nie grozi mi wieczne przebywanie w zagrodzie któregoś z tych głupich tchórzy, uważających się za bogów.

Stała przed lustrem i odgarnęła z czoła sklezione włosy. Przeciągnęła dłonią po piersiach, zostawiając na krwawym szlamie ślady palców.

— Ha! Tak powinnam się pokazywać ludziom! Może również bogowie byliby mniej bezczelni i traktowali mnie z należyтым szacunkiem.

Usiadła przed lustrem i, rozczesując paznokciami włosy, zastanowiła się nad swoim położeniem. Zanim nadbogowie pobili się w jej domu, zmieniając salon w pole po bitwie, połowę swej złości wyładowali na niej.

— A czemu ja jestem winna? — mruknęła. — Co mi do tego, że jacyś nieśmiertelni mieszają ludzikom w głowach, czy to ja wymyślam te wszystkie religie?

Podparła brodę pięściami i posłała swemu odbiciu groźne spojrzenie. Kłęby ponurych myśli wypełniły jej umysł. Tak, była wściekła. „Nic dziwnego, że niektóre ludziki nie mają zamiaru służyć swoim bogom” — myślała — „skoro nawet nadbogowie to ochłapy i tchórze. I jeszcze ten przedwieczny kamienny stwór, który przypalał się do Sendilkelma! O nie, to już zupełnie nie zależy ode mnie. Sami nadbogowie przyznali, że nie wiedzą, z jakiej przestrzeni pochodzi. Ale teraz oczywiście to ja mam wszystko naprawić. To ja muszę zabić Sendilkelma, ja muszę wygnać wroga światów i ja muszę załatwić sprawę gadającego kamienia! A oni jedynie oczekują pozytywnych rezultatów mych działań!”.

— Bezczelni! — fuknęła. — I co ja mam zrobić? Wyzwać na pojedynek tę zielonowłosą idiotkę, zakochaną w marnym ludziku? — wzruszyła ramionami. — Znowu rozerwie mnie na strzępy i będę musiała leczyć ból głowy. To na nic... — westchnęła i klasnęła w dłoń. Ściana komnaty rozsunęła

się, wpuszczając do basenu wodospad. Stała pod nim i z błogą miną uniosła twarz wprost pod strumień.

— Trochę za zimny — parsknęła i wyskoczyła na brzeg basenu. W tym samym momencie poczuła, że ktoś chce dostać się do jej pałacu, więc plaskając mokrymi stopami o posadzkę, wybiegła do salonu.

\* \* \*

Karcen z trudem kontrolował strumienie swej świadomości, by nie rozprasały się i płynęły w pożądanym kierunku. Postanowił, że przepłynie do dna Oceanu Bezcielesności i dopiero tam uformuje swe astralne ciało.

Był zbyt podniecony nowym wyzwaniem, by się bać. Nie przejmował się nawet tym, że nie ma pojęcia, gdzie szukać siedziby Anielicy Śmierci. Przypomniało mu się ostrzeżenie dla śmiałków przemierzających Ocean Bezcielesności, które kiedyś zapisał na kamiennych dyskach jego ojciec, Wielki Karransenty.

— Strzeż się zbyt głębokich nurkowań. Nie szukaj dna. Gdybyś tam dotarł, wszystkie rzeczy zamieniłyby się na swoje odwrotności. Świadomość zamieniłaby się na przeciwświadomość, czas na przeciwczas, przestrzeń na przeciwpstrzeń. Ty zaś znalazłbyś się w domu Śmierci — deklamował



półgłosem Karcen. — No cóż, sprawdzę, czy miałeś rację, tato. Chyba jednak popełniałeś jakieś błędy w swej sztuce, skoro zginąłeś. Ja, twój syn, największe tve czary opanowałem jako gołowąs. Teraz mam brodę do pasa i niech drżą przed mą potęgą te przestrzenie, które jeszcze o mnie nie słyszały! . . .

Błękitne dno Oceanu było pofałdowane i pocięte gigantycznymi wąwozami. Gdy Karcen wbił w nie węzeł strumieni swej świadomości, okazało się miękkie i rzadkie jak chmury.

Po drugiej stronie dna Ocean mienił się tęczowo. Ciepłe prądy wznoszące porwały w górę zwinętą w kłębek świadomość maga. Otoczyły go przyjemne ciepło i dźwięczące dzwonkami wibracje. Migotliwa powierzchnia wody przybliżyła się szybko. Karcen ścisnął swój umysł i wydobył z niego zawiły czar materializujący. Chwilę później ciało astralne maga wypłynęło pośrodku spienionego wiru kolorowych baniek powietrza.

Parsknął głośno i wypluł wodę. Tafla Oceanu była spokojna jak talerz zupy, na którą nikt nie ma ochoty. Obok płynęło szeregiem stadko kaczek krzyżówek. Jedna z nich odbiła, nieco zawróciła i, przekraczając łebek, ciekawie zerknęła na Karcena.

— Zjadłem już tysiące kaczek i jeżeli chcesz, mogę sprawdzić, czy moje astralne ciało równie dobrze strawi astralne ciało kaczki — mag zamachnął się na nią dla postrachu.

Kaczka zasyczała, rozpędziła się i dziobnęła go w ucho.

— Co jest?! — wrzasnął Karcen i zachłysnął się wodą.

Zaciekawione kaczkę ruszyły ku nim, kwacząc doniośle, a gdy tylko zrównały się z koleżanką, umilkły i, wyciągając groźnie dzioby, otoczyły Karcena.

— Zaraz!. . . — jęknął mag, usilnie poszukując w pamięci zaklęć na ptaki. — O co wam chodzi?!  
Macie teraz ruję czy co?!

Z kręgu wysunęła się ku niemu szarozłota samiczka i zasyczała:

— Kaaaczko. . . kaczkóżercaa. . . ssspływaj ssstąd!

— Ale, zaraz. . . ja. . . Czy wy wiecie, gdzie my w ogóle jesteśmy?

— Wiemy, w kaczym niebie, gdzie mieszka wiele kaczek, które nie powinny były trafić tu tak wcześnie, ale trafiły i ty najlepiej wiesz, dlaczego!

— A co za różnica? — uśmiechnął się przymilnie Karcen. — Nie ja, to ktoś inny by je zjadł.  
Zresztą, jak widać, nie macie tu wcale tak źle. Mnóstwo wody i w ogóle. . .

Nie dokończył. Spadł na niego huragan skrzydeł, dziobów i pletwiastych łap.

Ocknął się dopiero, gdy Ocean wyrzucił go na brzeg, i z niezadowoleniem stwierdził, że astralne ciało również może być obolałe i pokaleczone.

— Dobrze, że jestem taki gruby — mruknął do siebie i usiadł — inaczej poszedłbym z powrotem na dno. Jak ja nienawidzę ptaków. Jeżeli tylko uda mi się jakoś wrócić, to na każdy obiad będą mi podawać piętnaście kaczek, ale tylko po to, bym mógł pożreć ich serca.

Wstał, poprawił chustę wokół bioder, a odwróciwszy się, aż rozdziawił usta ze zdziwienia na widok dziwnego, wznoszącego się w powietrzu pałacu. Przysięgnąłby, że jeszcze przed chwilą nie było go tutaj. Milczący i ponury, świdrował go spojrzeniem niezliczonych okien. Strzeliste wieżyczki i kryształowe przybudówki otaczały wieńcem olbrzymią kamienną kulę, której dwa okna świeciły bladym niebieskim światłem. W jednym z nich Karcen zauważył gwałtowny ruch. Coś skrzypnęło i w dół opadł cienki, przezroczysty most zwodzony, na którym stała znana mu od dawna postać.

Oboje milczeli, zaskoczeni tym spotkaniem. Pierwszy ocknął się Karcen. Zrobiwszy dwa kroki w tył, uklonił się dwornie, dotykając brzuchem piasku. Anielica uśmiechnęła się skromnie i uniosła dłoń w geście powitania.

\* \* \*

Siedzieli w kulistym salonie, trzymając w dłoniach kielichy, do których Anielica nalała portowej wódki z Atrim.

— Wiesz, czemu nie rozerwałam cię jeszcze na strzępy, magu? — zapytała.

— Oczywiście. Dlatego, że jesteś, nie dość, że piękna, to jeszcze wybitnie inteligentna i uczuciowa. Nieskończone głębie twego umysłu i niepojęte dla śmiertelników możliwości filozoficzne oraz szlachetna ciekawość i wysoki poziom dowcipu nie pozwolą ci zabić nic nie znaczącego grubasa, zanim nie poznasz powodów, dla których tu przyszedł. Zgadłem?

— Mniej więcej — mruknęła i ułożyła się na stosie poduszek, uwypuklając kilka fascynujących krzywizn swego ciała. — Zapomniałeś tylko wspomnieć o mojej mitycznej już urodzie i możliwościach dawania niepojętych rozkoszy.

— Jako mag o nieskomplikowanym intelekcie, nie ośmieliłbym się opisywać doskonałości i absolutu piękna. . .

— Dosyć! — przerwała mu głośno. — Miałam dzisiaj ciężki ranek, więc do rzeczy! Jesteś tu w skończonej formie ciała astralnego i tylko ode mnie zależy, czy powrócisz na ziemię!

— Zdaję sobie sprawę z faktu, że moje życie leży w twoich pięknych dłoniach, o pani, jak zresztą życie wszystkich ludzi — Karcen skłonił się do podłogi, o mało nie spadając z sofy.

— No właśnie. Pamiętaj również, że mogę cię odesłać do szczególnie nieprzyjemnych niebios. Na przykład taki półgłówek, bóg Kuun, szczególne upodobanie znajduje w układaniu swych wyznawców w stosy, oczywiście po obcięciu wszystkich wystających, z wyjątkiem głowy, części ich

astralnych ciał. Chciałbyś tak spędzić wieczność, oczekując, aż nadbóg Kuuna zlituje się i weźmie cię do swego jeszcze okrutniejszego nadniebiosa?

— Bardzo pięknie, moja pani — Karcen łyknął z kielicha, skrzywił się i zniżył głos — a teraz posłuchaj, co mam do powiedzenia o tobie. Jesteś silna i wieczna, gdyż bogowie cię potrzebują. Kim będziesz, jeżeli okażesz się zbędna?

— Eeechecheche... eeechecheche... — rozrechotała się Anielica. — Magiczku Karceniczku, pomarzyć dobra rzecz. Bogowie być może nie szanują wystarczająco mojej kobiecości, ale zabiegają i zawsze będą zabiegać o moje śmiertelne usługi.

— Nie będą, jeżeli rozplyną się w niebycie.

— Jak to? Aaaa, myślisz pewnie, że ci nieśmiertelni, jak im tam... wrogowie światów, przekonają ludzików, żeby nie wierzyli w bogów? Nigdy! Ludziki zawsze będą wierzyć! Oni zawsze szukają potęgi, przy której czują się niczym. Uwielbiają wierzyć, że ktoś potężniejszy decyduje o ich losie. Tak są skonstruowani, che, che... .

— Nie o tym myślę. Sam wiem, że nieśmiertelni, o których mówisz, nie przekonają ludzików, by do nich przystali. Mam swoją teorię na temat tych, niech ci będzie, wrogów światów. Otóż uważam, że są to magowie, którzy po śmierci świadomie uciekli przed tobą, o pani, w inne, nie znane mi przestrzenie. Zapewne też nadal zajmują się magią... Szczyścieciarze.

— Być może tak właśnie jest — Anielica machnęła lekceważąco ręką i naląła sobie kolejny kielich. — Kogo może obchodzić kilku szaleńców? Niech tam sobie fruważą. . . To mnie ludziki błagają i zawsze będą błagać o wskazanie drogi w zaświaty. Zatem twierdzisz, że coś innego grozi bogom? Jeżeli nie są to nieśmiertelni, to co? Atak kaszlu? Daję ci tyle czasu na wytłumaczenie, ile zajmie mi wysączenie tego kielicha. . . Potem spotkasz się z Kuunem.

— Zbyt wielka jest twa łaska, piękna pani, wypowiem te dwa słowa, zanim wzniesiesz kielich do ust.

Anielica wyczekująco uniosła wysoko brwi.

— Nowi bogowie — wycodził przez zęby Karcen i wychylił jednym łykiem swój puchar.

— Znaczy, co, że jak, powiadasz. . . nowi? Nadbogowie wymienią starych, czy jak?! . . . A skąd ty, nikczemniku, mógłbyś to wiedzieć?!

— Nie, kobieto, nie nadbogowie! — wrzasnął Karcen, a był to wrzask czysto taktyczny, poparty doświadczeniem w możliwościach wykorzystywania zaskoczenia oponenta, zwłaszcza tak pewnego siebie. — Po prostu nadchodzą nowi bogowie! Twoi bogowie i ich władcy niedługo przestaną istnieć! Zwiną swoje kramiki i odejdą w niebyt! Nikt już nie będzie w nich wierzył, skoro pojawią się nowi bogowie. Potężniejsi bogowie! Straszniejsi bogowie! I w dodatku — żywi! Gdy wzniosą swoje świątynie, żaden ludzik się nie sprzeciwi, widząc ich potęgę!

— A niby skąd się wezmą ci nowi bożkowie, tragimagiku?! — prychnęła Anielica i wstała zamasyżycie. Poprawiła włosy i skierowała się ku wyjściu.

— Jak to, skąd?! Z zewnątrz! Z gwiazd! — krzyknął Karcen.

Znieruchomiała w pół kroku. Powoli odwróciła się i usiadła obok maga. Przez kilka uderzeń astralnego serca Karcena siedzieli bez słowa.

— Widzę, że zaczynasz rozumieć, moja piękna — mruknął w końcu Karcen. — Nalej mi jeszcze tego paskudnego trunku, to może wyjaśnię ci, skąd przyszło mi to do głowy.

Anielica powoli napełniła jego puchar, a sama napiła się prosto z flaszki.

— Ty ciągle przesiadujesz przed tym swoim lusterkiem, bogowie pochłonięci są wzajemną nawiścią i rywalizacją o względy nadbogów, zaś my, magowie, pilnie obserwujemy rzeczywistość. Na niebie nad Atrim pojawiła się metalowa ryba. Lata tak wysoko, że z ziemi wydaje się być jedynie małą gwiazdą, jednak przybliżające rzeczy specjalne mekchanismos ujawniło jej właściwe kształt i rozmiar. Jest wielka i na pewno nie powstała na naszej planecie. Jak myślisz, co się stanie, jeżeli na niej wyląduje?

— Może wcale nie wyląduje, tylko gdzieś sobie polecą — drżenie głosu Anielicy zdradzało jej niepewność. — Wiele jest spraw między gwiazdami, o których niewiele wiemy. Taki na przykład gadający kamień, który połknął twój przyjaciel Sendilkem. . .

— Sendil? — przerwał jej Karcen.

— Tak, maguńku. W niebo to umiesz patrzeć, ale swego wysłannika dopilnować nie potrafisz. A poza tym, nie przyszło ci do głowy, że to nie nowi bogowie, lecz nasi staruszkowie zabawiają się w tworzenie nowych istot, choćby i latających stalowych ryb?

Karcen stłumił w sobie chęć wypytania o Sendilkelma. Odchrząknął i poprawił się na sofie.

— Słuchasz im od niepamiętnych czasów, moja pani, i nie zauważyłaś, że nie mogą tworzyć nowych rzeczy ani istot? Gdy pojawili się nad tym światem, by tchnąć w niego życie, mieli moc daną im przez nadbogów. Gdy już stworzyli ludzi i podzielili ich między siebie, ta moc wygasła. A teraz tylko pracują w niebiosach dla swych nadpanów. Nawet zwykłe objawienia lub powołania nowych świętych spośród ludzi zdarzają się im niezmiernie rzadko. Żaden ze znanych nam bogów nie mógł stworzyć tego czegoś, co zawisło nad Atrim, bowiem o rozmiarach mocy naszych, jak mówisz, staruszków, decyduje jedynie siła wiary ich wyznawców, nic więcej. Jeżeli tracą wierzących, stana się bezradni jak dzieci w lesie, a nadbogowie przystąpią do zemsty za złe kierowanie losami tego świata.

— Co zatem proponujesz, magu? Skoro to coś przybyło z polecenia nieznanym nam bogów i zapewne potężniejszych, to... — Anielica rozłożyła ręce.

— No właśnie. Musimy liczyć na cud.



— No wiesz? — zachnęła się. — Przecież w cuda wierzą tylko proste ludziki, a nie tak mądrzy magowie, jak ty — parsknęła udawanym śmiechem.

— Nie o takim cudzie mówię! Żadne tam ruchome posągi czy też mówiące freski. Otóż musisz przekonać bogów, po pierwsze, że coś im zagraża, po drugie, że muszą działać wspólnie, po trzecie, że w zamian za pomoc w walce z przybyszami, konwent magów otrzyma od nich coś rzeczywiście godnego tak wielkiego poświęcenia.

— Łatwiej będzie z miejsca poddać się nowym bogom — zachichotała nerwowo Anielica. — Ci idioci nigdy nie działali wspólnie, poza tym mają nad sobą trzech nienawidzących się wzajemnie nadbogów.

— I co z tego? Przecież wszyscy mają ciebie, niewątpliwie najinteligentniejszą i najpiękniejszą istotę, jaka kiedykolwiek żyła.

— Żyła, powiadasz?... — uśmiechnęła się Anielica.

— Niech ci będzie, nie żyła. . . Pomyśl tylko o rozmiarach swej potęgi, gdy Kuun, Kilikin, Mnog i Oz, Mejruti, Dofogo, Mitil, Kikoro i cała reszta rozumieją, że mają szansę na dalsze istnienie tylko dzięki tobie. Musisz odwiedzić każdego z osobna i zaprosić ich na wielki zjazd w siedzibie konwentu w Atrim.

Anielica siedziała nieruchomo. Jej oczy rozbłysły błękitną poświatą, a drapieźny uśmiech powoli odsłonił wypolerowane jak szlachetne kamienie zęby.

— Kiedy? — zapytała cicho.

— Jutro, powiedzmy, o zachodzie słońca — odparł szybko Karcen i odsunął się nieco od nabierającej mocy poświaty Anielicy.

— Zatem mamy mnóstwo czasu... — mruknęła cicho i przeciągnęła się aż trzasnęły jej wszystkie stawy.

— Eee... no... eee... rozumiesz, piękna pani, muszę teraz wracać, by poczynić... eee... poczynić...

— Poczynić przygotowania — szepnęła mu do ucha Anielica i położyła dłonie na jego pierśsiach. — Oczywiście, magusiuńku, ale najpierw omówimy wszelkie szczegóły...

\* \* \*

Wielki mistrz magii, Karcen, od paru obrotów zwany również Karcusiem, człapał powoli w dół zwodzonego mostu, przerzuciwszy niedbale przez ramię wyszywaną chustę z gadwabbii. Zeskoczył na piasek, spojrzął raz jeszcze na zamek Anielicy i powoli wszedł do Oceanu. Gdy już zanurzył się po pachy, usłyszał za sobą bojowe pokwakiwania.

— No jak? Zobaczymy, kto głębiej zanurkuje?

Odpowiedziały mu gniewne posykiwania i kłapanie dziobami.

\* \* \*

To był ciężki dzień dla Wielkiego Go. Karcen nie wracał, Mekch zaszył się w jakiejś spelunie, a król Rarattrin zażądał szczegółowego raportu na piśmie z najnowszych obserwacji zjawisk astro-nomicznych. Mag miotał się więc pomiędzy swoją pracownią a basenem Karcena, nie mogąc się na niczym skupić.

Właśnie biegł sprawdzić, czy przypadkiem mistrz się nie zmateriałizował, gdy zderzył się na schodach z grupą magów uzbrojonych w zapisane deseczki i kawałki pergaminu.

— Co znowu?! Z drogi, mistrzowie, z drogi!!! — krzyknął i wcisnął się w tłum grubasów.

Nie ustępowali, niektórzy nawet próbowali zrobić groźne miny. Używanie magii wobec kolegów po fachu uważano za prostactwo, więc Wielki Go powściągnął gniew, podparł się pod boki i czekał.

— Czego chcecie, mistrzowie? Nie wiecie, co robić? Mistrz zostawił wyraźne polecenia.

— No właśnie. Chcemy rozmawiać z wielkim Karcenem! — krzyknął Pulnofog, zwany też Garbusem, i wystąpił przed grupę.

— Po co, do ciężkiej choroby?! Ja muszę wam wystarczyć, mistrzowie. Jestem jednak bardziej niż bardzo zajęty i chciałbym, by i wam to się udzieliło. Mieliście, o ile pamiętam, przygotować salę bankietową i czekać — Wielki Go starał się mówić spokojnie, a ponieważ nie bardzo mu się to udawało, w powietrzu zawisły małe chmurki czarnego dymu.

— A bo właśnie... my, mistrzowie magii niższych inicjacji, chcieliśmy zaprotestować... — zaczął Pulnofog, a reszta magów aprobująco zamruczała.

— Nie ma sprawy, protestujcie sobie, ile wlezie. A teraz przepuśćcie mnie, nie mam czasu — warknął Wielki Go.

— Ale... bo... nie będziemy sprzątać, gotować i w ogóle! — krzyknął Pulnofog, a reszta zamruczała jeszcze głośniej. — Wy tam sobie z Karcenem uprawiacie wielką magię, z królem obradujecie, znikacie, kiedy chcecie, a my odwalamy czarną robotę. Jak trzeba codzienne czary dla króla czy kogoś tam z dworu czynić, to jesteśmy dobrzy, a gdy coś ważnego się dzieje, to mamy za kuchty robić?! My też jesteśmy magami i chcemy dostawać zadania godne naszej sztuki!

— I właśnie dostaliście! — syknął Wielki Go. — To będzie najważniejszy bankiet w historii świata! Wszystko na nim musi być magiczne. Dlatego potrzebuję waszej pomocy. Jeżeli to was nie satysfakcjonuje, możecie po wszystkim pozmywać naczynia. A teraz sio, bo pozamieniam was w sprężyny od kusz korbowych.

— My się ciebie nie boimy! — krzyknął ktoś z tyłu. — Możemy się odczarować!

Wielki Go powstrzymał się od odpowiedzi. Stał nieruchomo i patrzył. Czarne chmurki wokół jego głowy zgęstniały i przybrały niepokojące kształty. W niektórych pojawiły się nawet błyszczące ślepie.

— Tu mamy, na piśmie, nasze postulaty! — Pulnofog zamachał kawałkiem zabazgrołonego pergaminu. — Po pierwsze, żądamy tańszych inicjacji, po drugie, udziału w zyskach z czarów czynionych przez wszystkich członków konwentu, po trzecie, codziennej edukacji magicznej, otrzymywanej od ciebie i Karcena w formie przystępnych wykładów z ćwiczeniami do samodzielnego i bezpiecznego czarowania, po czwarte. . .

W tym miejscu głos Pulnofoga zniekształcił się, spowolnił, aż przeszedł w metaliczne brzęczenie pokrywki od garnka. Wielki Go westchnął, otrzepał dłonie, rozpędził demoniczne chmurki i rozejrzał się. Tam, gdzie jeszcze przed chwilą stali magowie, teraz stały błyszczące garnki i rondle. Niektóre podrygiwały i pobrzękiwały lekko.

— Zapamiętajcie sobie, moi uczniowie, że zawsze istnieje jakiś czar, którego was jeszcze nie nauczyłem. Dlatego też to ja jestem waszym mistrzem — i, postępując, powkładał garnki do największego kotła z klapą na zawiasach. — Ciekawe, który to został tym kotłem — mruknął — pewnie Doriszontil — i kopnął kocioł tak, że wszystkie garnki i rondle wydały kakofonię metalicznych

dźwięków. — Doriszontil, jeżeli to ty, to trzymaj klapę zamkniętą, żeby koledzy z ciebie nie powypadali! Jedziemy do kuchni! — położył kocioł na boku i kopniakiem zrzucił w dół schodów.

Dwanaście kondygnacji niżej, w kuchni, otoczył go wieniec ciekawskich kucharek i służących. Kuchmistrz zginał się w ukłonach i podziękowaniach za wizytę.

— Słuchajcie, czcigodni pracownicy królewskiej kuchni, ty, mistrzu Lojasopassie, oraz pozostali twórcy znamienitych zapachów i smaków. . . — rozpoczął przemowę Wielki Go.

Wszyscy w absolutnej ciszy wpatrywali się w oblicze drugiego w Atrim maga, nie mogąc uwierzyć swemu szczęściu, że przemawia do nich osobiście, w podziemiu ich kuchni.

— Macie dziś zadanie szczególnej wagi. Do wieczora musicie przygotować ucztę godną królów, bogów i magów — kontynuował Wielki Go — ucztę godną zwłaszcza dwóch największych magów, gdyż, jak wiadomo, reszta nie jest tak istotna.

Mistrz kuchni, Lojasopass, zrozumiał, że nadeszła pora życiowej próby, reszta nic nie zrozumiała, może tylko to, że przemawia do nich wielki mag.

— Ale mistrzu Wielki Go. . . — drżącym głosem odezwał się Lojasopass — dochodzi południe, zatem, z całym uniżonym szacunkiem, jak mamy dokonać takiej rzeczy do wieczora? Uczta prześwietna wymaga dni, ba, nawet wielu dni przygotowań. . .

— Czy uważasz mnie za głupca? — przerwał mu sucho Wielki Go.

— Ależ mistrzu. . . — zakwilił Lojasopass i zastygł w pokłonie do podłogi.

— Nie martw się, Lojasopassie. Wielce sobie cenię twoją sztukę, a że znawcą jestem również tego rzemiosła, wiem, że potrzebujesz mojej pomocy. Oto i mój dar. Komplet magicznych garnków i rondli. Pomogą ci przygotować wyszukane potrawy w czasie dziesięciokrotnie krótszym niż zazwyczaj. Muszę ci się jednak przyznać, że wykonałem je w wielkim pośpiechu, więc jeżeli któryś gar będzie przypalał potrawy lub coś w tym rodzaju, możesz go odnieść do świniarni albo, jeszcze lepiej, do latryny. Pozostałe odbiorę sto dni po uczcie.

— Dzięki ci, mistrzu magii — wybełkotał całkiem już ogłupiały Lojasopass.

— My, mistrzowie magii, robimy co w naszej mocy, by pomóc prostym ludziom — Wielki Go rozwarł usta w szerokim uśmiechu i zwrócił się do młodej, pięknej kuchareczki, stojącej za Lojasopassem — mam jeszcze małą prośbę, czy mogłabyś, miła ozdobu tej szlachetnej kuchni, za dwa obroty przynieść obiad do mej pracowni?

— Czy mogę jej pomóc w tym noszeniu? — zaszczębiotała druga ślicznotka, podpierająca drzwi do spiżarni. — Jestem mistrzynią sosów. . .

— Ależ oczywiście. . . No cóż, zatem powodzenia i do zobaczenia — zakończył wyniośle Wielki Go, obrócił się na pięcie, ukradkiem kopnął kocioł i odszedł.

# 13

## Timaje

*Wejrzyjcie w najskrytsze marzenia ludzi,  
a poznacie ich bogów.*

*Przypatrzcie się ludzkiej mądrości,  
a poznacie boski dowcip.*

*Spójrzcie na magów,  
a nic nie zrozumiecie.*

(przysłowie z Atrim)



Bogowie Bisenny najwyraźniej nadal nie mieli zamiaru pokazać swych boskich oblicz, chociaż Fraternijczyk modlił się nieprzerwanie od dwóch obrotów. Noc i Dzień mieli zapewne inne plany niż oświecanie umysłu zagubionego w Timajach wyznawcy.

Bisenna po raz sześćdziesiąty drugi odśpiewał półgłosem Srebrno-złotą Modlitwę Nadziei i podniósł się z kolan. Mgliste niebo rozdarł pisk polującego sokoła. Wojownik uniósł głowę i wypatrzył w mglistych przestworzach szybujący czarny kształt.

— Dziwne — mruknał — wygląda zupełnie jak sokół wędrowny, a nie górski, a wędrowne nie zapuszczają się przecież tak wysoko. . . — wzruszył ramionami i osunął się na skałę. Czuł mrowienie na całym ciele i potworną miękkość w stawach. Wiedział, że tylko swym boskim opiekunom zawdzięcza pozostanie przy życiu. Biada bowiem wojownikowi, który szary proch wojny zażywa, bez błogosławieństwa Noca i Dnia.

Pomacał się po skleionej krwią grzywie, odszukał palcami dwa sfilcowane warkocze z obciętymi końcami i wykrzywił twarz w uśmiechu. Podpierając się mieczem, wstał powoli i chwiejnym krokiem podszedł do nieprzytomnego Ala.

— Wszystko przez te przekłete fasolowe ludziki. . . — mruknał, masując okolice serca maga. — Zemścili się, ale czy to moja wina, że jacyś bogowie umieścili ich w mojej misce? Na niebie latają

sobie oszczepy bogów, a nas atakują czarne ludy... prosto z mgły... prosto znikąd... Sendilkelm pewnie nie żyje... A niech to, zaiste, wielką próbą stało się moje życie.

— Cccooo?... — zacharczał Cheger. — Wykopali cię z zaświatów?

— Nic z tych rzeczy, magu. To tobie nie udało się mnie tam posłać. Nie słyszałeś nigdy o szarym prochu wojny? Głupotą wielką jest zakopywać wojownika tylko dlatego, że jego duch odpoczywa po walce...

— Myślałem, że postanowiłeś odpocząć już na zawsze — mruknął Al, odchrząknął i podniósł się na łokciach. — Jak widzę, ludzkie szczury też już wiedzą, żeś tylko, no... odpoczywał. Zaskoczyłeś je w czasie modłów? No, no, staremu pięknie odciąłeś główkę...

— To nie ja — odparł Bisenna i ciężko usiadł na skale. — Zabiłem tylko te dwa. Trzeci uciekł.

— Zaraz, zaraz, coś musimy sobie wyjaśnić. Skoro ja leżałem tu, a ty...

— Dobra, magu, później sobie wszystko wyjaśnimy. Gdzie Sendilkelm?

Kamienna Łza robił wszystko, by Sendilkelm budził się łagodnie, a ból docierał do jego świadomości stopniowo, w minimalnych dawkach. Delikatnie formował wąskie strumienie jego myśli, w końcu pozwolił, by rycerz powoli podniósł powiekę i zobaczył pochylonych nad nim Bisennę i Ala Chegera.

— Al... Al... — szepnął — co z nogą?

— A przylepiona, przylepiona z powrotem.

— Al... czy my... żyjemy?

— Tak, panie — wtrącił się Bisenna. — Nie mogliśmy przecież trafić do tych samych niebios. Ja, taki pobożny i wy, dzikusy z Atrim. Zatem, z pewnością żyjemy.

— To dobrze — sapnął Sendilkelm. — Muszę wam coś powiedzieć.

— I ja tak myślę, zdecydowanie należy nam się jakieś wyjaśnienie — mruknął Bisenna.

\* \* \*

Bisenna przeszukiwał pobożowisko. Padlinożercy na jego widok z piskiem pochowali się w krzakach i teraz, gdy zbierał ludzkie szczątki, z nienawiścią wodzili za nim świecącymi oczkami. Ułożył resztki czarnych wojowników w stos. Początkowo próbował dopasowywać do siebie podcinane fragmenty, by, jak każe fraterski obyczaj, pochować każdego wroga w osobnej mogile, ostatecznie jednak postanowił ich spalić i pogrzebać w jednym grobie. Takie rozwiązanie rodzima tradycja dopuszczała w wyjątkowych sytuacjach, a Bisenna po głębszym zastanowieniu uznał, że sytuacja, w której się znalazł, jest wystarczająco wyjątkowa. Z czystym sumieniem dorzucił więc do stosu ostatnie dwa krwawe strzępy i mruknął:

— No, magu, zobaczymy, czy twój zielony ogień da sobie z nimi radę.

Potem przystąpił do przeglądania nosideł. Wszystko było mokre i cuchnące krwią, ale nie brakowało niczego. Chwycił szmatę i jął czyścić broń. Długie miecze i zębate sztylety wydały mu się nagle żalosne i śmieszne w porównaniu ze stalową rękawicą, która dyndała mu u pasa. Gdy tylko na nią spojrział, poczuł, że serce wypełnia mu duma i radość, więc nadal na nią patrzył, by rozkoszne to szczęście trwało jak najdłużej.

Z letargu wyrwał go stukot kamieni i jakieś słowa zniekształcone przez wiatr. Rzucił na ziemię nosidło, jednym skokiem dopadł do broni i chwycił pierwsze z brzegu dwa miecze. Węszył głośno i nasłuchiwał, lecz teraz słyszał jedynie własne kołaczące serce. Nagle coś mignęło między skałami. Zmrużył oczy i sprężył się do ataku.

— Pokaż się albo dorzucę cię do tego ścierwa za mną! — krzyknął, wpatrzony w skalne rumowisko.

Znowu coś mignęło, po czym brzęknęło i ujrzał, jak w jego kierunku toczy się błyszczący kamyk. Być może Bisenny nie wmurowałoby tak bardzo, gdyby kamyk turlał się w dół, ale on przytoczył się na wzniesienie.

— Magu! — wrzasnął po chwili. — Nie przestraszysz mnie żadnymi kulkami! Pokaż się, a kamyczki schowaj, przydadzą ci się do straszenia kobiet! — w tym momencie kamyk dotarł do jego buta i Bisenna z sykiem skoczył w tył, gdyż kulka okazała się być szklistym, przenikliwie przypa-

trującym mu się okiem. Splunął krwią przez zęby, jeden miecz wymierzył w magiczny stwór, drugi przed siebie i zaczął nerwowo penetrować wzrokiem okoliczne skały.

— Bi... Bisenna, to ty? — usłyszał cienki głos.

— Bisenna Karsago Tilsenna, to ja. Stań do walki, jak przystoi wojownikom szlachetnym i nie zmuszaj mnie, bym cię szukał między skałami!

Spod płaskiego nawisu skalnego wypełznął fragment cienia i powoli przybrał kształt drobnego wojownika z długimi włosami. Po chwili wyłonił się on sam. Odgarnął włosy z czoła i ruszył niezdarnie po rumowisku w kierunku gotowego do skoku Fratarnijczyka.

— Bisenna, na bogów, co się stało? Gdzie reszta?

— Sprytnie, magu! Przybrałeś postać znanej mi kobiety. Zdradzę ci jednak, że zabiłem już w życiu wiele kobiet, nawet ładnych...

— Bisenno, to ja, Agni! Do demonów czarnych, opamiętaj się, to ja, przecież pamiętasz mnie! Widziałeś mnie w Atrim!

— Jeżeli ty to ty, to co to za oko? — mruknął ponuro wojownik i podniósł miecz na wysokość twarzy dziewczyny.

— To nie moje, do ciężkich chorób, człowieku, opamiętaj się! To zabawka Ala Chegera i to ona mnie tu przyprowadziła! — wrzasnęła Agni i odepchnęła dłonią grożące jej ostrze.

Bisenna nie mógł już nic powiedzieć, czarne i czerwone cienie pojawiły mu się przed oczami, miał wrażenie, że zapada się w miękkie błoto i, aby nie upaść, podparł się na mieczu.

— I ty chciałeś walczyć z jakimś magiem, biedaku. . . Co tu się stało? — drżącym głosem zapytała Agni.

Kryształowe oko pokręciło się dookoła nich, podskoczyło kilka razy i pomknęło w górę stoku.

\* \* \*

Agni skończyła swoją opowieść i spojrzała ze smutkiem na wymizerowaną męską kompanię. Twarze Sendilkelma i Bisenny pokrywały niebiesko-fioletowe plamy, postanowiła jednak na razie o nic nie pytać.

Zielony ogień autorstwa Ala rzucał na wszystkich demoniczne cienie. Rozmawiali już od dwóch obrotów. Agni nie do końca uwierzyła w to, co usłyszała. Sendilkelm wyraźnie coś ukrywał, jego zazwyczaj wyzywające spojrzenie było dziwnie nieobecne i wyciszone.

Postanowili, że jutro wyruszą w Timaje Królewskie i był to jedyny temat, co do którego się zgadzali.

Bisenna posłał Agni niechętnie spojrzenie i zwrócił się do Sendilkelma.

— Jeszcze raz podsumujmy. . . kto zabił starego szczura, jeżeli nie był to nikt z nas?

— Może ktoś tędy przechodził? — wtrąciła cicho Agni i podciągnęła kolana pod brodę.

— Zamilcz kobieto — mruknął Bisenna — nikt cię tu nie zapraszał. Po jaką chorobę pchałaś tu za nami ten swój babski nos? Masz szczęście, że żyjesz.

— Sądząc po wyglądzie, to ty ledwo zdołałaś zachować swoje chłopskie życie — syknęła Agni. — Ja mam się znakomicie. A poza tym, trzeba było nie posyłać po pomoc magicznego oka.

— Zaraz, spokojnie... — jęknął Sendikelm. — Sytuacja jest dziwna. Wszyscy nadal żyjemy i, doprawdy, jest to chyba zasługa jakiegoś przychylnego nam boga. Nie masz powodów na nią krzyczeć, Bisenna. Jeżeli nie możesz zaakceptować jej obecności, przyjmij, że zesłali ją Noc i Dzień, fasolowe ludziki, czy co tam sobie wymyślisz. A może ona ma rację i był tu ktoś jeszcze? Jeżeli atakują nas czarni wojownicy zrodzeni z mgły, jeżeli krąży nad nami Śmierć we własnej osobie, a na dodatek biorą nas w niewolę ludzkie szczury, to wszystko jest możliwe. Jeśli chcemy przeżyć, musimy działać niczym wojsko. Ja dowodzę, wy słuchacie. Żadnych kłótni, dzielimy się wszystkim, co wiemy. Ty, mistrzu Cheger, pierwszy. Dostyc tajemnic. Skąd masz te żywe kryształki?

Al stęknął, wy dobył zza kamizelki wielką sakwę i wysypał na dłoń kilkanaście kryształowych oczu. Podrygiwały niespokojnie i stukały się nawzajem, wydając przenikliwe brzdęknięcia.

— Cóż, gdy przeprawialiśmy się przez Białokostkę, pomyślałem sobie, że przydadzą się nam dodatkowi zwiadowcy lub coś w tym rodzaju, no i stworzyłem je z czystej energii magicznej — wybąkał Al.

— Szkoda, że najpierw nie przedyskutowałeś tego ze mną. Na razie, jak widać, ci twoi zwiadowcy wskazują każdemu nasz ślad — warknął Sendilhelm i gwałtownie pogrzebał mieczem w ognisku.

— Nie wiadomo, czy wszystkich by do nas przyprowadziły... może tylko młode kobiety? — Al uśmiechnął się na próbę.

— Zamilcz, magu nieszczęsny. I dziękuj swoim parszywym bogom, że nie ja jestem dowódcą tego oddziału, bo dorzuciłbym cię do tego ognia. Przynajmniej na coś byś się nadał. Magoćwstrętność! — wycodził przez zęby Bisenna.

Agni zachichotała, lecz od razu zamilkła, gdy spoczęły na niej trzy nieruchome spojrzenia.

— Lepiej będzie, mistrzu Cheger, jeżeli zamkniesz swoich... zwiadowców w sakwie i zawiążesz na niej jakiś mocny węzeł — spokojnie rzekł Sendilhelm.

— Byle nie magiczny — dodała Agni.

— Pragnę tylko przypomnieć, że gdybym cię, panie, nie wyciągnął z wiru walki, to pewnie byś już błąkał się po zaświatach — burknął Al i zrobił obrażoną minę.



— Pragnę tylko przypomnieć, mistrzu Al, że twój mistrz obiecywał, iż uchronisz nas przed wszelkim niebezpieczeństwem — lodowato wtrącił Bisenna. — A ty najpierw próbowałeś spalić nas żywcem, a potem odpuściłeś sobie ostrzeżenie przed zbrojnym oddziałem. Jak to wytłumaczysz?

— Myślałem sobie o tym od czasu tej zasadzki. . .

— Oczywiście, zwłaszcza podczas przerw w budowaniu dla mnie grobowca — Bisenna rzucił w maga kamykiem.

— Tak, wtedy także, mój szlachetny przyjacielu — spokojnie odparł Al. — . . .Więc myślałem i uważam, że była to zasadzka przygotowana przez kogoś z zaświatów. Samą Śmierć lub któregoś z bogów.

— Sprytne wytłumaczenie — przeciągnęła się Agni. — Widzę, że nie skończymy sobie wszystkiego wyjaśniać, nawet gdybyśmy gadali jeszcze dziesięć dni.

— O ile będziemy mieli szczęście jeszcze tyle dni przeżyć, moja pani — wtrącił Bisenna i rzucił kolejny kamyczek w obrażonego maga.

— Sądząc po jaśniejącym niebie na wschodzie, przynajmniej jednego doczekamy — spokojnie odparła Agni.

Sendilkelm podniósł się i zaczął przygotowywać posłanie z gałęzi i płaszcza.

— Zanim ustalimy kolejność spania, powiedz Bisenzo, jak udało ci się uratować moją nogę. Wiem, że takie czary może czynić jedynie mag tej miary, co Karcen. Nie mówiłeś, że znasz tak trudne zaklęcia — rzekł, wyskubując igły z kołnierza płaszcza.

— Bo, panie, to nie zaklęcie, tylko maść — odparł wojownik.

— Jak to maść? Z czego?

— No maść, żywa maść. Zapracowałem na nią ciężko podczas pięćdziesięciodniowej służby u kapłanek Wielkiej Jednookiej Dziewicy.

— Nigdy o czymś takim nie słyszałem — ożywił się Al. — Skąd te wiedźmy biorą tak cudowny lek?

— Kochany magu, one ten lek rodzą.

Zapadła cisza. Agni wzruszyła ramionami, wyciągnęła dłonie do ognia i po dłuższej chwili spytała:

— A na czym polegała twoja służba? Jakoś nie mogę sobie wyobrazić wielkiego wojownika usługującego świętym kobietom.

Bisenna stęknął, położył się na boku i spojrzał na nią.

— Kiedy indziej być może opowiem ci o tym, moja pani — mruknął.

Sendilkelm wstał, rozejrzał się dookoła, pomasaował kolano i końcem miecza wymierzył w Ala.

— Ty i Agni pełnicie wartę do drugiego obrotu po wschodzie słońca. Wyruszymy o czwartym obrocie. Aha, zanim zaśniemy, może nasza droga Agni opowie jeszcze, jak udało jej się przejść Białokostkę, zachowując gładką skórę i odzienie bez szwanku?

— Kiedy indziej, moi panowie, kiedy indziej — Agni nie kryła uśmiechu.

\* \* \*

Poranek był zimny, choć słoneczny. Sendikelma obudził hymn do światła radośnie wyśpiewywany przez Kamienną Łzę. Gdy usiadł gwałtownie, ze zdziwieniem stwierdził, że pozostali zdążyli już uporządkować pakunki i nosidła. Kamienna Łza taktownie wycofał się w głąb umysłu rycerza.

Wśród skał płonął stos pogrzebowy, wzbijając smolisty dym. Bisenna i Agni siedzieli przy małym ognisku tuż obok stosu i trajkotali wesoło. Al Cheger stał nieruchomo na krawędzi urwiska i wpatrywał się w odległe, ośnieżone szczyty, lśniące w krystalicznie czystym powietrzu.

Sendikelm roztarł zmarznięte ręce i przysiadł się do ogniska.

— Mistrzu Cheger! — zawołał. — Już po śniadaniu?! Co tak stoisz?!

— Nie będę siedział przy jednym ogniu ze szczurożercami — odparł lodowatym tonem mag i pochylił się nad mapą przyciśniętą kamieniem do nosidła.

Odpowiedziały mu zakrwawione uśmiechy Agni i Bisenny. Dziewczyna nadziała na ostrze sztyletu krwisty ochłap z rozgrzanego kamienia i podała Sendilkelmowi.

— W takim razie sprawdzę, czy nie zostało jeszcze trochę fasolowych ludzików w mojej sakwie — rzekł rycerz i poszedł do Ala.

— Poszaleli, przecież mamy jeszcze jakieś zapasy — mruknął do niego.

— Ale nasz przyjaciel dzikus stwierdził, że szkoda marnować świeżego mięsa i nie przeszkadzało mu, że zjadł istotę, która wczoraj mówiła i chciała pożreć nas. Powiedział, że ludzkie szczury są głupsze od koni, a konia jadł już wiele razy i to na surowo.

— No tak... Fratarnijczyk — mruknął Sendilkelm.

Zza pleców dobiegł ich śmiech Agni, mlaskanie i jakieś przechwałki Bisenny.

— Ale nie przypuszczałem, że i ona...

Mag spojrział na rycerza., przewracając oczami.

— Nie znasz, panie, kobiet?

— Hm... myślałem, że znam...

\* \* \*

Pół obrotu później byli gotowi do wymarszu. Mapa nie pokazywała przejścia przez Timaje Królewskie. Cienka kreska szlaku urywała się przed symbolem góry o dwóch wierzchołkach, a zaczynała dopiero po jej drugiej stronie.

Otoczające podwójną górę szczyty były znacznie niższe, Al Cheger upierał się jednak, że skoro Karcen zaznaczył właśnie tę górę, to przez jej szczyt prowadzić musi najlepsza przeprawa. Gdy Agni przyjrzała się mapie, trochę zbladła, ale nie odezwała się ani słowem.

Zaczęli schodzić po pochyłych skalnych stopniach, wysokich na kilkanaście łokci. Sendilkelm przypuszczał, że nawet przy forsownym marszu, dotrą do dna doliny dopiero o zachodzie. Szedł jako pierwszy, za nim maszerował Al, a na końcu Bisenna i Agni, zajęci ożywioną rozmową.

— Cisza! — wrzasnął rycerz i wymienił z Alem oburzone spojrzenie.

Wysoko nad nimi nerwowo krążył sokół i co chwilę przesywał powietrze wysokim piskiem.

Bisenna zadarł głowę i przysłonił przed słońcem oczy.

— O, znowu ten sokół, spójrzcie na niego, wygląda jak wędrowny, a przecież wędrowne nie zapuszczają się tak wysoko.

— Rzeczywiście, wielce interesujące — odparł cierpko Sendilkelm.

— Patrzcie! — krzyknęła Agni. — Wleciał do jakiejś jaskini. Szkoda, że do niej nie zajrzeliśmy. To tylko jakieś trzysta kroków od naszego nocnego obozu.

— Na szczęście dostrzegłaś ją dopiero teraz — warknął Al. — Dowódca nakazał nam szybki marsz i radzę zapomnieć o wszystkim, co zostało za nami.

— Może jednak zawrócimy tam, choć na chwilę — jęknęła Agni. — Tam może być coś niezwykłego, mam takie przeczucie.

— Jeżeli ta sama intuicja podpowiedziała ci, by zjeść z Fraternijczykiem surowego szczura, to lepiej o niej zapomnij — mruknął Al.

Agni rzuciła w niego małym kamykiem.

— Lepiej go nie drażnij — powiedział Bisenna. — Jeszcze w odwecie pogrzebie cię żywcem pod kamiennym kurhanem.

Agni zachichotała i na znak najlepszej komitywy klepnęła olbrzymą w ramię.

— Jeżeli natychmiast się nie zamkniecie, to zagonię was do tej jaskini, zawalę wejście i dalej pójdę sam — burknął Sendilkelm.

— Mógłbym ci w tym pomóc — znudzonym basem wtrącił Kamienna Łza.

\* \* \*

Wielki Go siedział na stołeczku nad brzegiem basenu Karcena i patrzył przez kryształowe sklepienie w niebo. Gasnący dzień pozostawił na niebie zawile różowe wzory, zrozumiałe tylko dla wysokich wiatrów. Tuż nad kopułą plątały swoje loty niespokojne gątrale, napęlniając powietrze ptasim jazgotem.

— Czy one sieją, czy może orzą? — szeptał stary mag. — A jednak żyją i są szczęśliwe. Ciekawe, czy ptaki mają swoich bogów. Muszę kiedyś wypytać o to któregoś. O ile w ogóle nastąpi jakieś kiedyś. Karcenie, do wszystkich chorób nagłych i śmiertelnych, co ja mam robić?

— Przede wszystkim podaj mi nowy ręcznik! — krzyknął Karcen, który wystrzelił nagle wraz z migoczącą tęczowo fontanną ze środka basenu.

Wielki Go miał za sobą ciężki dzień, a bliskie spotkanie z mistrzyniami sosów nadwerężyło go tak, że ujrzawszy Karcena, był w stanie jedynie szeroko rozdziawić usta.

— Go! Go! Ty stary leniu, udało mi się! — Karcen stał po pas w wodzie i rechotał tak przenikliwie, że kryształowe sklepienie wpadło w dźwięczny rezonans.

Wielki Go z trudem wstał i poczłapał po ręcznik, a Karcen wyskoczył z basenu niczym zdrowe źrebię i klepnął go w plecy aż zadudniło.

— No, mój Wielki Go, mam nadzieję, że chociaż w jednej setnej spisałeś się tak dobrze, jak ja, bo lepiej na pewno byś nie był w stanie. Dokonałem rzeczy, o której marzył cały konwent. . .

— Konwentu już nie ma — przerwał mu Wielki Go.

— Eee. . . nie gadaj mistrzu, nie gadaj, przecież wróciłem.

— Nie o to chodzi, wielki Karcenie. Rzuciłem na magów pewien czar i tego, no, byłem dosyć wzburzony i w ogóle, więc. . . i. . .

— I co, mój ulubiony uczniu?

— I chyba nie jestem w stanie odtworzyć odwrotnej linii czaru, a przecież. . .

— Tak, wiem, nikt oprócz ciebie nie jest w stanie zdjąć czaru z naszych magów. To nieważne! Słuchaj, rozmawiałem. . .

— Ważne! — krzyknął Wielki Go i odważnie spojrział prosto w źrenice Karcena. — Oni stali się żywymi garami i rondlami!

— Bardzo pięknie — odparł Karcen, wycierając uszy. — Przynajmniej poprawi się nasza pałacowa kuchnia. A może narysowałeś sobie przypadkiem wzór tego czaru na jakimś kawałku pergaminu? To byłoby rozsądne i oszczędne. Pamiętasz, uczyłem cię tego jakieś dwieście lat temu.

— Nie, ani przypadkiem, ani świadomie. Ja po prostu pomyślałem. . . pomyślałem, że są głupi jak garnki i że chcą, by zmienili się w garnki, no i stało się.



— No proszę — odparł spokojnie Karcen, wycierając z kolei stopy. — Wystarczy szansa, że nie powrócę z wyprawy w zaświaty, a mój ukochany uczeń robi największy postęp w nauce i odkrywa jedną z największych tajemnic magii.

— No bo ja... — zaczął Wielki Go.

— No bo ty — Karcen strzelił rękami w powietrze — ty w końcu pojąłeś, że bez wzorów i magicznych rysunków można schwytać umysłem wir pierwotnej magii i sprawić, by kierowała naszymi poczynaniami. Powinienem ci pogratulować, to czyn godny prawdziwego mistrza, chociaż miałeś się go nauczyć dopiero na kolejnej inicjacji. No cóż, trudno, niech stracę te czternaście standardowych stosów zielonego złota. Podobno największym szczęściem nauczyciela są postępy ucznia.

Wielki Go wyprostował się nieco i poprawił kamizelkę, a nawet, kryjąc niechęć, spojrzął na nagiego Karcena.

— Zanim, mój mistrzu, opowiesz to, co najważniejsze, zechciej oświecić mój umysł wiedzą o możliwości odczarowania tych nieszczęśników.

— Daj już spokój... Dziś na bankiecie będziemy rozmawiać z bogami i nadbogami!

— A jednak udało ci się! — Wielki Go znowu musiał rozdziawić usta.

— To chyba oczywiste, skoro wróciłem, mistrzu — Karcen z uśmiechem przystąpił do wklepywania pachnideł w policzki. — Jak już udało mi się powiedzieć, mimo twych nachalnych uwag, moja misja uratowania. . . ba, wszystkiego, udała się i dzisiejsza noc będzie z pewnością najciekawsza w twoim życiu. Chociaż wygląda na to, że i wieczór miałeś udany.

— Właśnie, co z resztą konwentu, jak ich odzyskać? To jednak nasi uczniowie. Mam obowiązek. . .

— Ależ ty marudzisz! Posłuchaj, mój ukochany uczniu, jeżeli jeszcze kiedyś przytrafi nam się jakakolwiek wolna chwila, dopuszczę cię do kolejnej inicjacji, która objawi ci zasady odwracania czarów powstałych z pierwotnych wirów magicznych.

— Tak, oczywiście, i będę musiał uzbierać na to czternaście standartowych stosów.

— Czterdzieści, mistrzu, czterdzieści — Karcen zarechotał tak głośno, że kryształowe sklepienia wyśpiewały brzęczącą wersję hymnu Atrim.

\* \* \*

Karcen miotał się po kamiennym tarasie wieńczącym jego mieszkalną wieżę. Za balustradą wylądowały już dwa tuziny gniazd gątrali. Do niewielkiej wieżyczki w rogu tarasu mag upchnął kilka szkieletów nierozpoznawalnych stworzeń i inne żałosne resztki dawnych magicznych eksperymen-

tów. Wielki Go skrobał szpachelką kamienie pośrodku tarasu, gdyż zawsze uważał, że czystość miejsc centralnych jest najważniejsza.

Siedem mrocznych kondygnacji niżej wielki mistrz kuchni Lojasopass klęczał przed ośmiokątym stołem i z nabożną czcią wpatrywał się w zapelniające go potrawy. Ani razu nie wyjął z garnków podarowanych przez Wielkiego Go tego, co by choć w najmniejszym stopniu przypominało produkty, które do nich włożył. W kryształowych misach świeciły wewnętrznym światłem tęcze polewki. Unoszące się nad nimi opary tworzyły żywe obrazy pełne zmysłowych ciał i powolnych ruchów. W sosjerkach tańczyły maleńkie zielone i pomarańczowe gwiazdki. Sałatki i przekąski spowijała mgła złocistych kropelek, a dania główne, zmienione w kiście drżących kul światła, pulsowały jaskrawoczerwonymi i niebieskimi błyskami. Kryształowe flaszki z winami pobrzękiwały i śpiewały jak odległe chóry dziewic. Woda w misach do mycia rąk pieniała się kolorowymi bąbelkami.

— Wstań Lojasopassie — wydyszał Wielki Go, wpadając do sali przez zamknięte drzwi. — Wstań i idź do jakiejś świątyni. Aha, weź ze sobą wszystkich swoich ludzi. Mam nadzieję, że dobrze mnie rozumiesz. Od szczelności waszych ust zależy teraz długość waszego życia.

— O, mistrzu... — jęknął Lojasopass i w ukłonach wyszedł tyłem z sali.

\* \* \*

Karcen nadal krążył po tarasie. Próbował zebrać i uporządkować myśli. Pogasił pochodnie, zostawiając tylko cztery błękitne w rogach balustrady. Dzięki temu nie było widać zapaskudzonej przez pokolenia gałrali podłogi. Spojrzał przez mekchanismos Mekcha na srebrną rybę, która właśnie pojawiła się tuż nad północnym horyzontem. Dziś znowu leciała odrobinę szybciej. Pod jej brzuchem błyskało fioletowe światło. Karcen nie był pewien, czy się boi, ale na pewno obserwowane zjawisko napełniało go niezrozumiałym wstrętem. Za każdym razem, gdy ryba przelatywała nad Atrím, ledwo mógł się powstrzymać od torsji. Potem, by wrócić do równowagi, musiał zużyć potężne ilości tabaki. Dzisiaj zawczasu starannie usypał spory kopczyk na wierzchu dłoni i pochylił nad nim nos.

— Nieładnie, mistrzu, najpierw częstuje się damę — zachichotała Anielka Śmierci, pojawiając się pośrodku tarasu.

Karcen, by odpowiedzieć, musiał powstrzymać kichnięcie, co z kolei spowodowało odruch dość przykry. W ostatniej chwili zasłonił dłonią usta i nos, podbiegł do balustrady i przechylił się na zewnątrz. Po wszystkim, gdy już przetarł twarz rękawem, odwrócił się do Anielicy, która spoglądała na niego z cierpką miną.

— I pomyśleć, że od kogoś takiego może tyle zależeć — mruknęła wystarczająco głośno, by ją usłyszał.

— Witaj, o najpiękniejsza z istot. Myślałem, że to nie ty pojawisz się pierwsza. Ufam, że wypełniłaś swoją misję.

— Istotnie, Karcusiu — rozejrzała się wokół. — Oni zaraz tu będą, więc lepiej bądź przygotowany, inaczej spotka cię coś gorszego niż śmierć. Ja pojawię się później. . . w bardziej romantycznych okolicznościach.

— A nie lepiej, eee. . . pomyślałem sobie, eee. . . że lepiej, gdybyś, o pani, tu już została. Powitalibyśmy ich razem. To by zrobiło dobre wrażenie, wiesz, razem ich zapraszamy, no i w ogóle. . .

— Ależ Karculku — zachłysnęła się śmiechem Anielica — przecież wiesz, że przed nami szczególny wieczór. Przyjdę tylko wtedy, gdy będę już oczekiwana. . . z niecierpliwością, gdy nikt nie będzie mógł się obejść bez mojej obecności, gdy umilkną już błahe rozmowy i wszyscy będą myśleć wyłącznie o tym, kiedy w końcu się objawię w całej swej urodzie i krasie. . . Ach, ależ to będzie romantyczne!

— Nooo. . . tak — westchnął Karcen i zapatrzył się w niebo.

Anielica znikła. W miejscu, gdzie przed chwilą stała, posadzka lśniła jak wypolerowany klejnot.

Nagle na niebie pojawiła się czerwona gwiazda, która rosła w zastraszającym tempie, a wraz z jej rozmiarami, narastał przeszywający, brzęczący dźwięk. Karcen zdążył pomyśleć podstawowe zaklęcia ochronne i w tej samej chwili wieżą wstrząsnęło potężne uderzenie. Z balustrady odpadło

kilka kamieni, płyty posadzki pokryły się siatką pęknięć. Pośrodku tarasu dymił błyszczący pojazd. Stygnące dysze stukwały i syczały, poziome i pionowe srebrne skrzydełka kadłuba dygotały, zaś z przodu mrugały dwa żółte ślepie. Karcen dopiero po chwili pojął, że są to niezwykle mocne lampy, a nie oczy potwora. Podniósł się z podłogi i z godnością otrzepał paradną togę. Na szczycie pojazdu, wewnątrz kryształu w srebrnych ramach, dojrzał machającego przyjaźnie boga Kilikina. Jego głowę tradycyjnie zdobiły błękitne loki i potrójna korona z zielonego złota i ludzkich miniaturowych czaszek.

Bóg wyskoczył dziarsko i wcisnął mały kluczyk do zamka w drzwiczkach pojazdu, czemu towarzyszył dźwięk podobny do srebrnego dzwoneczka.

— No jak, ludziku, to tutaj? — huknął tym samym głosem, którym objawił się swoim prorokom dwanaście tysięcy lat temu.

Karcen wziął głębszy oddech i przybrał pozę, która w jego mniemaniu miała być jednocześnie dostojna i skromna.

— Niezła maszyna, co?! Piękna maszyna, co?! — grzmiał Kilikin, zdejmując palec po palcu obcisłe skórzane rękawiczki.

— Eee... tak, myślę, że piękna... — w końcu wykrztusił z siebie Karcen.

— Myślisz? — mruknął Kilikin. — Nie jesteś zachwycony i uwznioślony, tylko myślisz?! Masz szczęście, że nie jesteś moim wyznawcą, bo uznałbym to za herezję.

— Za co?

— Za herezję, ludziku, nieważne, jest już mój nadpan?

— Nie, boże Kilikinie — odparł dumnie Karcen i skłonił się do ziemi. — Ty jako pierwszy zaszczyłeś nas swym, jakże imponującym, przybyciem. Razem pokłonimy się twemu nadbogowi, jeżeli i on zaszczyci nas swą obecnością.

— Zaszczyci, zaszczyci — mruknął Kilikin. — Był dziś u mnie i rozkazał, bym sprawdził, czy wszystko zostało tu przygotowane na należycie wysokim poziomie.

— Eee... cóż, zatem, stoimy na najwyższej wieży w Atrim. . .

— Ech, ludzikowe myślenie — zaśmiał się Kilikin. — Najwyższa wieża. . .

Nie dokończył. Obok jego pojazdu zmaterializowały się kolorowe bąble czasoprzestrzenne i, pękając jak bańki mydlane, wypluwały na podłogę tarasu kolejnych bogów. Wszyscy posyłali sobie powściągliwe ukłony i groźne spojrzenia. Tylko Mnog i Oz nie przywitali się ze sobą, gdyż rzeczywiście okazali się jedną osobą. Kuun patrzył na wszystkich z góry, objawił się bowiem w swej przerażającej czternastołokciowej czarnej postaci. Mejruti, Dofogo i Mitil wyskoczyli z jednego małego drżącego bąbla czasoprzestrzennego, gdyż pojedynczo nie starczyłoby im mocy na materializację.

Ich ciała świeciły licznymi dziurami. Czuli się nieswojo, tym bardziej, że za sprawą wspólnej materializacji każdy z nich dysponował tylko jednym zmysłem. Mejruti widział, Dofogo słyszał, a Mitił mówił.

— A tych po co wezwaliście? — zabuczał Kuun, pukając palcem Mejrutiego.

— Powściągnij swój gniew, Kuunie — zapiszczała Kikoro, bogini w ciele pokracznej staruchy, okrytej tylko warkoczami siwych włosów. — To nie ich wina, że wywołałeś wojnę i ukradłeś im wyznawców.

— A czyja? Kikoro, moja piękna — zarechotał Kuun — mówiłem ci już dawno, że możesz zostać moją małżonką, jeśli tylko przestaniesz denerwować mnie bez boskiej potrzeby!

Pozostali bogowie miotali się po tarasie we wszystkie strony, próbując ustalić formę powitania nadbogów. Karcen już kilka razy wziął głęboki wdech, by zacząć przygotowaną przemowę, lecz nadal nikt nie zwracał na niego uwagi.

— Kuun, do boskiej choroby, przestań podrywać Kikoro i pomóżcie nam wybrać odpowiedni hymn na powitanie nadbogów! — krzyknął zębaty jak kraken Likeszi.

— Najlepiej niech każdy zaśpiewa coś innego, wtedy na pewno będą usatysfakcjonowani — odparł Kuun i popatrzył w niebo.



Oparty o balustradę Karcen czuł się jak ślimak uwięziony w wiązance panny młodej podczas wesela.

— A żeby ją... — mruzczał po nosie — miała mi pomóc. Jak ja mam do nich przemówić?... I w jaki sposób wepchnąć tego paskudnego Kuuna do sali biesiadnej?...

W tym momencie na niebie pojawiła się błękitna gwiazda i z gwizdem runęła na wieżę. Po chwili, gdy ustało dygotanie wszelkich rzeczy i kawałki posadzki wróciły na swoje miejsca, oczom zgromadzonych ukazał się niebieski pojazd. Drzwiczki otworzyły się i przy akompaniamencie podniosłych głosów oraz kilku jednocześnie wyśpiewanych hymnów wyszedł nadbóg Melkonseron. Przybrał tym razem męską postać, uformowaną z płynnego zielonego złota. Machnął ręką jakby na przywitanie, odwrócił się, by zamknąć drzwiczki i w tej samej chwili znieruchomiał, wydając dźwięk podobny do tego, który towarzyszy zanurzeniu w wodzie rozpalonego metalu, po czym wyraźnie zadrżał, a jego złota twarz stężała przeraźliwie i złowieszczo.

Bogowie padli twarzami na płyty posadzki. Karcen błyskawicznie sięgnął po czar niewidzialności, chociaż zdawał sobie sprawę, że to dziecinada.

— Kto przyjechał tą, tą... czerwoną maszyną! — huknął Melkonseron.

Nastąpiła chwila ciężkiego jak ołów milczenia. W końcu Kilikin wypełznął przed gromadkę drżących boskich ciał i znieruchomiał skulony, ze wzrokiem wbitym w stopy swego nadpana.

— Ty?! — ryknął Melkonseron.

— Ja, nadpanie. Tak nadbosko objawiłeś mi się ostatnio w moim niebie, że postanowiłem pójść za twoim nadboskim przykładem. Wspaniałość twego pojazdu była tak. . .

— Jak śmiałeś, nędzny bożku, skonstruować sobie pojazd większy od mojego, a na dodatek czerwony?! Jak mogłeś tak prześmiewczo zainstalować na nim więcej dysz i świateł?

Nadbóg gwałtownie urwał swoją przemowę, gdyż obok niego pojawiły się dwie migotliwe chmurki prottonium. To pozostali nadbogowie, Fio i Mil, postanowili zmaterializować się w takiej postaci.

— Zostaw go, Melkon — zaszeleściło prottonium głosem Mila. — To tylko głupi bóg, ale myśli, że cię kocha. Poza tym na pierwszy rzut oka widać, że jego pojazd to tylko nędzna kopia twojego, a o jakości sprzętu nagłaśniającego nawet nie wspomnę.

— No właśnie — jęknął Kilikin — i w dodatku strasznie trzęsie. . .

— Oczywiście — mruknął Melkonseron i skinął dłonią w kierunku pojazdu Kilikina. Maszyna zamigotała i rozpadła się na tysiące cząstek, które z plaśnięciem runęły na podłogę tarasu. — Tak właśnie jest. Aby pokazać, jak bliski memu sercu jest Kilikin, zapraszam go do zamieszkania w moim domu. Od zaraz — uśmiechnął się szeroko do drżącego boga. — Nie musisz mi dziękować, Kilikinie, robię to z miłości do ciebie — dokończył Melkonseron i jego twarz przybrała błogi wyraz.

Pozostali bogowie uznali, że nadszedł wreszcie odpowiedni moment, by podnieść twarze z posadzki. Otrzepywali z kurzu szaty i mruczeli coś między sobą. Nadbogowie przekrzykiwali się tonami tak wysokimi, że chwilami przestawały być słyszalne. Karcen przechadzał się nerwowo wzdłuż balustrady, dodatkowo zirytowany faktem, że doskonale widać jego brak panowania nad sytuacją. Właśnie po raz kolejny chciał rozpocząć efektowne przemówienie, gdy bogowie gwałtownie umilkli, a Melkonseron zwrócił ku niemu swą nieruchomą twarz. Mag poczuł się jak kostka lodu we wrzącym oleju.

— Zatem to ty jesteś tym śmiesznym ludzikiem, który nie tylko z własnej woli wszedł do domu Śmierci, ale i wrócił stamtąd żywy? Naprawdę, warto było zmaterializować się w tym żalonym wymiarze, by zobaczyć wcielenie odwagi przekraczające wszelkie szaleństwo. Karcenie, pozwalam ci do mnie przemówić, lecz wiedz, że jesteś pierwszym śmiertelnikiem, który ma taką możliwość.

Karcen skłonił się niezdarnie, dokonując wszelkich starań, by nie patrzeć nadbogowi w twarz.

— Nadpanie, bogu bogów — zaczął drżącym głosem — nie jestem w stanie ukryć przed twoją osobą swych myśli, więc wiesz już o wszystkim. Jeżeli moje podejrzania są słuszne, a tylko ty możesz to stwierdzić, rozumiesz, że mogę być waszą jedyną szansą na ocalenie, chociaż znikomośc mego istnienia. . .

— Taaa... — stwierdził nadbóg i skinął na milczących za jego plecami bogów. — Ci tam, moi wyznawcy, mogą mieć jednak kłopoty z pojęciem trudniejszych fragmentów. Pozwól zatem, Karcenie, byśmy spotkali się wewnątrz twego umysłu. Powiedzmy, w głównej sali labiryntu, który tak mozolnie skleciłeś w centrum swej świadomości. A tak przy okazji, muszę stwierdzić, że masz tam całkiem przyjemne wykończenie wewnątrz, a te posążki wskazujące drogę... doprawdy, bardzo stylowe, bardzo...

Karcen skłonił się ponownie. Usiadł na posadzce i wziął głęboki wdech. Odszukał w podświadomości portal do labiryntu i po chwili znalazł się w kulistej sali głównej. Melkonseron czekał już na niego, siedział wygodnie w czerwonym fotelu i ćwiczył przed lustrzaną ścianą różne miny złotej maski, zastępującej mu twarz.

— A, jest i gospodarz... — kiwnął dłonią Karcenowi i wstał gwałtownie.

— Reszta zaraz tu będzie. Niektórzy moi bogowie mają trudności z szybką zamianą swej manifestacji. Zawsze im wytykam tę słabość, ale cóż, rozumiesz, mój drogi Karcenie, to w końcu tylko prości bożkowie. Sam ich takimi stworzyłem.

— To zrozumiałe, nadpanie — Karcen ze zdziwieniem zauważył, że tutaj nie boi się Melkonserona, że nareszcie jest sobą, żałował nawet, że nie da się tu zażyć ukochanej tabaki. — Ty, nadpanie,

zobaczyłeś już zapewne wszystkie moje myśli i rad jestem z tego faktu. Nie chciałbym jednak, by Kuuna czy innego szaleńca spotkał taki sam przywilej.

— To rozumiałe, mój ty sprytny ludziku — zaśmiał się Melkonseron. — Kuun rzeczywiście jest totalnym szaleńcem. Nie obawiaj się, bogowie sprowadzeni do przestrzeni czterowymiarowej są zupełnie niegroźni. Tym bardziej tu, wewnątrz twojej świadomości. Opowiedz im wszystko spokojnie, w tym miejscu możesz ich traktować jak równych sobie. A przy okazji... na którego się zdecydowałeś? Chyba Mejruti ma przyjemne niebiosy, chociaż bez wyszukanych wygód. Kilkuosobowe kwatery i w ogóle...

— Eee... cóż, na żadnego, nadpanie — uśmiechnął się mag. — Dlaczego o to pytasz, przecież znasz doskonale moje poglądy?

— Oczywiście, wolę jednak usłyszeć je od ciebie. Zresztą, jestem zbyt subtelny, by tak dokładnie grzebać ci w umyśle.

— Postanowiłem być nieśmiertelny, nadpanie — mruknął Karcen.

— Zatem masz problem z głowy, mój drogi, bowiem nieśmiertelny jesteś od zawsze.

— Tak, wiem, ale nie chcę być duchem podróżującym pomiędzy piętrami niebios. Chcę być wolny i wierzę, że mogę liczyć na twoje zrozumienie, nadpanie. W końcu jak nikt inny staram się, aby bogowie i nadbogowie dostali to, co im należy.

— Aha! — syknął Melkonseron. — Czyli zrobisz wszystko, by innych ludzi spotkał znany nam już los, dzięki czemu sam go unikniesz!

— Tak jakby, nadpanie — szepnął Karcen. — Ale wiesz przecież, że oni niczego innego nie oczekują. . .

— I całe szczęście — nadbóg wbił w maga nieruchome spojrzenie. — Wrócimy jeszcze do tego. . . czuję smród materializującego się Kuuna i innych. Czas, byś rozpoczął przedstawienie.

\* \* \*

Bogowie rozsiedli się wygodnie na ustawionych półkolem wokół Karcena tronach. Kilikin i Kuun od dłuższej chwili marudzili i głośno domagali się czegoś do picia. Pozostali też kręcili się niespokojni i niezadowoleni. Melkonseron, siedząc pomiędzy dwiema chmurami protonium, wyglądał jak posąg. W rzeczywistości rozmawiał z nadbogami Fio i Milem, lecz tylko oni wiedzieli, na jaki temat.

Karcen stwierdził, że już nie doczeka się ciszy i skupienia zebranych, więc drżącym głosem rozpoczął przemówienie:

— Nadbogowie i bogowie, nie będę mówił, jak wielki to dla mnie honor widzieć was tu wszystkich, a ściślej rzecz ujmując, jak wielki to honor widzieć tu boskie cząstki waszych nieogarniętych

istnień, te cząstki, których jedynie godny jest nasz prosty wymiar. Wiem, że bardzo jesteście zajęci swoimi sprawami, pozwólcie zatem, że ja, mistrz Karcen, mag największy z żyjących, zwrócę waszą uwagę na ostateczne niebezpieczeństwo.

— To już wiemy, ludziku! — wrzasnęła Kikoro. — Śmierć wszystko nam wyjaśniła. I tylko z tego powodu zdecydowaliśmy się ścisnąć swe boskie ciała w tych ohydnych czterowymiarowych postaciach. Zatem, do rzeczy, drogi mistrzu!

— Właśnie! A później ustalimy, kto i jaką część twego astralnego ciała dostanie na pamiątkę! — huknął Kuun.

Melkonseron syknął tak przenikliwie, że czternastostopowa postać Kuuna skurczyła się nieco, a bogowie wreszcie zamilkli. Karcen zaś odchrząknął i rzekł:

— Ustalmy fakty, co powiedziała wam Anielica Śmierci?

— Ludzikowe gadanie — burknął zniecierpliwiony Mital. — Masz nam powiedzieć, w jaki sposób na zawsze pozbyć się nieśmiertelnych i co zrobić, by ludziki żyły krócej, powiedzmy, siedemdziesiąt, osiemdziesiąt lat. Tak, to by nas satysfakcjonowało, a gdybyśmy dołożyli do tego jeszcze trochę chorób. . .

— Racja — wtrącili Mnog i Oz — na początku świata byliśmy tak zachwyceni tworzeniem, że w swej hojności posunęliśmy się za daleko i ofiarowaliśmy wam zbyt długie życie. Zupełnie

niepotrzebnie, skoro przez swoje trzysta, czterysta lat nie robicie nic, poza zaspokajaniem zmysłów. A nam, ostatnio zwłaszcza, zaczęło się spieszyć. Nadbogowie wymagają coraz więcej. Możemy oczywiście nadal wymyślać nowe wojny religijne i wycinać całe narody, na to ludziki zawsze się nabiorą, ale to tylko doraźne rozwiązania. Byłoby znacznie wygodniej, dla nas i naszych nadpanów, gdyby ludzik po prostu żył krócej. I strach jego byłby większy i nie myślałby tak dużo. . .

— Pozwólcie magowi skończyć — spokojnie wtrącił Melkonseron.

Karcen skłonił się, splótł dłonie na plecach i jał przechadzać się miarowo w poprzek swej wielkiej sceny.

— Znacie wszyscy Anielicę, wiecie, że tylko głupi ludzik może zaufać jej do końca. . . Nie o długości ludzkiego, lecz waszego życia będziemy tu rozmawiać. Sami powiedzcie, kiedy ostatnio, pośród zajęć ćwiczących ludzików w niebiosach, znaleźliście czas na obserwację gwiazd? Tymczasem my, czyli ci, którzy żyją za długo, patrzymy w gwiazdy często, a to ze zwykłej ciekawości. Nie twierdzimy, że wiemy równie dużo, jak na przykład czcigodny Kuun. Ale wiemy, że nad Atrim wisi niebezpieczeństwo, które nie pochodzi ani z tego świata, ani tym bardziej z waszego.

— Zabijmy go i wracajmy — mruknęła zgrzytliwie Kikoro. — Jak nie z naszego i nie z waszego świata, głupi ludziku, to skąd?!

— Z gwiazd! — wrzasnął Karcen.



Odpowiedziały mu chichoty i wrzaski boskiej widowni. Kuun zwinął się nawet ze śmiechu na podłodze, a Kikoro stanęła na swym tronie i wrzasnęła prosto w twarz maga:

— Gwiazdy, głupi ludziku, to oczy naszych nadpanów. Nasi nadbogowie są bowiem wszędzie i widzą wszystko. Niech nie zmyli cię ta skromna manifestacja Melkonserona, Fio i Mila! To tylko znikoma część ich nadboskich istnień. Oni są wszędzie, a nam, prostym bogom, i wam, nędznym ludzikom, pozostaje tylko się modlić, by nadpanowie zechcieli zwrócić ku nam swe łaskawe oblicza.

Bogowie na potwierdzenie jej słów zaintonowali nierówno kilka hymnów na cześć nadbogów.

— Niestety, z tymi gwiazdami jest niezupełnie tak — mruknął Melkonseron, a bogowie zamilkli, wpatrzeni w oblicze swego nadpana. — Oczywiście, jesteśmy wszędzie i wszystko widzimy, jednak nie wszystkie gwiazdy to oczy Fio, Mila czy moje. Niektóre z nich to inne światy, podobne do tego, nad którym panujemy.

Bogowie szeptali między sobą niespokojnie.

— Jak to, okłamaliście nas? — jęknął Kilikin i ogarnął zrozpaczonym spojrzeniem resztę zgromadzonych. Wszyscy odwrócili wzrok. Melkonseron skinął dłonią i ciało Kilikina rozpadło się na krwiste ochłapy. Pozostali bogowie odsunęli się i zamilkli.

— To nasza wiara była zbyt płytka, by ujrzeć całą prawdę! — krzyknęli Mnog i Oz. — Dzięki ci, nadpanie, że uczyniłeś nam tę łaskę i ujawniłeś, że gwiazdy są twoimi oczami i innymi światami jednocześnie. Tylko nadbóg może dokonać takiego cudu.

— Dobra, dobra — mruknął Melkonseron — pozwólcie jednak wyjaśnić ludzikowi, dlaczego. . . cóż, jedno z moich oczu stało się tak groźne dla tego świata.

— Zapewne dlatego, że taka była twoja nadboska wola, nadpanie! — zawołała Kikoro i padła na twarz.

— Zapewne tak, moja nadpobożna Kikoro. Zamilknijcie wreszcie! — wrzasnął Melkonseron. — Karcen próbuje wyjaśnić, dlaczego zaraz możecie pożegnać się ze swoim boskim życiem i dlaczego ja, Fio i Mil nie będziemy mogli wam pomóc.

Pomimo zachowania bogów, Karcen nie tracił pewności siebie.

— Krótko mówiąc — krzyknął donośnie — nad Atrim pojawił się obcy obiekt! Obiekt z innego świata. Intuicja magiczna podpowiada mi, że podróżują nim istoty z innego świata. Skoro potrafiły przemierzyć niebo i przylecieć tutaj, ich magia jest silniejsza od mojej, albo, co jest bardziej prawdopodobne, jest to magia zupełnie innego rodzaju. Jeżeli obcy zechcą zaatakować ludzi, wyniknie z tego wojna, której wynik trudno przewidzieć. Możecie liczyć na to, że na początku wielu ludzi umrze z waszymi imionami na ustach, ale z czasem, jeżeli obcy będą wygrywać, ludzie porzucą

wszelką nadzieję i zwróca się o łaskę do nowych, najwyraźniej silniejszych bogów. Wówczas, jeśli tylko obcy zdecydują się ogłosić bogami i pozostać między ludźmi, wasze świątynie znikną z powierzchni ziemi w ciągu jednego ludzkiego pokolenia. Łatwiej bowiem uwierzyć w boga, który żyje i porusza się po świecie, niż tkwić przy niesprawdzonych dogmatach sprzed tysięcy lat. Tak czy inaczej, wasze dni są policzone.

— Jak to, ogłoszą się bogami? — zapytał Likeszi. — Przecież to my jesteśmy bogami tego świata.

— No to co?! Zrozumcie, od zawsze walczyacie między sobą o wyznawców, dlaczegóżby ktoś z zewnątrz nie miał mieć ochoty na wojnę o ten sam cel z wami?

— Będziemy walczyć razem! — ryknął Kuun. — Nawet ja, wielki Kuun, zewrę szeregi z innymi, niegodnymi mej przyjaźni bogami, jeżeli zajdzie taka potrzeba!

— Nie będziecie mieli szans — mruknął Karcen. — Ludzie bardzo szybko uwierzą w nowych bogów, jeżeli ci wydadzą się im potężniejsi, a tak pewnie będzie.

— Ludzik kłamie! — krzyknęli Mnog i Oz. — Jeżeli istnieje jakiś nowy bóg, to musiał go stworzyć któryś z naszych nadpanów. A przecież ani Melkonseron, ani Fio i Mil nie chcą, by ich nowe dzieci pozabijały stare!

Melkonseron wyprostował się i chrząknął.

— Cieszy mnie nieskończona głębia waszej wiary, moje dzieci. Obawiam się jednak, że jako bogowie nie dysponujecie zbyt dużą wyobraźnią. Zresztą, nie jest wam ona potrzebna, a przynajmniej nie tak, jak ludzikom. Sami przyznajcie — bogowie wpatrywali się wyczekująco w jego złociste oblicze. — Karcen próbuje wam powiedzieć, że nad innymi, rozciągającymi się daleko stąd światami mogą czuć inni bogowie, stworzeni przez innych nadbogów.

— Co oczywiście nie zmienia faktu, że te odległe światy są jednocześnie twymi oczami, o nadpanie. . . — niepewnym głosem przerwała Kikoro.

— To już sobie wyjaśniliśmy, moja droga — mruknął Melkonseron.

Karcen zrozumiał, że oto nadszedł najważniejszy moment do przejęcia inicjatywy. Wskoczył na jeden z czerwonych foteli i z całych sił klasnął w dłoń.

— Rozumiecie zatem, że tylko świadomi tego zagrożenia mistrzowie magii mogą wam pomóc. Jeżeli nawet wysilicie wszystkie wasze boskie moce i dokonacie widowiskowych cudów w swych świątyniach, natchniecie jeszcze kilku proroków i świętych, a kapłani przemówią waszymi słowami, nie osiągniecie żadnego efektu, gdyż tylko magowie są w stanie zwyciężyć nowych bogów.

— Ale jak?!! — huknął Melkonseron.

— To proste! Zabijemy ich, gdy tylko wylądują! My, ludzie wierni swoim bogom! A magowie staną na pierwszej linii walki! — krzyknął Karcen i zamarł w bohaterskiej pozie z rękoma uniesionymi w górę.

Melkonseron skrzywił się i usiadł ciężko, zaś bogowie rozbiegli się po sali, pokrzykując. Kuun chwycił Karcena w pól i podniósł na wysokość swych czarnych, ociekających śluzem szczęk.

— Podły nikczemniku! Sam przed chwilą przyznałeś, że obcy zapewne dysponują potężniejszą magią niż twoja! Jak chcesz ich zabić?! — wybełkotał wściekle prosto w zbielełą twarz maga. — Ciesz się, że na razie jesteśmy w świecie żywych i nie możemy rozszarpać cię na miliony jęczących z bólu kawałków!..

— Zrozum, potężny Kuunie — wycharczał Karcen — oni nie zabiją wszystkich ludzi, bowiem potrzebują ich jako wyznawców dla swych nadpanów. Tylko po to tu przylecieli. Wywołają pewnie jakąś lokalną wojnę, by pokazać swoją potęgę, a to da szansę działania mi, mojej magicznej intuicji i armii, którą dowodzi mój przyjaciel Sendilokelm.

— Aaa... ten! — syknął Kuun. — Ten, który ciągle nie może umrzeć i knuje coś z nieśmiertelnymi?!

— Tak, ten sam — wydyszał mag. — I byłbym zobowiązany, gdybyście, chwilowo chociaż, przestali na niego nasyłać Anielicę Śmierci. Chłopak musi jeszcze trochę pożyć. Dla waszego dobra.

Kuun potrzęsnał Karcenem i pochylił nad nim swój łeb.

— Zaraz, zaraz, mój ty sprytny ludziku, o ile pamiętam, ten twój Sendilcośtam obecnie odmraża sobie zadek gdzieś w Timajach Chmurnych, co oznacza, że armia Atrim stacjonuje w stolicy bez naczelnego wodza!

— Gdybyś nie był zwykłym bogiem, Kuunie, tylko uczonym człowiekiem, najlepiej zaś magiem, jak ja, to byś wiedział, że dla każdej wojny najważniejsze jest to, by dowódca wiedział więcej i działał szybciej niż jego armia. My nazywamy to ogólnie taktyką. Rozumiem jednak, że jako bogowie, którzy tu na ziemi niewiele mogą zdziałać, również o taktyce wojennej nie macie pojęcia. Chyba sami wiecie, że nie macie szans w starciu z przeciwnikiem, który może działać swobodnie w wymiarze dla was właściwie niedostępnym.

— Jakhhh tooo niedossstępnym?! — wysyczał Kuun i prychnął w twarz maga czarną śliną. — Zapomniałeś o nawiedzeniach, objawieniach, powołaniach świętych, cudach...

— Świetny pomysł! — szaleńczo roześmiał się Karcen i stał rękawem kwaśną posokę z twarzy. — Gdy obcy wylądują, objaw się w ich umysłach. Oj tak, na pewno się nawrócą i zbudują ci świątynię, che, che, che... Moja piękna góra czarnego cielska, więcej byś uczynił dla siebie i naszego świata, trafiając któregoś z nich bodaj jedną strzałą!

Melkonseron chrząknął i pokazał Kuunowi na migi, by postawił Karcena na posadzce.

— Mam nadzieję, że teraz możesz nas już zaprosić do sali bankietowej, byśmy omówili wreszcie szczegóły planu — uśmiechnął się nadbóg do stojącego już o własnych siłach maga. — Co prawda, nie mogę ci obiecać, że wszyscy bogowie będą zachowywać się poprawnie, ale na pewno będą się starać, prawda Kuunie?

— Prawda, nadpanie — mruknął bóg.

\* \* \*

Mekch, postępując i sapiąc, pokonał wreszcie kręcone schodki i wszedł na taras najwyższej wieży w zamku. Oparł ręce o kolana, próbując zaczerpnąć powietrza. Siedem kondygnacji niżej minął Wielkiego Go, który, drepcząc pod zamkniętymi drzwiami sali biesiadnej, mruczał coś pod nosem. Mekch pozdrowił go, lecz mag tylko spojrzął na niego nieprzytomnym wzrokiem i natychmiast powrócił do dreptania i pomruków.

Staruszek był wściekły, a cztery kolejki ulubionych dwóch piorunów, zamiast rozładować, rozpałyły tę wściekłość do białości. To on, w swej nieskończonej dobroci, dzieli się z niegodnymi magami swoimi mekchanismos, znosi ich głupkowate zachowanie, a oni w tym czasie knują za jego plecami? Już on im wygarnie, tym bekom sadła. . .

W tym samym momencie dojrzał w narożniku tarasu leżącego bezwładnie Karcena i, przeganiając sprzed oczu czarne plamy, doczłapał się do niego.

— Karcen, ty niewdzięczny, niewdzięczny — szturchnął maga palcem — niewdzięczny niewdzięczniku! Co tutaj robisz? Chowasz się przed przyjacielem? Rozumiem, rozumiem, wolisz sam żłopać swoje najlepsze trunki, jest tak, czy nie jest tak? To bardzo do was, magów, pasuje, samemu wypić i uwalić się gdzieś, gdzie nikt nie zagląda. Jest tak, czy nie jest tak, grubasie? A ja poczęstowałem cię swoim winem... Właśnie chciałem ci coś ważnego powie... — tu beknął głośno — ...eć, bardzo ważnego, ale skoro śpisz...

Usiadł obok Karcena i westchnął głęboko. Chciał go jeszcze raz szturchnąć i powiedzieć mu coś bardzo ważnego o przyjaźni, i o tym, co wpadło mu do głowy po spotkaniu z wielkim Suddolikiem, ale dwa pioruny, krążące w jego żyłach, postanowiły nagle, że Mekch zaśnie.

Niemalże w tej samej chwili Karcen wziął głęboki wdech, przeciągnął się i, chwyciwszy poręcz balustrady, wstał. Jeszcze migotały mu pod powiekami zamykające się wrota labiryntu i tłum wściekłych twarzy bogów, a już mógł zobaczyć ich na żywo, materializujących się obok jeden po drugim. Przeciągając się i masując karki jak po śnie w niewygodnej pozycji, zaczęli przepychać się w dół schodów, ku sali biesiadnej. Kuun kilka razy spróbował wcisnąć się w kamienny portal klatki schodowej, w końcu zrezygnował i z ponurą miną odsunął się na bok, by przepuścić pozostałych.



Gdy wszyscy już weszli, zwinął się w kłębek i zniknął we wnętrzu czasoprzestrzennego bąbla. Po chwili wyskoczył z niego w swej tradycyjnej czarnej postaci, jednak pomniejszony do trzech stóp wzrostu. Obejrzał się i w tym samym momencie z drgającego bąbla wyskoczyło jeszcze pięć takich samych boskich ciał. Wszyscy przyjrzeni się sobie nawzajem i, gdy do wszystkich sześciu dotarło, że są tą samą osobą, zgodnie, noga w nogę, weszli na schody.

Karcen przypatrywał się tej scenie z niezmaconym spokojem.

— Masz szczęście, Mekch — mruknął do chrapiącego staruszka i poklepał go po policzku. — Masz szczęście, żeś pijany i śpisz... Właśnie, ciekawe, jak się tu dostałeś? Wielki Go cię nie uważył czy co?

# 14

## Smokolitowa zbroja

*Po co komu życie, jeśli nie docenia śmierci? Po co komu śmierć, jeśli nie doceniał życia?*

(formuła, którą wypowiada Anielica Śmierci,  
gdy musi zająć się przeklinającym ją ludzikiem)

Anielica skończyła właśnie układać loki i wpinać w nie smokolitowe dzwoneczki. Zakręciła jeszcze kilka piruetów przed lustrem, by sprawdzić, czy przezroczyste gadwabbne suknie szeleszczą

wystarczająco głośno i czy biżuteria dostatecznie podkreśla ponętne wypukłości jej ciała. Na koniec zamarła, wpatrzona w swe odbicie, i, zadowolona z efektu, mrugnęła do siebie.

— Chętnie sama bym umarła, by po drugiej stronie życia przywitało mnie takie piękno — musnęła się czerwonymi paznokciami po zaróżowionym policzku i, stukając kryształowymi obcasami, pobiegła do łaźni.

Odszukała we wszechlustrze salę biesiadną w wieży magów Atrim. Drgająca prottonicznie powierzchni przedstawiała pogrążone w mroku pomieszczenie. Jedynymi rozpoznawalnymi fragmentami odbicia były blade błyski księżycowego światła, uwięzione w kryształowych naczyniach i sztućcach.

— Aha — szepnęła — skończyli naradę i teraz czekają na mnie. W ciszy, ciemności i skupieniu. Chcą mi zrobić niespodziankę. To bardzo, bardzo romantyczne z ich strony. Zresztą, zasłużyłam sobie na to.

Kolejny raz poprawiła fryzurę, ostrożnie wskoczyła do unoszącego się nad podłogą własnego bąbla czasoprzestrzennego, po czym z uroczym westchnieniem wyskoczyła z niego pośrodku sali biesiadnej, wykrzesując kryształowymi obcasami snop iskier, i zamarła z otwartymi ustami. Sala była pusta, jeżeli nie liczyć opartego brodą o zachlapany blat Karcena i leżącego pod stołem Wielkiego Go.

— Gdzie oni są?! — wrzasnęła wysokim głosem, aż z kwietnych bukietów zdobiących stół posypały się kolorowe płatki. — Co tu się dzieje?!

— Eee, jakby. . . — niepewnie Karcen zaczął — eee. . . nie, już nic. . .

— Jak to, nic?! A bogowie, nadpanowie, bankiet i w ogóle?! — histerycznie zawołała Anielica.

— Bogowie w zaświatach, a nadpanowie gdzieś tam. . . — zwięźle odparł mag i ponownie opadł na blat. — Już po uczcie. . .

— A co postanowiliście? — starała się opanować i ukryć rozczarowanie, jakim skończyło się jej efektowne wejście.

— To, co było do przewidzenia — odparł mag. Z trudem, przy akompaniamencie kilku stęknień i westchnień, osiągnął pozycję siedzącą i podparł głowę rękoma. — My obronimy was przed obcymi bogami, a za to ty, moja piękna, nie będziesz polować na pewnego rycerza.

— Jakiego rycerza?! — zachnęła się Anielica.

— Taaa! — powiedział wolno Karcen i zakrztusił się. Gdy przestał już kasać i wlał w siebie dzban wina, spojrzął na nią przeciągle i wycedził: — Przecież wiesz, jakiego, a jeżeli nie, to możesz go sobie przypomnieć, patrząc w swoje wszechlustro. Jedno z odbić ciągle go pokazuje.

— Skąd, skąd to wiesz?! — wysyczała mu prosto w twarz. — Bogowie. . . Niech będą przeklęci na wieki przez wszystkich swych wyznawców! To oni nagadali ci na mnie! Naigrawaliście się ze

mnie! Powinniście otoczyć mnie czcią i dziękować przez wieczność całą, że zorganizowałam to spotkanie! Gdyby nie ja, to. . .

— Nakłamałaś im, że chcę dokonać jakiegoś cudu, by ludzie żyli krócej i by bardziej lękali się bogów — przerwał jej głośno Karcen. — Nieładnie. Musiałem wszystko odkręcać — warknął i rozejrzał się po stole w poszukiwaniu tabaki.

— A co miałam im powiedzieć, ty beko sadła?! Myślisz, że zjawiliby się tu, gdybym opowiedziała im, że jakiś szalony magik chce uratować im życie w zamian za swoją nieśmiertelność? Poza tym nie wyobrażasz sobie, do czego musiałam się posunąć, by nakłonić niektórych do ściśnięcia się w cztery wymiary i zmaterializowania w twojej śmierdzącej wieży.

— To akurat jestem w stanie sobie wyobrazić — zachichotał Karcen.

— Nie jesteś — syknęła Anielica. — Jeżeli myślisz, mój drogi magiczku, że poznałeś wszystkie moje możliwości podczas zażywania rozkoszy w mym domu, to jesteś jak żaba w studni, która myśli, że wie, jak wygląda ocean.

— Zapewniam cię, moja pani, że to mi w zupełności wystarcza. Kum, kum, kum! — zachichotał mag i zakrztusił się znowu.

— Przekłęci mężczyźni! . . . Podłe samce! . . . To ja ratuję im skóry, a oni. . .

— Pewnie, pewnie, podłość samcza jest bezgraniczna — wtrącił niedbale Karcen, bawiąc się przewróconym kielichem. — Kobiety to co innego, na przykład taka Kikoro, mądra, szlachetna i piękna...

— Och, zamknij się Karcen! — Anielica usiadła ciężko przy stole, na wprost opróżnionej do połowy flaszki z winem pełnym kolorowych bąbelków.

\* \* \*

Sendilkelm czuł zmęczenie spowolniające i krępujące jego ruchy jak ciężka zbroja. Bolała go rana lewej piersi i kolano, zaleczone przez maść Bisenny. Zimny pot kapał mu z nosa i czoła. Wiedział, że jego ciało płonie w gorączce. Co chwilę miał wrażenie, że wewnątrz jego żył kręcą się małe wężyki, a może robaki. Kamienna Łza, dziwnie milczący od kilku obrotów, teraz pospieszył z wyjaśnieniem, że to resztki żywej maści wędrują po jego organizmie, szukając miejsc wymagających wygojenia. Sendilkelm przesłał mu w myślach kilka soczystych przekleństw i Kamienna Łza zamilkł obrażony.

Za dowódcą, z ponurą determinacją w spojrzeniu, włókł się Al Cheger, milczący i przygarbiony tak, że niemal podpierał się rękami. Jego powyciągany i podarty strój pokrywały krwawe plamy. Pięćdziesiąt kroków za nimi szła obciążona niewielkim nosidłem Agni. U jej boku nieustannie pa-

plął Bisenna, ciężko stąpając pod ciężarem bagażu na plecach. Za pasem miał zatkniętą błyszczącą rękawicę.

Al westchnął i syknął głośno. Sendilkelm odwrócił głowę i posłał mu ponure spojrzenie.

— Zdaje się, że nasz dowódca chce, byśmy zachowali ciszę — mruknęła Agni do Fraternijczyka i wydeła wargi.

— Wasz dowódca zabije was za chwilę, jeżeli się wreszcie nie zamkniecie — sapnął Al.

Cały dzień schodzili w chłodną dolinę, pokonując wysokie stopnie skalne i zdradzieckie piargi. Powietrze przesycone było wilgocią i wściekły wiatr wciskał swoje zimne palce w uszy wędrowców. Doszli do dna wąwozu, gdy gęstniejący mrok zaczął barwić skały na sine kolory. Sendilkelm spojrzął przez zasłony trawiącej go gorączki na wznoszącą się przed nimi stromą ścianę góry. Szczyt ich jutrzejszego przeciwnika, rozdwojony jak język węża, ginał w chmurach, a jego zbocze gasnący dzień zabarwił kolorami zakrzepłej krwi.

— Timaje Królewskie — wyszeptał rycerz i usiadł ciężko na skale.

Al Cheger bez słowa kucnął obok niego i zaczął rozpakowywać prowiant. Po chwili dołączyli do nich Bisenna i Agni. Rumiani i chichrający ukradkiem. Al wyprostował się i zmierzył ich kamienym spojrzeniem.

— Sendilkelm jest chory — powiedział spokojnie. — Wy pełnicie straż, ja opiekuję się dowódcą.

Agni mruknęła coś do Bisenny, a ten w odpowiedzi parsknął śmiechem.

— Czyżby opuściła cię już klątwa fasolowych bogów? — spytał Sendilkelm i położył się na posłaniu, błyskawicznie rozłożonym przez Ala.

— Bisenna miał szczęście, że były to czerwone ludziki — stwierdziła Agni. — Gdyby zjadł białe lub zielone, byłoby po nas.

— Panie, naszą towarzyszkę zesłali nam chyba przychylni Noc i Dzień. Gdy pojawiła się między nami, zrozumiałem, że prowadzi nas szczęśliwy los. Nie lękam się ja klątw, ani nijakiego wroga, gdy mam taką kompankę podróży i tak niezwyciężoną broń, jak ta rękawica — Bisenna klepnął się po brzuchu.

— Byłoby zwięźlej, gdybyś rzekł, że po prostu oszalałeś. Nie czas teraz na kobiety i inne głupoty — burknął Al. — A poza tym, rękawica należy do pana Sendilkelma, no, ewentualnie do magicznego konwentu. Ty służysz jedynie za osła, który niesie ją za właścicielami.

— Co tylko rozkażesz, mistrzu magii — Bisenna pompatycznie skłonił się przed Alem i zrzucił na ziemię nosidła. — Wiedz również, że wielkim szczęściem napędza mnie twoja obecność. Tak doskonale potrafisz ustrzec nas przed wszelkim niebezpieczeństwem, że radosny jestem i spokojny.

— Czy mogę na chwilę opuścić twoje ciało i zabić go, przesywając na wylot ten głupi łeb? — wtrącił Kamienna Łza.



— Nie — spokojnie odparł Sendilkelm. — Jeszcze wytrzymamy. Fraternia to równiny i bagna, więc dzikusy, takie jak nasz Bisenna, często mającą w wysokich górach. Jest jednak jakaś szansa, że do jutra mu przejdzie.

— Dobra, ale jeśli nie, to go zabijemy — mruknął Kamienna Łza.

Agni i Al szybko rozstawili namiot, po czym mag rozpałił swoje popisowe ognisko i dorzucił do niego kilka kamieni. Poczerniały i zajęły się seledynowymi płomieniami. Agni wytrzeszczyła oczy z podziwu.

— Taka tam codzienna magia... — mruknął Al i strzelił palcami. W powietrzu zapachniało jałowcem.

\* \* \*

Zapadła noc. Sendilkelm rzucał się w gorączce na posłaniu. Obok Agni udawała, że śpi. Przyglądała mu się spod zmrużonych powiek i błędziła myślami po zapamiętanych krajobrazach i szlakach, które ją tu doprowadziły. Zastanawiała się na przykład, czy kryształowe oko, które jej przewodziło, opowiada teraz o niej swoim towarzyszom.

Bisenna siedział przy ogniu. Na kolanach ułożył sobie metalową rękawicę i gładził ją z dumą. Obok Al Cheger zwinął się w kłębek, nakrył głowę płaszczem i skupił się na narastającym w jego

ciek bólu. „Jestem zmęczony, głodny i wycieńczony. Jestem otoczony szaleńcami”, powtarzał w myślach, śledząc kolejne fale bólu, przygniatające mu czaszkę. Ni stąd, ni zowąd, ujrzał pod własnymi powiekami wściekłą twarz Karcena. Mistrz wykrzykiwał coś, lecz Al nie mógł dosłyszeć nawet jednego słowa. W końcu usiadł gwałtownie, ściskając skronie.

— Al! Do wszystkich chorób ciężkich i śmiertelnych! Obudź się! To ja, Karcen! Mam dla was nowe rozkazy! — Karcen wydierał się na całe gardło tuż pod powierzchnią świadomości Ala, który natychmiast opanował umysł i wstrzymał oddech, by ułatwić kontakt.

— No, nareszcie! — ryknął Karcen. — Czy wy tam balujecie, czy co? Al, obudź ich i przekazaj wszystko, co ci powiem. . .

\* \* \*

Sendikelm obudził się, dygocząc z zimna. Gorączka nadal spalała mu umysł na popiół. Otworzył oczy i w tej samej chwili je zamknął. Dookoła było białe i zimno. Wiatr ustał, a w powietrzu powoli tańczyły białe płatki.

— Spadł śnieg — odezwał się Kamienna Łza. — Lepiej się obudź i napij czegoś ciepłego, bo za bardzo osłabisz i tak już wątłe ciało. Ta maść jest dziwna. Obserwuję ją, jak krąży pomiędzy twoimi tkankami i wygląda to tak, jakby tropiła, czegoś szukała, jakby... myślała. To się może

różnie skończyć. Powinieneś odpocząć przed dalszą wspinaczką, albo niech ten dzikus cię poniesie. Naprawdę, nie chciałbym, byś umarł na stoku tej góry. Musiałbym się przenieść do innego ciała, a twoi towarzysze nie spełniają moich wymagań. . .

— Zamknij się — warknął Sendilkelm i podniósł się na łokciach. Otworzył oczy i od razu tego pożałował.

— Mogę się zamknąć, panie, ale nic jeszcze nie powiedziałem — powiedział stojący przed nim Bisenna i zrobił obrażoną minę.

— To nie do ciebie. . . Czy mamy coś ciepłego do picia?

— Aha, to dobrze, że nie do mnie — Fraternalczyk podał rycerzowi parujący kociołek.

— Czemu tak strasznie śmierdzi? — skrzywił się Sendilkelm. — Ktoś to już raz wypił, czy co?

— Nie, panie, to zioła fraternalne. Na rozgrzewkę, wypij, a będziesz mógł tarzać się w śniegu na golasa.

— Hm — Sendilkelm wypił kilka łyčzków, krzywiąc się straszliwie. — Oczywiście nie omieszkałeś poczęstować tym świństwem Agni. Czy już wytarzała się nago w śniegu?

— Jeszcze nie — lodowato wtrąciła dziewczyna, pochylając się nad rycerzem. — Widzę, że mój pan, choć spalony gorączką, odzyskuje powoli rozum.

— Zostawcie go — Al Cheger okrył Sendilkelma płaszczem. — Miałem dziś w nocy kontakt z Karcenem. Myślę sobie, że wiele się zdarzyło, odkąd opuściliśmy cywilizowane ziemie. Jedno jest pewne, musimy jak najszybciej dostać się do królestwa Timajów.

— Świetny pomysł — burknął Sendilkelm. — Jak już usypiecie nade mną śnieżny kurhan, gnajcie sobie co sił w nogach. . . Wyruszymy jutro, muszę zebrać siły. Dzięki ci, Bisenno, za uratowanie mojej nogi, jednak ta twoja maść wciąż krąży po moim ciele, wywołując gorączkę. Wątpię, czy dziś byłbym zdolny do wspinaczki.

Kamienna Łza potakiwał i pospiesznie badał organizm rycerza. Zaczął się poważnie zastanawiać nad opuszczeniem go i przeniknięciem do ciepłego ciała Agni. Kombinował leniwie, jakimi to drogami mógłby dostać się do jej wnętrza i pytał sam siebie, jak miłe imię by mu nadała. Nigdy jeszcze nie miał kontaktu z samicą obcego gatunku i był swym pomysłem coraz bardziej zaintrygowany.

Tymczasem Al rozpałił wokół leżącego rycerza krąg małych ognisk i przykucnął przy nim z poważną miną. Agni i Bisenna krzatali się przy nosidłach i porządkowali broń. Dziewczyna wyciągnęła z sakwy plecioną linę i zaczęła ją mierzyć, nawijając na łokieć.

— Obawiam się, panie, że mimo wszystko musisz znaleźć siły, by dziś jeszcze wyruszyć z nami w górę — szepnął rycerzowi do ucha Al, a głośno dodał — posłuchajcie, co powiedział mi Karcen. . .

— On tak na poważnie? — mruknęła Agni do Bisenny.

— Niestety.

\* \* \*

Po dwóch obrotach Sendilkelm zaczął majaczyć. Bisenna i Al wypróbowali już wszystkie znane im sposoby postawienia rycerza na nogi, jednak jego stan pogarszał się coraz bardziej, a oczy pokryła różowa mgła gorączki. Długo spierali się, kiedy wyruszyć. Bisenna upierał się, by czekać, w końcu Al i Agni przegłosowali go i postanowili dziś jeszcze rozpocząć przeprawę przez Timaje Królewskie. Zbyt byli przejęci wieściami z Atrim, by czekać choćby jeden dzień. Bisenna dowodził, że wyprawa straci sens, jeżeli doprowadzą do śmierci Sendilkelma i że lepiej dojść do celu później, lecz z dowódcą. Al go nie słuchał, powtarzając, że on najlepiej rozumie intencje Karcena i nie zamierza się mu sprzeciwić.

Wyruszyli na dwa obroty przed południem. Śnieg skrzył się jak diamenty, aż oślepił. Powietrze stało w miejscu, przesycone białym światłem. Ałowi wydało się to dziwne, zwłaszcza na tej wysokości. Na przedzie szła Agni. Wyszukiwała drogę wśród obsypanych białym puchem skał i co kilka kroków zapadała się w śnieg po uda. Za nią człapał Al Cheger, patrząc uważnie pod nogi, a jeszcze dalej, podpierając się na dwóch mieczach, szedł Bisenna. Pot ściekał mu po policzkach i nosie, wprost do powiązanej na piersiach uprzęży, w której dźwigał opatulone ciało nieprzytomne-

go Sendilkelma. W myślach powtarzał sobie trzy podstawowe zasady żołnierza armii fraternijskiej: „Musisz wytrzymać! Musisz wytrzymać! Musisz wytrzymać!”. Miecze miarowo zgrzytały o kamienie.

Dzień wydawał się dłuższy niż zwykle. Al przysięgłby, że wspinają się już dwa dni, ale na niebie nadal nie pojawiły się żadne oznaki zmierzchu. Wspięli się już na znaczną wysokość. Nad głowami widzieli stromą ścianę, ginącą w gęstych, oślepiająco białych chmurach. Dolina, którą rano opuścili, znikła w rozproszonym blasku rozpościerającego się w dole śniegu. Białe płatki, choć powoli, nie przestawały nawet na chwilę pokonywać nieruchomego powietrza.

Agni zatrzymała się nagle i poczekała, aż dołączą do niej pozostali. Bez słowa popatrzyli w górę i wymienili spojrzenia.

— Coś jest nie w porządku — szepnęła Agni, marszcząc nos.

— No właśnie — sapnął Bisenna. — Chyba jest za ciepło i za spokojnie, a poza tym, chyba już dawno powinien być wieczór.

Al wyciągnął z sakwy obrotomierz. Od ich wyruszenia minęło ponad czterdzieści obrotów, czyli właśnie powinna dochodzić północ.

— To najdziwniejsza noc w moim życiu — mruknęła Agni, zerknęła na obrotomierz i rozejrzała się dookoła. — Dziwnie się czuję, jakby w jakiejś świątyni czy co. . .

— Tak — przytaknął gwałtownie Al. — Ja też tak się czuję od pewnego czasu. My, magowie, nazywamy to brzęczeniem magii pierwotnej. To jakby odgłos ludzkich umysłów kołaczących się pomiędzy modlitwami a wirami pierwotnej energii magicznej.

— Oszczędź nam wyjaśnień, mistrzu — mruknął Bisenna. — I bez tego jest wystarczająco dziwne. Mów wprost, o co chodzi. Znowu ktoś na nas napadnie?

— Nie wiem. Magia dosłownie wisi w powietrzu i to jest najważniejsze — Al tajemniczo zniżył głos. — Stary Karcen nie bez przyczyny wskazał na mapie właśnie tę górę. Czuję coś... coś ważnego. Pewnie można tu znaleźć jakieś tajemne przejście albo coś w tym rodzaju. Uważajcie teraz i róbcie to, co wam nakażę.

Agni odwróciła twarz, by ukryć rumieńce. Przypomniała sobie prawidłową mapę, która, zawinięta w zapasową koszulę, leżała na dnie jej sakwy.

Sendikelm jęknął i otworzył oczy.

— Rozwiążcie mnie — szepnął, oblizując spieczone wargi, i szarpnął się gwałtownie.

Bisenna uklęknął w śniegu i pomógł mu wyplątać się z rzemieni i otulających go płaszczy. Spojrzał uważnie w oczy swego rycerza i podał mu miecz. Sendikelm odzyskał trzeźwe spojrzenie, lecz gorączka pozostawiła na jego twarzy wyraźne ślady wycieńczenia. Powoli usiadł i oparł dłoń na głowni miecza.

— Przygotuj się na ciekawe spotkanie — mruknął Kamienna Łza.

Rycerz jęknął, ścisnął skronie, lecz powstrzymał się od odpowiedzi. Obrzucił czujnym spojrzeniem swoich towarzyszy. Zachowywali się dziwnie, jakby nagle przestali go widzieć. Ich oczy nie poruszały się. Twarze, oświetlone rozproszonym światłem, wydawały się martwe. Przez umysł rycerza przemknęła szaleńcza myśl, że oto do dalekich gór dotarł z grupą wypchanych kukieł i dopiero teraz to zauważył. Trawiona gorączką wyobraźnia natychmiast stworzyła wizję, w której kukły rzucają się na niego, wypruwają wnętrzności, wypychają śniegiem i kamieniami, by stał się taką samą kukłą, jak one. Al, z twarzą zastygłą w dziwnym wyrazie, wyglądał tak, jakby próbował powiedzieć coś Agni, która również znieruchomiała z rozchylonymi wargami. Bisenna zamarł w momencie schyłania się do leżących w śniegu nosideł. Jego nabiegłe krwią oczy wyrażały bezgraniczne zdziwienie.

— Bądź teraz czujny — głos Kamiennej Łzy doleciał do umysłu Sendilkelma niczym dalekie echo.

W odpowiedzi rycerz klęknął i podparł się ręką o skałę. W uszach pulsował mu dźwięk podobny do ponurego rytmu, gdzieś daleko jednostajnie wybijanego na kotle. Kamienna Łza wydawał się być bardzo niespokojny. Mimo że nic nie mówił, rycerz czuł, jak jego napięta wola forsuje mu granice świadomości.



— O co chodzi? Czego chcesz? — wycharczał przez ściśnięte gardło.

— To nie ja — syknął Kamienna Łza. — Człowieku, ktoś chce do ciebie przemówić, ale przeszkadza mu czas.

— Co?

— Czas, człowieku, ktoś zwolnił czas w otaczającej nas przestrzeni. Popatrz na płatki śniegu. Wiszą prawie nieruchomo.

— Niech to wszystkie przekleństwa. Znowu się do mnie dobiera. Obawiam się, że będziemy musieli się pożegnać, chyba że chcesz iść ze mną w zaświaty. Polecam, potowarzyszy ci wściekła Śmierć. We własnej osobie.

Kamienna Łza nie odpowiedział. Sendilkelm wstał, chwycił palcami kilka wiszących w powietrzu śnieżnych płatków i zwilżył nimi usta. Rozejrzał się powoli.

— No, na co czekasz, pani? Oboje wiemy, że nie mam szans! — zawołał, unosząc głowę. — Ale nie mieszaj do naszych spraw Bisenny i Agni. Oni powinni jeszcze trochę pożyć. Poza tym mam wewnątrz siebie gościa, który, zdaje się, nie podlega twojej władzy. . .

— Nie rób z siebie głupka — mruknął Kamienna Łza. — On nie jest kobietą. Oczywiście, jeśli można to ocenić po samym wyglądzie.

— Kto taki? — syknął Sendilkelm i obrócił się dokoła własnej osi.

— Uspokój się i postaraj wyteńczyć słuch, to usłyszysz — zniecierpliwił się Kamienna Łza. — On wydaje się niegroźny, ale ja, na jego miejscu, już bym się zdenerwował. Tak się starać i trafić na niewłaściwego człowieka. Cóż, jestem chyba w podobnej sytuacji. . .

Sendilkelm poczerwieniał, zacisnął pięści i przez zaciśnięte gardło wycharczał:

— Zamknij się wreszcie! Ty chyba w końcu oszalałeś! Wyłaż ze mnie, słyszysz?! Wyskakuj, do wszystkich chorób ciężkich i śmiertelnych! Mieszasz mi myśli! Mam cię dosyć, tyyy. . . ! Otwieram usta, a ty wyskakuj, no już!

— On ma rację, szlachetny wojowniku. . . Nie jestem kobietą, o której myślisz. . . — głos rozchodził się powoli, sennie, niczym niesiony niewyczuwalnym wiatrem delikatny welon. Otoczył Sendilkelma ze wszystkich stron. Rycerz nie tylko go słyszał. Miał wrażenie, że czuje go skórą, że wraz z oddechem wciąga go do swego wnętrza, że pięści mu on nozdrza. jak ulotny zapach. Wszystko wokół stało się nierealne, dalekie, podobne do sennego widziadła, a głos zdawał się być jedynym prawdziwym bytem, osią, wokół której poruszał się cały świat.

— Prawda, że przyjemnie mnie słuchać?

— Tak — gorliwie przyznał w myślach Sendilkelm. — Kim jesteś? Nieśmiertelnym, magiem, obcym?

— No, prawie nieśmiertelnym. To może zależeć od ciebie. Jestem Czomon, zapomniany bóg. Zanim zapytasz, kim naprawdę jestem, pozwól, że powiem raz jeszcze: jestem bogiem, który utracił swych wyznawców. Tli się we mnie resztką mocy i mogę jeszcze długo odwlekać moment, w którym przestanę istnieć. Zatrzymałem jeden z wymiarów wokół ciebie, byś mógł mnie usłyszeć. Czy wszystko zrozumiałeś, człowieku?

— Czego chcesz? — powoli zapytał Sendilkelm. — Jeżeli chce mnie zabrać Anielica Śmierci, nie widzę powodów do tego przedstawienia. Zabij mnie, jeśli możesz, i nie przedłużaj tej farsy.

— Niczego nie mogę przedłużać ani skracać. Teraz jesteśmy poza czasem. Nasza rozmowa może trwać dowolnie długo. To zależy tylko od ciebie. Ostatni raz spotkałem Anielicę tysiące lat przed twoim urodzeniem, ale z tego, co mówisz, wnioskuję, że niewiele się zmieniła. Nadal poluje na ludzi. Wasze szczęście, że w ziemskim wymiarze nie może działać bezpośrednio. . . Teraz nie ma do ciebie dostępu. Ona również potrzebuje czasu do działania, a tego. . . chwilowo nie ma.

Sendilkelm miotał się pomiędzy nieruchomymi postaciami.

— Mów, o co chodzi i kończmy z tym wszystkim — z rozdrażnienia potracił ramię Bisenny. Zadzźwięczało jak szkło.

— No właśnie — dodał znudzonym głosem Kamienna Łza.

— To proste — głos rozlał się łagodnie. — Chcę, byś we mnie uwierzył.

— Co?

— Masz we mnie uwierzyć, zostać moim wyznawcą i prorokiem, odbudować moją religię.

— Radzę wytłumaczyć mu to dokładniej, boże — mruknął Kamienna Łza. — Nie liczyłbym zbyt na ludzką zdolność do samodzielnego rozumowania. Poza tym, ostatnio nasz bohater często obrywał po głowie, a dodatkowo denerwuje go moja obecność. Miej więc wzgląd na mizerność jego możliwości.

Sendilkelm zatoczył się i złapał za głowę.

— To wy się słyszycie?! — zawył. Jakaś szalona myśl podpowiadała mu, że już lepiej być wypchaną śniegiem kukłą. Przez mgnienie oka zobaczył dom obłąkanych, a w nim przykute do podłóg swych cel strzepy ludzkich istnień. Czy oni też słyszeli głosy, czy właśnie tak zaczyna się szaleństwo?

— Tak, człowieku, tylko dzięki temu, że nosisz w sobie tę wspaniałą istotę, mogę z tobą rozmawiać. To ona wzmacnia moje myśli i słowa, tylko dzięki niej możesz przebywać poza czasem. Myślisz, że oszalałeś. Wiedz jednak, że między prawdziwą wiarą a szaleństwem niewielka jest różnica. Święci prorocy i szaleńcy są dziećmi tej samej matki, ludzkiej natury szukającej rozwiązań ostatecznych, wykraczających poza ludzkie pojmowanie świata.

— Jeśli spodziewasz się wdzięczności, to porzuć złudzenia — mruknął Kamienna Łza. — Ludzie myślą tylko o sobie. To zupełnie. . .

— Zamknij się wreszcie! — przerwał mu Sendilkelm. — Od kilkudziesięciu dni codziennie umieram lub coś z zaświatów wskakuje mi do głowy. Wielkie dzięki! Pewnie jesteście zwykłymi demonami, bawiącymi się losem moim i innych. Wolałbym umrzeć jak zwykły śmiertelnik, niż was spotkać!

— To zawsze da się załatwić! — syknął Kamienna Łza. — Już około piętnastu miliardów ludzi udowodniło, że umieranie nie jest szczególnie trudne.

— Ulitujmy się nad nim i dajmy mu szansę. On nie widzi w sześciu wymiarach, więc nie odróżnia boga od demona — miękkiem głosem zaproponował bóg.

— Zaraz, to chyba ja, wierząc w ciebie, mogę dać ci szansę.

— Ludziki zawsze wszystko przekreślą — westchnął bóg. — Uwierz we mnie, a wzrosną moje moce i przeniosę cię na drugą stronę Timajów, dzięki czemu kamień twego życia jeszcze się trochę potoczy.

— O, to bardzo udane. . . kamień życia. . . — cichutko rozmarzył się Kamienna Łza.

— Muszę się zmaterializować, gdyż taka postać będzie najwygodniejsza — kontynuował Czomon. — Będę bogiem chodzącym po ziemi. Swoją postać uczynię podobną ludzkiej, dzięki czemu

ludziki łatwiej we mnie uwierzą, a twoje zadanie stanie się naprawdę bardzo proste. A im więcej zdobędziesz dla mnie wyznawców, tym będę silniejszy i tym większa będzie twoja władza jako mojego kapłana.

— Ale ja nie chcę być kapłanem — jęknął Sendilkelm.

— Ale chyba chcesz żyć — lodowato odrzekł Kamienna Łza.

— Dobrze, ale w co mam właściwie uwierzyć? — zrezygnowanym tonem odparł rycerz.

W tym samym momencie w jego umyśle pojawiły się szaleńczo gnające wizje. Sendilkelm zobaczył Czomona w pradawnej postaci wielkiego wojownika, objawiającego się swemu ludowi sto czterdzieści tysięcy lat temu, gdy ludzie byli jeszcze porośnięci rzadkim futrem. Widział, jak nowy bóg wypiera dawne kultury słońca, wiatru i wody. Podziwiał strzeliste, kamienne świątynie, wzniesione przez miliony wyznawców, przeżywał wywołane przez nich wojny i rzezie. Ujrzał ołtarze pełne błyszczących kamieni i złota, nagie kapłanki, pełniące obrządki przy wykutych w górskich kryształach posągach boga. A potem zobaczył najazd śnieżnych gigantów, wrogów ludzi. Wojnę ciągnącą się przez kilka pokoleń, stoki gór pokryte zaschniętą krwią, ludzkie czaszki ułożone w stosy, płonące świątynie. Na koniec zaś ujrzał na stoku góry o podwójnym wierzchołku, dokładnie w tym miejscu, gdzie sam teraz stał, grupę ludzi otoczoną przez śnieżnobiałych wrogów. Usłyszał głosy konających i wreszcie mlaskanie gigantów, rozkoszujących się ucztą zwycięstwa.

— Tu, w tym miejscu, zginęli ostatni moi wyznawcy — spokojnie powiedział Czomon. — I tu wciąż czekam na kogoś, kto znów we mnie uwierzy i odnowi moje królestwo.

— Hm — mruknął Sendikelm — ale dlaczego mam właśnie w ciebie uwierzyć, skoro nie różnisz się od innych bogów. Chcesz tylko posłuszeństwa i uwielbienia, zupełnie jak Noc i Dzień mojego przyjaciela, dzikusa.

— Przecież po to istniejecie, by nas wielbić i nam służyć — powoli rzekł Czomon. — A tak przy okazji, ilu bogów zwracało się ostatnio do ciebie z jakąkolwiek propozycją? Chyba rozsądnie jest mieć chociaż jednego zaprzyjaźnionego boga. I jeszcze jedno, nie porównuj mnie do Noca i Dnia, którzy nie istnieją i nigdy nie istnieli.

— Jak to?

— To proste. Żaden bóg nie chciał zajmować się przodkami Fratarniczuków. Rozumiesz, trudny rynek, a towar ostatniego gatunku. Dzikusy musiały jednak w coś wierzyć, więc bogowie wymyśli Noca i Dnia. Po śmierci Anielica prowadzi ich do dowolnych niebios, tam, gdzie akurat ma najbliżej.

— Ale to chyba bez sensu. Przecież Fratarniczuki są bardzo religijni, to idealni wyznawcy. Dziwne, że żaden bóg nie był zainteresowany — odparł Sendikelm, a w głębi duszy zdziwił się, że w ogóle na ten temat rozmawia.

— Tak — westchnął Czomon i dodał ponuro — ludziki fanatycznie wierzą tylko w to, czego nie ma. Taka już ludzka natura. Bogowie do dzisiaj nie mogą się temu nadziwić. Ale to nieważne. Powiedz, czy w twoim umyśle kiełkują już pierwsze nasiona wiary?

— Zakiełkują, jeżeli nie będę musiał odczyniać jakichś codziennych rytuałów.

— To, przynajmniej na razie, nie będzie niezbędne. Potem natchnę cię i napiszesz kilka pism objawionych, ale obiecuję, że krótkich. W ostateczności możesz je podyktować, powiedzmy, specjalnie szkolonym kapłankom. Jak wzrosnę w potęgę, wspomogę twoją misję kilkoma cudami. Jakieś tam obrazy na niebie lub wodzie, uzdrowienia i takie tam. . . Ale to później, na razie wszystkie swoje siły muszę zużyć na uratowanie was z tej śnieżycy. Za jakiś czas znajdziesz proroków i po wszystkim będziesz mógł o mnie zapomnieć.

Sendilkelm miał wrażenie, że boskie oko zasiadło w samym centrum jego świadomości i stamtąd obserwuje każdą myśl. Strach gdzieś zniknął, a w miejsce po nim miękko wlała się ciekawość.

— Nie uważasz, boże, że to dziwne, gdy bóg, władca ludzi, prosi takiego ludzika jak ja o wiarę?

— Nawet najpiękniejszy ogród zaczyna się od jednego kiełkującego ziarna. Dziwisz się, że bóg prosi cię o pomoc? Znasz zapewne mądrość, która mówi, że bóg bez ludzi jest tym, czym ludzie bez boga. Co stałoby się z wami po śmierci, gdyby nie bogowie? A co podtrzymałyby istnienie bogów, gdyby nie wiara ludzi? Nie możemy istnieć bez siebie. Uwierz we mnie, a będziesz najważ-



niejszym drzewem w mym ogrodzie. Być może właśnie ty jesteś tym, bez którego wiary nie będę mógł żyć i być może ja jestem tym, który zbuduje dla ciebie niebiosa, by przyjąć cię i otoczyć opieką po śmierci — głos boga drgał i śpiewał, powoli wprowadzając umysł rycerza w ekstazę.

— Zgoda, tyś jest mym bogiem. . . — szepnął Sendilkelm i runął w czarną otchłań, którą odsłoniła pękająca na tysiące części świadomość.

— Ładne wejście — ze znawstwem w głosie pochwalił Kamienna Łza.

— Jak myślisz, głęboko uwierzył? — spytał Czomon.

— O tak. Miał wprowadzić ostatnio trochę kłopotów z umysłem, zdradzał objawy dużej niestabilności decyzyjnej, widziałem jednak, że w chwili gdy wyraził zgodę na wiarę w ciebie, jego świadomość rozpadła się na tysiące kawałków — spokojnie odparł Kamienna Łza. — Myślę zatem, że zyskałeś bardzo oddanego wyznawcę. Przynajmniej do momentu, gdy jego świadomość się ustabilizuje. Masz trochę czasu. Pragnę przy tej okazji powitać cię i przypomnieć, że Sendilkelm pozostaje również na służbie u mnie. Pozwól, że wyjaśnię ci, o wielki boże Czomonie, jak możemy pomóc sobie nawzajem. . .

Po błyskawicznej wymianie pięciu tysięcy czterystu dwudziestu siedmiu słów Kamienna Łza i Czomon zawarli sojusz.

\* \* \*

Sendilkelm majaczył. Zobaczył siebie, jak jako mała kukielka stoi na bezkresnej kamiennej równinie. Był zdziwiony i zagubiony niczym dziecko, które wybudziło się z koszmaru i nie pojmuje, gdzie jest. Z jego rozciętego brzucha wysypywały się patyki i brudne siano, które natychmiast porывał wiatr, by miotać nimi po ziemi. Wiedział, że powinien wepchnąć je z powrotem, więc podskakiwał za nimi, ręką podtrzymując rozcięty brzuch. A ręce miał sztywne i powykręcane jak uschnięte gałęzie. Zdrewniałe palce zginały się z trudem i nie mogły pochwycić wirujących na wietrze patyczków i słomek. Po kilku krokach zatrzymał się nad trzema wykutymi w czerwonej skale grobami. Wgłębienia wyglądały tak, jakby wydrapały je pospiesznie potężne pazury. Wewnątrz leżały trzy inne kukielki z rozplatanymi brzuchami, z których wysypywały się skalne odłamki i szerniałe kości. Ich głowy oddzielono od ciał i odwrócono twarzami w dół. Ręce ułożono wzdłuż boków, a nogi złączono w kostkach.

Sendilkelm dostrzegł w ręku jednej z kukielek szklane oko, w dłoni drugiej rękojeść przeżartego rdzą miecza. Trzecia miała długie włosy Agni.

Odskoczył od grobów i odwrócił się gwałtownie. Ogarnęło go przerażające przecucie, że zaraz stanie się coś nieodwracalnego, coś, co nie pozostawi po sobie nic, jak fala pożerająca piaskowe dziecięce budowle.

Czerwona równina z ogłuszającym trzaskiem pękła na dwie części. Kukiełkowy Sendilkelm zachwiał się i podparł dłonią, by nie upaść na rozdygotaną skałę. Czuł, jak jego drobne kości wpadają w rezonans i dygoczą wraz z całym światem. Powietrze zgęstniało i gwałtownie straciło przejrzystość, zupełnie niczym woda, do której dodano kroplę czarnego tuszu. Z dymiącej szczeliny wychyliła się gigantyczna, pozbawiona ciała głowa. Zarechotała tak głośno, że Sendilkelm zwinął się w kłębek i padł na ziemię.

— Wstawaj! — syknął do swej kukiełkowej postaci rycerz.

Podniósł się na kolana. Wiatr wyrwał z niego resztę wnętrzości i poniósł gdzieś za horyzont. Głowa uniosła się znad szczeliny i zawisała nad kukiełką. Jej twarz marszczyła się i rozpływała tak, że Sendilkelm najpierw zobaczył nad sobą śmiejącego się Karcena, a w chwilę potem zamyśloną Anielicę Śmierci. Zachwiał się i padł. Wiatr, kłując wściekłymi podmuchami, wyrwał mu nogę, po nodze rękę. . .

Obok wykutych w czerwonej skale grobowych jam pojawiła się czwarta, równie niedbała, jakby komuś bardzo zależało na tym, by szybko ukryć swą ofiarę. Wiatr nawiał do niej garść zeschniętej słomy, która unosiła się i wirowała przy każdym wyjąłym podmuchu. Oczy kukiełki nieruchomo patrzyły w poczerwiałe od wściekłe skłębionych chmur niebo.

\* \* \*

Czomon zamigotał w powietrzu milionem kryształów swojego ciała i pochylił się nad Sendilkelmem. Śnieg wokół parował i powoli odsłaniał szerniałe szkielety jego ostatnich wyznawców.

— Dobra decyzja — mruknął i spojrział na nieruchomych przyjaciół rycerza.

Chwilę później wszyscy znaleźli się na zalanej słońcem polanie, po drugiej stronie Timajów Królewskich. Potężny łańcuch górski z dominującym podwójnym szczytem, niczym zamek gigantów, opuszczony, groźny i martwy, zamykał zachodni horyzont.

Znajdowali się w sercu Timarlikonderonu — świętego lasu, należącego do księcia Dogodoto. Porastał on całą powierzchnię płaskowyżu, aż do stóp masywu Timajów. Tuż za jego zachodnim brzegiem wznosiły się pionowe, krwistoczerwone skały. Od wschodu las dochodził do urwiska, będącego granicą płaskowyżu. Poniżej niego rozciągała się jedna z trzech dolin timajskich.

Dookoła szumiały gigantyczne sosny kuszowe, których igły z wielkim powodzeniem służyły timajskim łucznikom jako strzały. Wojownicy wierzyli nawet, że pierwsze z tych cudownych drzew zasadzili tu sami bogowie. I nie mylili się zbytnio.

Czomon przyglądał się sosnom z prawdziwą satysfakcją. Sięgnął ręką do zwisającej nad głową gałęzi, wybrał spaloną słońcem igłę i odłamał wprawnym szarpnięciem. Następnie szturchnął nią

leżącego Sendilkelma, potem Agni, Ala i Bisennę. Wszyscy byli nieprzytomni. Bóg zatrzymał swój wzrok na zwiniętym w miękki kłębek ciele Agni.

— Może chciałabyś zostać moją pierwszą kapłanką? — szepnął. Agni drgnęła i powoli się przeciągnęła. A Czomon przez chwilę żałował, że nie jest człowiekiem.

Zostawił nieprzytomną kompanię i zaczął przetrząsać nosidła i sakwy. Kilka razy obrócił w dłoniach stalową rękawicę o wężowych palcach, po czym odłożył ją na brązowy mech. W wyszywanej w jaszczurki sakwie Agni znalazł okrągłe lusterko ze szlifowanego smokolitu. Obejrzał się w nim dokładnie. Jego ciało migotało w słońcu jak topniejący lód, przezroczyste stopy i dłonie pulsowały niebieską poświatą. Bóg dotknął swej prawie niewidocznej twarzy i skrzywił się.

— Muszę znaleźć jakiś hełm — mruknął i unióśł klapę nosidła Bisenny.

Wyrzucił na trawę kilka zakrwawionych łachów i mniejszych sakiewek. Z wnętrza nosidła buchnął odór krwi i potu. Na dnie, opatulony w czarną skórę, leżał kanciasty pakunek. Bóg uśmiechnął się lekko, wyciągnął go delikatnie i położył na płaskim kamieniu. Ostrożnie rozwiązał węzełki rzemieni i drżącymi dłońmi odwinął skórę. Znowu uśmiechnął się do siebie i obszedł kamień dookoła, uważnie przyglądając się znalezisku. Lśniło w słońcu wypolerowanym na lustro smokolitem. Zdało się być żywym stworzeniem, drapieżnikiem, który zamarł na moment przed atakiem. Czomon przykucnął i wpatrzył się w ostre kształty. Sterczące haczyki i zębate krawędzie, błyskając odbitym

światłem, ostrzegały przed dotknięciem. Setki ściśniętych razem blach kryły w sobie skomplikowane zatrzaski, zapadki i cięgna oraz wielokrotnie hartowane ostrza i kolce.

— Pięknie. . . Dzięki Kuunowi, który natchnął kiedyś swoich wojowniczych wyznawców boskim geniuszem. Najdoskonalsza zbroja wszechczasów. No, no. . . — popatrzył na Bisenę — zwalisty brzydału, musisz być wśród swoich kimś wielkim, skoro posiadasz coś takiego. Albo jakimś cudem udało ci się zabić poprzedniego właściciela. . . Zresztą, nieważne. Wygląda mi to na rozmiar dwieście dwadzieścia lub więcej, powinno pasować. Tylko gdzie, do wszystkich zdechłych bogów, jest główny zatrzask? — Czomon przywarł do ziemi i zaczął oglądać zbroję pod różnymi kątami. — Ech tam, to chyba jakiś późniejszy model. A ja myślałem, że tego cudeńka nie da się już udoskonalić, a tu proszę, nie widać głównej zapadki. . . Aaa, tu jest! No ładnie, pomiędzy czterema ostrzami. . . — delikatnie włożył dwa pacy pomiędzy ostrza i namacał ukryty za nimi haczyk. Powoli przesunął go do góry. Wiedział, że jeśli się pomyli, to zbroja, kryjąca w sobie dziesiątki sprężyn i cięciw, natychmiast wystrzeli jeszcze większą ilością ostrzy, z których każdy oznaczać będzie błyszcząca, wirująca w powietrzu śmierć.

Haczyk zaskoczył z suchym trzaskiem, a bóg błyskawicznie cofnął rękę. Zbroja zadrżała. Powietrze wypełnił zgrzytliwy dźwięk trących o siebie blach.

— Pieśń śmierci, jak mawiali dawni wojownicy — szepnął Czomon i odskoczył do tyłu.

Zbroja rozwinęła się z szybkością atakującego węża. Setki części dopasowały się do siebie, wydając kakofonię brzęknięć. Smokolitowe cięgna zacisnęły zatrzaski i zapadki, płaskie i spiralne sprężyny ścisnęły się, gotując na przyjęcie do wnętrza zbroi wojownika.

Dreszcz podniecenia przemknął po ciele Czomona. Leżąca, na trawie zbroja drżała jak niecierpliwa kochanka.

— Piękny powitalny prezent dla powracającego boga — powiedział Czomon i delikatnie ułożył się wewnątrz zbroi.

Dopasował plecy do biegnących wzdłuż kręgosłupa osłon, sprawdził, czy pod stopami, kolanami i łokciami czuje odpowiednie zapadki i zacisnął dłonie na smokolitowych cięgnach. Zbroja, zamknęła się z trzaskiem, otulając go szczelnie swym chłodnym, organicznie wyprofilowanym wnętrzem. Poczuł dreszcz ekstazy. Płytki hełmu jeszcze przez chwilę chrzęściły, chcąc szczelnie przylgnąć do jego czaszki i przesunąć otwory przyłbicy na wprost oczu. Rękawice wyprostowały nieco jego palce i po kolei wysunęły smokolitowe kolce.

Zbroja poznawała ciało swego nowego wojownika. Wciskała się dokładnie w zgięcia ciała, badała zasięg ruchów stawów i skrętów kręgosłupa. Czomon rozluźnił się, by ułatwić jej zaznajomienie się ze wszystkimi niuansami swej fizyczności. Setki obrotowych zapadek, przegubów, zatrzasków masowały i delikatnie rozciągały jego mięśnie i skórę.

Wreszcie bóg mógł wykonać w powietrzu kilka salt i podskoków z obrotami. Zbroja była ciężka, lecz elastyczna niczym druga skóra. Już po chwili Czomon wiedział, jak układać dłonie, by pazury wyskakiwały z palców, jak przeżyć grzbiet, by łuski nastroszyły się ostrymi krawędziami, jak naprężyć mięśnie nóg, by osłony kolan zmieniały się w zębate ostrza. Tylko w jednym miejscu zbroja okazała się uszkodzona. Pod prawą piętą sterczał kawałek ułamanego ostrza. Wyszczerbione i powyginane, nie mogło się schować w swoją sprężystą osłonę. Czomon westchnął, pomyślał, po czym przyjrzał się nieprzytomnym ludziom i podszedł do Ala Chegera. On to bowiem miał największe stopy oraz ciężkie, bogato i fantazyjnie okute buty. . .

Odrodzony bóg Czomon, odziany w błyszczący smokolit, stanął na krawędzi urwiska kończącego płaskowyż Timarlikonderonu. Kilkaset stóp niżej, zalana, miękkim światłem zachodu, rozciągała się przepastna kotlina. Wodospady, niestrudzenie szlifując zielonkawe i błękitne skały, napełniały szmaragdem jeziora, które lśniły wśród lasów i wrzosowisk jak porzucone klejnoty gigantów. Łagodnie pofalowane połączenie różnych odcieni zieleni i brązów, poprzetykane szarymi ostańcami, budziły w sercu Czomona odległe wspomnienia czasów, gdy walcząc z innymi bogami, tworzył ten fragment świata. Odnajdywał w tym krajobrazie piękno swych młodych myśli sprzed tysięcy lat, kiedy pragnął stworzyć dzieło najdoskonalsze. Pamiętał każdy kamień, strumień i skalną ścieżkę, pamiętał dni, gdy przechadzał się, niewidzialny, po swym ziemskim ogrodzie, a serca ludzi pełne



były wiary. W krystalicznie czystym powietrzu szybowały stada białych ptaków. Pasma Timajów w welonach chmur kryły swe szarobłękitne szczyty. W oddalonym kilka dni drogi zakątku doliny lśniły wieże zamku Dogodoto.

— Tak, pięknie to wszystko stworzyłem — westchnął. — I nawet niewiele się zmieniło. . .

Na skraju rozciągającego się w dole wrzosowiska zamigotały srebrzyste punkciki. Bóg wyteńczył wzrok.

— Jeźdźcy. Dokładnie sześćdziesięciu czterech. I osiemnaście dodatkowych koni — powiedział głośno.

Stanął na zwisającej nad urwiskiem nagiej skale i pozwolił, by słońce rozpałiło na jego zbroi tysiące srebrnych błysków. Po dłuższej chwili drgnął, po czym biegiem ruszył w dół lasu. Stanął nad Sendilkelmem i delikatnie położył dłoń na jego czole.

— To nic nie da — usłyszał głos Kamiennej Łzy. — On jest nieprzytomny.

— To widzę! — syknął spod przyłbicy Czomon. — Zrób coś, żeby się obudził! W końcu to ty siedzisz mu w brzuchu i w. . . głowie.

— No tak, ale to ty, boże Czomonie, poraziłeś jego umysł wiarą.

— Ale dopiero wówczas, gdy wyraził na to zgodę. . .

Kamienna Łza zachichotał.

— Wyraził, owszem, tylko nie do końca był pewien, na co. . .

— To oczywiste, gdyż niezgłębione są tajemnice wiary.

— Tak? To dlaczego postanowiłeś odsłonić je wszystkie od razu i to w najgłębszych warstwach jego umysłu?

— Nie marudź, wiesz dobrze, że potrzebowałem prawdziwego wyznawcy. Musiałem się objawić w całej swej świetności.

— I podstępnie wskoczyłeś w ten umysł, który tylko na chwilę, na dodatek z wahaniem, uwierzył, że istniejesz! Obaj mamy szczęście, że nasz rycerz nie oszalał. . . Miał tylko jakieś wizje.

— Wizje? O mnie? — ucieszył się Czomon.

— Nie. O jakichś kukłach, ale to nieważne. . .

— Obudź go, zbliżają się Timajczycy.

— A nie możesz sam? Jakieś kolejne drobne objawienie albo coś?

Sendilkelm otworzył oczy, przeturlał się na bok i podparł na przedramionach. W głowie szumiał mu daleki głos, który nieustannie powtarzał trzy słowa „zbliżają się Timajczycy”.

— To ty, Czomonie? — wyszeptał rycerz.

— Nie. To ja, Kamienna Łza. Pamiętasz? Leżę sobie w twoim żołądku i dla mnie masz wykonać ważne zadanie. Ucieszy cię pewnie wiadomość, że jesteśmy coraz bliżej naszego celu.

— A Czomon? Mój bóg, Czomon. . . — bełkotał Sendilkelm.

— Spokojnie. Odwróć głowę. Ten w błyszczącej zbroi to twój nowy bóg. Lepiej szybko się przyzwyczaj do jego stałej obecności.

— Bądź pozdrowiony, mój drogi Sendilkelmie — odezwał się w końcu Czomon i skinął niedbale dłonią.

\* \* \*

Agni z obrażoną miną porządkowała sakwy. Mężczyźni, zgromadzeni wokół niewielkiego ogniska, wciąż coś wykrzykiwali i machali rękami. Kłótnia trwała już od dwóch obrotów. Czomon siedział nieruchomo jak srebrzysty posąg i zdawał się nie zauważać podskakującego przed nim Bisenny.

— Panie, zaiste wielką próbą stała się dla mnie ta podróż. Jeżeli miałeś zamiar wiązać się z każdym napotkanym po drodze złym duchem, to trzeba było mi o tym powiedzieć. Usypałbym sobie kurhan jeszcze w Atrim i na jego szczycie wbiłbym sobie miecz w gardło! — krzyczał Fraternijczyk. — Siłą swych czarów przeniosłeś nas przez góry, to wielki wyczyn. Dlaczego jednak żądasz od nas, byśmy uwierzyli, że ten siedzący tu złodziej jest jakimś tam bogiem?

— Utraciłeś cenną rzecz i rozumiem twoje wzburzenie — spokojnie odparł Sendilkelm. — Jeśli jednak wierzysz w swoich Noca i Dnia, nie widzę powodu, dla którego nie miałbyś uwierzyć, że oto tu, między nami, siedzi odrodzony bóg Czomon. Ja w niego wierzę.

Czomon uśmiechnął się pod przyłbicą, przynajmniej tak można było sądzić po jego ciepłym, łagodnym głosie:

— Szlachetny Bisenno, zapewne wiesz, że nie ma sensu atakować kogoś, kto posiada tę zbroję, tym bardziej rozumiem twoje wzburzenie. Jesteś bezradny. Zechciej jednak przyjrzeć się mej twarzy.

Bóg wstał miękko i oburącz podniósł powoli łuskowatą przyłbicę. Wnętrze hełmu zaświeciło łagodnym światłem. Ledwie widoczna, utkana z błękitnego blasku twarz boga uśmiechnęła się do dzikusa.

— Lepiej w niego uwierz — szepnął Al.

— Moimi bogami są Noc i Dzień — drżącym głosem odparł Bisenna.

— Czy jednak nie składasz w codziennych rytuałach dodatkowej ofiary nieznanemu potężnemu bogowi? — łagodnie zapytał Czomon.

— Nieznanemu... , ale potężnemu... .

— Uwierz we mnie, a będę potężny. Pomyśl, co może dać ci bliska obecność odrodzonego boga, który świadom jest, że swą potęgę zawdzięcza również twej wierze.

Bisenna, wyraźnie wytrącony z równowagi, odwrócił się, oddalił o kilka kroków, chwycił za głowę i znieruchomiał.

— Widzę, panie Sendilkelmie — rzekł powoli Al — że jesteś w mocy tego boga, a my winni ci jesteśmy życie, gdyż, myślę sobie, nie przeżylibyśmy bez ciebie przeprawy przez góry. Jednak nie mogę ofiarować mu swej wiary, bowiem nie wiem, co by na to powiedział mój mistrz Karcen.

— Ale ja wiem, mój szlachetny magu — odparł rycerz. — Po prostu, wykluczyłyby cię z magicznego konwentu i do końca twych dni zamieniał w coś paskudnego lub chociaż obdarował paraliżem. Znam Karcena i nie dziwię ci się. Na razie wystarczy jednak moja głęboka wiara. Dzięki niej jednej Czomon nam pomoże.

— Słusznie powiedziałaś, twa wiara wystarczy na razie — wtrącił uroczyście bóg. — Przypominę tylko, że zbliża się tu oddział zbrojnych. Prawdopodobnie z twierdzy Dogodoto. Lepiej nie wspominać im, że jestem bogiem.

— Czemu nie?! — gniewnie prychnął Bisenna. — Może się nawrócą? Wówczas łatwiej ci będzie ich okraść! Niech Dzień i Noc mają mnie w swej łasce i zachowają od gniewu innych bogów, nawet tych niedawno odrodzonych.

— Odważnie mówisz, jak na śmiertelnika — odparł Sendilkelm. — Tymczasem jednak może opowiesz mi, którego masz za swego ziemskiego przewodnika, dlaczego nie wspomniałeś, że posiadasz tak doskonałą zbroję. Wydaje się dziwne, że nie nosiłeś jej wcześniej.

— Och, doprawdy panie, nie wiem, czy rzeczywiście jesteś moim przewodnikiem. Ale słowa dotrzymam i nie opuszczę cię, chyba, że sam mnie zabijesz. Wiem, że spoczywa na mnie klątwa fasolowych bogów i nic w moim życiu nie będzie już proste. Tak chcieli Noc i Dzień!

— Ale zbroja! — nie wytrzymał Al. — Skąd ją masz?! Przecież, gdybyś ją włożył, to i bez tej magicznej rękawicy rozerwałbyś czarnych wojowników na strzępy!

— Być może — ponuro odparł Bisenna. — Gdy wyruszałem do Atrim na turniej, otrzymałem tę zbroję śmierci od mego mistrza. Założyć ją może wojownik o czystym sercu i tylko wówczas, gdy zamierza walczyć w obronie swej wiary.

— Dobra, a dlaczego jest to zbroja śmierci? — uspokoił się nieco Al.

— Bo tylko śmierć może ją z wojownika zdjąć.

— Zatem używam jej zgodnie z przeznaczeniem — uśmiechnął się Czomon. — W obronie mojej wiary... Tymajczycy zobaczą mnie z opuszczoną przyłbicą. Moimi wyznawcami staną się później, gdy przyjdzie ich czas.

— Czyli kiedy? — mruknął Al.

— O to spytajcie swego dowódcę. Na razie niech myślą, że jestem waszym kompanem, który złożył tajemne śluby i póki nie spełnię swych obietnic, póty nikt nie może zobaczyć mego oblicza. Timajczycy powinni to zrozumieć... przynajmniej dawniej zrozumieliby.

\* \* \*

Jeszcze słońce kaleczyło swą tarczę o szczyty Timajów Królewskich, gdy w Timarlikonderonie zapadał zmierzch. Sosny kuszowe pociemniały i nastroszyły swe igły. Z podziemnych gniazd na nocne łowy wypełzały niebieskie jaszczurki.

Zima po tej stronie gór była łagodna, podobna do wiosny w Atrim. Ciepły wiatr błędził wśród gigantycznych drzew, szeleścił krzewami i wirował między warstwami mgieł, unoszących się nad poszyciem. A wilgotna ziemia niosła odgłos galopujących koni.

Bisenna i Al porządkowali obozowisko. Sendilkelm siedział na sakwach, pogrążony w swych myślach. Czomon szeptem rozmawiał z rozdrażnioną, bliską płaczu Agni. Dziewczyna, z drżącą brodą, próbowała się wtulić we własne ramiona, a bóg, stojąc niczym posąg, przemawiał do niej cicho.

Pomiędzy drzewami mignęło kilka sylwetek jeźdźców.

— Otaczają nas — spokojnie stwierdził Bisenna.

— Bardzo rozsądnie — ocenił Sendilkeim.

— Będą strzelać, czy najpierw zechcą porozmawiać? — zastanowił się głośno Al.

— Nie wiem — odparł Czomon. — Może spytasz o to swego mistrza, Karcena?

— Zamknijcie się wreszcie! — syknęła Agni i pociągnęła nosem.



# 15

## Wieczór Siedmiu Opowieści

*Bogowie straszni*

*dla ludzi ze strachu ulepionych.*

*Bogowie wojny*

*dla ludzi z płomieni stworzonych.*

*Bogowie pokoju*

*dla ludzi z dala zrodzonych.*

*Bogowie wody*

*dla ludzi z morskiej piany.*

*Bogowie ziemi  
dla ludzi drewnianych.  
Bogowie wiatru  
dla ludzi z pyłów mgielnych.  
Bogowie zemsty  
dla ludzi z gromów celnych.  
Bogowie gwiazd  
dla ludzi z blasku.  
Bogowie ciemności  
dla ludzi z piasku.  
Dla bogów ludzie!  
Dla ludzi śmierć!  
Śmierć do bogów wiedzie  
ludzi i ich życia pieśń.  
Ona jedna zna do nich drogi,  
więc dzięki jej składają i ludzie, i Bogi.*

(pieśń religijna z Atrim)

Gdy jeźdźcy już otoczyli ich podwójnym, szczelnym pierścieniem, Sendilkelm powoli wstał i rozejrzał się. Podziwiał sprawność i doskonałe wyszkolenie Timajczyków. Przemieszczali się pomiędzy potężnymi drzewami jak cienie, bezcielesne istoty z zaświatów. Drugi pierścień pozostawał prawie niewidoczny i gdyby nie Czomon, Sendilkelm nie byłby w stanie stwierdzić, ilu liczy wojowników. Rycerz nie wiedział, jak wielkie są możliwości Czomona, przypuszczał jednak, że jak na razie, jego życie zależy nie od dobrej woli boga, lecz od celności timajskich strzał. A wszyscy wojownicy złożyli się właśnie nad swymi krzyżowymi kuszami do strzału i trwali tak bezszelestnie. Przyłbice hełmów z polerowanej stali upodabniały ich do drapieżnych ptaków. Na dodatek czarne, przetykane srebrem płaszcze rozpościerały się na ich ramionach niczym złożone skrzydła. Ukryty w drugim szeregu dowódca wydał z siebie pisk atakującego sokoła. Wówczas kilka koni zarżało, lecz jeźdźcy nadal trwali na swoich miejscach, wszystkimi kuszami bezbłędnie mierząc w cel. Naraz cięciwy stuknęły i powietrze przeszył syk kilkudziesięciu bełtów, które, wbiwszy się w ziemię, utworzyły wokół oddziału Sendilkelma równy krąg. Tłące się czerwonym żarem końce bełtów zapłonęły jaskrawym płomieniem. Bisenna zdążył tylko wydać z siebie krótki jęk i sięgnąć po miecz,

gdy wielki jeździec na czarnym ogierze wjechał kłusem do wnętrza kręgu i po trzech okrążeniach zatrzymał się na wprost Czomona.

Sendilkelm nigdy jeszcze nie widział konia bojowego, którego wygląd byłby równie groźny. Okute kopyta, najeżone kolcami osłony nóg i zagięty róg o czterech ostrzach, sterczący spomiędzy oczu, obiecywały śmierć wszystkiemu, co zechciałoby stanąć mu na drodze.

— Timmaj! Timmaj! — krzyknął jeździec głosem wysokim tak, że Sendilkelmowi wydało się, że oto sokół przemówił po ludzku.

— Timmaj! Timmaj! — Jak echo powtórzyli jeźdźcy i wśród drzew zapłonął krąg gotowych do strzału bełtów.

— Atrim, Atrim — spokojnie powiedział Sendilkelm, po czym wyciągnął miecz i wbił przed sobą w ziemię. Miał nadzieję, że ten znak pokoju zostanie prawidłowo rozpoznany. Fraternalny zaś trzymał swą klingę mocno i blisko uda, tak, by przeciwnik nie mógł ocenić jej długości.

— Wyjaw swe imię, panie, gdyż znalazłeś się na naszych ziemiach i do mojego oręża należy życie twoje i twego oddziału! — krzyknął czarny wojownik i podniósł przyłbicę.

Jego twarz nie pasowała do potężnej sylwetki i drapieżnego rumaka. Był jak dziecko w przebraniu wielkiego wojownika. Delikatne rysy i puszysty wąsik zdradzały, że dopiero wchodzi w wiek

męski, lecz blizna rozdzielająca czoło i nos na dwie krzywo zrosnięte połowy dopowiadała, że zdążył już zasmakować w żołnierskim rzemiośle.

— Jestem Sendilkelm, syn Suddolika i królewski dowódca sił zbrojnych Atrim. Mój pan, Raratri, oraz mistrz najwznieślijszy, Karcen, przysyłają mnie do wielkiego władcy Timajów.

— Nic mi nie wiadomo, aby nasz pan oczekiwał jakiegoś poselstwa — zapiszczał Timajczyk i zamilkł wyzywająco. Bestia, której dosiadał, schyliła głowę i wycelowała swym błyszczącym rogiem w pierś Sendilkelma.

— Nie dziwi mnie to, wielki panie, który nie chcesz wyjawić nam swego imienia — powiedział Sendilkelm i schował miecz do pochwy na plecach. — Jesteśmy tu, gdyż ojcowie magii, których reprezentuje tenże znakomity mistrz Al Cheger, uznali, iż zaistniały pewne magiczne okoliczności, o których powinien dowiedzieć się wasz władca.

— Jakie okoliczności? — zachnął się wojownik. Jego wierzchowiec zatańczył niespokojnie w miejscu, a kusznicy, dotychczas ukryci wśród drzew, zbliżyli się o kilka kroków do kręgu.

Al spokojnie wyszedł przed Sendilkelma, uniósł rękę i strzelił palcami. Zapalone bełty zgasły z sykiem, jakby zanurzono je w wodzie. Szmer zdziwionych głosów przetoczył się przez oddział Timajczyków, umilkł jednak, gdy dowódca uniósł rękę.

— Panie, widzę, że sprawnie dowodzisz swym oddziałem, lecz brakuje ci biegłości w najwyższej ze sztuk, której ja jestem kapłanem — powiedział donośnym głosem mag. — Nie możesz zatem pojąć celu naszej wizyty. W waszym wielkim kraju tylko szlachetny władca i najwyżsi kapłani mogą zrozumieć sens tego poselstwa. Ty i twoi jeźdźcy, w liczbie sześćdziesięciu czterech, zaopatrzonych dodatkowo w osiemnaście koni bez siodła, co każdy mag policzyć może bez otwierania oczu, jesteście tutaj tylko dlatego, że nasz kompan, ten stojący za mną w zbroi ze stopionego smokolitu, zechciał, abyście go zobaczyli. Czekaliśmy tu na was siedem obrotów, gdyż pragniemy w pokoju i przyjaźni udać się pod waszą eskortą do stolicy Timaju. Gdyby nasza wola była inna, przeniknęlibyśmy do timajskiego zamku niepostrzeżenie, a o naszej wizycie dowiedzielibyście się dopiero wówczas, gdyby do waszych rąk dotarły zaproszenia na wieczerzę z nami w głównej sali biesiadnej Wielkiego Timaju, opieczętowane własnoręcznie przez władcę Timajczyków. Oczywiście, jeżeli chcielibyśmy was zaprosić — Al zamilkł, dumnie unosząc podbródek. Jak wszyscy uczniowie Karcena, był przekonany, że mowy składające się z długich zdań mają niezwykłą moc przekonywania i świadczą o wielkiej mądrości mówcy. Co więcej, zniechęcają do odpowiedzi.

Jeździec wpatrywał się w niepozorną postać maga. Jego oczy poruszały się szybko jak u drapieżnego ptaka i Al, który obserwował go spod przymkniętych powiek, przysięgłby, że ślepia te świecą złotym blaskiem.

— Jestem księżę Dogodoto, Mikkoli Dogodoto — rzekł lodowato Timajczyk i wykonał kilka niezrozumiałych gestów palcami obydwu rąk. — Cieszy mnie, że tak dokładnie przeliczyliście mój oddział i że w pełni zdajecie sobie sprawę z naszej przewagi. To ułatwi nam sprawę wspólne horenhoj i być może obejdzie się bez zabierania wam życia. Mój rodzic jest władcą tych ziem. Zechciej, panie, przedstawić resztę swej kompanii.

— Pan Sendilkelm, którego imię już znasz, jest naszym dowódcą i jego horenhoj jest największą naszą chwałą. Ja reprezentuję wielkich magów Atrim, lecz chwilowo pozostaję pod jego komendą. Ta piękność, stojąca u mego boku, to panna Agniressa Linetoli, moja uczennica i osobista straż. Tenże wielki wojownik to Bisenna Karsago Tilsenna, giermek pana Sendilkelma i niezrównany mistrz walki prosto z Fraternali, kraju, który pewnie nie istnieje na waszych mapach, gdyż leży po trzykroć za horyzontem widzianym ze szczytów Timajów — dumnie deklamował Al, drepcząc między swymi towarzyszami.

— Nie przedstawiłeś, panie Cheger, wojownika w zbroi — przerwał Timajczyk. — Nie chciałbym, by jego horenhoj ucierpiało z powodu pominięcia w prezentacji.

Czomon wystąpił przed Alą i pozdrowił księcia uniesioną dłonią. Przy każdym ruchu smokoliotowa zbroja szeleściła delikatnie i rzucała srebrzyste refleksy na mokrą trawę.

— Jestem Czomon, życie moje leży w rękach pana Sendilkelma i zbrojnym ramieniem jego pozostaje, póki ślubów swoich nie dopełnię. Wybacz, panie, że przyłbicy nie uniosę, ale swą twarz pokazać będę mógł dopiero wówczas, gdy imię moje na powrót sławę odzyska i znaczyć będzie to, co dawniej znaczyło. Moje, jak mówisz, horenhoj nie może ucierpieć, gdyż człowiekiem wolnym nie jestem, póki ciążą na mnie złożone przysięgi.

— Przyznać muszę, że podziwem wielkim napełniacie nasze serca, gdyż nikt od wielu pokoleń nie pokonał Timajów Królewskich. Dziwi mnie tylko, że woleliście ryzykować życie i pokonywać najwyższe szczyty, niż przejść przez doliny — rzekł czarny dowódca.

— Dla nas, magów z Atrim — skłonił się Cheger i, strzelwszy palcami, na nowo zapalił bełty w gotowych do strzału kuszach — była to pouczająca, spokojna i przyjemna wycieczka górską.

— Głęboko wierzę, że przyjemna i spokojna, zważywszy na otaczający was odór krwi i śmierci. Wydaje się, że również wasze stroje odbiegają w swej formie i schludności od szlachetnych mundurów atrimskiej armii i wykwintnych szat magów, panie Cheger — mruknął książę Mikkoli. — Wiedz jednak, panie, że w zamku mego ojca czterech prześwietnych zakłętników na służbie pozostaje. Chętnie pouczą cię, jak udoskonalić tve sztuczki z ogniem. Cieszy mnie jednak, że, choć nieproszony, zechciałeś ubawić moich żołnierzy tym prostym żartem.



— My, magowie, zawsze i wszystko dla dobra i rozrywki innych czynimy — odparł niepewnym głosem Al i skłonił się nisko, dotykając dłonią ziemi.

— Ciesz się mnie to — odparł Mikkoli. — Bądźcie zatem pozdrowieni na ziemiach mego ojca, wielkiego pana Dogodoto. Użyczymy wam koni, byście nie musieli biec za nami jak więźniowie i mam nadzieję, że nie będę musiał was z nich zsadzać, gdy złożone nam wyjaśnienia okażą się na tyle pokrętne, by osłabić moje horenhoj. W zamku ojciec mój orzeknie o waszym losie. Tak zdecydowałem i niech moje horenhoj pozostanie nieskalane niczym kryształ.

Oddział przeformował się szybko i jeźdźcy czwórkami ustawili się za swoim dowódcą.

Sendilkelm i Bisenna dosiedli wielkich ogierów bojowych, Agni i Czomon dostali dwie bliźniaczo podobne kasztanowe klacze. Mistrza Chegera posadzono w koszu przytroczonym do nosidła dźwiganego przez pociągowego deresza. Całą kompanię zaś ulokowano w środku kolumny czarnych jeźdźców, a przez umocowane przy siodłach ich koni pierścienie przełożono łańcuch, którego końce spięto klamrą.

Żwawo ruszyli w dół lasu, ku południowemu urwisku. Wychowane w górskim terenie wierzchowce timajskie, roślejsze i smuklejsze od atrimskich, bardziej skakały, niż biegły. Ich wielkie kopyta stapały miękko jak łapy olbrzymich kotów, a gwałtownie prężące się grzbiety powodowały, że siodła utrzymywały jeźdźca tuż za końską szyją. Zamiast normalnej grzywy, kręgi szyjne timaj-

skich wierzchowców porastały gładkie łuski z kościanym grzebieniem, zakończonym nad czołem kolczastym diademem.

Agni nie była w stanie utrzymać się prosto w siodle, w końcu uderzyła w końską szyję i rozcięła górną wargę. Czomon natomiast był wyraźnie zadowolony z przejażdżki. Puścił wodze i delikatnie gładził kark swego wierzchowca. Nie przeszkadzał mu nawet łańcuch pomiędzy siodłami, który dzwonił i obijał się o stopy jeźdźców.

Poważny i milczący Mikkoli skinął na rycerza ze swej świty, by dołączył do Sendilkelma. Był to rosły mężczyzna, ale o dziwnie drobnych barkach i stanowczo za dużym obwodzie brzucha. Wyrostki kostne na grzbiecie jego konia zostały spiłowane i pomalowane na żółto.

— Moje horenhoj pozwala mi z tobą rozmawiać, gdyż pochodzę z łoża naszego władcy. Imię moje Ruffil — rzekł, zrównując się z Sendilkelmem.

— Witaj, wielki panie, myślę, że i moje horenhoj pozwala mi na rozmowę z tobą, chociaż moja matka nawet nie widziała królewskiego łoża. Natomiast horenhoj mojego konia, którego swobodny chód krępuje ten łańcuch, z pewnością jest obniżone, i twój koń może z tego powodu poczuć się nieco obrażony.

Ruffil milczał przez chwilę, najwyraźniej ważąc dowcip Sendilkelma. Zmrużył oczy i wyprostował się w siodle. Wyciągnął przed siebie nalany podbródek i wystudiowanym ruchem uniósł kąciki ust w górę.

— Książę Mikkoli poprowadził nasz oddział do zachodnich rubieży Dogodoto, gdyż czatownicy donieśli mu o wzmożonej aktywności szczurów ludzkich. Nie spotkaliście ich na swej ścieżce? Ich świętym miejscem jest Góra Dwóch Języków, więc nietrudno nadebrać im tu na ogony. Ich zaklęticy często zapuszczają się tu ze swymi uczniami, podobno w celach inicjacji w sztuce płodności.

— Nie wiedziałem, że wielkie księstwo Dogodoto obawia się tych prymitywnych stworzeń. Nadto zadziwia mnie, panie, twa wielka biegłość w ich godowych obyczajach.

— Nie obawiamy się ich, panie — zaniósł się sztucznym śmiechem Ruffil, odsłaniając wielkie dziąsła i zabarwione na różowo zęby — my je łowimy, bowiem mamy dla nich bardzo szczególne zadania.

— A my jednego zjedliśmy — głośno wtrącił Bisenna i klepnął się po brzuchu.

Ruffil uniósł brwi i zaniemówił z otwartymi ustami. Jego różowe zęby błysnęły niczym polewany marmur. Po chwili prychnął głośnym śmiechem. Sendilkelm stwierdził, że tutejsza etykieta dworska podobna jest w swej sztywności i ograniczaniu wszelkiej spontaniczności do staroatrim-

skiej. Mimika Timajczyka była mocno wystudiowana, a mięśnie jego twarzy opanowane w najwyższym stopniu.

— My je łowimy, by walczyły dla nas na świętym polu wyroczni. Ale jeżeli wy je zjadacie, to chętnie podamy wam jakiegoś na wieczerzę. Myślę, że nawet nasz jasny władca chciałby to zobaczyć.

Sendilkelm spojrział na Bisennę wzrokiem mogącym kruszyć kamienie.

— Tylko fraternijskie horenhoj umożliwiało pożarcie ludzkiego szczura. Nie próbuj tego zrozumieć, szlachetny Ruffilu, którego matka była w królewskim łożu. Atrimeczycy poważają swoje horenhoj tak samo, jak ludzie Timaju. Zatem może się zdarzyć, że Bisenna pożre na waszych oczach jeszcze niejedno plugawe stworzenie. Fraternia to zbyt odległy kraj, by pochodzący stamtąd wojownicy mogli ogarnąć swoje horenhoj — Sendilkelm zamilkł. Jego twarz wyrażała absolutną obojętność. Podniósł wyżej brodę i przyknuął oczy. Bisenna i Ruffil zrozumieli, że rozmowa dobiegła końca.

Wówczas rycerz Mikkolego wykonał skomplikowany gest ręką, zapewne oznaczający podziękowanie za rozmowę i odwrócił głowę w drugą stronę. Chociaż Sendilkelm nadal milczał, powietrze wokół niego zgęstniało od napięcia. Jadący przed nim i za nim wojownicy przyglądali mu się niespokojnie, jakby widzieli odpoczywającego smoka, który w okamgnieniu może nabrać chęci spo-

pielienia oddechem wszystkiego wokół. Ruffil jeszcze przez ćwierć jazdy towarzyszył milczącemu rycerzowi, a gdy tylko wezwano go na czoło kolumny, odetchnął z wyraźną ulgą i czym prędzej pognął do swego księcia.

Wąska droga, wyrębana wśród gigantycznych sosen kuszowych, wiła się pomiędzy łagodnymi zagłębieniami terenu i przepastnymi skalnymi jarami. Mikkoli zawzięcie dyskutował z jednym ze swoich osobistych strażników, którzy różnili się od pozostałych timajskich żołnierzy tym, że przewyższali ich o głowę i każdy uzbrojony był w dwa, przytroczone do pleców na krzyż, miecze. Księżę był bardzo ożywiony, wymachiwał rękami i syczał coś w dworskim dialekcie, w końcu popędził konia i wraz z siedmioma wojownikami wyprzedził oddział.

Bisenna dostrzegł to zamieszanie, lecz widział również, że pozostali wojownicy utrzymują równy szyk i bez walki na pewno nie pozwolą się wyprzedzić. Chciał wiedzieć, co spowodowało ten pośpiech księcia. Narastało w nim przecucie, że za chwilę zostaną zaatakowani. Jednocześnie zastanawiał się, dlaczego Timajczycy w ogóle nie próbowali ich rozbroić. Być może chodziło o zbroję śmierci Czomona, a ściślej mówiąc jego, tylko na grzbiecie tego złodzieja. Jeżeli wiedzieli, jaką posiada moc, może uznali, że najwłaściwsza będzie dyplomacja. Tak, na pewno nie udałoby im się przebić smokolitowego pancerza, jednak po długiej walce może zdołaliby go obezwładnić i przynieść do ziemi jakimś potężnym ciężarem. . . Zastanawiał się też, czy Czomon, jeżeli rzeczywiście

był bogiem, stanie w walce po ich stronie. Przyglądał mu się, jak siedzi pewnie w siodle timajskiego ogiera, zupełnie jakby to on dowodził oddziałem. Nienawidził go, jak każdego złodzieja, ale też patrzył z ulgą na jego potężne, okryte smokolitem plecy. Pamiętał dokładnie dzień, w którym zbroja ta otworzyła się, by młody Bisenna mógł wyjąć martwe ciało swego ojca. Wielki wojownik wolał odejść właśnie tak, podczas jednej z bitew, niż poddać się starości. Bisennie ciążyło to dziedzictwo i wiele razy śnił o tym, jak przejmuje nad nim władzę zaciśnięta na ciele smokolitowa skóra, jak szczelnie dopasowana przyłbica wyciska z jego oczu obraz śmierci. Wyruszając na jakąkolwiek wyprawę, wiedział, że na dnie jego sakwy, ściśnięte w chłodny węzeł, leży jego przeznaczenie. . . Czuł szum w skroniach i po raz kolejny przekonywał sam siebie, że to wszystko dzieje się naprawdę, a jego życie jest tylko igraszką w rękach Noca i Dnia. Może chociaż dobrze się bawią jego kosztem. Na krańcach świadomości majaczyły mu mściwe postacie fasolowych bogów ze złośliwymi uśmiechami na pokaleczonych twarzach i to one właśnie przerażały go najbardziej.

Agni telepała się w wysokim siodle i ocierała zakrwawione wargi. Pod naporem języka czuła niebezpieczny ruch jednego z zębów. „To dziwne”, myślała z goryczą, „że obruszony ząb denerwuje mnie bardziej niż te dzikusy i cała reszta. Gudilneku, ojciec mój, czy właśnie przed takimi wyprawami mnie przestrzegałeś, chcąc powierzyć moje życie murom wiejskiej świątyni? Chyba nie, tobie chodziło o nocne wycieczki z rybackimi chłopcami. Nie miałeś okazji przemierzać dzikich krajów

w towarzystwie ogłupiałych magów i zmartwychwstałych bogów. Sama nie wiem, czy powinieneś tego żałować, czy cieszyć się, że wiodłeś spokojne życie”.

Kamienna Łza wycofał się z umysłu Sendilkelma, by z fascynacją obserwować, jak myśli rycerza mieszają się ze śpiewnymi hymnami wiary i chwały, które nieustannie śpiewał mu Czomon. Nie mógł pojąć wszystkich zależności między bogami a ludźmi. Był do głębi poruszony tym światem i, choć nadal nim gardził, czuł, że zaczyna go też kochać. Wciąż marzył o powrocie do prawdziwego życia, gdzie wymiary, czasy, przeszłości i przyszłości wirują i przenikają się we wzorach, których bogowie nie mogliby ujrzeć nawet w swoich snach. Jednocześnie jednak fascynowała go ta przyгода, w której skazany został na współpracę z istotą o życiu tak krótkim i znikomym, jakby w ogóle nie istniała.

Sendilkelm jechał spokojny i wyciszony. W myślach migotały mu twarze Anielicy, Karcena, Agni, Bisenny, Raratrina i wielu innych, ale nad wszystkimi unosiło się święte oblicze uśmiechniętego Czomona, jego osobistego boga. Zastanawiał się nad siłami, które pokierowały jego życiem. Magia Karcena stanowiła pierwszą niewiadomą, chociaż najmniej groźną; Anielica Śmierci, po ostatnim ataku rękami czarnych wojowników, teraz zapewne snuła kolejny wymyślny plan zniszczenia go; nieśmiertelne duchy, które chciały się z nim skontaktować, musiały mieć mu za złe, że

związał się z Czomonem; no i jeszcze Kamienna Łza... Snując te myśli i wpatrując się w twarz Czomona, chwilami dostrzegał w niej jakieś inne oczy. Zielone i niespokojne. . .

\* \* \*

Bisenna pogodził się z tym, że nie sposób zrozumieć boskich zamiarów i jego życie jest tylko iskrą w kotle życia, pod którym ogień podsycają bogowie, śmierć i los. Z oczyma utkwionymi w chmurach modlił się cicho do Noca i Dnia:

*Nocu, co dajesz życie kobietom,  
Dniu, co dajesz życie mężom,  
niech światłość i ciemność wasza  
nappełni mnie!*

*Niech życie me przez was dane,  
wam po śmierci będzie oddane.*

*Oby chmury myśli moich nie  
przystoniły blasku Dnia.*

*Oby płomienie żądź moich  
nie rozproszyły ciemności Noca.*



*Niech śmierć odnajdzie mnie,  
gdy zachód słońca mego życia  
połączy w jedno Noc i Dzień.*

Po niebie przemknął ptak. Był wielki i nie poruszał skrzydłami. Szybował wysoko, zataczając kręgi. Bisenna rozszerzył ze zdziwienia oczy, gdyż dostrzegł trzymanego w ptasich szponach człowieka. Agni również go zobaczyła. Zadarła głowę tak wysoko, że ponownie straciła równowagę i rozcięła tym razem dolną wargę o kościsty pancerz swojego wierzchowca.

Właśnie dotarli do rozległego wrzosowiska, pokrywanego wystrzępiony brzeg płaskowyżu. W dole, spowita niebieską mgiełką, rozciągała się dolina Dogodoto.

Mikkoli i jego strażnicy czekali tu już od jakiegoś czasu. Książę, przebrany w lekką, skórzaną zbroję, dopinał klamry czarnego hełmu, zakrywającego uszy i kark. Głośno i żartobliwie rozmawiał z dziwnym, małym człowiekiem, okrytym płaszczem z orlich piór.

Żołnierze sprawnie, jak na ćwiczeniach, zatoczyli krąg i na komendę zsiadli z koni, okrążając spięte łańcuchem wierzchowce Sendilkelma i jego kompanii. Rycerz Ruffil podał rękę Agni i pomógł jej zeskoczyć z wysokiego siodła. Ponieważ wylądowała na ziemi niezbyt zgrabnie, obrzuciła wojowników wściekłym spojrzeniem. Tylko Bisenna odważył się lekko uśmiechnąć.

— Zechciejcie zsiąść z koni, szlachetni panowie — powiedział Ruffil i zamasyście wskazał ziemię. — Wiem, że wasze horenhoj wymaga, byście byli o to poproszeni, więc właśnie to czynię.

Pierwszy zeskoczył na ziemię Czomon, wywijając w powietrzu podwójne salto.

— Pięknie, pięknie. Na pewno zaraz się nawrócą — mruknął Al Cheger i wygramolił się ze swojego kosza.

Po chwili wszyscy podeszli do księcia, zajętego mocowaniem do swej zbroi licznych rzemieni i sprzączek. Dopiero z bliska można było zauważyć, że zbroja ta pokryta jest setkami magicznych run i ptasich symboli.

Sendilkelm oddalił się nieco, podchodząc do krawędzi urwiska. Gdy spojrzął w dół, zaskoczył go ciepły podmuch wiatru. Pionowa, wysoka na kilka tysięcy stóp ściana czerwonej skały okazała się schronieniem dla niezliczonych kolonii ptaków. Krążyły między gniazdami, atakowały się, ganiały, porywały zdobycz i wypełniały swe pionowe miasto nieustającym wrzaskiem. Nadszedł Bisenna. Zatrzymał się trzy kroki za rycerzem i z wyraźną, niechęcią ogarnął spojrzeniem wyrastającą z doliny twierdzę Dogodoto.

W tym czasie książę Mikkoli wymienił ostatnie słowa z człowiekiem w orlim płaszczu i z uśmiechem na twarzy zbliżył się do Agni.

— Czy nie marzyłaś kiedyś, pani, o lataniu? — zagadnął uprzejmie, po czym ujął dziewczynę pod łokieć i podprowadził do krawędzi urwiska.

— Ależ ja już latałam, panie — odparła wesoło i otarła rękawem krew z wargi. Widząc to, Ruffil podał jej kawałek materiału i uśmiechnął się z troską.

— Czyżby? — kontynuował książę. — Opowiedz mi o tym, pani, jestem prawdziwym miłośnikiem tej sztuki.

— W moim rodzinnym Szukarnie skakałam do morza z wysokiego urwiska. . . no, może trochę niższego niż to. Skoczyłam razem czterdzieści pięć razy i w tej liczbie nikt ze znanych mi żywych ludzi dotychczas mi nie dorównał.

— Twa odwaga, pani, i twe matirhoj są wielkie jak to urwisko — sztucznie roześmiał się Mikkoli i szeroko rozpostarł ramiona, jakby chciał rzucić się w dół.

Bisenna i Sendilkelm spojrzeli na siebie. Myśleli o tym samym: jak długo będą lecieć, nim roztrzaskają się o skały? Byli pewni, że, jako ofiara dla timajskich bogów, zaraz zostaną zepchnięci w dół.

Książę skinał na swoich strażników, którzy natychmiast rzucili się do koni uwiązanych przy kępie wrzosów, po czym znikli za krzewami, wykrzykując coś do siebie w im tylko znanym dialekcie wojennym, a w chwilę potem wrócili, taszcząc po ziemi długie, owinięte czarną skórą nosidło. Roz-

pletli wiązania i w najbardziej wydeptanym miejscu rozłożyli... kości. Były długie na osiem łokci, okute w stal i powiązane rzemiennymi cięgnami. Ich powierzchnię szczelnie pokrywały malowane czerwoną farbą ptasie symbole, stanowiące niewątpliwie zapis tysięcy zaklęć. Żołnierze uwijali się prędko i z dużą wprawą. Dwóch z nich przyniosło na plecach skórzany wór. Wyciągnęli z niego szleszczącą płachtę, uszytą z preparowanych błon nietoperzy jaskiniowych i kunsztownie pomalowaną w magiczne wzory. Po naciągnięciu na kościany szkielet, trzeszczała i furkotała na wietrze jak żagiel. Z tyłu, przymocowane do długich na cztery łokcie rzemieni, powiewały wielkie pióra górskich orłów. Na komendę człowieka w ptasim płaszczu żołnierze podnieśli skrzydła w górę. Były szerokie na dwadzieścia łokci. Pokrywająca je błona napinała metalowe ścięgna kościanej konstrukcji. Żołnierze nadal się uwijali. Z okutych kości, pod środkowym łączeniem skrzydeł, powstały wkrótce dziwne odrosty, podobne do wielkich szponów.

Księżę nie krył podniecenia. Biegał między żołnierzami jak mały chłopiec, dotykał wszystkich części konstrukcji, wciąż coś do siebie szeptał, poklepywał po ramionach pracujących wojowników, a patrząc na wielkie skrzydła, podrygujące w powiewach ciepłego wiatru, uśmiechał się szeroko.

Sendilkelm nie pojmował do końca, o co tu chodzi, olśniło go dopiero wtedy, gdy Mikkoli połączył czterema klamrami swoją skórzaną zbroję z okutymi szponami. Z niedowierzaniem patrzył na księcia, który ostrożnie podszedł do skalistej krawędzi urwiska i ujął w dłonie dwa szpony. Skrzy-

dła zaszeleściły w gwałtownym porywie wiatru, lecz czterech pomocników utrzymało ich końce w poziomie. Mikkoli odwrócił się i z uśmiechem spojrzął na Sendilkelma.

— Będę na was czekać w Dogodoto! — krzyknął wesoło i rzucił się w przepaść.

Agni pisnęła dziko, podbiegła i przykucnęła przy krawędzi urwiska. Mikkoli leciał w dół jak wielki orzeł z nieruchomo rozpostartymi skrzydłami. W połowie wysokości przeszedł w lot poziomy, po czym wzniósł się powoli w błękitne przestworza.

Wojownicy wznieśli radosne okrzyki i błogosławili swego księcia, machając nad głowami rozczapierzonymi palcami rąk. Po chwili z pięciu oddalonych miejsc urwiska wzleciało kolejnych pięć par nieruchomych skrzydeł. Wszyscy obserwowali, jak te wielkie orły w kolorze nieba mkną w kierunku czarno-brązowych skrzydeł wyprzedzającego ich drapieżnika. Wkrótce oddział sześciu lotników wzniósł się tak wysoko, że ich barwy przestały być rozpoznawalne. Z pewnością jednak punkt wykonujący na niebie najśmielsze akrobacje był księciem Mikkolim. Pozostałe podążały za nim w szyku zbliżonym do klucza dzikich gęsi.

Agni z otwartymi ustami patrzyła na lot Timajczyków. Sendilkelm, Al i Bisenna stali jak wryci. Wszyscy milczeli.

Pierwszy poruszył się Sendilkelm. Wzruszył ramionami i podciągnął pas.

— Widziałem kiedyś, jak Mekch skonstruował latawiec tak wielki, że uniósł w powietrze przywiązanego pod nim królika. Stary był naprawdę blisko odkrycia takich skrzydeł, które uniosłyby człowieka. Zaniechał jednak swych studiów po spowodowaniu pożaru, gdy Karcen nakazał mu opuszczenie murów Atrim.

— Czy ten królik był żywy? — udał zainteresowanie Al.

— Na początku lotu z pewnością tak — odpowiedział mu Bisenna.

— Zamknijcie się i patrzcie — szepnęła Agni. — Jakie to piękne...

— Co, latający królik? — prychnął Al.

— Nie, magu, latający wojownicy. Są jak boskie ptaki...

— Ciekawe, jak długo się tego uczyli i ilu nie zdołało się nauczyć... — rzekł Sendilkelm, przypatrując się jednak nie lotnikom, lecz starcowi, który odważnie przystanął na zawieszanej nad przepaścią niewielkiej skale.

Jakby w odpowiedzi na to spojrzenie, staruszek, podpierając się kościaną laską, przykuszytykał do nich drobnymi kroczkami. Jego długie, szare włosy powiewały na wietrze jak splątane pajęczyny. Wplecione w nie wstążki z zapisanymi zaklęciami były postrzępione i wyblakłe. Sendilkelm przypomniał sobie, że kiedyś widział podobne tasiemki we włosach zaklętników z Szukarnu.

— Mistrz orlich lotów, Diltonisz, to ja! — klepnął się po płaszczu z orlich piór. — Choć wszyscy i tak mówią na mnie Szare Pióro — machnął ręką gdzieś za siebie. — Jest mi wszystko jedno. Jestem tak stary, że sram na swoje i wasze horenhoj. I nie chcę słyszeć żadnego dworskiego gładzenia nad moją przepaścią. A teraz idziemy! Pokażę wam drogę na dół.

Żołnierze karnie ustawili się w szereg, sprawiedliwie rozdzielając między siebie sakwy i nosidła. Bisenna bardzo się ucieszył, że również jego pakunki wzięli pod uwagę.

Ruszyli za Szarym Piórem. Starzec w ogóle nie interesował się tym, co robią i mówią inni. Swoim zachowaniem zdradzał głębokie przekonanie, że jedynie właściwą sytuacją jest ta, kiedy on mówi, a reszta tylko słucha. Nawet raz się nie obejrzał. Kuszył po krzywo wyciosanych skalnych schodkach i mruczał do siebie, wystukując laską nierówny rytm.

Po lewej stronie mieli czerwoną ścianę, a po prawej przepaść wypełnioną porywistym wiatrem i krzykiem ptaków. Co chwilę czuli na twarzach podmuch ciepłego wiatru, przynoszący ostre wonie ptasiej kolonii i ulotne zapachy lasu w dolinie. Sendilkelm stawiał każdy krok ostrożnie, strach powstrzymywał go przed odwróceniem głowy, chociaż prowokowały go do tego piski Agni i wrzaskliwe przekleństwa uciszającego ją Bisenny. Mistrz Al gorączkowo przeszukiwał pamięć, nie mógł jednak sobie przypomnieć żadnych ochronnych zaklęć. Natomiast Szare Pióro był coraz szybszy i, choć nadal wyraźnie kulał, niczym żwawy młodzieniec brał po trzy stopnie na raz.

Zza pleców doleciał ich krzyk i jakiś łopoczący kształt runął w przepaść. Agni wrzasnęła przerażająco, zagłuszając nawet ptaki. Okazało się jednak, że to tylko jedno z nosideł znajdzie się w dolinie Dogodoto znacznie wcześniej od nich.

Żaden z Timajczyków nie okazał zainteresowania tym incydentem. Zachowywali się cicho i poruszali jak w sennym transie. Al czuł wzrastające wokół natężenie wirów pierwotnej magii, co sugerowało, że żołnierze powtarzają w myślach ochronne zaklęcia. Trochę go to uspokoiło.

Ale nie na długo. Strach wzmógł się, gdy jego kompania dostrzegła półkę skalną, na której kończyły się schody. W wykutych tu niszach mieściły się potężne kołowroty. Nawinięte na nich liny były grubsze niż męskie ramiona i błyszczące od smaru.

— Załoga górna zostaje tu do następnego pełnego księżyca — zakomenderował Szare Pióro. — Pozostali zjeżdżają na dół. W drużynach. Jeżeli ktoś ma zamiar krzyczeć ze strachu lub zanieczyścić gondolę, lepiej niech od razu rzuci się w przepaść. Dotyczy to również kobiet — dodał, celując laską w spazmatycznie falujący biust Agni. — Takich starych kobiet, jak ty, moja pani, nie powinno się zabierać na wyprawę. No, chyba że jako ofiarę dla przebłagania bogów.

Odczekał chwilę i gdy twarz dziewczyny po początkowej bladości całkowicie spurpurowiała, zwrócił się do Czomona.

— Oddajecie w tym swoim dzikim kraju, Atrimczyjaktam, kobiety na ofiarę bogom?



— Jak dotychczas, nie — odparł Czomon — ale rozważmy tę sugestię, dawno nie obchodziliśmy jakichś wesołych świąt religijnych.

Agni schyliła się i rzuciła w Czomona kamieniem.

— Nie warto — spokojnie rzekł Szare Pióro, puknąwszy palcem w zbroję boga. — To smokolit, moja droga. Widać od razu.

\* \* \*

Stalowa gondola, powyginana na wszystkie strony, niechlujnie połatana drutami i zanieczyszczona przez ptaki, wciąż objiała się o pionowe zbocze czerwonej skały. Sendilkelm i Bisenna, by zapobiec roztrzaskaniu, odpychali ją okutymi, długimi na sześć stóp drągami. Przewidujący konstruktorzy przykuli każdy drąg łańcuchem do obrzeżu gondoli, i dobrze, bo Bisenna już dwukrotnie wypuścił swój z dłoni. Al Cheger, przede wszystkim ze strachu, ale i trochę korzystając z okazji, przytulił się całym ciałem do Agni, zwiniętej na dnie w dygoczący kłębek. Czomon natomiast, wychylając się po pas z gondoli, wył radosną pieśń w nieznanym nikomu języku.

— Czy ktoś może mu powiedzieć, żeby się zamknął? — załkała Agni.

— Nie! — odparł Sendilkelm i po raz kolejny odepchnął gondolę od skały. — On jest bogiem, wprawdzie na razie mało znanym, ale szczęśliwe ocalenie i dotarcie na dno urwiska w całości będziesz zawdzięczać tylko jemu i jego modlitwom.

— Jeżeli on jest bogiem, to do kogo się modli? — syknęła Agni.

— Do siebie samego, kobieto — odparł zrezygnowanym głosem Bisenna. — Dzięki temu wzrastają jego moce. Zamiast jęczeć, może poprosisz go, żeby nauczył cię jakichś prostych zaśpiewów. To zwiększy nasze szanse.

— No właśnie! — zawołał wesoło Czomon i zamaszyście usiadł na krawędzi gondoli, przechylając ją niebezpiecznie i powodując znaczne wydłużenie się twarzy dziewczyny. — Czy słyszycie, jak trzeszczą te liny. Są długie na trzy tysiące dwieście osiemdziesiąt stóp. Tak długie liny właściwie nie mają racji bytu. Powinny urwać się pod własnym ciężarem, gdyż wykonano je ze zwykłych, plecionych rzemieni, no a przynajmniej powinny przetrzeć się od uderzeń o skałę.

— Tak, zatem dlaczego istnieją? Może za sprawą tego cuchnącego smaru? — Agni uniosła oburzoną twarz i spojrzała na Czomona oczyma ściśniętymi w dwie kreski.

— Dzięki modlitwie albo magii — odparł bóg i zaczął nucić kolejny niezrozumiały hymn.

— Stawiałbym raczej na magię — szepnął Al.

\* \* \*

U stóp urwiska oczekiwał ich zbrojny oddział wojowników w czerwonych płaszczach. Każdy miał przytroczone do siodła dwie kusze krzyżowe, naciągnięte i gotowe do strzału. Dowódca, by powitać gości zgodnie z zasadami horenhoj, z odchyloną dziobokształtną przyłbicą stał obok swojego wierzchowca.

W obozie, w którym miała wylądować gondola, pozapalano pochodnie i kuliste lampiony z błon nietoperzy. Na niebie ścieliły się jeszcze gasnące smugi zachodu, jednak u podnóża czerwonego płaskowyżu było już rzeczywiście zupełnie ciemno. Strużki światła i pełgające cienie wydobywały z mroku fragmenty wysokich kamiennych murów, przede wszystkim zaś wieżę, rozkraczoną nad nisko sklepioną, ośmiokątną bramą.

Gdy gondola znajdowała się na wysokości dwudziestu łokci, Czomon wykonał trzy salta z obrotem i z hałasem wylądował na kamiennej posadzce dziedzińca.

— Tyś zapewne jest Czomon Lśniący Zbroja — skłonił się dowódca czerwonego oddziału.

Bóg zaśmiał się gwałtownie i przybrał bohaterską pozę, jakby przyjmował hołd tłumowi wiernych.

— Kiedyś będziesz miał okazję cieszyć się z tego, że jako pierwszy w dolinie Dogodoto powitałeś mnie z należnym szacunkiem — rzekł i podniósł dłoń na wysokość czoła wojownika w geście błogosławieństwa. — Bądź zatem pozdro. . .

Nie dokończył. W tym samym momencie gondola przeraźliwie zatrzeszczała i z hukiem spadła. Gdy tylko Bisenna skończył przeklinać, a Agni piszczeć, dowódca dał znak i timajscy żołnierze przystąpili do oględzin wraku.

\* \* \*

Jechali przez noc, oświetlając krętą, kamienną drogę długimi pochodniami. Al Cheger wzbudził podziw, rozpalając pstryknięciem palców swoją żagiew na zielono. Bisenna żałował, że nie może zobaczyć doliny w świetle dnia. W wilgotnym, ciepłym powietrzu unosiły się nie znane mu zapachy drzew, traw i piżmowe wonie, pozostawione przez tajemnicze zwierzęta. Popiskiwanie i kląskania nocnych ptaków również były mu obce. Na tle rozgwieżdżonego nieba przesuwwały się stada wielkich jak orły nietoperzy. Nie machały skrzydłami i nie podfruwały dziko we wszystkich kierunkach, lecz szybowały płynnie niczym podniebne ryby, łowiące powietrzny plankton. W ogóle Bisenna, czując na skórze lepkie powietrze, miał wrażenie, że wędrują po dnie ciepłego morza.

\* \* \*

Świt zabarwił wirujące pasma mgły wszystkimi odcieniami różu. Timajskie wierzchowce witały wstający dzień radosnym prychnaniem i rzeniem. Daleko przed kolumną jeźdźców rozległ się tak

niski dźwięk rogu, że wprawił zbroje i kości jadących w rezonans. Dowódca czerwonego oddziału zwolnił, następnie zeskoczył na drogę i wstrzymał ruch całego oddziału.

Mgły od dłuższej chwili podnosiły się coraz szybciej i nagle powietrze wypełniło przejrzyste światło. Dopiero wówczas Sendikelm mógł dostrzec, że droga, na której stanął oddział, jest szczytem wysokiej, kamiennej grobli. Z jej obu stron pionowe przepaście szczyrzyły tysiące iglicowatych zębów. Pod skalnymi półkami i mostami spały, otulone czarnymi skrzydłami, wielkie nietoperze, prawdopodobnie właśnie te, które nocą widzieli na niebie. Droga kończyła się urwiskiem, jednak po drugiej stronie przepaści można było zauważyć jej ciąg dalszy, prowadzący do przysadzistej warowni.

Minęło pół obrotu, gdy pod murami warowni pojawili się ludzie w czerwonych opończach. Minęło następne pół, gdy jedna z ośmiokątnych baszt rozsunęła swe ściany i wysunęła szkieletowy most, przypominający wielki, błyszczący metalicznym błękitem kręgosłup. Zgrzyt stalowych łańcuchów i kołowrotów przeszył okolicę niczym jęk zaklętych demonów, zmuszonych do niewolniczej pracy.

Al obserwował zbliżającą się konstrukcję z rozdziawionymi ustami.

— O, dobrzy magowie, z czego to jest?

Dowódca czerwonego oddziału zawrócił konia i podjechał do Sendilkelma i jego kompanów, balansując niebezpiecznie blisko krawędzi drogi.

— Nasz most zrobiono z kutego smokolitu, lecz innego od wszelkich znanych wam odmian tego minerału. Ten można spotkać tylko w Timajach — odparł, przesadnie akcentując każde słowo, gdyż zazwyczaj używał tylko wojskowego dialektu. — Warownia Dogodoto nigdy nie została zdobyta, nawet przez takich wrogów, których zbroje były równie wspaniałe jak twoja, panie Czomon.

— Zaiste, wspaniałych macie konstruktorów — wtrącił uprzejmie Sendilkelm. — Wielką sztuką jest stopić i wykuć kryształowy smokolitu. Nigdy wcześniej nie widziałem tak wielkiej konstrukcji z tego najszlachetniejszego z minerałów.

— To nie my wykuliśmy ten most, panie — odparł dumnie dowódca.

— To dar od naszych bogów, odnaleziony w górach, gdy pierwszy święty władca timajski czekał na znak z niebios, który miał mu wskazać miejsce na siedzibę.

— I co, doczekał się? — niecierpliwie spytała Agni.

— Nie słyszałaś, pani, o przenajświętszych tablicach? Powinnaś wiedzieć, że jest to niezaprzeczalny i jedyny znak, jaki znaleziono na ziemi, dowodzący istnienia bogów.

— A wszystkie pozostałe objawienia bóstw i cuda, dokonane w wielu krajach, pisma natchnione, prorocy i święci, to oczywiście nieświeży gulasz kłamstw, oszustw i przywidzeń, doprawiony głupotą i niewiedzą prymitywnych ludów — śmiertelnie poważnym głosem dodał Czomon.

— Zaiste, trudno sprzeciwić się twej mądrości, panie Czomon — skłonił się nisko dowódca.

— Dzięki ci, panie rycerzu, być może już niedługo będziesz miał możliwość powtórzyć te słowa i ponownie rozważyć ich słuszność — odparł bóg i pomimo że przyłbica skrywała jego twarz, wszyscy mieli wrażenie, iż uśmiechnął się łagodnie.

— Zatem, gdy przed wiekami znaleźliście ten bezcenny most, zbudowaliście tu warownię Dogodoto... — wrócił do tematu Sendilkelm.

— Twa wiedza o naszej historii napęła mnie radością, panie — odparł dowódca i ponownie się skłonił. — Dogodoto w mowie naszych dziadów oznacza Przyjmij Dar, tak, jak my przyjęliśmy znaki od naszych bogów. Niedaleko stąd, tam, gdzie stoi teraz Przenajświętsze Sanktuarium Jedynych Śladów, nasz pierwszy władca odnalazł ostateczną mądrość, czyli dane nam przez bogów tablice.

— Więc tablice, jak mówisz, zostały znalezione niemalże w tym samym miejscu, co most. To wielce intrygujące. Wiem, że dla Timajczyków nieodczytany tekst tablic stanowi największą mądrość i tajemnicę wiary. Czym zatem jest dla was ten most? Jakże się mamy zachowywać, stąpając

po tej świętości? — Sendilkelm z niewinną miną rozłożył ręce jak pokorny pielgrzym, który prosi mądrego kapłana o pouczenie.

Dowódca uśmiechnął się przelotnie i utkwiał wzrok w błyszczącej konstrukcji, przewieszzonej nad tysiącstopową przepaścią.

— Wierzymy, że otrzymaliśmy ten dar, by zbudować twierdzę nie do zdobycia, jak również po to, byśmy przez wieki mogli się zastanawiać, do jakich cudów zdolni są nasi bogowie, skoro tak doskonałą konstrukcję, z nie znanego nikomu poza nimi gatunku smokolitu, porzucili w Timajach, by ludzie mogli ją wykorzystać wedle swej mądrości. Nasza religia jest jedyną prawdziwą na tym świecie, gdyż zmusza nas do nieustannego poszukiwania woli bogów, do ciągłego wypatrywania kolejnych boskich śladów, oczekiwania i należytego przygotowania się na ich objawienie. Muszę przyznać, panie Sendilkelmie, że sam niezliczoną ilość razy podziwiałem boską konstrukcję tego mostu i jestem prawie pewien, że w zamyśle bogów wcale nie miał być to most, tylko my nie potrafimy odkryć odpowiedniego zastosowania tego daru. Z pewnością jest to wina zbyt płytkiej wiary. Czasami mam sen, że mądrzy bogowie, patrząc na nas z góry, wciąż czekają, że w końcu dotrzemy swymi powolnymi umysłami do granic prawdziwej wiary i poznamy ich rzeczywiste zamiary.

— Czy wiesz, panie — wtrącił Al Cheger — że uporczywie powracające sny często stają się rzeczywistością. Zechciej jednak oświecić mnie, maga niskiego stanu, pochodzącego z kraju leżą-



cego po drugiej stronie gór, cóż to za religia, w której nie zna się boskich zamierzeń, tylko czeka na ich odkrycie przez całe życie? Jak możecie wznosić modły, skoro nie znacie nawet imion waszych bogów?

— Słuszna uwaga — zabuczał spod przyłbicy Czomon. — To bardzo dziwne, czyż nie lepiej by było oddać się opiece boga, który objawił się na świecie osobiście, wyraźnie wyznaczając granice i zasady wiary? Jest kilka imion, pod którymi kryją się wielkie boskie siły i nie trzeba tracić życia na szukanie własnej drogi do niebios.

Dowódca milczał, wpatrując się w sylwetkę twierdzy Dogodoto, jakby tam szukał odpowiedzi. Strażnicy mostu długimi, kamiennymi włóczniami dali znak i kolumna jeźdźców z łoskotem wjechała na drżącą konstrukcję z koronkowo wykutego smokolitu, który opalizował jak żaden inny, znany ludziom smokolit.

\* \* \*

Sendilkelm i Bisenna nie mogli wyjść z podziwu dla ogromu twierdzy Dogodoto. Przy jej wykutych w litej skale, niebosiężnych murach, Atrim wyglądało jak dziecięcy zamek z piasku. Za murem zewnętrznym ujrzeli mur jeszcze wyższy, wzmocniony stu dwudziestoma basztami, jak wyjaśnił im dowódca straży. Wewnątrz tego podwójnego pierścienia znajdował się olbrzymi zamek, który krył

w sobie całe wykute w skale miasto. Były tam zbrojownie, warsztaty wszelkich rzemiosł, domy, koszary, ale przede wszystkim przepyszne ogrody z szumiącymi fontannami, świątynie z górskich kryształów, otoczone piętrowymi nekropoliami i place, wypełnione w dzień i noc kolorowym tłumem dworzan, mieszczan i kupców. Chociaż tawerny otwarte były na okrągło, podobnie jak domy różnych przyjemności, wszędzie panował idealny porządek i spokój.

Sendilkelm nie mógł uwierzyć, że w tak wielkiej twierdzy możliwe jest pogodzenie wojskowej dyscypliny z wykwinłym i przyjemnym poziomem życia. Przypomniawszy sobie chaotycznie zarzucone piętrowymi straganami, zatłoczone i cuchnące uliczki handlowe Atrim.

Cała kompania otrzymała kwatery godne królewskich posłów. Wprowadzono ich do małego zamku na wyspie jeziora zdobiącego główny ogród pałacowy. Był to budynek z białego kamienia, z dziedzińcem otwartym na przystań, gdzie kołysały się cztery błękitne, smukłe łodzie. Agni w zachwycie biegała po komnatach, powtarzając, że musi je wszystkie zobaczyć, zanim jakąś dla siebie wybierze. Mężczyźni zdecydowali się najpierw odwiedzić łaźnię parową, ukrytą w granitowych piwnicach zamczku.

\* \* \*

Sendilkelm z uwagą oglądał różową bliznę pod kolanem, a ręką badał liczne siniaki na boku i plecach. Wspominał kolejne dni wyprawy i w końcu nie bez zdziwienia stwierdził, że wszystko łączy się ze sobą niczym elementy wielkiego, skomplikowanego ornamentu, a on i jego kompania muszą przejść tę plecionkę do końca, inaczej zginą. Wizja ta tchnęła w niego niepojęty spokój. Sam się zdumiał, że radują go trudy, jakie musieli pokonać, że obecność przygłupiego Bisenny, marudnego Ala i jego osobistego boga, Czomona, koi jego duszę, jakby wszystko, co się do tej pory zdarzyło, było najlepszą z możliwych wersji zdarzeń. Uśmiechnął się leniwie do swoich myśli i jednocześnie uświadomił sobie, że zupełnie nie dba o to, czy ów stan zadowolenia zawdzięcza Kamiennej Łzie, Czomonowi czy też innym zainteresowanym nim istotom.

Al Cheger leżał jak trup na brzegu parującego basenu, mocząc w nim swe pałukowate nogi. Bisenna płał w się na plecach tak zamasyście, że co chwila woda wylewała się z basenu, podmywając magowi plecy. Większość była zmęczona, więc rozmowa przybrała formę wymiany jedynie krótkich uwag i stęknień. Większość, a nie wszyscy, gdyż Czomon był niezmordowany i w świetnym humorze. Nic dziwnego, w końcu tylko on w tym towarzystwie był bogiem. Wciąż snuł nowe opowieści o dawnych czasach, kiedy to wzdłuż i wszerz Timajów otaczano go absolutnym uwielbieniem. Sie-

dział zanurzony po pachy, oczywiście nadal w zbroi, i śpiewał właśnie jakiś kolejny zapomniany przed tysiącami lat hymn ku swej chwale.

— Nie chciałbym być zmuszony do zdobywania takiej twierdzy — mruknął Bisenna. — Takich murów w ogóle nie warto oblegać. Zanim timajski wartownik spostrzegłby wroga, cała armia, choćby i fraternijska, zdechłaby z głodu.

— Zastanawiałem się... myślę sobie... — wtrącił cienkim głosem Al — po co im taka nieosiągalna twierdza, skoro nie mają wrogów. Przecież reszta świata leży za tymi przekłętymi górami.

— Uważaj, panie magiku! — odparł głośnie Czomon. — Te przeklęte, jak mówisz, góry, to mój dom. A Timajczycy są najbardziej nierozsądnym narodem na ziemi. Sami się zresztą, dzisiaj o tym przekonaliście. Wierzą w bogów, o których nikomu nic nie wiadomo. Che, che, ciekawe, co Anielka robi z nimi po śmierci. Pewnie wykopuje ich do pierwszych lepszych niebios albo, jeśli istniejący bogowie nie chcą u siebie takich głupków, topi w Oceanie Bezcielesności... che, che, zmienimy to, cooo, mój Sendilkelmie?

— O, to świetny pomysł — odważnie wtrącił Al, nie zmieniając pozycji leżącej. — Wyjdźmy i ogłośmy, najlepiej w tej kryształowej świątyni... no, różnych śladów, że jedynym bogiem jest Czomon, a tablice i most od dzisiaj się nie liczą. Myślę sobie, że to będzie naprawdę świetne. Wszyscy się od razu na ciebie nawrócą.

Czomon zaśmiał się i rzucił mokrym ręcznikiem w maga.

— Pierwszym przykazaniem, które ogłoszę, gdy już nawrócą się na mnie rzesze Timajczyków, będzie zakaz magicznych praktyk, drugim, nakaz pozbycia się poprzez wrzucenie w przepaść wszystkich magów, nawet tych pomniejszych i zupełnie niegroźnych.

— Zaiste, boska to mądrość — odparł mistrz Cheger spod ręcznika.

— Jeżeli na chwilę się zamkniecie, to powiem wam, co w tej chwili jest naprawdę ważne — odezwał się głośno Sendilkelm.

— Pewnie ta spadająca gwiazda. Wiadomo, że to zły znak od Noca — mruknął Bisenna.

— Gwiazdy to rozpalone przez bogów magiczne ognie — odparł Sendilkelm. — Tak przynajmniej twierdzi Karcen. . .

— I w pełni się z nim zgadzam — wtrącił Czomon.

— Lecz ta szczególna gwiazda, która, jak nasz uczony Fraternalczyk twierdzi, jest jakimś tam martwym nasieniem — kontynuował niewzruszony Sendilkelm — może być w rzeczywistości pojazdem nowych, przybywających tu bogów. Lepiej, żebyśmy o tym pamiętali. Karcen musiał się tym naprawdę przejąć, skoro, by o niej powiedzieć, raczył się do nas odezwać po tylu dziesięciodniach milczenia.

— I tym razem w pełni się z tobą zgodzę, mój synu — rzekł Czomon.

— Czeka nas piękna walka.

— Obawiałem się, że coś takiego powiesz — mruknął Al.

\* \* \*

O zachodzie słońca do przystani białego zameczku przybyła oświetlona niebieskimi lampionami łódź. Dwunastu wioślarzy pracowało tak doskonale, że sunęła bezszelestnie, zachowując idealny poziom. Przypominali nieruchome, milczące zjawy, świecące niebiesko w łunie lampionów. Kanciaste, stalowe maski, skrywające ich głowy i ramiona, nie miały otworów na oczy.

Sendilkelm od dwóch obrotów siedział na parapecie sali jadalnej i wypatrywał jakiegoś ruchu ze strony Timajczyków. Od ich przybycia do Dogodoto minęły już dwa dni, a nadal nikt ich nie odwiedził, zupełnie jakby gospodarze zapomnieli o swych gościach. A jednak codziennie rano na murku otaczającym taras przystani znajdowali świeżą żywność.

Sendilkelm uparcie powtarzał, że powinni czekać na ruch Timajczyków. Zabronił Bisennie i Ałowi samowolnie opuszczać wyspę, choć być może łodzie w przystani pozostawiono właśnie w tym celu. Kamienna Łza popierał stanowisko swego rycerza, chociaż, biorąc pod uwagę jego obecnie dziwny, senny stan, Sendilkelm nie miał pewności, czy do końca traktować go poważnie. Kamienna Łza, obruszając się na jego myśli, dodał, że Czomon dał mu do zrozumienia, iż łodzie w przystani

są podstępem, a to ze względu na timajskie horenhoj, które zastrzega pierwszeństwo gospodarza w podjęciu rozmowy z gościem ze względu na konieczność wyjaśnienia przybyłemu praw panujących w domu, który odwiedził. Gość zaś musi tych praw przestrzegać i nie wolno mu dociekać spraw, których gospodarz nie chciał mu wyjawić. Sendilkelm zdawał sobie sprawę, że ich komfortowa kwatera może w każdej chwili stać się śmiertelną pułapką.

Czomon zamknął się w swojej komnacie, całymi dniami śpiewał modlitwy i nie chciał nikogo wpuszczać. Sendilkelm usłyszał od niego jedynie, że za dwa dni stanie się coś, co zmieni porządek rzeczy. A było to dwa dni temu. Rycerz przez cały ten czas nie usnął ani na jeden obrót. Dziś rano chciał się nawet pozbyć milczącego od wczoraj Kamiennej Łzy, w wyniku czego pozbawił się jedynie resztek wczorajszej kolacji.

Zatem siedział teraz i wpatrywał się w swoje odbicie, załamujące się na krawędziach płaskich kryształów okna. Bezmyślnie wodził palcem po przebijających jego szklaną twarz niebieskich błyskach lampionów czekającej w przystani łodzi.

Z zamyślenia wyrwał go okrzyk Czomona. Na jego wezwanie wszyscy zebrali się pod wysokim sklepieniem jadalni, Sendilkelm zauważył, że Agni mocno napracowała się nad swoim wyglądem. Od skórzanego stroju do konnej jazdy odpięła rękawy, a na ramionach wymalowała koronkowe plecionki w kształcie wzlatujących orłów. Włosy upięła w wysoki, kunsztowny kok, ozdobiony kilkoma

srebrnymi łańcuszkami, policzki przyprószyła pyłem zielonego złota, a powieki pomalowała na biało. Al Cheger doprał swój wełniany kaftan i wyglądał tak samo, jak wtedy, gdy Sendilkelm zobaczył go po raz pierwszy. Bisenna zaplótł sfilcowane włosy w płaski węzeł na karku i wypolerował złote kulki, które teraz rozświeślały koniec każdego loka. Czomon stał i wyglądał jak dekorująca wnętrze zbroja.

Usłyszeli śpiewnie powtarzające się niezrozumiałe słowa. Dźwięki wydobywające się spod stalowych masek wioślarzy były niskie i niepokojące jak pomrukiwania czającego się drapieznika.

— Chodźmy, wołają nas — rzucił krótko Czomon i pierwszy wyszedł na taras.

\* \* \*

Łódź dobiła już do rozświetlonej tysiącami lampionów przystani głównego pałacu. Na jej powitanie wyszedł jeden tylko człowiek, przystrojony w płaszcz z ptasich piór, z twarzą pokrytą dziesiątkami zaklęć. Pod czarnym barwnikiem Sendilkelm rozpoznał rysy rycerza Ruffila, członka osobistej straży księcia Mikkolego.

— Dobrze, że wasze horenhoj dopomogło wam zwycięsko przejść próbę łodzi — powitał ich uroczyście, jakby intonując pieśń.

— My też się cieszymy, że jeszcze żyjemy — odparł Al.



— Zawdzięczacie to tylko sobie. Nasz kraj słynie z gościnności okazywanej gościom, którzy na to zasługują — skłonił swą pomalowaną twarz Ruffil. Baczenie przyjrzał się każdemu z nich, w końcu zatrzymał wzrok na Agni.

— Przedziwny strój wybrałaś na dzisiejszą uroczystość, o pani. Sugerowałbym pewne zmiany, gdyż będziesz się czuła nieswojo pomiędzy innymi paniami, ubranymi tak, jak nakazuje dobry obyczaj.

— Czy mam zasłonić ramiona? — trochę zbyt wojowniczym tonem spytała dziewczyna. — Wielkim szacunkiem darzę wasze horenhoj, lecz zważ panie, że pochodzę z drugiej strony Timajów.

— To już tylko twój problem, pani — surowo uciał jej wypowiedź Ruffil. — Teraz posłuchajcie, co stanie się dziś waszym udziałem. Dwa księżycy temu najwyższa kapłanka Przenajświętszego Sanktuarium Jedynych Śladów ogłosiła swoją coroczną przepowiednię. Książę Mikkoli wyruszył na zachodnie rubieże doliny, kierowany jej słowami. Miał znaleźć tam znak dany od bogów. Książę, niech jego horenhoj na zawsze pozostanie czyste jak kryształ, uznał, że to wasza obecność jest tym znakiem. Wczorajszej nocy na niebie pojawiła się lecąca gwiazda. To kolejny znak. Wszystko wskazuje na to, że dzisiejsza, coroczna uroczystość Wieczoru Siedmiu Opowieści będzie wyjątkowa. Pan Dogodoto uznał bowiem, że wasze w niej uczestnictwo jest pożądane przez bogów. Jeśliby jednak okazało się, że jest inaczej, otworzymy przed wami drogę w zaświaty jeszcze przed świtem.

— Zaiste, wasze horenhoj jest najwyższej próby — wtrącił uprzejmym tonem Czomon.

— Jest tak istotnie, panie Czomon — odparł Ruffil. — Bacz jednak uważnie, by dziś wieczorem nie przerwać czyjejś wypowiedzi, zwłaszcza kogoś, kto jest znacznie ode mnie potężniejszy. Wtedy nawet twoja smokolitowa skóra cię nie uratuje. Dodam, że w Timajach mężowie mogą wszędzie wejść dowolnie uzbrojeni, zatem nie musicie pozostawiać swego oręża przed pałacem. Pragnę tylko, byście zwrócili uwagę na osiemdziesiąt otworów w ścianach Sali Wielkich Świąt, do której teraz was zaprowadzę.

— Zgaduję, że za każdym z nich czai się kusznik — wesoło wtrącił Czomon i rozłożył szeroko ręce.

Ruffilowi pociemniała twarz, lecz opanował się błyskawicznie i, również z uśmiechem, odparł:

— A pan Czomon, jak słyszę, bezgranicznie wierzy, że żaden bełt nie przebije smokolitowego pancerza — wzięł głęboki wdech. — Na dzisiejszej uroczystości będziecie gośćmi najznamienitszych obywateli i najwyższych kapłanów Dogodoto, ja zaś będę waszym przewodnikiem. Przed panem tego zamku zaręczyłem swoim horenhoj, że dołożę wszelkich starań, by wasze zachowanie było właściwe.

— Czy mogę powrócić na wyspę? — spytała nerwowo Agni. — Skoro naigrawasz się, panie, z mego skromnego stroju, rozumiem, że może on urazić czyjeś horenhoj.

— Odmowa zaproszenia na Wieczór Siedmiu Opowieści byłaby największą, a zarazem ostatnią obrazą, jaką uczyniłabyś, pani, w swoim krótkim życiu — lodowato odpowiedział jej Ruffil, po czym skinął dłonią i skierował się ku zębatej bramie, a Czomon tanecznym krokiem ruszył za nim.

Bisenna przychylił głowę nad twarzą Agni, szczerząc wszystkie zęby.

— Dzikusom nie musisz się podobać. Ważne, że my, twoi kompani i bracia w orężu, uważamy, że jesteś piękna niczym poranek.

— Zamknij się, Bisenna — burknęła i ruszyła za Czomonem.

Al poklepał Fratarnijczyka po ramieniu.

— Nie przejmuj się, przyjacielu, to wszystko przez to, że kobiety mają inną krew, jakby... no, bardziej zapieczoną. Poza tym ich serca są mniejsze, to naukowy fakt, więc mniej w nich uczuć niż w sercach potężnych wojowników, takich jak my. Ponadto są niższe, więc wątroba nie ma dosyć miejsca i żółć zbyt ściśnięta często zalewa serce. A co najważniejsze, ciała kobiet są miększe, wobec czego ich myśli robią się zazwyczaj okrutnie twarde, wiesz, dla zachowania równowagi.

— Nigdy bym nie przypuszczał, że przyznam kiedyś rację magowi. Magośćmierność! Miętkość-słabobaboć! — odparł Bisenna i ruszył za Agni.

\* \* \*

Weszli w strzeliście sklepiony korytarz, wyłożony ośmiokątnymi płytami z białego opalu. Do Sali Wielkich Świąt prowadziło jedno wejście, okolone typowym dla timajskiej architektury portalem kamiennych zębów o krawędziach ostrych jak miecze. Sendilkelm spodziewał się wprawdzie przepychu i bogactw, jednak rozmach i ogrom pomieszczenia, do którego weszli, wprowadził go w stan osłupienia. Sklepienie, rozświetlone kopułą z potężnych, płaskich kryształów, pospinyanych ośmiokątnymi stalowymi ramami, zdawało się nieważko unosić nad kolistą podłogą. Wspierały go jedynie smukłe, błękitne kolumny, skryte w cieniu przy ścianach, wyłożonych czarnym smokolitem. Podłogę stanowiła lita, wypolerowana na lustro skała, która odbijała kryształowe sklepienie, jak i podwajała wszystko, co na niej stało. Pośrodku podłogi, w szerokiej na dwadzieścia łokci kamiennej misie, płonął zielononiebieski płomień. Wokół niego wyznaczono krąg, wtapiając w skałę zawite wzory z zielonego złota.

Za płonącym centrum, przy stołach biesiadnych, siedzieli na stosach wyszywanych poduszek dostojnicy Dogodoto, wystrojeni w pióra i wymalowani podobnie jak Ruffil.

Kobiety timajskie, smukłe i czarnowłose, siedziały w wystudiowanych, sztywnych pozach przy osobnych stołach. Wszystkie ubrane były w suknie jednego kroju, które tworzyły przede wszystkim czarne kołnierze, sięgające ponad upięte wysoko włosy, ozdobione długimi piórami orłów, a ku

dołowi zwężające się łagodnie, by na wysokości pępków zakończyć się wąskimi szpicami. Piersi Timajek pozostawały odsłonięte, przyprószone jedynie złotym pyłem lub zmielonym, zielonkawym kryształem. Agni przyznała markotnie, że rzeczywiście do nich nie pasuje.

Wszyscy milczeli i ze wzrokiem wbitym w ogień wyglądali jak przybysze z zaświatów w trakcie jakiegoś tajemniczego rytuału.

Ruffil położył palec na ustach i oczami wskazał miejsca zarezerwowane dla gości. Agni musiała usiąść osobno, wśród timajskich piękności. Zdążyła jeszcze posłać piorunujące spojrzenie Ałowi, który na ich widok rozdziawił się jak wiejski głupek.

Gdy minął jeden obrót, Timajczycy jak na komendę przerwali milczenie. Kobiety rozluźniły swe pozy i usiadły wygodnie. Bisenna i Al mogli wreszcie przyjrzeć się oryginalnym osiągnięciom timajskiej mody, odsłaniającej nadspodziewanie głęboko damskie uda. Mężczyźni sięgnęli po parujące w kamiennych misach jedzenie. Sendilkelm wsparł dłonie o blat stołu i poczuł przyjemne ciepło. Ruffil zachęcał go ruchami dłoni i ust do jedzenia.

Do wnętrza płomiennego kręgu wkroczył niewielki, otyły staruszek. Jego długą brodę tworzyła plecionka cienkich warkoczyków, zakończonych kolorowymi kamykami.

— Dziś odnajdziemy naszą drogę wśród gwiazd. Dziś napijemy się świętej wody ze źródła prawdziwej wiary. Dziś serca i umysły nasze znów wyruszą w poszukiwaniu odpowiedzi. Dziś ponownie uwierzymy w bogów naszych. Dziś Wieczór Siedmiu Opowieści! — rzekłszy to, skłonił się i obszedł płonąca misę, wpatrując się po kolei w każdego ze zgromadzonych. Wskazał palcem wielkiego wojownika, siedzącego przy stole naprzeciwko Sendilkelma i jego kompanii.

Wskazany dostojnym krokiem wszedł do wnętrza złotego kręgu, wyciągnął z sakwy garść iskrzących się kamieni i wrzucił do ognia, wzbijając tęczowe iskry.

— Oto mój dar dla bogów naszych, obyśmy poznali ich oblicza i imiona! — powiedział tak głośno, że dźwięczny rezonans przeszył kryształową kopułę. — Wielka to rzecz dla mojego horenhoj, że mistrz nasz Enga Enga mnie właśnie wybrał, bym rozpoczął dzisiejsze święto. I powiem wam, o dostojni i mądrzy bracia i siostry w prawdziwej wierze, że byłem dziś w Przenajświętszym Sanktuarium Jedynych Śladów i widziałem, co bogowie tam dla nas zostawili. Pozostałem w milczeniu. I oczyściłem swój umysł, i otworzyłem oczy mego istnienia, i odemknąłem uszy mego istnienia, i uciszyłem serce. Wszystko po to, by spłynęła na mnie prawda. I otrzymałem ją, jako dar najwspanialszy od bogów naszych. A prawda, którą dziś w sobie odkryłem, brzmi: nie znam ich imion, nie znam ich zamiarów i nie wiem, czy przyjdą po mnie, gdy umrę, lecz wiem, że tylko bogowie tablic są prawdziwi. To im poświęcę resztę swego życia, w nadziei, że właśnie tego sobie życzą. Dziś,

jak co roku, usłyszymy siedem opowieści o innych, fałszywych bogach, bogach, których wymyśli-li ludzie wiedzeni swym przerażeniem i pomieszaniem umysłów. Usłyszymy dziś o cudach, które nigdy nie wydarzyły się naprawdę, o natchnionych księgach, które powstały tylko w głowach szalonych kapłanów, o zaświatach, które nie istnieją w żadnym wymiarze. Słuchajcie i módlcie się, aby te opowieści oczyściły nasze umysły z iluzji, abyśmy widzieli oczyma naszych istnień, jak różna jest prawda od bająn nawiedzonych kapłanów i jak daleko są prawdziwi bogowie od świątyń, które ludzie wznieśli ku chwale swych zmaconych umysłów. Niech te opowieści dadzą wam siłę, by dzień po dniu zbliżać się do prawdy, niszcząc fortece ludzkich iluzji, zwyciężając obłąkane armie ludzkich myśli, przepływając morza szalonej ludzkiej wyobraźni i pokonując góry żądz ludzkich — wojownik skłonił się nisko i powrócił do stołu.

Staruszek z plecioną brodą ponownie okrążył palenisko, szukając czegoś w twarzach zgromadzonych. Zatrzymał się przed Agni, lecz po chwili odszedł i wskazał palcem młodą Timajkę.

Ta spokojnie przeszła do wnętrza kręgu. Stała z ciała i strzepnęła nad ogniem złoty pył, zostawiając na piersiach jasne ślady palców.

— Oto moja ofiara — powiedziała dźwięcznym głosem, wzbudzając wśród Timajczyków szmer uznania.

Sendilkelm kontemplował niezwykle wzrost Timajki. Wyobraził sobie, jak przy niej staje i twarz jego łąduje dokładnie na tych kształtnych piersiach. Spojrzał na Bisenę i stwierdził, że myśli jego kompana są tak samo dalekie od zagadnień religijnych.

Timajka skłoniła się i zaczęła powoli krążyć wokół paleniska.

— Imię moje Maffirra i niech zostanie ono zapamiętane jako imię tej, która poszukuje i w poszukiwaniach swoich prawdę od fałszu chce odróżnić. Byłam kiedyś z ojcem moim po drugiej stronie Gór Cienia, w kraju, gdzie urodzajna ziemia styka się z tak wielkim słonym jeziorem, że nie widać drugiego brzegu, a pływające po nim statki są dziesięciokroć większe od naszych domów. I wysłuchałam kapłanów ludu tam mieszkającego. A oto, co powiedzieli mi o swych bogach. Wielki Likeszi, ich bóg, nappełnił bezkresne jezioro, po którym pływają, wszelkimi potworami. Najbardziej upodobał sobie bestie zwane krakenami. Ich potężne szczęki przecinają kadłuby wielkich okrętów, jakby to były trzciniowe zabawki. Gwałtowne burze, które powstają, jak wiemy, gdy mieszają się masy zimnego i ciepłego powietrza, oni nazywają gniewem Likesziego. Tym samym są dla nich sztormy i wiatry. Przebłagują swego wymyślonego pana, ofiarowując krakenom dziewice. Wierzą, że dziewczęta te trafiają po śmierci prosto do niebios swego boga, gdzie spędzają wieczność w chwale i uwielbieniu, a na ich rodziny spadają łaski i bogactwa. Gdy kraken zbliży się do statku, młodzi kapłani rzucają się w fale, jeśli bowiem ryba ich pożre, zostają świętymi, jeśli zaś daruje im życie,



stają się wysokimi kapłanami i głosicielami Likesziego. Najbardziej szanowani są Dotknięci Przez Boga, czyli ci, których kraken zranił. Najwyższym kapłanem może zostać tylko ktoś tak przez tę rybę okaleczony, że nie może samodzielnie poruszać się. Ludzie ci, modląc się w świątyniach o rybich kształtach, dziękują Likesziem za to, że dał im syna, Wielkiego Krakena, który dźwiga na grzbiecie cały świat. Dla nich spadająca gwiazda jest znakiem, że bóg zrodził nowego krakena, który, zanurzywszy się w wodzie tuż za horyzontem, przyplynie wkrótce do swych wyznawców, by poddać ich wiare nowej próbie. Jeśli woda wyrzuci na brzeg truchło tego potwora, ludzie popadają w rozpacz, myśląc, że Likeszi uśmiercił jednego z synów, by okazać im swą potęgę. Wieki temu nawiedzeni kapłani podyktowali pięć ksiąg o naukach tego boga, gotując straszny los swemu ludowi. Jak słyszycie, o dostojni Timajczycy, lud ten, pogrążony od pokoleń w nieszczęściu sprowadzonym przez szalonych kapłanów, nie odkryje nigdy prawdy. Bowiem wznoszą oni modły do stworzenia, które w najlepszym razie może zostać przerobione na sto baryłek tłuszczu i kilka skrzyń ościanych grzebyków lub na obiad dla pułku wojska — Maffirra skłoniła się, obeszła ogień dookoła i powróciła do towarzyszek.

Mistrz ceremonii znów zajął swe miejsce.

— Usłyszeliście pierwszą opowieść. Są ludy nieszczęsne, które wierzą w potwory i nie wiedzą, że bogowie ich nie z niebios pochodzą, lecz z ciemnych głębin ludzkich umysłów. Dziękujemy ci,

o dostojna Maffirro, że swą opowieścią pouczyłaś nas, by nie tworzyć potwornych bytów w naszych umysłach. Czas na drugą opowieść. Niech siła wyroczeni kieruje moją ręką, bym wybrał osobę, która powinna dziś przemówić.

Enga Enga delikatnie skinął dłonią w kierunku potężnego jak niedźwiedź starca. Wojownik wstał i, lekko kołysząc swą tuszą, wszedł w krąg. Zdjął z szyi migoczący od złotych ozdób wisior i podniósł go wysoko nad głowę.

— Jestem Wirr, niektórzy znają mnie jako dowódcę okrytego chwałą nieistniejącego już, niestety, oddziału o czerwonych skrzydłach. Naszym godłem był czerwony burzot. Właśnie tak, jak burzoty, ptaki nieśmiertelne, rzucaliśmy wyzwanie wiatrom i chmurom, lataliśmy najdalej i najodważniej. Cienie naszych czerwonych skrzydeł padały na dalekie krainy, na ziemie Czarnych Ludów, przemierzających równiny u stóp Timajów. Ten oto medalion, bezbłędnie wskazujący wszystkie osiem kierunków świata, miałem zawsze przy sobie. Teraz poświęcam go świętemu ogniovi, gdyż nie ma mego oddziału, a zatem i kierunkowskaz mój nijakiej pomocy już nie niesie. Wszyscy bowiem wiemy, że świat ma osiem kierunków, słoneczny i przeciwsloneczny, księżycowy i przeciwksiężycowy, a dodatkowo dwa półsloneczne, zwane perłowymi, i dwa półksiężycowe, zwane kropłowymi. Z tego powodu, a może też i z innych nieznanych przyczyn, lubimy ośmiokątne przedmioty. Może to i niezbyt mądre, ale wytwarzamy także stoły, krzesła, naczynia i biżuterię. Wszak

tylko ośmiokątny dom lub stół nie niesie chaosu, lecz, zgodny z kierunkami świata, wnosi harmonię w nasze życie. A oto opowieść o tym, jak liczby i kształty sprowadziły śmierć na moich lotników. Wyruszyliśmy z Massodaj w kierunku przeciwksiężycowym. Podczas jednego z pościgów za ludzkimi szczurami wpadliśmy w burzę. Przedziwny prąd wznoszący wybił nas na wysokość tak znaczną, że skłębione czarne chmury zostały daleko pod naszymi skrzydłami, a powietrze wokół nas zrobiło się lodowate i rzadkie tak, że z trudem mogliśmy oddychać. Gdy po kilku obrotach, prawie przemarznięci na śmierć, wydostaliśmy się szczęśliwie z obszaru wznoszącego prądu, ujrzyliśmy w dole świętą górę Czarnych Ludów, zwaną Okiem Ziemi. A musicie zdawać sobie sprawę z cudowności tego zdarzenia., gdyż w normalnych warunkach nikt i nigdy nie zdołałby w jeden dzień dolecieć tak daleko. Lądowaliśmy bardzo szybko. Zmęczenie, największy wróg każdego wojownika, zemściło się na nas okrutnie. Gdy tylko nasze czerwone skrzydła dotknęły ziemi, pojawili się czarni ludzie. Wśród krzyków i wrzasków otoczyli cały nasz oddział i setki strzał i oszczepów w mgnieniu oka podziurawiły nasze skrzydła. Walka nie miała sensu. Pojmano nas i pod strażą odprowadzono do królowej. Ludzie ci nie budują miast, jak my. Całe życie spędzają w drodze, przemierzając bezkresne stepy i pustynię Morr Dill Szen na posłusznych im sześciopalcowych jaszczurach. Te długie na pięćdziesięciu mężów stworzenia są niezwykle łagodne i cierpliwie. Bez żadnego sprzeciwu wozą na swych grzbietach całe drewniane domostwa i dobytek plemienia. Tylko królowa i niektórzy

z jej dworu znali mowę wszechplemion. Wyjaśniono nam, że cieszą się z naszego przybycia, a to szczególnie z tego powodu, że jest nas ośmiu. Musicie wiedzieć, że lud ten czczy liczby i geometrię, a osiem jest dla nich liczbą pomyślną. Zniszczyli nasze skrzydła, byśmy już na zawsze zostali w ich plemienu i jako własność królowej dołączyli do grupy ulubieńców dworu, przynoszących władczyni szczęście. Postanowiliśmy czekać i nie podejmować walki. Bez skrzydeł, w ośmiu, w obcym kraju, nie mieliśmy szans na ucieczkę. Tymczasem poznawaliśmy zwyczaje czarnych. Szukali wszystkiego, co natura obdarzyła idealnym kształtem geometrycznym, po czym twór ten obdarzali najwyższym uwielbieniem. Wierzyli, że geometria i liczby są znakami od bogów, a sami bogowie są zbiorem liczb i świętych kształtów skrytych w magicznym wymiarze. Mieli nadzieję, że poznając i wielbiąc geometryczne kształty i liczby, zasłużą na wyzwolenie po śmierci. Z wielką wprawą potrafili wszystko zmierzyć i określić proporcje. Ciała swych zmarłych palili w ten sposób, by ocalały kości ich dłoni, te z kolei zbierali do ośmiokątnych tykw i przewozili ze sobą. Chcąc porozumieć się z przodkiem, wysypywali kostki jego dłoni na płaski kamień. Jeżeli ułożyły się w ośmiokąt lub inny idealny kształt, znaczyło to, że zmarły ma się dobrze i z zaświatów opiekuje się żywymi, jeśli zaś wzór kości był zupełnie przypadkowy, wróżyło to nieszczęście. Nie polowali na ptaki, których pióra tworzyły geometryczne wzory na skrzydłach, ani na węże z romboidalnym deseniem na skórze, również żuki o kolistym pancerzu i ryby o pięciokątnych płetwach były według nich święte. Zbierali

kryształy kwarców i jadeitów, a z ludzi czcili tych, którzy zrodzili się ze szczególnymi znamionami na ciele. Królową, którą poznaliśmy, plemię wybrało właśnie z powodu ośmiokątnego, krwistego znamienia na lewym policzku. Wśród ulubieńców dworu była dziewczyna uchodząca za wybranekę bogów z powodu pieprzyków tworzących idealny sześciokąt na jej plecach. Kiedy z czasem przytyła, a jej ciało rozciągnęło się i zniekształciło, sześciokąt ów stracił na symetrii, co uznano za zły znak, a dziewczynę, jako przynoszącą nieszczęście, stracono. Nas traktowano jak zwierzątka domowe. Karmiono i dbano o podstawowe potrzeby, rozmawiano z nami, ba, zalecały się do nas nawet ich kobiety. . . Ale żaden z nas nie interesował ich osobno, jako człowiek o jakimś wyglądzie i charakterze. Istnieliśmy dla nich jedynie jako grupa ośmiu ludzi. Nasz oddział był dla nich osobą o ośmiu ciałach, osobą, którą zesłali im bogowie jako dobrą wróżbę. Zawsze musieliśmy się trzymać blisko siebie. W czasie postojów, gdy potężne jaszczury pożywiały się wszelkimi roślinami, jakie trafiły się w okolicy, pilnował nas oddział uzbrojonych, lecz nastawionych opiekuńczo wojowników. Wspominałem już, że ludy te czczą łagodne i leniwe węże o romboidalnej, czerwono-żółtej skórze. Klatki z nimi ustawiają w swoich domach, by sprowadziły na nie szczęście. Widzieliśmy wielokrotnie, jak bawią się nimi dzieci, a kobiety okręcają je sobie wokół szyi. Gdy węże ich kąsały, co zdarzało się dosyć często, śmiali się, uradowani z dobrej wróżby. Zdarzyło się, że młoda, czarna kobieta, chcąc popisać się przed jednym z naszych lotników, owinęła sobie kilka węży wokół talii i obwiązała je

ciasno chustą. W nocy przysła do jego posłania, co nie było takie dziwne, bowiem ich kobiety czyniły tak często. Węże kąsały nieszczęśnika raz za razem. Kobieta początkowo śmiała się i wołała innych, by zobaczyli, jak dobrą wróżbę sprowadziła na młodego mężczyznę, o świecie jednak z przerażeniem stwierdziła, że wybranek bogów nie żyje. Zatrzymano jaszczury i wśród piasków pustyni Morr Dill Szen zwołano radę plemienia. Śmierć jednego z naszych rzucała na nich klątwę. Wiecie już, w ośmiu przynosiliśmy im szczęście, w siedmiu, nie. Królowa postanowiła zabić jeszcze jednego lotnika, gdyż w sześciu mogliśmy nadal tworzyć świętą liczbę, choć nie tak ważną, jak osiem. Próbowaliśmy stawić opór, ale byliśmy bez szans. Następnego dnia było więc nas już tylko sześciu. Nadal traktowano nas dobrze. Rozmawiano z nami, karmiono, nawet zabawiano... Kilka dni później jednemu z naszych przez sen podcięto gardło. Podejrzewaliśmy, że zamordował go ktoś z otoczenia królowej, zazdrosny o jej względy. Na próżno usiłowaliśmy przekonać zwołaną radę, że pięć to także święta liczba. Nazajutrz było nas już tylko czterech. Spaliśmy na zmianę i pilnowaliśmy się nawzajem. Ktoś z dworu królowej prowadził z nami jakąś grę. Może życzył jej złego losu i wierzył, że to my, zesłane przez bogów zwierzątka, zapewniamy jej powodzenie. Wiedzieliśmy, że śmierć jeszcze jednego z nas będzie wyrokiem na pozostałych. Według Czarnych Ludów bowiem święte są jedynie liczby parzyste i większe od czterech. Dwa dni później zmarł kolejny z mych lotników. Nie obudził się, prawdopodobnie został otruty... Pozostałą trójkę związano i postawiono

przed królową. Znała nas po imieniu, często z nami rozmawiała, dopytywała się ciekawie o zwyczaj Timajczyków i pewnie dlatego zwlekała z decyzją. Jednak jeden z jej kapłanów, nie czekając na słowo władczyni, rzucił się na nas z oszczepem i, zanim go odciągnięto, dwaj moi towarzysze leżeli martwi. Rozgorzała kłótnia. Nie rozumiałem nic, gdyż wszyscy wrzeszczeli w ich, nieznanym mi, narzeczu. W końcu zniecierpliwiona królowa machnęła ręką, wyrwała jednemu z wojowników włócznię z rąk i zbliżyła się do mnie. Ostry grot rozciął mój kaftan. . . I wtedy czarni ludzie ujrzeli wytatuowany na mej piersi ośmiokątny herb naszego oddziału. To mnie uratowało. Uznano mnie za osobę dotkniętą przez bogów, jednak królowa nie chciała mnie już dla siebie. Bez jakiegokolwiek wyjaśnienia, w kilka dni później zostawiono mnie na skraju pustyni, u podnóża Timajów. Tak oto liczby i geometria, mącąc umysły Czarnych Ludów, stanowią o czyjejs śmierci lub życiu. A dzieje się tak nie tylko z powodu okrucieństwa i głupoty tych dzikich plemion, lecz przede wszystkim za sprawą ich głębokiej i niezachwianej wiary w geometrycznych i liczbowych bogów. Wspominam te wydarzenia sprzed lat za każdym razem, gdy siadam do ośmiokątnego stołu, gdy jestem w ośmiokątnej sali lub gdy widzę lecący oddział. . . — stary lotnik pochylił głowę i ciężkim krokiem wrócił na swoje miejsce.

Mistrz ceremonii, Enga Enga, ukradkiem poprawił swój potężny ośmiokątny wisior, błyszczący na piersi, i bez słowa wskazał następnego bohatera wieczoru.

Był nim Pan Dogodoto, ojciec Mikkolego. Stary wojownik, by utrzymać ciało w posągowej pozie, czego wymagało jego horenhoy, wsparł się mocno na mieczu i cisnął w ogień niewiele większą od dłoni książkę w srebrnych okuciach.

— Ofiarowuję oto mój pamiętnik z lat młodości, kiedy to we wszystkim dopatrywałem się boskich znaków — rozpoczął uroczystym tonem. — Nie chcę, by ktokolwiek w przyszłości miał sposobność uwierzyć w to i przejąć się tym, co w istocie było tylko wymysłem młodego, naiwnego i słabego umysłu... A teraz posłuchajcie, wielcy w swych poszukiwaniach Timajczycy. Piękna Maffirra opowiedziała o potworach, Wirr o zgubnej w skutkach wierze w liczby i geometrię, ja opowiem o księgach spisanych przez ludy Polemnoj. Niech opowieść ta pouczy was, ile rzeczywiście warte są święte księgi. Pierwszy król Polemnoj, który żył w czasach, gdy świat był jeszcze młody i dopiero pojawili się na nim pierwsi ludzie, miał wizję, w której zobaczył drogę w zaświaty. Uznał się za wybrańca bogów i odtąd głosił, że tylko ten po śmierci trafi w zaświaty, kto jeszcze za życia pozna dokładną do nich drogę. Król umarł, lecz zbyt dokładnych opisów nie zostawił. Kapłani budowali liczne Świątynie Drogi i wciąż pisali natchnione księgi o pośmiertnych podróżach. I nic w tym dziwnego. Jako ludzie światli wiemy dobrze, że jeżeli ktoś naprawdę pragnie mieć wizję na dany temat, to przeżyje ją, gdyż głębsze warstwy jego umysłu muszą odpowiedzieć na potrzeby warstw płytszych. Kapłani nie znali tego prostego procesu myślowego i wierzyli, że ich wizje



pochodzą od bogów. W ten sposób utwierdzili siebie i swój lud w religijnej potrzebie odkrywania drogi w zaświaty. Teraz opowiem wam ciekawą historię powstania jednej z głównych ksiąg Polemnoj — Księgi Skorup. Na jednej z wysp urodzili się bliźniacy o białej skórze i białych włosach. Dzicy ludzie Polemnoj bali się białych odmieńców i nakazali matce wychowywać chłopców w odosobnieniu. Zamieszkała z nimi w chacie bez okien, na odludnym klifie wyspy. Kapłani przynosili im skromną żywność, a strażnicy pilnie strzegli, by nie wymknęli się z odosobnienia. Gdy bliźniacy osiągnęli wiek siedmiu lat, przywiązano ich do masztu tratwy i pchnięto na głębokie wody. Gwałtowna burza morska wyrzuciła tratwę na brzeg bezludnej wyspy. Od tej chwili chłopcy dorastali samotnie, powoli zapominając o istnieniu innych ludzi. Z czasem, mówiąc krótko, szaleństwo spadło na ich umysły. Pamiętali jednak proste nauki matki. W pomieszaniu swych zmysłów szukali ciągle obrazu drogi w zaświaty, gdyż nie chcieli zostać po śmierci sami, tak jak za życia. Codziennie każdy z nich udawał się na przeciwny kraniec wyspy, by przeżywać swoje wizje. Wieczorem, gdy się spotykali, opowiadali sobie o kolejnym odcinku drogi, który udało im się odkryć. Zapisywali wszystko, wydrapując na żółtawych skorupach fragmenty map i rysunkowe opisy. Po latach, przed jaskinią, w której mieszkali, piętrzył się stos skorup pokrytych inskrypcjami i rysunkami. Nie wiadomo, kiedy i jak umarli, lecz gdy myszy piaskowe urządziły już sobie mieszkania w ich bielejących czaszkach, na wyspie wylądował kapłan. Przemierzał morza i wyspy w poszukiwaniu znaków od

bogów. Odkrył rysunki i zapiski braci i uznał ich za zesłanych przez bogów świętych. Pieczołowicie zebrał i dopasował do siebie wszystkie skorupy, po czym wrócił do wielkiej świątyni Polemnoj. Jak nietrudno się domyślić, ogłoszono go naczelnym kapłanem, a jego znalezisko stało się główną świętą księgą ludu Polemnoj, Księgą Skorup. Na koniec powiem tylko, że kapłan ów dopasował skorupy wedle systemu dziesiętnego, a ich zapis podzielił na dziesięciostronicowe rozdziały, zwane potem przez wiernych Dziesięcioma Wskazaniami. Nie przyjrzał się jednak dokładnie szczątkom bliźniaków. Gdyby to uczynił, zauważyłby, że mieli u stóp po sześć palców. W rzeczywistości ich zapisy zostały posegregowane w systemie dwunastkowym. Jakież to jednak mogło mieć znaczenie dla ludu, dla którego podstawą wiary stały się urojenia dwóch nieszczęśników? — Pan Dogodoto skłonił się i otarł dłonią kąciki ust.

Mistrz ceremonii odpowiedział mu uniżonym ukłonem i odprowadził na miejsce.

— Usłyszeliście o księgach, które szaleństwo zaszczepiły w umysłach całego narodu. Po wsze czasy pamiętać zatem będziemy, my, którzy poszukujemy prawdziwej wiary, że księgi napisane przez człowieka są tylko wymysłem ludzkiego rozumu bądź szaleństwa. Gdyby bogowie cokolwiek chcieli zapisać, sami by to uczynili. A gdyby chcieli, by ich księgi posiadali ludzie, zesłaliby je. Tak jak nam zesłali Przenajświętsze Tablice.

Znowu obszedł ogień i z tłumu, czekającego w milczeniu przy stołach, wybrał młodego, chudego chłopaka o nosie wielkim jak dziób orła.

Młodziak przykuszykał na środek sali szczelnie pokryty rumieńcem. Wcisnął głowę w ramiona i dokładnie zmierzył wzrokiem otaczających go ludzi, jakby chciał sprawdzić, czy nie ma jednak jakiejś drogi ucieczki. Wyrwał ze swego płaszcza orle pióro i cisnął w święty ogień jako ofiarę.

— Jestem Pędzący Szpon, mówią na mnie Szpon. . . — zaczął, jękając się i przymykając oczy, by nie widzieć twarzy zgromadzonych. — Chciałbym, aby zapamiętano mnie jako tego, który nie uwierzył w tajemnicze stworzenia i choć wie, że istnieją, nie oddaje im czci, lecz szuka tajemnic prawdziwej wiary. Jestem najmłodszym w Dogodoto mistrzem orlich lotów. Wystartowałem kiedyś z przeciwstóncznego posterunku, przy górze Czterech Kłów, na zwiad do kraju leśnych Molmelsów. Jedno z moich skrzydeł porwała burza i straciłem poczucie kierunku. Udało mi się wylądować na wodach leśnego jeziora. Molmelsi wyłowili mnie, a ich szaman uznał, że jestem darem z niebios i że zaniosę naukę jego bogów do ludu Timajów, o co od dawna się modlił. Gdy tylko zagoiły się rany na mojej nodze, zaprowadził mnie do świętego miejsca pośrodku ich umocnionej osady. Była to nieustannie strzeżona, kamienna chata. Strażnicy związali mi ręce i nogi, a szaman oznajmił, że moim zadaniem będzie tylko patrzeć i słuchać. Zaniesiono mnie do ciemnego pomieszczenia. Gdy już nabrałem pewności, że poświęcono mnie jako ofiarę w jakimś rytuale, dach chaty rozsunał się

i do wnętrza wpadło światło. Wówczas dostrzegłem na podłodze miniaturowy zamek. Wykuto go ze złotych blaszek i ozdobiono tysiącami kryształów. Był piękny, jednak zaniepokoiło mnie to, co zobaczyłem na jednym z jego tarasów. Na maleńkich, kryształowych tronach siedziały tam ziarna fasoli, lecz nie takie zwyczajne, a ożywione. Rozmawiały o czymś piskliwymi głosikami i wskazywały na mnie krzywymi łapkami. Choć ich twarze były mniejsze niż mój paznokieć, bez trudu wyczytałem z nich nikczemność i złośliwość. Kapłan przeczołgał się pod mur zamku i, posypując sobie twarz piaskiem, szeptał jakieś modlitwy. Jeden z fasolowych ludzików cisnął w jego oko okruchem skały. Wtedy kapłan wycofał się na czworakach, a i mnie wyciągnięto za nogi z chaty. Choć widziałem to wszystko, nie wiem, czym były te istoty, poza tym, że sprawują niepodzielną władzę nad Molmelsami. W ofierze składa się im dary, również w postaci ludzi z plemienia. Każde ich życzenie zostaje spełnione. Szaman pouczył mnie, że zadaniem wszystkich ludzi jest opieka nad fasolowymi bogami, gdyż ogromu ich gniewu nawet ludzki umysł nie jest w stanie pojąć. I kazał mi przekazać tę wiedzę ludowi Timajów. Po pięciu tygodniach wędrówki dotarłem do naszych granic, gdzie wypatrzył mnie oddział księcia Mikkolego — chłopak skłonił się i szybko opuścił środek areny.

— Dziękujemy ci za odwagę, którą ujawniła twa opowieść, Pędzący Szponie! — krzyknął donośnie mistrz ceremonii i dorzucił do ognia garść błyszczącego prochu, zabarwiając płomienie na zielono. — Piękna to opowieść i piękny jest umysł naszego młodego lotnika, który oparł się wie-

rze w fasolowych bogów i dalej szuka prawdy. Mój pradziad znalazł kiedyś w tych górach mały kamyk, który nie spadał, jak wszystkie inne, na ziemię, lecz leciał w górę. Książę Mikkoli z kolei opowiadał mi kiedyś o mknących po niebie ognistych oszczepach. Młody Szpon widział ożywione ziarna. Wielu ludzi spotkało w swym życiu rzeczy, których nie można oświetlić blaskiem wiedzy. Nie wiemy, czym są, lecz to nie wystarcza, byśmy uznali je za podstawę naszej świętej wiary. O nie! My, Timajczycy, szukamy prawdziwej wiary w bogów, którzy czekają na nas w niebiosach. Nie musimy szukać ich tam, gdzie nie istnieją i nie musimy wielbić wszystkiego, czego nie pojmujemy. Przecież nie wiemy, dlaczego wąż skalny ma na swych bokach romby i trójkąty, a pstrągi mienia się czerwonymi kropkami, lecz nie modlimy się do nich z tego powodu.

Sendilkelm zerknął na pobladłą twarz Bisenny. Już chciał coś mu szepnąć, lecz strzegący ich Ruffil szarpnął go za rękaw i zdecydowanym ruchem położył palec na ustach.

Agni wyglądała na znudzoną i obrażoną. Wierciła się i wzdychała, usiłując zwrócić czyjaś uwagę. Timajczycy byli jednak poważni i ponurzy jak żałobnicy. Z nieruchomymi twarzami i przy-mkniętymi oczyma słuchali słów mistrza.

— Przyszedł czas na piątą opowieść dzisiejszego święta. Zgodnie z tradycją i prawem usłyszycie ją ode mnie — mistrz podniósł wysoko głowę, jakby miał przemówić do nieba. — Jestem Enga Enga, zaklętnik królewski i mówca wyroczeni. Usłyszycie z ust moich opowieść o kraju, który tonie

we krwi. Istnieją bowiem istoty tak potężne, że mogą wpływać na ludzkie losy. Nie są to jednak bogowie, chociaż chcą za nich uchodzić. Sączą zatem do ludzkich umysłów swe mroczne myśli, zaszczipiając żądzę mordy i zniszczenia. Takie istoty istnieją, powiadam wam to ja, Enga Enga, najstarszy Timajczyk. Lecz biada temu, kto złoży im hołd jako bogom. . . Jest taki kraj, w którym, jak ludzka pamięć sięga, trwa wojna. To kraina Mnog Oz. Tam bracia przeciwko sobie stają, gdyż jeden w Oza, drugi zaś w Mnoga wierzy. Pokój w tym kraju nie jest możliwy, bowiem ludzkie serca zalała nienawiść. Biedni ci wyznawcy wierzą, że to z woli bogów są i powinni być źli. Dla bogów muszą ginąć, by ci mogli zło w dobro przemienić. Umierają w czasie walki z poczuciem, że właśnie zmyli z siebie winę i mogą godnie wejść do niebios swego boga. Tak to w imię religii powstał kraj straszny i okrutny. Posłuchajcie teraz jednej z tamtejszych opowieści. Wieki temu zdarzyło się, że przestano wznosić modły do Mnoga i Oza. Ich niewielkie świątynie świeciły pustkami, a kapłani w łachmanach żebrali o jedzenie. Krajem tym rządził wówczas mędrzec ponad mędrce, który potrafił odpowiedzieć na każde zawarte w liczbach pytanie. Młodzi jeszcze wtedy Mnog i Oz pragnęli oczywiście złotych świątyń, ołtarzy pełnych darów i niebios pełnych wiernych. Obmyślili więc pewien niecny plan i pojawili się w sypialni króla, budząc popłoch wśród odalisek i służących. „Witaj wszechmądry władco!”, powitali go dwugłosym chórem, „Znając twą mądrość i biegłość w liczbach, chcemy, byś odpowiedział nam na jedno pytanie”. „Musi być to ważne pytanie, skoro wielcy

bogowie postanowili zadać mi je osobiście”, odparł władca. Mnog i Oz zaśmiali się szaleńczo. Dwie odaliski, popiskując ze strachu, wyskoczyły spod kołdry i uciekły z sypialni. Król spokojnie usiadł na łożu i czekał na pytanie. „Ilu ludzi żyje w chwili obecnej na całym świecie?”, bogowie ponownie się zaśmiali, rozpryskując wkoło kropelki boskiej śliny. „Widzę, że boscy goście postanowili mnie uraczyć boskim dowcipem”, rzekł spokojnie władca. „Ilu ludzi?”, powtórzyli Mnog i Oz. „Ach, rozumiem”, powiedział władca, „pozostawiacie los świata w moich rękach. To ja odpowiedzią na to pytanie zdecyduję o losie mojego ludu. Zasadniczo nie ma więc znaczenia, co odpowiem...”. „Sprytny jesteś jak na człowieka”, odrzekli, a Mnog powtórzył śpiewnie: „Powiedz, ilu ludzi żyje teraz na świecie, a jeżeli podasz liczbę za małą, zesłę śmiertelne choroby, by zabić w okrutnych bólach wszystkich, których nie policzyłeś”. „Powiedz, ilu ludzi żyje teraz na świecie”, dodał Oz, „a jeżeli podasz liczbę za dużą, zesłę na ziemię tyle demonów w ludzkiej skórze, że obliczenia twe będą się zgadzać. Twój poddani po wsze czasy będą słać twą mądrość i dziękować ci za dokonanie wyboru”. Władca nic nie odpowiedział, gdyż rzeczywiście był mądry. Mnog i Oz zaśpiewali ze szczęścia i zjedli go żywcem. Następnie zesłali na ludzi choroby bolesne i śmiertelne, jednocześnie armia demonów w ludzkich skórach wymieszała się z rasą człowieczą. Stąd tylu jest złych ludzi na świecie — Enga Enga przymknął oczy i trwał przez chwilę w milczeniu, jakby zbierał siły do dalszego przemówienia.

Timajczycy w milczeniu kiwali głowami. Agni ziewnęła i zaczęła pokazywać coś na migi robiącemu notatki Ałowi Chegerowi. Enga Enga zwrócił ku niej swą twarz i rzekł:

— Niech odrobina łaskawej cierpliwości spłynie na ostrze twej niecierpliwości, o pani. Nie przez przypadek ksiązę Mikkoli odnalazł was na zachodniej rubieży. Nasza wyrocznia przewidziała przybycie obcego oddziału. Wasze opowieści, które przyjmujemy z radością, staną się dla nas ważną nauką. Nie musisz wierzyć, że przywiodła was tutaj wola naszych bogów. To nie jest istotne, ważne jest to, co usłyszymy od wielkiego wojownika Bisenny, który teraz przemówi.

Fraternijczyk, zachęcany przez Ruffila, wstał z ociąganiem. Enga Enga chwycił go za nadgarstek i wyciągnął na środek areny.

— Nie mam daru dla waszego ognia — pewnym głosem zaczął Bisenna. — Wierzę, że każdy naród ma swojego boga i jemu winien jest posłuszeństwo. Nie rozumiem waszej religii i niech tak pozostanie, gdyż jest to wasza sprawa. Moją sprawą jest wierzyć w Noca i Dnia, bogów, którym poświęciłem swe życie i którzy czekać będą na mnie po drugiej stronie życia. Wiem, że swym bogom jesteście winni posłuszeństwo, choć wiele od was wymagają, tajemnicą osnuwając swoje zamia-ry. Jak mówicie, widzieliście niedawno nową gwiazdę, która przeleciała w poprzek nieba. Latające gwiazdy są dla mnie znakami, że Noc i Dzień istnieją i mocą swoją obejmują cały świat, chociaż różnych bogów wyznają żyjące na nim ludzkie plemiona. Posłuchajcie zatem historii o Nocu i Dniu.



Na początku wszystkiego, gdy światłość i ciemność były jednym i nie było nic innego, pojawiło się święte jajo życia. Zrodziła je nicość, której nie było nigdzie i która była wszędzie, w każdym miejscu mając swój środek. Ciemność je chłodziła, a światłość ogrzewała i tak dojrzało w nim życie. A życie to było jednym ciałem u dwóch umysłach. I gdy święte jajo życia pękło, wyszła z niego boska istota, która, targana dwoma różnymi umysłami, z lęku, że stan ten pogрузić ją może znowu w niebycie, rozwarła się na połowy. I tak powstał Noc i Dzień, najdoskonalsze istoty, jakie kiedykolwiek istniały. I miłość wielka była między nimi, i braćmi byli, i śmierci nie znali, tylko życie. I zobaczyli, jak wraz z miłością wzrasta w nich wielka tęsknota. I z tęsknoty tej powstał świat. Gdy Noc i Dzień ujrzeli ten świat, dziwili się mu wielce, ale i uradowali się wielce. Szybko jednak zrozumieli, że świat ten im nie wystarczy i pragną czegoś jeszcze. Wiedzieli, że miłość potrzebuje drugiej istoty, by w niej jak w lustrze się odbijać i kolejną miłość zrodzić. I rozpoczęli wielkie poszukiwania. Świat cały przemierzyli, i światłość, która go oblegała i ciemność, która oblegała światłość, lecz nie znaleźli nic. Gdy już mieli powrócić, by szukać od początku, dostrzegli nagle maleńkie jajo życia. Takie samo, jak to, z którego się zrodzili. I miłością wielką je otoczyli, i nad światem zawiesili, i strzegli go bez wytchnienia. A gdy z jaja zrodziły się dwie siostry, Złocista i Srebrzysta, pokochali je obie i każdy chciał je dla siebie zatrzymać. Złocista i Srebrzysta nie wiedziały, co począć, i z lęku, by miłość między braćmi nie wygasła, uciekły daleko poza światłość i ciemność. Wiedziały, że gdyby Noc i Dzień

z zazdrości o nie śmierć sobie zadali, obie musiałyby zniknąć, albowiem to miłość braci, a nie nienawiść je zrodziła. Jednak Noc i Dzień walczyć ze sobą zaczęli. Świat cały w zamięcie i zniszczeniu utopili, lecz żaden z nich pokonać drugiego nie mógł. I gdy w uścisku ostatecznym spotkały się ich spojrzenia, zrodziła się Śmierć. Stała między nimi i napełniła ich serca przerażeniem. Zrozumieli, że zrodzili właśnie istotę, która istnieć będzie wiecznie. I zrozumieli, że zabić się nie mogą, wtedy bowiem tylko ona by istniała, a ciemność ze światłością już nigdy nic by nie zrodziły. I ustalili, że każdy osobno wyruszy na poszukiwanie siostr. Lecz Noc za Dniem ruszył. Postanowił, że jeszcze raz spróbuje śmierć mu zadać, kiedy to Dnia osłabiają miłosne z siostrami uniesienia. A Śmierć podążyła za nimi. Słusznie przypuszczał Noc, że brat pierwszy siostry odnajdzie. Widząc Dnia, ucieszyły się bardzo i kochać się z nim poczęły, pewne, że tylko on wśród żywych pozostał. Wtedy Noc przekonał się, że miłość w nim zgasła i zabić musi brata swego. I gdy tylko Dzień ze Złocistą się połączył i nasienie życia swego w niej zasadził, Noc zadał mu cios straszliwy. Zabić jednak go nie mógł, bowiem Dzień pod osłoną miłości Złocistej się znajdował. Wtedy Noc porwał Srebrzystą i uciekł w sferę ciemności. I strach zrodził się w jego sercu, lecz Srebrzysta przyrzekła, że z nim pozostanie, gdyż ulitowała się nad jego nieszczęściem, a przy tym pragnęła miłości tak wielkiej jak Dnia i Złocistej. Jednak strach i nienawiść zabiły w Nocu jego nasienie i Srebrzysta w smutku do dziś czeka, by życie się w niej wezbrało. Śmierć zaś zamieszkała na świecie, by równoważyć to, co rodzić się na

nim zaczęło. Tak było na początku świata i tak też jest teraz. Dzień daje życie Złocistej, a ona daje życie wszelkim stworzeniom. Noc i Srebrzysta życia dać nie mogą. I każdy, kto gwiazdę spadającą na niebie zobaczy, musi wiedzieć, że jest to łza Srebrzystej i że to zły znak dla niego. Są bowiem tacy, którzy twierdzą, że to nie łza, tylko nasienie Noca, zimne i martwe, nie może znaleźć drogi do Srebrzystej, a gdy spadnie na świat, co czasem się zdarza, wojna okrutna wybuchnąć musi, by ludzie mogli śmiercią swoją Noca pocieszyć. Oto, jak na zawsze świat pozostał we władaniu Noca i Dnia i, chociaż z czasem pojawili się inni bogowie, bracia zrodzeni z pierwszego jaja życia do końca tego świata najpotężniejsi pozostaną. Swym wyznawcom dają oni znaki i przewodników, wiodą ich przez życie trudnymi szlakami, na próby wystawiają, by byli gotowi do spotkania z nimi po drugiej stronie życia. A Śmierć z ich nienawiści zrodzona, pozostanie na zawsze, nawet wówczas, gdy i oni wraz ze światem tym znikną. Wtedy Śmierć, światłość i ciemność przenikną się i stopią, i nikt z ludzi nie pojmie swym umysłem, co z tego powstanie — Bisenna zamilkł i zmarł z ręką uniesioną nad głową, jakby kogoś wskazywał.

Enga Enga, ze słabo ukrywaną obawą, podszedł do niego i delikatnie ujął za dłoni.

— Dzięki ci, o panie, za opowieść tak mądrą i namiętną. Niech prowadzą cię twoi bogowie. Jeżeli nawet istnieją tylko w twojej głowie, wizja ta jest tak piękna, że nie warto jej niszczyć.

Nad tłumem Timajczyków przetoczył się pomruk uznania. Bisenna, zdziwiony i dziwnie niewswój, usiadł obok milczącego Sendilkelma. Jego oczy patrzyły tak groźnie, że nikt nie ośmielił się do niego przemówić. Al Cheger zawzięcie notował wszystko na zwoju szeleszczącej błony, lecz przerwał i upuścił ryliec, gdy tylko Bisenna odwrócił w jego kierunku głowę.

Wtedy Enga Enga wskazał na Sendilkelma. Rycerz miał przedstawić ostatnią opowieść tego wieczoru. Gdy już stanął przy świętym ogniu, staruszek zniknął w cieniu arkad, pod ścianą sali.

Timajczycy czekali na słowa gościa w ciszy i skupieniu. Zgodnie z panującą tu tradycją, to właśnie ta, ostatnia opowieść, miała rzucić światło na wyjaśnienie słów corocznej wyroczni.

Sendilkelm zamknął oczy. Pod powiekami zobaczył tańczącą Anielicę Śmierci, jaśniejące oblicze Czomona i maleńkiego Karcena, podskakującego u ich stóp jak gruba mysz. Nad Anielicą unosiła się nieruchomo piękność o długich, zielonych włosach. Jej twarz skrywał cień. Nagle poczuł potężne ukłucie w żołądku i wola Kamiennej Łzy zalała jego umysł. Rycerz wiedział już, kto podyktuje siódmą opowieść dzisiejszego święta.

— Jestem Sendilkelm, syn wielkiego Suddolika — zaczął powoli, cicho, jakby bał się, że echo jego słów zbyt głośno odbije się od sklepienia. — Wielki Suddolik trafiony został na wojnie wrogą strzałą w głowę i przebywa teraz w świecie swych marzeń. Wszystkie realne rzeczy zdają się nie mieć dla niego żadnego znaczenia. Widziałem niedawno mojego ojca i on mnie widział, cho-

ciaż patrzyliśmy na siebie z krańców dwóch różnych światów — Sendilkelm słuchał uważnie słów wypowiedzianych przez własne usta i dziwił się, dlaczego Kamienna Łza zaczął opowieść od losu Suddolika. Zastanawiał się również, dlaczego Czomon nie wyparł jego woli, by przemówić w swoim imieniu. — Wiele przeżyłem podczas podróży do waszego kraju i nie jest ważne, czy mym losem kierowali bogowie Timaju, Fraterni czy inni, których imiona dawno już zapomniano. Posłuchajcie mej opowieści, a zrozumiecie, że świat, który pozornie znacie, w rzeczywistości kierowany jest przez siły, o których nigdy nie słyszeliście. Są na tym świecie istoty, których życie jest tak długie, że dzień narodzin pierwszych bogów jest dla nich zaledwie dniem wczorajszym. Widzicie je codziennie, lecz, nie znając ich siły ani wieku, lekceważycie je. Widzę tu wiele pań przyozdobionych pysznymi klejnotami, których zresztą nie potrzebują, gdyż ich uroda nie wymaga oprawy. Niektóre z was są zapewne wielce przywiązane do swych szlachetnych kamieni i to nie tylko z powodu ich wysokiej wartości, odmierzonej w zielonym złocie. Powiem wam, dlaczego tak je kochacie, choć możecie spróbować zapytać o to swe serca. Czujecie, że są to żywe istoty. Magowie i zaklętnicy twierdzą, że trzeba wielu tysięcy lat, by góra zrodziła klejnot. Mylą się, bowiem najcenniejsze klejnoty, które tak hołubicie, starsze są od ludzi, od gór i od całego świata. Istniały przed ciemnością i światłością, przed bogami i przed wszelkim życiem, o którym słyszeliście. Dla nich ludzkie życie jest niczym dla człowieka jeden oddech. Umysły kamieni potężne są i niepojęte dla ludzi. To

wola klejnotów, kryształów, świętych kamieni kieruje losami tego świata i życiem całych narodów. Wiedźcie zatem, że wszelkie wojny wywoływane przez władców, rytuały ustalone przez kapłanów, prawa wymyślane przez sędziów, wszystko to powstało i dzieje się z woli szlachetnych kamieni, które ludzie ci posiadają. Królowie są we władaniu kryształów zakutych w złoto ich koron, magowie posłuszni pozostają kamieniom zdobiącym ich pierścienie, kapłani spełniają wolę świętych kamieni z ołtarzy lub skarbców świątyń. Wojny wybuchają jedynie z powodu takiej woli zastępów kamieni, znajdujących się po obu stronach granic. Nie zastanowiło was nigdy, dlaczego zdobywcy zawsze plądrują skarbcie i świątynie podbitych? Tak, by zdobyć skarby, by zabrać klejnoty koronne, święte kamienie. Ale po co? Czyżby dla władcy posiadanie kilku dodatkowych świecidełek miało tak wielkie znaczenie? Jakimże to symbolem zwycięstwa jest zabrany z korony pokonanego kamień, lub kryształ wykradzony ze zburzonej świątyni? Jak to możliwe, że ludzie, ściskając zdobyte skarby, wiwatują ze szczęścia i wykrzykują o zwycięstwie?... To przedwieczne istoty o szklistych ciałach bawią się ludzkim losem. Czasem po prostu chcą się spotkać i pobyć blisko. Jeżeli więc należą do różnych władców, wywołują wojnę po to tylko, by zwycięzca zgromadził je razem blisko siebie, w jednym skarbcu lub w jednej koronie. A oto opowieść, która mówi o miłości przedwiecznych istot i ich losie wplecionym w ludzką historię. Błękitny diament o imieniu Skarkas i szafir o imieniu Millianna spotkali się tak dawno, że nikt ze zgromadzonych tutaj nie byłby w stanie tego pojąć. Skar-

kas zobaczył Millianę, gdy tańczyła w srebrnym pyłe pewnego samotnego księżycy. Pokochał ją i światłość od niej bijącą. Przemierzali razem przestrzeń, a wokół nich rodziły się i umierały gwiazdy, tworzyły i rozpraszały obłoki świetlistej, gwiazdnej materii. Pewnego razu zobaczyli stygnącą, młodą planetę i postanowili, że zamieszkają na szczycie jej najwyższej góry. Chcieli bowiem na czas jakiś zaprzestać gwiazdnej wędrówki, by nacieszyć się swoją bliskością. Wtopili się w miękką skałę i w miłosnym uścisku trwali tak miliony lat. Minęły wieki, gdy na ziemię tę bogowie zesłali ludzi, by żyli i rozmnażali się ku ich chwale. W tym czasie wielka miłość Skarkasa z Millianną skruszyła skałę, która ich okrywała. Chcieli odlecieć z powrotem między gwiazdy, lecz pojęli, że oślepieni miłością wybrali glob, którego materia nigdy i nigdzie już ich nie puści i że póki ten świat trwać będzie, póty muszą tu pozostać. Zbyttno się tym nie martwili, gdyż nadal mogli być razem, a ponieważ nie znali starości, spokojnie mogli poczekać na rozpadnięcie się globu. Jednak spokój nie był im dany. Ludzie przemierzali góry, kruszyli skały, wciąż szukali metali i skarbów. Aż znaleźli Skarkasa i Millianę. Wielki król nie istniejącego już kraju Gorr osadził oba klejnoty w swej koronie. Skarkas i Milliana, słysząc ludzkie myśli, nie przestawali przemawiać do niego i wspierać dobrymi radami. Tak uchronili władcę od niejednego spisku, pomagali wybierać sprzymierzeńców i wyprzedzać zamiary przeciwników. Król kochał swoją koronę, choć przecież nie był świadom, że kamienie do niego przemawiają. Miał ten władca piętnastu synów i dwanaście córek, którzy od

dłuższego czasu ginęli po kolei w tajemniczych okolicznościach, a dobierane przez króla nowe żony nie dawały mu już potomstwa. Millianna ostrzegała go wciąż przed trzecim synem i siódmą córką, o których wiedziała, że nienawiścią zrobaczywione serca mają i za śmierć rodzeństwa odpowiadają. Skarkas doradzał królowi, by trzeciego syna na wojnę śmiertelną posłał, a siódmą córkę do świątyni na dożywotnią służbę oddał. Nie chciał król podszeptów swych opiekunów słuchać, bowiem nie był w stanie pozbawić się jedynych przy życiu pozostałych dzieci. Na nic Skarkas i Millianna lament podnosili. Nocy kolejnej trzeci syn i siódma córka zabrali życie królowi. Tej samej nocy podpisali traktat, w którym królestwo Gorr na dwa państwa podzielili. Koronę królewską na dwie mniejsze przekuto. W jednej zimnym blaskiem świecił Skarkas, w drugiej skrzyła się Millianna. Żyjąc w oddaleniu, rodzeństwo odczuło tęsknotę tak wielką, że korony na ich głowach drzeć poczęły. Trzeci syn i siódma córka zamknęli je natychmiast w lochach zamków, zamurując wejścia do skarbców, bali się bowiem, że to duch ojca trzęsie królewskimi klejnotami, by do zguby ich doprowadzić. Lecz nie powstrzymało to gniewu Skarkasa i Millianny. Diament sączył w myśli młodego króla nienawiść do siostry, a szafir namawiał królową do ataku na kraj brata. I nie minął rok, gdy wojna okrutna przetoczyła się przez oba królestwa. Armie ścierały się niczym stalowe roje owadów, miasta płonęły jak ogniska, ludzie ginęli od broni, zarazy i głodu. I żadne z dzieci przewagi w wojnie zdobyć nie mogło, gdyż Skarkas i Millianna tak wojnę prowadzili, by kraje wzajemnie się wyniszczyły i do



upadku przywiodły. I gdy trzy lata minęły, oba narody, niegdyś tak dumne, włóczyły się wśród dy-  
miących ruin niczym zaślepione furią zwierzęta. Kiedy kolejna zima kosą głodu zebrała już swe  
żniwo, z ludu Gorr pozostały tylko snujące się wśród zgłiszczy bandy wynędzniałych kanibali. Wie-  
ści o upadku tego kraju dotarły za morze. Najeźdźcy na trójkadłubowych okrętach, pod sztandarami  
swej czarno-białej władczyni, zagarnęli kraj Gorr do swego imperium. W ruinach zamków królew-  
skich odnaleźli skarbcę i złożyli korony podbitego królestwa u stóp swej władczyni. Królowa Ludzi  
Białych i Czarnych tak zachwyciła się blaskiem Skarkasa i Millianny, że kazała umieścić klejnoty  
w koronie tuż nad swym czołem. Teraz nie muszę chyba tłumaczyć, dlaczego władczyni ta żyje  
już tak długo i szczęśliwie, a jej rządy przynoszą chwałę i wielkość imperium. Wiadomo też, że  
imperium to póty istnieje będzie, póki korona pozostanie w całości. Niech zatem opowieść o dia-  
mencie Skarkasie i szafirze Milliannie będzie dla was przypomnieniem, że za słowami mędrców  
tego świata, za naukami kapłanów i głosami królów kryją się myśli i intencje klejnotów, które są  
w ich posiadaniu. Wiedzą o tym nieliczni, którzy głoszą, że tylko ubóstwo daje mądrość i swobodę  
myśli. Lecz ich nigdy nikt nie słucha, gdyż tak już jest stworzony ludzki umysł, że pożąda i drży  
tylko przed potęgą, o której zawsze stanowi bogactwo. Niech zapamiętają wszyscy synowie i córki  
Timajów, że w niedługim czasie jeden klejnot, mały kamień w kształcie łyzy, zaważy o waszym losie

i okaże wolę bogów. Nazwiecie go Głosem Niebios — Sendilkelm zamilkł, słysząc, jak Kamienna Łza wyje pieśń ku swej chwale.

Czomon, uśmiechając się pogodnie do swego jedyne go wyznawcy, rzekł przyjaźnie:

— Dzięki, synu. Pięknie powiedziane. Wiedziałem, że nadajesz się na proroka.

— A mi nie podziękujesz, boże? Wszak to ja podyktowałem tę pouczającą opowieść — wesoło zagadnął Kamienna Łza. — Mógłbyś kazać ją umieścić w swoich objawionych pismach albo czymś w tym rodzaju. . .

Sendilkelm usiadł ciężko i oparł głowę na dłoniach.

— Cieszę się, wielce czcigodny Czomonie, że podobały ci się słowa tego kamienia, który mieszka się właśnie z resztkami zjedzonej przeze mnie kolacji — mruknął Sendilkelm.

— O, to nie było przyjemne. . . — odparł powoli Kamienna Łza i uderzył ostrym końcem w ścianę żołądka rycerza.

Czomon zachichotał.

— Cierpliwości, mój synu. On już niedługo opuści twoje ciało. Ty zaś nie będziesz miał trudnego zadania., by przekonać Timajczyków, kto jest ich bogiem i władcą.

— Świetnie — mruknął rycerz. — Postaraj się tylko wytłumaczyć tej skale, żeby wyszła ze mnie tak, jak weszła i że my, ludzie, nie lubimy krwawić. A, jest jeszcze jedna sprawa. Może byście wytłumaczyli mi, co znaczą te wizje z Anielicą Śmierci i jakąś zielonowłosą nieśmiertelną.

— Na razie nie przejmuj się babami — wesoło odparł Czomon i wycofał się z umysłu Sendilkelma.

# 16

## Magia i czaria

*Podstawowe prawa czynienia magii dla ludu:*

- 1. Nie używaj magii, jeżeli nie jest bezwzględnie potrzebna.*
- 2. Jeżeli jest bezwzględnie potrzebna, zastanów się, czy młodszy mag nie może tego zrobić za ciebie.*
- 3. Jeżeli sam musisz czynić magię, ustal, kto i ile za to zapłaci.*
- 4. Jeżeli użyłeś magii i osiągnąłeś z tego korzyść, pamiętaj o wdzięczności, jaką musisz okazać swemu mistrzowi.*

5. *Jeżeli użyłeś magii i nie osiągnąłeś żadnej korzyści, pamiętaj, aby przeprosić swego mistrza i przebłagać go odpowiednim podarunkiem.*
6. *Jeżeli chcesz używać magii wyższej niż codzienna, musisz poprosić o pozwolenie swego mistrza.*
7. *Tylko mistrz twój jest panem ciebie i twojej magii, gdyż to od niego pochodzi wszelka sztuka, która jest ci dana.*
8. *Nie pytaj mistrza swego o czarję. Gdy będziesz gotowy, mistrz twój sam zapali pierwsze gwiazdy czariowej wiedzy na mrocznym firmamencie twego umysłu.*

(z nauk najwznieślijszego mistrza magii i czarii — Karcena)

Karcen kręcił się niespokojnie po głównym holu swego labiryntu. Miał coraz większe kłopoty z uspokojeniem swego umysłu na tyle, by struktura labiryntu pozostawała niezmieniona. Czekał na Melkonserona. Nadbóg spóźniał się, co nie jest takie dziwne, jeżeli weźmie się pod uwagę, o ile wymiarów musiał zredukować i ścisnąć swoje istnienie, by móc pojawić się tu — w niestabilnej budowli wewnątrz umysłu ziemskiego maga.

— Tym razem załatwmy to szybko, Karcenie — wysyczał Melkonseron, zmaterializowawszy się niespodziewanie tuż za plecami maga.

— Cóż znaczy szybko dla kogoś, kto ze strumieni czasu dla zabawy wyplata kobierce o wzorach niepojętych dla mieszkańców niższych wymiarów — odparł Karcen i skłonił się niezgrabnie. Przytył jeszcze ostatnio i kulisty brzuch nie pozwalał mu na zbyt głębokie skłony.

— Nieważne — uciął ostro nadbóg. — Nie masz pojęcia, jak męczące są dla mnie te materializacje.

— No, faktycznie — rozpromienił się Karcen. — Nie mam nawet pojęcia, jak bardzo twoje zmysły różnią się od ludzkich.

— Przybliżę ci wielkość mojego poświęcenia, maga. Gdyby twoje ciało wywinęło się skórą do środka, a szkieletem na zewnątrz, gdyby twoje oczy zaczęły słyszeć, a uszy mówić, gdybyś musiał przecisnąć się przez otwór o średnicy włosa, zachowując przy tym wszystkim życie, to w przybliżeniu poczułbyś, czym jest dla nadboga materializacja w twoim świecie.

— Zatem mam nadzieję, że po śmierci nie zostanę nadbogiem — odparł wesoło Karcen, zakręcił się na pięcie i poprowadził Melkonserona w głąb korytarza. — Albo, jeszcze lepiej, mam nadzieję, że po prostu nie umrę, jeżeli wiesz, o co mi chodzi. . .

— Cóż, twe zamiary są jak zbyt duża ilość soli w zupie, niewidoczne i niesmaczne.

— Ooo, słyszę, że materializacja w moim skromnym labiryncie nadszarpnęła nieco twoje nadboskie poczucie humoru, mój nadpanie.

Minęli dwa zakręty w prawo i zanurkowali w galerię, piętrzącą się pionowo w górę. Przelecieli przez ośmiokątną kryształową salę i wcisnęli się w wąski korytarzyk, którego ściany tworzyły dziesiątki drzwi.

— Ciasno tu — mruknął nadbóg.

— Musiałem skupić ważniejsze pomieszczenia w jednym miejscu. Łatwiej je dzięki temu znaleźć i... tego, no, upilnować. Wiesz, jak to jest w magicznych labiryntach... Wystarczy, że człowiek przez dłuższy czas gdzieś nie zajrzy, a pomieszczenie to przesuwają się jakoś w bok i potem musisz szukać, biegać... Doprawdy, bardzo męczące... To właśnie z tego powodu wyhodowałem sobie trzecie płuco. A ci głupcy z pałacu myślą, że jestem po prostu gruby, niegodni... .

— Dobra! Otwieraj drzwi! — huknął Melkonseron.

Karcen uważnie czytał krzywo poprzykręcane złote szyldziki, zajrzał do kilku pomieszczeń i w końcu zamasyżycie otworzył drzwi ozdobione rzeźbionym okiem.

— To tu. Magiczny horyzont — powiedział z namaszczeniem.

Nadbóg wszedł szybko i stanął w ciemnej komórce, na wprost misy z mętnym płynem. Na podłodze wałały się różne śmieci.

— Musiałem... eee... zwolnić personel — mruknął Karcen. — Horyzont jest teraz w pełni samosterujący się. Pokazuje to miejsce, o którym w danej chwili myślę.

— I takie coś ma odbić obraz kosmicznego korabia obcych bogów? — nadbóg nie krył swego rozczarowania.

— Nie tylko obraz, ale i dźwięk — napuszył się Karcen. — Taka jest potęga magii połączonej z czarą, mój nadpanie. Skoro potrafiłem pojawić się w domu Śmierci i wrócić żywy, to dlaczego nie miałbym umieścić swego oka i ucha w statku powietrznym, który przelatuje nad naszymi głowami. W gruncie rzeczy to dosyć prosty czar. Strumień magii pierwotnej owija się wokół wyobrażenia danego miejsca lub obiektu, które przywołałam w swoim umyśle. Następnie ten sam strumień łączy się z pozostałymi niezliczonymi strumieniami magicznymi, które wplatają się w strumienie otaczającej je czarii i natychmiast odnajdują poszukiwane miejsce lub przedmiot, pokazując go na powierzchni skondensowanego prottonium, w misie, którą widzisz przed sobą. Anielica Śmierci ma u siebie podobne lustro, tylko potężniejsze i wyższej próby. No cóż, tak to już jest w tym wszechświecie, baby zawsze mają lepiej... — wyciągnął z misy jakieś namoknięte śmieci i zdmuchnął na brzeg te, których nie mógł złapać grubymi paluchami.

Melkonseron wpatrywał się w misę.

— Będziemy rozumieć ich mowę? — mruknął po chwili.



Karcen spojrział na niego z bezdennym politowaniem.

— Przecież to mój labirynt i moje prottonium — wyjaśnił.

— Aha — westchnął nadbóg.

\* \* \*

Obraz drgał, lecz całkiem wyraźnie pokazywał wnętrze korabia. Obcy bogowie stali wokół stożkowego naczynia, wypełnionego po brzegi błyszczącymi kulkami. Odziani w lśniące zbroje z płynnego metalu i dwukrotnie więksi od ziemskich wojowników, mruźli do siebie niskimi głosami.

— Czy to prawda, że ty, Panie Świateł, zbliżyłeś się wczoraj z dwiema samicami trzeciego rodzaju, pomijając samice rodzaju pierwszego? — spytała jedna z nieruchomych postaci.

— Tak. Jako Pan Świateł nie muszę przestrzegać świętości samic pierwszego rodzaju. Wiesz o tym dobrze, Panie Wzrostu — odparł bóg, wznosząc swe długie palce nad naczynie z kulkami.

— Wszystkich nas ogarnia i przenika święte prawo narodzin. I nawet Pan Świateł nie może pomijać samic pierwszego rodzaju. Zbliżenia z trzecimi są na pewno pełne rozkoszy, lecz nie możesz tchnąć w nie życia, jeżeli jednocześnie nie połączą się one z samicą rodzaju pierwszego — uroczyście zaintonował trzeci bóg.

— Nasz dobry Pan Świateł z pewnością był tak zmartwiony niepowodzeniem swej misji, że musiał szukać niedozwolonych rozrywek. Wybaczmy mu to, Panie Nasion! — westchnął Pan Wzrostu.

— To nie było żadne niepowodzenie — mruknął Pan Świateł.

— Tylko co? — odparł Pan Nasion. — Miałeś objawić się w umysłach ludzi zamieszkujących to wielkie miasto. Takie było twoje zadanie. Zamiast tego zesłałeś boskie wizje na ich zwierzęta! Te ich, jak im tam, konie, mało nie umarły ze strachu. Jak można było aż tak mylnie dostroić częstotliwości przekazu? Sparaliżowałeś ich armię i transport. Tamtejsi mistrzowie magii i czarii lub inni zaklętnicy wcześniej czy później odkryją prawdę. Na pewno są wśród nich tacy, którzy potrafią dobrać się do końskiego umysłu. I czego się dowiedzą? Że wielcy, nowi bogowie objawiają się zwierzętom, pragną bowiem, by stały się ich wyznawcami! Przez twój błąd, dobry Panie Świateł, nasza sprawa opóźni się o całe pokolenia.

— Przecieniasz ich możliwości, dobry Panie Nasion — odparł Pan Świateł. — Ci ludzie różnią się nieco od wyznawców z naszego świata. Przede wszystkim są mniejsi i nie mają samicy trzeciego rodzaju. Dzielą się tylko na dwie płcie, przez co prokreacja zajmuje im większość myśli. Nie mają szans wznieść się na wyżyny świadomości naszych wyznawców. Jeżeli nawet odkryją, że ich zwierzęta doświadczyły wizji, zrobią to, co zwykle, po prostu je zjedzą. Jednak przyjmuję twoją krytykę i proponuję zrezygnować z lądowania w Atrim. Tym bardziej, że zlokalizowaliśmy

odosobnione kolonie w wysokich górach, gdzie żyją plemiona odcięte od reszty gatunku. Zapewne wzbudzę w was radość, dobrzy panowie, gdy powiem, że odnaleźli oni naszą świętą sondę! Dzięki mnie, oczywiście. . . — Pan Świąteł dla podkreślenia, jak dumny jest ze swego wyczynu, rozświetlił się delikatnym fioletem.

— Odnaleźli sondę! — przedrzeźniał go Pan Nasion. — Przecież jeszcze w czasie postojów na księżycu wysłaliśmy sygnał wywoławczy i niektóre części sondy zgłosiły swoją gotowość. Nic dziwnego, że te dzikusy coś zauważyły. Świętą sondę wysłali nasi nadpanowie i to im należy się chwała, a nie tobie, dobry i skromny Panie Świąteł!

— Chwała nam wszystkim, jeżeli zdołamy nawrócić tę planetę. . . — pojednawczo zaintonował Pan Świąteł. — A wracając do naszej świętej sondy, to jakie konkretnie sygnały odebraliśmy?

— Niestety niepełne — zakomunikował milczący dotąd bóg. — Wedle przekazu święta sonda dotarła tutaj jakieś cztery trychty temu. Musiała też wówczas ulec uszkodzeniu. Prawdopodobnie rozpadła się na kilka fragmentów w górnych warstwach atmosfery. Pełny sygnał zwrotny otrzymaliśmy tylko od rękawicy do sadzenia sadów życia. Reszta wyposażenia musiała zostać zniszczona w trakcie lądowania, zapewne za sprawą miejscowych bogów.

— Tymi bóstwkami bym się nie martwił, drogi Panie Słuchu. Czy rękawica zdołała zasadzić choć jeden sad życia? — zabrał głos Pan Wzrostu.

— Niestety nie. Jest to przestarzały już model, bezwzględnie wymagający obsługi. Bez niej po prostu nie działa.

— W jakim więc celu wysłano ją w świętej sondzie? — obruszył się Pan Świateł.

— Nie powinniśmy krytykować decyzji praojców naszych, dobry Panie Świateł. Gdy wylądujemy, odnajdziemy rękawicę i każdy z nas będzie mógł sam zasadzić sad życia — odparł Pan Nasion.

— Zapytam jednak raz jeszcze, co z tutejszymi bogami? Czy nasz dobry Pan Zniszczenia zajął się już ich losem? — zainteresował się Pan Świateł.

— Jak widzisz, dobry Panie Świateł, naszego dobrego Pana Zniszczenia nie ma tu z nami, zatem prawdopodobnie właśnie poświęca się swoim powinnościom. Pozwolę sobie jednak podkreślić, że nie jest on tak nierozsądny, jak ty, wobec czego nie będzie trwonił swoich mocy, jeżeli uzna, że tutejsze bóstwka są zbyt słabe, by nam zagrozić.

— To może być nawet interesujące — wtrącił Pan Wzrostu. — Jeżeli nie unicestwi on tutejszych bogów, możemy sprawić, by ze sobą walczyli. Zwycięzcy objawimy się w prawdziwej postaci, wówczas zostanie naszym prorokiem.

— To nie jest w dobrym guście — westchnął Pan Świateł. — Dotychczasowi bogowie powinni zostać widowiskowo unicestwieni, by wyznawcy zobaczyli naszą potęgę. To piękne, klasyczne zagranie, zawsze odnosiło pożądany skutek. . .

— Nie zawsze — wtrącił Pan Wzrostu. — Pamiętacie, co stało się w układzie Trzech Słońc? Gdy zlikwidowaliśmy dotychczasowego boga, wyznawcy przestali umierać i do dziś żaden się nie nawrócił. Nasze tamtejsze niebiosy, których utrzymanie jest tak kosztowne, świecą pustkami.

— Jak zwykle nie pamiętasz dokładnie, dobry Panie Wzrostu... — mruknął Pan Świateł. — Tamci z układu Trzech Słońc zamknęli się w bąblu czasoprzestrzennym i to w nim czekają na powrót swych bogów. Przyznaj, że to jednak nie jest nieśmiertelność, tylko po prostu szczególna forma nieistnienia. Zaś ci tutaj nawet nie opanowali dobrze sztuki latania w atmosferze, a czas mierzą prostymi obrotomierzami...

\* \* \*

Prottonium zmętniało, obraz rozpadł się na dryfujące bezładnie cząstki i powoli znikł. Melkonseron nie krył zdenerwowania. Miotał się po ciasnej komnacie, bezradnie zaglądnął do miski.

— Co się stało, Karcenie?! — warknął do mamroczącego nad prottonium maga. — Coś zepsułeś czy jak?!... No, człowieku, co oni tam gadają?!

— Nie mam pojęcia — odparł Karcen — Zresztą, to, co usłyszeliśmy, było tym tylko, co mogliśmy pojąć. Oni mówili jednocześnie na wielu poziomach, ale i tak nie mielibyśmy pojęcia, o czym, więc prottonium tego nie przekazało. I nie mogło — westchnął głośno — przegrzało się...

— Kiedy ostygnie?

— Za jakieś cztery, może pięć miesięcy. . .

— Ech ludziki, ludziki! Niczego nie potraficie przeprowadzić do końca — westchnął Melkonseron. — I jak ty sobie wyobrażasz walkę z tymi potworami? Z tymi bekami jakiegoś metalowego paskudztwa? Zmiotą nas na ostatni poziom niebytu. Jestem tego pewien, chociaż widziałem ich tylko przez chwilę. A przecież nie widziałem wszystkiego. . . Oni. . . oni mają, no, wszystko, czego nie mają moi bogowie.

— Ale nie wiedzą, że my wiemy, że oni mają to, co mają. I to powinno wystarczyć. . . — mruknął mag i wcisnął ręce w kieszenie kaftana.

— Wystarczyć, wystarczyć. . . do czego, ludziku?! Twoja magia przeciwko kosmicznym korabiom?!

— Dlaczego od razu magia? A może jeszcze czaria? — obruszył się Karcen. — Najwyższa ze sztuk nie ma tu nic do roboty. Zapamiętaj sobie, nadpanie, że nie używa się magii, a tym bardziej czarii, jeżeli nie jest bezwzględnie potrzebna, a jeśli jest, najpierw trzeba ustalić, kto ci za jej użycie zapłaci. Oto mądrość magów.

Melkonseron bez słowa skierował się ku drzwiom. Karcen postął jeszcze chwilę przy bulgoczącej misie, palcem sprawdził temperaturę prottonium i popędził za nadpanem. Dogonił go dopiero w głównym holu labiryntu.

— Nadpanie, zanim obrazisz się na zawsze, czy coś takiego, pozwól, że przypomnę ci, iż stoję po twojej stronie i to ja właśnie jestem twoją armią.

Melkonseron zatrzymał się i powoli odwrócił.

— Nie mam armii — powiedział lodowato. — Moje istnienie zależy od bogów, ich istnienie zależy od wiary ludzików, istnienie ludzików zależy chyba, niestety, od ciebie. Wniosek: W zasadzie już nie istnieję. . .

— Eee. . . nadpanie, nie ma się jeszcze czym przejmować. Jeżeli nie powiedzie się mój plan, to i tak nie będziesz mógł tego rozpamiętywać, skoro znajdziesz się w ostatecznym niebycie, czy czymś w tym rodzaju.

— Tak, piękna myśl, chociaż ludzikowa. A czy przypadkiem ten twój magiczny horyzont nie przestał działać za sprawą obcych? Może nas zobaczyli. . .

— Na pewno nie.

— Skąd ta pewność, mój ty obrońco?

— Już mówię. Tak samo jest z tobą czy twoimi bogami. Nie zajmujecie się magią, a tym bardziej czarcią, chociaż wiecie o ich istnieniu. Istniejecie po prostu w innych wymiarach. Wiem, że może ci się to wydać dziwne, że pierwotne wiry magiczne istnieją na poziomie dostępnym tylko ludziom i bogowie, a nawet nadbogowie, nie mają na to żadnego wpływu. Na szczęście dla ludzi tak właśnie jest i mam nadzieję, że tak pozostanie na zawsze. Podobnie jest z tymi obcymi. Wiedzą, że magia i czaria przenikają wszystkie poziomy istnienia. Wiedzą też, że ktoś mógłby z nich skorzystać, lecz w głębi swych umysłów lekceważą je, bowiem sami nie mogą się nimi posłużyć.

— Tak? To chyba głupie z ich strony...

— No właśnie, nadpanie. Na czym skupia się zbrojny oddział, jadąc w czasie wojny przez las? Otóż wypatruje innego oddziału, przeważnie wrogiego. Czy zastanawia się nad mijanymi drzewami lub chociażby ogólnym wyglądem leśnej okolicy? Ależ nie. Czy zatem możliwe jest, by zauważył małą lizkę, przyglądającą mu się spod liścia jednego z krzewów? Rozumiesz, nadpanie?

— No... tak — mruknął Melkonseron. — Bardzo... stylowo powiedziane. Tak, zdecydowanie w dobrym guście i w ogóle... Rozumiem, tylko co to jest ta lizka, jakieś protonium?



\* \* \*

Wielki Go grzał się przy palenisku w zamkowej kuchni. Było tak, jak lubił: sucho, mroczno i ciepło. Ogień palił się równo i spokojnie. Zza niedomkniętych drzwi w głębi holu dolatywało ciche podśpiewywanie piekarza i szuranie drewnianych szufl do wyciągania bochenków z pieca. W powietrzu unosiły się pierwsze tej nocy zapachy przypieczonej skórki chlebowej, posypanej kminkiem, płatkami gwiazdownika i startymi korzonkami demonki trójlistnej. W takich chwilach uwielbiał zamykać oczy i wyobrażać sobie, że w powietrzu dryfują maleńkie żaglowce pełne przypraw. Kiedyś nawet stworzył takie stateczki, by zachwycić pewną dziewczynę. . .

Obracał w palcach błyszczący rondel i wpatrywał się w gwiazdy, przesuujące się powoli za płataniną kutych kwiatów w ośmiokątym oknie.

Ktoś cicho zastukał do uchylonych drzwi.

— Mistrzu, nie chcielibyście spróbować ciepłego chleba z gwiazdownikiem? — szeptem zapytał pызaty kuchcik.

— Przynieś jeden. . . albo nie, przynieś dwa bochenki, chłopcze — mruknął mag. — A do tego tuzin wędzonych gnilduszników. Aha, pamiętaj przy tym, co spotkało kuchcika, który nie chciał podzielić się z mistrzem magii najlepszym, skrywanym w spizarni kąskiem.

— Co mam pamiętać? Nie znam takiej przypowieści, panie — odparł nerwowo chłopak.

— Oczywiście, że znasz, mój młody przyjacielu, chociaż może ona powstać dopiero dziś w nocy. . .

Kuchcik skłonił się niepewnie i szybko wycofał. Przemierzył korytarz i rzucił nienawistne spojrzenie dymiącym bochenkom na drewnianych półkach.

— I bądź tu miły. . . Przekłęci magowie! — mruknął pod nosem, zanurzając dłoń w słoju z wędzonymi rybami.

— Słyszałem! — dobiegł go odległy okrzyk Wielkiego Go.

\* \* \*

Pomrukując odczekał, aż głośnie sapanie i odgłos kroków maga ucichną. Wdrapał się na piec chlebowy, pod sam sufit. Spojrzał jeszcze raz w dół. Z półek wychylały się równymi rzędami łyse czoła bochenków chleba. W kuchni cicho strzelał ogień. Gdzieś tam spali ludzie.

— I pewnie nie wszyscy sami. . . — mruknął do siebie.

Z kieszeni wyciągnął łyżkę i zaczął wyskrobywać ciasto chlebowe ze spoiny pomiędzy kamieniami. Po chwili wyjął prostokątną płytę i delikatnie położył obok, na występie komina. Wcisnął swe chude ciało w ciasny, pełen kurzu i pajęczyn kanał. Przeczłogał się sześć kroków i wpełznął do dusznej komory. Zapalił świeczkę.

Kolebkowo sklepioną komorę odkrył kilka lat temu i od razu postanowił w niej właśnie ukryć swój skarb, swoich bogów. . . W ulepionym z wyschniętego ciasta chlebowego maleńkim zameczku, zajmującym niemal całą podłogę, zamieszkały dwa ciemne ziarna fasoli o wydłużonych główkach i powykręcanych kończynach.

Dreptały właśnie po najwyższym tarasie. Chłopak skulił się i czołem dotknął podłogi. Na otwartej dłoni podał im pognieciony srebrny pierścionek, który ukradł wczoraj jednej z kucharek. Fasolowe ludziki chwyciły go w krzywe łapki i wrzuciły do wieży, już po brzegi wypełnionej podobnymi podarkami.

— O bogowie, jestem wciąż nieszczęśliwy. . . — wymamrotał kuchcik. — Nie chce mnie pokochać żadna dziewczyna. . .

— Miałeś nas zabrać do wielkiego króla, byśmy mogli nim władać! — pisnęło jedno z ziaren.

— Na razie nie mogę, o panowie moi, pilnują go przekłęci magowie. Wszędzie ich pełno.

— Dobrze, wybierz więc dogodny dla siebie czas, ale pamiętaj, my jesteśmy nieśmiertelni, ty nie!

— A co ze mną? Obiecaliście mi szczęście, gdy ratowałem was z kotła.

Ziarenka popiszczwały coś między sobą

— Musisz być cierpliwy! — powiedziało jedno z nich. — Ludzie jakoś zawsze się rozmnażają. . . nawet tacy jak ty. . . Weź to i daj jakiejś upatrzonej samiczce, na pewno pomoże.

Chłopak wysunął przed siebie drżącą dłoń, a fasolowy ludzik położył na niej ziarno piasku.

— Weź to i włóż w nią, a będzie twoja.

— Włożyć w nią? — zdumiał się chłopak, uważnie obserwując błyszczący pyłek w swej dłoni.

— No, człowieku, zmykaj stąd! Na co czekasz?! Idź załatwiać nasze sprawy i nie wracaj tu bez lepszych nowin.

— I zgaś światło! — pisnęło drugie ziarenko.

Cofając się w głąb kanału, wciąż słyszał ich cienkie, chichoczące głosy.

\* \* \*

Wielki Go rozerwał palcami ciepły bochen i wetknął nos w dymiące, pulchne ciasto. Uwielbiał to. Upewnił się jeszcze, że kuchcik zamknął za sobą drzwi i wyciągnął z miski ociekającego oliwą gnilduszniaka. Nigdy nie odcinał łebków wędzonym rybom. Wiedział dobrze, że przynosi to nie-szczęście. Przed zjedzeniem zawsze też wpychał w rybi pyszczek kilka nasionek gwiazdownika. Tak na wszelki wypadek. Nauczyła go tego w dzieciństwie babcia, która знаła się na odczynianiu

uroków i innych tajemniczych sprawach, o których wiedzą tylko stare kobiety nieustannie mieszające zioła w kociołku.

Wyjadł ciasto z obu bochenków, zostawiając tylko skórkę i w wydrążone wnętrza powkładał wszystkie wędzone ryby, po czym postanowił dokończyć posiłek na tarasie obserwacyjnym. Spojrzał jeszcze uważnie na trzymany w ręku rondel, jakby go widział pierwszy raz w życiu. Wcisnął go w kieszeń i, pogwizdując Marsz najwyższych mistrzów, jął gramolić się po kręconych schodach.

\* \* \*

Taras był pograżony w ciemności. Podłogę pokrywały nieokreślonego pochodzenia śmiecie i resztki jedzenia, tylko kamienna płyta na środku lśniła jak zwierciadło.

Wielki Go, głośno mlaskając i przeżuując, przycisnął oko do mekchanismos obserwacyjnego, które zainstalował tu Mekch, chociaż chmury przesłoniły większość nieboskłonu i obserwacja gwiazd była w zasadzie niemożliwa. Na dodatek mag był pewien, że stalowa ryba nie pojawi się dziś nad Atrim. Jego rozbudzona w ostatnich dniach magiczna intuicja mówiła mu, że korab obcych bogów odleciał daleko, może nawet poza granice królestwa. Postanowił wypytać o to Karcena, gdy ten raczy wreszcie powrócić ze swego labiryntu. Wpatrując się bez celu w zachmurzone niebo, jął zastanawiać się z kolei nad dziwnym zachowaniem Mekcha. Staruszek ostatnio niechętnie rozmawiał

z magami, natomiast wielce zaprzyjaźnił się z szalonym Suddolikiem i całymi nocami przesiadywał z nim w Pijanym Krakenie. Wczoraj widziano, jak buszował w zamkowej kuchni i podkradał trunki z piwniczki mistrza Lojasopassa. Wielkiego Go ogarnęła przykra świadomość, że wiele być może ważnych spraw dzieje się poza wiedzą magów.

— Mekch jest chyba. . . Skrywa więcej tajemnic, niż przypuszczaliśmy. . . — mruknął do siebie. — Te jego mekchanismos, same śrubki i szkiełka, paskudztwo. . . i jeszcze do tego ten szalenięć Suddolik. Muszę go dokładnie przesłuchać. . . tylko, jak to. . . — ktoś puknął go w ramię. Mag podskoczył gwałtownie, krztusząc się potężnym kawałkiem chleba.

— Bądź spokojny, mistrzu Wielki Go.

Mag, rozmasowując oko, które nadział na mekchanismos w chwili zaskoczenia, starał się przypomnieć sobie, skąd zna ten przyjemny głos.

— Nie staraj się sobie mnie przypomnieć. Nie znasz mego głosu, choć, przyznaję, że jest przyjemny. . .

Postać swobodnie opierała się o kamienną balustradę. Nocny wiatr, w przypiływie natchnienia, postanowił nadać jej długim włosom ulotny kształt zmysłowej rzeźby. Sądząc po łagodnych krzywiznach skrytego w mroku ciała, była to kobieta. Sądząc jednak po zielonej poświacie, która ją otulała, była to nie tylko kobieta.

— Niezła... — wyrwało się magowi na potwierdzenie pewnej myśli, która niczym czerwona bielizna zatrzepotała w jego umyśle.

— Ty, natomiast, nie podobasz mi się tak bardzo — odparła swobodnie postać i zbliżyła się do Wielkiego Go. — Jestem wrogiem światów. Tak mówią o takich, jak ja, bogowie, wy magowie i ta idiotka Śmierć.

— No to ja... zawołam mistrza Karcena — szybko powiedział Wielki Go i postanowił odwrócić się z godnością i w ogóle bez pośpiechu.

— Ależ mistrzu, gdybym chciała rozmawiać z tą niegodziwą, wyzbytą wyższych uczuć beką lepkiego łożu, to na pewno tak by się stało. Daj szansę swemu życiu i wysłuchaj mnie — uśmiechnęła się subtelnie, samymi kącikami ust. — Wolę rozmawiać z delikatniejszymi osobami i dlatego wybrałam ciebie. Przekaż Karcenowi i jego sojusznikom, że pomogę wam w walce z nowymi bogami, jeżeli Karcen uwolni Sendikelma od tego paskudztwa, które tkwi w jego żołądku.

— Znaczy, co? Zjadł coś? Truciznę? — pisał Wielki Go.

— Znacznie gorzej, mój mistrzu, połknął myślący kamień. W dodatku taki, który żyje dłużej niż wasze słońce świeci.

— Aha... .

— No właśnie! — podniosła głos. — Oczywiście nie masz zamiaru dopytywać się głupio, w jaki sposób macie się go pozbyć i jak ja mogę wam w tym pomóc. . .

— Oczywiście, nie mam zamiaru. . . — ponownie pisnął mag.

— I oczywiście nie interesuje cię, dlaczego istota tak wielka, jak ja, zajmuje się jakimś tam nieistotnym rycerzem. . .

— Oczywiście, nie interesuje mnie. . . — odparł Wielki Go, przy czym dołożył wielkich starań, by nie piszczeć tym razem.

— Ech, magicy, magicy, wiedziałam, że rozsądni z was ludzikowie, a przynajmniej niektórzy i czasami. Tak przy okazji, mistrzu, jeżeli w końcu odkryjesz, jak połączyć magię z czarą, będziesz w stanie odwrócić czar, który rzuciłeś na swych kolegów z konwentu. Ten rondel w twojej kieszeni to mistrz Filoroson, przynajmniej tak mi się wydaje. No dobrze. . . Jeżeli znowu się spotkamy, zapewniam cię, że nie będziesz musiał się mnie obawiać.

— Ale. . . — powiedział Wielki Go i w tej samej chwili został na tarasie sam, jeżeli nie liczyć wędzonych gnilduszników wewnątrz bochenka, który ścisnął w rękę.

Usiadł na krawędzi balustrady i zaczął skubać chrupiącą skórkę. Już miał się poważnie zastanowić nad dziwnym spotkaniem, gdy drzwi wieżyczki schodowej odskoczyły z hukiem i na taras



wkroczył Karcen. Zamarł w pół kroku i pociągnął głośno nosem. Rozejrzał się gwałtownie dookoła i w kilku susach doskoczył do Wielkiego Go.

— Niebezpiecznie samemu zabawiać się czarią, móóój uuuuczniuuu!!! — ryknął mu prosto w twarz.

— Ale...

— Żadne ale, mistrzu Go! Powietrze aż trzeszczy od czarii i nie wmawiaj mi, że to tylko przypadek! Wiem, że chciałbyś dogonić mistrza, ale pamiętaj, że jesteś wobec mnie bezbronny jak zając wobec orła. . . ! Inicjacje są twoją jedyną drogą, a ja jestem na tej drodze bramą!!!

— Mistrzu, ja tylko. . . — jęknął Go na granicy omdlenia. — Ja właśnie chciałem prosić twą mądrość o pomoc i gdy zwróciłem swe myśli ku światłu twojej osoby, wpadłeś tu właśnie i postanowiłeś przestraszyć mnie na śmierć. Był tu. . . No, właściwie była. . .

\* \* \*

Karcen, błędząc wzrokiem po zachmurzonym niebie, kończył właśnie dojadać ostatniego gnilduszniaka. Bliski płaczu Wielki Go skończył opowieść o zielonej zjawie i oparł się ciężko o balustradę.

— Na koniec raz jeszcze proszę cię, Karcenie, byś uwierzył, że pojawiła się tu zupełnie bez mojej woli. Wiem, że istnieje czaria, gdyż zechciałeś przekazać mi tę mądrość, lecz nigdy nie odważyłbym się sam z nią eksperymentować.

— Wiem, wiem. . . — Karcen wciąż gapił się w niebo. — Chyba rzeczywiście nie mógłbyś sam zgromadzić w jednym miejscu tylu wirów czarii, by ściągnąć wroga światów. Widzisz, mój uczniu, magia jest jak ryba, wiry magii pierwotnej jak ławice ryb. . .

— Tak. . . — przerwał mu Wielki Go, usiłując odzyskać nieco godności — a magowie jak rybacy. . .

— W rzeczy samej — uciał ostro Karcen — lecz wiedz, że jeżeli magia jest rybą, to czaria jest morzem, w którym ona pływa. Mag jest zatem jak rybak, lecz mistrz czarii jest jak bóg morza, do którego rybak i ryby mogą się tylko modlić, a wodne przestworze spełnia wszelkie jego życzenia — otrzepał dłonie z okruszków i objął ramieniem Wielkiego Go. — Jak myślisz, mój uczniu, dlaczego zatem istota tak niezwykła, jak jeden z wrogów światów, używa skondensowanych strumieni czarii, by pojawić się na naszej wieży obserwacyjnej i żądać pomocy w jakiejś sprawie?

— A bo ja wiem? . . . Może po prostu z lenistwa. . . niewolnicy i tak dalej. . .

— Albo?

— Albo jesteśmy jej potrzebni, gdyż sama jest tylko z materii czar. . . no, to znaczy, jest czarią. . .

— I?

— I... no, tego, ponieważ jest tylko czarcią, nie może osobiście interweniować w naszym materialnym świecie...

— Wobec czego?

— Wobec czego nie musimy się jej wcale obawiać...

— Więc?

— Więc powinniśmy pomyśleć, jak... tego, no, jak ją wykorzystać do naszych celów.

— Wspaniale! Wygrałeś, panie Go, konkurs na najsprytniejszego człowieka stulecia. Ciekawe, kto był twoim nauczycielem...

— Ale... mam pytanie. Jakie są właściwie nasze cele? Oczywiście oprócz tego, by żyć możliwie długo, syto i przyjemnie?

— Właśnie mistrza masz od tego, żeby wiedział, jakie są nasze cele. I na świadomości tego musisz poprzestać.

— Aha... — Wielki Go ponuro spojrział w niebo.

— Zejdźmy do mych komnat w korzeniach tej wieży.

Wielki Go nie mógł ukryć zdumienia.

— Zapraszasz mnie do tych komnat, tych chronionych komnat?! Ależ jestem. . . jestem zaszczycony! . . .

— Oczywiście, że jesteś, mój drogi — sapnął Karcen. — Nie wiem tylko, czy będziesz chciał opuścić mój schron, gdy usłyszysz, czego dowiedział się ostatnio twój poczciwy mistrz. . . Aha, odnieś po drodze ten ronderek do kuchni. Lepiej, żeby reszta magicznego konwentu nie przeszkadzała nam zbyt. . . I niech ugotują na śniadanie. . . ja wiem, może gulasz z siedmiu białych mięs — Karcen wziął od Wielkiego Go naczynie i w wypolerowanym dnie przyjrzał się swemu zniekształconemu odbiciu. — A tak przy okazji, mistrzu Go, piękne zaklęcie zesłałeś na tych zarozumiałców, naprawdę piękne. . . — stuknął paznokciem w brzeg rondelka. — Wiem, że to ty, mistrzu Filorson! — wrzasnął do wnętrza naczynia, wprowadzając je w nieprzyjemny rezonans. — Ugotujcie z kolegami na rano naprawdę dobry gulasz, to być może przypomnę sobie, jak odwrócić czar rzucony przez mistrza Go.

Wielki Go zachichotał cicho i ruszył schodami w dół mrocznej wieży, korzystając z jedynej snopa światła, jaki rzucało dziewięciokątne rondo kapelusza Karcena.

\* \* \*

Dotarli do wilgotnego zaułka na ostatnim poziomie lochów. Ściany dekorowały wiekowe pajęczyny, cmentarzyska całych pajęczych rodów, zasuszonych i nieruchomo spoglądających zza swych białych kokonów. Wielki Go, zszedłszy z ostatniego schodka, chlupnął w lodowatą wodę. Pogwizdujący wesoło Karcen obejrzał się i posłał mu równie lodowate spojrzenie. Uniósł połę płaszcza i wskazał na buty, unoszące się kilka palców nad wodą.

— Mistrzu Go, idziemy do moich komnat — wycedził. — Jeszcze dwa kroki i wleziesz w pięćsetłokciową sztolnię.

— Wybacz, mistrzu, wciąż zaślepia mnie wspomnienie światła twojej mądrości i nie mogę się skoncentrować.

— Lepiej szybko przypomnij sobie, jak to się robi. Pozostawię dla ciebie otwarte przejście, ale pamiętaj, że ściany są tu sześć razy grubsze od ciebie — i, pogwizdując, wszedł w ścianę.

Pozostawione przejście było trochę za ciasne i Wielki Go, machając rękami i nogami, wygramalał się ze ściany powoli, niczym z kadzi chlebowego ciasta. Gdy w końcu się wynurzył, Karcen nalewał do wysokich szklanic jakiś musujący, brązowo-czerwony płyn. Sapiący Go z wdzięcznością przyjął chłodny napitek i rozszerzonymi oczyma rozglądał się dookoła.

— Co to za dziwne wino? Nigdy takiego nie piłem.

— Bo go jeszcze nie wymyślono. Sprowadzam go z przyszłości. . . ten, no, odsuniętej w bok do tyłu, rozumiesz? Dlatego bez względu na to, ile go wypijesz, pozostaniesz trzeźwy. Zresztą, nie ma w nim chyba żadnego alkoholu, tylko jakiś kwas, wyciąg z jakichś orzeszków i przypalony cukier.

Gabinet Karcena był wykwintny i lśniący czystością. Główną część wielkiego jak dziedziniec turniejowy pomieszczenia przykrywała opalizująca kopuła.

— Nie opalizująca, mój uczniu, tylko opalowa — rzekł głośno Karcen, słysząc myśli Wielkiego Go. — Opal można stworzyć i utrzymać w istnieniu prostym zaklęciem, którego oczywiście jeszcze nie znasz. To wielce przyjemny kamień i daje ładny rezonans.

— Dziwnie nie słyszę żadnego echa. . . w tak wielkim pomieszczeniu. . .

— No bo je wyłączyłem, by porozmawiać z tobą spokojnie.

— A te obrazy. . . — zachwycił się Wielki Go. — Nie wiedziałem, że ludzie potrafią malować tak realistycznie. Te wszystkie kobiety były naprawdę aż takie, takie. . . ?

— Nieee, przynajmniej nie wszystkie były aż takie, takie — zarechotał Karcen i klepnął Go w plecy. — Obrazy pokazują po prostu moje ulubione i najbardziej wyrafinowane estetycznie wspomnienia. Jak wiesz, wspomnienia żyją swoim własnym życiem, a ja nie mam nic przeciwko temu, że niektóre z nich stają się jeszcze przyjemniejsze i jeszcze doskonalsze.

— Tak właśnie myślałem. . . Tak pięknych kobiet przecież nie ma. . .

— No wiesz? Niektóre były jeszcze doskonalsze, lecz musiałem trochę obrzydzić sobie o nich wspomnienia. Rozumiesz, nie chciałem zbyt cierpieć, już dawno umarli, a nie narodziły się dotychczas godne ich następczynie.

— Czyli najpiękniejsze kobiety żyły kiedyś, a w dzisiejszych czasach już takich nie ma. . . — mruknął Wielki Go, czerwieniąc się pod wrażeniem kolejnego obrazu.

— Mniej więcej. . . To pewnie przez to, że z biegiem wieków mądrzeją kosztem urody. Na szczęście zawsze i na dowolnie wybranej kobiecie możemy dokonać chwilowej transformacji upiększającej — Karcen porozumiewawczo stuknął ucznia łokciem tam, gdzie u innych ludzi można trafić w żebra.

— Naprawdę? — szepnął Go, wlepiając wzrok w następny obraz.

— Pewnie! Ale nauczę cię tego, gdy już uratujemy świat. A teraz powiem ci, co zrobisz, gdy ja z Melkonseronem wyruszę do naszej pięknej Anielicy po protonium. Tylko postaraj się, mój wierny uczniu, przypomnieć sobie dokładnie, czego jeszcze nie powiedziałeś mi o tej zielonej.

— Tego, że była naprawdę piękna. I chyba podobna do tej tu, siedzącej na czarnym prześciera-dle — wskazał trzeci od lewej obraz w okrągłej kryształowej ramie.

— Do tej? . . . — Karcen znieruchomiał, wgapiwszy się w esowato wygięte, boleśnie piękne ciało.

\* \* \*

Wielki Go siedział wygodnie w wielkim fotelu i popijał musujący napój, chociaż ten, po nabraniu temperatury, już mu tak nie smakował. Patrzył na nieruchome ciało Karcena, rozpostarte na stosie wyszywanych złotem poduszek, i czekał niespokojnie na jego powrót. Czuł na sobie spojrzenia tych wszystkich kobiet. Zwłaszcza jednej, siedzącej na czarnym prześcieradle. Teraz, po kilku obrotach, był absolutnie pewien, że wyglądała tak samo jak zielona istota, którą spotkał na tarasie. Postanowił powiedzieć o tym Karcenowi natychmiast, gdy tylko ten powróci. Jego intuicja magiczna krzyczała, że tożsamość zielonej zjawy jest najważniejszą informacją dla mistrza.



# 17

## Timajskie skrzydła

*Co dał Noc,  
zabrał Dzień.*

*Co zostawił Dzień,  
zgubił Noc.*

*Co dało Życie,  
Śmierć zabrała.*

*Lecz dając niebiosa,  
do człowieka się śmiała.*

(inwokacja Pieśni do Noca i Dnia)

Sendilkelm siedział przygnębiony. Zapadł się w stos ułożonych na tarasie poduszek i przyglądał się odbiciu twierdzy Dogodoto, drgającemu w ciemnej wodzie jeziora. Widział Agni rozmawiającą z Alem Chegerem. Siedziała na kładce przystani, plecami do niego i moczyła stopy w wodzie. Al, wyraźnie rozwścieczony, wygrażał jej i co chwila unosił ku niebiosom oburzoną twarz. Agni wzruszała ramionami i zamasyście rozchlapała wodę.

Sendilkelm nie wiedział, o co tym razem chodzi, ale też stwierdził, że zupełnie go to nie interesuje. Zastanawiał się, jak ma zrozumieć lud Timajów, skoro nie rozumie zachowań ludzi z Atrim. A zwłaszcza tej kobiety. Agni jakby dla zabawy szukała poparcia w którymś z nich, a już następnego dnia obrażała się czy coś równie absurdalnego i zwracała swe zainteresowanie ku następnemu. To, że ignorowali ją i jawnie z niej kpili, nie przynosiło żadnego rezultatu. Swymi babskimi sztuczkami rozbijała i tak wątpliwe braterstwo trzech męskich umysłów, z których jeden pełen był bliżej nieokreślonych nadziei, a dwa pozostałe przepępiała rezygnacja i wściekłość. Czomono się tu nie liczył, zresztą, był zupełnie niewrażliwy na obecność Agni. No cóż, bogom zawsze jest łatwiej w życiu czy też w tym, co oni życiem nazywają.

Sendilkelm był zmęczony i zrezygnowany. Od Wieczoru Siedmiu Opowieści minęły trzy dni. Wtedy, po uroczystości, odwieziono ich po prostu do kwatery na jeziorze i pozostawiono bez słowa. Spodziewał się wszystkiego, z wyjątkiem tego. Nie rozmawiano z nimi, nie oskarżano o nic.

— Zupełnie jakby hodowali sobie na wyspie kilka łabędzi nowej odmiany — mruknął. — Ale, skoro my do końca nie jesteśmy pewni powodów naszej obecności w Dogodoto, trudno się dziwić. I trzeba nawet uznać Timajczyków za cierpliwych gospodarzy.

W dole, na przystani, Al machnął ręką zrezygnowany i oddalił się od paplającej bezustannie dziewczyny. Doszedł do muru tarasu i zadarł głowę.

— Do wszystkich chorób nagłych i śmiertelnych, myślę sobie, że zupełnie nie rozumiem tej kobiety! — krzyknął do Sendikelma.

— Do wszystkich chorób, myślę sobie, że nie trzeba było tworzyć tych kretyńskich kryształków, mistrzu! — odkrzyknął rycerz.

— Cooo?! Aaa... to, no tak... Ale myślę sobie, że i tak by nas znalazła!

— O nie, chyba że wymyśliłbyś coś równie głupiego, jak te biegające kamyki! — przechylił się przez balustradę tarasu. — O co tym razem się kłóciliście?

— No właśnie, myślę sobie, że tak wiele razy zmieniała temat i w ogóle, że chyba już nie wiem, o co — skrzywił się Al.

— To normalne. Problem z nią polega chyba na tym, że musi wypowiedzieć określoną ilość słów na obrót. Nie ma z nami innych bab, to nie może plotkować. . . No, może trochę z Bisenną.

— Pewnie — przytaknął skwapliwie Al. — I dlatego wymyśla te wszystkie głupoty i kłóci się z nami.

— Pewnie dlatego Czomon zdecydował, że kobiety nie mogą być jego kapłankami.

— Tak, to chyba dosyć rozsądny bóg, choć na razie mało popularny. A tak przy okazji, jeśli wolno spytać, kiedy planujesz przywrócić wiarę w niego w blasku chwały swego prorocstwa, czy też coś w tym rodzaju?

— Wleż na górę, to pogadamy — mruknął rycerz.

\* \* \*

Bisenna był przerażony. Strach lepkimi palcami owinał się wokół jego gardła i nie odstępował ani na chwilę od trzech dni. Gdy bezszelestnie płynącą łodzią wracali z Wieczoru Siedmiu Opowieści, opończa jednego z wioślarzy zsunęła się, a on dostrzegł matową, smokolitową skórę. Był pewien, że jako jedyny okazał się na tyle czujny, by to zauważyć. Al zajmował się wtedy ukradkowym tuleniem do Agni, a Sendilkelm jak zwykle siedział pogrążony we własnych myślach. Czomona nie brał pod uwagę, gdyż nie sposób było stwierdzić, czy bóg w ogóle jest świadom faktu, że trafili do niewoli

smokolitowych potworów, a jeżeli nawet, czy jest mu to na rękę, czy też nie. Zrozumiał wówczas, że zostaną zgładzeni, bez względu na knowania magów z Atrim i wszystkich bogów razem wziętych. Od tej chwili był pewien, że są tylko igraszką w rękach Timajczyków, że wioślarze to zapewne jakieś tajemnicze mekchanismos, a cała twierdza Dogodoto to zapewne coś w rodzaju iluzji. Tak, Fraternijczyk chciał wierzyć, że śni i że w końcu obudzi się w domu. To, co zdarzyło się w Atrim, mogło być jeszcze jawą, lecz podróż w Timaje to na pewno widziadło. Przypominał też sobie opowieści swych mistrzów o górskim szaleństwie, które spada na mieszkańców nizin Fraterni, gdy znajdują się powyżej chmur. Nie był jednak pewien, kto oszalał, on, czy świat dookoła. Sendilkelm, Al, no i oczywiście ten złodziej Czomon, wydawali mu się nieprawdziwi, nierealni jak złośliwe zjawy. Dziś rano, gdy patrzył na nieruchomo siedzącego Sendilkelma, miał wrażenie, że światło słoneczne prześwietla go jak dym.

Jego umysł ścisnął się w maleńki, drżący punkt, bezustannie przemierzający wersety modlitw. Nakreślił w łaźni, na wilgotnych płytach podłogi, znaki ochronnego pięciokąta i w jego środku zaznaczył swą krwią święte miejsce hymnów. Tu, od wczoraj, wznosił nieustanne modły do Noca i Dnia, by natchnęli go swoją mądrością lub chociaż zesłali jakąś ochronę, podejrzewał bowiem, że jego życie niedługo się skończy i to zapewne w bolesny i nieprzyjemny sposób.

Po raz trzydziesty trzeci tego dnia Bisenna kolanami, łokciami i czołem dotknął podłogi pośrodku pięciokąta i basowym szeptem rozpoczął inwokację:

*Tysiącoki Nocu,  
przelewasz swą krew dla Dnia,  
by zrodził z niej niepoliczonych nas.  
Płonący wieczny Dniu,  
przelewasz swą krew dla Noca,  
by zrodził z niej tysiące gwiazd.  
Nocu! Ty wciąż umierasz dla Dnia.  
Dniu! Ty śmiercią swą rodzisz Noca.  
Niech dla Was umrę i ja!  
Gdy śmierć mi pošle Noc,  
niech ciemność uniesie mnie,  
a oczy rozpali srebro gwiazd!  
Gdy śmierć mi pošle Dzień,  
niech światłość przeniknie mnie,  
a serce rozżłoci słońca blask.*

*Niech srebrne oczy Noca,  
niech złote oko Dnia,  
prowadzą mnie szczęśliwie  
do śmierci wszystkich bram.  
Bym tam znalazł drogę  
najlepszej służby Wam!*

Gdy tylko skończył modlitwę, rozpoczął polerowanie swej doskonale czystej broni. Zdyszany i ociekający potem, podniósł jeden z mieczy na wysokość twarzy i przyjrzał się odbiciu swoich oczu w stalowej klindze. Czarne źrenice nie zdradzały strachu, który mieszkał po ich drugiej stronie.

— Stal i ciało, ciało i stal — powiedział głośno — które z nich to życie, a które to śmierć? Mistrzowie wojny zadali mi to pytanie po pasowaniu na wojownika. Może dziś poznam odpowiedź. Strachośmierność!

Gdyby tylko mógł, z rozkoszą znalazłby zapomnienie w gładkich objęciach smokolitowej zbroi śmierci. Przynajmniej skończyłby swe życie z honorem, jak jego ojciec...

\* \* \*

Bisenna w pełnym rynsztunku bojowym wskoczył do basenu i przykucnął, by zanurzyć się zupełnie. Rozcinał wodę dziesiątkami cięć, zasłon i ataków, czując, jak krew huczy mu w uszach, a płuca pękają z wysiłku. Wskoczył z wody, zaczerpnął tchu i rozpoczął trening od nowa. Gdy wynurzył się po raz kolejny, zamarł w pół ruchu, wzrokiem napotkał bowiem zakutą w smokolit postać.

Czomon, oparłszy się niedbale o kolumnę sklepienia, wpatrywał się w niego pionowymi otworami przyłbicy.

— To chyba dosyć niestosowne, wymadlać sobie łaskę u innych bogów w mojej obecności, nie sądzisz? — zatrzeszczał. — Zwłaszcza u takich, którzy nie istnieją, o czym, oczywiście z wyjątkiem ciebie, wiedzą wszyscy.

— Może i jesteś sobie bogiem — warknął Bisenna — może nawet w takim samym stopniu, jak i zwykłym złodziejem, ja jednak w ciebie nie wierzę i nie boję się twego gniewu. Obcoćbogoćśmiertność!

— Tym lepiej, tym lepiej, bowiem tym bardziej spektakularne będzie twoje nawrócenie. Na razie przybyłem tu w innej sprawie. Al podrywa tę głupią dziewczuchę, Sendilkelem jest trochę przynieciony swym posłannictwem i trochę ogłupiony przez pewnego gościa, którego nie może wy-



prosić. Widzę, że ty jako jedyny pozostajesz nieustannie czujny i gotowy do walki. Czyścisz broń, masz przecucie śmiertelnego niebezpieczeństwa... to dobrze. Ja czuję to samo. Niedługo stanie się coś ważnego, straszego... Gdybym był człowiekiem, powiedziałbym, że coś wisi w powietrzu, ponieważ jednak jestem bogiem, powiem, że zagrożenie przyjdzie z innego świata. To będzie coś naprawdę wielkiego.

— Ale co to właściwie znaczy? — sapnął Bisenna.

— Tego dokładnie sam nie wiem. Bogowie w sprawach z innego świata mogą przecież mieć tylko przecucia, ale powiem ci, że się cieszę, iż ostrzysz swoje miecze.

— Z tego świata, z tamtego... To w końcu wiesz coś, czy tylko przeczuwasz, a może po prostu marudzisz jak stara baba?!

— Wszystko ma dwie strony, człowiekowi dane jest zobaczyć tylko jedną z nich. Tak samo księżyc zwraca ku wam zaledwie jedną twarz, a drugą zawsze przed ludźmi ukrywa. To właśnie dlatego ludzki umysł nigdy nie pojmie, czym jest rzeczywistość. Czasami po śmierci człowieka dobrzy bogowie pokazują mu drugą stronę każdej rzeczy, by pojął swą znikomość. Lecz to także nie jest pełnym poznaniem, gdyż tylko bogowie wiedzą, że oprócz drugiej, istnieje również trzecia strona. Oni sami w pełni poznają ją dopiero po swej śmierci, gdy wezwą ich do siebie nadpanowie. Powiedziałem ci to przez litość, byś mógł zajrzeć w przepaść swej niewiedzy.

— Taki z ciebie bóg, jak z Chegera mag! — burknął Bisenna i wyskoczył z basenu.

— Będę się modlił sam do siebie, by cię nie zabić i nadal mieć siłę z tobą rozmawiać. Jesteś zwykłym religijnym fanatykiem — syknął bóg i wyszedł z łaźni.

— Powinienem ci się zatem podobać! Podobno bogowie znajdują w takich, jak ja, upodobanie! — krzyknął za nim Bisenna.

— Owszem, ale tylko wówczas, gdy między uszami mają mózg, a nie gniazdo myszy — dobiegł go zgrzytliwy szept z korytarza.

\* \* \*

Sendilkelm zauważył poruszenie po drugiej stronie jeziora i jął uważnie obserwować odległy brzeg. Pomiędzy porastającymi go drzewami dostrzegł biegające gromady zbrojnych. Po chwili przygalopował jakiś jeździec. Z trudem osadził konia i począł wrzeszczeć do czekających w przystani przewoźników. Wreszcie jedna z wąskich jak sztylet łodzi pomknęła w kierunku zameczku na wyspie.

Sendilkelm i Al Cheger wybiegli na dziedziniec. Agni gdzieś przepadła, ale nikt nie miał ochoty jej szukać. Z łodzi wysiadł oblepiony kurzem i zaschniętą krwią rycerz Ruffil. Dygotał ze zmęczenia, a drżące usta odsłaniały kilka świeżych ubytków w uzębieniu.

Al szepnął, że tym właśnie magowie różnią się od innych, że zawsze dbają o swój wizerunek i żaden z nich nie pokazałby się ludziom w takim stanie. Sendilkelm posłał mu zniecierpliwione spojrzenie.

— Panie Szendilkelmie, zbiesz szwoją drużynę... Przyszła mnie książę Mikkoli — wydyszał Ruffil prosto w twarz rycerza.

— Czyżby bogowie, pisząc pieśń naszego życia, wpadli na kolejny świetny pomysł, by uśmiercić nas w ciekawszych okolicznościach — jęknął Al, odsuwając się kilka kroków od przybysza. — Cuchniesz, panie Ruffil, śmiercią i wygląd twój z pewnością narusza twoje horenhoj. Lepiej, by bogowie nie ujrzeli cię w tym stanie, bo jeszcze nie wpuszczą cię do swych kryształowych niebios.

— Znacznie gorzej, panie Cheger — sapnął Ruffil. — Bogowie właśnie wylądowali.

— Co? Jak to, wylądowali? — rozdziawił usta Al, chociaż w głębi duszy już wiedział, że Timajczyk mówi prawdę.

— No, po prostu. Pojawili się z nieba, w błyszczącym pojeście i szpadli nagłą śmiercią na oddział Mikkolego. Tylko on, dwóch kapłanów i ja, uszliśmy z życiem. Przyszypały nasz po prostu zwały trupów?...

— Czy aby na pewno to, co przybyło, jak mówisz, to są bogowie? — huknął Czomon, który wbiegł właśnie na dziedziniec. — Ludzie czasami zbyt pochopnie wyciągają wnioski. Może to był jakiś piorun kulisty albo...

— Bogowie! — jęknął przeraźliwie Ruffil. — I do tego śmiertelnie źli. Zawiedliśmy ich oczekiwania! Nie odkryliśmy w szobie prawdziwej wiary! I dlatego posztanowili zabić nasz wszystkich!

— Nooo... a może to jacyś tam sobie... tego, no, inni bogowie, a nie wasi?... — wtrącił z tyłu Al.

— No właśnie! — dodał Czomon.

— Kapłani twierczą, że rozpoznali w nich jedynych naszych bogów, gdyż na ich powietrzynym korabiu zobaczyli znaki znane nam ze świętych tablicz!

— Podobno nie możecie zapamiętywać i kopiować tych znaków... — mruknął Sendilkelm, którego uwagę rozpraszał od dłuższej chwili niezrozumiały i wielce podniecony monolog Kamiennej Łzy.

— Kapłani mogą — jęknął Ruffil. — Płyńcie ze mną, Mikkoli czeka na wasz w wysokim zamku.

Czomon podparł się pod boki i wystąpił dwa kroki przed towarzyszy.

— To nie mogą być bogowie, a przynajmniej nie jacyś porządni bogowie, no, z charakterem i tak dalej. Porządny bóg, żeby zdobyć sobie wyznawców, pokazuje im, że ma styl. Bóg najpierw oświadcza o swej obecności. Tajemnicze znaki na niebie, powodzie, nieznane choroby, cudowne uzdrowienia, tajemnicze przedmioty i oczywiście prorocy. Właśnie, prorocy są najważniejsi! W każdym razie na pewno nie powinien lądować ludziom na głowach i ogłaszać się ich władcą. To nie po bożemu.

— Niby dlaczego? — wtrącił Al.

— No bo, no bo... tak się po prostu nie robi! Muszą być prorocy, przepowiednie, znaki i w ogóle. W przeciwnym razie nie można takich bogów uważać za bogów, tylko za jakichś kosmicznych partaczy.

— Jakich partaczy? — próbował cokolwiek zrozumieć Sendilkelm.

— Ooo, nieważne! — burknął Czomon i wgramolił się do łodzi.

— Naprawdę, nie sposób im wytłumaczyć nawet tak podstawowych spraw — westchnął cicho Kamienna Łza. — Ruszajmy, mój Sendilkelmie, czuję, że w końcu coś się zaczyna dziać.

\* \* \*

Na drugim brzegu jeziora czekał na nich oddział konnych i przygotowane do drogi konie. Agni fukała na wszystkich i burczała pod nosem. Sendilkelm, Bisenna i Al starali się tak manewrować

końmi, by być jak najdalej od niej. Była obrażona, gdyż chcieli odpłynąć z wyspy bez niej. Nikt jej nie zawołał. Sama, w ostatniej chwili, zauważyła z okna odbijającą łódź. W efekcie siedziała teraz na koniu bosa, jedynie w narzuconej na mokre ciało krótkiej tunice. Wiedziała, że wszyscy żołnierze gapią się na nią, lecz tym razem wcale sobie tego nie życzyła. Ruffil krzyknął coś i oddział ruszył, a asystujący mu rycerz przecisnął się do Agni i podał jej długi, skórzany płaszcz.

Pędzili przez wąskie ulice Dogodoto. Wszędzie było pusto, jakby miasto nawiedziła zaraza. Szczelnie domknięte stalowe okiennice i wykute w ogniste ornamenty bramy upodabniały wysmukłe kamienice do oddziałów milczących wojowników. Metaliczny stukot kopyt toczył się echem wśród zatopionych w ciszy ścian i kamiennych posadzek.

„Pewnie wszyscy są na murach”, pomyślał Sendilkelm.

— Albo w powietrzu — dodał Czomon.

— Czy mógłbyś odczepić się choć na chwilę? — burknął rycerz.

— Osobliwa prośba, jak na proroka.

— Jaki bóg, taki prorok.

Jechali wciąż pod górę, aż dotarli do szczytowej części zamku i połączonego z nim płaskowyzu, gdzie rozpoczynali i kończyli swe loty podniebni wojownicy. Wjechali w krętą, sklepioną ostrymi łukami ulicę. Prowadziła do najwyższego tarasu twierdzy, który jako jedyny otoczony był nie mu-

rem, lecz tysięczną przepaścią. Wiatr łopotał sztandarami i skrzydłami lotnych rycerzy i dął w kamienne organy wieńczące hełm wieży.

Timajczycy nazywali je fletami bogów. Zmienne wiatry, bezustannie szalejące na tej wysokości, wyśpiewywały na nich pieśni, z których kapłani wojny układali wróżby. Dziś i bez kapłanów wszyscy wiedzieli, że pieśń wiatru wygrywa sama Śmierć.

Sendilkelm nie zdziwił się, widząc kilkuset żołnierzy, stojących w pełnej gotowości obok swych turkoczających skrzydeł. Uzbrojeni w krzyżowe kusze, oszczepy i miecze, w równych sztykach uformowanych w kształt orlich skrzydeł, czekali na rozkazy.

Agni stanęła w strzemionach, rozchyliła skórzany płaszcz i, rozczesując palcami włosy, rozszerzonymi oczami chłonęła widok timajskiej armii gotowej do lotu.

— Jeśli z tymi bogami i ich korabiem to prawda, to niewiele z nich zostanie — stwierdził, przekrzykując wiatr, Al Cheger.

— Nie wiadomo — odparł Bisenna. — Czasami bogowie wydają się zaskoczeni ludzkimi możliwościami. Ludzie czasami zresztą też. . . Słaboćbogoć! Głupioćczłekoć!

— Zamknijcie się wreszcie! — krzyknął Sendilkelm. — Ci wojownicy nie wiedzą przecież, z kim będą walczyć. I czy w ogóle będą walczyć. Wątpię, by dowódcy powiedzieli im, że zostali zaatakowani przez bogów.

Ruffil zawrócił gwałtownie i zrównał konia z wierzchowcem Sendilkelma. Był dziwnie smutny i usztywniony. Sendilkelm zauważył łzy w jego oczach, zapatrzonych w gotowe do startu oddziały.

— Musicie szpotkać się z radą wojny — zwrócił się do Sendilkelma, nie odwracając wzroku od skrzydlatych żołnierzy. — Władca Dogodoto i Mikkoli już czekają. Władca uważa, że pojawienie się twojej drużyny tuż przed Wieczorem Siedmiu Opowieści ma wiele wspólnego z lądowaniem bogów w naszej stolicy niech jego horenhoj pożostanie czyste jak kryształ. Ja jestem odmiennego zdania. Cóż, nie mnie decydować o waszym udziale w dzisiejszej walce.

— Zamierzacie zatem z nimi walczyć? — uśmiechnął się Czomon. — To świetnie! Jesteście zaiste dzielnym ludem i zasługujecie na lepszych bogów.

— Nie wiem, co masz na myśli, panie Czomonie bez twarzy, ale z tego, co wiem, nie tylko my, lecz i wy udacie się na szpotkanie z korabiem bogów.

— Niech Noc i Dzień ześlą na nas dobrą śmierć i przyjmą do swych niebios. . . — zaintonował Bisenna. — Śmierć śpiewogralić będzie!

— A ten znowu swoje — westchnął Czomon.

Al przygarbił się i skurczył w siodle, przywierając mocno do końskiej grzywy. Instynkt ucieczki jeszcze nigdy w życiu tak boleśnie nie dał mu się we znaki.



— Chciałbym powiedzieć, że musimy uciekać... — obłąkańczo przewrócił oczami. — Powinniśmy byli uciec już w momencie, gdy po nas przyplynie. . . Tylko nie wiedziałem. . . i dalej nie wiem, dokąd. . .

— Zawsze wierzyłem, że twój zmysł ucieczki jest niezawodny, mistrzu Cheger — odrzekł Bissenna. — Nigdy jednak nie przypuszczałem, że potrafisz ostrzec z tak wielkim wyprzedzeniem.

— Ja ciągle chcę uciekać, odkąd weszliśmy w te przekłete góry. . . — bełkotał bliski płaczu Al — tylko nikt nie chciał mnie słuchać.

Sendilkelm posłał mu jedno ze swoich wyćwiczonych kamiennych spojrzeń. Poskutkowało. Zsiedli z koni i w asyście oddziału Ruffila weszli do wykutej w skale bramy. Pokonali cztery opatrzone wartami kondygnacje i weszli do sklepionej wysoką kopułą sali. Sendilkelm od razu pojął, że znaleźli się w świętym miejscu.

Pośrodku sali, na kryształowych tronach, siedzieli najwyżsi kapłani Przenajświętszego Sanktuarium Jedyńch Śladów, księżę Mikkoli i sam Pan Dogodoto. Ci ostatni znajdowali się dokładnie wewnątrz snopa światła, spływającego na nich z centralnego okna kopuły. Wszystkich otaczał krąg nieruchomo siedzących na podłodze kapłanek. Ich ciała pokrywała jedynie cienka warstwa smokolitowego pyłu. Agni omiotła je ponurym spojrzeniem, podniosła wysoko brodę i otuliła się szczerze połamami płaszcza.

— Interesująca i wielce estetyczna oprawa liturgiczna — pochwalił Czomon, od dłuższej chwili oglądający płaskorzeźby kopuły, po czym delikatnie potarł palcem ramię najbliższej kapłanki. — Ciekawe, czym przyklejają im ten pył? — kapłanka siedziała nieporuszona. — Są naprawdę niezłe przeszkolone, to doprawdy godne pochwały.

Pan Dogodoto powoli wstał i uniośł dłonie ku źródłu światła. Kapłanki podniosły się również i, cofając się, poszerzyły krąg, zatrzymały się na chwilę i ponownie usiadły. Mikkoli zerwał się nerwowo z tronu i wystąpił zdecydowanym krokiem na środek sali. Utkwił swój ptasi wzrok w twarzy Sendikelma, a następnie, po kolei, w twarzach jego towarzyszy.

— Pan Dogodoto i najwyższy Enga Enga twierdzą, że nie możecie być zwykłymi ludźmi. Pojawiliście się w naszym kraju w szczególnym okresie. Przyszliście nie wiadomo skąd, a wasze wystąpienia na Wieczorze Siedmiu Opowieści wzbudziły wielki zamęt wśród kapłanów. Obciąża to moje horenhoj i krew moją czyni niegodną. Ja was tu sprowadziłem i to nie jako więźniów. Wiedziecie zatem, że wszystko, co powiecie i uczynicie, dla mnie samego życie lub śmierć oznaczać będzie. Pan Cheger twierdzi, że jest magiem prześwietnym, przysłanym przez waszego władcę, by nauczyć nieść naszym ojcom magii. Z niewiadomych dla mnie przyczyn, lecz nie moje to horenhoj, nasi prześwietni magowie ani widzieć się z nim nie chcą, ani nawet słyszeć o jego naukach. Pan Sendikelm twierdzi z kolei, że wielkim wodzem sił Atrim będąc, wyruszył na wyprawę w dzikie Timaje

z czworgiem jeno ludzi. Doprawdy, jego horenhoj musi być wielkie i strachu w ogóle nie zna lub po prostu kim innym jest ów rycerz, kto wie, czy nie naszym największym wrogiem. Co do pana Bisenny i towarzyszącej im nierządnicy, pytań nie mamy, gdyż widać, że pozostałych sługami tylko pozostają, choć nienajlepiej świadczy to o horenhoj pana Sendilkelma i mistrza Chegera. Wobec takich faktów, Pan Dogodoto żąda, by pan Czomon zechciał jednak podnieść swoją przyłbicę i pokazać nam swe szlachetne oblicze.

Zapanowała cisza i wszystkie spojrzenia skupiły się na hełmie Czomona. Bisenna przesunął dłoń po udzie, w kierunku rękojeści miecza. Kamienna Łza pisnął niezrozumiale i ostrzegawczo ukłął Sendilkelma w żołądek.

Pan Dogodoto wstał, podszedł do Mikkolego i położył mu rękę na ramieniu.

— Od czterystu dwudziestu sześciu lat władam doliną Dogodoto. . .

— Ja przez jakieś osiem tysięcy lat. . . — mruknął spod przyłbicy Czomon.

— Moje horenhoj nie pozwala mi zabić nikogo w świętym miejscu! — huknął Pan Dogodoto. — Mimo to nie ośmielaj się mi przerywać i podnieś przyłbicę!

— Nie pozwala ci na to również moja zbroja, panie.

— Od waszego przybycia dni w Dogodoto stały się tak dziwne, że od snu je trudno odróżnić — powstrzymywał się od gniewu władca. — Być może błędem było wpuszczając was do naszego miasta,

być może magią nieznaną nasze umysły mamicie, być może powietrzny korab, który zabił oddział Mikkolego należy do waszych sojuszników, a nie bogów, jak twierdzą nasi kapłani. Tak czy inaczej, nastał czas wyjaśnień. Powiedzcie, co macie nam do powiedzenia, ale nie o magicznych sztuczkach, panie Cheger, i nie o jakichś tam nieistniejących bogach, panie Bisenna, jeno o prawdziwym celu waszej podróży. Wiedźcie tylko, że ze świątyni tej nie ujdziecie z życiem, jeżeli zapragniecie walki. Tak, panie Czomon, z naszych strażniczek można zetrzeć smokolitowy pył palcem, lecz tylko wówczas, gdy palec ów pokrywa smokolitowy pancerz. Jeśli rozpoczniesz walkę, znajdzie się i na twoją zbroję oręż śmiertelny, a twoi towarzysze zginą, nim dobędą broni.

Strażniczki bezszelestnie wstały. Każda z ośmiokątnych płyt, na których siedziały, okazała się pokrytą smokolitem tarczą z zamontowaną po wewnętrznej stronie jednoręczną kuszą, gotową do strzału trzema bełtami jednocześnie.

— Bełty aż kapią od zielonego sapium — szepnął Sendilkelmowi Bisenna. — Lepiej niech twoja mowa będzie gładka, panie, bo inaczej po nas. Strachośmiertność straszna!

Sendilkelm skłonił się władcy zgodnie z wymogami etykiety Atrim.

— Wielce podziwiamy wasze horenhoj, władco Dogodoto, dzięki któremu pozostajemy wciąż przy życiu. I twoje, książę Mikkoli, skoro życiem za nas ręcysz, chociaż niezmiernie nas to dziwi,

ale widocznie zasad waszego horenhoj nie pojmujemy do końca. Przyczyn naszej obecności w Timaju jest wiele, przy czym my sami nie wszystkich jesteśmy świadomi. Ale znamy główny powód. Jest nim magiczna intuicja naszego ojca magii z Atrim, wielkiego Karcena. Wielkie zdarzenia magiczne, które nie nam oceniać ani rozumieć, skłoniły go do wysłania nas z misją tajemną do waszego królestwa. Mistrz Karcen przypuszcza, że zdarzą się tu rzeczy niezwykle i nasza obecność pomocna będzie zarówno jemu, jak i wam. Żałuję wielce, że wasi magowie mają horenhoj tak wielkie, że z mistrzem Chegerem widzieć się nie chcą. Być może pożałują tego, gdy wielkie wydarzenia ich ominą, a potomnym obce będą ich imiona, bowiem nie warci są pamięci ci, którzy ukrywają się w swych wieżach, miast stawić czoła wołaniom świata. Być może zdarzenia w waszej stolicy nie tylko ludu Timajów dotyczą, lecz początkiem są czegoś, co dotknie wszystkich plemion na tym świecie. Tego właśnie obawia się nasz magiczny konwent z wielkim Karcenem na czele. Może to początek panowania oczekiwanych przez was bogów, a może początek wojny okrutnej, która obejmie wszystkie ludzkie ziemie. Nie wiem, co stało się w waszej stolicy, lecz wiem, że wielki Karcen przysłał nas tu dla wypełnienia tajemnej i dobrej dla wszystkich misji. Jeżeli zechcecie nas teraz zabić, nigdy nie dowiedziecie się o słuszności swej decyzji. Skoro jesteśmy tu sami, bez wielkiej armii, to zagrożenia nijakiego dla kraju i ludu twego, panie, nie stanowimy. A może rzeczywiście właśnie rozpoczyna się wielka wojna i przepowiednie Karcena skierowały nas tu, byśmy służyli waszemu

ludowi pomocą. Macie przecież świadomość, wielcy panowie Timaju, że nie wiemy wszystkiego o tym świecie. Gdyśmy zmierzali do waszej stolicy, widzieliśmy w Timajach Chmurnych mknący po niebie oszczep bogów. Znak to wojny pomiędzy bogami i na to my, ludzie, nic począć nie możemy. Być może korab, o którym mówicie, z innej przyczyny tu przybył i nie chodzi tu wcale o lud Timaju, ani o inne plemiona, tylko o sprawy pomiędzy bogami? Może zatem słuszne jest zdanie się na moc naszych ojców magii?

Enga Enga poderwał się, odepchnął Mikkolego i stanął na wprost Sendilkelma.

— Straszne to słowa, zagórski wojowniku, bez płomienia prawdziwej wiary w sercu. Tylko jedni są bogowie i to oni są naszymi panami! Inne bóstwa żyją jedynie w umysłach nieszczęsnych dzikich ludów! Jeśli bogowie zechcieli wam pokazać swój oszczep mknący w chmurach, to był to jedynie akt łaski, byście mogli w porę się nawrócić. Nad Timajem objawili się nasi i jedyni bogowie! Nie nam oceniać ich działania. Jeśli zechcieli oddział Mikkolego w popiół obrócić, to ich sprawą i prawem pozostaje. Być może ocalały Mikkoli przybywa do nas z nowiną wybawienia, tylko nie potrafimy jej jeszcze pojąć, gdyż zbyt mała jest nasza wiara. Nie znamy ich woli, lecz poddamy się jej z posłuszeństwem. Jeżeli chcą nas wszystkich zabić, to tylko w imię wyższych prawd. A i łaskę nam tym wielką uczynią, wszak my, ich pokorni poszukiwacze i wyznawcy, tym prędzej do ich niebios trafimy. Inny natomiast może się okazać los wasz i pozostałych dzikich plemion, czczących

nieistniejące bóstwa. Lecz nie jest to sprawa naszego horenhoj. Może ten świat skończy się jutro, tak jak wszystko musi dobiec końca. Mikkoli i inni myślą o wojnie i nieprzyjaciela wypatrują, ja zaś wam mówię, że dzień wielki nastał i świat dzisiaj się odmienił, bo nasi bogowie pojawili się w swej chwale i wielkości. Mikkoli i Ruffil widzą ich gniew, lecz nie pojmują, że może być to słuszny gniew ojców napominających zagubione dzieci. Czyż i Pan Dogodoto nie wydaje wyroków śmierci, a przecież kimże jest nasz władca wobec bogów? Jednak jego decyzji nikt w Dogodoto nie śmie podważyć, jak zatem można podważać wyroki bogów naszych? Wierzę, że ojcowie magii z odległego Atrim mogli przeczuwać ich nadejście, gdyż niezbadana jest wola boska i być może w swej łasce zechcieli w ten sposób innym ludom oznajmić o swym przybyciu. Tak właśnie rozumiem waszą tutaj obecność i nie winię Mikkolego, że ryzykując swoim horenhoj, przywiódł was do Dogodoto w przeddzień Wieczoru Siedmiu Opowieści. W pełni również rozumiałe wydaje się wasze zagubienie i niepewność celu wyprawy. Uważam, że powinniście polecieć razem z naszym wojskiem na spotkanie bogów. Jeżeli ich życzeniem będzie zachować was przy życiu, byście mogli być ich posłańcami w Atrim, tak się stanie. Jeżeli jednak zechcą i was śmiercią obdarzyć, to przyjmijcie ją z wdzięcznością. . . — na znak Pana Dogodoto Enga Enga przerwał swą wypowiedź i cofnął się do swego tronu.

Władca milczał przez chwilę, wpatrzony w kamienne wzory posadzki.

— Sendilkelm to imię syna Sendila, wielkiego wojownika — zaczął powoli. — Tak chyba opowiadał mi Karcen, gdy odwiedził nasz kraj jakieś dwieście, dwieście dwadzieścia lat temu. . . Zastanawiają mnie trzy sprawy. Po pierwsze, czemu Karcen nie przybył osobiście, przecież to właśnie jego wołała do Timaju magiczna intuicja. Po drugie, dlaczego w zamian przysłał tu tak dziwne poselstwo, choć z największym wodzem Atrim na czele. Po trzecie, kim jest tajemniczy pan Czomon. Wiem, że wielki Karcen mógłby bez większego trudu zmaterializować się w tej świątyni choćby i teraz. Nie uczynił tego, lecz wysłał was. Zatem wielka jakaś sprawa lub obawa zatrzymała go przy królu Raratrie. Zrozumiałe to i wielce słuszne trwać przy swym władcy, gdy dzień jutrzejszy skrywa mroczna chmura niewiedzy i zwątpienia. Być może jednak obawia się on tego, co tu się stanie i woli nie narażać swej potęgi na starcie z siłą nieskończenie większą. . . Wiem również, że ojcowie magii z Atrim swe horenhoj czyste jak kryształ mają, gdyż z wyżyn sztuki swojej lekceważą wszelkie pokusy, a przede wszystkim pęd do władzy. Wszyscy władcy, którzy choć w niewielkim stopniu pojęli, czym jest magia, wiedzą, że magowie tak wielcy, jak Karcen mogliby bez trudu zagarnąć wszystkie trony świata. . . No cóż, czas nagli, a to ja mam klucz do drzwi dzisiejszego dnia. Postanawiam, że Sendilkelm i jego drużyna wyruszą wraz z pierwszym skrzydłem pod dowództwem księcia Mikkolego. Widzę chmury na twym czole, wielki Engo Engo, wiedz zatem, że drużyna pana Sendikelma rozdzielona zostanie na wypadek, gdyby nasze zaufanie okazało się zbyt wielkie.



Pierwsze skrzydło niech odlatuje natychmiast. Do stolicy dolecą w pół obrotu, o ile bogowie nie zmienią wiatrów, co może się zdarzyć. Wszystkie pozostałe skrzydła wyruszą w ciągu następnego obrotu.

Mikkoli wstał gwałtownie i skłonił się przed władcą.

— A zatem, panie Dogodoto, ruszamy na wojnę, czy złożyć pokłon naszym nowym panom i czekać na śmierć przez nich zesłaną? Do wrogów czy do bogów naszych lecimy? Cóż wojsku mam powiedzieć?

— Tego dowiemy się, gdy dolecimy, młody książę. Twe horenhoj jest młode i niedoświadczone, wiedz zatem, że najwyższą mądrością jest działać szybko. Tak szybko, by chmury myśli i dociekań nie przesłoniły słońca intuicji. Możemy oczywiście do jutra domagać się, by pan Czomon złamał swe śluby i odsłonił twarz, możemy zlecić naszym kapłankom przesłuchanie pani Agni i pana Bissenny. Pozbawieni włosów, oczu, kilku palców i części skóry, z pewnością dodaliby do usłyszaney opowieści kilka interesujących szczegółów. Lecz przecież niewiele by to zmieniło, mój książę. Odpowiedź leży w naszej stolicy. Poderwij swoje skrzydło i leć na jej spotkanie. Ja i reszta wojska wyruszymy, nim wiatr rozwieje za wami szlaki. Ląduj przed murami stolicy, w stosownie dobranej przez siebie odległości od korabia bogów.

— Nie wiem, jaka odległość może być bezpieczna, panie. Ogniste strzały dosięgły mojego odziału, zanim korab wylądował, a odległy był od nas o co najmniej tysiąc skrzydeł. Potem zawisł nad nami i płomieniem spopielał tych, którzy jeszcze żyli.

— Jednak wróciłeś, książę, cały i zdrowy, jak i trzech twoich towarzyszy, zatem albo można uciec od śmiertelnego ognia, albo też celowo darowano wam życie. Obydwie wersje pozostawiają nam jakąś nadzieję, dlatego nie marnujmy czasu i lećmy ją sprawdzić. Pamiętaj, że gdyby zajęce święcie wierzyły, iż przed orłami nie mają żadnych szans ratunku, a tak przecież z pozoru być powinno, już dawno nie byłoby na świecie zajęcy.

\* \* \*

Gdy opuścili już świątynię i krętymi schodami wspinali się na najwyższy taras, Czomon zbliżył się do Mikkolego.

— Weź mnie, książę, pod swoje skrzydło. Niech horenhoj twego władcy pozostanie czyste jak kryształ, lecz gdyby jego intuicja zawiodła i do walki dojść miało, ja i moje smokolitowe ostrza staniemy tuż przy twoim ramieniu.

— Zaszczycają mnie twoje słowa, panie Czomonie. Tym bardziej chciałbym zobaczyć twarz swego sojusznika.

- Uwierz książę, że niewiele zostało do oglądania.  
— Czyżby toczyła twe szlachetne oblicze jakaś choroba, panie?  
— Tak, śmiertelny brak wiary.

\* \* \*

Mikkoli rzucał szybkie rozkazy w wojennym dialekcie Timajczyków. Z pierwszego skrzydła odłączyli się czterej wojownicy i w przepisowym kwadracie stanęli przed księciem.

— Weźcie wielkie skrzydła szturmowe. Swym towarzyszom lotu dajcie po dwie kusze i po oszczepie. Monol poleci z Bisenną, Garseni z mistrzem Chegerem, Kollis jest dowódcą samodzielnego stada, więc chyba horenhoj pana Sendikelma nie ucierpi, jeśli to on weźmie go pod swoje skrzydło. Pani Agni poleci z Tuffirem, gdyż najspokojniejszy z niego lotnik. Pan Czomon leci ze mną. Naziemnicy mają im pomoc przypiąć skrzydła i niech powiedzą pani Agni, co robić, żeby nie krzyczeć w czasie lotu, gdyż przynosi to nieszczęście.

Agni burknęła coś pod nosem i zmierzyła wzrokiem rosnącego wojownika, z którym miała lecieć.

— Jestem Tuffir, drugie pióro w lewym skrzydle księcia Mikkolego, pani. Jeżeli pragniesz coś mi powiedzieć, to lepiej uczynić to teraz. Na wysokości mogę nie usłyszeć twego wołania.

— Jak już słyszałeś, panie Tuffir, jestem z poselstwa Atrim i należy mi się horenhoj takie samo, jak reszcie mych towarzyszy. . .

Tuffir szybko skłonił się, jednak nie zdołał ukryć parsknięcia śmiechem. Otarł twarz rękawicą i wyraźnie chciał coś powiedzieć, lecz spadł na niego huragan słów Agni.

— Co w tym zabawnego? To, że fruwacie na dużych latawcach i macie za nic swoje kobiety, nie znaczy, iż możesz mnie traktować bez horenhoj! Może ośmiela cię zbyt mój ubiór, jednak mylisz się, sądząc, że mam go na sobie z własnego wyboru.

— Wybacz, że ci przerwę, pani — rzekł głośno Tuffir. — Nie możesz mieć horenhoj, bo jesteś kobietą, co aż nazbyt dobrze widać.

— Jednak nie czyni to mnie nierządnicą, jak nazwał mnie wasz władca! Mam swoje horenhoj i mogę je pokazać w boju lepiej niż ty i cała reszta tych latawców!

— Zrozum! — huknął Tuffir, rozglądając się za kimś do pomocy. — Nie możesz mieć horenhoj, gdyż kobiety mają swoje matirhoj, co zresztą znaczy więcej niż horenhoj dziesięciu mężów!

— Aaa. . . taaak? — zdębiała Agni. — Jak to, więcej znaczy?

— Musisz jeszcze, pani, przed lotem założyć mundur naszego oddziału, więc wyjaśnię ci tylko, że matirhoj kobiet więcej znaczy niż horenhoj mężczyzn, gdyż rolą mężów walecznych jest życie

zabierać nieprzyjaciołom, a rolą kobiet jest życie dawać naszym rodom. Dziwne, że muszę ci to tłumaczyć, pani.

— Aaa... — odpowiedziała rozumnie i ucichła.

W tym samym momencie podbiegł do nich Bisenna, wciśnięty w skórzany mundur lotników.

— Książę mówi, że jeżeli chcesz, panie Tuffir, zaprosić Agni do swego domu, to możesz to uczynić po powrocie, jeśli będziemy mieli jeszcze jakiegokolwiek domy. Aha, i powiedz pani Agni, by zapięła płaszcz. Na tej wysokości przeziębisz się... piersi. Lepiej niech pani Agni zachowa swoje wdzięki na później. Miękkosłabobaboć! — wydyszał wściekle, odwrócił się i pobiegł do czekającego na niego skrzydła.

— Ale, przecież ja... — jęknęła Agni.

— Ja też... — mruknął Tuffir i pociągnął ją w kierunku swego skrzydła, podtrzymywanego przez ubranych na czarno naziemników.

Oddział Mikkolego wzniósł się w niebo szybko, wykorzystując sprzyjające prądy powietrzne. Górskie wiatry z wojenną pieśnią na ustach niosły wojowników z Dogodoto z tak niezwykłą prędkością, że Mikkoli i inni dowódcy skrzydeł nie nadążali z wydawaniem chrapliwych rozkazów, nakazujących zwroty i przeformowanie lotników. Lecieli więc trochę bezładnie, w porozrywanych

kluczach i na różnych wysokościach, niczym chmara drapieżnych ptaków, a nie wyszkolone timajskie wojsko.

Chmury rozciągnięte w pofalowane pasma układały się tak, jakby jakiś boski pług przeorał niebiańskie pole ze wschodu na zachód. Słońce, pomimo schyłku dnia zbyt jasne, by patrzeć mu w twarz, rozświetlało niebo blaskiem płynnego srebra i złota.

Timajscy kapłani wojny uznali ten układ i kolor chmur za wróżbę pomyślną, a nawet szalejący pomiędzy turniami wiatr wydał im się sprzyjający. Pan Dogodoto, towarzyszący im na tarasie, starał się uwierzyć w te przepowiednie i ze zmrużonymi oczami obserwował ruchliwe stada swoich wojowników, znikające w rozświetlonych niecodziennym światłem przestworzach.

— Może rzeczywiście dziś wieczorem świat nasz skończy się i jutro nie będzie nikogo, kto mógłby przechować pamięć o nas — szepnął i dał znak, by oddział jego osobistej gwardii szykował się do startu.

\* \* \*

Bisenna z trudem utrzymywał w górze powieki. Podczepiony pod Monolem, wprawnie sterującym skrzydłem, ścisnął w dłoniach ciężkie kusze, umocowane na rzemieniach po obu stronach

swojej upręży. Wiatr szumiał mu w uszach i wciskał lodowate palce pod rozłazący się na jego grzbiecie timajski kaftan.

Agni śmiała się histerycznie od chwili startu ze skalnej półki. Skrzydłem, pod którym leciała, wiatr rzucał jak zeschniętym liściem i inni musieli uskakiwać im z drogi. Tuffir coś krzyczał wściekle, lecz nie rozumiała, co. Dopiero przy gwałtownym zwrocie, gdy skrzydło pochyliło swój dziób, a w głowę uderzyła ją kusza, zrozumiała, że powinna trzymać podczepioną pod skrzydłem broń i przenosić jej ciężar zgodnie z rozkazami Tuffira. Po chwili lecieli już spokojniej, powoli doganiając swój oddział, przewyższający ich o jakieś trzysta stóp.

Sendilkelm miał wrażenie, że płynie pod wodą, kołysany ciepłymi prądami. Dziesiątki skrzydeł bujały się przed nim jak w powolnym tańcu. Sterujący jego lotnią Kollis gadał niezrozumiale, przeciągając każde słowo w nieskończoność. Sendilkelm zamknął oczy i ujrzał uśmiechające się do niego rozkoszne oblicze Anielicy Śmierci. Coś mówiła, bezgłośnie poruszając ustami. Jej oczy, miękkie od smutku i czułości, przyglądały się tajemnicom skrywanym przez jego umysł. Obraz rozedrgał się i znikł, a Sendilkelm ujrzał twarz swego boga, milczącą i dostojną. Czomon rozpoczął śpiewną inwokację w swoim zapomnianym przez ludzi języku. Narastający rytm i moc słów sprawiły, że myśli rycerza zatańczyły i przemieniły jego umysł we wzniosłą świątynię kultu Czomona.

Kamienna Łza przyglądał się temu z milczącym zachwytem badacza dokonującego długo oczekiwanego odkrycia.

— Twa wiara jest piękna, mój Sendilkelmie — szepnął. — Gdybyś mógł zobaczyć swą świadomość tak, jak ja ją widzę. . . Prawie żałuję, że nie jestem człowiekiem.

— Bądź na wieczność pozdrowiony, Sendilkelmie, moje dziecię! — zawołał ze śmiechem Czomon. — Nadchodzi czas! Moje ziemskie ciało, choć już ledwie manifestuje się w tym wymiarze, pomoże ci w twym posłannictwie. Wytrwaj w wierze we mnie! Czas wiary i próby już nadszedł! Nie minie obrót, a staną się niebiosa moje domem dla nowych wyznawców. Bądź pozdrowiony, Kamienna Łzo, nieoczekiwany przyjacielu z innego świata. Imię twe na zawsze pozostanie w umysłach moich wiernych. Wychwalać cię będą i wspominać jako jedną z niezgłębionych tajemnic wiary.

Sendilkelm otworzył oczy. Przed nimi, w dole, otwierała swoje skalne ramiona kolista dolina Timaju Wielkiego, naznaczona kolumnami ciężkiego, czarnego dymu.

Skrzydło Mikkolego, błyskając okuciami i smokolitem zbroi Czomona, otoczyło spiralą jeden z dymnych słupów i zniżyło się, niemal dotykając skalnego grzbietu. Trzech zwiadowców z jego oddziału pomknęło za nim, a jeden z nich tak mocno ścisnął spiralę swego lotu, że smolista kolumna połknęła go żywcem. Skrzydło księcia lotem drapieżnego ptaka wpadło w chmury skrywające miasto. Reszta oddziału kołowała wyżej, oczekując rozkazów.



Gdzieś w dole błyskały niezwykle światła, napełniając chmury mocnymi, chłodnymi barwami. Sendilkelm dostrzegł pomiędzy nimi przemykające skrzydło Mikkolego. Z niezwykłą prędkością umykało kilku ognistym kulom. Niżej dwaj jego zwiadowcy spadali niczym płonące pochodnie. Chmury odsłoniły jeszcze jakiś potężny, połyskujący kształt, ale Sendilkelm nie potrafił go rozpoznać. Książę prawie pionowo wzbił się ponad obłoki i, gwizdząc rozkazy, przemknął przez oddział Kollisa niczym rekin przez ławicę ryb. Lecący z nim Czomon napełnił powietrze huczącą pieśnią.

— Książę rozkazał lecieć na zachodnie lądowisko! — krzyknął do Sendilkelma Kollis i wykonał ostry zwrot. — Nigdy jeszcze nie widziałem, by ktoś potrafił tak latać!

— Nigdy nie widziałeś lecącego boga! — odkrzyknął Sendilkelm.

Kollis nie odpowiedział, tylko zagwizdał na swych ludzi, by zwiększyli pułap i podążali za Mikkolim.

\* \* \*

Lądowisko zachodnie, czyli, mówiąc po timajsku, leżące w kierunku przeciwnieświątym, oddalone od stolicy Timaju o trzy jazdy, wznosiło się nad czerwonymi skałami jak czarny granitowy młot. Gdy Kollis zataczał krąg, większość wojowników już wylądowała. Zdążyli nadać skrzydłom

pozycje startowe i przywiązać je do zatopionych w skale stalowych pierścieni. Wielu podbiegło do krawędzi lądowiska, wśród nich skrzyła się zbroja Czomona.

Kollis wylądował gwałtownie i niebezpiecznie blisko skraju przepaści, lecz Sendilkelm nie wydał z siebie żadnego dźwięku. Szybko wydostał się z uprzęży i pognął do stłoczonych wokół księcia wojowników.

Timajczycy milczeli, z przerażeniem wpatrując się w swoją stolicę. Część miasta płonęła, a trzeba dodać, że cały Wielki Timaj został wykuty w litej skale granitowej. Niektóre rozpalone do białości domy i świątynie rozpływały się w gorejące jeziora kamienia, zalewając sąsiednie tarasy i ulice. Tłum ludzi, który lotnicy rozpoznali w pełzającym ulicami bezkształtnym tworze, przemieszczał się powoli w kierunku najwyższej, najbardziej umocnionej części miasta. Najbardziej przerażająco jednak wyglądał świetlisty obiekt w zielonej dolinie u stóp miasta. Jak powiększona niezliczoną ilość razy morska piana. Szkliste, przenikające się na wszelkie sposoby, wydłużone i kuliste kształty tworzyły nieforemny pierścień. Jego powierzchnię, chociaż sztywną i niezmienną, pokrywały pełgające tęczo błyski. Po dłuższej chwili można było wyróżnić jego centrum, uformowane z kilkunastu największych, stopionych ze sobą bąbli. Najpotworniejsze było wrażenie, że ów szklisty twór jest żywą istotą. Na dodatek nie ulegało wątpliwości, że przemieszcza się on powoli, pozostawiając za sobą kolumny czarnego dymu i spaloną na popiół ziemię. Kawał jego cielska pławił się w płonących

jeziorach granitu, w miejscu, gdzie dawniej wznosiła się wschodnia część miasta. Zewnętrzne bąble wystrzeliwały w stronę istniejącej jeszcze zabudowy strumienie błękitnego i pomarańczowego płomienia.

Wiele plemion używa płonących płynów do podpalania obłożonych miast, lecz ten ogień nie leciał łagodnym łukiem, a przemieszczał się po linii prostej, wbrew prawom natury. Pomimo cudowności całego zjawiska, Mikkoli zdołał dopatrzeć się w nim pewnej prawidłowości. Ostrzał prowadzono tak, by uciekający ulicami ludzie kierowali się w jedno miejsce i wyznaczonym szlakiem podążali do najwyższego tarasu górującej nad miastem cytadeli.

Księżę gwałtownie odwrócił się i stanął tyłem do przepaści. Jego wojownicy natychmiast utworzyli wokół niego krąg, w milczeniu czekając na rozkazy.

— Świetnie wyszkoleni — szepnął Sendilkelm do Ala Chegera, który właśnie przepchnął się do niego.

— Widziałeś? Widziałeś? Piana, wielka magiczna piana! — bełkotał mag.

— Zamknij się Al i najlepiej gdzieś się ukryj, bo zaraz będzie bitwa. Mówi mi to mój instynkt i moja wiara.

— Głupcze — wysyczał Al — przecież to piana... Może nawet boska, a na pewno magiczna. Piana jest najpotężniejszą materią magiczną. To żywioł stworzony przez inne żywioły. Z nią nie

możecie walczyć. Bez względu na to, czy pochodzi od magów, czy od bogów, tylko oni mają nad nią władzę. Już zginęliśmy. . .

Sendikelm nie słuchał go dalej. W głębi jego umysłu rodził się śpiew. Monotonny i narastający hymn. Tym razem rozumiał każde słowo. To Czomon śpiewał o tym, że nadchodzi i zsyła śmierć na wrogów swoich i swego ludu. Sendikelm dostrzegł, że zbroja Czomona promieniuje jasnym światłem, a wszystko wokół niego traci kontury. Po chwili ostrość widzenia mu wróciła, lecz nadal słyszał śpiew swego boga.

Tymczasem Mikkoli zaczął przemawiać do wojska.

— Jak mówiłem, nie możemy być pewni, co to jest — kontynuował książe. — Kapłani i wielki Enga Enga widzą bogów, ja widzę Wielki Timaj w ogniu i ludność pędzoną ulicami jak bydło. Widzę spaloną ziemię i strzały ogniste oraz zabitych w locie moich wojowników.

Wśród lotników wzmógł się pomruk aprobaty i niektórzy parokrotnie wykrzyczeli swoje gardłowe „hoo”, dla podkreślenia, że zgadzają się ze słowami dowódcy.

— Moje horenhoj nakazuje mi mądrość, opiekę nad moim ludem oraz podejrzliwość, gdyż stanowi ona zbroję prawdy — kontynuował głośniejszym głosem Mikkoli. — Były kiedyś plemiona, które nasi przodkowie podbili i zniewolili bez walki, bowiem ludy te nie widziały nigdy skrzydlatych wojowników i wzięły nasze oddziały za wysłanników swoich bogów. Nie wiem, czy ta piana plująca

ogniem i pełną po naszej stolicy pochodzi od naszych bogów, czy też może od wrogich nam istot. Ponieważ moje poszukiwania wiary wiodły po innych ścieżkach, niż nakazywały nauki wielkiego Engi Engi, myślę, że inni bogowie istnieją i nie są tylko wymysłem dzikich ludów. Zatem, może to obcy nam bogowie pożerają Wielki Timaj i gnają lud nasz w jedno miejsce. Kto wie, po co? Cóż z tego, że na swoim korabiu mieli znaki z naszych świętych tablic. Czyż i nasi szpiedzy nie przywdziewają mundurów obcych armii? Skąd kapłani mogą mieć pewność, że oddając nasze życie tym, którzy stworzyli tę pianę, oddajemy życie naszym, a nie obcym bogom? A może właśnie nasi bogowie oczekują, że sprawdzimy, czym jest ten szklisty potwór, zanim padniemy przed nim na twarze? Może, jeżeli dojdzie do walki, nasi bogowie nam pomogą? Może dopiero w bitwie pokażą swoją potęgę? A może wreszcie wszystko, co widzimy z ładowiska, okaże się czymś innym, gdy zejdziemy w dolinę?

Nie wszyscy wojownicy zrozumieli słowa księcia, ale wszyscy, jak jeden mąż, wykrzyknęli poparcie dla dowódcy. Na jeden jego znak rozbiegli się do swoich skrzydeł i uformowali równe szeregi.

— Ludzie zawsze wolą, by ktoś za nich decydował. Zwłaszcza wtedy, gdy się boją — mruknął do siebie Al Cheger i zaczął rozglądać się w poszukiwaniu Agni i Bisenny, lecz zamiast nich zobaczył Czomona, który kroczył dumnie przy prawym boku księcia. Zniesmaczony tym widokiem, ujrzał z kolei, jak do parki tej zbliżył się Sendilkelm. Czomon objął go ramieniem i zaczęli roz-

mawiać. Stali spokojnie, jakby gawędzili w pałacowym ogrodzie, a nie pośród gotujących się do walki oddziałów. — Przekłęci bogowie! — mruknął Al. — Och, żeby tak ktoś wysłał tych wszystkich władców świata i bogów na jakąś odległą wyspę, by tam sobą nawzajem rządzili, a ludźmi władaliby magowie. Tak by było rozsądniej. . .

— Niekoniecznie. . . — odezwał się z głębi jego czaszki cichy głos Karcena.

Al aż się zatoczył i o mało nie upadł. Przykucnął i mocno zacisnął uszy dłońmi, by lepiej słyszeć mistrza.

— Karcenie, Karcenie. . . — szeptał gorączkowo. — Nareszcie! Nawet nie wiesz, co się tu. . .

— Wiem więcej niż ty! — ostro przerwał mu Karcen. — Nie odzywałem się, lecz śledziłem wydarzenia w Timaju twymi oczyma i na różne inne sposoby. . .

— Moimi oczyma? . . . — jęknął Al.

— Zamknij się wreszcie i słuchaj — spokojnie powiedział Karcen, a Al miał nawet wrażenie, że mistrz objął go ramieniem. — Masz trzymać się blisko Sendilkelma i Czomona, nawet podczas bitwy, jeżeli oczywiście będzie, rozumiesz? Ja i reszta konwentu znamy powagę sytuacji i podejmiemy odpowiednie kroki.

— Pojawicie się tutaj? — pisnął uradowany Al.

— A jednak jesteś głupi! — ryknął Karcen. — Zaczynam żałować, że powierzyłem ci tak zaszczytną misję. . . Trudno, na razie musisz pozostać na stanowisku. Po powrocie porozmawiamy sobie poważnie. . .

— To jednak przewidujesz, że uda się nam wrócić?! — ucieszył się Cheger i w tej samej chwili zauważył pobladłą twarz zbliżającego się do niego Bisenny.

— Jest taka możliwość! — krzyknął Karcen i umilkł.

Wtedy chwiejnym krokiem podszedł Bisenna. Jego skórzany mundur był porozrywany i mokry. Śmierdział potem i wymiocinami.

Al podniósł się i z trudem powstrzymał od zrobienia paru kroków w tył.

— Niech będą przeklęci wszyscy bogowie z wyjątkiem Noca i Dnia! — krzyknął Fraternijczyk. — Księżę nakazał głównym siłom pozostać na tym płaskowyżu w pełnej gotowości. Wraz z naszym dowódcą, Sendilkemem, i dwudziestką ludzi ruszamy na zwiad. Jest tu taki kołowrót, jakim już zjeżdżaliśmy ze skraju Timarlikonderonu, pamiętasz?

— No i? . . . — jęknął Al.

— Sendilkem nie ma na to czasu, zbyt jest zajęty swoim bogiem, ale ja, Bisenna, pytam cię, czy podążysz z nami? Marny z ciebie pożytek w walce, ale jesteś moim towarzyszem broni.

— Pewnie, że pójdę — szepnął Al. — Ktoś tam musi przecież za was myśleć. . .

— Wiedziałem, że w końcu zechcesz uchylić przed nami wrota skarbcza swej mądrości — ryknął śmiechem Bisenna. — Byle nie za szeroko, bo nie przyjmą nas w żadnych zaświatach! — wyciągnął spod kaftana krótki miecz o kanciastej, pięciokątnej klindze i podał go Chegerowi. — Tylko się nie skalecz i trzymaj się blisko mnie. Magoćsłaboć!

— To ty trzymaj się blisko mnie, gdyż to mojego powrotu do Atrim spodziewa się Karcen, a o reszcie nic nie mówił.

— Rozmawiał z tobą? Kiedy? — Bisenna spojrzał na niego spode łba.

— Przed chwilą! I kazał ci przekazać, że masz się do mnie zwracać, rozpoczynając każde zdanie od „mistrzu” — syknął Al.

Bisenna nic nie odrzekł, tylko odwrócił się i pobiegł w kierunku urwiska, gdzie mały oddział szykował się do zjazdu w dół. Al zarzucił sobie ciężki miecz na ramię i skaleczył się w szyję. Zacisnął wściekle usta i ruszył za Fraternijczykiem.

\* \* \*

Kołowroty skrzybiały przeciągle, a gondola, zgrzytając, obijała się o skałę. Mikkoli postanowił, że oddział od razu zjedzie w komplecie, więc w stalowy kosz, przewidziany dla dziesięciu



osób, musiało się wcisnąć dwudziestu zbrojnych. Czomon zawodził wzniośle hymn ku swej chwale, a Sendilkelm wtórował mu chrapliwie. Reszta wojowników szeptała między sobą. Jedni spoglądali w górę, na zbyt szybko kręcące się kołowroty, inni w dół, na płonące miasto.

Al, przyciśnięty plecami do krawędzi gondoli, nie mógł złapać tchu i musiał schować głowę pod lewym ramieniem, by nie nabić się na oszczep jakiegoś barczystego wojownika. Pomiedzy śmierdzącymi mundurami i sterczącymi wszędzie ostrzami dostrzegł brudną i wściekłą twarz Agni.

— Miejmy nadzieję, że i tym razem Czomon lub jakiś inny bóg zadba, by się to wszystko nie urwało — zagadnął do niej, uśmiechając się krzywo. — Albo, by nie zestrzeliła nas jakaś ognista kula.

— Czyżbyś się nagle nawrócił, mistrzu Cheger? — zjadliwie odparła Agni. — Weź tę brudną łapę, bo ci ją odetnę!

— Cooo, ja?!

— Nie ty, głupku, tylko ten śmierdziel, który stoi za mną! Ej ty!...

Głos Czomona przybrał na sile i jak grzmot odbijał się od kamiennego koryta. Gondola zdecydowanie poruszała się zbyt szybko, nawet jak na timajską konstrukcję.

Jedna z lin wydała z siebie przeciągły pisk i kilka z tworzących ją splotów pękło i zwinęło się w serpentyny. Wszyscy zamilkli i podnieśli głowy. Agni zdołała się w końcu odwrócić. Zwinęła

dłoń w łódkowaty kształt, tak, by pierścienie na jej palcach utworzyły stożkowane ostrze, i zdzieliła stojącego przed nią wojownika w twarz.

Lina pękła.

# 18

## Prottonium

*Niechaj maluczcy mniej znają wielkość naszej sztuki,  
niżli sami ją znamy.*

(przysłowie magów z Atrim)

Melkonseron, bóg bogów, nadpan bóstw wszelkich i stwórca ludzi, stał na wprost nieskończenie czarnej i nieskończenie wielkiej ściany. Każda inna zakrzywiałyby się i pieniała, lecz ta była zupełnie płaska. Za nią, gdy zostanie wezwany, będą czekali jego nadbogowie. Nic o nich nie wiedział ponad

to, że istnieją i to tak bardzo, we wszystkich przestrzeniach i wymiarach, iż jego własne życie jest dla nich mniej niż niczym.

Dawniej, gdy jego wszechświat był młodszy, a nowonarodzeni przez niego bogowie służyli mu wierniej niż sobie, przychodził tu często w nadziei, że dostanie od swych nadpanów znak lub nagrodę za swoją udaną służbę. Teraz, myśląc o zbliżającej się katastrofie, przybył tu w nadziei, że może ściana otworzy się i przeniesie go na drugą stronę. Nie mógł sobie nawet wyobrazić kary, jaka go spotka za niechybne utracenie podwładnych bogów, ich niebios i wyznawców. Miał jednak nadzieję, że nie potrafi również zgłębić nieskończonego miłosierdzia swoich nadpanów. Wszak on sam był mniej okrutny dla swoich bogów niż oni dla swych wyznawców. Zaś najokrutniejsi byli wyznawcy dla samych siebie. Więc może jego nadpanowie? . . .

Z rozmyślań tych wyrwało go ułknięcie z tyłu głowy. Była to czyjaś wybitnie ruchliwa myśl.

— Czy to znowu ty, najgrubszy z magów najgłupszego ze światów? — pomyślał na głos Melkonseron.

— Może i najgłupszego ze światów, skoro jego nadpan stoi przed ścianą swej śmierci i czeka na wybawienie, zamiast walczyć u boku swego wiernego wyznawcy — odparł Karcen, a raczej ta część jego świadomości, która zdołała tu dotrzeć.

— Haaa! — ryknął Melkonseron. — Zapominasz, że moimi wyznawcami mogą być tylko bogowie i ludzie znajdujący się w ich niebiosach, a nie worek sadła wymieszanego z magicznymi sztuczkami. Czyżbyś nawrócił się na jedną z oferowanych ci religii?

— Nie żartujmy sobie — szepnęła słabnąca świadomość maga. — Czekam na ciebie w moim labiryncie. Lepiej zrób w czasie jakąś pętlę albo coś, bo musimy się spieszyć. . .

\* \* \*

Karcen miotał się właśnie po swym wewnętrznym labiryncie. Zastanawiał się, czy wystarczy rozwinąć jak nić część swej świadomości, by doczepioną do niej igłą myśli przebić wymiary przestrzeni i czasu, i odnaleźć Melkonserona.

— No! Wystarczy to właśnie zrobić! — zarechotał za plecami maga nadbóg.

Karcen odwrócił się gwałtownym piruetem, strącając rękawem flakon cennych wspomnień z półki nad kominkiem.

— Jak to?! Już?!

— Już, już — przedrzeźniał go Melkonseron, wykrzywiając swe koronowane oblicze. — Co znaczy, już? W ogóle, to chyba najgłupsze słowo, jakie znam. . . No dobra, jestem! Udało ci się dotrzeć

do mnie swą myślą, choć wydaje ci się, że dopiero zamierzałeś to zrobić. Poprosiłeś o pośpiech, więc jestem. Po prostu! — usiadł ze zgrzytem w wielkim skórzanym fotelu.

— To znaczy, że można zrobić pętlę w czasie?! — rozpromieniony Karcen podskoczył w górę jak królik.

— Pętlę też. Ale to na nic, jeżeli chcesz, że tak powiem, cofnąć się do swojej przeszłości. Pętla nic nie da, poza spektakularnymi wspomnieniami. . .

— To znaczy?!

— Pętla czasu to kłamstwo dla magów i innych głupków. Czas nie tworzy. . . nie istnieje tak, że. . . to znaczy. . . jakby, no. . .

— To jak się tu znalazłeś, mój nadpanie?

— Piłeś kiedyś piwo?

— Wypiłem w swym życiu tyle piw, że pewnie jedno z mórz na tej planecie wypływa prosto z mego kibla. . .

— Pięknie. Przestrzeń, czas, inne wymiary, inne przestrzenie i inne rzeczy, których nawet nie potrafiłbyś odczuć ani nazwać, tworzą. . . no, powiedzmy pianę. Taką jak na piwie. Gdy ją wciągasz przez słomkę, w twoich ustach staje się płynem. Wtedy możesz wydobyć smaki poszczególnych składników trunku. Jednym z nich jest czas. Zostaje on w tobie, a resztę wydalasz, bo nie jest ci po-

trzebna. Taki czas, oddzielony od reszty, jest bardzo użyteczny. Wystarczy wykonać kilka czynności, których nie jesteś w stanie pojąć, i oto możesz cofnąć się do dowolnej chwili. . .

— Taaak. . . Zawsze mówiłem, że piana to najbardziej magiczna substancja.

— Che, che! Oczywiście nie rozumiałeś, o czym mówiłem. Nareszcie wiesz, co czują ludzie, gdy słuchają pewnego grubego maga.

Obrażony Karcen zacisnął usta i wydał policzki. Poprawił wiązanie płaszcza i wygładził fałdki kamizeli na brzuchu.

— Czy po tym uroczym wstępie możemy przejść do konkretów? Aha, zanim zaczniemy ratować ten źle pomyślany świat, mój nadpanie, powiem tylko, że Wielki Go jest grubszy ode mnie. . . — mruknął i nalał do wysokich szklanic pienisty brązowo-czerwony płyn.

— Z przyjemnością będę ratować ten świat, lecz jeżeli wymyślisz coś w ludzikowo-głupim stylu, wracam tam, skąd mnie ściągnąłeś i nawet nie będziesz wiedział, że tu byłem. Wróć, zanim się tu pojawię. . .

— Napij się tego płynu. Też ma pianę, powinien ci się spodobać. Ściągam go tutaj z jakiegoś świata i nawet nie wiem, jak mi się to udaje. Podejrzewam, że przepisy na dobre trunki same podróżują między światami.

— Trunki? — skrzywił się Melkonseron i spojrzął na syczącą bąbelkami zawartość szklanicy. — Przecież to nawet nie ma alkoholu, tylko jakieś kwasy i przypalone cukry. Obyś okazał się lepszym magiem niż smakoszem.

— Zatem do rzeczy, mój nadpanie. Wiem, co musimy zrobić, by załatwić tych obcych bogów. Podczas gdy twoi bogowie nadal będą się na śmierć zapijać z rozpaczy, zaszyci na dnie swoich niebios, my spenetrujemy korab obcych i wystawimy przeciw nim armię pod wodzą Sendilkelma. Dzięki protonium, w które ostatnio patrzyliśmy, uzyskamy świeże informacje o położeniu korabia i mojej drużyny.

— Jeżeli myślisz, że uda mi się przyśpieszyć czas, by ta twoja magiczna miska mogła ostygnąć, to się mylisz.

— Nie, nadpanie, myślę o czymś innym. Zapominasz, że jestem człowiekiem i jako nieskończenie prostszy od ciebie umysł znajduję rozwiązania nieskończenie prostsze od boskich.

— Zamieniam się w słuch — westchnął Melkonseron i z wyraźnym niesmakiem pociągnął potężny łyk musującego napoju.



\* \* \*

Tym razem Karcen był przekonany, że droga będzie łatwiejsza. Melkonseron też odetchnął z ulgą, gdyż podróżowanie przez Ocean Bezcielesności było dla niego czymś o wiele łatwiejszym, niż materializowanie się w umyśle maga. Tutaj miał o trzy wymiary więcej i jego manifestacja była zdecydowanie przyjemniejsza.

Karcen chwycił nogę swego towarzysza tuż powyżej kostki i postanowił zdrzemnąć się chwilę. Chciał odpocząć przed kolejnym spotkaniem z Anielicą Śmierci. Ostatnie, zdaje się, skończyło się w niezbyt przyjaznej atmosferze. Był wtedy zbyt pijany, by zapamiętać, jak ją w końcu nazwał. . .

Zamknął oczy, lecz zagubione umysły zmarłych, rozpuszczone w wodach Oceanu, szeptały coś do niego nieustannie i chłodnymi palcami próbowały unosić powieki. Westchnienia tych istnień przepływały przez jego astralne ciało niczym fale chłodnej wody. W końcu udało mu się zasnąć i snić o bąbelkach chłodzącego się w szklanicy brązowo-czerwonego płynu.

Nurkowali coraz głębiej. Zupełnie przezroczyste wody Oceanu Bezcielesności nie zatrzymywały światła i Melkonseron miał wrażenie, że lecą w powietrznych przestworzach, opadając powoli ku pagórkowatym jak mózg równinom. Podciągnął obciążoną nogę, a drugą stuknął w czoło chrapiącego Karcena. Mag otworzył oczy i zobaczył zbliżające się fałdy dna oceanu, prześwietlone łagodną luną.

— Zdaje się, że Anielica postanowiła „zrobić sobie” romantyczny nastrój i obejrzeć wschód słońca — powiedział kwaśno Melkonseron.

— Albo zachód, podobno też jest romantyczny — ziewnął Karcen. — Z babami nigdy nic nie wiadomo...

Przebili się przez dno jak przez namokniętą bibułę i pognali przez różowe wody ku powierzchni. Było tu znacznie płycej, więc zajęło im to mniej czasu, niż potrzebował Karcen na zupełne wybudzenie się.

Najpierw z kolorowych bąbelków i syczących wirów wynurzyła się głowa Melkonserona, a następnie pękaty brzuch maga. Karcen szarpnął się i wyciągnął głowę z wody. Piekły go oczy i z trudem orientował się, gdzie jest góra, a gdzie dół. Nadbóg dobijał już do brzegu, gdy woda wokół Karcena zawirowała gwałtownie i otoczyły go gniewne kacze oczy, błyszczące dzioby i nastroszone skrzydła. Mag znieruchomiał i zrobił kwaśną minę.

— Kaaaczkooo... kaaaczkożżerca! Ty sssnowu tuuutaj! — wysyczał przewodzący stadu kaczor.

— Nie wyglądacie na tyle apetycznie, bym znowu chciał was zjeść — powiedział spokojnie Karcen i ruszył do brzegu. — Wiedźcie jednak, że po naszym spotkaniu poprosiłem króla, by zniósł w Atrim okres ochronny na kaczki.

Jedna z kaczek dziobnęła go w plecy. Pozostałe też zamierzały to zrobić, lecz zmroził je wzrok Melkonserona, który odwrócił się właśnie, by ponaglić Karcena. Po tym zabójczym spojrzeniu nadbóg uśmiechnął się nieznacznie i ruszył przed siebie.

Kacze stadko huštało się bezwiednie na wodzie. Karcen wyciągnął powoli palec i puknął w najbliższy łebek. Odpowiedział mu krótki, pusty dźwięk.

— Świetna sztuczka! — zawołał za nadbogiem. — Co im zrobiłeś?! Teraz są z drewna, czy co?!

— Tak, z takiego jakby sztucznego drewna! — odrzyknął przez ramię Melkonseron. — Kiedyś, gdy byłem na wycieczce w jednym ze światów, widziałem takie modele na małych jeziorkach w domowych ogrodach. Tamtejsi mieszkańcy musieli naprawdę nienawidzić ptaków i innych małych zwierząt. Wszystkie je wybili, a na pamiątkę porobili sobie takie właśnie modele.

— Hm, bardzo rozsądni, bardzo. . . — mruknął mag i klepnął kaczkę tak, że przekreśliła się swymi sztywnymi łapkami do góry.

Wyszli na brzeg. Kwarcowy, biały piasek chrzęścił pod stopami Karcena, zaś Melkonseron, lekko halsując na delikatnym wietrze, zamyślony i poważny, płynął tuż nad gruntem. Nieustanny zachód słońca nad morskim horyzontem malował na przepływających chmurach niespokojne obrazy bitew i płonących miast. Niby swobodnie poruszające się obłoki co kilka chwil powracały do poprzedniego położenia i odgrywały na niebie ten sam spektakl.

Karcen zatrzymał się na chwilę, by z kwaśną miną obejrzeć po raz kolejny to samo.

— O bogowie i nadbogowie — westchnął — od razu widać, kto to wymyślił. . .

Trochę się zmęczył i już miał zapytać nadboga, dlaczego wypłynęli tak daleko od domu Anielicy, gdy niespodziewanie zamczysko wyłoniło się zza urwistego klifu. Od razu rozpoznał przygarbioną sylwetkę budowli. Nie mógłby przecież zapomnieć tych unoszących się w powietrzu dziesiątków wież, wieżyczek, galerii, balkonów i wykuszy, stłoczonych wokół kulistego korpusu zamku. Tym razem pod domem Anielicy, na skalistym brzegu, pełno było śmieci, połamanych mebli, fragmentów zbroi oraz hałd bliżej nieokreślonych resztek. Niektóre na dodatek poruszały się, mozolnie torując sobie drogę na wysypisku. Z wnętrza zamku nie dobywało się żadne światło. Okiennica jedyne go otwartego okna stuknęła głucho na wietrze, walcząc z uciążliwie trzepoczącą się firaną.

Melkonseron wzniósł się wyżej, chwyciwszy Karcena za kark jak wór brukwi, i w okamgnieniu stanęli na progu popękanej bramy z białego niczym kość kamienia.

— Ty pierwszy — mruknął nadbóg i stanął za Karcenem. — Nigdy nie lubiłem takich fruwających zamków. Uważam, że są pozbawione klasy. . .

— Jasne, jasne — mag wygładził mokrą kamizelkę i uniósł brodę. — To w końcu mój pomysł z tą wyprawą. Ty tylko mi pomagasz. . .

— Ale pamiętaj, że tylko ja mogę cię zabrać tak daleko, że nigdy nie wrócisz do swego wymiaru i przez wieczność będziesz smakował, czym jest cierpienie i rozpacz — syknął Melkonseron.

— Pewnie, pewnie. . . Małego i grubego, w dodatku człowieka, to łatwo nastraszyć. . .

Karcen rażno naparł ramieniem na wysokie wrota. Otworzyły się bezszelestnie. Ze środka buchnęła gorąca wilgoć i zapach kwiatowych perfum. Woń ta zupełnie nie odpowiadała temu, co zobaczyli.

Wysoki hol wyglądał jak po bitwie. Stosy połamanej broni, zniszczonych mebli i gruzu poprzetykane były porozrywanych ciałami astralnymi niezliczonych wojowników, koni i psów.

Karcen, choć przywykły w swym zawodzie do okropnych widoków, na te drgania pourywanych kończyn i rozerwanych torsów nie był w stanie patrzeć. Niektóre psie łapy jeszcze drapały pazurami powietrze, końskie głowy toczyły pianę, a wyłupane oczy kręciły się wokół swych osi z rozszerzonymi źrenicami.

Melkonseron z twarzą jak gład parł przed siebie, rozkopując na boki większe przeszkody.

— Poprzednim razem był tu bardziej kbiocy wystrój — stęknął Karcen, wdrapując się na kolejny stos ciał.

Koniec holu, odległy od wejścia o jakieś dwieście kroków, rozświetlony był bladą poświatą niebieskich pochodni, zatkniętych nad prostym, kamiennym portalem.

— Boże, boże ratuj mnie. . . — jęknęło oparte o portal ciało astralne. Wyciągnęło do Melkonserona drżącą kończynę bez dłoni. Chyba jako jedyne w całym holu zachowało jeszcze świadomość i większość swej górnej połowy.

— Masz pecha — syknął Melkonseron. — Jestem nadbogiem. Trzeba było wcześniej błagać o pomoc swojego boga.

— Ale ja przecież. . . — jęknął Mgłatuluj, bo jego to było ciało — zginałem jako wojownik boga Kuuna. . .

— Masz zatem szczęście — odburknął przez ramię Melkonseron. — U niego miałbyś gorzej.

— Co tu robisz? — zagadnął Karcen. — Pytam z ciekawości, uprzedzam też od razu, że nie jestem żadnym bogiem ani niczym w tym rodzaju.

— Sama Śmierć nakazała mi i moim ludziom wrócić na ziemię w specjalnej misji bojowej i. . . — bełkotał Mgłatuluj.

— Już za życia powinieś był pojąć, że nigdy, ale to przenigdy nie powinno się wierzyć dopiero co poznanym kobietom, a zwłaszcza tym ładnym — powiedział mag i ruszył za Melkonseronem.

We wszystkich mijanych pomieszczeniach było duszno i wilgotno. Metaliczna skóra Melkonserona rozjaśniała wnętrza migotliwym blaskiem. Karcen pilnował, by nie oddalić się od niego więcej niż o stopę. Wędrowali już tak długo, że mag zaczął przypuszczać, iż pomylili zamek. Poprzednim

razem siedziba Anielicy wydawała mu się wykwintna i przytulna, mimo ekscentrycznego wystroju. Teraz korytarze ciągnęły się w nieskończoność, schody pięły na górskie wysokości, a komnaty pomieścić by mogły całe ulice Atrim. Miał coraz silniejsze wrażenie, że przemierzają zadaszone strzelistymi sklepieniami, potężne miasto. A Melkonseron wytrwale podążał przed siebie, niczemu się nie dziwiąc.

W końcu doszli do głównej, znanej im obydwu, kulistej sali biesiadnej. Spojrzeli na siebie przenikliwie, zastanawiając się, czy w związku z tym wewnątrz mają takie same wspomnienia. Gdy Melkonseron obejrzał już rozgrzane i dyszące obrazy w pamięci maga, postanowił swoimi wyczynami się nie chwalić.

— Takie tam. . . dawne dzieje. . . — mruknął wymijająco Karcen, tak na wszelki wypadek, gdyby nadbóg zechciał przeświecić jego pamięć.

— Chodźmy, pewnie nasza piękność znowu siedzi w wodzie — odrzekł Melkonseron, niczego nie dając po sobie poznać.

— Albo kapie się we własnej krwi — dodał z ulgą mag. — Czasami tak robi, gdy ma zły humor.

Znowu ruszyli niekończącym się korytarzem, a potem następnym i następnym. Karcen, walcząc ze zmęczeniem, zastanawiał się, co spowodowało tak gigantyczną metamorfozę siedziby Anielicy. Gdzieś w głębi obolałego i napiętego mózgu kiełkowało podejrzenie, że wszystkiemu winna

jest obecność Melkonserona, którego wielowymiarowa struktura, nie mogąc pomieścić się w tym otoczeniu, powoduje zmiany wszelkich kształtów i wielkości. Przypomniały mu się drzwi w domostwie Mekcha, zmienione ubocznymi wyładowaniami magicznymi. Obraz ten wydał mu się nagle nieskończenie odległy i blady, jakby z poprzedniego życia.

Pokonali tysiące stopni i, gdy Karcen już naprawdę nie miał siły poruszać astralnymi nogami, stanęli na najwyższym poziomie zamku, w galerii przykrytej kryształowym sklepieniem. Płomieniste światło zachodzącego słońca barwiło na różane kolory kłęby wodnej pary.

Przez otwarte drzwi weszli do łaźni. Uderzył ich silny, kwietny aromat. Gęste, gorące opary osiadały na wszystkim, również metaliczna skóra nadboga pokryła się zawiłymi, ruchomymi wzorami. Karcen, mając poważny problem ze złapaniem oddechu, nie powstrzymał głośnego odchrząknięcia.

— Aaa, to wy — mruknęła Anielica, której zarys leżącego w kryształowym basenie ciała dopiero teraz i z trudem dostrzegli. — Wiedziałałam, że ktoś przylezie. Czego?!

— Jak śmiesz! — ryknął Melkonseron. — Możesz poznać, czym jest nieskończone cierpienie w nieskończonym...

— Dobra, dobra! — przerwała mu wysokim głosem. — Uważaj lepiej, bo ci skóra zardzewieje od tej pary.

— To nie jest żaden metal, tyyy!!!...



— Spokój, cisza!!! — wrzasnął Karcen tak przeraźliwie, że pękł fragment kryształowego sklepienia w korytarzu. — Sami widzicie, że tylko ludzie mogą was uratować! Wy potraficie jedynie wyzywać się w nieskończoność! Jestem nie tylko magiem, ale przede wszystkim człowiekiem i zależy mi, by mój świat pozostał bez zmian, taki, jaki jest! Czy może któreś z was chce mi pomóc?!!

Melkonseron i Anielica wybuchnęli paskudnym, donośnym śmiechem. W korytarzu kolejne fragmenty sklepienia waliły się z hukiem. Karcen padł na podłogę, przykrywając głowę płaszczem. A oni śmiali się coraz głośniejszymi i coraz wyższymi głosami. Dopiero, gdy obrzydliwe dźwięki przekroczyły skalę jego słuchu, podniósł powoli głowę. To, co zobaczył, przekroczyło jego najśmielsze oczekiwania. Melkonseron siedział w basenie z Anielicą. Oboje rechotali i chlapali się wodą.

— Ludziki zawsze miały słaby dowcip! — ryczał nadbóg.

— Taaak! — wtórowała mu Anielica. — I to poważne traktowanie siebie i w ogóle wszystkiego. . .

Karcen wstał pomału i podszedł do brzegu basenu. Chociaż miał pokusę przyłączenia się do uciśnej zabawy, powiedział:

— Przyszliśmy po prottonium z twego lustra. Chcemy ratować świat przed obcymi bogami.

— Przed obcymi bogami, przed obcymi bogami — wykrzywiając usta, przedrzeźniała go Anielica. — Chcemy, chcemy. . . Pewnie, że chcemy. . . A co ty sobie myślisz, kukiełko? My też chcemy!

Melkonseron wydał z siebie śmiech podobny do świergotu srebrnego fletu. Natomiast Anielica nagle spowaźniała i jednym susem wyskoczyła na brzeg basenu. Karcen znieruchomiał, sparaliżowany jej absolutnym pięknem.

— Wiem, wiem, jestem absolutem piękna — machnęła dłonią i chwyciła wyszywany ręcznik. Owinęła go wokół głowy w wysoki węzeł, tak, jak robią to kobiety we wszystkich światach. — Śmiejemy się, ludziku, gdyż uważamy, że lepiej ostatnie chwile poświęcić przyjemnościom niż jakiemuś zrzęczeniu na poważnie. No dobra, po co wam moje lustro?

Karcen niemo poruszał zuchwą.

— Słuchaj no, kukiełko, tak naprawdę wcale nie jestem ideałem. Zobacz, mam mały palec lewej stopy dłuższy od tego u prawej. Widzisz? — podniosła stopę na wysokość oczu maga.

Karcen poczuł w brzuchu ciepłą kulę. Rosła i rozgrzewała się, rozkosznie oblewając bolesnym żarem całe ciało.

\* \* \*

Gdy otworzył oczy, zobaczył fragment podłogi, a na niej metaliczne pięty Melkonserona oraz doskonale piękne pięty Anielicy.

— O, nasza kukiełka się ocknęła — stwierdziła sucho Anielica.

Mag podniósł się. Para stała w zamyślonych pozach przed wszechlustrem. Prottonium drgało lekko, pokazując rozmawiającego z władcą Dogodoto Sendikelma. Ucieszył się, widząc w tle wymizerowaną postać Chegera i niespokojnego Bisennę. Agni albo stała poza kadrem, albo już nie żyła, co zresztą nie interesowało go w tej chwili. Zdziwiła go jednak niezwykła postać we fraternijskiej zbroi śmierci. Nawet przez wszechlustro czuł jej dziwną siłę.

— A ten co tu robi? — wskazując na niego, mruknął nadbóg.

— Który, ten? — odparła Anielica. — Rzeczywiście, on przecież nie żyje...

— Widać, niezupełnie — stwierdził Melkonseron. — Pewnie podstępem zmusił kogoś, by w niego uwierzył i... jakby... no, zmartwychwstał na trochę. Jeśli zdobędzie nowych wyznawców, znowu może być bogiem.

— A tak przy okazji, dlaczego kazałeś go zabić? Kiedy to było?... Jakieś kilka, kilkanaście tysięcy lat temu?...

— To nie ja. Ja tam się nie mieszam. Inni bogowie go załatwili. Chyba miał zbyt łagodne zasady i mógł się stać za popularny wśród wyznawców.

— Aaa, no tak... Ale co on właściwie robi?

— Chyba negocjuje z Panem Dogodoto.

— Zdaje się, że ktoś z oddziału Sendilokelma stał się jego wyznawcą. To by wiele wyjaśniało — wtrącił cicho Karcen i, starając się nie patrzeć na Anielicę, spytał — korzystając z okazji, możesz mi wreszcie wyjaśnić, pani, dlaczego pozostałe części wszechlustra i wszystkie małe lusterka w jego ramie pokazują twarze wodza sił Atrim?

Melkonseron popatrzył na nią pytającym wzrokiem.

— On jest taki romantyczny — westchnęła Anielica Śmierci i natychmiast zmierzyła ich obydwu kamiennym spojrzeniem. — Poza tym, dzięki ubocznym działaniom twej nieudolnej magii, w głębi jego umysłu została zapisana cała mądrość wszechświata, tylko biedaczek nie może jej sobie przypomnieć. Jednak tak wielka wiedza, nawet ukryta w głębinach podświadomości, powoduje, że człowiek staje się istotą wyższą, niż może to pojąć jakiś podrzędny kuglarz.

— Jasne, jasne, to wiele wyjaśnia — powiedział szybko Karcen i schował się za nogami nadboga.

— Mnie osobiście nic do tego, moja piękna — ryknął śmiechem Melkonseron. — Jestem nadbogiem i nie obchodzą mnie śmieszne namiętności istot z niższych wymiarów. Pomóż nam, to, jeżeli zechcesz, stworzę dla ciebie miliony takich Sendilkelmów i będziesz sobie mogła z nimi robić, co zechcesz.

— O ile mogę się wtrącić, nadpanie — zebrał się na odwagę Karcen — to o to właśnie chodzi z tymi istotami z niższych wymiarów, że taki na przykład rycerz jest tylko jeden i dlatego ona tak. . . tego, ogląda go i chce mieć dla siebie.

— Jeden? — mruknął Melkonseron, łobuzersko mrużąc oko. — A jak się zepsuje albo coś, to co?

— Ooo, nieważne! — wściekle warknęła Anielica. — Popatrzylście sobie w prottonium, a teraz wynocha!

Zapadła cisza, przerywana tylko pobrzękiwaniem pracującego prottonium. Anielica zrobiła niepewną minę, czując, że nie do końca panuje nad sytuacją. Melkonseron powiększył się kilkakrotnie, chwycił ją za włosy i podniósł kilka stóp nad podłogę. Wiła się i pluła na niego, próbując sięgnąć metalowych palców ściskających jej długie włosy.

— Dosssyć, doosssyć!!! — wrzasnęła nadbóg. — Świat mój może się jutro skończyć, ja osobiście muszę składać się o kilka wymiarów niżej, by jakiś ziemski mag zaprowadził mnie swym ludzkim umysłem do ciebie, a ty, zamiast służyć swoim bogom, myślisz tylko o! . . . Nie! Ty w ogóle nie myślisz! Ty się tylko zaspokajasz, nędzna podistoto! Zabieramy twoje prottonium, żeby Karcen mógł śledzić obcych bogów! Nie będziesz mi już potrzebna! Jeżeli zwyciężymy, twoje miejsce zajmie ktoś inny!!! — uniósł ją wysoko i, jak szmacianą lalką, kilkakrotnie uderzył o posadzkę. Następnie

stopą przycisnął jej głowę do krawędzi basenu i szarpnął za korpus, najwyraźniej chcąc rozdzielić te dwie części ciała Anielicy.

— Eee... to na nic, mój nadpanie — mruknął Karcen. — Z tego, co widzę, usiłujesz ją zabić, a przecież jest to niemożliwe. W końcu trudno zabić kogoś, kto właściwie nie żyje. Sam to wszystko kiedyś tak urządziłeś, pamiętasz?

Melkonseron podniósł Anielicę pod sufit i wrzucił do basenu. Spokojnie usiadł na podłodze naprzeciw wszechlustra i mruknął:

— To nie ja ją wymyśliłem, tylko moi bogowie. Pozwoliłem im niektóre kwestie rozwiązać po swojemu. Tak to jest, gdy się zaufa swoim głupim dzieciom.

Anielica wygramoliła się z basenu, odgarnęła włosy z twarzy i kopnęła ze złością w metaliczną nogę Melkonserona. Karcen zauważył, że oprócz krwistego wylewu w lewym oku, na jej ciele nie ma żadnych śladów ostatniego starcia. Był pod wrażeniem.

— I ty, wielowymiarowy partaczu, dziwisz się, że pokochałam człowieka?! Twoi bogowie nie wiedzą o moich uczuciach, a, jak widać, ich stwórca jest jeszcze głupszy! A ty, czego tak się gapisz, magu przeklęty?! Zamiast być normalnym człowiekiem, za wszelką cenę chcesz bawić się z bogami! Teraz masz za swoje! Nawet bogowie muszą odejść, a ty nie jesteś ani jednym z nich, ani jednym z ludzi!

— Nikogo nie obchodzą twoje jakieś tam uczucia, nędzny bycie, nieudany wytworze moich głupich dzieci! — warknął Melkonseron. — Niestety, wybór należy do ciebie. Albo oddasz nam protonium, albo świat, który znasz, skończy się niedługo i nie wiadomo, co stanie się z tobą, bogami i nadbogami!

— I magami — dodał Karcen. — A tak w ogóle, to nie żałuję, że nie jestem już zwykłym człowiekiem. Doskonale rozumiem nieśmiertelnych, których nazywacie wrogami światów. Też zrobiłbym wszystko, by uwolnić się od ciebie i od bogów. I zrobię to! Na razie jednak muszę uczynić wszystko, by mój świat pozostał niezmienny i lepiej mi w tym pomóż! Wiemy, że tylko ty możesz włożyć dłoń do wszechlustra i przenieść protonium do mego umysłu.

— A może wolę poczekać, aż nowi bogowie zabiorą tej hałastrze Melkonserona wyznawców! — rzuciła im wściekłe spojrzenie. — Przecież nowi bogowie też będą potrzebowali Anielicy Śmierci!

— A jednak jesteś głupia — westchnął Melkonseron. — Gdybyś kiedyś w ogóle myślała, to wiedziałabyś, że skoro stworzyli cię moi bogowie, to bogowie z innego świata uczynili to samo i od dawna mają na usługach swoją śmierć.

— I to najwyraźniej bardziej od ciebie skuteczną, skoro podbijają inne światy — dodał mag.

Melkonseron wrócił do swej poprzedniej wielkości i nieco chwiejnym krokiem ruszył ku drzwiom. Odwrócił się, lecz nie patrzył na Anielicę. Jego wzrok błędził po ramie wszechlustra. Karcen przysiągłby, że jego nadboskie oblicze pokrył smutek.

— Poczekamy na korytarzu. Jeżeli chcesz iść z nami, weź ze sobą prottonium. Jeżeli chcesz doczekać swego końca w tym basenie, zostań — powiedział spokojnie i wyszedł z łaźni.

Karcen jeszcze przez chwilę przyglądał się obrazom w lustrze. Sendilkelm i jego oddział stali właśnie na jakimś płaskowyżu. W tle łopotały bojowe skrzydła timajskich lotników.

\* \* \*

W milczeniu szli do bramy zamku. Jeszcze przez jakiś czas słyszeli monotonną pieśń dobiegającą z łaźni i odbijającą się wielokrotnym echem od kryształowych sklepień.

Karcena ogarnęło śmiertelne znużenie. Rozciągnięty do magicznych granic rozum przekonywał go, że bierze udział w grze, której zasad nie pojmuje. Czuł się nieistotny, niewart nawet stania się czyjąś ofiarą. Pod powiekami zobaczył, jak stara gosposia, sprząając taras, przygniata miotłą wróble. Jak wytłumaczyć wróblowi, że nie o niego chodzi, tylko o utrzymanie porządku? Powoli tracił czucie w nogach i dłoniach. Wiedział, że przebywa tutaj już zbyt długo. Pomyślał o swoim prawdzi-



wym ciele, leżącym teraz bezwładnie w wieży w Atrim. Zaś potem wyobraził sobie swoje astralne ciało, rozrzucone w wielu częściach po holu zamku Anielicy.

— Ciekawe, jak długo zachowam świadomość... i kiedy Wielki Go zorientuje się, że pilnuje martwego ciała — szepnął. Ostatnią rzeczą, którą zobaczył, była lecąca na niego kamienna podłoga, po czym na nią runął.

— Gdybyśmy mieli prottonium, istniałby jakiś sens w przeniesieniu cię do twojego wymiaru... — mruknął nadbóg i spojrzał smutno na maga.

— No, to może jednak go przeniesiesz... — mruknęła Anielica, która pojawiła się nagle w portalu bocznego korytarza. Była ubrana w kaftan z czarnej skóry, zapięty aż pod szyję, i spodnie ze stalowych kółek, połączone z okutymi butami. Mokre włosy zaczesła palcami do tyłu, tylko na lewym oku zostawiła wąskie pasemko.

Melkonseron uśmiechnął się lekko i przewiesił Karcena przez ramię.

— A gdzie masz prottonium? — spytał spokojnie.

Anielica otworzyła szeroko usta i odchyliła głowę do tyłu. W jej gardle coś bulgotało srebrzyście.

Melkonseron uniósł wysoko brwi.

— A co, miałam je nieść przez te wszystkie wymiary w garści? — burknęła.

— No, nie wiem, może w jakiejś butli czy w czymś?...

— Od razu widać, że mój nadpan w ogóle nie wie, czym jest prottonium — powiedziała wyniośle i pobiegła do wyjścia.

Melkonseron, z telepiącym się na jego ramieniu astralnym ciałem Karcena, ruszył za nią.

Ale dogonił ją dopiero w holu wejściowym. Stała na szczycie hałdy ludzkich i zwierzęcych szczątków. Jedną ręką podtrzymywała połowę astralnego ciała Mgłatuluja, a drugą, ściskając złamany oszczep, grzebała w hałdzie.

— Możemy już iść? — krzyknął nadbóg.

Anielica wyciągnęła ze stosu coś, co przypominało dolną połowę męskiego ciała.

— Masz, przymierz — powiedziała do Mgłatuluja i przycisnęła jego poszarpany korpus do znalezionej fragmentu. — No, może być, nie nudź więcej. Aha, wracasz ze mną, cieszysz się?

Astralne ciało wojownika przez chwilę wiło się w konwulsyjnych drgawkach, następnie, już nieco spokojniejsze, wbiło ręce w hałdę i pobujało się czas jakiś na czworakach, a wreszcie z trudem i głośnym jękiem wstało.

— Czy w takich przypadkach ludzik nie powinien padać na twarz w podziękowaniach i tak dalej?... — mruknęła Anielica.

— Pppo co mnie zzzabierasz? — wyjąkał Mgłatuluj, przewrócił się i na plecach zjechał z hałdy.

— Właśnie, po co?! — krzyknął Melkonseron.

— Powiedzmy, że na pamiątkę! — odrzyknęła. Schyliła się, wyciągnęła spomiędzy resztek ciał topór z długim drzewcem i podała go Mgłatulujowi. — Trzymaj, rycerzu! Pójdiesz ze mną, jeżeli jednak powiesz choć jedno słowo, to przez resztę wieczności będziesz wspominał to miejsce jako raj.

— Jeżeli zaś ty weźmiesz jeszcze więcej śmieci, opóźni się znacznie nasza przeprawa przez Ocean — stwierdził oschle Melkonseron.

— Zrozum wreszcie, nadboże, twoi są tylko bogowie, których zrodziłeś. Na resztę wpływu specjalnie nie masz. A jedyną panią Oceanu Bezcielesności jestem ja!

# 19

## Piana

*Albowiem nie ma na świecie substancji bardziej sprzyjającej magii niżli piana.*

(z nauk Karcena)

Gondola z hukiem wylądowała u podnóża płaskowyżu. Stalowy kosz pękł jak stara słomianka, wysypując wojowników niczym kukielki w stalowych ubrankach. Tylko Czomon zachował równowagę i stał teraz dumnie w środku połamanej gondoli. Książę Mikkoli, wycierając krew obficie mu tryskającą z łuku brwiowego, wstał i rzucił gwizdzący rozkaz. W odpowiedzi wojownicy zgłaszali

się po kolei krótkimi gwizdnięciami. Po przeliczeniu okazało się, że trzech jest poważnie rannych, a jeden nie żyje.

Sendilkelm wylądował w żwirowym korycie pobliskiego strumienia. Podnosił się z pleców powoli, badając, czy aby wszystkie kości ma całe.

— Wszystko w porządku — szepnął Kamienna Łza. — Wstawaj, jesteśmy już blisko celu.

Al Cheger, ku swemu zdziwieniu, ocknął się pod ciałem Agni. Chcąc przedłużyć tę niecodzienną sytuację, postanowił leżeć nieruchomo. Jednak po chwili dziewczyna zerwała się i rzuciła mu piorunujące spojrzenie. Wypluła złamany ząb i rękawem wytarła krew z brody i szyi.

Bisenna wstał bez słowa, poprawił skórzane nosidło na ramieniu i miecze na plecach. Po spiżowych uchwytach do mocowania lin od gondoli wdrapał się na dziesięciostopową skałę i przyjrzał się równinie dzielącej ich od miasta. Czarne kolumny dymów wznosiły się wysoko w niebo.

Czomon bez słowa stanął u boku Mikkolego.

— Nie wiem, jak tego dokonałeś, ale uratowałeś nasz oddział — rzekł książę. — Zgodnie z regulaminem armii Timaju, oddaję ci dowództwo.

— Ty pozostajesz wodzem, książę — zahuczał z wnętrza swego hełmu Czomon. — Będę walczył pod twoją komendą. . . Ale wiesz, że żaden człowiek nie mógłby utrzymać tej zerwanej liny wraz z ciężarem całego oddziału?

— No właśnie, kim zatem jesteś, panie Czomon?

— Twoim sojusznikiem, książę.

\* \* \*

Bisenna, Sendilkelm i dwóch wojowników timajskich ruszyli jako przednia straż. Reszta oddziału szła za nimi. Sendilkelm po raz kolejny zastanawiał się, czy powinni pokazać księciu bojową rękawicę, którą Bisenna taszczył w nosidle.

Na końcu marudził Al Cheger. W czasie upadku zgubił miecz, подарowany mu przez Bisennę, wziął więc długą na dwa i pół łokcia klingę martwego Timajczyka. Była zbyt ciężka i ciągnął ją za sobą, głośno krzesząc iskry wśród kamieni.

Sprawnie i szybko dotarli do granicy sadów i pól uprawnych wokół miasta. Przemknęli przez kilka spiralnie posadzonych winnic, lecz już kilka kroków dalej zmuszeni byli przystanąć na granicy spalonej na popiół ziemi. Zza dymu, ścielącego się aż po horyzont, dostrzegli gigantyczne, błyszczące bąble. Ich powierzchnia drgała i pulsowała tęczowymi barwami, lecz nie strzelały już swymi ognistymi pociskami.

Bisenna jako pierwszy wyszedł na otwartą przestrzeń pogorzelska.

— Musimy szybko biec! — zawołał do wojowników. — Chociaż nawet wówczas będziemy mieli poparzone stopy. Żarostraszość!

Timajczycy niepewnie spoglądali na dowódcę i Czomona.

— Pozwól, książę, że coś zaproponuję — mruknął Czomon. — Mam smokolitową zbroję. Pójdę pierwszy, a reszta oddziału będzie iść dokładnie po moich śladach. W ten sposób dotrzemy do miasta.

— Smokolit też się rozgrzewa i twoje ślady nie będą zimniejsze od reszty tego płonącego żużlu — syknął Bisenna, który właśnie w podskokach wrócił do oddziału.

— Jako wojownik powinienes wiedzieć, że nie zbroja jest ważna., tylko ten, który w niej jest, panie Bisenna — powiedział Czomon i ruszył przez dymiące pole.

Mikkoli odczekał chwilę, lecz Czomon nie wracał. Na ziemi pozostały głębokie ślady jego pokrytych kolcami butów. Ostatecznie książę zdecydował się pójść za nim. Ślady okazały się zaledwie ciepłe. Po chwili cały oddział pędził za smokolitowym przewodnikiem. Trwożliwie przygięci do ziemi wojownicy jakby obawiali się, że wrogie oczy wypatrzą ich poprzez dym. Zasłaniali usta rękami i płaszczami, ale pomimo tego gorące, cuchnące powietrze paliło im gardła i dławiło oddech.

Al Cheger wyrzucił swoją klingę, jednak nadal nie nadażał za resztą oddziału. Biegnąca przed nim Agni co chwilę odwracała się i krzyczała coś niezrozumiale, plując krwią.

Gdy przebiegli już ponad dwie jazdy i Al widział pod powiekami tylko czarne i czerwone plamy, Czomon zatrzymał się, a cały oddział stanął za nim sznurkiem. Wszyscy marzyli, by rzucić się na ziemię i dać odpocząć mięśniom, lecz musieli ustać sztywno w śladach swego przewodnika.

— Jesteśmy około pół jazdy od najbliższego bąbla i ćwierć jazdy od zachodniego muru miasta! — krzyknął Czomon. — Gdzie prowadzić oddział, książę?! Chcesz spenetrować najbliższą ścianę tej piany czy szukać wsparcia w murach twierdzy?!

— Do twierdzy! — wydyszał Mikkoli. — Nie sądzę, byśmy mogli przebić ścianę obcych naszymi mieczami! Poza tym, musimy się spieszyć, jeśli nie chcemy zatruć się tymi wyziewami!

— Dobry wybór — mruknął Czomon i ruszył w prawo.

— Mieczami nic byśmy nie wskórali, ale mamy rękawicę... — zaczął powoli Bisenna, lecz natychmiast urwał, czując na sobie wzrok Sendilkelma.

Jednak Mikkoli i tak był zbyt pochłonięty swoimi myślami, by zwrócić uwagę na ciche słowa Fraternijczyka.

Do podnóża murów Wielkiego Timaju dotarli po niespełna połowie obrotu. Nie uczyniliby tego w komplecie, gdyby Bisenna nie wziął na ramiona dwóch zemdlonych Timajczyków, a Agni nie wróciła się po nieprzytomnego Ala. Trujące opary tak ich otepiły, że z trudem poznali dobrze znane



im miejsce. Ziemia tuż pod ścianą była chłodniejsza, a kamienny fundament, wystając na dwie stopy przed lico ściany, tworzył wygodne miejsce do odpoczynku.

— Co dalej? — spytał spokojnie Czomon.

Książę leżał pod ścianą, ciężko dysząc. Podniósł na Czomona nieskończenie zdziwione oczy i wystękał:

— Czy ty jesteś. . .

— Może i tak, mój książę, kto wie, może i tak. . . Ale teraz to ty musisz prowadzić swój oddział. Co dalej, pytam?

Sendilkelm podszedł do nich, cały czas obserwując wysoki mur miejski.

— Książę, chciałbym się dowiedzieć czegoś o waszych regułach wojennych — rzekł. — Czy nie ma u was zwyczaju stawiania wart, bronięcia murów w trakcie oblężenia, chronienia władcy i jego dworu? Gdzie jest wasza armia?

— Nasz władca i dwór są bezpieczne w górskich schronach. Jak do nich dotrzeć, nie mogę ci powiedzieć — mruknął Mikkoli i machnął lekceważąco w kierunku muru. — Gwardia królewska nie ma obowiązku bronić murów miejskich, tylko władcę. To miasto nigdy jeszcze nie zostało oblężone, w całej historii Timaju. Dawne wojny kończyły się u wrót Timajów Królewskich, gdzie na straży stoi warownia Dogodoto. Tu nigdy nie dotarł żaden wróg. Jedyne, czego można się było oba-

wiać w tym mieście, to spiski wewnętrzne. Ale wątpię, byśmy spotkali tajne oddziały miejskie, gdyż z wywiadowcy wojownik żaden. Pewnie siedzą teraz gdzieś przy królu i podejrzewają siebie nawzajem. . . Obawiam się, że największym oddziałem zdolnym do walki są nasze skrzydła, czekające na zachodnim lądowisku. Jeżeli nie wrócimy, dolecą tam pozostałe siły Pana Dogodoto i to on będzie wtedy dowodził.

— Dziwna taktyka — mruknął Sendilkelm — chociaż rozumiem, jak wielką tarczą są dla Ti-majczyków ich góry. A jednak widok murów bez strażników pozostanie dla mnie dziwny.

— Pamiętaj, panie, że potrafimy latać — odparł znużonym głosem Mikkoli. — Zanim ktokolwiek dotarłby do wrót tej doliny, wypatrzyłyby go lotne patrole. Kilka uzbrojonych w kusze i płonące płyny skrzydeł może pokonać z powietrza dziesięciokrotnie liczniejszego przeciwnika. . . Ale nigdy nie przyszło nam walczyć z bogami.

— Armia Atrim jest wielka i dobrze zorganizowana, ale i my zginęlibyśmy wszyscy, gdyby ta piana wpełzła do naszej stolicy.

Księżę dokładnie przyjrzał się swoim wojownikom. Większość z nich była przytomna na tyle, by odpowiedzieć mu skinieniem głowy lub podniesieniem miecza. Wszyscy żyli, lecz kilku wyraźnie pozostawało na granicy omdlenia lub szaleństwa.

— No, nieźle. Straciliśmy tylko czterech ludzi i zdołaliśmy dotrzeć tak daleko! — krzyknął książę. — Mamy dwie liny i kusze! Wchodzimy na mur! Po pierwsze, może jest w mieście jeszcze jakiś oddział gotowy do ewentualnej walki! Po drugie, w mieście łatwiej będzie zbliżyć się do tej boskiej czy też magicznej piany! Po trzecie, miasto stanowi lepsze schronienie niż to wypalone pole!

Timajczycy na zmianę napinali kusze i celowali w koronę dwustupięćdziesięciostopowego muru, lecz bełty odbijały się od kamiennej ściany, nie dolatując nawet do połowy jej wysokości.

Zniecierpliwny Bisenna wyrwał wojownikom księcia dwie kusze. Przyjrzał się im, po czym mieczem zrobił nacięcia na kolbach, kilka palców za zamkiem zwalniającym cięciwę. Pogrzebał wśród sfilcowanych włosów i odnalazł pukiel zakończony ośmiościennym złotym koralikiem. Rozłupał go paznokciem i wysypał biały proszek. Roztarł go palcem po wnętrzu dłoni, końcem miecza naciął palec i wymieszał proszek z własną krwią. Następnie zlizął dokładnie różową papkę. Odszukał wzrokiem Agni i posłał jej krwisty uśmiech. Mamrocząc gniewnie, odrzucił korbę do napinania kuszy i ręcznie naciągnął trzeszczącą cięciwę, wprowadzając ją w nowe nacięcie na kolbie. Niektórzy Timajczycy gwałtownie rzucili się na ziemię, osłaniając głowy.

— Zaraz pęknie cięciwa albo złamie się kusza — stwierdził spokojnie Mikkoli.

Bisenna wymierzył obie kusze w koronę muru. Dwa zakrzywione bełty idealnie trafiły w wąskie na dłoń okienka strzelnicze, ledwo widoczne z tej odległości.

Wojownicy byli zadziwieni. Sami ledwie oburącz mogli udźwignąć jedną krzyżową kuszę, a co dopiero dwie i jeszcze wykończyć tak precyzyjnie strzały. Rozległy się pomruki uznania i niektórzy wzniesli miecze wysoko nad głowy, by wyrazić swój podziw dla Bisenny.

Książę spojrział na niego pytającym wzrokiem.

— Nie, panie. Nie jestem nikim nadzwyczajnym — Bisenna odstąpił w drapieżnym uśmiechu swe zęby. — W moim kraju wojownik po ostatniej inicjacji wojennej musi trafiać. Jeżeli chybia, dowódca czyni z niego kolejny cel.

— Pięknie... — mruknął Sendikelm i szarpnął za koniec liny. — Kto pierwszy?

— Oczywiście pan Bisenna — odparł Mikkoli — jako najdzielniejszy...

Po ćwierci obrotu cały oddział znalazł się w niewielkiej wartowni na murze miasta. Zdyszani żołnierze leżeli na podłodze. Agni wycierała z twarzy zaschniętą krew i palcem grzebała w poranionych ustach. Sendikelm przeszukiwał podręczny skład broni, choć zupełnie nie wiedział, co może się mu przydać. Po namyśle wybrał kilka lekkich oszczepów. Al Cheger podszedł chwiejnym krokiem i uczeplił się jego ramienia.

— Słuchaj — szepnął — Karcen skontaktował się ze mną tuż przed tym piekielnym zjazdem. Powiedział, że spotka się ze mną w Atrim, więc chyba ma nadzieję, że przeżyjemy.

— Teraz dopiero mi to mówisz?! — warknął Sendilkelm. — Głowa mi pęka od tego wszystkiego! Czomon wciąż śpiewa te swoje hymny, kamień mi dokucza i jeszcze Karcen!

— Jaki kamień? — Al odsunął się nieco i próbował wyczytać coś z twarzy rycerza. — Może to ta żywa maść wciąż krąży w twoich żyłach? Błagam cię, panie, postaraj się nie oszaleć. Przynajmniej nie teraz. Musimy sobie pomóc. No, więc Karcen. . .

— No właśnie, co on?

— Przecież mówię! Odezwał się i powiedział, że będzie moimi oczami obserwował, co się tu dzieje i być może ześle pomoc w decydującym momencie.

— A czy lądowanie jakichś przeklętych bogów nie jest wystarczająco decydującym momentem?! No dobrze, trzymaj się przy mnie, a jeżeli Karcen się odezwie, powiedz mu, że oprócz spienionych bogów mamy tu Czomona, który zrobi wszystko, by zdobyć wyznawców.

— Powiem mu. A co z tym kamieniem? — Al przysunął swoją twarz bliżej. — Coś ważnego, drogiego?

— Nie, nic. . . Brzuch mnie boli.

— Mnie boli wszystko! — jęknął Cheger.

Czomon w milczeniu obserwował błyszczące ściany najbliższych bąbli, które wniknęły w miasto niczym rozgrzane ostrza w smalec. Za ich opalizującą tęczowo powierzchnią poruszały się nierozpoznawalne, metalicznie błyszczące obiekty.

— I co, książę, pójdziemy bogom oddać pokłon, czy będziemy walczyć? — spytał.

Mikkoli długo przyglądał się swoim wojownikom, wreszcie zatrzymał wzrok na zatrzaśniętej przyłbicy Czomona. Nie odpowiedział jednak nic.

Pożar miasta powoli dogasał. Stopione budynki i ulice stygły, zmieniając barwę z płomienistej na czerń popiołu. Wszędzie było pusto. Nieliczne, widoczne z wieży, zwłoki na ulicach były zapewne ofiarami nóg przerażonego tłumu, zaganianego ostrzałem na wybrany przez bogów taras.

Mikkoli, stanąwszy w oknie baszty, widział ową czarną ludzką masę, przelewającą się przez tarasy, odkryte galerie i schody najwyższej cytadeli Wielkiego Timaju.

— Ciekawe, po co ich tam zagoniono? — szepnął. — Przecież mogli ich bez trudu spalić tymi potwornymi kulami.

— To jest najwyższy taras miasta — wtrącił rzeczowym tonem Czomon. — Stamtąd najlepiej widać tę ich pianę. Prawdopodobnie zagnano ich tam właśnie po to, by mogli ją obejrzeć, a być może coś jeszcze... coś szczególnego... Nie sądzę, by wszyscy mieli zginąć, no, przynajmniej nie od razu...

Mikkoli wpatrywał się w miasto. Nagle zatrzymał wzrok na stożkowym dachu wielkiej świątyni. Budynek był nienaruszony, a z okrągłego komina na szczycie kopyły wydobywał się niebieski dym.

— To Świątynia Jedynych Tablic — wskazał Czomonowi ocalały budynek. — To w niej zostały ukryte największe skarby Timaju, najświętsze tablice bogów.

— Jeżeli tak jest — odparł Czomon — to może powinniśmy tam zajrzeć?

— Tak — szepnął Mikkoli. — Niech moje horenhoj pozostanie czyste jak kryształ, choćbyśmy mieli w ten sposób popełnić błąd. Jeżeli w korabiu są nasi bogowie, być może objawią się w najświętszym miejscu Timaju i zgodnie z prorocत्वami objaśnią teksty na tablicach. Jeśli zaś nie są to nasi bogowie, nie uznają świątyni za miejsce szczególne, może nawet ją zniszczą.

— Co oczywiście nie pozbawi Timajczyków nadziei, że to właśnie na nich czekali od pokoleń.

\* \* \*

Mikkoli i jego oddział pędzili ulicami miasta do Świątyni Jedynych Tablic. Sendilkelm pilnował, by Al Cheger nie zostawał zanadto z tyłu. Czomon biegł tuż obok nich, podśpiewując skoczne modlitwy do samego siebie.

Pokonali jeszcze kilka zakrętów, przebiegli ośmiokątny plac przed świątynią i z łoskotem okutych butów wpadli do jej przedsionka.

— Nie zdążyłem wcześniej spytać. . . Czy ten niebieski dym z kopuły oznacza, że kapłani coś tu odprawiają? — wysapał Sendilkelm prosto w ucho Mikkolego.

— Mam taką nadzieję — mruknął książe i zwolnił kroku.

Timajscy żołnierze ustawili się karnie w czwórki. Sendilkelm i jego oddział utworzyli straż tylną. Weszli do głównej sali. Wysokie na ponad sto stóp, stożkowe sklepienie miało tylko jeden otwór, w samym wierzchołku, który wciągał niebieski dym z płonącego na ołtarzu ognia. Przed ołtarzem stało w milczeniu czterech kapłanów. Po drugiej stronie, w kamiennych szkatułach przykrytych wyszywanymi narzutami, spoczywały święte tablice.

— Wyczuwam szczególne miejsce — szepnął Kamienna Łza.

— No pewnie, przecież to świątynia. . . — burknął Sendilkelm.

— To nie to! — krzyknął Kamienna Łza i ukłął rycerza w ścianę żołądka. — To szczególne miejsce tego globu. Pod świątynią jest wielki kryształ kwarcu. Słyszę jego śpiew. Śpiewa, że jest bramą i drogą. Ooo, jaki piękny, sięga ponad trzy tysiące stóp w głąb ziemi.

— To śpiewajcie sobie razem — mruknął rycerz. — My tu mamy jakichś bogów i kapłanów na głowie. Pomóż mi albo zamilknij wreszcie. A najlepiej wyskocz ze mnie i pogadaj sobie z kolegą. Tylko mnie przy tym nie zabij.



— Nic nie rozumiesz, głupku — syknął Kamienna Łza. — Właśnie chcę wam pomóc. I wiedz, że niedługo cię opuszczę. Czuję, że ta, której szukam, jest już bardzo blisko.

— Chwała bogom, jeśli to za ich sprawą — mruknął Sendilkelm.

— Widzę, że Czomon nieźle ci namieszał w głowie — odparł Kamienna Łza i zamilkł obrażony. Książę wystąpił kilka kroków przed swój oddział. Kapłani nawet nie drgnęli. Stali tyłem do przybyłych, pogrążeni w kontemplacji ognia na ołtarzu.

— Bądźcie pozdrowieni, ojcowie nasi — powiedział głośno Mikkoli i skłonił się do ziemi. — Przybywamy z Dogodoto. . .

— Zakłócasz, książę, święty spokój i oczekiwanie właściwe temu miejscu. . . — odparł najstarszy kapłan. Dopiero wypowiedziawszy ostatnie słowo, odwrócił się i podszedł do Mikkolego. Podniósł wysoko rozgorączkowany wzrok i drżące dłonie i zawołał: — Bogowie przybyli! Jeśli chcecie, możecie tu z nami poczekać na ich objawienie. Nastąpiła chwila. . .

— Bogowie, jak ich nazywasz, kapłanie, spalili twoje miasto i zagnali ludność jak bydło w śmiertelną pułapkę — powiedział głośno Czomon. — Zatem, jaki może być powód tego, że czekasz na ich objawienie? A może jest to tylko twoje osobiste życzenie? Czy w ogóle nie dopuszczasz myśli, że przybyły tu istoty złe i okrutne, które zgubią cały Timaj, a bogowie wasi gdzieś tam smucą się,

widząc ciebie czekającego tu jak bezrozumne zwierzę. Czy możesz odpowiedzieć mi na te pytania, ojcze ludu?

— Zamilcz, zagórski niewierny, ty!!!... — ryknął kapłan, do którego pierwszy raz w życiu skierowano gniewne słowa. — Zamilcz! Nakazuję wam wszystkim opuścić to święte miejsce i niech bogowie zlitują się nad waszymi istnieniami.

Mikkoli odwrócił się gwałtownie i wbił swój ptasi wzrok w Czomona. Trwał tak przez chwilę, po czym powiedział zachrypniętym głosem:

— Czomonie, nie wiem, kim lub czym jesteś, lecz raz uratowałeś mi życie. Może powinienem posłuchać twoich słów i również oczekiwać odpowiedzi kapłana na twe pytania, lecz może raczej powinienem wyzwać cię na pojedynek i zmusić do uniesienia przyłbicy.

— Na to jeszcze przyjdzie czas! — zahuczał Czomon. Stał nieporuszony jak posąg. Prawie dwukrotnie większy od Mikkolego, zakuty w smokolit, na pewno nie był przeciwnikiem, którego bez obawy można wyzwać do walki.

Sendilkelm podszedł do księcia i położył mu rękę na ramieniu.

— Jesteśmy tu nie tylko z twojej woli, książę. Mistrz Cheger i ja chętnie usłyszemy, co odpowie kapłan.

— No właśnie — pisnął Al. Odchrząknął i dodał grubszym głosem — no właśnie, mości kapłanie, cóż odpowiesz naszemu. . . Czomonowi. Myślę sobie, że i księżę, choć jego horenhoj jest czyste jak kryształ, chętnie posłucha, co masz nam do powiedzenia.

— I ja również, jako wysłannik królestwa Fraternali! — dodał Bisenna.

— I ja też, jako jedyna tutaj kobieta — powiedziała szybko Agni, ale nikt nie zwrócił na nią uwagi.

Kapłan bez słowa odwrócił się, obszedł płonącego ołtarz i podniósł haftowane narzuty, skrywające szkatuły z czterema tablicami. Pokrywające je rzędy run świeciły silnym niebieskim blaskiem, jakby ktoś do ich wymalowania użył płomienia. Kapłan rzucił zebrany krótkie, tryumfujące spojrzenie i powrócił przed ołtarz.

— A więc jednak. . . — jęknął Mikkoli i osunął się na kolana. Pozostali Timajczycy uczynili to samo, niektórzy nawet padli na twarze.

— A więc jednak, co? — spytał Al Cheger.

— Tablice ożyły — odpowiedział mu oschle Czomon.

— No to co? — nadal nie rozumiał Al. — W pracowni Karcena nie takie cuda widziałem. Świecące runy? To nawet ja potrafię. . . Myślę sobie, że powinniśmy wszystko spokojnie przemyśleć. . .

— Właśnie — odezwała się Agni. — Chyba nie po to tu gnaliśmy, by teraz paść na kolana przed jakimiś sztuczkami i czekać na śmierć.

— Ma rację... — mruknął Kamienna Łza.

\* \* \*

Melkonseron, wbrew temu, co mówił Karcenowi, lubił podróżować między wymiarami, a zwłaszcza lubił to robić z kimś, kto jest dobrym przewodnikiem. Anielica Śmierci rzeczywiście była panią Oceanu Bezcielesności. Pędziła nawet szybciej, niż nadbóg mógł się spodziewać. Dopiero teraz zorientował się, jakie beznadziejne kółko zrobili wcześniej z Karcenem. Astralne ciało maga wciąż bez świadomości zwisało mu z ramienia. Mgłatuluj zaś dzielnie dotrzymywał kroku Anielicy.

— Nieźle się trzyma — mruknął Melkonseron — zwłaszcza jak na kogoś, kto umarł już dwa razy.

Anielica nie odpowiedziała, natomiast zwolniła nieco i zakręciła się niespokojnie wokół swej osi. Spojrzała pytająco na Melkonserona.

— Co się dzieje? Co robisz, nadboże? — syknęła.

— Ja? Nic... Przecież jesteś panią Oceanu. My tylko z tobą podróżujemy, pamiętasz?

— Jak to, nic?! — wrzasnęła, coraz bardziej przerażona. — Nie czujesz tego?! Co z ciebie za władca wymiarów?!

— Czego?! Obcy bogowie już tu są?!

— Nie, to nie to. . . — zakręciła się nerwowo. — Chyba nie to. To jakby. . . Znam to uczucie. . . Melkonseron zatrzymał się i rozejrzał wokoło. W tym i w kilku przyległych wymiarach niczego nie zauważył. Odłożył na bok Karcena i raz jeszcze wyostrzył swoje zmysły. Spojrzał na Mgłatuluję, który stał z toporem w dłoniach z podziwu godnym spokojem.

— A może ty coś czujesz? — zagadnął go nadpan.

— Tak. Nogi mnie boją — odparł Mgłatuluj.

Anielica szalała z niepokoju i rzucała się we wszystkie strony jak dzikie zwierzę w klatce.

— Prawie żałuję, że nie odczuwam ludzkich pożądań — mruknął, zapatrzony w nią, Melkonseron.

— Ja też — odparł Mgłatuluj.

Woda wokół Anielicy przybrała zielonkawy odcień, a następnie zawirowała od błyszczących pęcherzyków gazu i snopów zielonych iskier. Po chwili oczy wszystkich poraził potężny błysk energetycznego wyładowania, a obok Anielicy pojawiła się niższa nieco kobieca postać. Natychmiast też obie panie zawisły naprzeciwko siebie w drapieżnych pozach.

— Nie chcę z tobą walczyć, brzydulo — powiedziała wysokim głosem zielona kobieta.

— Proszę bardzo, rozerwij mnie na strzępy, ty!. . . — syknęła Anielica. — Zważ tylko, że są ze mną Melkonseron i Mgłatuluj, którzy nie boją się ani śmierci, ani ciebie.

Nadpan i Mgłatuluj spojrzeli po sobie zdziwieni, obydwaj mieli nadzieję, że to jeszcze nie koniec rozmowy.

— Przecież mówię, pokrako, że nie chcę cię niszczyć! To dobrze, że jest z tobą nadbóg, może się do czegoś przyda. Chcecie walczyć z obcymi bogami? Niesiecie prottonium dla Karcena? To nie wystarczy. . .

— A co ty wiesz?! — syknęła Anielica. — Ty. . . ty pozawymiarowy potworze!

— Wiem, że nie macie beze mnie szans. Cóż z tego, że dasz prottonium Karcenowi. Jakiż to z niego mistrz? Jego magia jest jak pęknięte jajo, a czaria jak spadająca do morza pochodnia. . . Może wprawdzie zajrzeć do korabia bogów, może nawet ich podsłuchiwać, ale czy może coś im zrobić? Proponuję od razu uprzedzić ich o tym, w jakim celu taszczyce prottonium. Dla tych bogów fakt ten będzie tym, czym dla wojowników na radzie wojennej świadomość, że spod stołu podsłuchuje ich pajak, w dodatku niejadowity. . . Co może zrobić Karcen? Posłać Sendikelma i Timajczyków na śmierć taką czy inną? Nie powstrzyma nowych bogów, bo nie wie, jak dostać się do wnętrza ich żywej tarczy. Tylko ja mogę to uczynić!

— Ale dlaczego?! — przerwał jej Melkonseron. — Przecież jesteś nieśmiertelna, jesteś wrogiem światów, chcesz zguby bogów, chcesz zguby nadbogów. Dlaczego zatem chcesz nam pomóc?!

— My, nieśmiertelni, nie walczymy z bogami, mój nadpanie — odparła. — Jesteście potrzebni większości ludzkich istnień. Cóż mieliby począć po śmierci biedacy, którzy wyznawali was przez całe życie? Chcemy tylko, byście niektórych ludzi zostawili w spokoju. Na przykład magów, którzy wolą spędzić wieczność inaczej, niż wędrując od jednych niebios do drugich i wznosząc do kolejnych bogów to, co pozostało z ich istnień.

— Zatem robisz to wszystko dla Karcena i jego zgrai?! — prychnęła nieprzyjemnym śmiechem Anielica.

— Nie, dla kogoś zupełnie innego. . . — odparła spokojnie. — Proponuję udać się do komnat Karcena, byśmy w wygodniejszych wymiarach mogli spokojnie porozmawiać.

— Wygodnych. . . jak dla kogo — mruknął Melkonseron.

Anielica z ociąganiem wskazała właściwy kierunek i ruszyli do brzegu Oceanu Bezcielesności.

\* \* \*

Wielki Go śnił w miękkim fotelu. Sen był tak piękny, że jego umysł, choć poważnie wzburzony ostatnimi wydarzeniami, uspokoił się i rozmarzył. Piękność z obrazu wiszącego w komnacie Karce-

na przeciągnęła się i wystawiła stopę poza ramę. Następnie lekko zeskoczyła na podłogę i podbiegła do niego drobnymi kroczkami. Sen podobał mu się coraz bardziej. Piękność usiadła na poręczy fotela i pogładziła go po głowie. . . W tym cudownym momencie, jak to zazwyczaj bywa ze snami, mag się obudził. Chciał krzyknąć, lecz zimna dłoń przykryła mu usta. O dziwo, stała przed nim piękność z obrazu. Jej skóra opalizowała zieloną poświatą. Obok stał Karcen z zasepioną miną. Wielki Go czuł, że w pomieszczeniu jest ktoś jeszcze.

— Mistrzu Go — odezwała się zielona kobieta — czy Karcen nakłonił już Sendilkelma, by pozbył się tego kamiennego paskudztwa z żołądka?

— O ile wiem, to nie — jęknął Wielki Go — ale mój mistrz ma wiele tajemnic i wszystko jest możliwe.

— Ech, wy. . . sprowadziliście tu na pomoc nadboga, Anielicę Śmierci, mnie i jeszcze jakiegoś umarlaka, bowiem sami nie potraficie nawet zmusić zwykłego człowieka do pozbycia się kamienia?!

— Sendilkelm nie jest zwykłym człowiekiem — mruknął Karcen, nerwowo pocierając policzek. — Wiesz dobrze, że dzięki nieprzewidzianemu wyładowaniu magicznemu jego podświadoma część umysłu zmieniła się i rozciągnęła nieskończenie. Chciałbym osiąść zgromadzoną tam wiedzę, choć nie zazdroszczę biedakowi snów, o ile w ogóle może spać. Poza tym, gdyby był taki zwykły, nie chciałabyś tak bardzo mieć go tylko dla siebie. . .



— Chcę go, gdyż niewiele brakuje, by był tym, kim jestem ja! — wycedziła przez zęby zielona. — Może mieć to, co ty kiedyś straciłeś, mój drogi, może stać się mistrzem czarii!

— Tto wy się znacie? — wtrąciła Anielica.

— Takie tam, stare historie... — mruknął Karcen.

— Stare historie?! Tchórzliwy wieprzu! — ryknęła zielona. — A kto niby jest tam namalowany?!

— Słuchajcie!!! — huknął Melkonseron i powiększył się dwukrotnie. — Cieszymy się bardzo, że znacie się od dawna i tak dalej... i nic nas to nie obchodzi!!! Chcesz tego ludzika?! To go bierz! Karcena możesz sobie zabić później, gdy już skończymy z obcymi. Teraz chcę wiedzieć, czy dla naszej sprawy istotny jest ten żywy kamień, co to w ogóle za historia, możesz nam to wyjaśnić?!

— Ta zielona idiotka jak zwykle wszystko kręci! — wtrąciła Anielica. — Sendilkelm połknął jakąś żywą istotę, która wygląda jak szlachetny kamień i która wylądowała na tym globie akurat wtedy, gdy Sendilkelm rozpoczynał swoją wyprawę w Timaje. Już mój rycerz miał sobie pięknie umrzeć i wpaść w moje objęcia, gdy ten kamienny zgred zaferował mu życie. Jest silny, pochodzi z wymiarów niedostępnych ani mi, ani bogom, ani nieśmiertelnym. Gdy my dwie walczyłyśmy o Sendikelma, ten kamień odepchnął nas i zawładnął życiem mego rycerza.

— Mego rycerza, mego rycerza... — skrzywił się Karcen. — Gdybyś powiedziała nam to wszystko wcześniej, może byśmy coś wymyślili...

— Słuchaj! — krzyknęła nagle zielona. — A dlaczego właściwie nie powiedział ci tego twój wysłannik?!

— I dlaczego nie powiedział ci, że stał się jedynym wyznawcą zapomnianego boga Czomona? — dodał kwaśno Melkonseron.

— Ależ to ty powinieneś nad tym wszystkim panować, w końcu jesteś nadbogiem, stwórcą bogów! — rzucił Karcen.

— No dobrze! Ale co chcecie zrobić z tymi obcymi?! — huknął Mgłatuluj.

Tego nikt się nie spodziewał. Wszystkie oczy skierowały się na jego przezroczyste ciało ze źle dopasowaną dolną połową. Melkonseron syknął groźnie, zielona kobieta przygarbiła się, jakby gotując do ataku, Anielica napuchła i zdębiała, a Karcen i Wielki Go na próżno starali się zamknąć usta.

— Nie to, żebym się was nie bał — kontynuował Mgłatuluj — chociaż w zasadzie umarłem już dwa razy... Chciałbym się po prostu dowiedzieć, co będzie z tym światem. Nowi bogowie, starzy bogowie, śmierć czy nieśmiertelność?

— Naturalnie uratujemy ten świat i starych bogów, mój chłopcze. A ty spokojnie umrzesz po raz trzeci, jeśli będziesz miał ochotę, i wybierzesz sobie jakieś przyjemne niebiosy — rozpromienił się Karcen. — Famissa chce nam pomóc...

— Ooo, pamiętasz moje imię! — syknęła zielona.

— Nie zaczynajcie znowu — jęknął Melkonseron. — Możemy zniszczyć obcych bogów?

— Pewnie tak — mruknął Karcen.

— Świetnie, w jaki sposób?

— Eee... to może zaczniemy od wiania nowego prottonium do mojego horyzontu magicznego i podsłuchamy, co zamierzają?

\* \* \*

Pan Świateł w towarzystwie czterech samic trzeciego rodzaju niespokojnie krążył wokół swego statku. Jak dotychczas, wszystko odbyło się według planu Pana Nasion i Pana Wzrostu. Wylądowali, wzbudzając strach i podziw. Żywa tarcza szybko rozrosła się, czerpiąc energię z podłoża, i pieniała się pięknie. Miejscowi bogowie widocznie byli tak przerażeni ich inwazją, że nawet się nie pojawili. Co prawda, jakieś prymitywne wojska powietrzne zgrupowały się na jednym z niedalekich płaskowyżów, ale Pan Zniszczenia nie chciał nawet myśleć o podjęciu walki z tak nieznacznym przeciwnikiem.

— Ciągle się zastanawiam, czy robimy to wszystko w wystarczająco boski sposób — pomyślał Pan Świateł tak, by usłyszeli go inni Panowie.

— Jesteście doskonali, zwłaszcza ty, o najpiękniejszy Panie Świateł — zaświergotała jedna z samiec.

— Powinniśmy przystąpić do sadzenia świętego sadu życia i ogłosić swą nadchodzącą na zawsze chwałę — zaintonował Pan Wzrostu, włączając się do myślowej rozmowy.

— To nie najlepszy moment na sadzenie sadu życia, o dobry panie Wzrostu — odśpiewał Pan Świateł. — Nasz dobry Pan Nasion słusznie woli poczekać, aż dobry Pan Zniszczenia użyźni glebę tego świata nędznymi istnieniami tutejszych bożków.

— Tutejszymi bożkami bym się nie martwił... — odparł o oktawę wyżej Pan Wzrostu. — Pan Słuchu mówił, że nasze przybycie uaktywniło pozostałości po świętej sondzie. Najsilniejsze sygnały wysyła rękawica do sadzenia sadów życia. Pan Słuchu twierdzi, że rękawica znajduje się w pobliżu tego miasta. Nasz dobry Pan Słuchu i dobry Pan Nasion obawiają się, że tubylcy użyją naszej świętej rękawicy, gdy zorientują się, że ona żyje. Dlatego, o dobry Panie Świateł, błagamy cię, zgódź się i nakłoń wraz z nami dobrego Pana Zniszczenia, by użyźnił glebę przyszłych sadów życiem tubylców. Gdy pojmą naszą moc, nie odważą się dotknąć rękawicy, a święte owoce sadów życia rozrosną się po całym globie.

— O, dobrzy Panowie — śpiewnie odpowiedział Pan Świateł — wszak nasza żywa tarcza z ła-twością rozrosła się i zagnała tubylców w jedno miejsce, byśmy mogli objawić się im w całym

majestacie. Mają stać się uczestnikami zbiorowego cudu nawrócenia. Są idealnie przerażeni, a ich bogowie nie przybyli z odsieczą. Nadszedł doskonały moment na objawienie się. Nie zabijajmy ich, gdyż zginą wówczas, nie będąc naszymi wyznawcami. Ich istnienia przepadną lub, co gorsza, zapelnia niebiosa tutejszych bożków. Do tego przecież nie chcemy dopuścić. Mówię wam, dobrzy Panowie, ja, Pan Świateł, proponuję, byśmy objawili się, a natychmiast w nas uwierzą. Damy im potem święte owoce z sadów życia, a oni wielbić nas będą na wieki. Zdobędziemy ich istnienia, potem istnienia ich potomnych, aż po kres tego gatunku.

— O, dobry Panie Świateł — odparł ponurą pieśnią Pan Wzrostu — zaiste, dobrym jesteś Panem, lecz twa dobroć cię zaślepia. Pan Słuchu, Pan Nasion i ja wiemy dobrze, że doskonałe nawrócenie tych istot nastąpi tylko wówczas, gdy połączymy ich śmiertelny strach z nieskończoną tęsknotą za boską opieką. Dlatego najpierw musimy wielu z nich zabić, by pozostali przy życiu wielbili nas w dwójnasób. Pamiętaj, Panie, czego uczył nas dobry nadpan, nasz ojciec-matka, wielki Olonton:

*Czymże jest moc bez przemocy,  
czymże jest dzień bez nocy?  
Dając na wieczność nadzieję,  
wpierw otwórz śmierci wierzeje.  
Wpierw zaoraj glebę śmiercią,*

*potem zasiej cierpienie,  
zbierz plon rozpaczy  
i niech lud cię zobaczy.  
Wtedy zyskasz uwielbienie.  
Napełnią się niebiosy twoje,  
lecz twarde miej swoje zbroje,  
gdy śmierci lud się bać przestanie,  
bóg inny zamiast ciebie nastanie.  
Bez śmierci życia nie rozdawaj,  
bez cierpienia nie dawaj miłości,  
bez wiary ludu nie uzdrawiaj,  
do dobroci tyleż samo dodaj złości.  
Na wieczność wówczas bogiem będziesz,  
lud wszelki na własność posiadziesz,  
życia wszystkie poświęcą tobie,  
wrogów twych zakopią w grobie.  
A gdy już nie zbraknie ci życia plonu,*

*będziesz mógł służyć nadpanu swemu.*

— To nie jedyny hymn i nie jedyne dla nas wskazanie — rzekł Pan Świateł. — Zatem, czego pragniecie, Panowie? By Pan Zniszczenia zabił część tych istot, ażeby pozostali przy życiu mogli z dostateczną trwogą przyjąć nasze objawienie? Stracimy połowę wyznawców, gdyż, umierając, wzywać będą swoich bogów.

— Lecz pozostali przy życiu będą nam wierni i wiarę tę przekażą innym. Zyskamy lud posłuszny. Tak czynić uczył nas wielki Olonton i tak czynić powinniśmy.

— Niech zatem tak będzie, dobrzy Panowie — westchnął Pan Świateł. — Będę błagał wraz z wami, by nasz dobry Pan Zniszczenia użył glebę pod sady życia istnieniami połowy tych istot. Chociaż nie rozumiem waszego pośpiechu. Powinniśmy poczekać na pojawienie się tutejszych bożków, walczyć z nimi i spektakularnie pokonać, a tym samym w jednej chwili nawrócić wszystkie istoty na wiarę w nas. W dodatku nie wiemy przecież, czy tubylcy już nie zorientowali się, czym w rzeczywistości jest rękawica i reszta naszej świętej sondy. Może wiedzą, że przedmioty, które znaleźli, należą do nas i od dawna czekają na nasze przyjście? Może już w nas wierzą?

— Dlatego właśnie, my, trzej Panowie, uważamy, że nie możemy dłużej czekać — groźnym tonem zaśpiewał Pan Wzrostu. — Wszak nasza materializacja w tym wymiarze jest niebezpieczna i jeżeli tubylcy lub, co gorsza, ich bogowie zwrócą się przeciw nam uzbrojeni w rękawicę, poważnie

zagrożą naszemu istnieniu. Ty, dobry Panie Świąteł, nie dostrzegasz tej groźby, gdyż zbyt jesteś zajęty rozdawaniem swej dobroci samicom pierwszego i trzeciego rodzaju.

— Ależ, dobry Panie Wzrostu — zanucił Pan Świąteł — dobrze wiesz, że rękawica może nam zagrozić dopiero wówczas, gdy znajdzie się na obcej dłoni, ale wewnątrz naszej żywej tarczy. Zaś żywa tarcza pochłonęła część tutejszych ziem i miasta bez najmniejszego oporu. Wiesz również, że nie ma sposobu, by dostać się do niej z zewnątrz. O, dobry Panie Wzrostu, za naszą piękną tarczą jesteśmy bezpieczni tak samo, jakbyśmy znajdowali się o kilka wymiarów stąd. Jednakże przyznaję, że każdy z nas, wzniosłych Panów, musi mieć swoje boskie przyjemności. Ja znajduję je w zbliżeniach z naszymi samicami, czego tak mi zazdrościsz, a pozostali Panowie radują się czymś innym, chociażby sianiem śmierci wśród obcych istot. Pokusa sprawienia sobie przyjemności jest tak silna, że nie zważają oni na fakt, iż istoty te mogą być już ich wyznawcami. Dlatego zgadzam się, by dobry Pan Zniszczenia zabił tylu tubylców, ilu on i wy sobie życycie.

— Zapewniamy cię, dobry Panie Świąteł, że uczynimy to głównie przez wzgląd na nauki naszego nadpana — odśpiewał Pan Wzrostu.

— Zapewne, Panowie, zapewne — Pan Świąteł nie krył rozbawienia. — Niech i tak będzie. Pozwolicie jednak, że, gdy wy będziecie zajmować się swoimi rozrywkami, ja zajmę się swymi.



— Oczywiście, dobry Panie Świateł. Z chęcią w czterech wykonamy to, co według woli naszego nadpana powinniśmy wykonać w pięciu.

— W tym naprawdę jesteście dobrzy... — szepnął Pan Świateł.

\* \* \*

— Zatem obawiają się swojej własnej broni — pisał podniecony Wielki Go.

Melkonseron, Anielica Śmierci, Famissa, Mgłatuluj, Karcen i jego uczeń siedzieli w wygodnych fotelach w salonie Karcena.

— Czy nie wiedzieli, że każda broń może obrócić się przeciwko jej twórcy? A im doskonalsze stworzysz dzieło, w tym większym możesz się znaleźć niebezpieczeństwie? — wtrącił Mgłatuluj.

— Oszczędź nam ludzkiej taktyki wojennej, wodzu — powiedziała Anielica Śmierci i usiadła jeszcze wygodniej, podkurczając nogi. — Tu potrzeba czegoś więcej.

— Plan jest w zasadzie prosty — uroczyście oznajmił Karcen. — Jak podsłuchaliśmy, dzięki twemu protonium, o pani — tu skłonił się Anielicy — każdy, na przykład Sendilkelm lub Bisenna, może użyć rękawicy do sadzenia tych ich sadów życia. Można też jednak wykorzystać ją jako broń przeciwko obcym, na dodatek śmiertelną. Jedyńm warunkiem, a jednocześnie problemem dla nas, jest przedostanie się wraz z rękawicą do wnętrza tej żywej tarczy. Widzieliśmy dzięki odrobinie

magii, którą umieściłem w oczach Ala Chegera, że żywa tarcza rzeczywiście jest nie do pokonania z zewnątrz. Pluje ogniem i wszystko spala na popiół. Zapewne jest tworem ze spienionej żywej czarii. Pytanie brzmi: W jaki sposób uzbrojony w rękawicę Sendilkelm lub Bisenna może dostać się do korabia obcych? Famissa, zdaje się, wspominała nam, że wie coś na ten temat. . .

— A twoja magia i czaria nie wystarczą? — uśmiechnął się Melkonseron.

— Magia na pewno nie, a czaria skrywa przede mną jeszcze kilka sekretów — mruknął Karcen, gniotąc palce dłoni i chowając wzrok przed wielce zdziwionym spojrzeniem Wielkiego Go.

— Ooo, mój drogi, jesteś załedwie jak chłopiec, który nabrał wody morskiej w wiadro i myśli, że wie, czym jest morze — zaśmiała się Famissa. — Dopiero uczysz się czarii i zapewniam cię, że długo to jeszcze potrwa, może nawet całą wieczność. Dlatego przecież umarłam. . . Pamiętasz ten swój pierwszy eksperyment?

— Jak widać, dzięki niemu stałaś się tym, kim jesteś. Niewdzięczna. Gdybym wiedział, jak to jeszcze raz uczynić, zrobiłbym ze sobą to samo.

— Nie uda ci się, na pewno. Dlatego muszę wam pomóc. Mogę przerzucić Sendilkelma i jego oddział do wnętrza korabia obcych. Nie wiem tylko, czym tak naprawdę jest ten myślący kamień. Na razie jego siły bronią mi i Anielicy dostępu do rycerza. Mogę owinać cały oddział wojowników strumieniami czarii i przenieść w dowolne miejsce tego świata, nawet do wnętrza żywej tarczy, ale

nie wiem, co uczyni wtedy ten kamień. Być może splącze on czarję tak, że wylądują zupełnie gdzie indziej lub po prostu zginą. . .

— Zatem pozostaje nam ryzyko porażki i pokładanie nadziei w twojej czarii — mruknął Melkonseron.

— W zasadzie tak. Chyba że nasza wspaniała Anielica doradzi nam coś lepszego — syknęła Famissa.

— To dzięki mojemu protonium dowiedzieliśmy się tego wszystkiego. Niech każdy z was zrobi dla sprawy coś równie ważnego, a zwyciężymy — odparła ponuro, a po policzkach potoczyły się jej grube łzy.

— O co znowu chodzi? — zachnęła się Famissa.

— To takie romantyczne. . . — rozplakała się na dobre Anielica. — Kochamy jednego i tego samego rycerza. . .

— Czy ktoś może mi wytłumaczyć, co to znaczy romantyczne? To jakaś czaria. . . tak? — jęknął Wielki Go.

Karcen i Melkonseron posłali mu miażdżące spojrzenia. Anielica z płaczem wybiegła z komnaty.

— Świetnie — mruknął nadbóg. — A tak wracając do tematu, czy ktoś może powiedzieć coś jeszcze o ryzyku, jakie ponosimy, używając czarii do przeniesienia oddziału?

— Chyba nie. . . — szepnął Karcen.

\* \* \*

Sendikelm patrzył na najświętsze tablice Timajczyków. Wykonano je z tego samego metalu, co wężowopalczystą rękawicę. Zapewne stanowiły fragment jakiejś większej całości, gdyż każda miała inny kształt i poszarpane krawędzie, ale do siebie nie można było ich dopasować. Runy świeciły silnym niebieskim blaskiem. Pośrodku jednej z tablic widniał prosty rysunek przedstawiający pięć stylizowanych i przeplecionych w skomplikowany ornament postaci o długich głowach.

— Ciekawe — zauważył stojący obok Al — dlaczego postaci jest pięć, a dłoni jednaście? Widzisz, tam, nad najniższą głową, jest dodatkowa dłoń. To z pewnością jakiś czariowy rysunek. Muszę go zapamiętać, dla Karcena. . .

— Karcen zna te runy na pamięć — mruknął Sendikelm i spojrzął na milczących wyniośle kapłanów. Stali przy tablicach, każdy przy tej, której strzec zaprzysiągł za cenę życia. — Chyba wiem, co może oznaczać ta dodatkowa dłoń, mistrzu Cheger — szepnął. — Przypomnij sobie, co Bisenna ma w nosidle.

Al popatrzył na niego rozszerzonymi oczyma. Sendilkelm uśmiechnął się drapieżnie. Obaj spojrzeli na Bisennę, który jednak nie interesował się tablicami, lecz zmrużonymi oczyma wodził po kopule świątyni i wyraźnie czegoś nasłuchiwał.

Kapłani wskazywali dyskretnie głowami to na Sendilkelma, to na zamyślonego księcia i starali się ukryć drżenie rąk. Byli zdani na siebie. Sługi świątynne zbiegły, gdy tylko miasto zaczęło płonąć, a strażnicy, podlegli rozkazom gwardii królewskiej, zostali wezwani do obrony pałacu.

Mikkoli miotał się wściekle przy ołtarzu. Chyba nie wiedział, co czynić. Ukorzyć się przed bogami i przyjąć z pokorą wszystkie ich wyroki, nawet śmierć całego Timaju, czy też walczyć z nimi. Runy na tablicach ożyły w chwili wylądowania korabia bogów, tak przysięgali wszyscy kapłani. Czyżby Enga Enga miał rację? Jeśli nawet, to on, książę, miał serce wojownika i nie mógł sobie wyobrazić, że poddaje się niszczycielskiej sile bez walki, by wraz z innymi mieszkańcami miasta czekać na najwyższym tarasie na wyrok bogów... Może i na zbawienie, ale najpierw na zatracenie.

Książę przycisnął dłonie do skroni i wbił wzrok w tablice. W ich blasku dostrzegł postać zakutą w smokolit. To Czomon podszedł do świętych przedmiotów tak blisko, że jego zbroja odbijała niebieskie światło run. Właśnie rozpostarł szeroko dłonie i świątynia wypełniła się niskimi dźwiękami jego pieśni:

*Ni bóg, ni mag, ni wiek  
nie jest tym, kim człek.  
Cierpienie i ból  
to żadna jest wiara,  
człek, niczyja to ofiara.*

Kapłani rzucili się na niego, lecz tylko mocno poobijali sobie pięści.  
— Zamilcz! Zamilcz! Precz, nieszczęsny szaleńcze! Precz! — krzyczeli starymi głosami.  
Czomom nawet nie drgnął, tylko śpiewał coraz głośniej:

*Bogowie i człek,  
śmierć w zachwycie.  
Wieczność i wiek,  
wieczne życie.  
Nigdy śmiercią nie rozdzieleni,  
przez siebie i dla siebie stworzeni,  
z jednego początku, końce dwa,  
bóg człeka, a człek boga ma.*

*Sobie siebie nawzajem oddajmy  
ze śmiercią i życiem pospołu wygrajmy.  
Wszak bramą i drogą do siebie jesteśmy,  
jednym się stańmy, w jednej splećmy pieśni.  
Poza nami nic nie ma i nie będzie,  
Gdy człek boga, a bóg człeka posiadzie.*

Śpiew Czomona, krzyki kapłanów i ostrzegawczy ryk Bisenny utonęły w nagłym huk. Część sklepienia zawaliła się, wzbijając chmury kamiennego pyłu. Okaleczona kopuła płonęła. W okamgnieniu rozgrzane do białości ściany wygięły się do wnętrza świątyni. Kapłani padli na twarze przed tablicami.

Pierwszy do ucieczki zerwał się Al Cheger. Był już na przeciwległym końcu dziedzińca, gdy reszta oddziału, z Bisenną i Mikkolim na czele, mijała portal. W tym samym momencie kopuła świątyni zapadła się do wewnątrz. Płomienie strzeliły jeszcze wyżej. Powietrze parzyło płuca.

— Kto nie zdążył?! — krzyknął Mikkoli, licząc wzrokiem swoich ludzi.

— Kapłani i chyba Czomon! — odkrzyknęła piskliwie Agni. — O bogowie! Oni spłonęli!

— Bogowie nie płoną, kobieto... — mruknął Sendilkelm. Podniecony Kamienna Łza wiercił się tak dokuczliwie, że rycerz w końcu złapał się za brzuch i skulił pod ścianą.

Mikkoli dał rozkaz do odwrotu. Ruszyli już ku schodom na ulicę, lecz nagle Al wrzasnął ochryple i wskazał za siebie.

Z płonącego jeziora, które dawniej było Świątynią Jedynych Tablic, wyłoniła się zakuta w smokolit postać. Czomon brnął po kolana w płynnym granicie. Płomienie pełgały po jego rozgrzanej do białości zbroi. Pod pachą dźwigał jakiś szerniały kształt.

— To bóg! — krzyknął któryś z żołnierzy.

— Czomon, bóg — szepnął Mikkoli. — Czomon, pan płomieni.

— No, wreszcie. . . — westchnął Sendilkelm z ulgą, a twarz Czomona, którą widział pod przymkniętymi powiekami, uśmiechnęła się.

Bóg wyszedł z płomieni i rzucił na ziemię cztery poczerniałe tablice.

— Czomon. . . — wyszeptała Agni.

— Tyle zostało z waszych świętości! — huknął spod przyłbicy. — Lepiej stąd chodźmy! To miejsce nie jest już chyba święte, jak myślisz, książę?

Wybiegli na ulicę. Tylko wokół Czomona nikt się nie tłoczył. Wszyscy bali się nawet na niego spojrzeć, nie wiedzieli, co ze sobą począć.

— I co, Bisenno Karsago Tilsenno — mruknął Czomon — teraz nie żałujesz, że wziąłem twój skarb? — i pogładził się po zbroi, która stygła szybko, wydając syki i stęknięcia.



Bisenna milczał. Wtedy Al Cheger wystąpił naprzód i stanął między Czomonem a Fraternijczykiem.

— Bisenna jest na skraju szaleństwa, panie. . . — powiedział, starając się skupić wzrok na hełmie boga. — Daj mu trochę czasu. Myślę sobie. . .

— Patrzcie na miasto!!! — przerwał im Sendilkelm. — Wznowili ostrzał!!!

Niebo przecinały płomienne kule, lecz robiły to zbyt wolno jak na pociski. Można było odnieść wrażenie, że wypatrują celu, gdyż aż nadto precyzyjnie osiągały większych budynków i świątyń.

— Tam, w cytadeli, muszą mieć niezły widok — szepnął Al.

Uciekali przez wąskie uliczki. Sendilkelm zdawał sobie sprawę, że nie mają ani planu działania, ani nawet pomysłu, gdzie uciekać. Timajscy żołnierze gnali przed siebie z obłędem w oczach. Słuchali wprawdzie rozkazów księcia, lecz trudno było się spodziewać, że uczynią więcej, niż nakazywał im instynkt ucieczki. Jedyłą szansą na ocalenie był Czomon. Kamienna Łza siedział podejrzanie cicho, co niepokoiło trochę Sendilkelma.

Dobiegli do podłużnego placu targowego. Poza kilkoma zdeptanymi ludźmi, nie było tu nikogo. Tylko poprzewracane i porozbijane stragany, zmiażdżone owoce, porozlewane wina, połcie mięsa, świeżo upolowane, niektóre nawet żywe bronkle i czajmałapy, brzezieńce i knakumy, wianki suszonych oczu, uszu, korzeni i ziół oraz nieprzeliczone ilości innych towarów. Spojrzeli w górę.

Nad płaskimi dachami domów wznosiły się pulsujące tęczowymi kolorami szkliste bąble. To one ostrzeliwały miasto. Siła przekleństw rzucanych przez żołnierzy Mikkolego, a z nią panika i obłęd, wzmagaly się z każdym kolejnym pociskiem.

— Czy to zamek obcych bogów?! — krzyknął Al.

— Raczej coś w rodzaju broni! — odkrzyknął Sendilkelm. — Jakiegoś żywego paskudztwa!

— Właśnie! Kiedyś Karcen znalazł podobne stworzenie w górach Kilszeszenam. Ale tamta piana była zielona, a przede wszystkim, chociaż żywa, to powolna, dawała się wziąć w rękę i w ogóle!...

Sendilkelm przyjrzał mu się uważnie. Al przygryzł dolną wargę i już nic więcej nie powiedział.

Mikkoli zbliżył się do Czomona, spokojnie obserwującego błyszczące ściany pianistego giganta.

— Jeśli jesteś bogiem, powiedz, co robić. A może jesteś jednym z nich? — ksiązę niespokojnie wodził wzrokiem to w górę, to w dół — na Czomona.

— Jestem Czomon i nigdy nie byłem nikim innym, ksiązę — odparł bóg. — A ty? Potrafisz mi powiedzieć, czy jesteś wyznawcą, czy jednak buntownikiem? Dziś wielki wiatr przeznaczenia śpiewa twoje imię. To ty musisz zdecydować. Ludzie pójda za tobą.

— Jestem następcą Dogodoto! Muszę chronić swych ludzi — mruknął ksiązę.

— Powodzenia zatem! — odparł Czomon. — Odpowiedz tylko sobie wcześniej na pytanie, przed czym chcesz ich chronić.

Powietrze przeszył ogłuszający gwizd. Wszyscy, nawet Czomon, padli na ziemię. Dźwięk przechodził powoli w niskie jednolite buczenie, które po chwili zaczęło skokowo wznosić się i opadać o kilka oktaw, wypełniając miasto bełkotliwymi frazami.

— Chyba coś mówią!... Bogowie przemówili! — krzyknął Mikkoli do Czomona.

Ludność z tarasu cytadeli odpowiedziała rykiem tysięcy gardeł. Dźwięki dochodzące z pianistego tworurwały się nagle i w tym samym momencie kolorowe błyski na ścianie największego bąbla skondensowały się w wielki wir. Ludzie krzyczeli coraz głośniejsze i bardziej jednolicie, zachęceni widocznie przez kapłanów do wypowiedzania jakichś formuł. Tęczowy wir podzielił się na części, a każda z nich uformowała inny drgający kształt. Z kolei formy te w jakimś szalonym tańcu zlały się w jeden obraz. Była to twarz podobna do ludzkiej, lecz mocno wydłużona i przerażająca. Płonące oczy patrzyły czarnymi jak bezdenna studnia źrenicami. Sinoniebieska kreska ust rozcinała twarz w pionie. Na trapezowatym czole płonęła druga para oczu, równie czarnych i świdrujących.

Sendilkelm widział na świątynnych ołtarzach wiele boskich oblicz, lecz żadne z nich nie wydało mu się tak obce i przeraźliwe.

Twarz boga poruszyła się i jęła nabierać coraz wyraźniejszych rysów, aż w końcu kulista ściana zmieniła się w głęboko rzeźbioną głowę, która wysunęła się z piany na długiej połyskliwej szyi i zawisła nad cytadelą.

— Czy tego to właśnie węża-boga się spodziewaliście? Strachoćbogoć! — wybełkotał Bisenna do najbliższej leżącego Timajczyka.

Głowa rozwarła usta i buchnęła błękitnym płomieniem w główny taras cytadeli. Setki ludzi znalazło się w powietrzu. Płonąc wewnątrz błękitnego obłoku, zmienili się szybko w czarny tuman popiołu, który, wciąż uwięziony w chmurze, odleciał poza miasto. Głowa miotła się pomiędzy tarasami i odkrytymi galeriami, siejąc ogniste zniszczenie. Ludzie ginęli pod stopami uciekającego tłumu albo zwęglali ich boski płomień. W stronę miejskich murów odlatywały kolejne niebieskie obłoki z ich prochami.

— Pięknie!!! — krzyknął Bisenna do księcia. — Palą was, a popioły kolekcjonują. A może tylko popioły mogą trafić do ich niebios? Naprawdę, warto było na nich czekać. . .

Agni z kamienną twarzą obserwowała płonących w powietrzu ludzi. Instykt podpowiadał jej, że nie powinna tak zginać, w głębi duszy jednak wiedziała, że ucieczka z tego miasta nie wystarczy.

Mikkoli zerwał się nagle i podbiegł do Czomona.

— Nie wiem do końca, co czynię, ale mam przeczucie, że to, co widzę, niewiele ma wspólnego z moim horenhoj — powiedział drżącym głosem.

— Uczyń wszystko, by twe horenhoj pozostało czyste jak kryształ! — zaśmiał się Czomon. — Ale, zaiste, chyba nie chodzi o dobrowolną przemianę w garstkę czarnego prochu?

— Doprawdy, dziwniejszym jesteś bogiem, niż można sobie wyobrazić! — syknął książę, odwrócił się gwałtownie, wskoczył na przewrócony stragan, uniósł miecz i krzyknął — ruszamy Timajczycy! Kto nie chce skończyć w płomieniach, za mną! Do przeciwstónczej dzielnicy! — po czym puścił się biegiem przez plac w kierunku strzelistej bramy.

Wszyscy, bez wyjątku, posłuchali rozkazu.

Biegli już dobrych parę chwil. Mikkoli krzyczał coś w wojennym dialekcie do swoich żołnierzy i przepychał się do przodu grupy, tam, gdzie biegł Czomon. W końcu zrównał się z nim i już miał mu zadać pytanie, gdy bóg huknął:

— Ty dowodzisz, pamiętasz?! Ja jestem tylko bogiem!

— Naszym timajskim bogiem? — wydyszał Mikkoli, zmęczony i blady, na granicy omdlenia.

— Czemu nie?

Skręcili w poprzeczną ulicę, pełną zbrojeniowych warsztatów i kuźni z wysokimi kominami. W tym samym momencie z bocznej uliczki wlał się ognisty strumień i przeciął im drogę.

— Czy w tym mieście nie ma podziemi? — zapytał głośno Czomon.

— Tędy! — krzyknął Mikkoli i skręcił w wąski zaułek.

— Za dowódcą!!! — ryknął Czomon i ruszył za księciem.

Pędzili przez wąskie zaułki i kręte schodki. Przepięli się przez nisko sklepione przejście w jednym z budynków. Czomon ugrzązł tu na chwilę, lecz Bisenna, który ulokował się za nim na czworakach, pchnął go głową tak silnie, że w aureoli iskier, wzbudzonych tarcie smokolitu o kamienne sklepienie, wysypali się jednak na zewnątrz.

Stanęli na okrągłym dziedzińcu. Małym, lecz tak wysokim, że wszystkim zdawało się, iż wylądowali na dnie wielkiej studni. Posadzka zasypana była różnymi śmieciami i resztkami warzywnych straganów.

Mikkoli gwizdnął komendę. Kilku żołnierzy odsunęło worki z korzeniami i resztki drewnianego daszka. Oczom wszystkich ukazał się ośmiokątny właz. Czterech żołnierzy chwyciło osiem klamer i uniosło kamień w górę. Z wewnątrz buchnęło gorące, cuchnące powietrze.

Agni cofnęła się gwałtownie i odwróciła twarzą do ściany. Sendilkelm i Al Cheger, zasłaniając nosy, zajrzeli do ciemnego otworu.

— Mamy tam wleźć? — pisał Al. — To przecież chyba jest. . .

— Koryto ściekowe — skończył głośno książę i wskoczył do włazu. Chlupnęło. Po chwili brudna i mokra głowa Mikkolego wychyliła się ze studni. — No co? Nie macie takich koryt w Atrim?! — krzyknął. — Właźcie! Tym korytem dotrzemy do świątynnych podziemi tej dzielnicy.

W tym momencie na dziedziniec wpłynął potok ognistego kamienia. Czerwony żar, bulgocząc i sycząc, pełznął ku zgromadzonym. Wszyscy natychmiast i bez jednego słowa wskoczyli do ośmio-kątnego kanału. Tylko Agni wciąż nie odrywała się od ściany, wpatrzona we wrzącą już na dwie stopy od niej kamienną maź.

W studni zakotłowało się od przepychanych ciał i gniewnych głosów. Któryś z Timajczyków głośno protestował, ale nagle zamilkł. Bisenna, sapiąc i dysząc, wychylił się z otworu i krzyknął do Agni, że zaraz upiecze się jak kura na wieczerzę. Płonący jęzor oddzielił ją jednak od włazu. Skuliła się pod ścianą, przeraźliwie piszcząc. Bisenna zmiął w ustach przekleństwo, wyskoczył ze studni i rozejrzał się po placu. Mamrocząc wściekle i wygrażając nawołującym go Timajczykowi, wyszarpnął z nosidla rękawicę i wcisnął ją na rękę tak gwałtownie, że o mało nie wyłamał sobie kciuka. Warknął z bólu i przyjrzał się węzowemu biczom, zwiniętym pod zakutymi w dziesiątki łusek palcami rękawicy. W okamgnieniu węże ożyły i świsnęły w powietrzu. Oplotły skuloną dziewczynę i uniosły w powietrze. Płomienie zdążyły jedynie liznąć jej buty. Bisenna wcisnął się we właz, pociągając za sobą Agni. Palce rękawicy zgrzytnęły o krawędź studni i dziewczyna syknęła z bólu. Fraternalczyk chwycił ją za nogi i wcisnął do środka. Sam wychylił się jeszcze po kamienną klapę. Złapał ją w dwa węzowe palce i precyzyjnie opuścił na studnię. Choć na chwilę, póki żar nie rozpuścił pokrywy, byli bezpieczni.

Żołnierze Mikkolego, zanurzeni po kolana w ściekach, krzesali właśnie ogień, by podpalić wiązkę strzał.

— To śmieszne, krzesać ogień, gdy dookoła wszystko płonie. . . — zachichotał nerwowo Al i zamilkł szybko, zobaczywszy dwa światełka przypatrujące mu się przez szczeliny hełmu Czomona.

Księżę penetrował połączenia tunelu ściekowego i biedził się z odczytaniem znaków nagryzmo-  
lonych na suficie. Twarz miał aż ściśniętą od skupienia. Nawet na chwilę nie zainteresował się losem Agni, która teraz trzęsła się i jęczała. Odgarnęła z twarzy zlepione szlamem włosy i odszukała wzrokiem Bisennę. Ten również nie zwracał na nią uwagi.

— Dzięki, Bisenna! — krzyknęła do jego pleców.

Ruszyli za księciem, potykając się i podpierając o oślizgłe ściany. Po chwili znaleźli wąski taras, powyżej poziomu nieczystości, i schody prowadzące prostopadle w dół. Gdy już cały oddział, chwiejąc się na wszystkie strony, znalazł się na wąskich stopniach, Mikkoli stanął niespodziewanie.

— Tu są drzwi! — krzyknął za siebie. — Spiżowe! Rama wpuszczona w kamień z drugiej strony! Nie damy rady bez kluczy!

— Wszyscy wyłazić! — wrzasnął w dół schodów Bisenna. — Puśćcie mnie pierwszego!

Oddział wycofał się, potykając się i przewracając. Czomon wygramolił się przedostatni i dwornym gestem zaprosił Bisennę do zejścia. Wszyscy zbyt byli zajęci łapaniem oddechu, by zauważyć



pięć stalowych węży zwisających z okutego ramienia Fraternijczyka. Ten zresztą natychmiast runął w dół schodów.

Trzask giętego metalu i pękającego kamienia wymieszał się z sykiem dobiegającym z kanału, który przed chwilą opuścili. To płonąca lawa przepaliła pokrywę kanału i pełzła podziemnym korytem. Na szczęście Bisenna wrzasnęła, że mogą schodzić.

— Za mną! — ryknął Mikkoli.

Wpadli do suchego pomieszczenia. Twarze owiało im świeże powietrze. Znajdowały się tu dwa stoły, skrzynka z kamiennymi przepustkami i porzucona na podłodze broń różnego rodzaju.

Mikkoli ściągnął ze ściany pochodnię i, długo manewrując prawie zwęglonymi strzałami, podpalił. Ze skrzynki wyciągnął kamienną tabliczkę na rzemieniu i powiesił sobie na szyi.

— Mamy plan podziemi dzielnicy świątynnej — stuknął palcem w tabliczkę. — Co dalej?

— Uciekajmy, uciekajmy... — wyszeptała głośno Agni. Przez jej twarz biegła krwawa smuga, jak od uderzenia batem.

— Czy podziemia prowadzą na zewnątrz miasta? — spytał Sendilkelm.

— Nie. To by nie miało sensu w razie ataku — odparł Mikkoli. — Z tego samego powodu nie ma połączenia pomiędzy podziemiami poszczególnych dzielnic. Możemy jedynie krążyć pomiędzy piwnicami i lochami świątyń w promieniu, powiedzmy, pięciuset kroków...

— W razie potrzeby przebijemy się nawet przez litą skałę — wydyszał Bisenna i podniósł uzbrojoną rękę. Jego oczy płonęły bojowym szaleństwem. Nikt nie wątpił w prawdziwość jego słów.

— Nie wiedziałem, że armia Fraternali ma taką broń — mruknął książę — choć mam wrażenie, że czegoś tu nie rozumiem.

Czomon podszedł do Bisenny i chwycił jeden z rozwiniętych, swobodnie zwisających palców rękawicy.

— Czyżbyś, panie, miał jakieś konszachty z obcymi bogami? — rzekł spokojnie spod przyłbicy. — Wszak z tego samego metalu są, czy też może były, najświętsze tablice Timajczyków. Pewnie nie ujawniałaś wcześniej tego skarbu z obawy, że ci go zabiorę? I słusznie rozumowałeś, wojowniku. . .

— Ależ to te same runy! — wykrzyknął Mikkoli, zbliżywszy twarz do uzbrojonej ręki Fraternalicy.

Wszyscy skupili się wokół Bisenny, oglądając rękawicę, zawzięcie dyskutując i przekrzykując się w pytaniach. Bali się dotknąć nie znanej im broni, lecz pokazywali ją sobie palcami, jakby każdy z nich zauważył ją pierwszy. W końcu Sendilkelm krzykiem nakazał ciszę.

— To ja ją zdobyłem, jeszcze w Atrim. Wiedz, książę, że wyjaśnienie jej pochodzenia jest częścią naszej misji w twoim kraju.

— Na bogów! Czemu dotychczas nie pokazałeś jej Panu Dogodoto lub mnie? Przecież traktowalibyśmy was inaczej... To by wiele zmieniło.

— Dobrze się stało — wtrącił rzeczowym tonem Czomon. — Moglibyście wówczas wziąć udział Sendilkelma za wysłanników bogów. Możliwe też, że obecność tego przedmiotu utwierdziłaby dodatkowo kapłanów w przekonaniu, że wasi bogowie rychło przybędą, a wtedy pewnie i ty, książę, nie miałbyś wątpliwości. I płonęlibyśmy teraz w niebieskich bańkach, jak inni mieszkańcy stolicy. A tak przy okazji, jako bóg uważam, że choć człowiek musi opuścić ten najlepszy ze światów, rolę boga jest uprzyjemnić mu tę podróż. Nie wiem, jak wy, ale znam na to przyjemniejsze sposoby niż spopielenie żywcem.

— A ja myślę sobie, że oni mogliby zniszczyć całe to miasto znacznie szybciej! — krzyknął Al. — Chcą jednak pokazać swą siłę! Myślę też sobie, że nie spopielą wszystkich mieszkańców, tylko, powiedzmy, no, połowę lub trochę więcej, a rolę pozostałych będzie przekazanie innym, że bogowie wylądowali i domagają się kultu czy czegoś takiego... I po to tylko oszczędzili Mikkolego i trzech jego ludzi, abyśmy tu przylecieli. Podejrzewam, że zagłębili się jakoś w mroczne przestrzenie ludzkich umysłów, dzięki czemu wymyślili coś, co naprawdę może nas przerażać. Krótko mówiąc, uważam, że bez względu na to, czy będziemy dalej uciekać, czy też nie, mamy szansę

przeżyć. Jeżeli są to rzeczywiście bogowie, a nie jacyś rozbójnicy czy głupcy z innego wymiaru, to potrzebują wyznawców, żywych umysłów, a nie popiołów do użyźnienia ogródka.

— Nieźle powiedziane, jak na maga — Czomon zarechotał spod przyłbicy.

Mikkoli słuchał ich w milczeniu i skupionym wzrokiem wpatrywał się w kamienną tabliczkę z planem podziemi.

— Musimy uciekać dalej — powiedział spokojnie i znowu postukał palcem w tabliczkę. — Płomienie mogą się tu przedostać. Nie możemy czekać i zastanawiać się, co zrobią obcy bogowie. . .

— A jednak obcy?! — przerwał mu tryumfująco Czomon.

— Obcy bogowie — dobitnie powtórzył książę. — Zastanawia mnie jedno. Na co możemy liczyć? Nasi lotnicy nie mają szans w walce z tymi latającymi płomieniami. Mam nadzieję, że Pan Dogodoto posadził swoje oddziały na zachodnim lądowisku, obserwuje spokojnie zagładę miasta i czeka na wieści od nas. Oby jego horenhoj dało mu siłę i cierpliwość, oby nie rozpoczął ataku! Mam pytanie, boże Czomonie. . . Czy ziemscy bogowie nie zechcą stanąć do walki z obcymi bogami? Wszak powinni bronić swych przestrzemi.

— W tym problem. . . — westchnął Czomon. — Jako istoty nieskończenie wyższe od was, należą do innego świata i ich ewentualne materializacje w tym świecie byłyby bardzo słabe, a często

w ogóle niemożliwe. Niestety, jest ich zbyt wielu w stosunku do wiernych, co znacznie obniża ich siłę, a tym samym uniemożliwia im pokonanie obcych w tym wymiarze.

— A twoja obecność? — mruknął głośno Al.

— Czy widzieliście, żebym poczynił jakieś większe cuda, poza poruszaniem się w smokolitowej zbroi? To dzięki niej wyszedłem z płomieni. Tylko Sendilkelm zobaczył mnie w pełni mego istnienia i tylko on jest moim wyznawcą. To jego wiara sprawiła, że mogę być tu z wami. I wiedzcie, iż sprawia mi to ogromną radość, chociaż zdaję sobie sprawę, że to właśnie mój los może być najokrutniejszy, bowiem mnie po śmierci nie spotka nic — tu Czomon uchylił przyłbicę.

Zobaczyli twarz jakby wykutą w niezwykle przezroczystym, zielonkawym lodzie. Światło igrało na jej delikatnych rysach, mieszając ich rzeźbę z liniami wnętrza hełmu. Timajczycy cofnęli się lekko, ale wszyscy odczuli niewypowiedzianą ulgę. Od chwili, gdy poczęła kiełkować w nich wiara, że Czomon jest bogiem, narastał też strach, że może on uczynić coś jeszcze gorszego od tego, co uczynili obcy bogowie. Teraz wszystkich przekonała łagodność, bijąca z jego uśmiechniętych rysów.

Czomon zatrzasnął przyłbicę.

— Jjjaaak zatem, panie — nieco drżącym głosem rozpoczął Al — jak zatem jest to możliwe, że ziemscy bogowie są bezradni jak dzieci, a ci obcy prowadzą tu jakąś swoją świętą wojnę? Czymże oni są, skoro nikt tu jeszcze nie zanoszą do nich modłów i nie składa im hołdów?

— Tego nie wiem — westchnął Czomon. — Nie pragnijcie poznać tajemnic bogów, gdyż nie może ich pojąć żaden człowiek, nawet martwy. Ludzie powinni poznać przede wszystkim siebie, ale nie czas po temu, by to tłumaczyć. Zapewne obcy bogowie mają niezliczonych wyznawców gdzie indziej, przypuszczam, że nawet w wielu innych światach. To imponujące, że ich materializacja w tym wymiarze jest tak potężna. Pewnie w innych wymiarach są jeszcze potężniejsi. Myślę, że rzeczywiście, panie Al, najpierw pragną tu zdobyć swoich wyznawców. Potem wybiją osłabionych brakiem wiary tutejszych bogów. Będzie to polowanie okrutne, lecz nie zobaczy tego żaden człowiek, może z wyjątkiem tych, którzy zamieszkują niebiosa. Mógłbym powiedzieć więcej, ale nie pojęlibyście z tego ani słowa.

— I my mamy w to wszystko uwierzyć? — mruknęła Agni.

— Nie musicie! — odparł prawie wesoło Czomon. — Na tym polega wielki dar, który wy, ludzie, otrzymaliście, dar wyboru. Na przykład nasz przyjaciel Bisenna wierzy w bogów, których nie ma. . . Ktoś inny, na przykład Sendilkelm, uwierzył w boga, który istnieje, choć nie ma pewności, czy długo. . . Jak to mówią bogowie, niezbadane są wyroki ludzkie!

— Dlatego właśnie, myślę sobie, magowie tak cenią swoją sztukę, gdyż dzięki niej mogą trzymać się z dala od bogów! — powiedział Al Cheger. — Czy możemy już zacząć uciekać? Trochę tu gorąco. . .

Wszyscy spojrzeli na Mikkolego, który nadal studiował tabliczkę z planem podziemi, wodząc po niej czubkiem sztyletu. Plan nie przypominał mapy, lecz skomplikowany ornament, pełen przeplatających się pętli, znaków i otworów. Ostrze noża zatrzymało się na jednej z ośmiokątnych dziurek.

— Powinniśmy dojść tutaj — odezwał się w końcu książę, wskazując ośmiokąt. — To lochy pod Świątynią Jedynych Tablic. Są najgłębsze w całym mieście. Kiedyś łączyły się nawet z podziemnymi rzekami Kallito i Possolito, źródłami Wielkiej Białokostki. Wiedźcie, że będzie to głębokość pięciuset stóp. Prawdopodobnie płynny kamień, w jaki zamieniła się świątynia, utworzył już skorupę, swego rodzaju tarczę dla najwyższych kondygnacji lochów. Możemy dojść do niższych korytarzy, a stamtąd do głębi góry, gdzie będziemy w miarę bezpieczni. Nie będzie to przyjemne miejsce. Chowamy tam kapłanów od początku istnienia Timaju.

— Dobrze — ocenił spokojnie Sendilkelm. — Płonące kule obcych, choć silne, nie mogły przepalić skały na taką głębokość. Przywarujemy tam i spokojnie opracujemy plan działania.

— I spokojnie umrzemy z pragnienia i głodu — dodał Al.

— Nie to mnie martwi, mistrzu Cheger — odparł Mikkoli. — Studnie doprowadzają wodę Kallito na wszystkie poziomy lochów, a z głodu zaczniemy umierać dopiero za czterdzieści dni. . . Martwię się natomiast, czy płonące kule są jedyną i najgroźniejszą ich bronią.

— Jak dotąd nie użyli niczego innego — wtrącił Bisenna.

— A poza tym, po co mieliby się wwiercać w litą skałę na pięćset stóp? — dopowiedziała Agni. — Po pierwsze, musieliby wiedzieć, że tu jesteśmy, a po drugie, musiałoby im na nas zależeć.

— Zatem proponuję uciekać dalej, skoro jest tak świetnie — rzekł Czomon.

Wszyscy spojrzeli na niego ponuro. Książę uniósł pochodnię i ruszył w dół wąskimi schodami.

Powietrze w korytarzach było wilgotne i coraz chłodniejsze. Schodzili w milczeniu, mijając długie galerie pełne zabalsamowanych zwłok kapłanów. Agni obawiała się pajaków, robaków i innego paskudztwa, które widziała w lochach Atrim, lecz podziemia Timajczyków były zupełnie wymarłe, zimne i czyste. Lśniące podłoga i wypolerowane ściany zwielokrotniały echo ich kroków. Ku zdumieniu żołnierzy Al Cheger rozpałił pochodnię magicznym zielonym płomieniem. Bisenna przez pewien czas liczył zmarłych kapłanów, lecz przerwał, gdy weszli do wysokiej na pięćdziesiąt stóp sali po sufit wypełnionej stosami ciał owiniętych w lśniące szaty.

Chłód był coraz bardziej przenikliwy i wszyscy pozapinali szczelnie hełmy, a kto mógł, opatulił głowę płaszczem.

— Dziwne — powiedział Al — Karcen zawsze mnie uczył, że im głębiej w ziemię, tym cieplej.

— A czy przy okazji nie uczył cię również, że w Timajach wszystko jest na odwrót? — odburknął Bisenna, szcękając zębami. — Lepiej spytaj księcia, jak długo jeszcze będą nam marzły tyłki... Magoćśmiertność! Bogoćśmiertność! Księcioćśmiertność!



— Jeszcze trzysta czterdzieści stopni i piętnaście komnat! — odrzyknął książe z przodu grupy. — Jeżeli fraternijska armia nie wytrzyma zimna, to niech poprosi przyjaciela maga o pomoc!

Bisenna zacisnął usta. Dalej szli w milczeniu. Chociaż wszystkie napotkane po drodze drzwi były otwarte, Bisenna, mimo ciekawości, o nic nie pytał.

Przeszli przez komnatę tak wysoką, że nawet zielone ognie mistrza Chegera nie zdołały oświetlić stropu, i znaleźli się przed zamkniętymi, metalicznie połyskującymi drzwiami. Książe jął ponownie oglądać kamienną tabliczkę, na dodatek ze wszystkich stron i z wyraźnym zdziwieniem.

— To jak, zostajemy tu, czy idziemy? — spytał Al, a gdzieś wysoko odpowiedziało mu kilkakrotnie szklane echo.

Mikkoli położył mu palec na ustach i wskazał na nieprzenikniony mrok w górze. Wysoki jak srebrne dzwonki głos echa powoli zamierał. Po chwili coś trzasnęło i wszyscy odruchowo wcisnęli głowy w ramiona. Z głębin ciemności spadł wielki jak dwóch ludzi kryształ kwarcu i roztrzaskał się z hukiem o posadzkę, dobywając z mroku kolejne dźwięczne rezonanse.

Bisenna bez słowa odepchnął księcia i oparł uzbrojoną w rękawicę dłoń o metalowe wrota. Wężowe palce rozpełzły się po ornamentach portalu i skrzydeł drzwi. Pełgały po nich jak wściekłe, złapane za ogon żmije. Naraz wniknęły w metal i pocięły go na strzępy. Wszyscy rzucili się do wyj-

ścia. Bisenna, pokonując przejście jako ostatni, zdążył zobaczyć jeszcze, jak na podłogę spada sześć wielkich kryształów.

— Czy armia fraternijska ma zmarznięte tyłki, czy nie, zawsze myśli. Walkoćmyślóczabićstra-choć! — warknął i minął poszarpane drzwi.

Wszyscy wyplątali się już z góry ciał, jaką przed chwilą usypali, i ścisnęli w grupkę pod ścianą. Al rozpałił pochodnie jeszcze mocniejszym ogniem. Sala była kulista. Wysokie stożkowe sklepienie wspierał pośrodku ogromny kryształ kwarcu. Wokół niego, jak wokół areny, siedziała nieruchomo wielotysięczna widownia wysuszonych kapłanów.

Czomon, obchodząc wokół komnatę, przyglądał się ich obliczom o zaszytych powiekach i ustach.

— No proszę — powiedział głośno — a ludzie narzekają, że to bogowie mają słabe poczucie humoru.

Wszyscy czuli, że jest to miejsce w jakiś sposób szczególne, jakby święte, chociaż ostatnio pojęcie to poważnie straciło na jasności znaczenia. Sendilkelm i Agni ruszyli w poszukiwaniu drugiego wyjścia. Niestety, okrągłą ścianę komnaty szczelnie wypełniały identyczne ławy z kamienia. Pięły się aż do styku ścian ze sklepieniem. Siedzieli na nich podobni do siebie jak bliźniacy kapłani

z zaszytymi uśmiechami na twarzach. Wszystko wskazywało na to, że jedyną drogą odwrotu jest ta, którą przyszli.

W tym czasie Al i Bisenna z podziwem oglądali nieskazitelnie przejrzystą kolumnę. Mag nigdy nie przypuszczał, że kryształy mogą być aż tak wielkie. Próbował sobie przypomnieć, czego o kwarcach uczył go Karcen.

Żołnierze szeptali między sobą niespokojnie, lecz zamilkli, podchwyciwszy spojrzenie księcia. Mikkoli był naprawdę zdenerwowany. Obiegł arenę kilka razy i ponownie przyjrzał się swojej tabliczce. Włożył nóż w jeden z otworów i obejrzał ją od dołu.

— Jakie wieści, książę? — spytał Al, przybliżając uszusznie pochodnię do kamiennego planu podziemi.

— Nie rozumiem — mruknął Mikkoli. — Mapa wyraźnie pokazuje, że jest tu przejście do najgłębszego pomieszczenia.

Czomon również pochylił się nad tabliczką i stuknął okutym palcem w otwór, w którym tkwił nóż Mikkolego.

— Co właściwie jest tu napisane, mój książę? — spytał. — Znasz te runy, bo ja tak.

— No to sam widzisz — głos księcia drżał nieznacznie. — Napisano:

*Wejdz wśród wielu,*

*do głębi tunelu,  
a nikt cię nie dosięgnie.  
Tysiące oczu dokoła,  
odejść stąd zdołasz,  
a wypełnisz przepowiednię.*

— O litości, co za rymy! — jęknęła Agni.

— I to według ciebie znaczy, że tu jest najgłębsza sztolnia? — zlekceważył ją Czomon.

— No, chyba tak, najgłębsze miejsce. Mapa ma ileś tam tysięcy lat i język trochę się zmienił — mruknął książe i posłał Agni miażdżące spojrzenie. — Zresztą, runami starotimajskimi niczego nie da się napisać wprost. . .

— Musisz tu często przychodzić, skoro jesteś wszystkiego tak pewien — westchnął Czomon. — Znam te runy, gdyż jestem starszy, niż myślisz. O ile sobie przypominam, sam je wymyśliłem i wiem, że mogą one również oznaczać, iż tu jest koniec, nie wyjdiesz stąd nigdy, możesz odejść do innego świata. I przepraszam, że nie powiedziałem tego wierszem.

— Dzięki ci — mruknęła Agni i wycofała się naprędce.

— Jestem tu po raz pierwszy. Skąd mogłem wiedzieć, że jest tu coś takiego!... — wściekle syknął Mikkoli. — Nikt tu nie przychodzi oprócz kapłanów, którzy grzebią zmarłych ze swego

bractwa. Jestem jednak pewien, że nigdy nie wchodzi tak głęboko. Zmarłego kapłana układa się w najbliższym dostępnym pomieszczeniu, toteż, idąc w głąb, dotarliśmy do grobów sprzed dwudziestu, a może więcej tysięcy lat.

— I pewnie od tego czasu nikt tu nie był. . . — mruknął Czomon.

— Z pewnością. . . — odparł książę. — Czcimy zmarłych ojców naszego ludu i nie zakłócamy ich spokoju. Złodziej też nie ma tu czego szukać, jak widzisz. . .

— Zapomniałeś jeszcze dodać, że z niepojętych dla mnie przyczyn, ludzie po prostu boją się zmarłych. . .

— To też. . . — mruknął książę.

— Nie ma co narzekać! — wtrąciła się gniewnie Agni. — I co z tego, że nie możemy niżej zejść, skoro jesteśmy jakieś czterysta stóp pod powierzchnią. . .

— A jak wrócimy? Strachoc wielkość głębokość! — mruknął Bisenna.

— Pokrzyjemy trochę, wszystkie kryształy odpadną ze sklepienia i już! A poza tym, mamy podobno boską rękawicę i największego wojownika w dziejach! — zahuczał rozbawiony Czomon.

Rozmowę przerwały im zduszone okrzyki przerażenia. Timajscy wojownicy biegali we wszystkie strony, wpadając na siebie i przewracając się.

— Ooo, mistrzowie moi! Tam coś się rusza! — Al wskazał palcem rzędy zasuszonych kapłanów i oparł się plecami o Sendilkelma.

— Gdzie?!! — pisnęła Agni i złapała Bisennę za ramię.

Przerażeni Timajczycy stłoczyli się wokół kryształowej kolumny. W powietrzu błysnęły miecze i kilka bełtów, bezładnie wystrzelonych w różnych kierunkach. Nawet Czomon był zaskoczony i rozglądał się jak zagubione dziecko. Pomiędzy pierwszym a drugim rzędem ław snuła się zielonkawa mgła. Nie unosiła się swobodnie, lecz kondensowała w dziwne kształty, łączyła i dzieliła, błyskając maleńkimi piorunami. Książę szybko opanował strach i rzucił kilka rozkazów w swym ulubionym gwizdzącym dialekcie. Po chwili Timajczycy utworzyli wokół kolumny podwójny krąg. Zewnętrzny pierścień przyklęknął z kuszami gotowymi do strzału, zaś wewnętrzny wy dobył miecze i sztylety. Sendilkelm i jego oddział znaleźli się pomiędzy błyskającym oparem a Timajczykami.

— Rozdzielmy się — mruknął Bisenna i zatoczył się w bok. Agni nie usłuchała i przycisnęła się do niego. Al przykucnął z pochodnią wyciągniętą przed siebie. Sendilkelm i Czomon zetknęli się plecami i wyciągnęli miecze.

Z zielonego oparu wyodrębniło się sześć wirujących kształtów, połączonych jedynie lekką mgiełką. Żołnierze wystrzelili w nie kilka bełtów, lecz Mikkoli wrzasnął, by oszczędzali pociski, jeśli zaś nie posłuchają rozkazu, sam ich zastrzeli. Agni piszczała przeraźliwie i szarpała za ramię słaniające-

go się Bisennę. Widocznie narkotyk, który zażył pod murami, przestał działać. Dziewczyna klepnęła go parę razy po twarzy i brzuchu. Na nic to się zdało. Bisenna stracił przytomność.

Mgielny twór zagaścił się silnie, przyjmując konsystencję luźnej, drgającej masy. Wyłoniło się z niej sześć sylwetek przypominających ludzi w pozycjach siedzących. Agni nie wytrzymała i z głośnym szlochem cisnęła w jedną z nich sztylet.

— Nie powinno być tu kobiet — rozniósł się po sali znajomy niektórym głos.

— Mistrz Karcen?! — pisnął Cheger i przyjrzał się po kolei zielonym kształtom. — Mistrzu, to ja... znaczy, to my...

— To świetnie — mruknął Karcen. — Mniej więcej o to właśnie chodziło. Nie musicie ciskać ostrymi rzeczami w nasze czariowe obrazy. Zapewniam was, że to nie ułatwi nam kontaktu.

— Znacie to?! — wydyszał Mikkoli, wskazując końcem miecza przelewające się sylwetki.

Nagle jasna błyskawica przecięła zieloną masę i zatoczyła krąg wokół areny. W chwilę potem dziwne postacie nabrały wyraźniejszych kształtów, a jednocześnie stały się przezroczyste, zupełnie jakby gwałtowny podmuch zerwał zieloną zasłonę, odsłaniając kryształowe pomniki.

— Wielki Karcen! Wielki Go! — pisał podniecony Al.

— Kim są pozostali? — spytał prawie spokojnie Sendilkelm i w tej samej chwili rozpoznał Anielicę Śmierci. Uśmiechała się łagodnie i, nawet w swej krystalicznej wersji, wyglądała olśniewająco.

— Dobra, nieważne kim są wszyscy i każdy z osobna — powiedział szybko Karcen. — Pogadamy sobie później, jeżeli jakieś później w ogóle nastąpi. Skoro wszyscy znają mnie i wiedzą, że należy mnie słuchać, to wicie wystarczająco dużo. I nie bójcie się. Jesteśmy czariowymi... no, powiedzmy obrazami... .

— Do rzeczy, Karcenie! — syknęła kryształowa kobieta, siedząca koło niego.

— Ano właśnie... eee... tak... Otóż wiemy, co się dzieje w Timaju. Dzięki oczom pana Chegera i dzięki mej sztuce, rzecz jasna... Możecie pokonać obcych bogów rękawicą, którą Sendilkelm przyniósł z Atrim... O, cóż widzę, Bisenna nie żyje?

— Tylko zemdłał, panie... — drżącym głosem odparła Agni, podtrzymując rękami głowę Bisenny, bezwiednie zsuwającą jej się z kolan.

— Aha... trudno... A co ty tu robisz, dziewczyno? A tam, nieważne... Eee... więc pokonacie obcych rękawicą? Ja i moi przyjaciele — tu wskazał na pozostałe postacie — możemy was przenieść do wnętrza żywej tarczy obcych. To znaczy, do wnętrza tych plujących ogniem bąbli. Będzie to proces magiczny i czariowy zarazem, zatem wielce niebezpieczny, może nawet śmiertelny. No, ale cóż, wszyscy ryzykujemy!!!

— Karcenie! — wrzasnęła ostrzegawczo kobieta obok, a pozostałe postacie poparły ją gniewnym pomrukiem.



— Eee... więc przygotujcie się do walki! Skoro Bisenna nie żyje, rękawicę założy mistrz Cheger. Nie bój się, Al, ta broń słyszy twoje myśli i zniszczy wszystko, co jej pokażesz. Cóż, szkoda, że Bisenna padł i że ty, mój Sendilkemie, połknąłeś jakiś kamień!

Tym razem kryształowa kobieta aż podniosła się z niewidzialnego siedziska.

— Karcen próbował wam powiedzieć, że nie wiemy, jak zadziała czaria w połączeniu z siłą żywej istoty, którą nosi w sobie Sendilkem. Nie wiemy również, co na to nasz zmartwychwstały bóg Czomon?

Czomon skłonił się dwornie jej, a następnie Melkonseronowi, którego rozpoznał w jednej z postaci.

— Nie obawiajcie się — odparł wysokim głosem. — Życie swoje poświęcę, by obcych bogów zniszczyć i by wielki Melkonseron znowu mógł być moim nadpanem. A żywy kamień, który ma w sobie mój Sendilkem, nie ma nic do naszych planów.

— Mój Sendilkem? — zachnęła się Anielica i posłała znaczące spojrzenie drugiej kobiecie.

— Nie mamy czasu, więc musimy ci wierzyć — ignorując ją, odparł Czomonowi Melkonseron. — Wiedz też, że nawet jeśli nie powiedzie się wasza misja, znajdę jakiś wymiar, by ci za to poświęcenie osobiście podziękować.

Czomon skłonił się przed nim głęboko i zamilkł.

— Niech wszyscy staną wokół mistrza Chegera i będą gotowi do natychmiastowej walki! — rozkazał Karcen. — Agni, odciągnij Bisennę na bok! No, niech jej ktoś pomoże! Dobrze! Posłuchajcie uważnie! Teraz znikniecie z tego miejsca, a pojawicie się wewnątrz żywej tarczy obcych! Osłaniajcie Chegera! Wszyscy jesteście wojownikami i wiecie, co robić! Odszukać i zniszczyć! Księżę, choć Al jest magiem i trudno go zabić, jeśli jednak zginie, ty założysz rękawicę!

Al, dziwnie spokojny i wyprostowany, podszedł do Bisenny, odebrał mu wężowopalczasty skarb, powoli założył i stanął u boku księcia.

— No, ruszajcie! — krzyknął Karcen. — I mam nadzieję, że się jeszcze spotkamy!

Odczekali pełną nieznośnego napięcia chwilę i nic się nie stało. Sendilkelm zmiął w ustach przekleństwo. Al, nadal z zaciśniętymi oczami, machnął zawzięcie rękawicą. Dwa z węży rozciąły na kilka części ciało kapłana z pierwszego rzędu.

Czariowy obraz Karcena i jego pomocników zadrgał, zniknął i po chwili pojawił się na nowo. Karcen nie krył irytacji.

— Czekajcie! — huknął donośnie. — Strumień czarii nie może was unieść! Jest was za dużo! Niech oddział Mikkołego odsunie się na bok. Aha, odsuniecie również Bisennę, a Agni zostaje, by go pilnować. Pozostali zaraz znikną!

— Mamy walczyć we czterech?! — wrzasnął Al.

— Nie mamy czasu, mistrzu Cheger! — odkrzyknął Karcen, a jego obraz powoli zaczął roz-  
pływać się. — Uwierz mi, że gdyby to było możliwe, urządzilibyśmy to wszystko tak, by była was  
cała armia. No dobra, do pracy, zanieście śmiertelny podarek obcym bogom! Pamiętajcie, że tylko  
rękawica jest w stanie ich zabić!!!

Al chciał jeszcze coś powiedzieć, lecz potężny podmuch ścisnął go wraz z Sendilkemem, Mik-  
kolim i Czomonem w jedno ciało. Nie mogli się poruszyć. Z braku oddechu aż posinieli na twarzach.  
Timajczycy pochowali się między kamiennymi ławami widowni. Agni, jak nieprzytomna czy nie-  
spełna rozumu, wyciągnęła rękę i złapała Sendilkelma za nadgarstek. Chyba chciała przyciągnąć  
go do siebie, lecz zamiast tego, sama przyłgnęła do zlepionych ciał czworga. Poczęli tak szybko  
krążyć wokół kwarcowej kolumny, że prerażeni żołnierze widzieli tylko wir zielonych pasm, który  
jak trąba powietrzna jął wciągać leżące na podłodze sztylety, łuki i kilku zasuszonych kapłanów  
z pierwszych rzędów. Również ciało Bisenny, sunąc po podłodze, zostało wessane z nieprzyjemnym  
młaśnięciem. Rozległ się huk i wirujące ciała znikły. Timajscy żołnierze jeszcze długo bali się poru-  
szyć. Oto pozostawiono ich w najgłębszym lochu Timaju, w komnacie bez wyjścia i w towarzystwie  
zaledwie kilkuset nieżywych kapłanów.

\* \* \*

Sendilkelm nie widział ani siebie, ani towarzyszy. Widział za to kilka kolorowych gwiazd. Zbliżyły się w niezwykłym tempie i minęły go bezszelestnie. Po chwili pojawiły się następne i następne. Wszystkie mijaly go, pędząc w jednym kierunku. Chciał którejś dotknąć, lecz nie potrafił odnaleźć ręki ani żadnego innego fragmentu swego ciała. Po chwili, a może całej wieczności, zrozumiał w nagłym olśnieniu, że to nie gwiazdy lecą, tylko on pędzi przez niekończące się konstelacje. Zachciało mu się śmiać, a nawet szaleńczo chichotać, lecz nie mógł znaleźć swych ust, by poczuć ich rozbawiony grymas, ani uszu, by usłyszeć efekt swojego nastroju. Fakt ten tylko wzmógł jego wesołość.

Wtem ujrzał nieruchomą gwiazdę. Białą, świetlistą i drżącą. Była coraz większa i większa, i taka piękna, nieskazitelnie biała, i coraz bielsza. . . Chichocząc, runął w sam jej środek.

\* \* \*

Wszystko było białe. Sendilkelm machnął ręką i złapał w garść coś mokrego i lodowatego. Z nagłą jasnością umysłu zrozumiał, że już czuje swoją dłoń, jak i całą resztę. Chciał zerwać się na nogi, lecz jakiś ciężar rozpostarł się równomiernie na jego ciele. Szarpnął się, podrywając plecy. Coś zaskrzypiało jak zbity śnieg. Śnieg! Leży pod śniegiem! Szarpnął się jeszcze raz, uwalniając rękę.

Po chwili wyciągnął głowę. Było zimno, wokół sypały białe płatki, a nad gładko ośnieżoną granią rozciągało się bezwietrzne, błękitne niebo.

— Pięknie. Białe i błękitne. Naprawdę pięknie. . . — szepnął, dziwiąc się własnym słowom.

I wtedy przypomniał sobie wszystko. Bogowie, Timaj, krypta, rękawica, Kamienna Łza i tysiące innych obrazów zasypały jego świadomość. Opuścił głowę i spróbował pozbierać myśli. Gdzie jest, co się stało? Gdzie są pozostali? Gdy już się nieco uspokoił, przywołał w myślach Kamienną Łzę. Odpowiedziało mu milczenie. Zawołał raz jeszcze. To samo. Z krzykiem zerwał się na nogi. Ośnieżona grań zachwiała mu się przed oczami. Upadł na kolana. . . a pod dłonią poczuł coś metalowego. Odgrzebał gorączkowo śnieg. Okuty but! Odkopał go, a tuż po nim skórzaną nogawkę.

— Mikkoli! — wychrypiał.

Grzebał w śniegu jak zgłodniały pies, zwęszywszy kość. Zwolnił, gdy ujrzał ślady krwi. Delikatnie odgarnął śnieg z twarzy księcia. Puls na jego szyi był szybki i mocny.

— Mikkoli, książę! — szepnął mu do ucha. — Żyjesz, czy umierasz?

Mikkoli gwałtownie podniósł się na łokciach i wbił w Sendilkelma nieprzytomne spojrzenie.

— Ccco, ccco się stało z rękawicą? Mag zwyciężył? — jęknął i rozejrzał się oszołomiony. — Bogowie, gdzie my jesteśmy?

— Nie wiem — odparł Sendilkelm. — Jesteś ranny?

— Chyba nie, a ty, panie?

— Skąd ta krew? — Sendilkelm roztarł w palcach mocno zaróżowiony śnieg.

Olśniło ich jednocześnie. Zerwali się i zaczęli kopać. Mikkoli ściągnął swój hełm i zamasyście odgarniał zmarznięte białe grudy. Krwi było coraz więcej. W końcu dokopali się do wytatuowanej pięści.

— Bisenna! — krzyknął Sendilkelm i zaczął kopać szybciej.

Dyszac głośno, wyciągnęli Fraternijczyka, położyli go na wznak, a Mikkoli przyłożył ucho do jego piersi. Bisenna żył, lecz był nieprzytomny i z nosa sączyła się mu ciemnoczerwona krew. Sendilkelm przypomniał sobie, że kiedyś to Bisenna wyciągnął jego z głębokiego dołu... Kiedy to było? I gdzie? Chyba w innym świecie...

— Niech będą przekłęci bogowie i magicy! — syknął wściekle. — Co się dzieje, gdzie my jesteśmy?!

— Spokojnie — powiedział Mikkoli i wcisnął parę ulepionych ze śniegu kulek w nozdrza Bisenny. — Zapewne zawiodła magia czy też coś tam innego waszych magów.

— Pewnie tak! — warknął rycerz i kopnął w śnieg. — Poznajesz te góry? Może wyrzuciło nas za daleko...?

Mikkoli zmrużonymi oczami przyjrzał się otaczającym ich białym szczytom.

— To nie Timaj — odparł spokojnie.

— Do wszystkich chorób! — krzyknął Sendilhelm. — Musimy odszukać Czomona i Ala. Miejmy nadzieję, że nie zgubił rękawicy!

— A nawet jeśli nie, to co? — spytał księżę jednolitym, otępiałym głosem.

— Nie wiem! Idę szukać! — warknął Sendilhelm, z niepokojem zerkając na kamienną twarz Mikkołego.

Odwrócił się wściekle i rozejrzał po okolicy. Czując w uszach huk złości, opadł na kolana i zaczął szukać jakichkolwiek śladów pod dziewiczym śniegiem. Wiedział, że prawdopodobieństwo znalezienia kogoś na tak wielkiej przestrzeni jest niewielkie, zwłaszcza, że nie ma pewności, iż ktoś pod tym śniegiem w ogóle leży. Po dłuższym czasie natknął się jednak na jakiś twardy kształt. Rozgrzebał śnieg i wyciągnął zamarznąłą na kość linę. Otrzepał ją trochę i przyjrzał się uważnie misternym splatom czerwonych i zielonych pasm. Nigdy wcześniej nie widział tak precyzyjnego, acz dziwnego rzemiosła. Szarpnął mocno, lecz koniec liny musiał być bardzo głęboko. Spojrzał za siebie. Małeńka sylwetka księcia majaczyła na ośnieżonym stoku. Poniżej leniwie płynęły obłoki, zasłaniając całkowicie świat u podnóża gór. Sendilhelm zastanowił się właśnie, czy odciąć kawałek liny i pokazać ją Mikkołemu, lecz zanim podjął decyzję, na krawędzi grani pojawiły się trzy sylwetki, z których jedna

lśniła jakoś dziwnie. Rzucił się biegiem w górę. Po chwili nie miał już wątpliwości, że to Agni, Al Cheger i Czomon.

— No wreszcie! — krzyknęła Agni. — Gdzie żeście się podziewali z księciem?

— Jak to, gdzie? A wy, co?... — Sendilkelm najwyraźniej nie wiedział, co powiedzieć. — Obudziłem się pod śniegiem, obok Mikkolego, Bisenna jest nieprzytomny... Co się właściwie stało, mistrzu Cheger?

Al miał nieszczęśliwą minę i wciąż rozglądał się dookoła. Rozmiar i ciężar boskiej rękawicy sprawiały, że ręka dyndała mu jak bezwładna, a węzowe palce, rozwinięte na kilka stóp długości, ciągnęły się za nim po śniegu.

— Nie wiem — mruknął niechętnie. — Z czarią nie ma żartów. Pewnie coś się nie udało...

— To widzę, do wszystkich chorób nagłych i śmiertelnych — mruknął Sendilkelm. — Ale dlaczego? Co znowu zepsuli Karcen i jego zgraja?!

— Może nic! Może nic nie zepsuli, mój ty panie dowódcu! — wycedził zimno Al. — Jak mogli zrobić cokolwiek, skoro nosisz w sobie jakieś żywe paskudztwo z innego świata, a nadto ciągniesz za sobą zmarłych bogów?! To ty wszystko niszczysz, nawet najdoskonalszą magię! Jeżeli ten świat zginie, ty będziesz jego grabarzem!



— Chwileczkę, mistrzu — odparł Sendilkelm. — Zdaje się, że gdyby nie ów mój wskrzeszony bóg, ani nie przedostalibyśmy się do Dogodoto, ani później do Wielkiego Timaju. To jemu zawdzięczamy fakt, że Karcen miał sposobność wypróbowania swej niedoskonałej sztuki.

— No, a ten kamień? — warknęła Agni i wystąpiła przed Chegera. — Przez twoje głupie sztuczki znaleźliśmy się — bezradnie spojrziała wokół — zupełnie nie wiadomo gdzie!

— Ten kamień uratował mi życie, głupia dziewucho — mruknął rycerz — a teraz nawet nie wiem, czy jeszcze we mnie jest. Poza tym, nie powinno cię tu być! Również Karcen sobie tego nie życzył! Powinnaś szorować podłogi w Atrim. . . a nie. . . — z wściekłości głos uwiązł mu w gardle.

— Uspokójcie swoje umysły — płynnym i kojącym głosem odezwał się Czomon. — Wybaczcie sobie nawzajem swe słowa. Sendilkelmie, szukamy cię od dwóch obrotów. Chodźmy do Mikkolego.

W milczeniu doszli do nadal nieruchomo siedzącego księcia. Czomon stanął przed nim w wy-czekującej pozie. Agni w tym czasie przyklękła przy ciężko dyszącym, nieprzytomnym Bisennie.

— Wiem, że wszystko jest bardziej niż dziwne — powiedział spokojnie Czomon — lecz naj-dziwniejsze jest to, że sam nie wiem, gdzie jesteście. To znaczy, zupełnie nie wiem. . .

— Przecież jesteś bogiem — wtrącił, nie patrząc na niego, Mikkoli.

— Mam taką nadzieję, jak również mam nadzieję, że jeszcze żyjemy. Wszystko wygląda tu zupełnie normalnie, poza tym, że na pewno nie jest to Timaj ani żadna inna kraina z naszego świata. Nawet nie wiem, gdzie jest północ. Nic w tym miejscu nie czuję, a to zdarza mi się po raz pierwszy.

— Zaczynasz mówić jak prawdziwy mag — zauważył z nutką ironii w głosie Al.

Bisenna otworzył oczy i wypłuł krwawy skrzep. Zakaszłał i usiadł, trzeźwo rozglądając się wokół.

— Bisenna, słuchaj... — zaczęła Agni — nie denerwuj się, ale nie wiemy...

— Nie wiemy, gdzie jesteśmy — dokończył Fraternijczyk, mrużąc coś jeszcze pod nosem. — Słyszałem wszystko. Po białym prochu wojny najpierw wraca słuch, potem wzrok, a dopiero po nich cała reszta. Rozumiem, że wszystko zawiodło i nikt nic nie wie. Niewiele się zatem zmieniło. Może pójdziemy w dół tego stoku i zobaczymy, co jest w dolinie. Wiecie, jeżeli żyją tu ludzie, to raczej żyją znacznie niżej...

Jeszcze przez półtora obrotu rozważali swoje położenie, aż Sendilkelem wskazał na swój obrotomierz, następnie na słońce i uświadomił wszystkim, że do zmierzchu zostało zapewne tylko sześć obrotów. Al dodał, że z jego obserwacji wynika, iż albo słońce porusza się zbyt szybko, albo obrotomierz jest zniszczony. Pomimo tej uwagi, zaczęli się zbierać. Sendilkelem pokazał im jeszcze odkopaną linę. Cheger odciął wystający kawałek, twierdząc, że na tej wysokości i tak nie jest niko-

mu potrzebna. Obracał ją w palcach, zachwycając się na głos jej skomplikowaną strukturą. Nie mógł sobie wyobrazić warsztatu, który byłby w stanie wypleść takie чудо. Zatem, w tej krainie również była magia. . .

W końcu ruszyli w dół. Szli spokojnie, każdy pogrążony w swoich myślach. Czomon był trochę zdziwiony, że wszyscy tak szybko pogodzili się z nową sytuacją i zachowywali tak normalnie, zawsze spodziewał się po ludziach całkowitego braku stabilizacji uczuć.

Weszli w chmury. Na zbrojach i broni osiadła lepka wilgoć. Włosy przylgnęły do głów. Tu skończył się śnieg, odsłaniając pokryte skalnymi odłamkami zbocze. Wiatr wyrzeźbił skraj pokrywy śniegowej w fantazyjne kolumny i sople.

Mikkoli, idący przodem, bez słowa wskazał coś pod skałą, na prawo od nich. Podeszli. Bisenna podniósł ostrożnie dziwny przedmiot. Oglądali go w milczeniu. Był podłużny i pordzewiały.

— Ciężki. . . — mruknął Bisenna. — Jakaś butla, czy co?. . . To chyba bardzo słabe żelazo, skoro ma takie grube ścianki.

— Ale szyjka zakręcona jest na jakąś śrubę. . . — wtrącił Al. — W Atrim widziałem coś podobnego w pracowni Mekcha. Trzymał w tym maślankę, chociaż twierdził, że wcześniej chciał w tym coś ścisnąć, tylko nie wyszło. . .

— Nie wygląda mi to na butlę od maślanki — rzekł Czomon. — To raczej jakiś rodzaj broni. Może pocisk. . .

— Jeżeli macie ochotę dźwigać to ze sobą, bardzo proszę — powiedziała Agni — ale ruszajmy już w dół, co? Robi się ciemno.

Bisenna, mrużąc coś pod nosem, cisnął przedmiot pod skałę i szybkim krokiem ruszyli w dół zbocza.

Góry okazały się wyższe, niż przypuszczali. Chmury otulały je grubą warstwą. Zanim zeszli poniżej nich, nastąpiła prawie zupełna ciemność. Potykali się o kamienie i ciężko dyszeli. Bisenna stwierdził, mimo znalezisk, że są na odludziu. W tym samym niemal momencie zauważyli sterczące wśród skał fragmenty kilku ścian z małymi oknami. Była to zrujnowana budowla, dawniej zapewne kilkupiętrowa, z dwoma wewnętrznymi dziedzińcami i murem otaczającym większy teren dokoła, gdzie znaleźli zasuszone, pochylone ku ziemi drzewka. Kamienne ściany poczerniały od pożaru. W jednym z mniejszych pomieszczeń, gdzie ocalała część stropu z drewnianych belek, znaleźli na wapiennym tynku poczerniałe malowidła. Al z zainteresowaniem badał pełen zawijasów i pętelek tekst, powyżej którego wymalowano wielkie, łagodnie patrzące oczy.

— Nie znam tego pisma. Widać jednak, że jest bardzo skomplikowane, zawiera co najmniej kilkaset znaków — mruknął do pozostałych. — I te oczy, jakby trochę magiczne. . .

Sendilkelm zarządził nocleg i posłał Bisennę z Mikkolim po uschnięte drzewka z dziedzińca. Agni usiadła ciężko pod ścianą i zapatrzyła się w gwiazdy w nadziei, że rozpozna jakąś konstelację. Chmury były jednak gęste i zazdrośnie strzegły nieba.

\* \* \*

Al Cheger swoim zielonym ogniem rozpałił małe ognisko, lecz zgasło po chwili. Próbował jeszcze kilka razy, lecz magiczny płomyk ulatywał w powietrze i natychmiast gasł. Cheger mruczał niezadowolony i kręcił głową, gdy Bisenna podszedł do ogniska i bez słowa rozpałił je swoim krzesiwem. Al spojrzął na niego z zaciętą miną i poszedł pod ścianę. Usiadł obok Sendilkelma i zaczął podrzucać w dłoni mały kamyk

— Nie działa — odezwał się do rycerza. — Moja magia tu nie działa... Widzisz ten kamyk, panie? Staram się zatrzymać go w powietrzu.

Sendilkelm patrzył na niego w milczeniu. Nie miał siły nawet myśleć. Jego umysł wypełniała nieskończona pustka. Jakieś niezrozumiałe mrowienie przechodziło przez jego ciało, musiał z całych sił zaciskać ręce wokół podkurczonych nóg, by nie dygotać.

— Twoja magia nigdy dobrze nie działała, mistrzu. Słaboćmagoć! — powiedział Bisenna, grzejąc dłonie przy ognisku. — Zresztą, może to i dobrze... Jesteście głodni?

Wszyscy spojrzeli na niego ze zdziwieniem. Nawet Czomon, siedzący wysoko na murze i wpa-trzony w ciemność, odwrócił głowę.

— No, nie myślcie, że mam przy sobie jakąś ucztę — uśmiechnął się krzywo Bisenna. — Mam to! — odciął złocistą kuleczkę z końca jednego z loków na karku. Rozkręcił i wysypał na dłoń zielony proszek. — Kto chce? — wysunął dłoń przed siebie.

— Znowu jakieś świństwo — Agni skrzywiła się z obrzydzenia. — Trzeba wymieszać z krwią jak to poprzednie, co łykałeś, czy jak?... — mruknęła i wzięła szczyptę w zmarznięte palce.

— Nie — odparł Fraternijczyk. — Wystarczy, że połkniesz. Zaspokaja głód na dwa, trzy dni, zależy, jak intensywnie będziemy się ruszać. Ty, książę, ty, mistrzu magii, i pan, panie Sendikelmie, też trochę weźcie. Nie mam zamiaru jutro żadnego z was nosić. Słaboćchudoćczłość!

— Dziwnie smakuje — powiedział Mikkoli, mlaskając głośno. — Dużo tego jeszcze masz?

— Tylko raz na siedem dni można wziąć chleb wojny, mój książę — odparł spokojnie Bisen-na. — To wie każdy wojownik z mego kraju. Jeżeli zjesz tego więcej, krew zageści ci się tak, że serce stanie, jakbyś je zalał smołą. Aha, i przez siedem obrotów nie możecie nic pić...

— Aha — powiedział książę i odłożył kawałek zgniecionego śniegu, którym chciał zagryźć ostry smak proszku.

— Mogłeś to powiedzieć wcześniej — jęknął Al. — Przecież to coś wypala mi trzewia.

— To tylko tak na początku. Potem będzie lepiej. A poza tym, zawsze możesz użyć magii, mistrzu. . . — mruknął Bisenna i ułożył się do snu.

W środku nocy zbudził ich Czomon, który został na straży. Wdrapali się na mur i zobaczyli daleko w dole kilka małych światełek. Dwa z nich poruszały się powoli.

— Zatem, nie jesteśmy tu sami. . . — mruknął Al.

— Jak na to wpadłeś, mistrzu? — odparł Bisenna. — Co rozkażesz, książę? Idziemy tam teraz, czy ruszymy o świcie?

— Lepiej uważajmy — rzucił Al. — To mogą być szczury ludzkie. Słyszałem, że potrafią krzesać ogień. Jeżeli jest ich więcej, nawet ty nie dasz im rady.

— Czekamy — powiedział spokojnie Mikkoli. — Oczywiście, jeżeli cała reszta również jest tego zdania. Nie wiem, czy ciągle uważacie, że ja dowodzę. . .

— Ty, ty. . . — powiedział Sendilkelem i poklepał go po ramieniu.

## 20

### Kryształowe oczy

*Albowiem wiedzieć musicie, że miejsce nie jest nigdy tylko miejscem samym w sobie, a jego cechy związane są nie tylko z czasem, co jest oczywiste, lecz również z prędkością, z jaką znajdziecie się w owym miejscu.*

*Gdy przemieszcza się tylko człęk, dotrze do celu swej wędrówki tylko w tej samej, zwykłej przestrzeni. Jeśli jednak przemieszcza się mag, to przemieszcza się on nie tylko w przestrzeni, lecz również przez strumienie magii, i dotrze on tam, gdzie zmierza, do innego miejsca od tego, które wskazuje zwykle przestrzenne przemieszczenie. Inność tego miejsca zależy głównie od splotu strumieni magicznych i prędkości, z jaką przepływać one będą przez czarię.*



*Aby zatem, uczniowie moi, zdematerializować się w jednym miejscu świata rzeczywistego, a pojawić w innym miejscu świata w ogóle, musimy przede wszystkim zrównoważyć przesunięcie przestrzenne ze splotem magicznym i prędkością czariową.*

*Jeśli tego uczynić nie zdołamy, nasza wędrówka będzie przypadkowym przemieszczaniem się w oceanie czarii. Przyznaję, że czasem może być to nawet przyjemne, ponadto każdy adept musi kilka takich wypraw przedsięwziąć dla nabrania doświadczenia.*

*Uważać jednak trzeba na jeszcze jeden, z pozoru błahy czynnik, na czas. Zawsze pamiętajcie, by zabrać ze sobą nić czasową z przestrzeni, z której znikacie, gdyż bez nici owej powrócić możecie do świata rzeczywistego zbyt wcześnie lub zbyt późno, by ktokolwiek was znał lub pamiętał. A nawiązywanie nowych znajomości jest niezwykle nużące.*

(z nauk Karcena)

Czomon obudził ich gwałtownie, ciągnąc za nogi i krzycząc, że światełka w dolinie zgasły i zbliża się świt.

Dzięki zielonemu proskowi z Fraterni nie myśleli o jedzeniu ani piciu. Tylko Al rozglądał się nerwowo i trochę marudził.

— Przez dzikie wynalazki Bisenny pewnie będziemy cierpieli na niestrawność do końca życia.

— Co, zważywszy na okoliczności, drogi mistrzu, nie musi potrwać zbyt długo — odparł spokojnie Mikkoli.

Zebrali się do drogi i ruszyli w dół zbocza, unikając otwartych przestrzeni i przemykając się pomiędzy większymi skałami. Mikkoli nakazał Ałowi, by oddał rękawicę Bisennie, gdyż tylko on ma doświadczenie w jej używaniu. Mag z wielką chęcią pozbył się smokolitowego ciężaru, choć nie poprawiło mu to humoru. Dalej mruczał pod nosem coś o dzikusach i ich proszkach.

Robiło się coraz widniej. Wierzchołki gór jaśniały w różowym blasku wschodzącego dnia. Słońce przebijało się rozproszonym światłem przez białe warstwy chmur i badało swymi delikatnymi palcami pograżone w mroku doliny.

Daleko w dole zobaczyli obozowisko i ludzi krzątających się pomiędzy srebrzystymi namiotami. Wszyscy byli niskiego wzrostu, ubrani w kolorowe kaftany, luźne opończe i dziwne kaptury. Potykałi się o kolorowe liny, mnóstwo pakunków i małe chorągiewki, wetknięte w śnieg przed namiotami. Broni przy sobie nie nosili, z wyjątkiem dwóch zarośniętych mężczyzn, uzbrojonych w dziwne, małe topory.

— Nie wyglądają groźnie — szepnęła Agni — i chyba są tam z nimi dwie kobiety. O, widzicie, coś mieszają w kociołkach.

— Z nami też jest baba, lecz czy to znaczy, że nie jesteśmy groźni? — mruknął Al, uważając, by usłyszał go tylko stojący obok Sendilkelm.

Mikkoli wskazał wysoką na dwadzieścia łokci skałę w odległości około jednego strzału z łuku od namiotów.

— Stamtąd lepiej im się przyjrzymy — stwierdził i, nisko przygięty przy ziemi, ruszył w dół.

Po chwili, leżąc na poszarpanym szczycie skały, w pozycji umożliwiającej celny strzał, obserwowali obóz.

Niscy, krzątający się w dole ludzie mówili zabawnym gardłowym językiem. Śmiali się i szturchali, oglądali mapy i przygotowywali dziwne nosidła do drogi. Nagle z namiotu wyszedł ubrany na czerwono mężczyzna. Oczy osłaniała mu przyłbica z czarnego szkła, przymocowana do głowy jedynie wąską, czarną obręczą, nie miał natomiast hełmu. W dłoni trzymał krótki oszczep z małym proporcem w kolorach zieleni, bieli i czerwieni. Wymachiwał nim i pokrzykiwał coś do swoich ludzi. Nikt nie mógł mieć wątpliwości, że jest to przywódca oddziału.

— O, mistrzowie. . . — jęknął Al. — Ten, zapewne ich mag, nie wygląda przyjaźnie. . . chociaż, oczywiście, są z nimi kobiety. . .

— Zamknij się, Al — syknęła Agni.

— Jest ich dziesięcioro. Wątpię, by ktoś jeszcze się wynurzył. Jeżeli nie chowają w tych kopulowych namiotach jakiejś broni, nie zaryzykują otwartego starcia — powiedział Sendilkelm. — Tak czy inaczej, musimy dowiedzieć się, gdzie jesteście. Jeżeli tubylcy są groźni, szybciej dajcie mi radę z tym małym oddziałem niż, powiedzmy, z mieszkańcami jakiejś osady w dolinie. Jeśli dojdzie do walki, zostawcie kogoś przy życiu... Słyszysz, Bisenna? Posiekasz ich na miazgę dopiero wtedy, gdy coś powiedzą.

Fraternijczyk w milczeniu skinął głową. Jego oczy bezustannie śledziły ruchy małych ludzi.

— Nie znamy ich magii... — mruknął Al. — Może oni wcale, podobnie jak Karcen, nie potrzebują broni.

— Ale nie wiemy, że mamy to... — wtrącił spokojnie Bisenna, nieznacznie poruszając węzłowymi palcami rękawicy. — Może jesteśmy w nieznanym kraju, ale rękawica wciąż mnie słucha... Ten fakt jest ważniejszy, niż myślimy.

Po krótkiej naradzie postanowili, że Al Cheger i Mikkoli zostaną na szczycie skały, by w razie czego dogodnie ostrzelać obóz z kuszy krzyżowych. Al przyszykował sobie szesnaste bełtów i starannie ułożył je po prawej stronie. Mikkoli w milczeniu już mierzył do pstrokatych ludzi.

Czomon, Sendilkelm i Agni ruszyli za Bisenną w dół.

Pierwsza spostrzegła ich kobieta mieszająca strawę w kociołku. Powoli wstała i uniosła rękę, jakby na powitanie, po czym na chwilę zamarła w tej pozie i zaczęła krzyczeć. Pozostali mieszkańcy obozu rzucili się bezładnie w różnych kierunkach, wrzeszcząc i wpadając na siebie. Wyraźnie nie byli szkoleni w żadnej armii. Nie potrafili znaleźć broni ani zająć obronnych pozycji. Sendilkelm nie wiedział, czy aż tak się przestraszyli nieznajomych, czy też są po prostu obłąkani. Tylko mag w czarnej, szklanej przyłbicy odważył się zagrozić Bisennie drogę i, krzycząc coś głośno, wymachiwać krótkim oszczepem z chorągiewką.

Sendilkelm stanął koło Fratarnijczyka z dwoma mieczami w dłoniach. Bokami do nich ustawili się Czomon i Agni z długim mieczem fratarnijskim, schowanym za nogą. Człowiek w przyłbicy nadal krzyczał, lecz chyba nie obawiał się ataku, gdyż zamiast zasłonić się oszczepem, machał nim w zupełnie niegroźny sposób. Pozostali ludzie nagle uspokoili się. Stanęli za dowódcą w luźnych pozach i wymieniali zdziwione, nawet trochę rozbawione spojrzenia.

— Przekłęci magowie! — mruknął Cheger i wycelował w człowieka w czarnej przyłbicy. — Chcą pokazać, że nie boją się Bisenny i Czomona! Muszą być bardzo pewni swej sztuki. Zobaczymy, czy potrafią zatrzymać bełty w locie.

— Czekaj na rozkaz! — mruknął Mikkoli i namierzył dwóch ludzi w zielono-żółtych opończach. Czomon podniósł dłoń w górę i zwrócił się do mężczyzny w czarnej przyłbicy.

— Przybyliśmy do tej krainy zza gór. Przychodzimy w pokoju, za wolą bogów waszych i naszych. Tyś jest dowódcą, panie o obliczu skrytym czarną przyłbicą? Prowadź do swego władcy, czas nagli!

Ludzie zaczęli coś mówić jeden przez drugiego. Niektórzy uśmiechali się dziwnie i wymachiwali rękoma, inni z zainteresowaniem oglądali broń i zbroje przybyszów. Czarna Przyłbica powiedział coś głośno, ze śmiechem, i uciszył swych ludzi.

— Nie wiecie, że przy powitaniach dobry obyczaj, a w Timaju nawet prawo, wymaga użycia mowy wszechplemion — powiedział Sendilkelm, dobitnie akcentując każdą głoskę.

Tubylcy widocznie nie rozumieli ani słowa, gdyż chichotali głośno i palcami pokazywali sobie Sendilkelma. Zza wodza wychyliła się mała kobieta i podeszła do Czomona. Dotknęła jego smokolitowego ramienia i powiedziała coś głośno. Odpowiedział jej ze śmiechem mężczyzna w czerwonej opończy i pobiegł do namiotu. Czarna Przyłbica podrapał się w brodę i, zrezygnowany, rozłożył dłonie. Z wielkim trudem zaczął mówić jakimś innym językiem. W końcu, wyraźnie zmieszany, przyłożył zwiniętą dłoń do oka, a drugą ręką zaczął kręcić przy swojej skroni duże koła.

— Aaa... Czinema! Czinema! Muuuwiii! Muwi! — krzyczał.

Pozostali ludzie rozmawiali swobodnie, pokazując sobie palcami fragmenty stroju i uzbrojenia Czomona i Bisenny.

— Chyba oszaleli — mruknął Sendilkelm — albo połknęli jakieś prochy Bisenny.

Fraternijczyk ze zmarszczonymi brwiami słuchał krzyczącego i kręcącego ręką człowieka.

— Ciekawe, czy on wie, że we fraternijskiej mowie, cziinnema oznacza chorobę głowy.

— On to chyba nawet pokazuje... — odparła Agni. — Oni chyba wszyscy są chorzy. Może spędzają tu swoje ostatnie dni? Ubierają się tak, by z daleka można było ich zobaczyć. Może to trędowaci albo coś w tym rodzaju i nie powinniśmy się do nich zbliżać?

— Nie wydaje mi się — powiedział Czomon. — To pewnie jakieś dzikusy i po prostu nas nie rozumieją. Na pewno nie są wyszkoleni w sztuce wojennej, to widać po chlewie, który mają w obozie. Chyba nie są groźni...

Z namiotu wyskoczył człowiek w czerwonej opończy i, unosząc nad głowę jakiś srebrzysty przedmiot, krzyknął coś do kobiety, stojącej obok Czomona. Podszedł kilka kroków i przyłożył przedmiot do oka. Zanim Czomon zdążył coś powiedzieć, przedmiot miauknął i błysnął białym, magicznym światłem.

Bisenna błyskawicznie rozwinął palce rękawicy, chwycił kobietę i unióśł wysoko. Czomon skoczył między mężczyzn i wysunął spod rękawic dwa ostrza. Agni wycelowała mieczem w drugą kobietę, a Sendilkelm jednym skokiem powalił przywódcę ludzi. Przycisnął go do ziemi okutym

butem i przyłożył koniec miecza do czarnej przyłbicy. W tym samym momencie brzęczący bełt wbił się w tajemniczy przedmiot, przewracając trzymającego go mężczyznę.

Rozległ się jęk przerażenia. Tubylcy podnieśli dłonie nad głowy. Nikt nie atakował.

Sendilkelm chwycił przywódcę za kaftan i zerwał mu z głowy przyłbicę. Zobaczył bezgranicznie przerażone oczy. . .

— Co to było, do wszystkich chorób nagłych i śmiertelnych?! — wrzasnął prosto w twarz sparaliżowanego strachem człowieka. — Nie próbujcie magii na potężniejszych od siebie! Gdzie wasz pan?! Mów!

— Niepotrzebnie się unosisz, panie — powiedziała Agni i swobodnym krokiem podeszła do trzech, skulonych pod ścianą namiotu mężczyzn. Wysunęła miecz w ich stronę i zmrużyła oczy. Zaczęli krzyczeć i błagalnie wznosić ręce. Odwróciła się gwałtownie do leżącego mężczyzny, ściskającego tajemniczy przedmiot ze sterzącym bełtem. Zaczął wycofywać się, wołając coś przeraźliwie i znacząc śnieg krwią ze zranionej ręki.

— Oni po prostu boją się nas. Jednak jesteście w innym świecie! Ten idiota Karcen zatracił jedyną szansę na zwycięstwo! — warknęła przez zaciśnięte zęby Agni.

Sendilkelm puścił czerwony kaftan przywódcy i uniósł miecz.

— Jeszcze raz się pytam, gdzie wasz pan, odmieńcy?! — krzyknął.



Człowiek zaczął jąkać się i bełkotać coś w swym narzeczu.

Bisenna, powarkując gardłowo, kilkoma ruchami miecza zagonił ludzi w jedno miejsce i posadził jednego z mężczyzn na śniegu. Na migi pokazał pozostałym, by uczynili to samo. Posłusznie usiedli, tuląc się do siebie jak przerażone szczenięta. Czomon i Agni błyskawicznie przeszukali namioty, wyrzucając na śnieg wszystko, co wydało się im dziwne lub groźne. Sendilkelm z zainteresowaniem podniósł coś, co wyglądało jak mapa i rzeczywiście, po dokładniejszym obejrzeniu, okazało się mapą, tylko niezwykle szczegółową, pełną run i zapewne magicznych symboli. Nigdy nie widział tak skomplikowanego planu terenu. Spojrzał na skulonych ludzi. Mimo swego niepozornego wyglądu, musieli być mądrzy, być może byli to nawet kapłani, którzy w odludnych górach odprawiali swe rytuały. Wskazał palcem na przywódcę i przywołał go do siebie dłonią.

Człowiek podszedł niepewnie z uniesionymi rękoma. Sendilkelm podsunął mu pod nos mapę, zatoczył ręką dookoła i znowu wskazał mapę. Mężczyzna zrozumiał. Drżącym palcem pokazał szczyt nad ich głowami, potem krzyżyk na mapie, otoczony maleńkimi runami. Popukał paznokciem w nagryzmołone obok niego kółko i wskazał namioty. Sendilkelm również zrozumiał. U dołu mapy było coś, co przypominało plan miasta, pozbawionego jednak fortyfikacji.

Czomon gwizdnął przeciągle i Mikkoli z Alem przybiegli w okamgnieniu. Kusze wciąż mieli gotowe do strzału. Al mruknął coś niezrozumiale i zaczął przeszukiwać wyrzucone z namiotów przedmioty.

— O, mistrzowie moi! — krzyknął. — Cóż to za dziwne materiały? Do wszystkich chorób, przecież tu wszystko jest magiczne. . . To, to. . . jakieś magiczne mekchanismos — gorączkowo przebie-  
rał palcami po powierzchni nieznanych przedmiotów i ważył w rękach niektóre z nich. — To dziwne, że mając takie cuda, obawiają się nas. Musieli przecież osiąść magię, żeby to wyprodukować. . .

— Al, nie baw się! — zawołał Sendilkelm. — Idziemy stąd!

— A oni? — spytał Bisenna i wskazał siedzących na śniegu ludzi. — Zabić, uszkodzić czy ogłuszyć? Zgładzić słaboćdziwnośćczłekość!

— Zostawić w spokoju! Jeżeli to rzeczywiście inny świat, lepiej nie zaczynać od mordowania. Nawet, jeśli to jacyś wygnańcy.

— A jeżeli zawiadomią kogoś, ściagną tu wojsko. . . — jęknął Al. — Można by tak. . .

— Milcz, mistrzu Cheger! Jesteśmy tu obcy, zatem los nasz i tak nie leży na czubku naszego miecza! — huknął Czomon. — Miejmy nadzieję, że świat ten jest co najmniej tak prawy, jak nasz.

\* \* \*

Zejście okazało się dłuższe, niż przypuszczali. Dzień kończył się niezwykle szybko, jakby słońce uciekało z nieba. Al kilkakrotnie upewniał się na swym inkrustowanym zielonym złotem obrotomierzu, że słońce rzeczywiście zaczęło staczać się z nieba zaledwie dziewięć obrotów po świcie. Obliczył w przybliżeniu, że widocznie świat ten musi być około dwa i pół raza mniejszy od świata, który znali. Jął dokładnie przedstawiać swoje spostrzeżenia i rachunki pozostałym, chociaż nikt go nie słuchał. Al nie zraził się i stwierdziwszy głośno, że jego odkrycie jest niezwykle ważne, jeszcze raz zagłębił się w myślowych obliczeniach.

Ich uwagę przykuły kontury miasta, wyłaniające się z mgły w dolinie. Rozrzucone dachy, kręte ulice i brak zamku czy wielkiej świątyni w centrum wskazywały, że zbudowały go plemiona prymitywne i niezorganizowane. Krzywe budynki kamienne, gdzieniegdzie pokryte tynkiem, były małe i ciasne. Nie dostrzegli ani jednego pałacu, ani jednej wieży mistrzów magii. Nic nie zdradzało obecności jakichkolwiek umocnień lub fortyfikacji. Miasto otaczały jedynie maleńkie tarasowe półki uprawne i kilkanaście kęp krzewów. Zza delikatnych ogrodzeń podwórek wychylały się liściaste drzewka. Pomiędzy szpicami, wieńczącymi niektóre dachy, rozciągnięto sznury obciążone proporcami z białego i żółtego płótna. Mniejsze chorągiewki powiewały na pniach niektórych drzew lub niewielkich masztach. Ludzie poruszali się pieszo lub na niezgrabnych, małych osłach. Byli spokoj-

ni, nigdzie się nie spieszyli. Dziadkowie o białych, rzadkich brodach siedzieli na ławeczkach przed domami lub na progach swych warsztatów, kobiety, otulone chustami i ciemnymi sukniami, niosły chrust lub gotowały jedzenie na kamiennych paleniskach pod szmacianymi daszkami. Mężczyźni pracowali na niewielkich polach lub w maleńkich warsztatach, ustawionych wprost na wąskich ulicach.

— Jakieś dzikie siedliscze — stwierdził Sendilkelm. — Ludzie jacyś dziwnie spokojni. . . Może rzeczywiście wszyscy tu na coś chorują.

Stali na potężnej płóce skalnej. W dół prowadził z niej ledwie widoczny szlak, wydeptany pomiędzy skałami i kamienistymi piargami. Przy ścieżce leżało kilka zardzewiałych podłużnych butli, takich samych, jak ta, którą widzieli wcześniej.

— Do wszystkich chorób nagłych i śmiertelnych, wszyscy wyglądają tak, jakby na coś czekali — szepnęła Agni.

— Możemy być raczej pewni, że nie na nas. . . — stwierdził Al.

— Może to osada dla wypędzonych lub niewolników, kopiających kruszce w tych górach — powiedział Mikkoli. — Straszna tu nędza. . .

— A widzisz gdzieś obóz strażników, proporce i insygnia władcy? — spytała Agni.

— Może to te wystrzępione chorągiewki? — odparł Al. — Myślę sobie, że nie ma co zwlekać. Jak widzieliście, tubylcy są niżsi o głowę nawet od Agni, nie mówiąc już o panu Czomonie i Bisenie. Nawet gdybyśmy zdobyli tutejsze łachmany, nie uda nam się wejść niepostrzeżenie do miasta. Ruszajmy w dół i spotkajmy nasze przeznaczenie. Nie mamy zbyt wielu możliwości ani... chyba... czasu na szpiegowanie. Kto wie, może od tutejszych magów dostaniemy jakąś pomoc. Wejdźmy tam z podniesionymi przyłbicami!

— Na mnie w tym względzie nie licz — powiedział spokojnie Czomon.

— Pomoc? No, jeśli się z nimi dogadasz... — mruknął Mikkoli i pierwszy ruszył w dół.

\* \* \*

Czekali spokojnie oparci o nagrzane słońcem skały i obserwowali wydłużające się cienie. Al jeszcze raz napomknął, że rosna one tutaj znacznie szybciej niż u nich, co z pewnością oznacza mniejszy rozmiar tego świata. Nikomu nie chciało się przerywać kolejnego długiego wywodu, który potem nastąpił.

Wysoko nad ich głowami niebo zaczynało ciemnieć i słońce, niemal dotykając poszarpanego horyzontu, poczerwieniało jak wielka kropla krwi. W dole, wewnątrz niskiego parkanu, otaczającego główny, ledwie widoczny plac miasta, rozpalono liczne pochodnie. Mieszkańcy schodzili się tutaj

powoli, niektórzy ciągnęli małe wózki ze swoimi kramami, a pomiędzy wszystkimi biegały gromady dzieci, wymachując kolorowymi lampionami.

Poszerzająca się ku dołowi ścieżka doprowadziła ich do brzegu pienistego potoku. Po drodze spotkali kilka małych kamieni, wykutych na kształt wieżyczek ze szpiczastymi dachami. Pokrywały je zapętlone inskrypcje, które Al zakwalifikował jako teksty modlitw. Tak podpowiadała mu intuicja magiczna. Na tej podstawie stwierdził również, że mają one dziwny podtekst, niejednoznacznie określający pozycję bogów, i kładą wielki nacisk na ludzkie samodoskonalenie się. Wszyscy zato-pieni byli w swoich myślach i nawet Czomon nie skomentował jego wywodów.

Zapadał zmierzch, kiedy weszli między małe domy. Mikkoli nakazał zachowanie ciszy. Uliczka pięła się krzywymi schodkami to w górę, to w dół. W oknach paliły się oliwne lampki i dziwne, maleńkie świece. Wszędzie było mnóstwo łopoczących na wietrze pionowych sztandarów i małych chorągiewek. Wszystkie pokrywały czarne i czerwone znaki. Al stwierdził, że to też modlitwy. Mikkoli kazał mu się zamknąć pod groźbą związania i pozostawienia samemu sobie. Skręcili kilkakrotnie, szukając jakiejś ważniejszej ulicy lub znaku, który po prostu wskazałby im cel wędrówki po tej osadzie. W ślepych zaułku natknęli się na dwie staruszki, siedzące na progu domu. Uśmiechnęły się do nich i pokiwały głowami. Jedna uniosła nad głowę złożone ręce i wymemlała bezzębnymi ustami

jakieś miauczące pozdrowienie. Wycofali się szybko i skręcili w uliczkę po przeciwnej stronie. Była pusta, lecz z jej końca dochodził gwar wielu głosów, dźwięki bębna i jakichś piszczałek.

Gdy już dochodzili do wylotu ulicy, zobaczył ich mały chłopiec. Uśmiechnął się i skłonił, składając dłonie na piersi. Minęli go w milczeniu i weszli na rozświetlony wieloma lampionami i pochodniami, kwadratowy plac.

Jego środek zajmowało kamienne podwyższenie, zasypane kolorowymi płatkami kwiatów i żółtym pyłem. Stanowiło ono scenę dla około dwudziestu tancerzy, którzy właśnie, tupiąc i kołysząc się na boki, uformowali długi szereg. Po chwili, gdy bębny przyspieszyły rytm, wąż ten ruszył gwałtownie, kreśląc na arenie ciasne spirale. Za podwyższeniem stali muzycy, grający na długich, opartych zagiętymi końcami o ziemię trąbach. Obok nich podrygiwały dwie grupy bębniarzy w czerwonych szatach.

Cały plac wypełniał tłum ludzi ubranych głównie w ogniste, purpurowe i żółte szaty. Mężczyźni mieli ogolone głowy i byli mocno wychudzeni. Kobiety w dziwnych zawojach na głowach brzęczały biżuterią z ledwie obrobionych kolorowych kamyków. Wszyscy śpiewali i śmiali się, obserwując występy. Nad gwarem górował monotony, zawodzący śpiew mężczyzn w żółtych i pomarańczowych szatach, stojących w dwóch grupach niedaleko tancerzy. Al był pewien, że śpiewają modlitwy,

które próbował odczytać po drodze z kamiennych kapliczek, postanowił jednak nie informować o swoim odkryciu reszty oddziału.

Ci, którzy zauważyli ich przybycie, uśmiechali się, może trochę dziwnie, niektórzy podnosili nad głowy złożone ręce lub przyciskali je do piersi. Kilkoro dzieci w podartych sukniach wyciągnęło do nich jakieś owoce, krzycząc coś i piszcząc.

Sendilkelm spojrział zdziwiony na Agni i Mikkolego. Nie wiedzieli, co o tym wszystkim sądzić.

— Mają tu chyba jakieś święto — Al usiłował przekrzyczeć ludzi, śpiew i bębny — ale dziwne, że się nas nie boją!..

— Patrzcie na tancerzy! — krzyknął Bisenna. — Pewnie myślą, że my również jesteśmy przebrani!

Na kolistą scenę wyskoczyli mężczyźni z wielkimi, wyszczerzonymi, bogato dekorowanymi maskami na twarzach. Rytmicznie podskakując i krzycząc, wymachiwali dziwnymi mieczami, z których zwisały kolorowe szarfy. Przerażające maski odsłaniały białe kły, wywalały czerwone jęzory i toczyły wokół krwistymi, okrągłymi oczami. Siedzące na ziemi dzieci śmiały się jednak, a gdy kołujący tancerze zbliżali się do nich, robiły przestraszone miny. Ludzie klaskali i śpiewali.

Zza orkiestry wyskoczyli nagle nowi tancerze w wielkich maskach. Ich rzeźbione, kolorowe hełmy zakończone były ozdobnymi szpikulcami i wymyślnymi koronami. Po krótkim tańcu wdali



się w stylizowaną walkę z pierwszą grupą. Bębny huczały coraz głośniejszy i szybciej. Ludzie krzyczeli z zachwytem.

Mikkoli i reszta jego oddziału stanęli bezradnie pod ścianą. Wszyscy, bardziej niż nimi, interesowali się sceną. Wtedy dostrzegli jakiegoś grubasa z ogoloną głową, zakutanego w rdzawego koloru materiał, który przepychał się ku nim przez tłum. Kiedy już mu się to udało, złapał Bisennę za rękaw i zaczął coś dobitnie tłumaczyć w swym dziwnie miauczającym języku. Był wyraźnie zdenerwowany i energicznie wymachiwał dłonią w kierunku sceny. Bisenna spojrzał na niego kamiennym wzrokiem. Nie zrobiło to na małym tłuszciochu żadnego wrażenia. Dalej krzyczał i wymachiwał ręką.

— Oni chyba chcą, żebyśmy wystąpili albo coś w tym rodzaju! — krzyknęła Agni. Do niej również dopadł, nie wiadomo skąd, ubrany z kolei na żółto, starzec i dobitnie coś tłumaczył.

— Idziemy! — rozkazał książę, widząc, że wzbudzają coraz większe zainteresowanie stojących bliżej ludzi. Z boku, przy ścianie, przepychała się ku nim jakaś drobna kobieta. Machała ręką i wykrzykiwała coś zawzięcie.

— Zaczekajcie chwilę! — powiedział Al. — Chcę zobaczyć, kto wygra na scenie...

— Może cię tam wrzucić? — syknął Bisenna i pchnął maga w kierunku uliczki.

Wbiegli w ciasny zaułek. Łysy grubas przytruchtał za nimi, ciągle coś pokrzykując i gestykulując. Mikkoli złapał go za kark i ogłuszył uderzeniem otwartej dłoni.

— Musimy znaleźć jakieś ukrycie i spokojnie pomyśleć — mruknął Sendilkelm. — Mam nadzieję, że dziś w nocy znajdziemy tu jakiś pusty dom.

Bisenna stuknęła w drzwi najbliższego domu, uchylił je powoli i wskoczył do środka cicho jak duch. Po chwili gwizdnął na pozostałych. Sendilkelm z ogłuszonym grubasem pod pachą wszedł do środka. Reszta poszła w jego ślady. Gdy Czomon, jako ostatni, wciskał się w wąski otwór, w zaułek wpadła zdyszana kobieta. Była inna niż mieszkańcy miasta. Błada i jasnowłosa.

— Nawet ładna, tylko jakaś mała — mruknął bóg.

Była ubrana w biały kaftan i obcisłe, błękitne spodnie. W dłoni trzymała mały lampion. Zaczęła szybko mówić, używając jednak innego języka niż tubylecy. Czomon postanowił ją ogłuszyć, ale zanim wygramolił się z drzwi, kobieta rzuciła wściekle ostatnie słowo, odwróciła się na pięcie i uciekła.

\* \* \*

Mickey miał dosyć dzisiejszego dnia. Bolała go głowa, hotel był śmierdzący i brudny, a na dodatek prawie wszyscy z ekipy chcieli zostać tu jak najdłużej, co według niego było stratą czasu, pieniędzy i w ogóle wszystkiego. Nie rozumiał, dlaczego normalni, jakby się wydawało, ludzie z normalnych miast, wpadali nagle w zachwyty na widok zapchlonej dziury na końcu świata. Co sprawia,

że ganiają po śmierdzących bazarach i kupują tandetne świecidełka, podczas gdy takie same mogą kupić w kilkudziesięciu sklepikach w LA?

Nie wiadomo dlaczego przypomniał mu się widok z okna jego sypialni: dachy, dachy i okna, garaże, znowu dachy i okna, anteny, druty, wentylatory, znowu garaże i w końcu błękitna wstęga oceanu. Kiedyś miał pomysł odwiedzenia i poznania wszystkich ludzi, których domy widzi z okna, by później, patrząc w okno przed zaśnięciem, wiedzieć, które światełko zapaliła jakaś tam Susan, a które jakiś tam stary Peter, które zaraz zgaśnie, bo jakiś tam mały Johnny idzie spać. Umykał mu tylko sens tego wspomnienia, tak samo, jak umknął mu sens tkwienia tutaj, na końcu świata, i zadawania się z dziwnymi ludźmi, siedzącymi z nim przy stoliku.

Dopił resztkę mętnej herbaty z glinianej czarki. Za oknem hotelowego barku rozlegały się śpiewy i odgłosy trąb. Świąteczny nastrój wypełniał całe miasteczko. Większość ekipy przepadła gdzieś pomiędzy straganami, obrzędami i świątyniami. Pstrykali tysiące zdjęć, którymi będą zamęczać znajomych do końca życia i oczywiście szukali taniego towaru do palenia lub wachania.

— Hej, Mick! — zawołał siedzący obok niego facet. — Co się tak bezmyślnie gapisz? Za dużo dziś przypaliłeś, stary. Uwierz mi, sam tak kiedyś miałem. Nie martw się, Pan może i ciebie przygarnie do serca, tak jak kiedyś przygarnął mnie.

Mickey zmusił się, by powrócić do rzeczywistości i rzucił mu krótkie, miażdżące spojrzenie, po czym po raz kolejny przejrzał plan na jutro. Agnes jak zwykle nagryzmoliła coś na małej, absurdalnie różowej kartce i ulotniła się.

— Skąd ona bierze takie brudne i paskudne karteluchy? — mruknął do Alehandra, którego Pan kiedyś przygarnął do swego serca.

Ten drobny Brazylijczyk był asystentem kierownika produkcji, co nie byłoby niczym osobliwym, gdyby kierownikiem produkcji nie była Agnes. Jej zapewne żaden stwórca nie miał ochoty przygarnąć do serca.

— Cholerna dziura... Cholerne dzikusy... — zdenerwował się Alehandro i rzucił na blat obdrapaną komórkę. — Nie działa! W Katmandu można się było chociaż gdzieś dodzwonić!

— Tu nic nie działa — dodał z nosem w papierach gruby Bazyl, żywy eksponat wymarłej kultury kalifornijskich hippisów. — Internet nie działa, komórka nie działa, ekspres do kawy nie działa, ja na Agnes nie działam i w dodatku mają tu gówniany towar.

— Mnie się tu podoba — włączył się Chester, czarny i wysoki jak marzenie fanek koszykówki. — Owszem, nic nie działa, ale nie jesteśmy w cholernym LA! Widzieliście te góry dokoła! Ja mam za oknem garaże, domy, garaże, anteny, znowu garaże i kawałek brudnego oceanu, niech to wszyscy diabli! Podoba mi się tu! Mam wrażenie, że wskoczyłem w wideotapetę!

— Zamknij się, Chester. . . — mruknął Mickey. — Co masz przeciwko garażom i klimatyzacji?

— Tobie podoba się wszystko zawsze i wszędzie. Dlatego twoje zdanie się nie liczy — dodał Alehandro i stuknął Chestera w ramię. — Byle nic nie robić i móc ukryć się przed kolejną narzeczoną, co? . . . Jak ja mam się dowiedzieć, czy te cholerne dekoracje zmieszczą się w budżecie? Nawet nie mam skąd wysłać e-maila.

— I bardzo dobrze! — odparł Chester i zachichotał. — W cholernym LA mojemu kumpłowi przez Internet spuścili powietrze z opon w rowerze. . .

— Ludzie, przecież to cholerne. . . właśnie, jak to-to się nazywa? — powiedział Mickey i potarł palcem skroń.

— Buddyzm. . . — podpowiedział Chester i przeciągnął się leniwie — albo, ten, no. . . lamizm.

— Nie to, do diabła! Ta wiocha, jak się nazywa?

— Ta wiocha nazywa się Namche Bazar, sahib — powiedział z uśmiechem kelner i postawił na stole zamówione godzinę temu danie. — Ostatnia przed Mount Everestem wiocha z hotelem dla sahibów. A Internet Café będzie otwarte jutro, sahib. Jeżeli się święto skończy. . .

— Właśnie, o co chodzi tym na ulicy? — pojednawczo spytał Bazyl i zaciągnął się pogniecionym skretem.

— My, dzicy ludzie z Azji, mamy różne święta, sahib — obraził się kelner i odszedł za bufet.

Chester odprowadził go długim, zdziwionym spojrzeniem. Mickey zapragnął, by zamiast tego kelnera obsługiwał ich sympatyczny Budda, najlepiej uśmiechnięty, albo ktoś, kto ma piersi.

— Widzieliście? — szepnął Chester. — A podobno buddyści nigdy się nie wkurzają. Pewnie nie przypalił dzisiaj. . .

— Mówiłem już wam, że znowu widziałem dziś na bazarze tych Włochów? — zmienił temat Bazyl.

— Tych filmowców? — mruknął Mickey i zgniótł w kulkę kartkę z zapiskami Agnes. — Człowiek jedzie na koniec świata, żeby znaleźć plenery, znosi to wszystko, nawet kupuje jakieś kretyńskie pamiątki, a na koniec musi spotkać inną ekipę! Rozmawiałeś z nimi?

— No co ty? — roześmiał się Bazyl. — Ja po włosku tylko pizza i amore, a ci cholerni faszyści udawali, że po angielsku nie potrafią. Latali z nowiutkim sprzętem i kręcili sobie próbne kawałki.

— Może rzeczywiście nie potrafią po angielsku — wtrącił się Chester. — Wystarczy, że znają włoski, to podobno trudny język. Kiedyś taki makaroniarz chciał u nas w firmie. . .

— Zamknij się, Chester! — mruknął zrezygnowanym głosem Mickey.

— Agnes pewnie też się wścieka, że oni tu są. Jeżeli tylko dowie się, że nakręcili plenery, na które ona miała chrapkę, zwinie obóz. Jest cholernie ambitna. To może być groźne. . .

— Zaraz, zaraz, powiedziałaś Bazyl, cholerni faszyści? — przerwał mu Chester. — Przecież faszyści to Niemcy, co nie, Al?

— Nie wiem! Co mnie to obchodzi — jęknął Alehandro. — Z Europy są, to wszystko jedno. Oni tam, rozumiesz, przez tysiąc lat bez przerwy się tłukli. Tam wszyscy to faszyści, choć może Pan przygarnie ich do swego serca.

— Dobra, nieważne. . . zejdźcie z nich — znów spróbował swego pojednawczego tonu Bazyl. — Chłopaki, najważniejsze jest, żebyśmy wytłumaczyli naszej pani, że góry to góry, wszędzie wyglądają podobnie, i nikt nie będzie porównywał pod tym kątem filmów. Do ciebie mówię, Mickey, nie daj się wciągnąć w żadne babskie dociekania! Plan jest prosty. Wybieramy plenery, kręcimy materiał, wracamy. Lejemy na Włochów i innych cholernych faszystów. . . i na ten gówniany towar.

— Dobra, dobra. . . — mruknął Chester i podniósł pokrywę garnka.

— Cholera, jak to śmierdzi! Czy ktoś to już jadł? Chcesz spróbować pierwszy, Mickey?

— Ciszej, Chester, bo kelner znowu się obrazi i rano napluje nam do kawy! — szepnął Alehandro.

Drewniane drzwiczki baru, z wykaligrafowaną mantrą do Buddy Nieustającego Miłosierdzia, huknęły o ścianę, a do środka wpadła, blada jak tutejsze bóstwo śmierci, Agnes — kierownik produkcji niskobudżetowych filmów.

— Cholera jasna, gównno, gównno, cholera, gównno, cholera!... — rzuciła się na krzesło obok Mickeya i wyjęła papierosa z paczki leżącej na stole. Wiedzieli, że nie należy jej drażnić podawaniem ognia, jednak nie wiedział o tym kelner, który usłużnie podsunął jej wypolerowaną zapalniczkę typu Ronson. Zamiast dziękuję, otrzymał lodowate spojrzenie, więc czym prędzej, oczywiście z obrażoną miną, wycofał się do baru.

Mickey, wpatrzony w usta miękko obejmujące papierosa, pomyślał, że w ogóle podawanie komuś ognia jest głupie.

— Myślę, że istotnie gównno, i cholera, i tak dalej — zaczął Alejandro. — A tak dokładniej Agnes, o co tym razem chodzi?

— Cholerni Włosi! — powiedziała trochę zbyt głośno i przy sąsiednim stoliku gwałtownie uciły rozmowy. — Nie dość, że przyjechali do tej dziury przed nami, to jeszcze mają już gotowe kostiumy! I to jakie! Cholera, jakie dobre kostiumy! Widziałam ich na głównym rynku.

— Pokazali ci sami, czy zakradłaś się do ich ekipy jako dostawca pizzy? — zagadnął Chester.

— Nie, Chester. Ci cholerni faszyci łążą w kostiumach po całym mieście.

— A tak, są z Europy — mruknął ze znawstwem Chester. — Faszyci przez tę tysiącletnią wojnę...



— Cholera, Chester, odczep się! Pomylili mi się z Niemcami, w porządku? Możemy zwijąć ekipę. Robią w naszych plenerach film o tym samym. Są lepsi, cholera, i szybsi, cholera jasna.

— Boże, Agnes, nie panikuj — spojrzaj jej w oczy Bazyl. — Przecież mamy dobry scenariusz! Co z tego, że mają jakieś tam kostiumy? Nawet jak będą kręcić w tych samych plenerach, zawsze możemy zrobić lepsze ujęcie albo nagrać widoki gór w odbiciu lustrzanym. Nikt się nie pozna, słowo.

— Człowieku, ja nie wiem, jak to się stało, ale oni kręcą film o tym samym! Rozumiesz? Albo to cholerny zbieg okoliczności, albo ktoś chce zniszczyć nasz film, zanim powstanie!

— Nie ma zbiegów okoliczności. . . — zaczął filozoficznie Chester, lecz szybko zajął się jedzeniem, gdy padł na niego wzrok szefowej.

— Spokojnie, Agnes. Skąd wiesz, że kręcą film o yeti i wojownikach? Chodzili po ulicy i wymachiwali scenariuszem? — spytał Mickey i odpalił papierosa od żaru poprzedniego, którego właśnie wykończył.

— Nie, Mick. Po prostu jeden z nich był przebrany za najgenialniejszego yeti, jakiego można sobie wymarzyć, a pozostali byli tak niesamowicie zrobieni na wojowników, jakby żywcem wyjęto ich z jakiegoś rycerskiego eposu — jęknęła Agnes. — A, jeszcze jedno! Mówiłam, że mamy słabą dziewczynę w głównej roli?!

— Tę z biustem?... — wtrącił cicho Chester.

— Taaa — mruknęła Agnes — tę z biustem. No więc, ta nasza może się schować. Owińmy ją papierem i nadajmy pocztą jak najdalej stąd! Włosi mają wcielenie, cholera, seksu! Ponadto wszyscy ich aktorzy mają ponad dwa metry wzrostu!

— Ona też? — pisnął Chester.

— Mówię, że wszyscy, cholera! Żebyście widzieli te kostiumy! Żadnej tandety, wszystko dopracowane! Wszystko z prawdziwych skór i stali, jakby używane, cholernie realne. Ja się zabiję! I ten yeti, cholera jasna, dwa i pół metra wzrostu, twarz morderczo piękna, zbroja, mięśnie, dredy do połowy pleców, jakieś dzwoneczki, amulety. Cholera, co ja bym dała za takiego specja od kostiumów. . .

— Co byś dała? — mruknął pod nosem Chester.

— Tylko spokojnie — Bazyl odchrząknął i przybrał ton doświadczonego mędrca. — Nalej sobie, kochana, tej pysznej zupki, zjedz trochę i posłuchaj. Przypomnę ci, że robimy film niskobudżetowy, klasy. . . no, powiedzmy, że nie zgarnie wszystkich Oscarów. Ma być to prosta historyjka o małpolidzie, który uprowadza młode kobiety z bajkowego księstwa w odległych górach. Zjawiają się dzielni wojownicy, załatwiają drania, jest trochę krwi, trochę seksu, a dla intelektualistów jakieś dodatkowe pobąkiwania o przepowiedniach, choć bez przesady, dlatego kapłan ginie na początku. Koniec.

Zrobiłem podobnych historyjek już ze dwadzieścia. Rozumiem twój ból, ale nie jesteśmy z cholernie wielkiej wytwórni, z cholernie wielkimi pieniędzmi. Nasz szef nie mieszka w trzykilometrowej willi, a my możemy kręcić tylko w plenerze i tekturowych dekoracjach, bo nikt nie wynajmie nam studia na więcej niż trzy godziny. To proste, pogódź się z tym i zapomnij o konkurencji. Są lepsi! I co z tego?! Chrzanić faszystów!

— Właśnie! — dodał Chester. — Jedna z tutejszych nauk mówi, że życie jest nieustannym cierpieniem i musimy to zaakceptować, wiesz?

— Cholera! Musieli tę mądrość ściągnąć z naszej strony internetowej — mruknęła Agnes i ostrożnie przełknęła pierwszą łyżkę potrawy. — Tak czy owak, musicie jutro zobaczyć ich kostiumy. Załamiecie się.

— A może zrobimy jakieś rewelacyjne zmiany w scenariuszu? Efekty specjalne są dobre dla dzieciaków. Zamiast tego możemy dodać jakieś drugie dno — zastanawiał się głośno Mickey. — Na przykład, wszyscy na końcu okazują się kimś innym albo są tylko figurkami w wielkiej grze. No, coś takiego, co się później pamięta. . . jakiś mocny koniec, na przykład, gdy bohater ma wszystkim wyjaśnić, o co chodziło, spada nagle meteoryt i wszystkich zabija. . .

— Możemy mieć gorsze kostiumy. . . — powiedziała głośno Agnes i wściekle stuknęła łyżką w stół. Zrozumieli, że zapowiada się na dłuższą reprimendę i na wszelki wypadek przybrali ka-

mienne twarze — ale nie podcinajmy sobie żył skomplikowanymi historiami! — kontynuowała, ściskając drobnymi dłońmi sztucę. Mickey trochę zapadł się w swoim krześle. — To musi być proste, Mickey. Wiesz, dlaczego na początku zawsze musi zginąć kilku pobocznych bohaterów? Bo dzisiejsi widzowie mogą prześledzić wypowiedzi i perypetie najwyżej pięciu postaci. I to z trudem. Na dodatek muszą być one maksymalnie zróżnicowane. Mały i duży, laska i Murzyn z brodą, stary grubas w garniturze i umięśniony ogrodnik. . . Jak dasz dwóch podobnych albo obu ubierzesz w garnitury, ludzie się pogubią i wyjdą z kina. A gryzipióry oplują nas i wyzwą od pseudointelektualistów. Cholera, widziałeś *Godzillę*? No właśnie! Czy to łożące gówno dało się z kimś pomylić? Nie! No właśnie, o to chodzi, Mickey! Musimy wymyślać Darthów Vederów i gladiatorów, obcych ze śliniącym się pyskiem, i żołnierzy, którzy chcą umrzeć za króla albo konstytucję. Klarowne postacie, Mickey! Żadnych komplikacji!

— Ale na przykład taka *Casablanca*. . . — wtrącił Chester.

— A pamiętasz, jak się nazywał współpracownik Bogarta albo jak miała na imię jego kobieta?

— No nie. . .

— No to się zamknij, Chester! I nie mieszajcie z Mickey’em w scenariuszu, bo nakręcę ten film sama.

— To znaczy ze starym dobrym Bazylem — dodał uspokajająco Bazyl. — Chłopcy tylko żartowali, Agnes. Wszyscy wiemy, że sprzedają się tylko proste historie. A o kostiumy się nie martw, dorobimy coś później na komputerze. Zapalimy sobie dzisiaj wszyscy, pomedytujemy... Będzie dobrze...

— Albo jeszcze lepiej... — dodał Chester.

\* \* \*

Sendilkelm skulił się pod ścianą, trzymając za bolący brzuch. Pod powiekami tańczyły mu ciemne plamy, powoli przesłaniając wszystko wokół. Twarze towarzyszy miękko wyginały się i falowały. Spróbował skupić się na pozostałych zamysłach.

On i reszta oddziału od dwóch obrotów naradzali się, co robić. Siedzieli w jakimś zagraconym schowku. Agni wyglądała na ulicę przez maleńkie okienko, podzielone rzeźbioną kratką z drewna.

— Co ci się stało, panie? — Bisenna przyklęknął przy Sendilkelmie. — Jak możemy ci pomóc? Niestety, nie mam już prochu, który zabija ból... Może to ta żywa maść ciągle krąży w twoim ciele. Kiedyś, gdy odcięto mi rękę, przez pół roku bolały mnie palce. Słabość! Słabośćmierność!

Agni i Mikkoli posłali mu miazdzące spojrzenia. Rycerz szepnął coś cicho i ścisnął mocniej brzuch. Wszyscy bezradni spojrzeli po sobie.

— Ciekawe, gdzie trafia się po śmierci w tym świecie? — mruknął spokojnie Czomon i rozejrzał się, jakby mogły mu odpowiedzieć stopy rupieci. — Nie znamy tu żadnych bogów... Ciekawe, czy ja mógłbym tu normalnie umrzeć?

— Niech to wszystkie choroby nagłe i śmiertelne! — jęknął Al. — Jesteś pewny, boże Czomonie, że to nie przez ciebie znaleźliśmy się w tym świecie? Wiesz, czaria to skomplikowana sztuka, nawet dla Karcena! Wystarczyło, byś wmieszał w to jakieś swoje boskie moce czy coś w tym rodzaju i wszystko zawiodło! Wymyśl coś, w końcu byłeś tam bogiem!

— Raczej to wy, magowie, coś sknociliście — jęknął spod ściany Sendilkelm. — To normalne... Karcen nie do końca panuje nad swoją sztuką. A Czomona zostawcie w spokoju. Jego moc skoncentrowana jest głównie na własnej materializacji... Skąd miałby mieć siłę do wmieszania się w czarię, skoro tylko ja i być może kilku Timajczyków w niego wierzymy? Lepiej spróbuj skontaktować się z Karcenem albo jego pomocnikami, zamiast zwałać wszystko na innych.

— Próbowałem, do wszystkich chorób! — krzyknął płacząco Al. — Równie dobrze mógłbym mówić do tej ściany!

— Wiecie, co w tym wszystkim jest najdziwniejsze? — wtrącił Bisenna, bawiąc się węzowymi palcami rękawicy. — To, że rękawica działa w tym świecie! Czomon nie uważa się już za boga, twoja magia, mistrzu Cheger, jest martwa, natomiast rękawica wciąż pozostaje gotowa do walki.

Wniosek nasuwa się sam. Jesteśmy w świecie, z którego ona pochodzi i być może właśnie stąd pochodzą obcy bogowie, którzy najechali na Timaj. Smrodoćbogoćśmiertność!

— Całkiem zgrabna, teoria — mruknął książę, wciąż niespokojnie przypatrując się Sendikkelmowi. — Ale wciąż pozostaje kilka pytań. Po pierwsze, kim byli pomocnicy Karcena? Po drugie, czy jesteś pewien, mistrzu Cheger, że to był właśnie Karcen? Może ktoś albo coś przerzuciło nas specjalnie przez jakąś, no, dziurę, bramę czy coś takiego, byśmy wraz z rękawicą zniknęli z Timaju. Usuwając nasz oddział, obcy bogowie pozbyli się wszystkich potencjalnych zagrożeń: odrodzonego cudownie Czomona, jedyne miejscowego boga, który pojawił się na polu walki; rękawicy, jedynej broni, której się obawiali; a wreszcie mistrza Chegera, jedyne szpiega konwentu magicznego. Teraz spokojnie włączą Timaj i być może cały nasz świat do swego imperium. Zaś my możemy spokojnie czekać na śmierć w tym świecie.

— Może masz rację, książę — mruknął Al — lecz jestem zupełnie pewien, że byli to Karcen i Wielki Go, choć, istotnie, nie rozpoznałem pozostałych postaci. Karcen był w stałym kontakcie ze mną i widział mymi oczyma wszystkie poczynania naszego oddziału. Połączył mój umysł ze swoim czymś, co my, magowie, nazywamy pępowiną myśli. Dlatego nie byłem zaskoczony pojawieniem się tego dziwnego obrazu. Zresztą, już na lądowisku, gdzie zostawiliśmy skrzydła, Karcen skontaktował się ze mną i poinformował o rychłym, następnym kontakcie. Zatem ja nie tracę nadziei. Jest

ponadto jeszcze jeden czynnik, który mógł spowodować nasze niespodziewane pojawienie się w tym świecie. Sendilkelm wspominał o jakimś kamieniu, który w sobie nosi. . . To jedna zagadka. Drugą jest ta dziwna kryształowa kolumna w sali, z której znikliśmy. Może księżę wyjaśni nam jej moc, znaczenie, pochodzenie? . .

— Niczego o niej nie wiem, podobnie ja wszyscy żyjący Timajczycy — odparł Mikkoli. — Kapłani nie są zbyt zainteresowani historią, bowiem tajemnice naszej wiary leżą w przyszłości. Słuchajcie, jesteście w obcym świecie, a naszego pewnie już nie ma! Może rzeczywiście, wyjawmy sobie wszystkie tajemnice. Potem możemy już nie mieć okazji.

— Magowie doskonale wiedzą, że wszelkie kryształy posiadają moc. . . — zaczął Al.

— Taaak, słyszeliśmy taką opowieść z ust Sendilkelma na Wieczorze Siedmiu Opowieści! — wykrzyknął Mikkoli. — I co z tego?!

— Wiadomo, kryształowe kule i tak dalej. . . — wtrąciła Agni.

— Kule są dla mydlenia oczu zakochanym, głupim paniąkom! — syknął Al. — Prawdziwą moc, którą mam na myśli, mają tylko nieoszlifowane kryształy, na przykład kwarcu, dzieci Matki-Ziemi. Ten wielki kwarc, wokół którego stanęliśmy, mógł przeszkodzić działaniu czariowego strumienia. Jeżeli to, co połknął Sendilkelm, również jest potężne. . . No tak, ale przecież nie wiemy, co on tam połknął. . .



— No, bardzo jasna wypowiedź, mistrzu Cheger — mruknął Mikkoli. — Nic dziwnego, że nasz świat ginie, skoro musi nosić magów.

Sendikelm jęknął głośno i wyprężył się w gwałtownym skurczu. Z kącika ust spłynęła mu różowa piana. Otworzył mętne od bólu oczy i wyszeptał:

— Ten kamień... Kamienna Łza... jest we mnie... wybaczenie... nie chciałem... umrzeć... połknąłem go... by ratować życie... jestem w jego... mocy... ale on... nie chce... naszej klęski... szuka czegoś w... naszym świecie.

— Nareszcie coś — mruknął książę. — Jakiej mocy? Możesz się z nim komunikować? Niech powie ci... Dowiedz się od niego wszystkiego.

Agni rzuciła mu gniewne spojrzenie i przysunęła się do Sendikelma. Delikatnie położyła jego głowę na swoim udzie i otarła mu twarz chustą.

— On mówi... możemy wrócić... do naszego świata... musimy znaleźć... drogę-bramę...

— Jaką bramę?! Jaką drogę?! Jak?! — syknął niecierpliwie Mikkoli.

— On mówi... że tak samo... jak tu przybyliśmy... musimy znaleźć... taką samą górę i... taki sam... to on jest bramą... musimy znaleźć górę... z kryształem w środku...

— Świetnie! — jęknął Al. — Pospacerujemy sobie po jaskiniach! Widzieliście te góry?!

— Może nie jest aż tak źle — odparł już spokojniej Mikkoli. — Może tubylcy, tak jak Timajczy-  
cy, już dawno odnaleźli ten kryształ. . . Najpierw przeszukamy świątynie.

— Jasne, bo przecież nikt nas nie zauważy — westchnęła Agni. — Gdy dzisiejsze święto się  
skończy, złapią nas od razu.

— I albo będzie bitwa, wrogośćmierność, albo uwierzą nam, że jesteśmy posłami z kraju z za  
górn — dopowiedział Bisenna — lub. . . wysłańcami bogów.

— Posłuchaj, Sendilkemie — powiedział spokojnie Mikkoli — mogę zrozumieć, że w Timaju  
nie wyjawiałeś nam związku z tym. . . kamieniem, ale dlaczego nie powiedziałyście nam o tym zaraz po  
przybyciu tutaj? Może znaleźlibyśmy rozwiązanie i nie ujawnialibyśmy się tubylcom.

— Wcześniej. . . wcześniej. . . Kamienna Łza się nie odzywał. . . myślałem, że nie żyje. . .  
w końcu. . . też nie jest z tego. . . świata.

— A teraz, co? Chce cię zabić? Czemu zadaje ci ból? Co mówi? — spytała Agni.

— Nie wiem. . . może jest chory. . . nie. . . zaraz. . . poczekaj. . . powiedział. . . zaraz przestanie  
mi dokuczać. . . tylko musi opanować swoje drzenie. . . on cierpi. . . prawie umarł. . .

— A skąd pewność, że w tym świecie jest taka sama góra i taki sam przeklęty kryształ? —  
burknął Al.

— Dlatego... że brama... pozostaje wciąż ta... sama... nieważne... po której stronie stoisz... — szepnął Sendilkelm. — Kamienna Łza... zna się na kryształach... on mi wszystko powiedział... mówi... usłyszał pieśń kryształowej... kolumny w Timaju...

\* \* \*

Mikkoli stanął na czatach w mrocznej sieni domostwa. Z pełnych pajęczyn kątów patrzyły na niego ślepe, drewniane oczy boskich posągów. Schowek, w którym się ukrywali, znajdował się pod schodami. Połamane meble, kawałki drewna, jakieś zrolowane materiały i stosy innych rupieci zdradzały, że miejsce to jest rzadko uczęszczane. Książę usiadł na podłodze pod powykrzywianym stołem i obserwował wejściowe drzwi. Już raz pojawił się w nich niewielki mężczyzna w czerwonej szacie. Pobiegł po schodach na górę i zaraz wrócił, taszcząc kociołek z parującym jedzeniem. Widocznie nocne święto tubylców miało jeszcze potrwać.

Od strony zaułka zaczęły docierać do niego odgłosy gwałtownej kłótni. Rozpoznał wysoki, piskliwy głos kobiecy, z trudem przerywany męskimi pomrukiwaniami. Przez szparę pod drzwiami wdarło się z sieni jaskrawe światło. Drzwi skrzypnęły, uchylając się ostrożnie. Do środka weszła niewielka, gibka postać z długimi włosami, a za nią, postępując, jej towarzysz, z rękami wciśnięty-

mi w kieszenie kaftana. Kobieta snopem ostrego światła magicznego lampionu wydobywała z mroku kształty rupieci i twarze drewnianych bóstw.

— Agnes, do jasnej cholery, nie możesz tak włązić do cudzych domów! A poza tym, nie wierzę, by makaroniarze tu mieszkali. Przecież to jakiś zapchlony śmietnik.

— Zamknij się, Mickey. Widziałam, jak tu wchodzili i było w tym coś bardzo dziwnego. Jeden z nich uderzył kapłana i wciągnął tutaj. . .

— Ha, świetnie! Zatem pani detektyw, superwoman, tropi zabójczych aktorów. Zapewne planują zająć ten kraj w imieniu europejskiej kinematografii.

— Zamknij się. . . Myślę raczej, że znaleźli tu niezły towar. Pewnie opium. . . a kapłan po prostu chciał za dużo.

— Aha, więc idziemy się z nimi naspawać? Kobieto, uciekajmy stąd, póki możemy! Wiem, że jesteś szefem i masz prawo być trochę szalona, ale zrozum wreszcie, co znaczy słowo trochę! A poza tym mówiłaś, że idziemy się tylko przejść. . .

Kobieta wyjęła coś z kieszeni i wsunęła do ust. Wyciągnęła zza bluzy magiczny, błyszczący przedmiot i podpałała dziwną pałeczkę. Mikkoli poczuł dławiący zapach i zerknął na drzwi od schowka, czy nie wyskoczy z nich zaniepokojony wonią Bisenna. Tak się nie stało, ale książe był pewien, że oko Fraternijczyka właśnie łypie na sień przez jedną z szerokich szpar.

\* \* \*

Al Cheger po raz kolejny sprawdzał, czy jego obrotomierz nie jest zepsuty. Za zakratowanym okienkiem zaczynało już jaśnieć, a od zachodu minęło dopiero siedem obrotów. Mag potarł ścianki ośmiokątnego urządzenia i w końcu z westchnieniem zdecydował się schować go do sakwy. Gdy zanurzył dłoń w mokrym wnętrzu skórzanej torby, coś zimnego delikatnie puknęło go w palce. Al wrzasnął i wyszarpnął rękę. Agni i Bisenna, pogrążeni w rozważaniu planów na wstający właśnie dzień, posłali mu zniecierpliwione spojrzenia.

— Jeżeli chcesz pozostać w tym świecie, to po prostu stąd wyjdź! — warknął Bisenna. — Wrzasnij jeszcze raz, magu nieszczęsny, a wyrzucę cię na ulicę przez to okienko! Magoćśmiertność!

— Zostaw go, Bisenna — powiedziała Agni, nie patrząc na Ala. — Sendilkelm znowu stracił przytomność. Czomonie, czy jako bóg, w którego on wierzy, nic nie możesz zrobić?...

— Słabnę z chwili na chwilę — odparł Czomon. — Zdaje mi się, że tylko dzięki smokolitowemu pancerzowi nie rozleciałem się jeszcze... Jeżeli Sendilkelm umrze, następny będę ja. Chociaż nie wiem, co w tym świecie czeka mnie po śmierci. A może umrę śmiercią prawdziwą, którą groził mi kiedyś Melkonseron?...

— Kto? — mruknęła dziewczyna.

— Melkonseron, bóg bogów... nieważne, i on nie jest z tego świata.

— Jeżeli umierać, to z nadzieją! — powiedział uroczyście Bisenna. — Gdy przyjdzie mi oddać życie, a pewnie stanie się to dzisiaj, umrę z pieśnią do Noca i Dnia na ustach, gdyż wierzę, że i z tego świata usłyszą moje wołanie. Mówię ci to ja, Bisenna Karsago Tilsenna, umieraj z nadzieją, a twój nadbóg odnajdzie cię po śmierci!

— Zaczynam żałować, że to nie ciebie wybrałem na swego wyznawcę. Chociaż, jak wszystkim bogom wiadomo, ludzie fanatycznie wierzą tylko w to, czego nie ma. . .

— Co masz na myśli? — mruknęła Agni, gładząc czoło Sendilkelma.

— Noca i Dnia. . . nieważne. . .

Al wyprostował się nagle. Poprawił strój, podciągnął pas i odgarnął mokre włosy z czoła. Podszedł uroczyście krokiem do Bisenny i wysunął przed siebie dłonie. Pobrzękiwały na nich cicho kryształowe oczy.

— Słuchajcie, one wciąż żyją — powiedział tryumfalnie i zawiesił głos, oczekując reakcji pozostałych.

— Te kryształki? — fuknęła Agni. — I co z tego?

— Co z tego?! A kto przyprowadził cię do nas, kobieto?! — zdenerwował się Al.

— Jakieś oko, no i co? — ale zamilkła, zrozumiałwszy nagle, o co chodzi magowi.

— Co z tymi oczami?! — warknął Bisenna.

— Niechaj sekrety magii i czarii niedostępne będą maluczkiemu światu tego! — uroczyście odparł Al. — Moje kryształki żyją. Nie wiem, jakim cudem, ale nie umarły w tym świecie. Czy naprawdę nie rozumiecie? Możemy je posłać na zwiady! Przeszukają dla nas całe to miasto i wszystkie świątynie...

— I zwał nam na głowę wszystkich, których spotkają, czy tylko przyprowadzą tu młode kobiety? — przerwał mu Bisenna i puknął paznokciem w jeden z kryształków.

— Wyślę je na poszukiwanie góry z kryształową kolumną w środku — nie zraził się mag, — Poruszają się szybciej niż ludzie i mogą dotrzeć wszędzie, jeśli damy im trochę czasu, przeszukają całe góry...

— Pytanie brzmi, czy zdołasz im wyjaśnić cel poszukiwań? — chłodno wtrącił Bisenna.

— I czy będziemy mieli trochę czasu? — dodała Agni.

— Pewnie, że tak — mruknął Al. — One słyszą moje myśli, a ja słyszę, co do mnie mówią.

— Jakie w takim razie miałeś myśli, gdy jedna z tych kulek znalazła mnie? — spojrzała mu w oczy Agni.

— To był przypadek, dopiero co je stworzyłem i nie miałem jeszcze doświadczenia w porozumiewaniu się z nimi. Ot, po prostu, jedno z kryształowych oczu, chcąc mi służyć, odnalazło jakieś moje marzenie czy coś w tym rodzaju i pomknęło za nim... Czy jakoś tak...

— Marzyłeś o mnie? — naciskała Agni.

— Jakby to. . . nooo, tak — powiedział cicho Al i szybko dodał — teraz jest to nieistotne. Dajcie mi chwilę, bym mógł przekazać dokładne instrukcje myślowe moim małym szpiegom, a potem wypuścimy je na ulicę.

— No nie wiem. . . — zaczął Bisenna.

— A co innego możemy zrobić?! — przerwał mu Czomon słabym głosem. — Wskoczyć z mieczami na ulicę i zabić każdego, kto się napatoczy?

— Czemu nie?. . .

— Albo wtopmy się niepostrzeżenie w tłum i nauczymy tutejszego języka — dokończył złośliwie Czomon. — Mag ma rację, poza tym, cóż mamy do stracenia?

— Na przykład życie. . . — mruknął Bisenna.

Al Cheger zamknął oczy i zaczął uspokajać umysł. Oddychał powoli, stopniowo zwalniając tempo uderzeń serca. Wewnątrz siebie ujrzał wir mistrzowskiej magii. Spróbował odszukać tak sam wir na zewnątrz ciała, tak, jak uczył go Karcen podczas pierwszej inicjacji.

Tak, w tym świecie też była czaria, tylko jakby inna, rozrzedzona i niemrawo sunąca we wszystkich kierunkach. Bez wielkich wirów i fal, właściwie to ledwie żywa, słaba i chora.



„Jakbym szukał morza, a znalazł mokrą plamę na podłodze w kuchni”, pomyślał. Tak naprawdę nie był zdziwiony, że jednak jakaś magia tu istnieje, gdyż, jak nauczali jego mistrzowie, bez czarii i magii w żadnym ze światów nie może istnieć nic żywego. W końcu udało mu się odnaleźć cienie niteczki umysłów kryształowych oczu. Powiewały w słabiutkich wirach pierwotnej magii tego świata i niespokojnie kręciły się w poszukiwaniu jakiegoś silniejszego pola magicznego. Al zaplątał swe myśli w podstawowy splot magiczny i wysłał w kierunku mizernych umysłów. Pajęczce niteczki przyłgnęły do splotu i połączyły się z nim, tworząc koronkową, przestrzenną strukturę, która uniosła się i zdecydowanie zakreśliła w wirze czarii.

Al otworzył oczy i wysypał szklane kulki przez kratkę małego okienka.

— Zrozumiały twoje rozkazy, mistrzu? — spytała Agni, wyglądając za pędzącymi w różnych kierunkach kryształkami.

— Nie tylko zrozumiały, moja pani — odparł mag. — One stały się moim rozkazami.

— Kiedy wrócą? — Bisenna również przycisnęła twarz do drewnianej kratki.

— Bardzo mądre pytanie — mruknął Czomon.

\* \* \*

Agnes siedziała przy małym, obdrapanym stoliku stojącym na nierównej posadzce rynku. Siedzący obok Mickey tępy wzrokiem przypatrywał się tańcom. Tybetańczycy najwyraźniej nie zamierzali kończyć uroczystości. Gdy tylko cichły bębny, a scena pustoszała, wyskakiwali nowi tancerze i kolejne chóry mnichów rozpoczynały swe zawrota, przy czym trudno było ocenić, czy ich występy różnią się czymkolwiek od poprzednich. Gapiów było wprawdzie mniej niż wieczorem, i nic dziwnego, przecież zaczynało świtać i ktoś musiał zadbać o sklepy, kramiki i wszelkie interesy. Niemordowane gromady dzieciaków płały się pod nogami artystów lub, kucając pod ścianami, grały w szklane kulki.

Co chwilę podchodził do nich ochoczo młody chłopak i proponował coś do jedzenia lub picia. Agnes sączyła colę z puszki, a przed Mickey'em stygł od dawna mosiężny dzbanek kawy.

— Wiesz, że tutejsze kobiety mogą rodzić nawet po pięćdziesiątce — odezwał się w końcu, odwracając głowę za spódnicą przechodzącej obok młodej Tybetanki. — Ciekawe, co na to ich dzieci? Czy mają tu dziurę pokoleniową?

— Chyba nie — odparła Agnes. — U nich przez wieki nic się nie zmieniało, to samo żarcie, religia, obyczaje... Dopiero my tu coś zmieniliśmy, kelner podaje nam colę w puszcze, szerpowie wprowadzają po swoich górskich ścieżkach naszpikowane elektroniką ekspedycje... Kiedyś pewnie

nie wiedzieli nawet, że czas płynie. Chociaż, może dalej nie wiedzą. . . Cholera, chyba chciałabym tu mieszkać. . .

— No nie wiem, musiałabyś rodzić dzieci po pięćdziesiątce i oprowadzać elektronicznych turystów.

— Nie o to chodzi. . . — mruknęła.

— Aaa, rozumiem, towar jest tu tani i obfity. . . chociaż jednak nie rozumiem. Co byś tu robiła, łąziła cały rok po górach i słuchała mantr?

— Nie, po prostu nic bym nie robiła, no, może pisała bym książkę. . .

— O boże! Jakbym słyszał Shona z naszego magazynu portowego, on z własnej woli spędził najlepsze lata życia na nicnierobieniu w komunie hippich, gdzieś w Kalifornii. Teraz staje na baczność przez każdym dupkiem, który każe mu przestawiać skrzynki, i nie wie, czy na starość będzie go stać na leczenie. Ale cały czas wspomina, jak to świetnie było nic nie robić.

— Zamknij się Mick, nie o to chodzi. . .

Mickey zamknął się i nawet w myślach zrezygnował z dociekania, o co chodzi. Zresztą, nie było warto, gdyż i tak nie miał szans zbliżyć się do Agnes tak szybko i tak blisko, jak by chciał.

Do jego buta przyturlała się szklana kulka. Patrzył na nią przez chwilę otępiełym wzrokiem, po czym jednak schylił się, by ją podnieść, i zamarł w połowie ruchu. Z brudnej posadzki wpatrywało się w niego niebieskie, kryształowe oko. Spojrzał pytająco na Agnes.

— No co, chłopaki zgubili kulkę do gry — mruknęła.

— Nie... toto patrzy na mnie! Widzisz, teraz na ciebie! Cholera, co to jest?! Żyje to czy jak?!...

— Cholera, co to?!...

Agnes zdębiała. Miała wrażenie, że świat wokół przycichł, zwolnił i stracił kontury, a jedynym jego elementem jest wpatrzone w nią zimne, szklane oko.

— Cholera, to naprawdę się na nas gapi! — wrzasnął Mick i poderwał się, wywracając krzesło.

Kryształowe oko zakręciło się wokół swej osi i pomknęło wzdłuż krawężnika w górę ulicy. Agnes pobiegła za nim kilka kroków, lecz kulka przyspieszyła, z prędkością pocisku pokonała kamienne schodki i zniknęła.

— O, w mordę, co to było?! — jęknął Mickey, podbiegając do Agnes.

— Coś dziwnego... — odparła powoli. — Albo nam obydwójgu odbija, albo Chester kupił wczoraj jakiś gówniany towar i mamy wizje...

— Ciekawe, czy włoska ekipa paliła to samo? — mruknął Mickey, wracając do krzesła. — A może nie ma żadnej włoskiej ekipy i żadnych łażących po mieście przebierańców, tylko zatrujął się jakimś świństwem. Poza tym jesteś przemęczona, wiesz, takie rzeczy się zdarzają. . .

— Zamknij się, Mick, zaczynasz bredzić jak Chester, a już chciałam ci zaproponować drinka w moim pokoju. . .

— Nic nie mówiłem, Agnes — szybko odparł Mickey i wreszcie napił się kawy, skrywając twarz za brzegiem kubka.

\* \* \*

Kryształowe oko mknęło przed siebie, rejestrując wszystko dookoła, łącznie z tym, co widziały właśnie na innych ulicach miasta pozostałe oczy. Minawszy grupę ludzi o brudnych stopach lub butach ze skóry i innych nieznanymi materiałami, zatrzymało się nagle, czując wielki wir magiczny. Przywołało wszystkich kryształowych towarzyszy do siebie. Wir zawierał bowiem odpowiedź na pytanie, które zadał im ich pan, Al Cheger.

Oko zobaczyło góry tego świata, wszystkie razem i wszystkie tak dziwnie blisko, a wokół każdej góry unosiły się dziwne runy i znaki oraz małe obrazki ludzi. . .

\* \* \*

Mały chłopiec, pilnujący kramu z pocztówkami, po raz kolejny próbował napisać z pamięci mantrę, którą zadał mu nauczyciel. Tej nocy spał jednak mało, więc na białej, utluszczonej kartce zeszytu nie pojawił się jeszcze żaden sanskrycki znak, tylko same bezwiedne gryzmoły.

Wtem na ziemi, pod straganem, coś błysnęło i chłopiec ujrzał najpiękniejszą szklaną kulkę na świecie. Podskakiwała, dzwoniąc delikatnie o kamienną posadzkę, a w powietrzu zataczała kręgi i ósemki tak szybko, że widział lśniące tory jej ruchu. W końcu zwolniła i zatrzymała się. Wyciągnął po nią drżącą rękę, lecz zamarł w połowie ruchu. Z ziemi patrzyło na niego groźne, zimne oko.

Wrzasnął i uciekł kilka schodków wyżej. W tym samym momencie zobaczył kilkanaście równie pięknych kulek, skaczących wysoko wokół jego straganu. Straciły rozkładaną pocztówkę z panoramą szczytów widzianych z Namche Bazar. Ułożyły się w dwa szeregi i poniosły ją w dół ulicy.

Chłopak doznał olśnienia. Jego stary nauczyciel miał rację. Świat jest iluzją i nie warto zawracać sobie głowy jego materialną strukturą. . .

\* \* \*

Sień wypełniła się bladym, niebieskawym światłem. Mikkoli ścierpł już z bezruchu. Postanowił wstać i zajrzeć do schowka pod schodami. Ostrożnie odchylił szmatę zwisającą ze stołu, pod któ-

rym siedział, i rozejrzał się po pustej sieni. Nic, tylko cisza i wirujący w powietrzu kurz. Delikatnie rozprostował nogi i podszedł do niewielkiego okienka w drzwiach. Przytknął twarz do chłodnej, wilgotnej kratki. W zaułku uliczki było pusto, tylko jakieś śmieci kołowały w kącie, ożywiane podmuchami wiatru.

Nagle coś stuknęło w drzwi. Książę nie zdążył odskoczyć i drewniane skrzydło z hukiem odbiło się od jego napierśnika i twarzy. Cofnął się i wyciągnął miecz. Do sieni wtoczyły się trzy błyszczące kulki, a za nimi jakiś kolorowy obrazek. Cały orszak podjechał do drzwi schowka. Mikkoli, nadal wpatrzony w drzwi, w których spodziewał się zaraz ujrzeć jakiegoś miejscowego maga, spróbował odgonić je końcem miecza. Jedna z kulek wskoczyła na klingę i potoczyła się do jego dłoni, wskoczyła na kaftan i zatrzymała się dopiero na jego ramieniu. Mikkoli znieruchomiał. Ze skórzanego naramiennika patrzyło na niego groźnie kryształowe oko.

Drzwi składzika uchylły się powoli i wyjrzał zza nich Al Cheger.

— O, moje maleństwa już wróciły — pisnął wyraźnie zadowolony. — Ty łobuzie, złaż natychmiast z księcia! Książę wybacz! No, co tam niesiecie dla tatusia? . . .

# 21

## Jakiś człowiek

*Najważniejszą rzeczą w sztuce magicznej jest tworzenie splotów własnej magii w ten sposób, by mogły łączyć się z wirami magii pierwotnej i płynąć w pożądanym kierunku przez ocean czarii. Splot magiczny będzie mistrzowski tylko wtedy, gdy po jego zniknięciu magia pierwotna pozostanie nienaruszona, a i w czarii pierwotnej zawirowań żadnych on nie stworzy.*

*Trudna to sztuka i dostępna tylko mistrzom najwyższym, tak swą magię uprawiać, by po sobie żadnych śladów nie pozostawić! Wiedzieć musicie, uczniowie moi, że gdy ślady po waszej magii zostaną, ktoś inny może to wykorzystać, dotrzeć do was i sztuce waszej zaszkodzić. Może mag od was sprytniejszy czar lustrzany sporządzić, który ślad po waszej magii w oceanie czarii wytropi. Wtedy*



*to każde wasze magiczne działanie albo wniwecz się obróci, albo, co gorsza, w swe przeciwieństwo, co niechybnie może się waszą śmiercią skończyć. Albowiem w żadnym z zaświatów nie ma niczego gorszego niż czar, który przeciw swemu twórcy się obróci.*

*Tedy śladów nijakich po sobie nie zostawiajcie, by wróg wasz po nich jak po ścieżce do was nie trafił i nie zemścił się na was. Jakiej to zemsty może ktoś szukać i kimże wróg wasz być może, pytacie? Otóż wiedzcie, uczniowie moi, że im większą biegłość w sztuce magicznej osiągniecie, tym więcej wrogów podążać za wami będzie. Taka jest kolej rzeczy świata tego i wszystkich innych.*

(z nauk Karcena)

Al Cheger i Bisenna, klęcząc na podłodze, wpatrywali się w zadziwiająco realny obraz gór. Agni podtrzymywała głowę nieprzytomnego Sendilkelma. W kącie, na stosie rupieci, nieruchomo leżała smokolitowa zbroja. Nie było możliwości sprawdzenia, czy Czomon jeszcze żyje i czy w ogóle jeszcze jest w jej wnętrzu.

— Rzeczywiście, wielkim jesteście magiem, mistrzu Cheger — powiedział Bisenna. — A twoi szpiedzy równie przenikliwi, jak ty sam! Magoćwstrętność!

— Zostaw go, Bisenna — jęknęła Agni. — Może te obrazki coś znaczą? Al, powiedz, po co one to przyniosły?

— Pewnie jest w tym coś magicznego — mruknął mag. — Sami zobaczcie, jak doskonale są te góry namalowane... chociaż... to może więcej niż malunek, coś jakby magia... Kryształowe oczy miały odszukać najbardziej magiczne, najpotężniejsze miejsce tego świata... górę z kolumną kryształu w środku...

— To wiemy — mruknął Bisenna. — Lepiej przyznaj, że twoje sztuczki znowu zawiodły i możemy zaufać jedynie ostrzom naszych mieczy! Stalocśmiertność!

— Niekoniecznie... — wtrącił milcząco do tej pory Mikkoli. — Te wizerunki gór muszą coś znaczyć... — przykucnął i zbliżył twarz do obrazków. — Widzicie? Z bliska widać, że są zrobione z tysięcy kolorowych kropeczek. Czyż nie jest to jedna z waszych magicznych nauk, mistrzu Cheger, że wszystko składa się z niezliczonych, niezmiernie małych kuleczek?

— No, można by tak powiedzieć, z niezmiernie małych wirów magii pierwotnej. Tak właśnie... .

— Właśnie! Jak widać, mistrz tworzący te obrazki, chciał pokazać ich magiczną strukturę!

— No i co z tego? — prychnął Bisenna. — Zbroja mojego ojca była wykonana z miliona dwustu tysięcy blaszek połączonych podwójną liczbą nitów w trzy pasujące do siebie warstwy i zapewniam cię, że nie było w niej nic magicznego...

— Nie o to chodzi! — syknął Al. — Mikkoli ma rację, podobnie jak moje kryształki, które przyniosły tutaj to dziwo.

— Książę — wtrąciła rzeczowym tonem Agni — już chyba rozumiem, o co chodziło kryształowym oczom Chegera. One po prostu przyniosły wizerunki gór, abyśmy wybrali tę jedną właściwą. Ty najlepiej znasz Timaj. Jeżeli mamy odnaleźć górę z kryształem w środku, musi być ona podobna do góry z kryształem z Timaju. Wskaż zatem szczyt, który wydaje ci się znajomy.

— To nie do końca jest takie proste, moja pani — szepnął Mikkoli. — Nasi przodkowie zbudowali przecież na tej górze stolicę księstwa Dogodoto, rozumiesz pani? Wykuli w niej nasze miasto, nikt dziś nie pamięta, bo i nie może, jej pierwotnego kształtu.

— Świetnie! — syknął Bisenna. — Od początku wiedziałem, że wasz plan nie ma sensu. Marujemy tylko czas! Magowie nawet tu muszą mieszać wam w głowach! Kryształki, obrazki, same głupoty!

— Poczekajcie... — szepnął Cheger, próbując zrobić przebiegłą minę. — Wiem, co zrobimy. Zatem, panie Bisenno, poczekaj jeszcze chwilę, powściągnij swój słuszny gniew, a potem będziesz mógł pozabijać tylu ludzi, ilu zechcesz, zaczynając ode mnie.

— Dobrze, to brzmi rozsądnie. Magoćwstrętność!

— Zatem — Al przybrał uroczysty ton — czy jesteś książę zupełnie czystej krwi?

— Za takie pytanie w Timaju musiałbym skrócić tve życie, magu, gdyż narusza moje horenhoj, ale ze względu na okoliczności daruję ci i odpowiem. Tak, mój ród jest czysty i nieskalany obcą krwią. Moi przodkowie założyli Wielki Timaj i. . .

— Dobrze, dobrze — przerwał mu Al. — Zatem, jeśli pozwolisz, połączę na chwilę swój umysł z twoim i odnajdę w nim pożądaną przez nas informację.

— Czyli co? — spytała Agni i przewróciła oczami, jakby zaraz miała zemdleć.

— Niepotrzebnie go słuchacie! — prychnął Bisenna. — Mag oszalał!

— Czyli widok, którego świadkami byli przodkowie Mikkolego, gdy weszli w serce Timaju i wybrali górę idealną do przeróbki na stolicę.

— Nie słuchaj tego magika, książę! Magośćmierność! Stań u mego boku i ruszajmy! Jeśli będzie trzeba, utopimy ten kraj we krwi. Mamy rękawicę, która rozerwie naszych wrogów na strzępy! Wydusimy, co trzeba, z jeńców i odnajdziemy górę. . .

— Zamknij się wreszcie, głupku! — syknęła Agni. — Pomyśl czasem, zanim się odezwiesz, i pamiętaj, nie ty jesteś naszym dowódcą. Książę jest nieskończenie mądrzejszy od ciebie. Pomyśl dzikusie, że jeżeli mamy bojową rękawicę, która działa w tym świecie i jeżeli podejrzewamy, iż działa ona, gdyż pochodzi właśnie stąd, to. . .

— To możemy wygrać każdą bitwę! Wrogoćdławić!

— Nie, jeżeli ktoś jeszcze ma tutaj taką rękawicę, a nawet kilka!!! — wrzasnęła Agni.

— Nieważne — mruknął Mikkoli. — Męstwo Bisenny możemy wykorzystać później, gdy już zawiodą inne metody. Opanuj swój gniew, pani, i ty, Bisenno, pozwólcie, by mistrz Cheger dokończył to, co rozpoczął. Zatem, mistrzu, co chcesz zrobić z moim umysłem?

— To proste — Al odchrząknął i wskazał na skroń księcia. — Twoje życie nie jest tylko twoim i twoja pamięć nie jest tylko twoją pamięcią. Wszak jesteś również życiem swego ojca, jego ojca i tak dalej, a twoja pamięć przechowuje pamięć życia twych przodków. . .

— Jakoś nie zauważyłem tego — przerwał mu lekko oszołomiony Mikkoli.

— To oczywiste, gdyż, by dotrzeć do wspomnień swych przodków, trzeba najpierw znaleźć w swym umyśle drzwi, które do nich prowadzą, a to umieją tylko magowie. Choć czasami, muszę przyznać, wspomnienia naszych ojców są tak blisko powierzchni świadomości, że widzimy je w snach.

— To prawda. . . — mruknęła Agni, uśmiechając się do swych myśli.

— A zatem — ciągnął Al — postaraj się rozluźnić, książę, zamknij oczy i oddychaj powoli, koncentrując się na uderzeniach swego serca, a gdy pod powiekami zobaczysz moją pomniejszoną postać, nie sprzeciwiaj się jej obecności, tylko pozwól, by zagłębiła się w twym wnętrzu.

— I nie zapomnij się najpierw zapytać, czy po tym wszystkim będziesz jeszcze normalny. Magośmiertność! — mruknął Bisenna i wyszedł, by stanąć na czatach w sieni.

Al Cheger zamknął oczy i poszukał wejścia do umysłu księcia. Aby ten proces ułatwić, posadził Mikkolego z czołem opartym o swoje. Umysł księcia rozpostarł się przed nim w formie rozjaśnionego błękitnym światłem górskiego krajobrazu. Mag ruszył w głąb, szukając skarba pamięci. Mijał wzniosłe szczyty książęcego horenhoj, łagodne potoki jego myśli, spokojne jeziora uczuć i wodospady uniesień. Nie spieszył się, wiedząc, że czas tu nie istnieje. Usiadł nad szmaragdowym jeziorem i zapatrzył się w niebo, po którym sunęły obłoki wewnętrznej równowagi i szacunku. W końcu postanowił zdrzemnąć się chwilę w rozkosznie ciepłym spokoju książęcego umysłu.

Obudził się wypoczęty i przepełniony szczęściem. Uśmiechnął się do otaczającej go harmonii form i kolorów, potem jednak westchnął, ukłuty lekką zazdrością, i ruszył przed siebie, ku najbliższej przełęczy. Za trawiastym siodłem górskim zobaczył wyrastający z dna doliny warowny zamek. Od razu rozpoznał w nim cel swej podróży. Widocznie książę pokładał wielką ufność w działaniu Ala, gdyż po drodze nie natknął się nawet na myślowych strażników.

Wszedł do zamku i od razu odnalazł długi hol, zakończony spiralnymi schodami do chłodnych podziemi. Zbiegł tam szybko, ledwie dotykając stopni. Tu spoczywali przodkowie Mikkolego. Setki milczących posągów, wykutych w gładkim, czarnym kamieniu, patrzyły na maga z głębi swych

pionowych nisz. Gdy przechodził obok nich, otwierały oczy i zaczynały szeptać o swym życiu. Mag próbował sobie przypomnieć, przed czym ostrzegał go Karcen podczas nauki podróŜowania po ludzkich umysłach. Na pewno było jakieś ostrzeŜenie dotyczące pamięci własnej i innych, z pewnością coś o przenikaniu i łączeniu, Cheger nie mógł sobie jednak przypomnieć, o co dokładnie chodziło. Nieustające szepty mijanych posągów dodatkowo utrudniały koncentrację. Al zaczynał powoli tracić równowagę. Jał kręcić się niepewnie, co chwilę zapominając i przypominając sobie, po co tu w ogóle przybył.

Minał postacie dziadów, pradziadów i, zrezygnowany, zatrzymał się przy jednym z przodków, pytając, kto rozkazał budowę Wielkiego Timaju. Jego własny głos rozbrzmiał jakby z bardzo daleka, jak echo odległego echa.

— Loszokomon, Loszokomon, Loszokomon — odpowiedział mu szept.

— Loszokomon, Loszokomon — powtarzał do siebie oszołomiony Al, smakując brzmienie tego słowa. Nagle przypomniał sobie, co ono znaczy i zebrał siły do krzyku.

— Loszokomonie, panie wzniosły, objaw się mi, który cię woła! — wrzasnął w głąb korytarza.

Jeden z daleko stojących posągów rozjaśnił się blado. Al podbiegł do niego, mijając szepczące szeregi. Padając i podnosząc się co chwilę, doczołgał się do delikatnie promieniującego posągu. Ob-

jął jego cokół i uniósł głowę. Nie widział dobrze kamiennej twarzy posągu, gdyż ze swojej pozycji mógł zobaczyć tylko jego bujną brodę.

— Panie jasny, panie wielki, królu Loszokomonie, niech twoje horenhoj żyje wiecznie! — zaczęła śpiewnie Al. — Pomóż księciu Mikkolemu, swemu potomkowi, i wyjaw, jak wyglądał Timaj, gdy przybyła do niego twoja prześwieatna armia. Jak wyglądała góra, którą wybraliście na swą stolicę?

Loszokomon otworzył oczy, wychylił się nieco z niszy i spokojnie spojrział na sięgającą mu do kolan postać.

— Kimże jesteś, ty, który tu wchodzisz? Wszak widzę, że nie moje życie w tobie płynie.

— To prawda, o wielki panie! — Al starał się nie piszczeć. — Zezwolił mi tu wejść pan swych wspomnień, księżę Mikkoli, twój prześwieatny potomek.

— Jak daleki potomek?

— Jakieś sto dwadzieścia pokoleń po tobie, o jasny królu!

— A sam nie mógł tu przyjść? Ja do pamięci swego ojca i dziada sięgałem bardzo często. Rozmawiałem z nimi, wpadałem w dni ich urodzin i ważniejsze święta. . .

— Wolał mnie, sługę swego wierneho, tu przysłać.

— Ooo?



— To nie z braku szacunku, o wielki i jasny panie! Mikkoli z bogami ważne sprawy omawia, a mnie przysłał, bym prosił cię o pomoc, o obraz Timaju, który zapadł w twojej pamięci.

— Poczekaj chwilę, słuگو mego potomka — szepnął posąg trochę głośniejszym i groźniejszym głosem. — Wierzę ci, gdyż nikt z mego rodu nie byłby tak głupi, by wpuszczać do swej pamięci wroga czy też, niech bogowie chronią, maga! Nie jesteś magiem, prawda?!

— Nawet nie wiem, jasny panie, czymże byli owi magowie, gdyż w czasach szlachetnego Mikkolego dawno już ich nie ma, a ja jedynie jego wiernym słuگą jestem.

— Dziwne to, ale wierzę ci, gdyż widzę, że za twoją tutaj obecnością musi stać książece przyzwolenie. Jednakże wielkie muszą być twoje zdolności, skoro dostałeś się tutaj. Czy i twój ród posiada horenhoj?

— Nie tak wielkie jak horenhoj Mikkolego, ale posiadam i swoje. Wiedz, o jasny królu, że imienia swego zdradzić ci nie mogę, gdyż przysięgę na moje horenhoj złożyłem.

— Aaa, zagadki! Świetnie, świetnie, jak wiesz, w tym miejscu czas nie istnieje, więc możemy do woli, nawet po wieczność, rozmawiać sobie i zabawiać się zagadkami.

— O wielki i jasny panie! Wielka jest twoja mądrość, lecz racz wziąć pod uwagę, że ja jeszcze do świata żywych należę i mimo że umysł mój w tym miejscu czasu nie odczuwa, to ciało moje zemrzeć może, gdy zbyt długo pozostanę w twojej gościnie.

— A racja, racja, słuگو mego potomka. Niech i tak będzie. Zapominam, że jeszcze są jacyś żywi. Wiesz, my tu wszyscy jak jeden mąż wciąż jesteśmy martwi, che, che. Chociaż nie! Jest jeden taki, który umarł dwa razy, jego posąg zniknął i pojawił się znowu, to była dopiero uciecha!

— Tak, to wielce interesujące, o jasny panie, lecz nie wiem, czy uszy moje mają wystarczająco wysokie horenhoj, by tego wszystkiego słuchać. Wszak jedynie sługą twego potomka pozostaję.

— No, dobrze, zatem czego chcesz?

— Panie, ośmielam się prosić o ten obraz Timaju.

— Aaa, zaraz... zaraz sobie przypomnę... — posąg zamknął oczy i znieruchomiał.

Al usiadł przed nim i spokojnie czekał. Czuł, że powoli topnieje i rozpuszcza się w gęstej atmosferze podziemia, a to nieprzyjemne wrażenie wzmagały jeszcze ukradkowe spojrzenia niezliczonych kamiennych postaci. Chociaż czas tu nie istniał, doszedł do wniosku, że trwa to już zbyt długo i delikatnie popukał w stopę Loszokomona.

— Jestem Loszokomon, jasny, wzniosły pan Timaju — mruknął posąg i spojrzał zdziwiony na maga. — Czego chcesz?

— To ja, sługa twego potomka, pamiętasz, jasny panie?

— Nooo pamiętam, pamiętam. Ech, ci żywi! Zawsze tacy roztargnieni, zawsze w biegu i po co to wszystko? Żeby szybciej umrzeć, he? Co tu jeszcze robisz? Wspomnienie, o które prosiłeś, czeka

na ciebie na zewnątrz. Ile razy trzeba powtarzać, by zrozumieli?! Ci żywi! To przez nich upadały wszystkie królestwa! Gdyby pozwolili rządzić zmarłym. . .

— Dzięki ci, jasny panie.

— A, jeszcze jedno, sługo mego potomka. Z jakim bogiem rozmawia teraz książę Mikkoli, ten, który nie miał czasu pogwarzyć sobie ze swym przodkiem, że nie wspomnę o moich urodzinach?

— Z Czomonem, jasny panie.

— A to dobrze, dobrze, to rozsądny bóg. A ty idź już stąd i nie przeszkadzaj nam. Mamy tu z królami wiele wspomnień do wspominania. . . — Loszokomon zamknął oczy i znieruchomiał.

Al wycofał się pędem z mrocznego korytarza. Wybiegł z zamku i przeleciał nad wierzchołkami gór. Jedna z nich mocno jaśniała błękitem. Popatrzył na nią przez chwilę i pognał dalej, gdyż krajobraz kurczył się i zawężał, pozostawiając coraz węższe przejście. . . Po chwili stał jako mała figurka pod powiekami Mikkolego.

— Książę, wychodzę z twego umysłu. Pozostawiam ci pod powiekami obraz Timaju zapamiętany przez twego przodka Loszokomona. Zwróć uwagę na świecąca górę!

Al wyprostował się i spojrział na siedzącego przed nim Mikkolego, który spał, cicho posapując. Potrząsnął jego ramieniem. Książę zerwał się na równe nogi i zatoczył dokoła nieprzytomnym wzrokiem.

— O bogowie, co mu zrobiłeś? — jęknęła Agni.

Al odgonił ją ręką jak muchę.

— Książę! Książę, co widzisz?! — zawołał.

— Górę, jasną górę o ośnieżonym szczycie! Jest piękna. . . Tu założymy naszą stolicę ku wiecznej chwale Timaju. Ja Loszokomon i moje wojska osiadziemy tu na wieczność. . .

Mikkoli zataczał się jak pijany i obijał o sprzęty. Agni chwyciła go za dłoń i próbowała zajrzeć w obłąkańczo rozbiegane oczy. Al podniósł z podłogi rozkładany obraz gór i podetknął pod książęcy nos.

— Która to góra, jasny panie, wskaż ją nam! — krzyknął. — Która góra jest święta i ma kryształ w środku?!

Mikkoli uspokoił się nagle i wbił wzrok w obrazek. Bezdzwicznie poruszając ustami, wskazał na jeden z ośnieżonych szczytów.

— Jesteś pewien, panie? — pisnęła Agni.

— Kim jest ta ladacznica, która śmie się do mnie odzywać?! — krzyknął Mikkoli i zemdlony padł na podłogę.

— Dlaczego ladacznica? — fuknęła Agni.

W tej samej chwili do schowka wpadł Bisenna. Przez otwarte drzwi dostrzegli trzy lub cztery ciała, rzucone pod ścianą na bezładną kupę.

— Kończcie zabawy! — zawołał Fraternijczyk. — Właśnie ogłuszyłem czterech miejscowych! Wrogołamazabić! Pewnie zaraz przyleżą następni. Musimy być gotowi do walki! Magu, co zrobiłeś księciu?! Magoćwstrętność!

— Nic, po prostu zemdłał — mruknął Al i zza Bisenny wyjrzał do sieni. — Może i przyda się twoja waleczność, drogi dzikusie. Mikkoli wskazał górę, której szukamy. Proponuję natychmiast zwiewać z tego miasta, póki się jeszcze całkiem nie rozwidniło.

— Zaraz, a oni? — Agni wskazała na nieruchomą zbroję Czomona i zemdlonych Sendilkelma i Mikkolego.

— Nie doceniasz, o pani, Bisenny — odparł Al — ani siebie samej. . .

\* \* \*

Al ostrożnie wyszedł na podwórko. Wypuścił z sakiewki kryształowe oczy. Miały wybrać najkrótszą drogę do wskazanej przez księcia góry. Oczy z brzękiem potoczyły się i znikły w poprzecznych uliczkach. Po chwili jedno z nich wróciło i zakreśliło się wokół nogi Ala.

— Aha, mamy przewodnika — zadowolony mag machnął do sieni na pozostałych.

Ruszyli za pędzącym kryształkiem. Pierwszy biegł Al, uzbrojony w miecz i bojową rękawicę, za nim ciężko sapała Agni, przygnieciona ciężarem Sendilkelma, który bezwładnie zwisał jej z ramienia. Ostatni człapał Bisenna z Mikkolim i smokolitową zbroją, w której, być może, był jeszcze Czomon.

Minęli kilka przecznic, wspięli się dwa piętra wyżej i pokonali dwie drewniane bramy zaśmiecanych podwórek. W trzeciej bramie Bisenna utknął. Cofnął się parę kroków i natarł raz jeszcze, uderzając w jej ramię smokolitowym pancerzem. Brama zawaliła się wraz z fragmentem muru. Bisenna kopniakami odsunął większe kamienie i z zadowoloną miną dogonił towarzyszy. Al rzucił mu miążdzące spojrzenie. W następnej ulicy natknęli się na grupkę ludzi zajętą wykładaniem towarów na swoje nędzne straganiki. Minęli ich bez słowa. Usłyszeli za sobą jakieś szepty, lecz nikt ich nie gonił.

Dochodzili do granic osady i u wylotu uliczki widzieli już rozpościerający się w dali górski krajobraz, gdy nagle z bocznego zaułka wyszła obejmująca się para ludzi. Byli trochę lepiej odżywieni od tubylców i inaczej ubrani. Młoda kobieta odskoczyła od swego towarzysza i jednym skokiem zastąpiła Alowi drogę. Zaczęła coś dobitnie tłumaczyć i wymachiwać rękami. Mag spojrział na nią i na Agni, która przemykając się pod ścianą, zaszła ją od tyłu. Kobieta wyraźnie chciała coś ważnego powiedzieć, zaś towarzyszący jej mężczyzna stał nieruchomo i niepewnym wzrokiem

obserwował Bisennę. Al wysunął miecz przed siebie i uniósł powoli. Poskutkowało. Kobieta zamilkła i z niedowierzaniem obserwowała zbliżającą się do jej gardła klingę. Agni również wyciągnęła miecz i skierowała ku mężczyźnie.

— Nie zabijajmy ich, może nie narobią wrzasku i nie będą za nami szli — mruknął Al.

— Lepiej przetrnijmy im kolana i ramiona — syknął Fratarnijczyk — albo powieki. . .

— Al ma rację — powiedziała Agni. — Nie mamy powodu ich zabijać. W końcu to nie nasz świat — uśmiechnęła się lekko i szybkim ruchem nacięła mężczyźnie policzek.

Natychmiast też Al czubkiem klingi dziobnął kobietę w ramię, niegroźnie rozcinając skórę. Ludzie zrozumieli ostrzeżenie. Przerażeni runęli biegiem w dół uliczki.

Al, Agni i Bisenna zbiegli ku strumieniowi w kamienistej dolinie. Na jego drugim brzegu widzieli niewyraźną ścieżkę, która, wijąc się wysoko w górę, ginęła nagle pomiędzy poszarpanymi skałami. Słońce znad strzępiastych chmur rozjaśniało różową luną ośnieżone szczyty. Zdawało się, że wyrastają one wprost z szarej grani niższego łańcucha gór, piętrzącego się uskokowo, prawie pionowymi ścianami, po drugiej stronie strumienia.

Al pierwszy dobiegł do strumienia i dopiero wtedy obejrzał się za siebie. Agni i Bisenna przeskakiwali przez kamienie zadziwiająco szybko, biorąc pod uwagę ich obciążenie. Nikt ich nie gonił. Widocznie mieszkańcy nie byli dobrze zorganizowani, a może obawiali się bezpośredniego starcia.

Spojrzał na leniwe smużki dymu z kominów i poszarpane, łopoczące na wietrze chorągiewki z wypisanymi modlitwami. Zrobiło mu się trochę smutno, że muszą tak szybko wracać do swego świata. Tutejszego właściwie w ogóle nie zdążył poznać, a nagle wydał mu się dziwnie przyjemny i pociągający. Mimo wielkiej biedy, jaką widzieli, miasteczko tchnęło spokojem, a może po prostu szczęściem. Mali ludzie mieszkali tu sobie, odprawiali niegroźne rytuały i nigdzie nie było widać wojska, rycerzy strażników, siedzib władców, jakby nikt nimi nie rządził i nie musiał przed niczym bronić.

— Przeklęty świat, przeklęte dzikusy! — to Bisenna, potykając się o kamienie, dobiegł do strumienia. Zrzucił smokolitową zbroję na ziemię, a obok delikatnie położył postępującego Mikkolego. Kucnął w strumieniu i zanurzył w nim głowę. Kilka kroków dalej Agni położyła Sendilkelma na kamieniach i na czworakach próbowała złapać oddech. Al podał jej w dłoniach trochę wody.

Bisenna usiadł w strumieniu i zadarł głowę.

— Który to szczyt?... Do wszystkich chorób nagłych i śmiertelnych! Czy ja zawsze muszę kogoś taszczyć pod górę?!

— Zapewne to właśnie w tym celu dobrzy bogowie Noc i Dzień, obdarzyli cię taką ilością mięśni — mruknął Al i jeszcze raz przyjrzał się składanemu obrazkowi. Szczyt wskazany przez



księcia wznosił się wysoko ponad strzępy chmur, za niższym łańcuchem górskim, wyrastającym tuż przed nimi. Al pokazał go Bisennie.

— Ile może potrwać marsz na szczyt? — spytał.

Bisenna skrzywił się i popatrzył na nieprzytomnych Mikkolego i Sendilkelma.

— Armii fraternijskiej zajęłoby to jakieś dwanaście, czternaście obrotów, ale nam co najmniej dwa razy tyle. O ile oczywiście magowie i kobiety dotrzymają mi kroku.

— Kobiety dotrzymają kroku! — wydyszała Agni. — Niech się armia fraternijska nie boi. A tak przy okazji, nie masz jakiegoś proszku? Przydałby się jakiś... na ból i w ogóle...

— Nie mam — mruknął Bisenna. — Może mistrz Cheger poleci nam coś ze swej magii, by szybciej tam dotrzeć?

— Mistrz Cheger może podzielić się z wami swoją mądrością, która podpowiada mu, że musimy już iść — powiedział Al i zaczął przeprowadzać się przez strumień.

Ruszyli w górę szarozielonego masywu. Bisenna z zaciśniętymi ustami bezustannie pomrukiwał. Agni wspierała się na mieczu i mozolnie stawiała kolejne kroki. Wiedziała, że jeszcze chwila, jeszcze jeden oddech i padnie pod ciężarem nieprzytomnego Sendilkelma.

Nagle rycerz poruszył się niespokojnie i stęknął. Agni oparła się ręką o skałę i powoli zsunęła go ze swoich pleców. Sendilkelm otworzył oczy.

— W końcu. . . — jęknęła. — Żyjesz panie? Jak tam twój kamienny przyjaciel?

— Nie wiem jeszcze. . . dokładnie. . . — wychrypiał rycerz. — Chyba ma się trochę lepiej, bo przestał drzeć. Leży spokojnie na dnie mego żołądka, ale milczy. O, bogowie, gdzie mnie taszczysz, kobieto?

Uniósł głowę i zobaczył stojących na półce skalnej, jakieś sto stóp wyżej, machających do niego Ala z Bisenną.

— Idziemy do góry-bramy — powiedziała Agni. — Mikkoli ją rozpoznał.

— W jaki sposób?

— No, magiczny chyba. . . Al mu pomagał.

— To raczej nie możemy być pewni, że idziemy w dobrym kierunku — mruknął Sendilkelm i jeszcze raz popatrzył pod światło na sylwetki Ala i Bisenny. — A gdzie właściwie jest Mikkoli?

— Jest nieprzytomny, chyba magia mu zaszkodziła.

— Nie tylko jemu — jęknął rycerz.

— O co ci chodzi, panie? Nie chcesz iść na ten szczyt, czy może w ogóle nie chcesz wracać do naszego świata? — Agni naburmuszyła się i usiadła na skale.

— To dobre pytanie, Agni. Jeżeli czas płynie w naszym świecie tak samo szybko, jak tu, pewnie nie mamy po co wracać, gdyż cały Timaj jest w rękach obcych bogów. Jeżeli się tam pojawimy,

niechybnie zginiemy. A kto wie, czy nie zajęli już innych miejsc, na przykład Atrim? Skoro nie pojawili się żadni bogowie, by nas bronić, a magowie z Atrim mogli polegać jedynie na nas i naszej rękawicy, to...

— Czego zatem chcesz, panie, zostać tutaj? — przerwała mu Agni.

— Nie wiem — mruknął Sendilkelm i rozejrzał się wokół. — Całkiem przyjemny świat i ludzie jacyś tacy, no... mało wojowniczy. Ciekawe jak wyglądają inne miejsca?

— Niech to choroby wszystkie! I to ciebie Rarattrin mianował wodzem swych wojsk! — syknęła Agni.

Sendilkelm puścił do niej oko i uśmiechnął się krzywo.

— Mówię przecież, że nie mielibyśmy wielkich szans, gdyby czas płynął dokładnie tak samo w naszym i tym świecie...

— A nie jest tak?!

— Nie.

— Skąd wiesz?

— Kamienna Łza, to znaczy ten kamień w moim żołądku, powiedział, że gdy odnajdziemy górę-bramę, pojawimy się w naszym świecie w tym samym momencie, w którym zniknęliśmy.

— I co nam to da?

— Dużo, jeżeli Karcen i jego przyjaciele zdołają nas jednak przesunąć do wnętrza korabia obcych bogów. Pamiętasz, taki był plan.

— Zaczynam się zastanawiać, co by było, gdybym postanowiła tu zostać — jęknęła Agni. — Wy wracajcie, załatwiajcie swoje sprawy, bitwy i plany, mam was dosyć.

— Może to i dobry pomysł, moja delikatna Agni — powiedział Sendikelm i popatrzył wysoko w górę — ale wtedy nigdy byś się nie dowiedziała, jak nam poszło.

— Ooo, zamknij się, Sendil! I ruszajmy już...

\* \* \*

Wspinali się już trzy obroty. Doszli do postrzępionej grani niższego łańcucha górskiego i ruszyli nią na zachód, w kierunku góry-bramy. Spokojny słoneczny dzień przemienił się nagle w wyjącego wiatrem potwora, ciskającego im w twarze lodowaty deszcz i śnieg. Widoczność była niewielka, a jaśniejący w śnieżnej bieli szczyt, do którego zmierzali, stał się teraz ciemną, posępną ścianą, zawieszoną złowrogo pomiędzy skłębionymi chmurami.

— Zupełnie jak w domu — jęknął Mikkoli i szarpnął Bisennę za rękaw.

Fraternijczyk powoli postawił go na skale i przyjrzał mu się uważnie.

— Udawałeś, książę, by posiedzieć sobie na moim grzbiecie, czy rzeczywiście osłabiły cię sztuczki naszego magika?

Mikkoli spojrział przeciągle na przemokniętego Ala.

— Nie wiem, mistrzu, co zrobiłeś z moim umysłem, ale ciągle słyszę szepty swoich przodków. Teraz już trochę ucichły, ale jeszcze przed chwilą były tak głośne, że nie mogłem odzyskać władzy nad ciałem, choć słyszałem również wszystko, co między sobą mówiliście.

— Mówiłem, żebyś nie ufał magowi? Magoć. . . — Bisenna westchnął i ze śmiechem klepnął go w ramię. — Teraz przynajmniej wiemy, gdzie iść. Aha, możesz mi pomóc nieść zbroję. Podejrzewamy, że Czomon jest jeszcze w środku, skoro sama się nie otworzyła.

— Idziemy! — pogonił ich Sendilkelm. — Korzystajmy z burzy, to może nikt nas nie wytropi!

— Wątpię, by ludzie z tego świata odważyli się w taką pogodę wystawić nosy za drzwi! — stwierdził Bisenna, przekrzykując wycie wiatru. — Chuderlawe pokurcze, nawet Cheger jest przy nich mocarzem.

— A ta pierwsza grupa, którą spotkaliśmy wczoraj? — spytała Agni. — Przecież byli na podobnej wysokości, więc jakoś radzą sobie w tych górach.

— Sądzisz zatem, że jeszcze kogoś dzisiaj spotkamy? — uśmiechnął się krzywo Bisenna.

\* \* \*

Minęły kolejne trzy obroty i dzień miał się ku końcowi. Burza przycichła i tylko kolumny śniegu tańczyły na lekkim wietrze. Zaczęli już wspinać się na białą ścianę góry, pozostawiając ten obcy świat i jego wszystkie tajemnice w dole, pod pokrywą szarych chmur. Nikt nie miał ochoty na rozmowę. Każdy rozumiał, że wszelkie dociekania co do ich rzeczywistego położenia i celu wędrówki spiętrzą kolejne wątpliwości.

Sendilkelm myślał o śmierci. Bliska czy daleka, była dla niego równie przerażająca w swej obcości, bez bogów, bez niebios, za to ze wściekłą Anielicą Śmierci w roli głównej. Czomona? Był bogiem, i to prawdziwym, lecz od czasu pojawienia się w tym świecie jego boska obecność w umyśle Sendilkelma szybko słabła. Czy po śmierci spotka Czomona? Czy bóg, w którego tylko on wierzy, i to coraz mniej, może mieć swoje niebiosy? Przez jego zmęczoną świadomość przemknęło uczucie zazdrości... Tak! Zazdrościł Bisennie, że potrafi tak bezgranicznie wierzyć w swych bogów, w panów swego życia po drugiej stronie wszystkich światów. Z drugiej strony jednak, jakże tragiczna jest wiara w bogów, których nie ma i nigdy nie było. Uczucie zazdrości zniknęło, a w jej miejsce powrócił smutek.

Dotarli na pochyłą, szeroką na tysiąc kroków półkę skalną. Tu góra wysuwała spod zbitego śniegu swoje ostre granie jak czarne, gigantyczne pazury. Prężyła się niczym pancerna bestia z wysoko

wyciągniętym, rogatym łbem. Zadarli głowy. Gdzieś tam, za zasłonami śniegu i wiatrów, była brama do ich świata.

— Nie zdążymy dojść do szczytu przed zachodem słońca — stwierdził Mikkoli. — Nie wiem, czy możemy ryzykować wspinaczkę w ciemnościach. Nawet nie widać końca tej góry.

— Trochę tu chłodno — mruknęła Agni. — Chcecie zbudować schron ze śniegu i przenocować?

— Skoro Sendilkelm twierdzi, że czas w naszym świecie dla nas stanął, to nie musimy się tak bardzo śpieszyć — powiedział Mikkoli. — Lepiej odpoczniemy przed jutrzejszym dniem, dniem śmierci, bądź dniem najważniejszej w naszym życiu walki, choć ten również może się okazać śmiertelny.

— Nie mnie decydować — mruknął Bisenna — Powiem tylko, że gdyby tu była jedynie fraternijska armia, doszlibyśmy na szczyt w trzy obroty.

— Gdyby tu była tylko fraternijska armia, do śmierci nie znalazłaby właściwej góry! — syknęła Agni.

Sendilkelm i burczący pod nosem Bisenna zaczęli mieczami wycinać bryły ze zbitego śniegu. Agni i Mikkoli układali je w zagłębieniu terenu w półokrągłe ściany. Al tymczasem ostrożnie badał smokolitową zbroję i starał się znaleźć jakąś szczelinę, by zajrzeć do środka. Misternie wykute blachy były chłodne, a nie lodowate, jak przystało na smokolit. Cheger podejrzewał, że Czomon

właśnie umiera, wydzielając ciepło, lub już umarł, a wewnątrz zbroi rozgrzewa resztkę jego boskiej magii. Chciał to zbadać. Już widział zdziwione i zazdrosne oblicze Karcena, gdy będzie mu o tym opowiadał. Wolał więc nie dzielić się swymi dociekaniem z resztą i jeszcze raz spróbował sztyltem podważyć łączenia hełmu. Ostrze po raz kolejny ześlizgnęło się po smokolicie, krzesząc drobne iskry. Zrezygnowany mag kucnął i spojrzął w dół, na przykrywające świat czarne chmury. Przelewały się po sobie i piętrzyły, jakby chciały dorównać potężne gór. Rozzłoszczone i agresywne, wyciskały spod swych popękanych brzuchów jasne pioruny. Żałował, że nie ma tu z nimi Karcena, ten na pewno znalazłby o wiele więcej odpowiedzi na pytania, które stawiał im ten świat. No i oczywiście, doceniłby przebiegłość działań swego ucznia.

Nagle na stoku, kilkaset stóp od nich, zapaliło się żółtawe światełko. Al podbiegł szybko do Bisenny i Sendikelma. Po krótkiej naradzie postanowili sprawdzić, kto nocuje w ich sąsiedztwie. Doszli tam w niecałe pół obrotu.

Pomiędzy wystającymi z lodowca dwoma skałami znaleźli mały, czerwony namiot, rozświetlony od środka jakąś lampą. Dziwna, kopułowa konstrukcja podtrzymywana była kilkoma odciągami i wyraźnie widocznym, miękko kształtnym szkieletem. Światło rzucało na ścianę namiotu jakieś cienie, ale nie dostrzegli żadnego ruchu wewnątrz. Nad wejściem szaleńczo łopotała kolorowa chorągiewka i kilka mniejszych, wystrzępionych proporców.



— Trzeba przyznać, że tutejsi ludzie znają się na budowie namiotów. Wspaniała konstrukcja — pochwalił Al.

— A ja myślę, że trzeba odwiedzić sąsiadów — mruknął cicho Bisenna.

— I zobaczyć, co mają na kolację — dodała Agni.

Sendilkelm, Mikkoli i Al powstrzymali się od wydawania opinii i ruszyli za skradającą się przy ziemi parą. Agni stanęła przed szczelnie zamkniętym wejściem do namiotu i końcem miecza energicznie zastukała w jego ściankę. Nic, żadnej odpowiedzi, żadnego ruchu. Bisenna obszedł namiot i jeszcze raz, tym razem mocniej, stuknął w jego ścianę.

— Nikogo nie ma, czy co? — wzruszyła ramionami Agni, przykucnęła przy ścianie i zaczęła szukać wiązań trzymających klapę wejściową.

— Ktoś musi być w środku, przecież światło nie rozpałiło się samo — rzeczowo wtrącił Mikkoli.

Agni, zniecierpliwiona daremnym szukaniem wiązań, pchnęła w ścianę ostrzem miecza. Odczekali chwilę i gdy nadal nic się nie poruszyło, Bisenna, z krótkim sztyletem w zębach, wskoczył do namiotu przez wyciętą dziurę.

— W środku jest tylko zamrożony nieboszczyk — powiedział, wynurzając się po chwili. — Ale jest też chyba coś do żarcia i całkiem przytulne legowisko.

Z trudem wcisnęli się do środka. Mężczyzna musiał już nie żyć od dłuższego czasu, gdyż jego ciało było białe i sztywne jak lód. Al przeszukał kieszenie i sakwy jego krzykliwego kaftana, po czym wynieśli go na zewnątrz i przetrząsnęli zawartość namiotu. Znaleźli dwa posłania w formie wymyślnych worków, pachnący wędzonką, zapewne jadalny proszek w torebkach, jakieś książki i mapy, oraz wiele przedmiotów, których ani nie potrafili nazwać, ani określić ich przeznaczenia. Natomiast przeznaczenie zwojów lin, haków i długich toporków było aż nazbyt jasne — człowiek zamierzał zdobyć ten sam szczyt, co oni.

— Po co, do ciężkich chorób, pchał się tutaj? — mruknął Al, przeglądając zagadkowe przedmioty, wygrzebane z kieszeni zmarłego. — Ci ludzie nie dość, że są mali i słabi, to jeszcze, jak widać, zupełnie bez rozumu. Po co taszczą na szczyt te wszystkie rupiecie? Po co w ogóle tu leżą?

— Może po to samo, co my — odparł Sendikelm. — Może szukają bramy do naszego świata.

— A może tu każda góra jest bramą do innego świata? — dodała Agni, obracając w palcach jakiś metalowy, podłużny przedmiot z wysuwającym drucikiem i małym, kryształowym okienkiem.

— A zatem są to zapewne tacy, no... magowie tego świata — stwierdził Mikkoli. — Idą w niedostępne góry i szukają innych światów. Śmiałkowie nie zważający na kruchość swych ciał. Muszą być pełni odwagi... Zaczynam ich trochę lubić.

— Ale po co im ta cała odwaga i te wszystkie cuda, skoro i tak zamarzają tuż pod szczytem? Słaboćchudoścześnieć! — mruknął z przekąsem Bisenna, smakując proszek z torebki.

— Tego się pewnie nigdy nie dowiemy — westchnął Al i jeszcze raz zabrał się za oglądanie dziwnej lampy, połączonej z czymś w rodzaju stalowej butli. — Ta magiczna lampa naprawdę musiała się sama zapalić. . .

— Pewnie chciała, żebyś z nią pogadał — Bisenna zagrzebał się w workowatym pościeliu. — Dzisiaj ja nie pełnię warty i mam nadzieję, że nikt nie ma nic przeciwko temu. . . Aha, zakopcie człowieka. Nie godzi się, by jego ciało spoczywało pod gołym niebem Noca, gdy my będziemy spać w jego namiocie.

\* \* \*

Wstali dwa obroty przed świtem. Bisenna narzekał, że się nie wyspał, a czeka go dzisiaj wielka walka i zapewne śmierć. Reszta w milczeniu szykowała się do drogi.

Mikkoli uważnie przyjrzał się szaro-białemu wierzchołkowi góry. Jasne niebo i spokojnie płynące w dolinach białe chmury były dla niego przyjemną niespodzianką po wczorajszej burzy. Książę kochał góry i czuł, że mógłby pokochać również te tutejsze, chociaż były niższe i mniej groźne od Timajów.

— Słuchajcie! — krzyknął do pozostałych. — Niczego pewnego nie wiemy ani o swym położeniu, ani o przyszłości, ani o tym, jak i naszym świecie. Może dawno już go nie ma. . . albo jest, lecz zginiemy, gdy do niego wrócimy. Sami wybraliście mnie na dowódcę, więc czuję się w obowiązku zapytać, czy może ktoś z was chce pozostać w tym świecie?! Jeśli tak, niech teraz odejdzie, a moje horenhoj niech pozostanie czyste jak kryształ!

— Myślę sobie, że nie jest to gest zbyt mądry, chociaż szlachetny i tego, no. . . horenhoj. . . — zaczął Al. Po raz kolejny badał smokolitową zbroję i nawet nie odwrócił głowy w kierunku księcia.

— A ja myślę, że to dobrze świadczy o tobie, panie — weszła mu w słowo Agni. — I dzięki ci za to, gdyż lepiej umierać z własnego wyboru niż z przymusu.

— Myślę sobie, że to głupie gadanie — syknął Al i poderwał się gwałtownie. — Przybyło nas tu sześcioro, jeżeli nie liczyć żywego kamienia! Nie macie pojęcia o czarii!

— Ty też, mistrzu! — wtrącił dotychczas milczący Sendilkelm.

— No to co? Jednak moja wiedza naprzeciw waszej jest jak ta góra naprzeciw śnieżnej mogiły tego ludzika! Jeżeli przybyliśmy tu w szóstkę, musimy odejść w szóstkę! To oczywiste! Przecież wiry czarii są takie same, w tym samym miejscu, to coś jakby. . . no, nieważne. . . Czaria jest, powiedzmy, siłą, a my materią, na którą ona oddziałuje. Jeżeli będzie nas mniej, nie wiadomo, gdzie wylądujemy!

— O ile ten wierzchołek góry jest bramą, której szukamy — mruknął pod nosem Bisenna.

— Chyba ten świat zmaćcił jednak twój umysł, magu nieszczęsny — powiedział Sendilkelm i podszedł do leżącej w parującym śniegu smokolitowej zbroi. — Czomon, mój bóg, nie przemawia do mnie! Obawiam się, że nie żyje, jeżeli w ogóle coś takiego może się bogowi przytrafić. Nie będę mówić o swoim smutku, bo go nie zrozumiecie, niewierni. . . Jeśli jednak on nie żyje, to choćbyś na głowie stawał, mistrzu Cheger, jest nas o jednego mniej. . . Nie wiem również, czy Kamienna Łza jeszcze żyje. . .

Al popatrzył na niego ponuro. Agni usiadła i zaczęła spokojnie rozczesywać włosy, zapatrzona w szczyt góry.

— Co zatem proponujesz? — spokojnie odparł ksiązę.

— Mówiłem wam! Wszystkie nieszczęścia spadły na nas przez magów nędznych! Magoćwstrętność! — krzyknął nagle Bisenna. — I teraz nawet nie wiadomo, czy warto nam ginąć! Nigdziebądź-ginąć! Pewnie wylądujemy w jeszcze innym i jeszcze gorszym od tego świecie!

— Tak może się zdarzyć — odrzekł Al. — Może się też zdarzyć, że zamiast magów spotkamy tam kogoś znacznie gorszego.

— Posłuchajcie samych siebie, wielcy panowie — odezwała się spokojnie Agni. — Domysły, dociekania, teorie. . . Ja idę! Mogę iść sama! Oddajcie mi magiczną rękawicę i jakiś miecz, a sami

siedźcie tu sobie do końca dowolnie wybranego przez was świata. Po co radzić się rozumu, gdy jest on zmałowany i niepewny? Gdybyście nie byli tchórzami i zajrzeli do swych serc, to znaleźlibyście odpowiedź. . .

— No, no, nasza mała chce coś powiedzieć — wtrącił Bisenna.

Agni rzuciła w niego sztyletem. Chybiła o trzy stopy.

— Nie przerywaj damie, dzikusie! — wrzasnęła. — Gdybyście mieli odrobinę intuicji, wiedzielibyście, że musimy wracać! Oddawaj mi tę rękawicę, dzikusie! Idę na wojnę!

— Ssspokojnie Agniresso! — powiedział nieco niepewnie Al. — Myślę sobie, że idziemy z tobą wszyscy. . .

\* \* \*

Początkowo wspinaczka była łatwa, gdyż mogli opierać się o szarą skałę, jednak jakieś tysiąc stóp nad półką z namiotem stanęli przed prawie pionową, lodową ścianą. Al Cheger natychmiast zaczął narzekać, że w namiocie zostały jeszcze liny i jakieś haki i że mogli zabrać je wszystkie. Bisenna bez słowa wyminął stojącą najwyżej Agni i wyciągnął z nosidła rękawicę. Mikkoli i Sen-dilkelm wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Fraternalny przystąpił do żłobienia w lodowej

ścianie pionowego korytarza z wygodnymi stopniami. Pięć stalowych węży młóciło lód tak szybko, że nikt nie mógł nadążyć za nimi wzrokiem.

Po niespełna dwubrotowym marszu lodowymi schodami, wszyscy ścisnęli się na niewielkiej płóce tuż pod szczytem. Poniżej, w krystalicznym powietrzu leniwie sunęły ławice białych chmur. Przeciskały się między pojedynczymi szczytami i łańcuchami górskimi. Osiadały ciężkimi brzuchami na wystrzępionych graniach.

— Nawet tu ładnie — szepnął Mikkoli — chociaż góry jakieś takie małe. . . I gdzie ta kryształowa kolumna?

— Przecież mówiłem wam, że ten świat jest mniej więcej dwa razy mniejszy od naszego — powiedział z wyrzutem Al — ale nigdy nie potraficie uszanować mej sztuki. A gdzie kolumna, to powinienesz wiedzieć ty lub twoi pokrętni przodkowie.

— Nie zaczynajcie znowu — jęknął Bisenna. — Pewnie jest na wierzchołku, tylko śnieg ją przysypał. . .

Bisenna ścierał wolną ręką szron z twarzy i rękojeści miecza. Agni próbowała wytrzepać z włosów wczepione kawałki lodu. I jakoś nikt nie rzucał hasła do ostatecznego wymarszu na szczyt.

— Zimniej tu w górach — mruknął Al. — Nic dziwnego, że ci mali ludzie zamarzają.

— Słuchajcie, musimy się jeszcze naradzić — rzeczowym tonem zaczął Sendilkelm. — Musimy pamiętać, że zaraz po drugiej stronie, jeżeli uda nam się przejść, czeka nas bitwa z wrogiem, którego siły nie znamy. W zasadzie znajdujemy się w takiej sytuacji, że nie możemy ułożyć szczegółowego planu walki. Musimy się zdać na nasz wojenny instynkt. Niech Agni trzyma się mnie i księcia Mikkolego, Al ma walczyć u boku Bisenny. Miejmy nadzieję, że obcy bogowie czują się bezpieczni wewnątrz swojej spienionej tarczy, nie spodziewają się nas i nie są uzbrojeni w takie same ręce. . . Może Czomon, mój bóg, ocknie się i nas wesprze. Modłę się o to, choć nie słyszę jego odpowiedzi. . .

— Patrzcie! Lina! — przerwał mu Al i szarpnął mocno znaleźisko, a ponieważ nawet nie drgnęło, począł odgrzebywać je ze śniegu.

— Czekaj magu! — zawołał Bisenna i młóćąc śnieg dwoma wężowymi palcami, uwolnił z lodowego uścisku duży kawał czerwonej liny.

Przeszli jej śladem parę kroków w górę i znaleźli zasypane cienką warstwą śniegu ciało.

— O bogowie! — krzyknął Al. — Człowiek! Zamarzł niedaleko od szczytu.

— Pewnie zaskoczyła go wczorajsza burza i nie mógł odnaleźć drogi — mruknął Bisenna.

— Jak to? Tak trudno znaleźć drogę na dół? — skrzywił się Sendilkelm.

Agni przewróciła trupa na plecy. Był siny, z brodą całą w soplach.



— Dawno umarł? — spytał Mikkoli, przekrzykując nagły podmuch wiatru.

Sendilkelm zerwał z twarzy mężczyzny ciemnoniebieską, szklaną przyłbicę i wcisnął dwa palce pod zapięcie kaftana na szyi. Wyczuł słaby, zanikający puls.

— On jeszcze żyje. . .

— Ooo, bogowie, jednak jakaś wasza ręka prowadzi nas w tym świecie! — krzyknął Bisenna i podniósł w górę znalezionego człowieka.

— Cooo? — skrzywił się Al.

— Ja to cooo, magu nieszczęsny, to twoja teoria! Skoro mamy o jednego członka oddziału mniej, weźmiemy go ze sobą! — wydarł się Bisenna.

Al Cheger zacisnął pięści i niezdarnie skoczył na głowę Bisenny.

— Niech cię wszystkie choroby! — wrzasnął i zaczął okładać go pięściami. — Nic nie rozumiesz! Nie możemy go zabrać, gdyż jest z tego świata! Może i Czomon z Kamienną Łżą nie żyją, ale skąd ci przyszło do głowy, że ten człowieczek zrównoważy ich brak! Magię zostaw mnie! Dzikusie!

— Zaraz! — zawołała Agni. — Czy możesz się uspokoić, mistrzu?! Mistrzu! W zasadzie w ogóle nic nie wiemy! Może ty masz rację, a może Bisenna! Szkoda czasu, proponuję głosowanie, kto jest za wzięciem małego człowieka?

— O bogowie, to przecież głupie! Mikkoli jest dowódcą, niech decyduje! — krzyknął Al.

— Głosujmy — spokojnie powiedział Mikkoli.

— Książę, tak nie można! Głupiosłabobaboć! — zachnął się Bisenna. — Wypełnimy każdy twój na pewno mądry rozkaz! Jesteśmy twoim oddziałem! Musisz rozkazywać, a my słuchać!

— Zatem rozkazuję wam głosować! — wrzasnął Mikkoli.

Tak też się stało. Najdłużej wahał się Sendilkelm. W końcu przyłączył się do Bisenny i Agni, głosując za wzięciem konającego.

Al wściekał się i ciskał w nich kawałkami lodu.

— Głupcy, bezmózgie istoty! — wrzeszczał. — Ja jestem magiem, ja jestem panem czarii, jaaa!!!

— Świetnie, zatem powiedz, gdzie szukać kryształu! — wrzasnął Bisenna. — Nic nie wiesz, magu przeklęty! Magoćwstrętność! — owinał go w pasie stalowym palcem i uniósł wysoko.

— Bisenna, zostaw go — mruknął zrezygnowanym głosem Mikkoli. — Wszyscy musimy żyć. Na razie.

Agni i Sendilkelm ułożyli nieprzytomnego człowieka na szczycie góry, obok dwa razy większej od niego zbroi Czomona. Mikkoli przyklęknął ze wzrokiem wbitym w oblodzony wierzchołek. Kilka kroków niżej Bisenna wciskał głowę Chegera w śnieg.

— Bisenna! Zostaw go i chodź tutaj! — rozkazał książę. — Jeśli wszystko jest tak, jak myślimy, to kolumna musi być gdzieś tutaj, pod śniegiem!

Bisenna porzucił parszającego i miotającego przekleństwa maga i podbiegł na wierzchołek. W ciągu paru chwil wyrąbał stalowymi palcami dół tak głęboki, że ledwie widać było mu głowę. Wszyscy zebrali się na krawędzi zagłębienia. Wszyscy, poza obrażonym Alem, który siedział tyłem kilka kroków niżej, mrużąc coś pod nosem.

Nagle z dołu wystrzeliły snopy iskier. Bisenna spojrzął na stojących nad nim przyjaciół.

— A niech to! Śnieg się skończył! Niżej jest tylko czarna skała! — krzyknął i otarł rękawem mokrą twarz.

— No pewnie! Jesteśmy zgubieni! — zawodził Al.

— Zamknij się, Al! — krzyknął Mikkoli. — Bisenno, przecież rękawica może rozrywać skały. Sam nam to pokazałeś w Timaju. Tak?

— Niby tak, tylko co się z nami stanie, jeżeli wzgórze się osunie?

— Nie mamy nic do stracenia! Albo dokopiesz się do kryształu, albo nie! Jest nam wszystko jedno, czy stracimy życie pod lawiną skał i śniegu, czy na przeszukiwaniu tych gór! — wrzasnął Mikkoli.

Bisenna bez słowa powrócił do kopania. Sztolnia wypełniła się kurzem, odłamkami skały, snopami iskier i fraternijską pieśnią wojenną.

Minęło pół obrotu. Sendilkelm przyłączył się do Bisenny, zszedłszy po czerwonej linii. Pakował do nosidla skalne odłamki, które następnie Mikkoli wyciągał w górę, a Agni tuż obok usypywała je w kopczyk. Pracowali bez przerwy, aż słońce zmieniło barwę na ciemnozłocistą i zawisło tuż nad horyzontem.

Bisenna wrył się już na głębokość trzydziestu stóp, gdy nagle rękawica ugrzęzła w skale. Bisenna stracił równowagę i upadł. Sendilkelm chwycił go za ramię i zaparł się nogami o ściany sztolni.

— Trafiłem na jakąś szczelinę... — wysyczał Bisenna — może grotę... Macham palcami rękawicy, ale nie mogę w nic trafić. Pustość!!!

— Wstań powoli, to zajrzemy do środka.

Bisenna wstał i jeszcze raz szarpnął rękę. Udało się. Rozluźnione palce rękawicy wiły się jak kopulujące węże.

— Nie możesz przestać nimi machać? — spytał Sendilkelm.

— Niezupełnie — wysapał Bisenna. — Nigdy przedtem nie używałem rękawicy tak długo. Ona śpiewa coś do mnie... W mojej głowie... Jest piękna... Jest jakby, no, podniecona...

— Aha...

— Ale może spróbuję ją opanować. . . i delikatnie poszerzyć ten otwór.

— Może lepiej zdejmij ją na chwilę — Sendilkelm dotknął uzbrojonego ramienia Bisenny. Rękawica była ciepła i pulsowała jak wielka tętnica.

W tej samej chwili Bisenna sprężył się groźnie i popatrzył na niego zmrużonymi oczami.

— Moja jest! Nie oddam jej nikomu! Ty przyjacielu magów! Magoćwtrętność! — oczy Fratarnicyka nerwowo obserwowały znieruchomiałego Sendilkelma. Jeden ze stalowych palców zbliżył się do jego gardła. Rycerz spróbował się odsunąć, lecz następny wąż chwycił boleśnie jego nadgarstek.

— Możesz mnie zabić, Bisenna — wyszeptał Sendilkelm — ale nie ucieszysz tym Noca i Dnia. . . To przecież oni zesłali mnie, bym był twoim ziemskim przewodnikiem. Nastąpiła chwila próby. Jeśli zabijesz mnie, nigdy nie dowiesz się, na czym polegała. Twój duch błąkał się będzie pomiędzy niebiosami. . . Noc i Dzień nie przyjmą cię do siebie.

— Na czym polega próba?! — syknął Bisenna, owijając stalowego węża wokół głowy Sendilkelma.

— Noc i Dzień odesłali cię najdalej jak można, do innego świata, byś wykazał, że potrafisz do nich powrócić. . .

— Jak?!

— To proste. Rób to, co czyniłeś do tej pory. Pomóż nam dostać się do Timaju. Gdy zdejmiesz palce z mojej szyi i ręki, a potem delikatnie poszerzysz otwór, na pewno dotrzemy do naszej bramy.

— A ty wtedy zaatakujesz mnie od tyłu?!

— Ja? Ciebie? Pana rękawicy? Czym? Miecz zostawiłem na górze.

Do sztolni zajrzeli Agni i Mikkoli. Ich głowy były ledwo widoczne na tle ciemniejącego nieba.

— Sendil, co wy tam wyprawiacie?! — krzyknęła Agni. — Słońce już zachodzi!

— Znaleźliście coś?! — dodał Mikkoli.

— Tak, wielki Bisenna, pan rękawicy, znalazł drogę do domu! — krzyknął Sendilkelm. — Tak nam się przynajmniej wydaje!

Bisenna westchnął głęboko i powoli rozluźnił uchwyt. Przyjrzał się jeszcze raz twarzy rycerza i odsunął go wolną ręką pod ścianę sztolni. Dwoma palcami rękawicy zaczął delikatnie opukiwać krawędzie szczeliny. Po chwili posypały się grzechoczące sucho odłamki skały i otwór poszerzył się na tyle, by zmieścić całego Bisenę.

— Rzućcie linę! — wrzasnął w górę Sendilkelm.

Agni rzuciła jedną z lin z namiotu oraz tę czerwoną, którą znaleźli na szczycie.

— Pospieszcie się! — krzyknęła. — Jeżeli chcemy zabrać ludzika żywego, to zostało nam niewiele czasu!

Bisenna i Sendilkelm zaniemówili na widok cudownie łagodnego, różowego blasku, który wy dobył się ze szczeliny. Fraternijczyk delikatnie, starając się nie narobić hałasu, wywiercił w ścianie sztolni trzystopowy kanał. Sendilkelm przeciągnął przez niego linę i zawiązał pętlę. Bisenna pokazał na migi, że to on schodzi pierwszy i zsunął w dół szczeliny. Sendilkelm tylko przez chwilę rozważał, czy lina wytrzyma ciężar ich obu, po czym nie wytrzymał i ruszył za Fraternijczykiem. Różowy blask był tak silny, że zmrużył oczy. Zajechał do końca liny i dopiero wtedy uchylił powieki. Kilka stóp niżej, na zalanej blaskiem skale, stał z bezgranicznie szczęśliwą twarzą Bisenna. Sendilkelm zeskoczył i rozejrzał się dokoła.

Stali na półce skalnej olbrzymiej jaskini, z głębin której wyrastał pośrodku wspaniały kryształ kwarcu. Jego czubek i gładkie ściany chwytały różowy blask, przenikający olbrzymie płaszczyzny lodowca, i skupiały go w pionową strunę światła. Sendilkelm spojrzął w dół i doznał zawrotu głowy. Ściany kryształu rozpraszały swój blask jeszcze przez kilka tysięcy stóp, by potem pograćzyć się w nieznanej ciemności.

Bisenna przykłęknął i nakreślił w powietrzu kilka świętych znaków.

— Moja wdzięczność nie zna granic, bogowie moi — powiedział głośno. — Dzięki ci Dniu, dzięki ci Nocu, że pozwoliliście mi zobaczyć takie piękno... Dzisiaj będę mógł umrzeć w spokoju. Nic piękniejszego nie może mi się już przytrafić.

— Miejmy nadzieję jednak, że nie padniesz z zachwytu — odrzekł Sendilkelm. — Jeżeli koniecznie chcesz umrzeć dzisiaj, to może lepiej w walce z obcymi bogami. Wrogami Noca i Dnia.

— Dzień i Noc nie obawiają się niczego! — dumnie potrząsnął głową Fratarnijczyk.

— To pewne, lecz ginąc dla nich, możesz sprawić im radość. . .

Nad ich głowami coś zachrobotało i posypały się drobne kamienie.

— Do wszystkich chorób nagłych. . . życie?! — wysoko nad ich głowami wrzasnęła Agni.

— Żyjemy, chociaż nie wiadomo, jak długo! — odkrzyknął Sendilkelm. — Bisenna właśnie umiera z zachwytu! Możecie złazić, lina zwisa nad półką wielką jak dziedziniec zamku!

— Najpierw zrzucimy zbroję. . . to znaczy boga Czomona! — krzyknął książę. — Żadne z nas jej nie poradzi! Uważajcie!

Smokolitowy pancierz przesłonił otwór w szczycie jaskini. Sendilkelm odciągnął odurzonego Bisennę pod ścianę i zbroja huknęła o skałę. Kolumna kwarcu odpowiedziała delikatnym rezonansem, a ściany jaskini dalekim, ledwo słyszalnym echem.

Sendilkelm przyklęknął przy zbroi.

— Czomonie, boże mój, jesteś tam jeszcze? To ja. . .

— Aaaa. . . a to ty, mój proroku — mruknął Czomon na głos i w umyśle rycerza jednocześnie.

Sendilkelm usiadł, nie mogąc uwierzyć swemu szczęściu.



— Wierzyłem, że nie odszedłeś na zawsze. . .

— Wzruszające, biorąc pod uwagę nasz kontrakt — powiedział Czomon.

— Ale jak. . . jak to wszystko możliwe?

— Ożyłem dzięki bramie — powiedział Czomon i wskazał jaśniejącą za rycerzem kolumnę.

— Zatem, to wszystko prawda. . .

— Prawda, prawda, cóż to za niezwykle słowo — mruknął Czomon i podniósł się powoli. — Nic nie znaczy! Ożyłem, bo prawie jesteśmy w domu, w naszym świecie. Nie czujesz tej wibracji?!

— Nie wiem, co czuję, nie ufam zbyt swojemu zmysłom od chwili, gdy cię spotkałem — Sendikelm zapatrzył się w jaśniejący kryształ.

— Może to i dobrze. Wiesz, człowiek nie powinien zbyt ufać sobie, a jedynie swemu bogu. Wtedy wygodniej się żyje. A skoro już mówimy o życiu, jak tam twój kamienny przyjaciel? Jakoś go nie słyszę. . .

— Ja też. . .

Coś zatrzeszczało i po linie zsunął się Mikkoli z przytroczonym do pleców bezwładnym człowiekiem. Następna była Agni. Zeskoczyła na skałę i nie odezwała się ani słowem, wpatrzona w kryształ.

— No, jak tam jest, wysoko?! — krzyknął z góry Al.

— Magoćwstrętność! — odkrzyknął Bisenna. — Złaź, magu nieszczęsny! Możesz się połamać, ale nie zabijać! Musimy być wszyscy żywi! Wracamy do domu! Bronić Noca i Dnia!

— Znowu ma atak górskiego szaleństwa — szepnęła Sendilkelmowi Agni, wskazując brodą Bisenę.

— Teraz to chyba coś gorszego — odparł Sendilkelm.

Czomon podszedł powoli do krawędzi półki i przyjrzał się kolumnie kryształu.

— Zastanawialiście się, co teraz? Jak przejść przez tę bramę? — spytał.

— Myślę, że są to sprawy boskie lub przynajmniej magiczne — odparł Sendilkelm. — Al, zjeżdżaj szybciej! — krzyknął w górę. — Jesteś potrzebny!

— Jestem potrzebny, tak?! O mistrzowie!... Co to tak świeci?! Czy tooo, czy tooo... aaaj... aaa — Al zjechał po linie z prędkością spadającego człowieka i rąbnął głucho o skałę.

— Magoćwstrętność! — syknął Bisenna i postawił go na nogi. — Myślałeś, że będzie tak nisko, jak nad Białokostką, co?! — prychnął i klepnął maga w plecy.

Al odpędził go jak muchę i, podpierając się ręką, począpał nad krawędź przepaści do Sendilkelma i Czomona.

— Tylko nie mów, że to zachwycające, bo strącę cię w przepaść — mruknął Sendilkelm.

— A czym tu się zachwycać? — prychnął Al i wypluł w przepaść ukruszony kawałek zęba. — Kryształ jak kryształ. A że góra pusta w środku? Też mi coś, ot, odwrócona doniczka. U Karcena w pracowni nie takie rzeczy widziałem.

— Taaa — westchnął rycerz.

— Co robimy? — spytał rzeczowym tonem Czomon.

— Ano, co mamy robić? — Al poprawił swój kaftan. — To proste, musimy wszyscy w jednej chwili skoczyć na kolumnę.

— A jeżeli spadniemy w przepaść? — jęknęła Agni. — Musi być jakiś inny sposób. . .

— Ale jaki?! — fuknął Al. — Po co szukać wyjścia, skoro już je znamy?! Kobiety zawsze muszą walczyć z rzeczywistością! Jeżeli spadniemy, to rozbijemy się o skały tysiące stóp niżej, jeżeli zaś dotkniemy kryształu w jednym momencie, to przeniesie on nas do. . . miejmy nadzieję, że do naszego świata.

— Jesteś pewien? — mruknął Sendilkeim.

— Nie.

— No pewnie, że nie jest! Magoćwstrętność! — krzyknął Bisenna, dochodząc do nich. — Przecież to mag!

— Zamknij się Bisenno! — huknął Czomon. — Mag ma rację, czuję to. Struna światła w kryształach jest czystą magią. Czuję ją.

— Ja też — dodał Al — tylko nie wiem, czy zabieranie zdychającego człowieka z tego świata jest dobrym pomysłem!

— Tego dowiemy się, jeżeli przeżyjemy skok — odparł Mikkoli, który stał trochę z boku i tyłem do wszystkich. — Wszak, o ile rozumiem zasadę magicznej równowagi, którą raczyłeś nam wyjaśnić, przez bramę przejść musi w obie strony dokładnie tyle samo żywych istot. Skoro Kamienna Łza nie odzywa się do Sendikelma, należy przyjąć, że nie żyje. Niech moje horenhoj pozostanie czyste jak kryształ, jeżeli się mylę. Człowiek idzie z nami! I musimy się pospieszyć, bo w końcu umrze!

Wszyscy odwrócili się ku ścianie, gdyż leżący tam mężczyzna właśnie poruszył się i jęknął.

— Coś takiego! — wykrzyknął Al. — On chyba ma się lepiej. Może to ten kryształ?

— Dobra. Złapmy go, zanim zacznie uciekać! — warknął Bisenna.

\* \* \*

Stali na krawędzi przepaści.

Przez ostatnie pół obrotu przygotowywali się do skoku. Bisenna sprawdzał, czy rękawica słucha jego myśli. Ćwiczył uderzenia i cięcia wężowymi palcami, krusząc kamienie rzucane w niego przez maga. Pieśń do Dnia i Noca nie urwała się nawet przez chwilę. Sendilkelm ćwiczył z Czomonem, który wypróbowywał wszystkie ostrza smokolitowej zbroi, a robił to w tak mistrzowski sposób, że Bisenna otworzył usta z zachwytu.

Nie mieli planu walki z obcymi bogami. Nie wiedzieli, co ich czeka. Wiedzieli tylko, że rękawica i ostrza będą musiały ciąć szybciej niż ich myśli.

Mikkoli, obciążony nosidłem z mamrocącym człowiekiem, miał być osłaniany przez Czomona. Bóg odzyskał pełnię sił i stał teraz sprężony do skoku jak mityczny smokolitosy drapieżca. Sendilkelm i Bisenna wzięli między siebie Ala Chegera i Agni, która odwróciła się nagle i pocałowała Sendilkelma w usta. Rycerz nic nie odpowiedział, za to Al spojrzał wymownie na Bisennę.

— No co, też chcesz buzi? — mruknął Bisenna.

— Nie! Chcę powiedzieć, że pamiętam, jak w Timaju zaofiarowałeś mi braterstwo broni i myślę sobie, że to dobrze. Będiesz miał okazję wykazać wyższość oręża nad magią.

— O ile twoja magia nie zabije mnie za chwilę — odparł Bisenna. — Patrz, znowu się całują. . .

— Skaczemy na siedem! — zakomenderował Mikkoli, udając, że nie widzi, co robią Agni i Sendilkelm.

Siedem nastąpiło znacznie szybciej, niż Sendilkelm sobie tego życzył.

\* \* \*

Mickey jedną ręką przyciskał torbę z aparatem, a drugą trzymał się poręczy za siedzeniem kierowcy. Za oknem podskakiwał górski pejzaż, skąpany w radosnym świetle poranka. Przy drodze obdarte dzieciaki machały do nich zamasyście i uśmiechały się szeroko. Wszyscy z ekipy, z wyjątkiem jego i Agnes, wydawali się świetnie bawić. Siedzieli ściśnięci na drewnianych ławeczkach, obładowani pamiątkami i torbami ze sprzętem fotograficznym. Alejandro całym sobą bronił cennego laptopa przed zgnieceniem. Chester jak zwykle opowiadał jakieś głupawe, zapewne wymyślone na poczekaniu historyjki.

— Wiecie, dobrze, że już wracamy do LA. Cholernie paskudne mają tu kobiety, żarcie, towar. . .

— I drogi! — dodał Bazyl. — Boże, jak trzęsie! Zaraz się przekręcę. Co to w ogóle jest za samochód?

— Nie wiem! Coś jakby krzyżówka land-rovera ze świątynią hinduistyczną. Po cholere oni tak wszystko malują? Rzygać się chce od tych zawijasów, tych oczek i frędzelków. . .

— Uważaj, Bazyl — mruknął głośno Chester — szefowa pewnie myśli, że to urocze.

— Zamknij się, Chester! — fuknęła Agnes.

— Widzisz, a nie mówiłem! — ucieszył się Chester.

— Powiedziała, żebyś się zamknął! — warknął Alehandro, nie podnosząc oczu znad pliku spiętych gumką papierów.

— Ona tak zawsze, jak chce mi przyznać rację — zaśmiał się Chester, błyskając bielą afrykańskiego uzębienia. — Mick, co z twoim policzkiem, stary? Nieźle wczoraj zabalowaliście. . . Wraccie rano, ty pokancerowany, no, no, przynajmniej namierzyliście jakiś porządny towar? — Mickey odpowiedział mu miążdżącym spojrzeniem. — Bo my wytargowaliśmy od kelnera jakieś gówno, które prawie nie chce się palić. Co nie, Bazyl?

— Czy ktoś może mi zrobić przysługę i wyrzucić tego człowieka przez okno? — Agnes uśmiechnęła się lekko, pokręciła głową i zapaliła papierosa.

Mickey rzucił w Chestera puszką po coca-coli. To rozpoczęło pojedynek na wszystko, czym można było rzucić, nie niszcząc sprzętu.

— Z Katmandu lecicie innym samolotem — mruknęła Agnes i włączyła do bitwy torbę z pomarańczami.

Alehandro skulił się nad swym laptopem, wyzywając wszystkich od idiotów.

— Czego się boisz, Al? — zawołał Chester, oblizując miąższ pomarańczy z twarzy. — Rzuć tego grata. Nie wiesz, że laptopy są promieniotwórcze.

— Dajcie mu spokój! — wziął go w obronę Mickey. — Nie każdy wypalił tyle, ile wy.

— Wiecie — zaczął znowu Chester — Alejandro przez ten gówniany komputer może mieć kłopoty z kobietami. Tak, tak, co się gagicie? Jeden mój przyjaciel, z LA oczywiście, bardzo w porządku koleś, całymi dniami jeździł na rowerze. Tak dla zdrowia, rozumiecie. . .

— Skupcie się chłopaki, Chester opowiada o komputerze, zaczął od roweru! — zawołał Alejandro.

— Zaraz będzie o komputerze — ciągnął niezrażony Chester. — Widzicie, Al całymi dniami siedzi przed ekranikiem i umie tylko skrótowo myśleć. Jak mu zaczniesz naświetlać, wprowadzać w nastrój, to się chłopak od razu gubi. . .

— Nie naświetlaj, tylko gadaj — mruknął Alejandro.

— No, więc mówię, facet był w porządku, jeździł na rowerze i w ogóle dbał o siebie. Ale żonie się to niezbyt podobało, bo wołała, żeby był bliżej domu, kapujecie, normalna babka. . . Ale co miał robić, jeździć wokół trawnika? Wyrwał się więc któregoś ranka na długi wyjazd. . . dokoła Kalifornii!

— Na rowerze?! Człowieku! — jęknął Bazyl.

— No przecież mówię, że na rowerze. Wiesz, można spotkać wielu ciekawych ludzi. . .

— Na przykład?



— Na przykład spotkał takiego kierowcę, który rozwoził coca-colę po różnych dziurach. Lonely Pine, okolice Fresno i inne takie. I, skupcie się, człowiek ten wielokrotnie był porywany przez UFO. Gdy odnajdywał się później, gdzieś na pustkowiu, wraz ze swoją furgonetką, zawsze brakowało kilkudziesięciu butelek coca-coli.

— To proste, koleś opylał je gdzieś na boku. Ale to strasznie głupie. Nie warto jechać pięćset mil na rowerze, żeby słuchać takich gównianych historii — stwierdziła Agnes. Po raz kolejny utwierdziła się w przekonaniu, że mężczyźni nie potrafią opowiadać.

— To jeszcze nie wszystko. Zawsze brakowało butelek w skrzyniach na dole ładunku i to tych środkowych, niewidocznych z zewnątrz. Przecież, gdyby chciał być takim idiotą i handlować na lewo, nie rozładowywałby dziesięciu ton towaru, by spylić coś z dna wozu. Mówię wam, to było UFO albo jakaś magia.

— Albo facet był większym idiotą niż ty. Wątpię, by kosmici czy czarodzieje popijali coca-colę. No dobra, ale co to ma do koleśia na rowerze? — Mickey był nawet ciekawy reszty historii. Nudzili go już podskakujące za oknem ośnieżone szczyty i nie chciał, by Agnes wciągnęła go w jakąś rozmowę. Jeszcze nie zamienili ani słowa na temat tego, co zaszło w nocy na jednej z uliczek. Na wszelki wypadek nie rozmawiali w ogóle.

— No więc, tu się zaczyna, słuchaj Al. Koleś wraca rano do domu. Po sześciu tygodniach! I bez słowa włazi żonie do łóżka.

— No i?

— No i nic! Nawrzeszczała, ale już wieczorem mu przebaczyła.

— Tak łatwo?

— No, kazała mu jedynie przepiłować rower na pół. Przepiłował i miał spokój. Po jakimś czasie żona, żeby się nie nudził i nie gapił tyle w telewizor, kupiła mu laptopa. Facet tak się wciągnął w czaty, że po miesiącu wniosła pozew o rozwód.

— Czepiała się, bo siedział w domu — mruknął Bazyl. — To było przecież do przewidzenia. . .

— No i czego ta bezsensowna historia ma dowodzić, Chester? — spytała Agnes i zapaliła następnego papierosa.

— Po pierwsze, chciałem wam ją opowiedzieć, bo uważam, że można by z tego skroić całkiem fajny scenariusz. . .

— No tak, gdyby do tego dodać handlarzy narkotyków, pościgi policji, aferę szpiegowską i Godzilla, to już prawie byłoby ciekawe — mruknął Mickey.

— No dobra! To było po pierwsze, a co po drugie, Chester? — spytała Agnes, leniwie się przeciągając.

— Po drugie, i tu uważaj, Al, bo powiem morał, otóż kobiety łatwiej wybaczą rzeczy okrągłe niż prostokątne.

— To rozumiałe. To wszystko przez te hormony — westchnął Mickey.

\* \* \*

Agnes patrzyła na góry za oknem, zastanawiając się, czy kiedykolwiek stanęła na nich ludzka stopa. Ekspedycje, jedna za drugą, włączyły na K2, Annapurnę, Czomolungmę i Kanczendzongę, natomiast te dziesiątki mniejszych szczytów i setki kilometrów postrzępionych grani omijali nawet szerpowie.

Nie chciała myśleć o tym, co ich spotkało w nocy w Namche Bazar i obiecała sobie, że gdy tylko wsiądzie do samolotu w Katmandu, zapomni o wszystkim.

Spojrzała na Mickeya. Drzemał, a plaster na jego policzku odkleił się i odsonił cieniutkie niczym ostrze skalpela nacięcie.

\* \* \*

Chłopiec czekał cierpliwie w dusznym pokoiku na przyjście mistrza. Czcigodny lama Dzengu spóźniał się lub celowo wystawiał go na próbę cierpliwości. Za oknem słońce oświetliło już szczyty

wokół Makalu, ale Czomolungma kryła głowę w gęstych chmurach. Chłopiec siedział nieporuszony w pozycji diamentu i powtarzał w myślach wyuczoną wczoraj mantrę do Buddy Miłosierdzia. Dopiero gdy powtórzył ją osiemdziesiąty drugi raz, wcisnął rękę do kieszeni.

Wciąż tam był... jego największy skarb. Szklane oko, żywe i poruszające się samo z siebie, podarunek od jakiegoś przyjaznego dżidama. Ktoś chciał oświecić jego umysł i udowodnić, że świat jest iluzją.

Udało mu się w zupełności...

22

## Śmierć przed życiem

*Pan Światel*

*swe światła w ciemności rozpali.*

*Pan Nasion*

*nasiona obudzi i ziemi powierzy.*

*Pan Wzrostu*

*kierunek i drogę życiu wskaże.*

*Pan Słuchu*

*pieśń życia będzie chwalić.*

*Pan Zniszczenia*

*śmierć wrogom życia przyniesie.*

*Pan Narodzin*

*owoce życia z nasion zrodzone*

*zbierze i życie przekaże dalej.*

*I Panowie napęlnią życiem swoim świat nowy*

*i wzrosną znowu z jego gleby.*

*Przyobleką swe nowe ciała, a z ciał dawnych*

*sad życia powstanie, który żył będzie i ożywił świat cały,*

*i świat cały sadem życia się stanie.*

*I całe życie świata tego wielbić będzie Panów.*

*A ci, którzy byli na tym świecie przed Panami*

*poznają ich moc i świętość.*

*I będą wychwalać Panów i tęsknić do nich,*

*I napełnią się niebiosa świata tego tymi,  
co Panów za życia wielbili.*

(fragment z nieodczytanych świętych tablic Timaju)

Pan Świateł, wspierany przez trzy samice drugiego rodzaju, opuścił pokład zaginacza czasu. Spłynął w łagodnym świetle swego wznoszącego strumienia na ciepłą i przyjazną glebę planety i z podziwem przyglądał się dziełu Pana Zniszczenia. Przez drgający bąbel tarczy, otaczającej sad życia i zaginacza czasu, doskonale było widać całą sylwetkę miasta. Nad jego najwyższym tarasem unosiły się w płomieniach nędzne ciała mieszkańców i spopielone wędrowały w niebieskich bańkach wprost do ziemi sadu. Pan Zniszczenia z właściwym sobie mistrzostwem użyźniał ich przemienionym życiem kolejne połacie gleby.

Pan Świateł dotknął drgającej powierzchni żywego nawozu. Tkanka najwyższych istot tej planety powracała do skalistego łona swej matki. Bóg był wzruszony. Uwielbiał ten moment, gdy nowo zdobyty, martwy glob powoli przygotowuje się na przyjęcie sadu życia. Samice, podtrzymujące jego boki, śpiewały wzniosłe hymny i pulsowały nabrzmiewającym w nich życiem nowego pokolenia ciał Panów.

Po chwili Pan Świateł wyruszył na poszukiwanie w kręgu sadu najlepszego dla siebie miejsca i wtedy dobiegła go delikatna wibracja. Odwrócił się i skłonił Panu Nasion, który ręką uzbrojoną w rękawicę rozpoczął już najwyraźniej sadzenie życia. Tuż przy nim Pan Wzrostu i Pan Słuchu niecierpliwie czekali na swoje role w dopełnieniu dzieła stworzenia sadu.

— Czyżbyś, dobry Panie Świateł, szukał godnego dla siebie miejsca na tym niegodnym globie? — zapytał ze śmiechem Pan Słuchu, kołysząc się na swych samicach. One również już pulsowały niecierpliwie.

— O dobry Panie Słuchu, jak zwykle masz rację i wychwalać będę twą mądrość w nowym ciele, które niebawem otrzymam. Chciałbym, byś uczynił mi ten zaszczyt i umarł tuż koło mnie, i niech twe samice urodzą twe ciało dla ciebie tuż obok mych samic!

— Wielka to będzie radość znów narodzić się koło ciebie, Panie Świateł! Niech twoje nowe ciało piękniejsze jeszcze będzie od obecnego!

— I niech twoje nowe ciało doskonalsze będzie od wszelkich doskonałości!

— Czyż mogliby nadpanowie nasi ofiarować nam dar cudowniejszy od tego, że nasze nowe ciała wielbione będą przez istoty z tego globu?

— Tak, mądry i dobry Panie Słuchu! To cudowne, na progu nowego wcielenia otrzymać nowych wyznawców w nowym świecie!



— Tak zawsze było i tak zawsze będzie, póki będziemy wychwalać nadpanów swoich!

— Tak będzie!

\* \* \*

Pan Nasion i Pan Wzrostu dopełnili już dzieła sadzenia i zaczęli wychwalać Pana Zniszczenia, który tak doskonale przygotował grunt. Po chwili również pozostali Panowie dołączyli się do pieśni dziękczynnej i, wciąż zawodząc, rozeszli się po sadzie w poszukiwaniu dogodnych dla siebie i swych samic miejsc.

Wszyscy byli wzruszeni i dziękowali swym praojcom, nadpanom wszelkiego życia, za ciała, które za chwilę miały umrzeć i za ciała, które po nich miały się zrodzić. W końcu stanęli naprzeciw siebie, formując święty siedmiokąt. Gdy pieśń ucichła, umarł Pan Wzrostu. Jego ciało rozplynęło się i świetlistymi stróżkami rozlało po sadzie. Pozostali Panowie oniemieli w zachwycie. Gdy tylko ostatnie krople świetlistego ciała wsiąkły w glebę, samice Pana Wzrostu zapłonęły silnym blaskiem i urodziły jaskrawe ciała dla siebie, a następnie, łącząc się w jedno, urodziły nowe ciało Pana Wzrostu. Było piękne i świetliste. Od dawnego różniło się kolorem głowy i drgającą, błękitną powłoką z płynnego światła. Narodzone samice przyłgnęły do niego i wsparły go, by nie tracił energii na zmaganie się z siłą uścisku planety.

Panowie powitali nowego Pana Wzrostu radosnymi śpiewami. Jego piękne ciało było dla wszystkich dobrą wróżbą dla nowego pokolenia ciał.

Następny umarł Pan Światel, a zaraz po nim stojący u jego boku Pan Słuchu. Zachwyтом i pieśniami nie było końca. Nowy cykl życia zaczął się bez przeszkód. Nadpanowie sprzyjali im, ten świat należeć teraz będzie do Panów i wielbić ich będzie po wieczność.

\* \* \*

— ...Siedem! — krzyknął Mikkoli i wszyscy jednocześnie skoczyli ku świecącym ścianom kryształu.

Agni zdążyła pomyśleć, że przed śmiercią człowiek podobno widzi całe swe życie, i że ona nie chce przywoływać niektórych wspomnień. Nie zdążyła jeszcze wymyślić, czego dokładnie nie chce, bowiem cały jej umysł przepełniła świadomość, że leci, unosi się, zupełnie jakby nic nie ważyła, a jakieś ciepłe prądy kołyszą nią na boki. Właśnie miała otworzyć oczy, gdy nagle zobaczyła wokół siebie wstęgi tęczowego światła. Oplotły ją i przeniknęły, sprawiając rozkosz. W tej samej chwili dostrzegła swe półprzeźroczyste, zielonkawe dłonie, jak miękkimi ruchami, niczym leniwą wodę, rozgarniają tęczowe strugi. Pomyślała o reszcie swego ciała i zobaczyła je w powłokach prze-

zroczystego ubrania i pancerza. Przytroczony do pasa miecz i sztylet były zimne jak lód i prawie niewidoczne. Nagle zdała sobie sprawę, że ktoś na nią patrzy.

Obok, wewnątrz zielonej, pulsującej światłem otoczki, płynął Al Cheger, rozciągnięty na wszystkie strony, z twarzą zastygłą w wyrazie nieskończonej wściekłości. Tuż przy jego rozcapierzonej dłoni powoli wirował przezroczysty miecz. Dalej, ledwie widoczni, przysłonięci płynnymi pasmami tęczy, wirowali Sendilkelm, Mikkoli, Czomon, Bisenna i człowiek, którego znaleźli na szczycie góry. Poruszali się łagodnie, jakby przebudzeni po długim śnie. „Dobrze, że wszyscy żyją... ale gdzie my właściwie jesteśmy”. W tej samej chwili Agni zobaczyła tuż obok siebie swoje pytanie. Wypłynęło z jej głowy i błyskało niespokojnie. Nie widziała w drgającym kształcie żadnych liter czy znaków, lecz była pewna, że to właśnie jest jej pytanie.

— Staraj się nie myśleć — usłyszała szept Ala.

— Jak to? — pomyślała i kolejny drgający kształt wypłynął z jej głowy i podryfował w dal jak unosząca się w morzu meduza.

— Nie myśl! Nie stawiaj pytań! Nie denerwuj się! — szeptał szybko Al. — Jesteśmy zawieszani w oceanie czarii. To trudne, ale musisz mi uwierzyć.

— Ale w co? Dlaczego ty możesz mówić? — pomyślała i nowe kształty wyskoczyły z jej głowy z szybkością drapieżnych ryb.

— Gwałtowne myślenie i emocje tworzą zawirowania czarii — szepnął Al. — Tylko magowie mają umysły przystosowane do rozmyślań i rozmowy w tym wymiarze. Jeśli będziesz zadawać tyle pytań, formy twoich myśli stworzą wielkie zawirowania i odepchną cię ode mnie. Po wieczność będziesz tu krążyć sama!

Z głowy Agni wytrysnęły drobne bąbelki przerażenia.

— Wiem, że to trudne — kontynuował Al — lecz staraj się powtarzać wciąż to samo słowo lub modlitwę. Wtedy twój umysł będzie tworzył takie same kształty i z łatwością obierzesz właściwy kierunek lotu. To tylko kwestia wprawy. Popatrz, będę powtarzał w myślach swoje imię.

Wokół głowy Ala zawirowało i zaczęły z niej wypływać identyczne świetliste dyski. Mag przekręcił głowę w lewo i odwrócił się, poszybował w bok i do dołu, wykonał pętlę i zawrócił do niej. Zauważyła, że również pozostali, nawet brodaty człowiek, wykonują jakieś przemyślane manewry i pływają w świetlnych odmętach jak młode delfiny. Sendilkelm latał pionowo w górę i w dół, Bisenna kręcił się wokół siebie, Mikkoli i znaleziony człowiek kreślili ósemki.

— Tak, oni to już potrafią — poinformował skwapliwie Al. — Trochę ćwicyliśmy. Najłatwiej poszło Czomonowi i Bisennie. Ich umysły są niezwykle stabilne, właściwie w ogóle nie znają uczucia wahania. Sendilkelm, jak widać, miał tak dużo styczności z magią Karcena, że sam, bez mojej pomocy, odkrył sposób poruszania się w tym wymiarze. A ciebie musieliśmy gonić! I to dosyć dłu-

go! Zanim się przebudziłaś, twój umysł przepelniało tyle wrażeń, uczuć i w ogóle... wszystkiego, że latałaś jak wściekła mucha.

Wokół Agni znowu pojawiły się wirujące kształty pytań i okrzyków.

— Błagam cię, uspokój się — szeptał Al. — Nie, nie mogłem wam tego wszystkiego wyjaśnić przed skokiem, bo nie wiedziałem, jak... To wszystko można pojąć dopiero w czarii... Zresztą, nie byłem pewien, czy znajdziemy się tu, czy też od razu w naszym świecie. Wiesz, nie chciałem wam mieszać w głowach.

Agni wypuściła ze skroni długi sznur bąbelków.

— Nie, nie wiem, jak udało mi się wyjaśnić to wszystko temu człowiekowi! Jeżeli się nie uspokoisz, to zrezygnujemy z dalszej za tobą pogoni! Człowiek ten myśli po prostu, że umarł, a my jesteśmy jego przewodnikami, czy coś w tym rodzaju. Ogólnie jest bardzo spokojny i stara się współpracować. Tylko na początku nie mogliśmy zapanować nad jego szczęściem, gdy zrozumiał, że po śmierci coś jednak jest... wciąż rozpytywał o jakieś bóstwo ze swego świata...

\* \* \*

Płynęli uformowani w klucz dzikich gęsi. Al powiedział im, że magowie tak się właśnie ustawiają podczas wspólnych czariowych podróży.

Cheger, jako przewodnik stada, leciał pierwszy. Jego magia rozrzedzała i rozpychała gęstą materię czariową, tworząc dla pozostałych łatwiejszy do pokonania, stożkowy tor. Mag szukał jakiegoś znaku od Karcena lub chociażby śladu, wskazującego na jego obecność. Nie chciał mówić pozostałym, że nie wie, w którą stronę powinni się poruszać. Postanowił lecieć tylko w jednym kierunku, na dodatek tak wolno, jak to tylko możliwe, by został po nich wyraźny ślad czariowych zawirowań. Oczywiście żaden mag, podróżujący w tym wymiarze, nie postępuje w ten sposób, gdyż nie chce, by ktoś niechciany podążył za nim wytyczoną w ten sposób ścieżką. Al jednak chciał, by ktoś taki się znalazł i miał nadzieję, że będzie to jego mistrz. Chociaż fakt, że był z nimi człowiek z innego świata, mógł utrudnić poszukiwania lub zmylić Karcena. Na dodatek Sendilkelm poinformował go, że Kamienna Łza się ocknął. Rzeczywiście, brzuch rycerza jaśniał jak słońce. Jedynym powodem do zadowolenia Chegera był fakt, że pozostali nie mogą porozumiewać się między sobą. Słyszeli tylko jego rozkazy i rozumieli, że jedyne, co im pozostało, to skwapliwie je wypełniać. Był prawdziwym dowódcą!

\* \* \*

Lecieli już stanowczo za długo i Al począł się poważnie niepokoić. Na dodatek martwił się o umysły towarzyszy.

Najszybciej znudził się brodaty człowiek. Kręcił się niespokojnie i wyłamywał się z szyku. Zaczął wypytywać maga, dlaczego pozostali są uzbrojeni, dlaczego się znają i kiedy wreszcie doleczą do nieba. Al kazał mu się zamknąć i powtarzać imię dowolnie wybranego boga. Odczuł, że wzburzyło to w człowieku wątpliwości. Przesłał mu więc kilka wymyślonych na poczekaniu ostrzeżeń dla niecierpliwych zmarłych. Poskutkowało.

Bisenna, powtarzając nieustannie modlitwę do Noca i Dnia, skupił się tak bardzo, że pozostawiał za sobą ciągły ślad w formie świetlistej struny. Agni wpadła w odrętwienie, klepiąc w kółko swe imię, a Sendikelma i Czomona, skupionych jedynie na imieniu Czomona, otoczyła jaskrawa luna, co mogło oznaczać, że ich umysły zlały się w jeden.

Zatroskany Al leciał niemal tyłem, obserwując swych towarzyszy. Nagle zderzył się z czymś miękkim i niewypowiedzianie gładkim. Opanował się i skupił na zielonym blasku tuż przed swoją twarzą.

— Przysyła mnie Karcen, twój pan! — powiedziała dobitnie najpiękniejsza istota, jaką kiedykolwiek widział. — No, gdzie przepadliście?! — wściekała się.

Al z podniecenia kręcił się w kółko. Pozostali z klucza, pozbawieni nagle ochronnego stożka, rozpierzchli się na wszystkie strony.

— Opanujcie się, do wszystkich chorób! — wrzasnęła piękność.

— To trzeba było się ubrać, tyyy!... — pomyślała zawistnie Agni.

— Zamknij się brzydulo i słuchaj maga, to może jeszcze kiedyś w twoim świecie wytargam cię za włosy! — syknęła zielona kobieta.

— Pani, miej litość nad głupią dziewczuchą — włączył się Al, prawie już spokojny. — Ratuń nas, piękna pani, wskaż drogę...

— Zaraz, czekaj — Agni bąbelkowała kolczastymi formami o ciemnych kolorach — skąd wiesz, że ta... no, że ona jest od Karcena?

— Bo wiem! — wrzasnął Al. — Zamknij się, Agni! Błagam, powtarzaj swoje imię, a mi zostaw resztę, dobrze?! Raz chociaż nie utrudniaj!

— Spokojnie, mistrzu Cheger! — powiedziała piękność. — Gdy wykonacie zadanie, Karcen z pewnością pozwoli ci ją zabić, a teraz zbierz wszystkich!

\* \* \*

Trochę to zajęło, zanim mag zdołał każdego z osobna przywołać i przekazać wszystkim swym towarzyszom rozkazy. Najdłużej opierał się Bisenna, który, napędzany siłą swej wiary, odleciał najdalej.



Brodaty człowiek zawrócił najszybciej, zatrzymał się przy zielonej kobiecie i zaczął gadać o jakichś aniołach.

— Kim jesteś? — mruknęła niezadowolona wyraźnie piękność. — Al, do wszystkich chorób, po co przytargaliście tu jakiegoś ludzika, jako prowiant czy co? I skąd go w ogóle wzięliście?

— Ze świata, w którym wylądowaliśmy — powiedział Sendilkelm — i ty chyba najlepiej wiesz, z czyjej winy.

— Z niczyjej! — zawołała kobieta. — Chcecie się kłócić, czy może ratować własny świat?! Ooo, jesteście jednak nieobliczalni! Zupełnie jak magowie! Gdybym was tu nie znalazła. . .

— Wszystko byłoby w porządku, gdyby Karcen nie czynił magii w pobliżu czegoś, co magię załamuje i rozprasza — powiedział spokojnie, niemal smutno Mikkoli. — Ale to chyba teraz nieistotne, o ile rozumiem nasze położenie.

— Masz rację, książę, i oby twoje horenhoj pozostało nieskalane — westchnęła piękność.

— Czy wrócimy do Timaju w tym samym momencie, w którym zniknęliśmy? — spytał Mikkoli.

— Mam nadzieję, że tak — uśmiechnęła się lekko. — Wszak tu, w czarii, to ja jestem panią. . . chociaż, obecność waszego ludzika może to nieco utrudnić.

Brodacz szalał z niepokoju i krążył między wszystkimi, próbując się dowiedzieć, o co chodzi. Zielona piękność podpłynęła do niego i złapała go za rękę.

— Słuchaj, ludziku, skoro się tu dostałeś, to znaczy, że nie umarłeś. Znajdziesz się z nimi w nowym świecie i to od razu pośrodku straszliwej bitwy. Jeżeli zachowasz życie, będziesz żył dalej w nowym świecie. Jeżeli jednak zginiesz, nie zdążywszy obłaskawić jakiegoś boga, to nie będziesz miał żadnej przyszłości.

— To może lepiej go tu zostawmy — wtrącił Bisenna.

— To niemożliwe — mruknęła zielona — i, uwierz mi, nie potraficie zrozumieć, dlaczego.

— Zatem będzie bitwa! — krzyknął Mikkoli. — Czy szlachetny Karcen, niech jego horenhoj jaśniej jak słońce, i jego przyjaciele będą walczyć u naszego boku?

— Chyba tak, lecz największą nadzieję pokładamy w sztuce wojennej pana Bisenny i rękawicy bojowej obcych na jego ręce. Nasi magowie niewiele mogą zrobić tym bogom, podobnie zresztą jak i nasi bogowie.

— Zobaczymy! — mruknął groźnie Czomon spod lśniącej przyłbicy.

— Ruszajcie za mną! Według moich obliczeń powinniście zmaterializować się wewnątrz piany obcych, wewnątrz ich tarczy. . .

Lecieli za nią w równym szyku. Jako pierwszy podązał Bisenna z wyciągniętą przed siebie uzbrojoną ręką. Za nim, sprężeni jak do skoku, Czomon i Sendilkelm, każdy z dwoma obnażonymi mieczami. Mikkoli, Al Cheger i Agni rozdzielili między siebie uzbrojenie księcia i zwarli się ramię

w ramię. Daleko za nimi zamykał orszak brodaty człowiek. Jak stwierdził, nie był wojownikiem i nie chciał przeszkadzać innym.

Kamienna Łza nie odzywał się, lecz Sendilkelm czuł jego graniczące z szaleństwem podniecenie. Zawartością umysłu rycerza zajął się natomiast Czomon, wypełniając go szczelnie pieśniami ku swej chwale.

Zielona piękność pędziła ku jednemu z ciemniejszych obszarów, kłębiących się w oceanie czarii. Wszystkie wyglądały jak krople tuszu zaraz po wlaniu do wody. Ten, do którego dotarli, tworzył niewielki zlepek odrobinę ciemniejszych od otoczenia plam, powoli wirujących wokół swej pionowej osi.

— Tu jest wyjście — powiedziała przewodniczka. — Niestety jest niestałe, jak wszystko w tym wymiarze, jednak niczego więcej Karcenowi nie obiecywałam.

— Zmieścimy się wszyscy? — skrzywił się Bisenna. — Jeżeli ten kłębek ciemnych kłaków jest wyjściem, to chyba muszę się poćwiartować, by go pokonać. . .

— Musicie spróbować — powiedziała szybko zielona kobieta. — Bezwzględne wymiary nie mają znaczenia, liczą się te, których nie widzicie ani nie jesteście w stanie pojąć. Musisz po prostu wskoczyć w środek czariowego kłębu, wojowniku. . .

— A jeżeli utknę w tym czymś?... — mruknął Bisenna i na próbę machnął kilkoma palcami rękawicy.

— Ach, jeżeli się tak stanie, to dla ciebie nie będzie już nic. Po prostu zginiesz.

— Tak myślałem. Śmiertnoścwalkość! — wyszczerzył się Bisenna.

— Pamiętaj, Bisenna, że każdy z nas walczy dla własnego boga — mruknął z tyłu Sendilkelm. — Jeżeli ty nie przejdziesz przez tę myśią dziurę, a mi się uda, zwycięży Czomon! O twoim Nocu i Dniu nikt nie będzie pamiętał!

— Nocdzień!!! Dzieńnoc!!! — wrzasnął Bisenna i rzucił się w środek wirującego kłębu ciemności.

Wszyscy myśleli, że przeleci przez niego jak przez dym, jednak w chwili, gdy jego głowa znalazła się w osi wiru, Bisenna zniknął w całości, a wir zabarwił się na czerwono.

— Zginął?! — piskliwie krzyknął Cheger.

— Nie wiem — odparła spokojnie piękność. — Kolor nic nie znaczy. Ale jeżeli mu się udało, to zginie na pewno bez waszego wsparcia.

Sendilkelm i Czomon rzucili się w wir. Zanim Al zdążył zaprotestować, Agni i Mikkoli wcisnęli go w kłęb, napierając z tyłu. Jako ostatni wstąpił w wir brodaty człowiek. Zrobił to bardzo spokojnie, był pogodzony z losem, w końcu już raz umarł, przynajmniej tak mu się wydawało.

\* \* \*

Bisenna oślepl na chwilę, porażony jaskrawym światłem. Zawył krwiożerczo i zamachał na oślepe wężowymi palcami rękawicy. Gdy odzyskał wzrok, najpierw zobaczył, iż wisi nad ziemią, a następnie pojął, że spada. Zanim pokonał wysokość dziesięciu łokci, zauważył, że grunt pokrywa jakieś ruchome paskudztwo, po czym rąbnął w nie z pluskiem. Zerwał się na równe nogi, szukając przeciwnika. Z pewnością było to wewnątrz spienionej tarczy bogów, bo widział nad głową migoczącą tęczowo kopułę. W powietrzu unosił się smród jak w rzeźni w słoneczny dzień. Na dodatek do połowy łydek ugrzązł w błocie, podobnym do zmielonych mięsnych odpadów.

Nagle pojął, że stoi pośrodku czegoś, co przypomina arenę. Wokół niej, w odległości trzydziestu kroków, stało siedem spowitych gęstym oparem kształtów. W pierwszym momencie wziął je za powykręcane stare drzewa, po chwili jednak dostrzegł, że poruszają się, wypluwając coś z siebie. Wzniósł nad głowę rękawicę i już miał rzucić się do najbliższego kształtu, gdy usłyszał za sobą ciężkie przekleństwa Sendilkelma i piskliwe wołanie Ala. Wszyscy, mag, rycerz, księżę, bóg i Agni, niemal jednocześnie wylądowali pośrodku areny. Bisenna odetchnął z ulgą. Kątem oka zobaczył, jak Sendilkelm, zrozumiawszy natychmiast, kto jest wrogiem, rzucił się w kierunku majaczącej we mgle formy. Postanowił więc już nikomu nic nie tłumaczyć i jako pierwszy dopadł do przeciwnika. Wzniósł stalowe palce i znieruchomiał. Ze stojącej przed nim dziwnej srebrzystej zbroi wynurzała

się galaretowata postać, wspierana przez mniejsze, gruszkowate stwory. Bisenna skrzywił się i zawahał. Obcy bóg, czy też może jakieś jego dziecko, było prawie piękne. „Zupełnie jak meduza udająca człowieka”, pomyślał. Wyłażąca z dymiącego otworu postać była blada, prawie przezroczysta. Twarz miała długą, oczy szeroko rozstawione, zamknięte, spowite błękitnym blaskiem i otoczone pulsującymi świetlicie żyłami. Ale miała też drugą parę oczu, na czole. Te były czarne i przenikliwe, i to właśnie one wpatrywały się teraz z bezgranicznym zdziwieniem w Bisennę. Fraternijczykowi zdało się, że słyszy ich śpiew, słodki i cichutki, ledwie na granicy słyszalności. Zanim jednak błagalne nuty rozczuliły go całkowicie, opanował się, naprężył i uderzył z furją. Stalowe palce zerwały boską głowę na strzępy. Dwadzieścia kroków dalej czarne oczy, wyrwane z galaretowatej tkanki, spadły na ziemię wraz z delikatnymi siateczkami żył. Bisenna ryczał i warczał, miażdżąc na kleistą masę wycofujące się niezdarnie gruszkowate istoty. Na ostatnią z nich natarł okutym butem. Pękła jak wielka, srebrzysta dynia. Wyszarpnął nogę z drgającej mazi i rzucił się w bok, do następnej boskiej postaci. Ta zdążyła narodzić się w całości. Gruszkowate istoty zacieśniły wokół niej krąg. Tym razem wpatrzyły się w niego obie pary oczu, a pieśń była znacznie wyraźniejsza. Bisennie zdawało się nawet, że jego umysł rozpoznaje w niej jakieś rozkazy.

— Noc i Dzień! — wrzasnął Fraternijczyk i jednym uderzeniem rozplątał ją na pół.

Zakręciło mu się w głowie od smrodu zepsutej krwi i jakichś nierozpoznawalnych wydzielin, natychmiast jednak wziął się w garść i pognał za srebrzystymi stworami. Dopadł je w okamgnieniu i wszystkie rozgniół na miazgę. Wtedy też zauważył, że od jakiegoś czasu radzi sobie w walce sam, bez pomocy rękawicy. Popatrzył na obwisłe węże i posłał im w myślach parę rozkazów. Nic, dyndały jak zwykle, stalowe łańcuchy. Rękawica była martwa. Ściągnął ją szybko i rzucił w krwiste błoto.

Na następnego boga rzucił się z fraternijskim mieczem w dłoni. Wielokrotnie hartowana, pięcokątna klinga bez trudu wyłuskała dwie pary błagalnie patrzących oczu. Rozejrzał się, lecz zamiast kolejnego wroga, zobaczył przed sobą Sendilkelma z mieczem obryzganym błękitną posoką i wyrazem zdziwienia na twarzy.

— Co jest, do wszystkich chorób?! Wstrętnośćmiertność! -wrzasnął Bisenna. — To byli ci obcy bogowie?! Te kupy śpiewającego gówna?!

— Nie wiem! — syknął Sendilkelm. — Może tylko ich dzieci!... Patrz! Al chyba ma kłopoty! — wskazał ręką za plecy Bisenny.

Po drugiej stronie areny Al Cheger gestykulował zawzięcie i mówił coś do wznoszącej się wysoko nad jego głową istoty. Zupełnie jakby dobijał targu. Bisenna w kilku susach dopadł do niego,

odepchnął i zaatakował z rozmachem, ale istota wraz z uczepionymi jej kończyn srebrzystymi stworami, zdążyła wznieść się jeszcze wyżej i klinga ze świstem przecięła samo powietrze.

— Al, oszalałeś?! — wrzasnął nadbiegający Sendikelm. — Przecież to wróg!

— To nowy bóg. . . — jęknął Al. — Błagał mnie o życie. . . Jest piękny. . .

Nagle w powietrzu coś błysnęło. To Czomon wybił się na dwadzieścia stóp nad ziemię i całym ciężarem smokolitowej zbroi oraz wszystkimi nastroszonymi na niej ostrzami i tnącymi brzegami pancerza runął na obcego. Obaj bogowie z hukiem rąbnęli o podłoże, lecz tylko Czomon w całości. Strzępy obcego natychmiast utonęły w krwistej breji areny i jedynie jego głowa, zatrzymując się na bucie Ala, pozostawała rozpoznawalna.

— On, on chciał żyć, on błagał. . . — bełkotał wyraźnie zamroczony mag.

Sendikelm niespokojnie rozejrzał się dookoła. Dopiero teraz zauważył, że po drugiej stronie areny Agni i Mikkoli rozpaczliwie atakują mieczami coś w obłoku gęstej mgły. Natychmiast tam pobiegł, a Bisenna i Czomon za nim.

Ta istota była inna od pozostałych, przede wszystkim nikt nie mógł mieć wątpliwości, że jest dorosła. Wznosząc się w obłoku śmierdzącej pary, wśród syków i pisków, wywijając we wszystkie strony kończynami opancerzonymi srebrzystym, giętkim materiałem, a w jednym przypadku węzo-



wopalczastą rękawicą. Otaczające ją gruszkowate stwory przewyższały wzrostem Bisennę i machały dziesiątkami miękkich odnóży, zakończonych błyszczącymi kolcami.

Czaszki Mikkolego i Agni, a teraz również przybyłych kompanów, rozsadzała piskliwa pieśń o powtarzających się frazach. Mówiła o beznadziejności oporu i nadchodzącej śmierci.

Sendilkelm cofnął się poza zasięg rękawicy i wyszarpnął spod cholewy małą kuszę krzyżową. Dwa bełty odbiły się od głowy boga jak od ściany. W tym samym momencie Mikkoli poślizgnął się na krwistej mazi i upadł, a jeden ze stalowych palców bożej rękawicy wyrwał mu z dłoni miecz wraz z dwoma palcami. Agni rzuciła się, by zasłonić księcia, lecz dwa gruszkowate stwory przewróciły ją i przyparły do ziemi. Czomon natarł na nie z impetem i odciągnął od dziewczyny, zbierając na swój pancerz setki uderzeń ich ostrych macek. Bisenna cofnął się kilka kroków i ze zgrozą zauważył, że obcy bóg wznosi się na tyle wysoko, by być poza zasięgiem ich ciosów, lecz i na tyle nisko, by móc pościnać im głowy węzami rękawicy. Pokazał to Mikkolemu, ten dał rozkaz do rozproszenia się. W odpowiedzi obcy nagle znieruchomiał, jakby wybierał ofiarę.

Zamiast jego zabójczego ataku, coś huknęło głucho, a obcy runął w grząskie podłoże, wzbijając krwawe fontanny. Sendilkelm, Czomon i Bisenna rzucili się na niego i w tej samej chwili odskoczyli, gdyż z łba boga podniósł się wielki, okrwawiony człowiek. Nawet na nich nie spojrział, tylko wbił się rękoma w oczodoły obcego i z dzikim rykiem wyrwał z nich oczy. Odrzucił je daleko za siebie

i zarył się po łokcie w głowie boga. Zaskoczeni Sendilkelm i Czomon opamiętali się jednak i rzucili na gruszkowate stwory. Błyszczące końce rozszalałych odnóży cięły ich pancerze jak szmaciane koszule. Ostatecznie jednak, pomimo wielu ran, zdołali wszystkie macki poszatkować, a gruszkowate stwory wybić co do jednego. Dopiero wtedy ponownie spojrzeli na zbryzganego krwią przybysza. Olbrzym metodycznie wciskał ręce coraz głębiej w głowę obcego boga i wyrywał z niej jakieś parujące tkanki. Wyrzucał je za siebie i znów wracał do patroszenia drgającego w agonii, srebrzystego ciała.

— Suddolik?! Wielki Suddolik?! — wrzasnął Sendilkelm, nie wierząc własnym oczom.

Rzeczywiście był to jego ojciec. Ostatni raz widział go tak dawno, jakby w innym życiu.

— Ojcze! Suddoliku! Jak to możliwe?! — krzyczał Sendilkelm, łapiąc się bezwiednie za głowę.

Pozostałych zatkało. Bisenna mruknął coś o cudzie bożym i zaczął grzebać butem i czubkiem miecza w krwistym błocie w poszukiwaniu palców Mikkolego, gdyż pobladły księżę, wpatrując się rozszerzonymi oczami w swą okaleczoną dłoń, bliski był omdlenia.

Z odrętwienia pierwsza wyrwała się Agni. Sprężyła ciało do ataku i, wskazując mieczem półnagięgo siłacza, krzyknęła groźnie:

— Uważaj panie, jest nas sześcioro, a ty jeden! Odpowiedz natychmiast, jesteś Suddolikiem?!

— Jestem — spokojnie odparł Suddolik, nie przerywając rozdzierania srebrzystego ciała na strzępy.

— Jestem Czomon, bóg Czomon! — zawołał głośno Czomon. — Jestem bogiem Sendilkelma i chcę wiedzieć, kim ty jesteś?!

— Jego ojcem — odparł spokojnie Suddolik.

— Tata?! — krzyknął wciąż oszołomiony Sendilkelm.

— No ja, oczywiście, że ja, a co, spodziewaliście się kogoś innego? Może pani Sardinelli, hę?

Al Cheger, który dobiegł do nich dopiero teraz, spytał spokojnie i rzeczowo:

— Co tu robisz, wielki Suddoliku? W jaki sposób Karcen zdołał cię przysłać? Wszak my musieliśmy pokonać strefę czarii!

— Sam się przysłałem — Suddolik wytarł dłonie o skórzane spodnie. — Przybyłem tu, gdzie jest mój syn. Dziwi was to?

— No... Ojczy, jak ty to... .

— Nieważne. Nauczyłem się znikać i pojawiać w tym miejscu, o którym pomyślę. Pomyślałem o tobie i oto jestem! Zobaczyłem nad tobą wiszącą paskudę, to ją zabiłem — skrzywił się. — Pogadamy potem, bowiem jest tu jeszcze coś, co mi się nie podoba! — wskazał na błyszczący korab, przypominający wielką ślepa rybę.

Pierwszy ruszył ku niemu Czomon. Za nim, spokojnym krokiem, podążył Suddolik, a na końcu cała reszta. Bóg dotknął ściany korabia mieczem. Sprężyste ugięła się pod naciskiem ostrza. W tyle pletwiastego korpusu dostrzegli ciemny, owalny otwór. Zanim zdążyli cokolwiek powiedzieć, wielki Suddolik jednym skokiem znalazł się w środku. Al mimowolnie otworzył usta ze zdumienia. Wiedział, co to odwaga, w końcu był magiem, ale to, co zobaczył, definiowało odwagę na nowo. Drugi wskoczył Czomon, a i Bisenna wahał się tylko przez chwilę. Sendikelm kazał Mikkolemu zostać i w razie czego bronić Agni i Ala Chegera. Książę chciał zaprotestować i powiedzieć, że może walczyć lewą ręką, lecz Sendikelm wskoczył do korabia.

W środku panował smród podobny do tego, jaki wydzielają gnijące wodorosty. Bisenna, Suddolik i Czomon badali ostrożnie małe jamy przylegające do głównej komory wzdłuż korpusu korabia. Sendikelm nie mógł oprzeć się wrażeniu, że penetrują wielkie zwłoki, pozbawione głównych organów. Podobne uczucie przeżył w młodości, gdy, przypatrując się rybakom ćwiartującym wieloryba, wyobraził sobie, że taki potwór połyka go w całości, a on ląduje żywy w jego przestronnym wnętrzu. Korab nie wyglądał jednak groźnie, lecz martwo.

Doszli do dzioba, kłując po drodze mieczami wszystkie ściany i odcinając jakieś wiszące włókna z delikatnymi siateczkami żył. Korytarz kończył się drgającą lekko ścianą, podobną do odartego ze skóry mięśnia. Gdy zbliżyli się do niej, po drugiej stronie coś gwałtownie zakotłowało się i uderzyło

w nią kilka razy. Czomon i Bisenna jak na komendę pchnęli ścianę jednocześnie czterema mieczami i rozerwali ją na strzępy. Chlusnęła na nich żółtawa posoka, pełna wijących się, maleńkich form. We wnętrzu otwartej komory, na miękko wygiętym dnie, w resztkach płynu, bezradnie taplały się jakieś stworzenia. Czomon i Bisenna, a krok za nimi Suddolik, wskoczyli do środka i poćwiartowali je, zanim Sendilkelm zdołał im się przyjrzeć. Teraz, wśród strzępów, rozpoznał jedynie ich wydłużone głowy, pozbawione jakichkolwiek otworów i oczu, oraz powykręcane, wiotkie kończyny, jakby parodię ludzkich. Po chwili nie było widać już nic, gdyż Fratarnijczyk, mruczając wojenne hymny, zrobił z nich jednorodną miazgę.

Czomon jeszcze raz rozejrzał się po wypełnionym śluzem korytarzu.

— To nie powinno istnieć — mruknął i wbił miecz aż po rękojeść w miękką ścianę.

Suddolik, zrozumiałwszy zamiar Czomona, na migi poprosił Sendilkelma o drugi miecz i przystąpił do rąbania podłogi korytarza.

Budowniczkowie korabia, czy też może jego rodziciele, chyba nie brali pod uwagę zagrożenia w postaci wściekłych ludzi i równie wściekłego obcego im boga, uzbrojonych w stalowe ostrza. Już po chwili Bisenna i Czomon odcięli przednią komorę od reszty korpusu i teraz zaczęli metodycznie rąbać ją na kawałki.

Sendikelm wyskoczył tuż przed zdziwioną Agni. Obok Al Cheger podtrzymał zakrwawionego księcia.

— To jakaś przekłeta ryba?! Jakiś kraken czy co?! — krzyczał podniecony Al.

— Nie wiem! — krzyknął Sendikelm. — Ale na pewno żyło! Oni chyba w tym mieszkali albo był to ich... no, rodzic!

— Teraz to tylko kupa śmierdzących flaków! Smrodoćbogoćśmiertność! — wrzasnął Bisenna, tnąc bez wytchnienia resztki korabia.

— To dziwne, że nie napotkaliśmy zbyt wielkiego oporu — wycedził przez zaciśnięte zęby Mikkoli. Agni owijała jego dłoń w swój odpinany rękaw. — Spalili nasze miasto, najechali nasz kraj, zabili ludzi, a byli tylko kupą jakiegoś śluzu w skórzanych workach!

— Nie zapominaj, panie, że jeden się mocno stawiał! — krzyknął Bisenna. — Gdyby nie pomoc magicznego ojca Sendikelma, rozerwałby nas na strzępy tą swoją rękawicą!

— Nie jestem żadnym magiem — powiedział spokojnie Suddolik, rąbiąc nieprzerwanie resztki korabia. — Jestem po prostu ojcem Sendikelma.

— To wiemy, panie — odezwał się Al — lecz będziesz musiał mam jeszcze trochę o sobie opowiedzieć.

— Nie ma o czym — mruknął Suddolik, odwrócony do niego plecami.

— Słuchajcie — syknął Mikkoli — a co z tą przeklętą pianą... tarczą czy czymś?

Wszyscy unieśli głowy. Wysoko nad nimi wciąż wznosiła się spieniona, gigantyczna kopuła.

— Nie wiem, co to jest — jęknął Al. — Może też coś żywego, jak ich statek? Ale chyba... magicznego, to znaczy bez ciała...

— Może tak, a może nie! — warknął Bisenna. — Stal mego miecza da odpowiedź, magu! Ciąć-zabić! Sendilkelmie, Czomonie, wnieście miecze! — zawył dziko i puścił się pędem ku świecącej ścianie.

— To on teraz rozkazuje? — mruknął Mikkoli.

— Nieważne — odparł Czomon. — Przeszukam szczątki korabia, może coś nam umknęło, może coś tu jeszcze żyje i utrzymuje istnienie tej przerośniętej piany.

— I ja tak myślę — szybko dodał Al. — Piana to coś najbardziej magicznego, jakby dwa żywioły utrzymywane razem jakąś siłą...

— Właśnie, właśnie... — mruzczał Czomon, przetrząsając szczątki korabia.

— W ten sposób nic nie znajdziesz — Al wyciągnął spod kaftana małą sakiewkę i wysypał na dłoń kryształowe oczy. Skoncentrował się i polecił im odszukać przedmiot tworzący największe zawirowania magicznie. Oczy odbiły się mocno od dłoni i wpadły z pluskiem w krwiste błoto. Podskakując wysoko, wciskały się w martwe szczątki korabia i zmiażdżone ciała obcych istot.

— O bogowie! — jęknął Al. — Bisenna zaraz dobiegnie do ściany! Może lepiej, żeby jej nie atakował. . . Bisenna! Nie dotykaj niczego! To może cię zabić!

W tym samym momencie wszystkie kryształowe oczy zgrupowały się w szczątkach jednej z istot i w ciasnym kręgu, najwyraźniej coś otaczając, skakały równo, by zwrócić na siebie uwagę. Al i Czomon podbiegli natychmiast i zobaczyli małą, czarną kulkę. Zanim mag zdążył zaprotestować, bóg wsadził rękę do kryształowego kręgu, podniósł znalezisko i ścisnął mocno w smokolitowej rękawicy. Al zacisnął powieki i skurczył się nieco. Jego intuicja krzyczała, że za chwilę coś wybuchnie z potworną siłą. Nagle twarz zalała mu fala ciepła, było jednak cicho. . . Otworzył oczy i zobaczył jasne słońce na bezchmurnym niebie. Spieniona tarcza znikła. Czomon podsunął mu pod nos otwartą dłoń, z której wiatr wywiewał czarny pył.

— Co to było, co? . . . — jęknął Al i przysłonił dłonią oczy.

— Nie wiem i nie sądzę, byśmy kiedykolwiek mogli się dowiedzieć — powiedział Czomon.

Al był prawie pewien, że przez smokolitową przyłbicę zobaczył jego uśmiechniętą twarz.

Kilkaset kroków od nich wznosiły się mury Wielkiego Timaju. Na najwyższych tarasach cytadeli ryczał i wiwatował wielotysięczny tłum. Z zachodniego lądowiska wzbiły się w powietrze skrzydła wojowników z Dogodoto.



Agni podparła się pod boki i rozdawała szerokie uśmiechy, chociaż nikt nie zwracał na nią uwagi. Czomon i Sendilkelm z wrzaskiem wzniesli w górę miecze. Dobiegł do nich Bisenna, po swojemu wykrzykując dziko z radości. Mikkoli rozejrzał się, szukając wielkiego Suddolika, lecz nigdzie go nie było. Zobaczył tylko brodatego człowieka, stojącego bezradnie pośrodku krwistego kręgu. Zapewne tkwił tam od chwili wylądowania w tarczy obcych bogów. Książę machnął do niego zachęcająco i brodacze ruszył nieśmiało w ich stronę.

— Gdzie Suddolik? — spytał głośno Sendilkelm i obrócił się kilka razy.

— Zaczego masz ojca, mój proroku — powiedział podniosłym tonem Czomon. — Będzie on wyniesiony w mej świątyni na ołtarze, by moi wyznawcy czcili go jako pierwszego świętego.

— Nieważne — syknął Sendilkelm. — Gdzie on jest?!

— Chyba wrócił do siebie, gdziekolwiek to jest... — powiedział spokojnie Al. — Myślę, że pojawił się tu za sprawą magii i dzięki niej stąd zniknął. A jak to się stało, z pewnością wyjaśni nam Karcen.

— Ooo, znacznie więcej będzie musiał nam wyjaśnić! — mruknął Sendilkelm.

— Magoćwstrętność! — dodał ze śmiechem Bisenna.

— Myślę, że pora, bym objawił się swoim nowym wyznawcom! — powiedział Czomon.

— Może i tak — odparł Sendilkelm. — Nie zmarnuj okazji, mój panie, gdyż druga już się na pewno nie powtórzy. . . Przynajmniej nie z moim udziałem!

\* \* \*

Z bram miasta wypłynął kolorowy tłum i ruszył w kierunku Sendikelma i jego oddziału. Na czele kroczył Karcen w towarzystwie Pana Dogodoto, Anielicy Śmierci i Famissy. Nikt z podążającej za nimi ludności nie zdawał sobie sprawy, kim właściwie są te kobiety i skąd się wzięły, ale skoro szły razem z Panem Dogodoto i znanym magiem, wszystko było w porządku.

Sendilkelm z towarzyszami ruszyli im na spotkanie.

— Zanim wszystko sobie wyjaśnimy i przyjmiemy na siebie brzemię zwycięstwa, jest jeszcze jedno zadanie! — krzyknął na powitanie Karcen.

Zatrzymał się, odwrócił i wyciągnął w górę ręce. Tłum stanął.

— Karcenie. . . — zaczął Sendilkelm.

— Czekaj, bohaterze, czekaj! — wrzasnął mistrz magii. — Nie możemy pozwolić, by to plugaństwo za tobą tu zostało!

— Spalić to świństwo! — krzyknął Bisenna.

— To nie wystarczy! — zawołał Karcen. — Nie chcę, by ludzie podeszli do tego bliżej! To obca materia i obca magia. Czuję ją z odległości stu kroków! Te szczątki muszą zniknąć z naszego świata, powodują zbyt wielki wir magiczny! Trudno przewidzieć tego konsekwencje! Obawiam się, że mogą nawet ożyć lub stanie się coś jeszcze gorszego, czego nie potrafię przewidzieć! Nie możemy dopuścić, by posoka obcych bogów przeniknęła i zatrąła cały Timaj! Kto wie, jaka zaraza może z tego wyniknąć?! Założę się, że Al Cheger umiera ze strachu!

— Nie umieram! — wrzasnął mag. — I nie zamierzam, jako mistrz magii równie wielki, jak jego nauczyciel!

— Spraw zatem, mój uczniu, czy też może mistrzu, by to wszystko zniknęło z naszego świata! — odkrzyknął Karcen głosem twardym jak smokolit. — I niech lud to zobaczy!

Do Sendikelma podszedł Czomon.

— Słyszysz, co mówi do ciebie Kamienna Łza? — szepnął mu do ucha.

— Nie! — Sendikelma wyraźnie zaskoczyło pytanie boga, zupełnie zapomniał o swoim nieodłącznym towarzyszu. — Nie odezwał się od lądowania w tarczy obcych, był jednak bardzo podniecony w oceanie czarii. . .

— Spokojnie, mój proroku! — mruknął bóg. — Kamienna Łza jest zbyt wzburzony, by mówić w sferze słyszalnej przez twój umysł. Teraz rozmawia ze mną. Odnalazł w końcu to, po co przybył na naszą planetę!

— Cudownie — jęknął Sendilkelm. — Co znowu knujecie? Umrę zaraz czy co?

— Nie, chyba nie — szepnął Czomon rozbawionym tonem. — Nie wiem, jak to się stało, i czy przypadkiem nie jest to mój boski cud, ale właśnie poniżej pola bitwy znajduje się to, czego szuka nasz kamienny przyjaciel.

— To chyba jednak cud — mruknął Sendilkelm. — Czy to znaczy, że odnalazł tę swoją wielgachną ukochaną i będzie się teraz przez tysiące lat wgryzał do jej wnętrza?

— Wręcz przeciwnie, dokopie się do niej w kilka chwil, a to dzięki temu, że przykrywająca ją skała stała się miękka od posoki obcych bogów. Kamienna Łza mówi, że gdy tylko połączy się ze swoją ukochaną, natychmiast wylatują w niebiosy.

— Aha, więc jednak zginiemy i to wszyscy... to zaiste boski cud, uratować Timajczyków od obcych i sprowadzić na całą ludzkość największe w dziejach trzęsienie ziemi.

— Ooo, widzę, że wiara mojego proroka nie jest jednak zbyt wielka. Kamienna Łza obiecuje, że trzęsienia ziemi nie będzie, a na dodatek uwolni naszą planetę od szczątków obcych bogów, które jego wielka ukochana zabierze na swym grzbiecie.

— I ja mam w to uwierzyć? — jęknął Sendilkelm.

— W końcu, jako mój prorok, nie powinieneś mieć z tym trudności. A, jeszcze jedno. . .

— Hm? . . .

— Kamienna Łza mówi, że musisz go. . . cóż, powiedzmy. . . wypluć. . . tak, bo nie chce ci przebić brzucha. Polubił cię.

— I co? — syknął rycerz, zerkając na obserwujący ich tłum. — Mam rzygać? Tak przy wszystkich?

— No cóż, prorokowi wybaczą, a ja może kiedyś uczynię z tego jakieś święto. . .

\* \* \*

Bóg Czomon stanął na wprost milczącego i trochę zdenerwowanego tłumu Timajczyków.

— Jam jest bóg Czomon!!! — zagrzmiął. — Bóg Timajów!!! Wasz bóg!!! Uczynię cud!!! Oczyszczę timajską ziemię!!! Ścierwo pokonanych fałszywych bogów odeślę z tego świata w nicłość!!! Poznajcie moją moc i potęgę mej miłości!!!

Ziemia zadrżała delikatnie, jakby westchnęła. Czomon stał ze wzniesionymi ramionami przodem do tłumu. Za jego plecami gleba rozdziła gigantyczny na pięćset kroków kulisty kamień. Wszyscy

widzieli, jak powoli opuścił on ziemię, jak wznosił się coraz wyżej i coraz szybciej, jak w głębi ciemnego błękitu nieba stał się ledwie widoczną kropką, i jak w końcu zniknął.

Czomon podniósł przyłbicę. Timajczycy zobaczyli uśmiechnięte oblicze swego boga.

\* \* \*

Drugi dziesięciodzień uroczystości królewskich i religijnych stał się dla Sendilkelma nie do wytrzymania. Nie dość, że jako prorok Czomona zmuszony był wygłaszać w ruinach głównej świątyni codzienne kazania, to jeszcze nie mógł wykręcić się od conocnych biesiad i paradnych turniejów. „Karcen i Al to co innego”, myślał, „całe życie mogliby spędzić na przyjmowaniu dziękczynnych hołdów od królów i księząt oraz, oczywiście, od timajskich piękności. Zapewne tak właśnie wyobrażali sobie idealny porządek świata. Chociaż i oni doskonale zdają sobie sprawę, że nie istnieje coś takiego, jak królewska wdzięczność”.

Sala, w której miała się odbyć dzisiejsza uroczystość, była najpotężniejsza w całym zamku. Wsparta na czterystu kolumnach kryształowa kopuła zmieniała przedzierające się przez nią światło w wielokrotne, nakładające się na siebie i przenikające nawzajem tęczowe strugi. Nie bez powodu wybrano ją na ten wieczór. Przygotowywana przez kapłanów wieczerza, z Engą Engą na czele, posiadała według Karcena wielkie znaczenie polityczne. Sendilkelm miał się podczas niej wypo-

wiedzieć na temat możliwości utrzymania urzędów kapłańskich i warunków nawrócenia timajskich kapłanów na wiarę w Czomona. Rycerzowi było wszystko jedno, kto będzie kapłanem. Musiał się tylko zmusić do obecności na wieczerzy, a resztą, jak zwykle, miał się zająć sam Czomon, przemawiając jego ustami.

Sendilkelm leżał właśnie w basenie kąpielowym, pełnym musującej delikatnie wody źródlanej, i rozmyślał nad tym wszystkim.

Nawet król Timaju nie bardzo wiedział, jak w ramach etykiety dworskiej zachowywać się w stosunku do proroka, więc robiono wszystko, by po prostu nie musieć się zachowywać, czyli spotykać się z nim jak najrzadziej, tylko przy oficjalnych okazjach. Władca wymyślał nowe przepisy i zwyczaje, by zawsze oddzielały go od Sendilkelma co najmniej cztery rzędy gwardzistów.

Rycerz wiedział doskonale, że cały czas, w każdej sali pałacu, nawet w łaźni, śledzą go ukryte oczy i słyszą ukryte uszy. Wiedział o tym również Karcen, lecz zdawał się tym faktem doskonale bawić. Król dopiero po sześciu dniach od zniknięcia obcych bogów, gdy już dostał szczegółowy raport od swoich kapłanów i marszałków dworu, uwierzył, że Sendilkelm w swoich kazaniach nie namawia ludu do obalenia starej dynastii i nie ma zamiaru rządzić, ani nawet pozostać w Timaju dłużej, niż będzie wymagał bóg Czomon. Niemniej jednak, prorok był pilnie strzeżony przez dwa skrzydła doborowych lotników z twierdzy Dogodoto.

Al Cheger uważał, że wszystkie podejrzania Timajczyków są objawem górskiego szaleństwa, przekazywanego z pokolenia na pokolenie. Był śmiertelnie obrażony na cały Timaj i gdyby nie rozkazy Karcena, już dawno wróciłby do Atrim. Mistrz znajdował jednak tysiące powodów, by przedłużyć ich pobyt w Wielkim Timaju. Jego magiczną ciekawość męczyły różne tajemnice Kraju Czaszek, co do których urzędnicy dworscy, jak i zwykła ludność, pozostawali podejrzanie milczący. Nie wiedział na przykład, dlaczego salę, w której miała się odbyć dzisiejsza wieczerza, nazywano kulą szeptów. Ponadto Karcen nareszcie nie musiał się niepokoić o Atrim. Co kilka dni pokonywał Ocean Bezcielesności, by stawić się u króla Raratrina na obowiązkowych odprawach. Życie w jego kraju toczyło się zupełnie normalnie, a większość ludzi nie pamiętała już nawet, że kilkadziesiąt dni temu wszystkie konie zapadły na tajemniczą chorobę, która zniknęła równie szybko, jak się pojawiła. Tak więc Karcen mógł szaleć z uciechy, rozprawiając z Alem w swych timajskich komnatach i ogrodach o nowym proroku. Uwielbiał wzbudzać podejrzania w podsłuchujących ich uszach, roztaczając wizje potęgi Czomona i jego proroka, oraz podkreślać znikomość wszelkich ludzkich urzędów. Wychwalał głośno mądrość króla, który jego zdaniem był świadom swej małości wobec nareszcie objawionego boga, a także głosiciela jego religii.

Timajczycy, którzy w końcu doczekali się dnia poznania swego boga, przez pierwsze kilka dni szaleli ze szczęścia i tańczyli na wszystkich placach i ulicach Wielkiego Timaju. Później jednak, gdy



Czomon zniknął w swych niebiosach, powoli wracali do codziennych prac i obowiązków. Ale też Czomon, podobnie jak inni bogowie, niczego więcej od nich nie oczekiwał.

— To niezwykle, nie sądzisz? — komentował Karcen. — Ludzie, którzy od tysięcy lat budowali swe państwo i religię w oparciu o wiarę w objawienie się swego boga, teraz, gdy dzień ten nadszedł, poskakali chwilę ze szczęścia i już wracają do handlu, kłótni z sąsiadami, biegania za kobietami i pieniędzmi. . .

— Cóż w tym dziwnego? — spokojnie odparł Al Cheger. — Myślę sobie, że po prostu szybko przestawili się na wiarę w kogoś, kto rzeczywiście czeka na nich po drugiej stronie i w tym właśnie odnaleźli nowy sens życia. Poza tym, ucieszyli się, że ich bóg jest taki miły i że dostał od swego nadpana najwykwintniejsze niebiosy. Z taką świadomością ludzie nie muszą już się martwić i dociekać, jak będzie wyglądała ich wieczność, i tym bardziej mogą się zająć codziennymi sprawami.

— Dziwne, że wszyscy tak od razu uwierzyli. . . — powiedział Karcen. — Tak, uwierzyli, bo zobaczyli! To zabawne, że z tak błahego powodu zyskali pewność co do swego życia po śmierci.

— Umysły zwykłych ludzi pozbawione są przenikliwości właściwej tylko mistrzom najwznioślejszej ze sztuk.

— To prawda. . . i na całe nasze szczęście! Cóż by się stało, gdyby wszyscy chcieli zostać magami?!

— Aż strach pomyśleć. . .

— Właśnie. Aaa. . . jeszcze jedno, uważam, że to, co zaproponował nam Czomon, było w zupełnie złym stylu.

— Co? To, że po śmierci zaprasza nas do siebie i obiecuje najbardziej wyszukane rozkosze.

— Właśnie, zupełny brak taktu.

— Cóż, pochylmy się nad jego nieszczęściem. Wszak to tylko bóg, który nam zawdzięcza, swe niebiosy.

— Tak, ale uważam, że przebywał z nami wystarczająco długo, by się czegoś nauczyć.

\* \* \*

Sendilkelm skończył swoją mowę. Nic z niej nie pamiętał, gdyż zupełnie nie interesował się tym, co wkładał w jego usta Czomon. Od czasu rozprawy z bogami nie przestawała go fascynować tylko jedna osoba. Czekąca już na niego, jak co noc zresztą, w jego komnatach.

Tymczasem rozpoczęto ucztę. Karcen domagał się głośno zamówionych na dzisiaj specjalów. Ostatnio przepadał za dzikimi ptakami, podawanymi w całych pieczonych stadach. Wczoraj popisywał się, zjadając tylko serca trzydziestu nadziewanych kaczek. Dziś czekał na danie z sokołów górskich i wędrownych.

Zamiast służby z obficie wyłożonymi półmiskami, podszedł do niego z zatroskaną miną mistrz kuchni i, zginając się w ukłonach, zaczął tłumaczyć magowi, że w Timajach ptaki takie w ogóle nie występują, że mają dla niego tylko jednego wędrownego sokoła, który musiał się tu niechcący zabląkać i którego tylko cudem jakimś wypatrzył daleki patrol lotniczy.

Podano go na półmisku z zielonego złota wraz z dziesięcioma innymi ptakami, wyglądem przypominającymi sokoła. Karcen łaskawie przyjął przeprosiny i odłamał małe, spieczone udko. Zastanawiał się, jak znaleźć pewnego sokoła w Atrim, który kiedyś mu się naraził i jak odróżnić go od pozostałych. . .

— A może — mruknął do siebie — wybić wszystkie. . . Może jednak lepiej nie! — dodał, przełykając łykowate mięso. — Nie dość, że to bezczelne ptaszyska, to jeszcze paskudne w smaku. . .

W tym samym momencie timajski mistrz opowieści rozpoczął śpiewnym głosem swoją Opowieść o Czomonie.

*Obcy bogowie na Timaj napadli!*

*Obcy bogowie na Timaj śmierć z nieba zrzucili,*

*ogniem palili, skały topili,*

*lud w popioły przemienili!*

*Skrzydła Timaju w locie spłonęły!  
Tablice Timaju w ogniu szczyły!  
Góry Timaju w zgrozie zamarty!  
Bóg zniszczenia powstał obmierzły!*

*Nie było nadziei, nie było pomocy,  
nie było dla nas już dni i nocy!  
I rozpacz, i ogień, i śmierć, i trwoga,  
tyleśmy dostaliśmy od obcego boga!*

*Mistrzowie z zagórskiego kraju  
magię i nadzieję przynieśli,  
czarią i krwią bronili Timaju,  
Czomona wezwanie ponieśli!*

*Czomon i prorok powstali,  
obcym bogom śmierć zadali!*

*W Timaju dla ludu swego zostali,  
nadzieję i niebiosą nam dali!*

*Obcy bogowie w niwecz obróceni  
splamili krwią część Timaju ziemi!  
Dobry Czomon nad ziemią się ulitował,  
proroka swego do siebie przywołał.*

*Prorok Łzę Kamienną zrodził,  
chorą ziemię nią poraził!  
Czomon tchnął w nią siłę,  
Łza zniszczyła bogów mogiłę!*

*Wyrwała ją z Timaju ziemi,  
do samego nieba wyrzuciła,  
podparła największym z kamieni  
i poza gwiazdy oddaliła!*

*Łza Czomona, Łza Kamienna,  
kamień z Timaju ziemi zabrała!  
Pokochała go i leci w gwiazdy,  
Łza Czomona miłością brzemienna!*

Sendilkelm doczekał do końca pieśni, po czym, wykorzystując wrzawę oklasków i zamieszanie wynikłe z powodu podawania deseru, wymknął się z sali. Przy wyjściu dla mężczyzn kątem oka zauważył tylko, jak Agni z uśmiechem i wielkim zaangażowaniem tłumaczy coś brodatemu człowiekowi. Chociaż był niższy od niej o głowę, patrzył jej głęboko w oczy, i, chociaż nie rozumiał ani jednego atrimskiego słowa, słuchał z wielkim przejęciem.

\* \* \*

Sendilkelm wszedł do swej komnaty i zrzucił paradną, skórzaną zbroję — podarunek od księcia Mikkolego. Przechodząc do łaźni, nalał sobie kielich brązowo-czerwonego, pianistego płynu, który Karcen skądś sprowadzał jako trunek dobry na wszystko.

Poprzez kłęby pary dobiegł go wysoki, słodki głos, śpiewający rycerską pieśń miłosną.

Wszedł po kamiennych schodkach do basenu i przylgnął całym ciałem do najpiękniejszej istoty we wszechświecie.

— Musisz mi obiecać, kochany, że to już ostatnie kazanie, powiedz Czomonowi, by powołał w końcu jakichś świętych i dał nam już spokój.

— Skuirri — mruknął Sendilkelm — przecież wiesz, że on nie chce, bym był jego prorokiem na zawsze. Podobno za mało się angażuję w to, co on mówi. Pewnie wyruszymy do Atrim za jakieś dwa, trzy dni.

— Albo dopiero wtedy, gdy Karcen wyje wszystko, co da się zjeść w całym Timaju — zaśmiała się dawna Anielica Śmierci. — A wiesz, Czomon był tu jakąś chwilę temu i podarował mi małe lusterko z prottonium. Wiesz, taki podarek na nową drogę. . .

— To miłe. . . — mruknął Sendilkelm i sprawdził, czy może się do niej przytulić jeszcze mocniej — zwłaszcza, że ta nowa Śmierć będzie miała przez to o jedno lusterko mniej.

— Nie ta nowa, tylko ten nowy — mruknęła Skuirri. — Śmiercią został jakiś straszny ponurak, jakiś taki, no, zupełnie nieromantyczny.

— Kiedyś będziemy się musieli o tym przekonać.

— O nie, nie — zaświergotała wesoło. — Zapomniałam ci powiedzieć, Sendil! Ja nie jestem już sługą bogów, ale nie mogę umrzeć, no, rozumiesz, po prostu nie umiem, nie mogę. Dla mnie czas nie istnieje.

— Chyba nie rozumiem, ale postaram się o tym pamiętać.

— Nie będziesz musiał. Melkonseron tak to urządził, byś ty również, mój kochany, nie mógł umrzeć. Dla ciebie czas już nie istnieje, odkąd połączyłeś swe ciało z moim. . .

— Aha. . .

\* \* \*

Gdzieś daleko, poza krańcami najdalszych niebios prawie zapomnianych bogów, stał Melkonseron, bóg bogów. Patrzył na formujące się właśnie maleńkie niebiosy. Po chwili wyszli z nich drżący bożkowie, Noc i Dzień.

— No, macie już jednego, prawdziwego wyznawcę — powitał ich Melkonseron. — Reszta zależy od was.

*Warszawa, Michałowice, Zakopane, Puerto dela Cruz, Kołobrzeg  
1999–2001*



KONIEC TOMU PIERWSZEGO

## Epilog

Timajskie słońce radośnie rozświetlało białe turnie i rozpalało na skórze wiecznego lodowca miriady diamentowych błysków, z których tylko jeden rzeczywiście pochodził od diamentu.

Ten niewielki kamień, otoczony miniaturowym wężykiem z zielonego złota, tkwił pośrodku zgrabnego kolczyka. Można by przypuszczać, że zgubiła go w czasie wysokogórskiej wycieczki jakaś timajska piękność, albo jakiś odważny wędrowiec stracił tu talizman, ofiarowany mu kiedyś przez miłość jego życia, równie dobrze mogła go zgubić jakaś starucha, wygnana z Wielkiego Timaju za złośliwość i szpetotę, albo wredny kupiec, poszukujący skrótów wśród górskich szlaków. . .

Ale nie, kolczyk ten został po prostu skradziony. Dawno temu. Tak dawno, że ani jego właścicielka, ani złodziej, ani dzieci ich wnuków już nie żyli. I teraz nie był już kolczykiem, lecz dumną

koroną, zdobiącą głowę jednego z trójki fasolowych ludzików, wygrzewających się na pochylonym ku słońcu stoku.

Patrzyli na rozpościerający się poniżej płaskowyż i wyrastające z niego kamienne miasto. Część murów i kilka tarasów było zniszczonych, a dokładniej mówiąc, skruszonych i stopionych na szkło. Wypalona równina wokół miasta wciąż dymiła, a od południowej strony rozdzierał ją gigantyczny krater.

Ten, kto nie widział, co tu się wydarzyło, nie mógł zrozumieć tego, co widzi. Ale fasolowe ludziki siedziały na stoku od kilku dni. Widziały wszystkie timajskie wydarzenia i rozpościerający się przed nimi widok, ani ich nie dziwił, ani nie wzbudzał wątpliwości, ani też, nawet w najmniejszym stopniu, nie poruszał.

— Nuda, już po wszystkim! Przekłęci głupcy! — krzyknął najbardziej pękaty ludzik. — Dali się pokonać bandzie dzikusów na skórzanych latawcach.

— To niemożliwe — odparł ludzik w kolczykowej koronie. — Dzikusy-timajusy nie mogły ich pokonać. To raczej oni zrezygnowali... co zresztą jest zrozumiałe. Nam przecież też odechciało się rządzić tym głupim światem.

— Ty koronowany matole! I ty jesteś naszym dowódcą?! — pisnął trzeci ludzik. — Odechciało się, odechciało! A kiedy tak naprawdę rządziliśmy? Czy wzniesiono nam świątynię ze smokolitu,

składano w ofierze pęczki dziewic, czy zabijali się na arenie ku naszej rozrywce, wznosili do nas modły i umierali z naszym imieniem na ustach?! Nie! Na razie służyło nam zaledwie kilku z nich!

— Ale za to byli to władcy — wtrącił ludzik w koronie — i nawet dzięki nam wywołali parę wojen. . .

— Mówisz o tych kilku wsiowych bijatykach w tej. . . no, jak ta zapadła dziura się nazywa?. . . — pisnął trzeci.

— Fraternia — burknął pękaty. — Po co się tak wydzierasz? Jak chcesz, to rządz sobie tym światem. Na zdobycie koron wszystkich królestw będziesz jednak potrzebował dużo, oj dużo czasu.

— Będziesz potrzebował, owszem, tylko problem w tym, że nie będziesz go miał. Oni wrócą — dowódca podniósł koronę, bo spadła mu od kiwania głową.

— Skąd wiesz?! — pisnął wściekle trzeci.

— Bo jestem twoim dowódcą i jestem od ciebie starszy o dwanaście tysięcy pokoleń! Znam ich, zawsze wracają!

## Słownik

**bronkle** — zwane również żywymi pomidorami, przede wszystkim dlatego, że smakują i wyglądają podobnie jak pomidory. Przed spożyciem należy je jednak dokładnie wypatroszyć, oddzielając od korpusu niejadalny chrząstny pyszczek. Stworzenia niezwykle głupie, często same włączają do ogrodów i, przyczepiając się do krzaków, udają pomidory. Słynne powiedzenie: *głupi jak bronkiel*.

**brzezińce** — zwierzęta rzeczne, wyglądem przypominające żabi skrzek. Doskonałe na koktajle.

**burzoloty** — inaczej ptaki burzowe. Nie mają nóg, pewnie dlatego, że nie są im potrzebne. Żyją wysoko w chmurach i nigdy nie lądują na ziemi. Żywią się innymi ptakami. Ich pióra mają wytrzymałość hartowanej stali, zaś rozpiętość skrzydeł przekracza trzydzieści stóp. Nawoływania

burzotów słyhać często w czasie wielkich burz i cyklonów. Uważa się, że bogowie używają ich jako posłańców do przekazywania poczty.

**czajmałapy** — małe, żabopodobne mieszkanki podmokłych terenów. Często trzymane w domach z powodu przyjemnego zapachu wydzielanego przez ich skórę oraz ze względu na subtelne pomrukiwania, które wśród atrimskich matek uchodzą za najlepszy sposób na uspienie niemowląt.

**czaria** — jak mówią pomniejszych magom wysoko postawieni magowie, to zupełnie coś innego niż magia.

**demonka trójlistna** — słynna ze względu na specyficzny, gorzki aromat, wykorzystywany w różnego rodzaju potrawach. Każdy kucharz musi jednak poznać tajemnicę właściwych proporcji jej stosowania, gdyż minimalne nawet przekroczenie odpowiedniej dawki sprowadza na spożywającego nieprzyjemne, choć nieszkodliwe, wizje.

**dwa pioruny** — najmocniejszy trunek w Atrim. Podawany w dwóch tykwach. Do jednej z nich wlewa się, podgrzany do stanu wrzenia, gęsty zakwas z wodorostów o wysokiej zawartości alkoholu i substancji narkotycznych, do drugiej zaś, schłodzone do temperatury zamarzania wody, wyciągi z pobudzających ziół i środki podniecające. Piorunujący efekt działania tego trunku osiąga się przede wszystkim poprzez specjalną formę picia, polegającą na jednoczesnym pociąganiu z obu

tykw przez wsadzone do nich słomki. Wśród barmanów podających dwa pioruny utarło się powie-  
dzenie: smacznego i najpierw zapłać, bo nie wiadomo, czy się jeszcze obudzisz. Ponieważ procedura  
przygotowania trunku jest droga i pracochłonna, często można spotkać wszelkiego rodzaju nieszko-  
dliwe podróbki. Celuje w tym słynna Sardinella z atrimskiej tawerny Pijany Kraken.

**dziesięciodzień** — podstawowa jednostka kalendarzowa. Rok to oczywiście sześćdziesiąt dzie-  
więć dziesięciodni. Atrimczycy wierzą (i nie wiadomo, czy stąd wzięła się ta jednostka, czy też  
wierzenie to zrodziło się jako jej następstwo), że co dziesięć dni umysł ludzki tworzy myśl na ty-  
le ważną, że człowiek pamięta ją do końca życia. Z tego powodu rodzice zameczają swoje dzieci  
pytaniami w stylu: „No, to jaka jest twoja myśl z ostatniego dziesięciodnia?”. Latorośle, które po-  
trafią czytać, korzystają w tych krytycznych dniach z potajemnie kupowanych Almanachów Myśli,  
natomiast dzieci, które czytać nie potrafią, ćwiczą wyobraźnię i uczą się kłamać.

**fasolowe ludziki** — ożywione ziarna fasoli, zazwyczaj czerwonej. Wysłannicy nieznaných bo-  
gów. Popularne jest wierzenie, że zjedzenie fasolowego ludzika ściąga na sprawcę tego czynu zgubę  
i przekleństwo. Z kolei jednak, jeśli człowiekowi uda się przed przełknięciem dostrzec ożywione  
ziarna, a zazwyczaj fasolowe ludziki występują w parach, i otoczyć je opieką, spada na niego cięż-  
kie brzemie psychicznego i fizycznego niewolnictwa. Fasolowe ludziki zawsze znęcają się nad swo-

imi wybawcami, pod groźbą zesłania nieszczęścia każą znosić sobie różne dary, przede wszystkim świecidełka, oraz zmuszają do spełniania wymyślnych życzeń. Czasami służą władcom i kapłanom swoim darem jasnowidzenia, zazwyczaj jednak ich okłamują. Tak więc nie wiadomo, co jest większym nieszczęściem: zjeść fasolowego ludzika i narazić się na przekleństwo nieznanych bogów, czy też służyć mu do końca swego zmienionego w piekło życia. Wielu ludzi na wszelki wypadek w ogóle nie jada fasoli.

**fitor** — barwnik ciemnozielony, uzyskiwany z kory drzew fitorowych, najczęściej używany do barwienia ubiorów myśliwych, choć zupełnie niesłusznie, gdyż zwierzęta postrzegają ten kolor jako jaskrawy i świecący w ciemności.

**gadwabb** — ekskluzywny materiał zamorski, wykorzystywany do wyrobu strojów paradnych. Zdania na temat techniki jego wytwarzania są podzielone. Karcen uważa., że produkuje się go z pre-parowanych włosów dziewic... no cóż.

**gawronce** — żyjące zawsze blisko ludzi, natrętne ptaki. Gawroniec, widząc człowieka, podlatuje do niego, siada w pobliżu i przeraźliwie skrzeczy, dopóki człowiek czymś w niego nie rzuci. Gawroniec w klatce to wspinały prezent dla nielubianych krewnych.



**gałtrale** — głupawe i nad wyraz ciekawskie ptaki. Spotyka się je tylko przy ludzkich siedzibach. Całe życie spędzają na budowaniu gniazd z różnego rodzaju odpadów ludzkich gospodarstw. Często jednak zdarzają się im kradzieże, i to nie tylko papierków czy sznurków, lecz także biżuterii i sztuców. Ludzi traktują przedmiotowo i bez obawy, gdyż są dla nich jedynie dostawcami materiału na gniazda.

**gdrządźlarze** — małe, myszowate stworzenia, natrętnie śledzące ludzi w lesie. W nocy ich oczy świecą na zielono, doprowadzając mniej odpornych wędrowców do hysterii. Dość szybkie, a przede wszystkim ostrożne, a schwytane — wyją dziko. Niesmaczne. Niezwykle trudno je schwycić.

**gilon** — barwnik jaskrawoniebieski, uzyskiwany z ryb o tej samej nazwie. W Atrim, już niemal tradycyjnie, barwi się nim damską bieliznę. Istnieje bowiem pogląd, że dziewczica nosząca bieliznę w tym kolorze pozostaje nieczuła na podniecające działanie kadzidłowca. W praktyce pogląd ten stał się niezwykle wygodny dla mężczyzn.

**grządle** — patykowate stworzenia o ośmiu odnóżach i zdrewniałym pancerzu. Żywią się czajmałapami. W lesie łatwo pomylić śpiącą grządłą z kawałkiem gałęzi. Zasadniczo nie nadają się do jedzenia. Z wydrążonych korpusów grządli wykonuje się słynne atrimskie puszczalki i flety.

**gwiazdownik** — popularne w Atrim zioło o nasionach w kształcie siedmioramiennej gwiazdy, wykorzystywane głównie jako aromatyczna przyprawa. Jego krzewy porastają zacienione, głębokie parowy leśne i brzegi wodospadów. Zbieracze gwiazdownika pilnie przypatrują się jego gałązkom, jeśli bowiem porastające je owoce układają się w kształt gwiazdozbioru Wielkiego Krakena, oznacza to wielkie szczęście w niezobowiązującej miłości czysto fizycznej. O dziwo, gałązki takie znajdowane są niemal na każdym krzewie.

**horenhoj** — timajskie pojęcie męskiej dumy rodowej. Timajczykowi, który straci swe horenhoj, a tym samym swą wartość jako mężczyzna, pozostaje samobójcza śmierć lub niewolnicze poddaństwo najmniej znaczącej kobiecie z jego rodu.

**jazda** — jednostka odległości. Podobno tyle był w stanie pokonać galopem w ciągu jednego obrotu rumak pierwszego króla Atrim. Chociaż Atrimczycy, znający się na koniach jak mało kto, uważają tę historię za głupawy żart, przekazywana jest ona z pokolenia na pokolenie jako jedyna definicja pojęcia jazdy.

**kadzidłowiec** — krzew występujący w Górach Słońca i na odległych wyspach. Nocami wyciąga z podłoża swe giętkie korzenie i wędruje w poszukiwaniu kryształów górskich. Sok wyciskany

z jego drewna ma słodki zapach i działa podniecająco na kobiety. W Atrim jest na niego wielkie zapotrzebowanie. Niestety, nie nadaje się do hodowli.

**kierunkowskaz** — prastare ośmiokątne urządzenie wykorzystywane przez Timajczyków i Czarne Ludy do zorientowania się w kierunkach świata. Działa tylko wówczas, gdy leży na równym podłożu. Każda z ośmiu wskazówek, stylizowanych na osiem odmian kolcowęży z ośmioma różnymi minerałami w paszczach, wskazuje zawsze sobie przypisany kierunek:

słoneczny — wskazywany przez kółko z białego złota,

przeciwsłoneczny — wskazywany przez kółko z zielonego złota,

księżycowy — wskazywany przez półksiężyc ze srebra,

przeciwnksiężycowy — wskazywany przez półksiężyc ze stali,

słoneczno-księżycowy — wskazywany przez białą perłę,

słoneczno-przeciwnksiężycowy — wskazywany przez czarną perłę,

przeciwsłoneczno-księżycowy — wskazywany przez kryształ białego kwarcu w kształcie łyzy,

przeciwsłoneczno-przeciwnksiężycowy — wskazywany przez kryształ czarnego kwarcu w kształcie łyzy.

Atrimczycy uważają zarówno osiem kierunków świata, jak i wskazujące je kierunkowskazy za stratę czasu. Posługują się tylko czterema kierunkami i, jak wszyscy normalni ludzie, po prostu wiedzą, gdzie jest północ.

**knakumy** — inaczej skoczki łąkowe. Są czymś pomiędzy żabą i ptakiem. Paskudne i cuchnące. W zasadzie niejadalne. Znane przysłowie: Siedzą kumy jak knakumy, nie usiedzą, nie polecą, same głupstwa plotą.

**kolcowężę** — stworzenia najgroźniejsze i najbardziej tajemnicze. Żyją głęboko pod ziemią, spotyka się je nawet w kopalniach smokolitu i zielonego złota, na głębokości trzystu chłopa. Kolcowąż, uzbrojony w kilka rodzajów zębów jadowych i wypełnione trucizną kolce na grzbiecie, jest śmiertelnym zagrożeniem dla każdego zwierzęcia i człowieka. Na jad czarnego kolcowęża nie ma odtrutki. W związku z tym, że kolcowężę spotyka się często w pobliżu kurhanów i innych grobowców. Utarło się nawet przekonanie, że mają kontakt ze zmarłymi i jako takie uchodzą za zwierzęta święte. Nazywa się je też często heroldami zmarłych. Istnieje legenda, po części spowodowana tym, że nikt nigdy nie spotkał zmarłego naturalnie kolcowęża, według której zwierzęta te kradną z ludzkich grobowców wszelkie kosztowności i gromadzą je na swoim wielkim podziemnym cmentarzysku. Dlatego też w wielu atrimskich przypowieściach i wizerunkach w paszczy kolcowęża umieszcza się

klejnoty, a pogawędkom w knajpach i przed snem często towarzyszy historia o ukrytym pod ziemią największym skarbie na świecie.

**Konwent Wielkich i Większych Magów** — kilku prawdziwych, grubych magów, do tego kupa pomniejszych magów-frajerów, odwalających za nich codzienne czary na potrzeby dworu, oraz jeszcze większa kupa jeszcze większych frajerów, marzących o tym, by pomniejszymi magami zostać.

**krakeny** — największe znane stworzenia morskie. Niezwykle trudne do odłowienia. Mówi się, i podobno nawet to widziano, że jeden kraken potrafi połknąć w całości kilka okrętów i upolować całe stada wielorybów. Rzadko znajdowane szczątki krakena, na przykład szczęki, są niezwykle drogocenne. Wiele nadmorskich ludów wielbi te zwierzęta jak bóstwa, ale jeszcze więcej uwielbia przysmaki przyrządzane z ich mięsa. Podobno w podziemnym jeziorze krainy Czarnych Ludów żyje biały kraken. Nigdy go nie widziano, ale liczne plemiona na wszelki wypadek składają mu ofiary (zazwyczaj z niezbyt lubianych członków plemienia).

**kszator** — barwnik jaskrawożółty, uzyskiwany z mielonych kryształów kwarcu timajskiego, szczególnie chętnie używany przez magów, choć nie wiadomo, dlaczego.

**kwarc timajski** — kryształ „pamiętający kierunek”. Występuje w odmianie białej i czarnej. Wykorzystywany m.in. do wyrobu kierunkowskazów.

**Lentile** — lud na wymarciu, spotykany jedynie w małych rodzinnych szczepach na pustkowiach i w lasach Atrim. Mówi się, iż Lentile opanowali magię niedostępną nawet magom z Atrim. Jednak są na tyle tajemniczy, że poza tymi pogłoskami wiadomo jedynie, iż budową trochę różnią się od ludzi. Mają kocie oczy, kości o większych powierzchniach stawowych, niezwykle elastyczne mięśnie oraz refleks graniczący z prekognicją. Nadto, trudno ich unieruchomić, a jeszcze trudniej zranić w walce wręcz. Na szczęście dla pozostałych ludów, są zupełnie pokojowo nastawieni i nie uczestniczyli w żadnej wojnie.

**magia** — jak mówią ludziom więksi i mniejsi magowie, to coś zupełnie innego niż rzeczywistość.

**matirhoj** — timajskie pojęcie kobiecej dumy rodowej. Cenione wyżej niż horenhoj mężczyzn. Kobieta, która utraci swe matirhoj, nie jest godna rodzić dzieci.

**mięszaczki** — podobne do grzybów powolne stworzenia leśne. Poruszają się, pełzając na pojedynczych odnóżach, zaopatrzonych w ostrą żuwaczkę. Zbierając mięszaczki, należy uważać, by nie włożyć w nie palca. Po odcięciu spodu odnóża wraz z żuwaczką, miészaczek jeszcze przez piętnaście dziesięciodni zachowuje świeżość, a ściślej mówiąc, żyje, więc w większości przypadków gotuje się go żywcem.

**miłoptasiec** — krzew pospolity w Atrim i we Fraternali. Sok z jego liści usuwa ból i daje wrażenie lekkości ciała. Nadużycie miłoptasca prowadzi do halucynacji, najczęściej przejawianych poprzez nachalne i nieprzetłumaczalne podejmowanie prób latania i, oczywiście mniej groźnych, zatem nie utrudnianych, prób porozumiewania się z ptakami. Tak czy inaczej, ptaki mają wtedy niezły ubaw.

**miłowrzośce** — ptaki gnieźdzące się w lasach wrzosowych doliny Rzeki Białokostnej (Białokostki). Śpiewają słodko i równie słodko smakują, w związku z czym Timajczycy używają sporządzonego z miłowrzośców proszku do słodzenia napojów, przy czym, w zależności od nastroju, różnie go dozują, gdyż duża dawka wydobywa z człowieka, czy chce, czy nie, śpiew zbliżony brzmieniem do śpiewu miłowrzośca.

**minostosy** — trochę rośliny, a trochę owady. Z niewiadomych przyczyn gromadzą się w nocy pod oknami, z których pada światło, i nieprzyjemnie szeleszczą. Można je stosować jako przyprawę do zup i ciast.

**obrót** — jednostka czasu. Na jeden obrót składa się sto chwiloskoków. Doba liczy osiemdziesiąt obrotów. Co ósmy obrót uważany jest za czas sprzyjający odprawianiu religijnych rytuałów. W Atrim pierwszy i ostatni obrót doby uchodzi za czas niekorzystny do podejmowania decyzji. W dobrym zwyczaju jest też nie gniewać się na kogoś, kto w tym czasie zachował się niewłaściwie.

Również składanych wówczas obietnic nie traktuje się zbyt wiążąco, co stanowi pewne ułatwienie dla kochanków, zazwyczaj chętnych w środku nocy do wszelkich przyrzeczeń.

**obrotomierz** — urządzenie do mierzenia obrotów. We wszystkich krainach wykonawstwem tych drogocennych przedmiotów trudnią się magowie po niższych inicjacjach i to w taki sposób, by zwykli śmiertelnicy nigdy nie poznali tajemnicy ich działania. Wewnętrzny mechanizm obrotomierza, o ile taki w ogóle istnieje, chroniony jest pancerzem wzmocnionym zaklęciami. Ciekawski, który mimo ostrzeżeń rozsądku zechce zajrzeć do wnętrza obrotomierza, pada ofiarą czaru spóźnienia. Do końca życia, czy w dzień, czy w nocy, trapiiony jest przeświadczeniem, że właśnie jest gdzieś spóźniony. Gdy w końcu nieszczęśnik taki popełni samobójstwo, co ma miejsce zawsze, Anielica Śmierci wita go najczęściej groźnym oskarżeniem o spóźnienie, co w jej mniemaniu jest oczywiście wyszukany żartem.

**perłomnogi** — skorupiaki morskie. Zupełnie świadomie obrastają od zewnątrz perłami, gdyż mają nadzieję, że ludzie, oberwawszy sobie pożądane skarby, nie rozłupią im pancerzy. Niestety, prawie każdy człowiek wie, że czasami perłomnogi kryją wewnątrz swego sinego ciała jeszcze jedną i najcenniejszą perłę w kształcie łyzy (potrzebną m.in. do wyrobu kierunkowskazów).



**prottonium** — podstawowa substancja, z której wykonano wszechlustro Anielicy Śmierci, to ona i tylko ona decyduje o cudownych właściwościach tego zwierciadła. Praktycznie nie do zdobycia. Jedynie magom udaje się z ogromnym trudem i niezwykle rzadko zgromadzić niewielką ilość prottonium. Wykorzystują je do celów wróżebnych oraz, rzecz jasna, do podglądania młodych dam w kąpieli.

**purpurowa tabaka** — ulubiona używka magów i nie tylko. Sprowadza się ją do Atrim drogą morską z wysp, których nie ma na atrimskich mapach. Pięć porcji tabaki można zakupić za jedną porcję sproszkowanego zielonego złota. Magowie używają jej ostentacyjnie przy każdej okazji, zazwyczaj nikogo nie częstując.

**rybki gnilduszne** — zwane popularnie gnildusznikami. Ciekawskie i wszędobylskie. Rodzą się w Rzece Gnilduszej, skąd co roku wyruszają na wędrowną podróż po wszystkich wodnych zbiornikach Atrim, by na koniec wrócić do Gnilduszej. Z niewyjaśnionych przyczyn uwielbiają podsłuchiwać ludzkie rozmowy, a szczególnie pieśni. Są nadspodziewanie niepłochliwe... i zazwyczaj kończą swój żywot na patyku nad ogniskiem lub trochę wcześniej, podczas przygotowywania pospolitego posiłku. Wtajemniczeni smakosze wiedzą, że z wyłowionego stadka gnilduszników należy odzielić nieco większego i zabarwionego na czerwono przewodnika, jeżeli taki oczywiście się trafi,

a zazwyczaj się trafia, pokroić go dość drobno i tymi kawałeczkami nadziać pozostałe rybki. Wtedy potrawa bez dodawania jakichkolwiek przypraw smakuje wybornie.

Macierzysta rzeka gnilduszniaków, o zielonożółtych wodach, znana jest ze szczególnego bogactwa niejadalnych gatunków ryb o przykrym zapachu. Mieszkańcy Atrim stronią od zakładania osiedli w jej pobliżu, chyba że należą do jednej z sekt ludzi umartwiających się za życia dla przypodobania się bogom.

**sapium** — trucizna wykonana z jądów i krwi kolcowęża. Śmiertelna. Nidy nie zasycha.

**skrzydło timajskie** — lotnia oparta na szkielecie wykonanym z kości burzolutów i orłów górskich, pokrytym preparowanymi błonami skalnych nietoperzy.

**smokolit** — najtwardszy znany minerał. Występuje w trzech odmianach: biały, szary i czarny, w formie kryształów, których rozmiary mogą przekraczać pięćdziesiąt stóp. Mniejsze kryształy magowie potrafią przetapiać, natomiast większe, zwłaszcza czarny smokolit, można obrabiać tylko za pomocą innych smokolitowych kryształów. Najtwardszy jest czarny smokolit atrimski. Przetopiony smokolit biały i szary używany jest do wykonywania najprzedniejszych zbroi i kling.

**sosny kuszowe** — drzewa rosnące tylko w Timarlikonderonie. Jego igły, długie na szesnaście palców, Timajczycy wykorzystują jako bełty do kusz.

**sośniaki** — występujące w Timajach sosny górskie o powykręcanych pniach. W czasie księżycowych nocy wydają ciche pojękiwania, w związku z czym uważa się, że mają magiczne moce. Zupełnie niesłusznie.

**stupłatewki** — złotoskóre jaszczurkopodobne stworzenia o dziesiątkach miękkich odnóży. Doskonale pływają. Chętnie hodowane jako domowe zwierzątka. Uwielbiają siedzieć w mankietach swoich właścicieli i cichutko nucić zasłyszane wcześniej melodie. Długowieczne i niejadalne.

**szkieletornit** — minerał, którym nasycona jest Rzeka Białokostna (Białokostka), nadający jej białe zabarwienie. Z rzadka spotykany również w Górach Słońca. W małych dawkach używany przez kapłanów jako narkotyk wprowadzający w stany mistyczne. W dużych dawkach — śmiertelny. Kąpiel w wodach Białokostki grozi rozpuszczeniem skóry.

**Timarlikonderon** — święty dla Timajczyków las oddzielający Timaje Chmurne od Dolin Timajskich. Ojczyzna dzikich koni timajskich, chwypanych i używanych przez wojowników z Dogodoto.

**trawy pejczowe** — rosną w wysokich kępach. Długość jednego pędu może przekraczać osiem stóp. Rośliny drapieżne, błyskawicznie owijające się wokół nóg małych zwierząt. Ich łupem padają głównie króliki i czajmałapy. Nadepnięte przez większe zwierzę lub człowieka, tłuką wściekle, zmuszając agresora do ucieczki.

**trawy szydłowe** — zwane również tragediowcami, groźne dla człowieka i zwierząt o cienkiej skórze. Ich kolczaste liście, zakończone małymi haczykami, przebijają skórę stąpającego po nich stworzenia, łamią się wewnątrz rany, a następnie, wysiewając ze swych końców miniaturowe ziarna, dostają się do krwioobiegu i wraz z odchodami rozsiewają. Dla człowieka oznacza to ostrą biegunkę, przy czym dla mężczyzn również dożywnością impotencję.

**triechta** — miara czasu (i prawdopodobnie przestrzeni oraz kilku przyległych do niej wymiarów) stosowana przez obcych bogów. Jedna triechta to zupełnie przypadkowo sześćdziesiąt tysięcy ziemskich lat.

**wiewiórki timajskie** — w zasadzie nie różnią się od zwykłych wiewiórek poza tym, że tworzą państwa o strukturach władzy opartych na wiewiórokracji bezpośredniej, mają zawodową armię, doskonale funkcjonujący system ziołolecznictwa i opieki medycznej, piszą sagi rodowe i wyznają dwanaście niezależnych religii. Timajczycy nie interesują się nimi, czy też, mówiąc ściślej, na wszelki wypadek nie polują na nie.

**zielone złoto** — najcenniejsza odmiana złota o delikatnym zielonym zabarwieniu. W odróżnieniu od zwykłego złota, niezwykle wytrzymała i sprężysta.